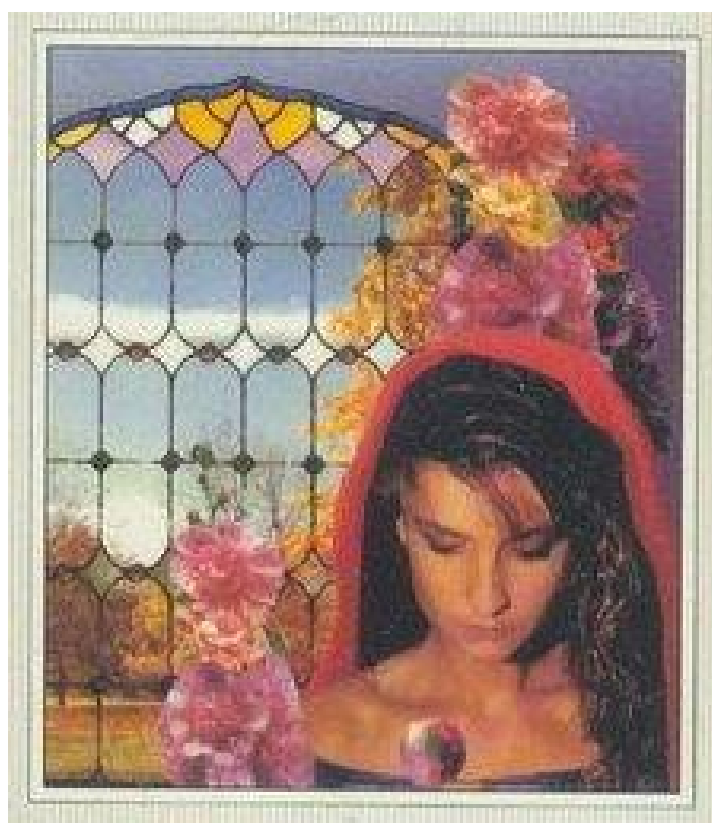




CATHERINE COOKSON

MALTAŃSKI ANIOŁ



Przełożyła Izabela: Arcykiewicz-Zamecznik

Księga pierwsza

1886-1888

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Droga z Newcastle do pierwszej bramy farmy zajęła mu nie więcej niż pół godziny. Jechał szybciej niż zazwyczaj, chociaż przez cały czas zadawał sobie pytanie dlaczego, ponieważ ciągle nie wiedział, czym może się zająć u celu swej podróży. Usiadł pewnie przy stole, głowę wesprze o dłonie i po raz kolejny zada sobie to samo pytanie: jak by się zachował, gdyby teatr Empire nie zatrudnił zespołu na następny tydzień. A odpowiedź zawsze była taka sama. Po prostu nie wiedział.

Wszystko potoczyło się zbyt szybko; nigdy w życiu nie był w takiej sytuacji, nigdy nic takiego nie odczuwał, nie wiedział, czym jest miłość. Wiedział natomiast, czym jest pragnienie. O, tak. A to oznaczało udrękę. Tak właśnie mógł określić swój obecny stan, chociaż tym razem był to inny rodzaj udreki... Nie, nie, to nie była udreka, raczej uniesienie, poryw serca. Miał wrażenie, że unosi się gdzieś ponad wzgórzami, skąd - ponad górami... tak, ponad górami... ogarnia go uczucie wszechwładnego szczęścia, bardziej oczyszczającego niż rześkie powietrze wczesnego świtu.

Powinien raczej zadać sobie pytanie, czy przypadkiem kompletnie nie oszalał. Tylko cztery razy widział tę dziewczynę... nie, młodą kobietę... nie, tę nieziemsko piękną istotę.

Przyczyną nie mógł być jego brak obeznania ze sceną: w ciągu ostatnich dwóch lat przynajmniej raz w miesiącu bywał na przedstawieniach w Empire lub innych teatrach w mieście. Wytrwał nawet na sztuce Szekspira, która, musiał to przyznać, nie zachwycała go. Nie mógł się skupić na czczej gadaninie aktorów huczących przez nos.

Przy drugiej bramie wychylił się z siodła i zdjął ze słupka drucianą pętlę, ale spojrzawszy na ciemne pola i zabudowania farmy, zamarł na chwilę w bezruchu. Zobaczył światło latarni błyskające nie od strony obór czy chlewów albo kurnika, gdzie Billy Compton mógł sprawdzać, czy lis nie robi spustoszenia, chociaż psy nie dawały takich sygnałów, ani nawet nie z dołu starej stodoły, ale z jej stryszku.

Spiesznie przeskoczył przez bramę, odwrócił się w siodle, żeby poprawić pętlę i zmusił zwierzę do galopu w kierunku błotnistego podwórza. Zsiadając z konia, klepnął go po zadzie i popchnął w stronę stajni ze słowami: - Za chwilę do ciebie wrócę, Betty - szybko pobiegł do otwartej stodoły.

Widząc drabinę przystawioną do wejścia na stryszek, krzyknął: - Jesteś tam, Billy?

W górze ukazała się czyjaś głowa. - Tak, panie Wardzie. Mamy też gościa. Lepiej będzie, jak pan sam zobaczy.

Kiedy Ward Gibson wszedł na górę, jego oczom ukazała się mała figurka przytulona do starych belek spadzistego dachu. Podszedł bliżej mówiąc: - No, no, a któż to taki?

- Nie mogę wyciągnąć z niego ani słowa, panie. Ale ten dzieciak jest w strasznym stanie.

- Co to znaczy: w strasznym stanie? - odezwał się Ward cichym głosem.

Równie cicho odpowiedział stary człowiek. - Dostał niezłe cięgi. Można nawet powiedzieć, że ktoś go skatował. Chłopak jest kompletnie przerażony. Trząśł się cały jak osika, gdy się do niego odezwałem.

Ward przykucnął koło małej sylwetki i uprzejmie powiedział: - Witaj! Jak się nazywasz?

Dwoje oczu wpatrywało się w niego uważnie. Dzieciak gwałtownie zamrugał, ale nie odezwał się.

- No, przecież masz jakieś imię. Nikt cię tutaj nie dotknie.

Staruszek także ukucnął i spokojnym ruchem wyciągnął dłoń. - Niech mój pan obejrzy ci plecy, chłopcze. No, już. Nie bój się.

Chwilę później Billy powolnym ruchem podciągnął mu brudną szarą koszulę, ukazując w świetle latarni krwawe pręgi, przecinające plecy od chudych ramion do małych pośladków, na których wyraźnie rysowały się stare blizny.

- Ten bat dosięgnął go nie raz - szepnął starszy mężczyzna. - Spójrz na nadgarstki - powiedział, delikatnie opuszczając koszulę i odwracając chłopca. - Ślady 'sznura. Zobacz teraz jego kostkę. To bez wątpienia otarcie łańcuchem.

Staruszek patrzył na swego pana czekając na jego reakcję, ale dopiero po chwili Ward wyciągnął dłoń i powiedział: - Chodź, chłopcze. Nikt cię tu nie skrzywdzi. Chodź.

Chłopiec nie uczynił żadnego ruchu, ale kiedy w końcu próbował wstać, zachwiał się, a Ward instynktownie sięgnął, aby go podtrzymać. Dzieciak cofnął się nie przyzwyczajony, że ktoś okazuje mu pomoc. - Nikt cię tutaj nie skrzywdzi - powtórzył Ward. - Chodź, jeśli możesz iść sam. Jeżeli nie, zaniosę cię.

Chłopiec wstał chwiejnie, ale kiedy dotarł do krawędzi platformy, wyglądał bardzo niepewnie. Ward bez wahania podniósł go i trzymając w ramionach zszedł po drabinie.

- Czy Annie jest w domu? - zapytał Billy'ego, gdy znaleźli się na zewnątrz i zamierzali przejść przez podwórze.

- Tak, panie, od pół godziny jest już w łóżku. Ale twoją kolację zostawiła w piecyku; jest też dużo zimnego jedzenia. Ale jeśli chcesz, mogę ją obudzić...

- Nie, sami wszystko zrobimy... Jak go znalazłeś?

- To przez psy. Flo była niespokojna, a Kapitan biegał w tę i z powrotem. Kiedy zobaczyłem, że Flo obszczekuje drabinę, wiedziałem, że ktoś musiał dostać się na górę. Zawołałem dwa razy, ale nikt nie odpowiadał. Krzyknąłem, że mam ze sobą broń i wepchnąłem tam Flo. Jak odkryła, że to dziecko, przestała szczekać. Dziwne, ale on też się jej wcale nie przestraszył.

- To pewnie jedyne, czego on się nie boi.

Minęło pół godziny. Billy umył chłopcu twarz i ręce, a Ward przetaił mu bolące plecy, starając się nie przysporzyć bólu. Posmarował je maścią, którą jego matka leczyła siniaki, wrzody oraz wszelkie dolegliwości skóry u ludzi i zwierząt. A kiedy chłopiec pochłonał jedzenie jak zgłodniałe zwierzę i jednym haustem wypił prawie pół litra mleka, spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Ale to nastąpiło dopiero wtedy, gdy posadzony na niskim stołku przy ogniu, otulony kocem, odprężył się i po raz pierwszy zaczął mówić.

Kiedy Ward znowu zapytał go o imię, przedstawił się.

- Carl Bennett.

Nazwisko było całkiem zwyczajne, ale akcent z pewnością nie był miejscowy; tak nie mówił nikt w promieniu wielu mil.

Zapytany o wiek, chłopak zrazu powiedział: - Osiem - ale zastanowił się i poprawił: - Nie, dziewięć.

Skąd przyszedł? To pytanie zaniepokoiło go. Opuścił głowę, a w końcu wymamrotał: - Z farmy.

- Z czyjej farmy? - zapytał Ward. - Z której farmy? Chłopiec rzucił Wardowi ukradkowe spojrzenie, zanim wymruczał: - Daleko stąd. Za Durham.

- Za Durham? - staruszek i Ward powtórzyli zgodnym chórem.

- Kiedy stamtąd wyruszyłeś?

- Wczoraj. Nie... - Potrząsnął potarganą głową. - Przedwczoraj. Nie jestem pewny.

- Dlaczego?

Nie odpowiedział, ale jego oczy zdawały się mówić: Czy musicie o to pytać?

- Jak się nazywa ta farma... albo farmer?

Chłopak utkwiał wzrok w szerokim palenisku i wpatrywał się w czarnego żelaznego psa, wspierającego równie wielkie przybory kominkowe. Nie podniósł głowy, dopóki Ward się nie odezwał: - Nie musisz się martwić. Nigdzie cię nie odsyłamy. Mój człowiek - wskazał na Billy'ego - nie dawniej niż tydzień temu mówił mi, że potrzebuje kogoś do pomocy. Starzeje się i jakiś młodzik musi przejąć część jego obowiązków. Czyż nie tak, Billy?

- Ach, tak. Tak, panie. Pewnie, że szukam kogoś młodego.

Chłopiec spoglądał to na jednego, to na drugiego, a kiedy powiedział: - Mogę pracować... ciężko pracować - w jego głosie słychać było prawdziwą gorliwość.

- Jak długo byłeś na tej farmie?

- Dwa lata.

- A wcześniej gdzie mieszkałeś?

Znowu pochylił głowę, ale nieznacznie wysunął chudą brodę. - W przytułku.

- Długo tam byłeś?

- Od czterech lat... to znaczy, odkąd skończyłem cztery lata.

Znowu uderzył ich dziwny sposób mówienia.

- Jak tam trafiłeś?

- Powiedziano mi, że moi rodzice wyruszyli w podróż. Matka zachorowała i umarła. Ojciec też.

- Na jaką chorobę?

- Na piersi. Ale nie wiem, jak umarł ojciec. Joe mówił, że wie, ale nie chciał mi powiedzieć.

- Kim jest Joe?

- Chłopcem z przytułku, ale jego wysłano na farmę wcześniej niż mnie. Był starszy.

- Nadal tam jest?

- Nie, uciekał dwa razy. Za drugim razem już nie wrócił.

- To twoja pierwsza ucieczka?

Głowa chłopca opadła ponownie, ale odpowiedział cichutko: - Trzecia.

- Wiązano cię i dostawałeś chłostę, gdy wracałeś?

- Tak.

- Dlaczego więc nie poszedłeś do przytułku i nie powiedziałeś im, jak cię traktują?

Tym razem obaj, chłopiec i Billy, spojrzeli na Warda, ale to Billy'emu Ward odpowiedział ostrym tonem:

- Wiesz, że obowiązują pewne przepisy. Inspektorzy kontrolują farmy, a przynajmniej powinni to robić. Arthur Meyer ma chłopaka z przytułku. Chyba

nawet dwóch, a Masonowie jednego. I o ile wiem, muszą zdawać z tego oficjalne raporty.

- Tak, w porządku - Billy kiwał głową - ale są przytułki i przytułki. Niektórzy ludzie gardło by ci poderżnęli za takie traktowanie dzieci. A swoją drogą, panie, gdzie my go położymy spać?

Po chwili namysłu Ward odpowiedział: - Przygotuj mu spanie w kotłowni, tam jest miło i ciepło, a jutro pomyślimy o wyszykowaniu mu pokoju nad stajniami.

- Odwrócił się do chłopca z uśmiechem. - Pasuje ci to? Chłopiec nie odpowiedział od razu, ale kiedy się odezwał, jego głos przeszedł w niewyraźne mamrotanie: - Ale sir, nie mówi pan tego ot, tak sobie, a jutro zmieni pan zdanie?

- Nie, synu, nie mówię ot, tak sobie. Przekonasz się, że nie rzucam słów na wiatr. Teraz idź z Billym, on ci pościeli, a jutro porozmawiamy. Ale myślę, że przez jakiś czas nie powinieneś się za dużo kręcić po okolicy. To dla twojego bezpieczeństwa, bo jak prawo stanowi, możesz być odesłany z powrotem. Rozumiesz?

- Och, tak. Tak, rozumiem, panie. I... dziękuję. Podniósł się. Miał najwyżej metr dwadzieścia wzrostu i rzeczywiście wyglądał na dziecko ośmio-, dziewięcioletnie - nie był pewny swojego wieku - ale w jego spojrzeniu widać było dojrzałość, która uderzyła obydwu mężczyzn.

- No, chodź już, młody człowieku - odezwał się Billy energicznie. - Jeśli masz mi pomagać, to musisz być wyspany. Koniecznie. - Otulił chłopca kocem i popchnął w kierunku drzwi. Sam zatrzymał się i odwracając się do Warda zapytał: - A tak przy okazji, panie, czy zaglądałeś do Betty?

- Nie, zaraz to zrobię. Ale - uśmiechnął się - pewnie sama zdjęła sobie uprzęż i napchała się owsem. Jestem pewny, że jest do tego zdolna. Idź do łóżka, wkrótce będzie ranek.

- Na pewno, panie. Na pewno. To jedna z tych rzeczy, których możemy być pewni. Czy my będziemy, czy nas już nie będzie, ranek na pewno nadejdzie.

Ward nie od razu poszedł za nimi, żeby zajrzeć do konia, lecz usiadł ciężko na jednym z kuchennych krzeseł z wysokimi oparciami, oparł łokcie na stole, ale nie schował twarzy w dłoniach. Pomyślał o Fanny, a musiał przyznać, że przez to całe zamieszanie zapomniał o niej. Ale nadal go dręczyła i musiał coś z tym zrobić.

Ale co? Jutro będzie niedziela. Nie może nic zrobić do poniedziałku wieczorem, gdy znowu usiądzie i będzie się w nią wpatrywał. Ale ile kolejnych wieczorów ma tak siedzieć i nic nie mówić? Ona wie, że on tam jest. Na pewno.

Dzisiaj wieczorem spojrzęła i uśmiechnęła się do niego, nie do innych, nawet nie podniosła wzroku na galerię. Wcale sobie tego nie wyobraził. Nie, nie, na pewno nie. Jedno wie, nie jest mężatką. Portier mu to powiedział. Na samą myśl o tej rozmowie zacisnął zęby. Aż dziwne, że się nie uniósł słysząc: „A po co ci te wiadomości? Nawet, jeśli nie ma męża, to i tak nie zainteresuje się kmiotkiem ze wsi.” Kmiotek ze wsi! A on był w swoim najlepszym ubraniu ze świetnego, domowym sposobem tkanego materiału. Faktycznie, miał je już od pięciu lat, a kołnierzyk był niewątpliwie za wysoki. Ale oczywiście to nie mogło świadczyć o jego prowincjonalizmie. Miał człowiek szczęście, że gwałtowniej nie wyraził swoich uczuć.

Podnosił się już z krzesła, ale zatrzymał się na chwilę. A co z jutrem? Obiecał pastorowi Traceyowi, że dołączy do chóru... przynajmniej taką wiadomość przekazał przez Franka Noble'a, wikarego, kiedy tamten wstąpił dwa dni temu, wykrzykując, że Kamratom brakuje takiego głosu, i że chór bez niego to nie to samo: mają wszystkie tenory i drżenia, a nie słyszać basu. „Tęsknimy za tobą, Wardzie - dodał. - Wszyscy tęsknimy... wszyscy.” Mówiąc po raz drugi „wszyscy”, miał na myśli jedną konkretną osobę.

No, dobrze, ale czego się obawiał? Daisy doskonale rozumiała, jak się sprawy teraz mają. Była jego kompanem od czasów szkolnych, i to lepszym niż którykolwiek z jej braci, Sep czy Pete. Nie była nikim więcej, tylko kompanem.

Zerwał się z krzesła i szybkim krokiem poszedł do drzwi, jakby jakiś głos wewnętrzny sprawdzał jego kroki. Przestań się oszukiwać, człowieku - mówił. - Musisz się z tym zmierzyć. Wiesz, na czym jej zawsze zależało. Pamiętaj, co ci powiedział ojciec przed samą śmiercią: „Będzie dobrą żoną i stworzy ci rodzinę. Tak, wspaniałą. Ale tylko ty wiesz, co jeszcze może ci ofiarować. Pamiętaj tylko, chłopcze: małżeństwo to trochę więcej niż łóżko, z którego przeważnie musisz się zrywać o piątej rano. A dni są długie, szczególnie w zimie.”

Jego ojciec był mądrym, spokojnym, myślącym człowiekiem, który dla siebie wybrał jak najlepiej. Dlatego nie mógł żyć samotnie, jego partnerka dała mu więcej niż wymagały tego małżeńskie obowiązki.

No, cóż, jutro pójdzie śpiewać w chórze, a resztę zostawi Bogu i zdrowemu rozsądkowi.

Rozdział drugi

Część kościoła Świętego Stefana pochodziła z początków szesnastego wieku, bynajmniej nie prezbiterium ani sanktuarium, ale nawa, w której mieściła się chrzcielnica.

Tam właśnie umieszczono osiem rzędów ławek, a pozostałe dziesięć postawiono w nowszych murach zbudowanych na początku tego stulecia.

I, co budziło powszechne zdumienie, galerię, na której zainstalowano organy i gdzie śpiewał chór, usytuowano nad chrzcielnicą.

Od frontu rozciągała się olbrzymia kuta tęczą* przesłaniająca wiernym widok na prezbiterium i sanktuarium. Jedyne nieliczni uprzywilejowani mieli bezpośredni wgląd przez centralny prześwit wymuszony względami architektonicznymi.

* tęczą - łuk przesklepiający otwór w tzw. tęczowej ścianie kościoła, łączącej nawę główną z prezbiterium - przyp. tłum.

Jednakże ambonę, ustawioną po prawej stronie tęczy, widzieli wszyscy zgromadzeni w kościele.

Tęczą została ufundowana przez jednego z członków rodziny Ramsmore'ów, który w ten sposób chciał uczcić pamięć swego ojca generała, poległego na polu chwały.

Mieszkańcy wioski z początku zareagowali milczącym protestem, milczącym, ponieważ w większości przypadków ich chleb codzienny zależał albo bezpośrednio od rodziny Ramsmore'ów, albo od ich patronatu. W tamtych latach należała do nich większość wsi i ziemi ją otaczającej.

Teraz wszystko zmieniło się w Hall. Niegdyś zatrudniano w domu i majątku sześćdziesiąt osób służby, a obecnie pracujące tam osoby można było policzyć na palcach obydwu rąk. Sprzedano większość ziemi wchodzącej w skład posiadłości i trzy należące do niej farmy.

Niemniej jednak jej właściciele nadal traktowano jak wielmożnych państwa, gdyż pułkownik był lordem, a lady Lydia, która dwa lata temu urodziła mu syna, swój tytuł wyniosła z domu. Co więcej, dzięki przymiotom charakteru i wrodzonej otwartości cieszyła się ogólnym szacunkiem, wcale o to nie zabiegając. Szeptano niekiedy, że tęczą momentalnie zniknęłaby z kościoła, gdyby ona powiedziała coś na ten temat, chociaż to z kolei mogłoby sprowokować wieśniaków do otwartego wyrażenia zastrzeżeń w tej sprawie i narażenie śmiałków na gniew pastora Traceya. A pastor Tracey był we wsi postacią wpływową. Żartowano nawet, że on sam sądził, iż stworzył wieś, kościół i Boga.

Ze swojego miejsca na galerii Ward wpatrywał się w stojącego na ambonie pastora i po raz setny zadawał sobie pytanie, jak długo jeszcze będzie musiał wysłuchiwać marudzenia na temat Hioba i jego niepowodzeń. Biednemu Hiobowi dostało się od wszystkich, z wyjątkiem końskiej muchy, a teraz Bóg wynagradzał go stadami tysięcy owiec, osłów i wielbłądów. O mój Boże! Wszystko to już słyszał. Ile razy w ciągu tylu lat? Już jako mały chłopiec wyobrażał sobie, że osły ścigały owce, a z kolei ich śladem podążały wielbłądy. Postanowił wtedy znaleźć rysunek przedstawiający wielbłądy. Były olbrzymie i szybko doszedł do wniosku, że stado wielbłądów szybko pokonałoby owce i osły.

Pastor Tracey był człowiekiem zupełnie pozbawionym wyobraźni. Przygotował kiedyś sześć kazań i teraz od czasu do czasu wprowadzał do nich jedynie drobne zmiany. Nawet w dzieciństwie Ward zakładał się z siedzącym obok Fredem Newberry, że przynajmniej dwukrotnie usłyszą to samo kazanie. Wymuszał zawsze na Fredzie te zakłady strasząc go, że powie jego ojcu, jak to Fred ukradł mu z piekarni dwa placki z mięsem i cebulą. Ward do dzisiaj przechowywał tę wiadomość w zakamarkach pamięci.

Fred łagodnie stuknął go pod żebra i półgębkiem wyszeptał: - Założysz się o pół szylinga, że stary Smythe poda ramię pannie Alice, gdy będą wstawali z ławki?

Ward ledwo słyszalnym „hm” wyraził swoje głębokie przekonanie o postępującej głupocie Freda. Oczywiście, istniała szansa, że kościelny, stara świnia o brudnych myślach, faktycznie zaoferuje ramię pannie Alice, jakby była wiekową staruszką, a nie hożą osiemnastoletnią dziewczyną. Może dlatego strzelał oczami za takimi młodymi, bo nie miał własnych dzieci.

Ach! W końcu msza dobiegła końca. Najpierw za-szurały stopy czterech mężczyzn z chóru, a trzech chłopcy siedzący naprzeciwko nich podnieśli się równocześnie z tymi, którzy siedzieli w prostych drewnianych ławkach. Na końcu zaczęli wstawać uprawnieni do korzystania z trzech rzędów wyściełanych miejsc, a dochodzący stamtąd szelest kreacji podkreślał różnice stanowe.

Niekiedy aż sześć szacownych rodzin uczestniczyło w głównym nabożeństwie, ale tego ranka w ławkach zasiadły tylko trzy: Ramsmore'owie, Hopkinsowie z Border Manor i Bentfordowie, którzy mieszkali w starym Wearside Grange. Zdaniem Warda, Bentfordowie byli miłą rodziną, chociaż mieszkańcy wsi odnosili się do nich nieco podejrzliwie, ponieważ ich córka poślubiwszy jednego z Franklinów, właścicieli Mili, weszła do rodziny metodystów.

Ward odetchnął głęboko i spojrział w kierunku organów. Dwaj młodzi chłopcy próbowali je uruchomić, z całych sił naciskając drewnianą rączkę. Potem ponownie przebiegł wzrokiem wzdłuż rzędu, w którym szewc Ben Oldman, uhonorowany tytułem dyrygenta chóru, ręką uniesioną na wysokość ramienia zdawał się poklepywać powietrze.

Z oddali dochodziły go głosy: Freda śpiewającego pełną piersią i Jimmy'ego Conroya, syna rzeźnika, przesadnie wymawiającego słowa, gdy myślni szybkował - Ward był tego pewien - nie do problemów swej duszy, ale do Susan Beaker, siedzącej na końcu szóstego rzędu i podrygującej w takt rozlegającej się melodii. Zajmujący ostatnie miejsce w rzędzie kowal Charlie Dempsey jak zwykle śpiewał o ton za wysoko i nieco wyprzedzał pozostałych. Ale Charlie i jego dwaj synowie, John i Harry, byli miłymi kompanami, chociaż, podobnie jak i Ward, przez pewien czas unikali kościoła.

Umocnij słabych, smutnym daj wesele,

Niech będziem zdrowi w duszy i na ciele. - Cudowny Boże...

A teraz dlaczego wpatrywał się w Daisy? Ponieważ był pewny jednego. Nie marzył o tym, żeby się do niej przytulić. Czy w ogóle kiedykolwiek miał takie pragnienia? Nie, nie, zdecydowanie nie. Nie o to mu chodziło.

Niech w naszych domach mieszka święta Zgoda, Niech nas omija każda zła przygoda. - Cudowny Boże...*

* ks.J.Siedlecki - Śpiewnik kościelny - Pieśni przygodne, X19., 2,3. - przyp. tłum.

Hymn zakończono wyciągniętym do granic możliwości „Amen”. Wierni z wyuczoną cierpliwością usiedli z powrotem, czekając na odejście wielebnego Bertrama Traceya, który w towarzystwie dwóch ministrantów powoli oddalał się od ołtarza. Po dwóch schodkach zeszli na dół i przeszedłszy pod łukiem tęczy zniknęli w zakrystii.

Ani Ward, ani Fred nie spieszili się z zejściem z galerii, a Fred, korzystając z okazji, zaproponował: - Nie wpadłbyś do mnie na chwilę? - i pochylając się w kierunku Warda dodał: - Mam domowe piwo. Równie dobre jak to, które dostałbyś w Gospodzie pod Pędzącym Zającem lub w Koronowanej Głowie. Mogę ci to zagwarantować, ponieważ dzisiejszego ranka sam golnałem sobie kwartę. - Splunął, dodając: - Ech, zabierajmy się stąd.

Na dole krętych schodów szturchnął Warda mówiąc: - Założę się, że Daisy będzie czekała przy bramie... Co jej powiesz?

Ward nie odezwał się słowem. Z doświadczenia wiedział, że Fred nie oczekuje odpowiedzi.

Na zewnątrz zorientowali się, że należą do grupy maruderów, gdyż pastor maszerujący przez cmentarz zmierzał już na wyjątkowo obfity niedzielny obiad i drzemkę, która mogła przeciągnąć się do czwartej po południu lub przynajmniej do powrotu żony ze szkółki niedzielnej.

Wszystko we wsi toczyło się według ustalonego schematu, a spotkania przed bramą cmentarną należały do tradycji. Rodzina Masonów - John, jego żona Gladys i ich dwóch chłopaków - właśnie usadowiła się w dwukółce.

Pasażerowie powozu odjeżdżając machali do niego i pokrzykiwali radośnie, a Fred pożegnał ich jowialnie i zwrócił się do Warda: - Więc nie wybierasz się do mnie? No, dobrze, jeśli nie spotkam cię na dożynkach, to na pewno zobaczę cię na Boże Narodzenie. - I dodał, jakby dopiero teraz ją zauważył: - Witaj, Daisy. Za każdym razem jesteś coraz pełniejsza i coraz słodsza.

- Jesteś głupcem, Fredzie Newberry. Zawsze byłeś i takim pozostaniesz.

- Bardzo prawdopodobne, że masz rację, Daisy. Bardzo prawdopodobne. Ta-ra-ra, Ward. Wszystkiego najlepszego.

- On zachowuje się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy był w szkole. - Patrzyła teraz na Warda, który potwierdził jej spostrzeżenia.

- Tak, myślę, że masz rację, ale jest zupełnie nieszkodliwy. I nie zauważyłem, żeby kiedykolwiek wyskoczył z czymś, co mogłoby kogoś zranić.

- Hm! Czyżbyś nagle miał jakieś zasady?

Nie odpowiedział, ale gdy ona nie przerywała spaceru w kierunku głównej ulicy we wsi, przystanął i powiedział: - Muszę już wracać. Mam dużo pracy.

Stali przy końcu muru cmentarnego, w cieniu buku, gdy w końcu odezwała się do niego: - Co się z tobą dzieje?

- Ze mną? Nic.

- Od ponad miesiąca nie pojawiałeś się w kościele.

- Och, Daisy, jeśli już prowadzisz taki rejestr, to powinnaś wiedzieć, że wcześniej miałem roczną przerwę. Czasami zaczynam od nowa.

- Krótko mówiąc - wtrąciła szybko - jeszcze raz pytam, co się z tobą dzieje?

- Nic się ze mną nie dzieje - odburknął. - O co ci w ogóle chodzi?

- Nie strugaj wariata, Wardzie Gibson, nie jesteś Fredem Newberry. W ciągu ostatnich dwóch tygodni widzieliśmy się tylko raz.

- Jeśli już tak dokładnie wyliczasz nasze spotkania, to przypomnij sobie, że bywały miesiące, w których widziałas mnie tylko raz. I bądź uprzejma pamiętać, że jestem właścicielem farmy, którą trzeba doglądać, a mam tylko jednego człowieka do pomocy. Twojemu ojcu pomagają dwaj parobkowie, ty i twoja matka, nie licząc wynajmowanych sezonowo chłopaków.

Gdy tylko wspomniał o chłopcach do pomocy, przypomniały mu się wydarzenia przy śniadaniu związane z ich młodym gościem, ale szybko musiał odłożyć ich analizę na później, gdyż to, co właśnie powiedziała, było znacznie ważniejsze. - W tym tygodniu byłeś cztery razy w Newcastle.

- Oho! - Powoli kiwnął głową i powtórzył: - Oho! Czyżbym był śledzony? I pewnie wszystkich ciekawi, co ja tam robiłem?

- Wiem, jak spędziłeś jeden z tych wieczorów. Poszedłeś do Empire.

- Tak. Tak, Daisy. Poszedłem do Empire. Ale co robiłem w pozostałe dni? Nie udało ci się tego odkryć?

Nie odezwała się, więc mówił dalej: - Och, zdziwiłoby cię to. Miałabyś o czym rozmawiać ze swoimi szpiegami.

Wydymając pełne wargi, odezwała się do niego łagodnie: - Bawisz się ze mną w kotka i myszkę, Wardzie, a przecież jesteśmy prawie zaręczeni.

Wpatrywał się w nią zdumiony. - Co? Zaręczeni? O czym ty mówisz? Nigdy ci nie wspominałem o małżeństwie.

- No, byłeś dostatecznie przebiegły - tym razem jej głos był o kilka tonów ostrzejszy - nie wspominałeś o tym, ale tak się zachowywałeś. Wodziłeś mnie na pasku i zabawiałeś się mną.

- Mój Boże! Daisy. Ja się tobą zabawiałem? Tańczyłem z tobą na tańcach w stodole, zabierałem cię do Hoppinsów i, jeśli dobrze pamiętam, pocałowałem cię raz czy dwa. Ale na litość boską! To nie oznacza, że prosiłem cię o rękę. - Mówiąc to, pragnął być podobny do Freda, którego słowa nigdy nikogo nie zraniły. Ale nie mógł się powstrzymać i musiał to powiedzieć, przynajmniej z jednego powodu. - Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym cię poślubić, Daisy - wydusił. - Znałem cię od czasów, gdy oboje nosiliśmy pieluchy, w szkole siedziałem z tobą w jednej ławce, razem biegaliśmy po polach, razem wspinaliśmy się po drzewach. Byłaś jednym z moich kompanów.

Żałował, że to z siebie wyrzucił, bo nie mógł znieść wyrazu jej twarzy. Dodał więc łagodniejszym tonem: - Och, Daisy, tak mi przykro. Naprawdę. Byliśmy towarzyszami dziecięcych zabaw... to znaczy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi! Przyjaciółmi! Już dwa razy mogłam wyjść za mąż, ale nie zrobiłam tego z twojego powodu. Słyszysz, co do ciebie mówię? Arthur Steel z Chesterle-Street chciał się ze mną żenić. Ma farmę, ogromną, twoja mogłaby mu służyć za chlewy. On... już dwa razy prosił mnie o rękę.

- No, więc, Daisy, może oświadczy ci się po raz kolejny - tym raz mówił cichym, łagodnym głosem.

Patrzył na jej wykrzywione usta, gdy przez zaciśnięte zęby wysyczała: - On jest już żonaty! Ty... ty świnio! On jest żonaty. - Płakała już zupełnie otwarcie.

Ale przełknęła ślinę i zdawała się uspokajać, a potem znowu poprosiła: - Nie rób mi tego, Wardzie. Przyjaciele spodziewają się naszego ślubu. Mój ojciec i matka, wszyscy na to liczą. Tak myśleli przez wszystkie te lata, kiedy się spotykaliśmy.

Pokręcił głową. - Daisy, nigdy się nie spotykaliśmy, a przynajmniej nie w takim sensie. Posłuchaj mnie. - Położył jej dłoń na ramieniu i poprowadził wzdłuż cmentarnego muru do wąskiego zaułka. Pochylił się nad nią i zapytał ochryłym głosem: - Czy kiedykolwiek próbowałem cię dotknąć? Wiesz... wiesz, o co mi chodzi. Odpowiedz mi uczciwie, próbowałem?

- To nic nie zmienia.

- Ależ tak. Jestem mężczyzną. A ty wiesz wszystko o kojarzeniu się w pary, znasz życie na farmie. Jeśli myślałbym o małżeństwie, pewnie bym czegoś próbował. Masz więc dowód. Ale w porządku, chodziłem... gdzie indziej, ponieważ nie chciałem cię obrazić, nie chciałem zepsuć tego czegoś wyjątkowego, co było pomiędzy nami, tej wyjątkowej przyjaźni. Bawiły nas te same rzeczy, razem dowcipkowaliśmy, wspólnie stroiliśmy żarty... a przynajmniej tak było do zeszłego roku.

Zdawać by się mogło, że nie dotarły do niej ostatnie słowa, ponieważ wymamrotała: - Chodziłeś gdzie indziej. - I nie było to pytanie, tylko stwierdzenie.

Zawstydzony nie patrzył jej w oczy. - Tak, tak, musiałem. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Ona była mężatką. Nie była dziwką... ani nikim takim, była... no...

Jak mógł znaleźć odpowiednie słowa, żeby wyjaśnić jej, że przypadkowe spotkania w gospodzie przy drodze do Durham z kobietą, która nawet mogłaby być jego matką, nie prowadziły do niczego? Musiała już być po czterdziestce. Ale była miła, uprzejma i wyrozumiała. Właśnie zmarła jego matka i czuł się tak, jakby za jednym zamachem zdobył kochankę i drugą matkę. Znał ją bardzo krótko, a potem szybko stwierdziła, że muszą przestać się spotykać, bo jej mąż wraca z morza. Na pożegnanie powiedziała coś, co na zawsze zapadło mu w pamięć: „To były najpiękniejsze chwile w moim życiu”, po czym dodała: „Będę je pamiętać do śmierci. Ale nadeszła pora rozstania, bo nawet najpiękniejsze kwiaty więdną”.

Nie znał nikogo, kto by tak wyrażał swoje myśli, i tęsknił za nią. Jeszcze do zeszłego tygodnia zastanawiał się nawet, czy ją kochał. I dochodził do wniosku, że w jakiś szczególny sposób tak, ale było to wyjątkowe uczucie, którego z pewnością już nie doświadczy. Czuł się, jakby dopiero urodził się jako mężczyzna, a nie można urodzić się dwa razy, przynajmniej w ten sposób.

- Co?

- Dobrze słyszałeś. Ona jest z Newcastle, prawda? Nie odezwał się, ponieważ nie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Chwilę później cofnął się ze zdumienia i bólu, czując jej paznokcie wbijające mu się w policzki.

Instynktownie złapał ją za ramię i odepchnął w stronę muru. Ale nie osunęła się na ziemię, tylko stała z falującą piersią i wykrzywioną twarzą, opierając się o grubo ciosane kamienie.

Dotknąwszy dłonią twarzy, poczuł wilgoć. Odsunął się od niej i zwolnił uścisk. Oderwała się od muru i stała, patrząc na niego w milczeniu.

Zamarła w bezruchu, jej usta zdawały się zaciśnięte nawet wtedy, gdy powiedziała: - Zapłacisz mi za to, Wardzie Gibson. Przysięgam przed Bogiem, że mi zapłacisz, ty i twoi bliscy. Słyszysz mnie?

Nie odezwał się ani słowem. Obserwował jedynie, jak powoli podniosła rękę, aby poprawić kapelusz, opuściła je, żeby wygładzić bluzkę, po czym wolnym krokiem odeszła wzdłuż cmentarnego muru.

Dopiero wtedy ruszył, ale nie dalej niż do muru, właściwie dokładnie do miejsca, w którym jeszcze przed chwilą stała. Oparł głowę o kamienną ścianę i wyjąwszy z kieszeni chusteczkę, delikatnie przetarł lewy policzek. Materiał zabarwił się na czerwono. Dotknął drugiego policzka. Był obolały, ale nie krwawił. Zamknął oczy i osunął się na ziemię.

Nie wiedział, jak długo trwał tak oparty o mur. Wiedział jedynie, pamiętając wyraz jej twarzy, że po raz pierwszy w życiu przestraszył się. Wątpił, aby kiedykolwiek mógł zapomnieć jej twarz. Tak zawsze wyobrażał sobie wariatkę.

Pozbierawszy się nie skierował się ku ulicy, ale poszedł wąską ścieżką biegnącą wzdłuż zachodniej strony cmentarza, prowadzącą na pastwiska, a następnie do Morgan's Wood. W ten sposób droga do domu zajmie mu dwa razy więcej czasu niż zazwyczaj, ale potrzebował paru chwil, aby dojść do siebie i pozbierać myśli.

Ciągle nie mógł się uwolnić od obrazu jej twarzy i wspomnienia jej groźby, dziwiąc się jednocześnie, jak Daisy, z którą baraszkował jako dziecko, a później drażnił się, śmiał i tańczył, czy od czasu do czasu pocałował, mogła nosić w sobie takie zło, o jakim czyta się w Biblii nie zastanawiając się nad tym głębiej lub traktując to jak bajkę. Ale Daisy nie była postacią z bajki. Nie! Nie!

* * *

- W imię Ojca i Syna! - powiedziała Annie. - Gdzieś ty był? I co jest z twoją twarzą? Myślałam, że poszedłeś do kościoła.

- Daj mi się czegoś napić, Annie.

- No, no. - Pokiwała głową. - Chcesz piwa, czy kropelkę czegoś mocniejszego?

- Coś mocniejszego.

Chwilę później wróciła z kuchni, niosąc w ręku wypełnioną prawie do połowy szklaneczkę whisky. Poczekawszy aż duszkiem wypije alkohol, zabrała mu szklanekę i delikatnie dotknęła przyschniętych już zadrapań. - Jakież zwierzę? - zapytała łagodnie.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, zastanawiając się nad czymś. - No, można to tak nazwać - odparł.

Cofnęła się o krok. Jej ściągnięta twarz była jednym wielkim znakiem zapytania, gdy wymamrotała: - To chyba nie Daisy Mason?

- We własnej osobie, Annie.

Kiwając głową, odetchnęła powoli. - Nie powinnam być zdziwiona - odezwała się. - Nie, nie powinnam, ponieważ zawsze myślałam o niej jako o piersiastej dziwce. Ale chyba wiesz, że sam się o to prosiłeś.

- Nigdy się o to nie prosiłem, Annie.

- Ależ tak. Przynajmniej pół tuzina innych dziewczyn mogłeś wziąć na przejażdżkę, a kogo zabierałeś? Daisy Mason. To jej dawało do myślenia. Ale przyznaj się, jakim cudem doszła do innego wniosku?

- Powiedziałem jej, że nie zamierzam się żenić.

- Co ci nagle przyszło do głowy?

- Och, sugerowała... Nie, nawet nie sugerowała, powiedziała prosto z mostu, że w zasadzie jesteśmy zaręczeni.

- A ty powiedziałeś, że się myli, a wtedy ona dobrała się do ciebie?

- Nie tylko o to chodziło. Musiałem powiedzieć jej wszystko otwarcie. Przykro mi, ale naprawdę nie było innego wyjścia.

Annie odwróciła się od niego i podeszła do pieca mówiąc: - Czy do zeszłego tygodnia też tak myślałeś?

Wpatrywał się w jej postać pochyloną nad piecykiem, gdy wyjmowała olbrzymią kapiącą brytfankę ze skwierczącą pieczenia i postawiła ją na brzegu stołu, po czym odezwał się: - Tak, Annie, myślałem dokładnie tak samo. Ale o co ci chodzi z tym... zeszłym tygodniem?

- Och, chłopcze, rozmawiasz ze starą kobietą. - Uśmiechnęła się i dodała - No, jeśli nie całkiem starą, to przynajmniej starzejącą się, a ja, odkąd jestem w tym domu, od czasów, gdy jeszcze raczkowałeś, nie pamiętam, abyś jednego tygodnia cztery razy wyjeżdżał do Newcastle. I nie wyobrażam sobie, że jeździłeś na targ lub do swojego prawnika, czy coś w tym rodzaju. A idąc śladem programu, który znalazłam na twojej komodzie, sądzę, że znam odpowiedź. - Odsunęła teraz od siebie gorącą brytfankę, a ściereczkę, przez którą ją trzymała, przewiesiła przez poręcz krzesła i usiadła. Kolanami prawie dotykała jego nóg,

gdy pochyliła się pytając go: - Czy to właśnie ta młoda panna z okładki programu wpadła ci w oko?

Wpatrywał się w nią, czując, że na twarz i szyję wypełza mu rumieniec zażenowania. - To nie jest zwyczajne zauroczenie, Annie - powiedział. - Nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Wiesz, ciągnie mnie tam jakaś magnetyczna siła.

- No, cóż, chłopcze, sam wiesz, co jest dla ciebie najlepsze, ale mówi się, i może jest w tym ziarnko prawdy, że takie aktoreczki są przeważnie osobami lekkiego prowadzenia.

- Tak, Annie, słyszałem o tym.

- Ale sądzisz, że ona jest zupełnie inna. Mówiła coś o sobie? Czy pochodzi z dobrej rodziny? Czy...

- Nie mam pojęcia, Annie. Nie rozmawiałem z nią.

- Och, chłopcze! - Odchrząknęła. - Gdybyś mi powiedział, że skoczyłeś z któregoś mostu w Newcastle, bo wydawało ci się, że umiesz latać, powiedziałabym, no, dobrze, takie rzeczy zdarzają się tym stukniętym osobnikom, co to nie mają godziwego wychowania i zapomnieli, że głowę mają od myślenia, ale nie tobie, nigdy komuś takiemu jak ty. Ach, paniczu Wardzie - wyciągnęła rękę i poklepała go po ramieniu - to tylko zły sen. Każdemu śni się czasami coś takiego. Kobietom i wszystkim. Ja sama nigdy nie myślałam, że poślubię kogoś takiego jak Bill. Człowiek, któremu miałam oddać rękę, nie mógł zajmować się pracą na farmie. Zdecydowanie nie. Byłam ponad to. Widziałam, jak mogą żyć prawdziwi państwo. I w pewnym sensie, czegoś się od nich nauczyłam, więc chciałam kogoś lepszego, kogoś, kto by do pracy nosił koszulę i krawat i nie śmierdział krowami i świniami. - Jej ciałem wstrząsały dreszcze, kiedy mówiła dalej: - A potem, jakby coś mnie trafiło. Do dzisiaj nie wiem, co to było. Wiem tylko, że bez niego życie nie miałoby sensu, a przecież on bywa gderliwym, porywczym draniem.

- Och, Annie. - Zamknął oczy i wyciągnął do niej rękę mówiąc: - Nie rozśmieszaj mnie. Proszę, nie rozśmieszaj mnie. Boli mnie twarz, a teraz również boli mnie serce. Kogoś głęboko zraniłem, i co więcej, przeraziły mnie zmiany, jakie zaszły w jej charakterze.

Przyjrzała mu się bacznie i poważnie stwierdziła: - Musi być trochę szalona, że ci to zrobiła.

- Znacznie więcej niż trochę. Nigdy bym nie uwierzył, że może zrobić coś takiego. Muszę iść i przemyć rany.

Widząc, jak dotyka rękami twarzy, powiedziała: - Zostań tutaj. Przyniosę trochę nalewki z leszczyny i wody różanej, a potem posmaruję ci to maścią. Ale myślę, że przez jakiś czas będziesz miał ślady. Na drugim policzku znikną

szybciej... Nieźle cię urządziła. - Podnosząc się dodała: - To był przedziwny ranek. Najpierw zdziwiłam się oglądając plecy tego chłopaczka, a potem poszło o sól. To dopiero było zabawne.

Kiwnął głową. - Tak, tak, to było naprawdę zabawne.

- Mówię ci, że było! Widział to kto, żeby bać się dotknąć soli? Pamiętasz, jak podsunęłam mu solniczkę i powiedziałam: „Posól sobie jajko”, a on odepchnął ją gwałtownie i wbił się w krzesło, jakby solniczka chciała go ugryźć. Przedziwne, nie sądzisz?

- Masz rację, Annie. Zastanawiające.

Kiedy ponownie wybiegła z pokoju, przypomniał sobie incydent z solą i wyraz twarzy chłopca. Malowało się na niej przerażenie, takie samo jak poprzedniego wieczoru, gdy zobaczył go po raz pierwszy. Zachował się tak, jakby sól była jadowitym wężem.

Myśl o przerażeniu chłopca przywołała obraz jego własnego niedawnego strachu, który po raz pierwszy w życiu go obezwładnił. Było to dla niego nowe doznanie, prawie tak samo silne jak uczucie do tej pięknej istoty, która przemykała z jednego końca sceny na drugi, zwiewna jak nimfa. Na końcu, wznosząc wysoko nad głowę ramiona otulone przezroczystym jedwabiem, unoszona przez partnera, zamieniała się w ptaka. Jej skrzydła falowały jak woda, odfruwiała ze sceny przy entuzjastycznym aplauzie publiczności. Wrażenie, że go opuszcza, było nad wyraz bolesne, ponieważ zdawało mu się, że była bardziej anielska niż jakikolwiek inny anioł, którego obraz stworzył w swojej wyobraźni.

A potem Daisy okazała mu równie trudną do wyobrażenia nienawiść. Nagle poczuł się osaczony siłą tych dwóch namiętności.

Rozdział trzeci

Na dworze mżyło. - Taka pogoda utrzyma się przez całą noc - zauważyła Annie. - Przemokniesz do suchej nitki. - Naprawdę musisz się w to angażować? - dodała unosząc brwi, co czyniło jej twarz jeszcze bardziej pociągłą.

- Tak, Annie, muszę. Jeżeli jednak chcesz usłyszeć prawdę, mogę ci to powiedzieć krótko i z miłym uśmiechem na twarzy. Ale jeśli spojrzysz na mnie uważnie, sama będziesz wiedziała, że lepiej trzymać język za zębami i nie zadawać mi tylu pytań.

- Takich jak to?

- O to mi właśnie chodzi, Annie. O to mi chodzi.

- No, dobrze. Mogę tylko mieć nadzieję, że jest tego warta. - Stała przy drewnianym zlewie, wyglądając przez kuchenne okno. - Jeśli nie wyjedziesz w tej chwili, będziesz miał gościa! - wykrzyknęła.

- Kogo? - Szybkim krokiem przeszedł przez kuchnię i stanął obok niej. Widząc Johna Masona, przygryzł dolną wargę, ale odwrócił się i powiedział spokojnie:

- Zaprowadź go do bawialni, Annie.

- Do bawialni? - Twarz jej się znowu wydłużyła.

- Dobrze, mogę to zrobić, ale on i tak zawsze idzie prosto do kuchni. Oni wszyscy tak robią. Ale jeśli tak sobie życzysz...

Odeszła, zostawiając go znowu nerwowo przygryzającego wargi. - Och, dobry wieczór, panie Mason. Mogę zabrać pana płaszcz? Trochę pan przemókł.

- Czy zastałem Warda?

- Tak, tak. Jest w domu. Jeśli zechce pan przejść do bawialni, to zaraz go zawołam.

W ciszy, która nastąpiła, Ward mógł sobie wyobrazić wahanie mężczyzny potraktowanego jak nieznajomy.

Chwilę potem Annie wróciła do kuchni. Ward podniósł dłoń, dając jej znak, aby niczego nie komentowała, po czym w milczeniu przeszedł przez kamienny hol do bawialni.

John Mason stał tyłem do pustego kominka. - Witaj, Wardzie - powiedział. - Och... widzę, że gdzieś się wybierasz. Nie zajmę ci dużo czasu.

Kiedy Ward podszedł do niego, starszy mężczyzna przyjrzał się jego twarzy, odwrócił wzrok i łagodnie powiedział: - Przykro mi, że ci to zrobiła. Ale była wytracona z równowagi. Tak, była bardzo zdenerwowana... Co cię naszło, Wardzie?

Przez dłuższą chwilę Ward nie odpowiadał. Zresztą, cóż miał mówić temu poczciwemu człowiekowi, którego zawsze darzył sympatią i który zawsze żył uczciwie. Nie tak jak jego dwaj synowie, a przynajmniej jeden, Sep. Nigdy nie lubił Sepa, który był potwornym pleciugą. A Pete... Pete nie otwierał ust tak często, ale za to był przebiegły. Nie zmieniało to faktu, że ojciec i matka byli najmiłszymi ludźmi pod słońcem, ale czy mógł powiedzieć temu człowiekowi, że zawładnęła nim obsesja - tak, to słowo doskonale tu pasowało - na punkcie dziewczyny, z którą nigdy nie rozmawiał i wiedział o niej niewiele więcej ponad to, że cudownie tańczy i jest piękna i krucha?

- Nigdy nie obiecywałem Daisy małżeństwa, panie Mason - wykrztusił jedynie.

- Nie, chłopcze, to nie o to chodzi. Być może rzeczywiście nie wymówiłeś słowa „małżeństwo”, ale twoje intencje były dla wszystkich całkiem jasne. Prawdę mówiąc, ja i jej matka byliśmy pewni, że pewnego dnia staniecie przed ołtarzem, a ona będzie dla ciebie dobrą żoną. Doskonale zna się na prowadzeniu gospodarstwa, a poza tym jest doskonałą kucharką... Trochę gorzej radzi sobie z igłą. - Na twarz wypłynął mu nikły uśmiech. - Tego talentu nie odziedziczyła po swojej matce, ale nie można mieć wszystkiego. Ale i tak myślałem, że ma wszystko, czego ci trzeba, Wardzie. O, tak. Nadal tak sądzę.

- Przykro mi, panie Mason. Naprawdę. Z głębi serca przepraszam pana i pańską żonę, ponieważ zawsze byliście dla mnie bardzo mili. I nigdy nie zapomnę, jak pomogliście mi po śmierci moich rodziców. Ale proszę spojrzeć na to z mojego punktu widzenia, jeśli w ogóle jest to możliwe. Daisy znałem od urodzenia. Byliśmy przyjaciółmi. Ona była... wiem, że to głupio zabrzmie, ale ona była moim kompanem, lepszym niż Sep czy Pete.

- Więc dlaczego, Wardzie, ciągle się z nią spotykałeś, a nie umawiałeś się z innymi dziewczynami z sąsiedztwa? Nie...nie. - Pan Mason powoli pokręcił głową. - Bądź uczciwy, Wardzie. Wydawało się, że Daisy jest wymarzoną dziewczyną dla ciebie. Zabierałeś ją na tańce do Hoppinsów, w każdą niedzielę wstępowałeś do nas na herbatę. Przyznaję, że to dość dawne czasy, jeszcze zanim odeszli wasi pracownicy, ale i tak nasz dom był twoim drugim domem.

- O to właśnie chodzi, panie Mason - wtrącił Ward szybko. - To rzeczywiście był mój drugi dom, byliśmy wszyscy tak zżyci, znaliśmy się na wylot. Nie było w tym... tego, tego dreszczyku emocji. Och - prawie odwrócił się od niego mówiąc: - Przykro mi z tego powodu. Ciągle to powtarzam, ale naprawdę mi przykro.

- Powiedz mi uczciwie, Wardzie. Po prostu odpowiedz na proste pytanie: Czy znalazłeś sobie kogoś innego?

Ward stanął teraz twarzą do pana Masona i powiedział: - Można to tak ująć, panie Mason. Tak, można to tak ująć.

Pan Mason powoli przeszedł obok Warda i na odchodnym rzekł: - Ktoś mógłby powiedzieć, że w życiu takie rzeczy się zdarzają. Ale tak mógłby powiedzieć obcy. A to przydarzyło się mojej Daisy i zraniłeś ją do głębi. - Zatrzymał się, aby otworzyć drzwi. Odwracając się powiedział Wardowi na pożegnanie: - Nie życzę ci niczego złego, bo zawsze wyobrażałem sobie, że będziesz moim kolejnym synem, ale skłamałbym, gdybym ci życzył szczęścia z twoją nową wybranką. Bo w jakimś sensie zrujnowałeś życie mojej dziewczynce. Tak, tak, zrujnowałeś jej życie, Wardzie.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Ward skierował się do kominka i oparł czoło o wieńczącą go półkę. Bębniąc pięścią o drewno, wyszeptał: - Boże święty.

Po chwili wyprostował się i patrząc w wiszące nad kominkiem lustro w metalowej ramie wiedział, że pan Mason miał rację. Naprawdę zachowywał się tak, jakby zamierzał ożenić się z Daisy. Był kompletnie bezmyślny, przynajmniej do zeszłego roku, gdy zaczął domyślać się jej uczuć. W końcu pewnie i tak by się z nią ożenił, bo wzbierała w nim namiętność, a niemożliwe, żeby jeszcze raz spotkał taką usłużną i wyrozumiałą kobietę jak pani Oswald.

Teraz był w kropce, a wszystko dlatego, że w zeszłym tygodniu wstąpił do Empire.

Oszalał? Z pewnością. Widział to stworzenie tylko cztery razy. Dobry Boże! Dlaczego teraz myśli o niej w ten sposób? Ponieważ mogła być właśnie takim bez-rozumnym stworzeniem. Bliższa znajomość mogła udowodnić, że to tylko piękna lalka. Te światła jupiterów ogłupiały ludzi. Mogła być dziwką, większość z nich była, wiele sprzedawało się mężczyznom... starcom, dla pieniędzy i wielkich domów... lub żeby zdobyć tytuł.

Odwrócił się od lustra i skierował wzrok na sofę stojącą naprzeciwko kominka, przed którym leżał ręcznie tkany dywan. Pomyślał, że jedyne, co może zrobić, to poczekać na nią po przedstawieniu i przekonać się, jaka jest naprawdę.

Raz już, w sobotę wieczorem, wmieszał się w tłum wielbicieli czekających przed teatrem. Ale nie pojawiła się. Przy wyjściu dla aktorów ukazała się tylko gwiazda programu, która precyzyjnie się do czekającej na nią taksówki, oraz komik, kuglarz i sześć chórzystek. Ona się nie zjawiała, więc samotnie tkwiąc na chodniku doszedł do wniosku, że musi być jeszcze jakieś inne wyjście na tyłach teatru.

Ale dzisiejszego wieczoru musi z nią porozmawiać, bez względu na to, czy będzie wychodziła wyjściem dla aktorów, czy wyjściem awaryjnym - więc na co czekał?

Na podwórku zauważył Billy'ego wychodzącego ze stodoły, który na jego widok krzyknął: - Mam kłopoty z chłopakiem!

- Kłopoty? Dlaczego?

- Jak tylko zobaczył, że pan Mason wchodzi na podwórko, pognął na stryszek. Siedzi tam teraz schowany za belkami, jakby się do nich przykleił. Nie mogę go namówić, żeby zszedł na dół. I jeszcze jedno: moim zdaniem powinien go obejrzeć lekarz. Jeden ze śladów po uderzeniu batem paskudnie się jątrzy. Może po drodze do Newcastle wezwałbyś lekarza?

- Nie, nie wezwę żadnego lekarza, chyba że zależy ci na tym, żeby dzieciak wrócił tam, skąd przyszedł. Jakbyś nie wiedział, o czym mówisz. Powinieneś już znać starego Wheatleya, który pijany, czy trzeźwy zawsze trzyma się litery prawa, szczególnie, jeśli chodzi o dzieci. Jego zdaniem, nie wychowasz dzieciaka bez bata. Nigdy nie darowałby takiego zachowania. Znasz go. Zresztą, obejrzę go jeszcze raz, jak wrócę... Wcześniej wydawało mi się, że nieźle wygląda.

- Och, sądzę, że nadrabiał miną, żeby nam pokazać, jak świetnie może pracować. Ale znowu się trzęsie jak galareta. Może mógłbyś go zawołać?

Ward westchnął głęboko. Już był spóźniony na początek przedstawienia i będzie musiał zająć miejsce gdzieś z tyłu. Chociaż z drugiej strony, i tak nie zależało mu na obejrzeniu samej sztuki, tylko jej. Niecierpliwie wmaszerował do stodoły i stojąc przy drabinie, zawołał: - Chłopcze! Natychmiast zejźdź na dół.

Nie słysząc odpowiedzi, krzyknął ze złością, tym razem głośniejsze: - Jestem już gotowy do drogi i nie zamierzam się wspinać po drabinie. Jeśli nie pojawisz się zanim policzę do pięciu, to jutro wrócisz skąd przyszedłeś. Słyszysz mnie?

Nie doliczył do trzech, gdy na górze pojawiła się mała główka i chude nogi zaczęły powoli schodzić po szczeblach drabiny.

Gdy dzieciak stanął na dole ze wzrokiem wbitym w ziemię, Ward odezwał się spokojnie: - Pamiętasz, co ci wczoraj obiecałem. Możesz tu zostać na zawsze, ale mnie potrzebny jest robotnik. - I patrząc ostro na Billy'ego, ciągnął: - A nie mały tchórz, który ze strachu ucieka do stodoły.

Chłopiec podniósł głowę i jękając się powiedział: - Ja... s...s...sądziłem, że przyjechał po mnie. Powiedział, że tak zrobi.

- Kto? Jak on się nazywa? Dzieciak znowu spuścił głowę.

Ward powoli tracił cierpliwość. - Nie zamierzam słuchać tego jeszcze raz - stwierdził. - Zrozum, nikt cię stąd nie zabierze. Obiecałem ci to. A teraz idź do domu i zjedz kolację.

Gdy chłopiec zniknął, Billy podsumował bezbarwnym tonem: - Chłopiec miał rację, że się schował, bo naprawdę możesz mieć na karku jakichś urzędników,

jeśli ktoś dowie się, że mamy nowego pracownika. Rozumiesz, będą się chcieli dowiedzieć, skąd go mamy i w ogóle. Sam wiesz, że tutaj długo nie można utrzymać tajemnicy. We wsi twoje sprawy są sprawami wszystkich, a przynajmniej tak to wygląda. Więc poniekąd chłopak był całkiem roztropny, że się ukrył. Wszyscy ci uciekinierzy doskonale znają prawo i wiedzą, że bez względu na to, gdzie będą zatrzymani, wylądują na tej samej farmie, z której uciekli lub w tym samym sierocińcu. Sam wiesz, jacy są urzędnicy. Pamiętasz tę sprawę na farmie Burnleyów kilka lat temu?

- Ci chłopcy byli pomyleni.

- Aha. Jeśli dobrze pamiętam, to uciekali od nich, ale Burnley zawsze ich odnajdywał. I co się stało, gdy oskarżono go o złe traktowanie dzieci? Powiedział, że jeśli oni są pomyleni, to on też, i że nie powinni byli przysyłać mu takich chłopaków... Musiał zapłacić grzywnę. To wszystko.

Zniecierpliwiony Ward wybiegł ze stodoły i pognął do stajni. Prowadząc osiodłanego konia, usłyszał jak Billy woła: - Ona nie lubi deszczu. Mam nadzieję, że znajdziesz dla niej jakieś schronienie? - Słyszając tę uwagę, Ward rzucił niechętnie spojrzenie człowiekowi, którego darzył prawdziwie głębokim przywiązaniem, po czym ruszył galopem, szybko opuszczając dziedziniec.

- Święty Boże nie pomoże - skomentował jego zachowanie Billy.

* * *

Nie potrafił tego zrozumieć. Stał na chodniku przed teatrem, wpatrując się w nasiąknięty deszczem plakat. Taki sam jak w zeszłym tygodniu, z tą tylko różnicą, że zabrakło przelatującego przez środek anioła, który teraz został zastąpiony napisem „Zabawa z grupą Lorenzo” - czyli trzema szalonymi akrobatami z Hiszpanii. Nieco wyżej widniało zdjęcie sopranistki, występującej w towarzystwie wysokiej grubej kobiety i malutkiego otyłego mężczyzny z czterema pudłami oraz stojącego z drugiej strony kuglarza. Poniżej, coraz mniejszymi literami, wydrukowano nazwiska aktorów występujących w „pozostałych rolach”.

Ale co się stało z Maltańskim Aniołem? Jej zdjęcie zniknęło również ze stojaka na reklamy ustawionego nieco dalej na chodniku.

Nie wchodząc do holu, gdzie znajdowały się kasy teatralne, pognął prosto do bocznego wejścia dla aktorów. - Co się stało? To znaczy, co się stało z Maltańskim Aniołem? Z... tancerką? - wymamrzał stojącego przy drzwiach portiera.

Portier zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i szczerząc zęby w uśmiechu, powiedział: - O, to znowu pan? W taką noc, psa nie wypędzisz, a pan przyjechał z daleka na próżno.

- Co jej się stało?

- Och, miała drobny wypadek. Myślę, że przez kilka tygodni nie będzie mogła występować. Potknęła się o jakiś przewód i uszkodziła sobie stopę.

- Gdzie ona jest teraz?

- Sądzę, że w swoim pensjonacie. Tak, z pewnością tam jest.

Ponieważ ulewa rozszalała się na dobre, Ward szybko wszedł do środka, kierując się do holu, w którym schronił się portier. - Chwileczkę! Tędy nie ma wejścia - usłyszał ze zdziwieniem ostrą uwagę mężczyzny.

- Nie zamierzam tędy wchodzić, ale po prostu nie chcę stać w deszczu, kiedy będę panu zadawał kilka pytań - równie ostro odparował Ward.

Słyszając zmieniony ton głosu Warda, portier wycofał się i ponownie obrzucił go uważnym spojrzeniem. - Muszę panu odmówić odpowiedzi na pytanie, które chce pan zadać. Nie, nie jestem upoważniony do podawania jej adresu. A nie jest pan jedynym osobnikiem w tym tygodniu, który chciałby to wiedzieć.

- Rozumiem pańską sytuację, ale zapewniam pana, że nie mam żadnych złych zamiarów w stosunku do tej damy... Absolutnie żadnych.

- A ja, panie, mogę powiedzieć, że wszyscy tak mówią, bez względu na to, czy pochodzą z miasta, czy ze wsi. A pan jest ze wsi, prawda?

Zanim Ward zdążył dać wyraz swemu oburzeniu i pomyśleć, jak sensownie odpowiedzieć temu obdarzonemu umiejętnością wnikliwej obserwacji mężczyźnie, zanim zdążył zapytać, skąd, na Boga, wie, że on pochodzi ze wsi, stary człowiek rzekł: - Och, nie musi pan uderzać w wysokie tony. Widziałem ich wszystkich. Ale żaden z tych miastowych nie przyszedłby cztery razy w tygodniu na to samo przedstawienie i nie siedziałby w pierwszym rzędzie. Nie, już drugiego wieczoru przy wyjściu czekałaby taksówka, a on przysłałby kwiaty do jej garderoby. Ach, oni wszyscy są tacy sami, w Londynie, w Manchesterze, gdziekolwiek. Wszystkich ich znam - pochwalił się znowu i zmieniając ton dodał: - Ale i tak nie mogę wyjawić panu jej adresu, nawet jeśli oferowałby mi pan jakiś napiwek.

- Nie zamierzałem dawać panu żadnych pieniędzy. Ale widzę, że pan na podstawie pozorów wydał już opinię na mój temat, i nie tylko mój... - Jego słowa przerwało niespodziewane wejście olbrzymki i karła, niosących po dwa psy ubrane w czerwone flanelowe kubraczki.

Kobieta, ignorując Warda, odezwała się do portiera: - Ten facet już nas tak nie urządzi. Nie będziemy występować w pierwszej połowie. Znamy swoje miejsce. Od dzisiaj powinniśmy mieć trzeci numer przed finałem. Będę musiała porozmawiać z nim pod koniec tygodnia. Już rok mija, od kiedy podbiliśmy Newcastle, ale nie wrócimy tu wcześniej niż za dziesięć lat.

Zauważyła Warda dopiero wtedy, gdy jeden z piesków kręcących się nerwowo w jej ramionach zaczął na niego ostro szczekać. - Niech się pan nie boi. Nie ugryzie pana, jeśli pan jej nie dotknie.

Ale Ward już wyciągnął rękę i drapał zwierzaka po śnieżnobiałym łebku, a pudel, zamiast go ugryźć, lizał mu dłoń. Widząc to, karzeł krzyknął wysokim głosem młodego chłopca: - Flora! Flora! Widziałaś coś takiego? Widzisz, co robi Sophia?

Patrząc na Warda, olbrzymka odezwała się: - Zna pan zwierzęta, prawda? Jest pan treserem, czy kimś takim?

Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. - Nie, nie, ale sam mam dwa psy.

- Pudle?

- Nie. Owczarki. Jestem... farmerem.

- Aha. - Pokiwała głową. - Suki?

Gdy odpowiadał, nie przestawał się uśmiechać. - Jedną.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to to, że jakiś zapach sprawił jej niezwykłą przyjemność, a Sophia jest zupełnie wyjątkowa.

Ward spojrział na Sophię. Rozpoznał w niej tę mądrą, która karłowi wyciągnęła z kieszeni płaszcza małą buteleczkę, zębami wyjęła korek i stojąc na tylnych łapkach wsadziła sobie butelkę do pyszczka. Potem, przy aplauzie publiczności, chwiejnym krokiem przemaszerowała przez scenę, położyła się na grzbiecie i przebierała łapkami w powietrzu, czekając na karę. Kobieta podniosła ją do góry, dała klapsa i odeszła ze sceny, ale psiak niezauważenie podkradł się drugim wyjściem.

- Widział pan przedstawienie? - kobieta skierowała pytanie do Warda.

- Tak, widziałem.

Pochyliła się nad nim, aby lepiej go obejrzeć w słabym świetle korytarzyka. Otworzyła usta ze zdumienia, po czym szeroki uśmiech wypłynął jej na twarz. - Ach, tak. W pierwszym rzędzie. W pierwszym rzędzie.

Ward z zawstydzeniem pokiwał głową i powiedział:

- Tak, siedziałem w pierwszym rzędzie.

- Żeby zobaczyć Stephanie.

Portier wtrącił się, zanim Ward zdążył potwierdzić.

- Ten... ten dżentelmen przyszedł dzisiaj specjalnie, aby zobaczyć pannę McQueen i był bardzo rozczarowany, że nie wystąpiła.

- Ach, tak. - Kobieta monotonicznie kiwała głową.

- Przykro mi, że odbył pan długą drogę na próżno, ale panna McQueen miała wypadek. W sobotę wieczorem. Za szybko ją puścił. - Odwróciła głowę i powiedziała do portiera: - Ten Watson to cholerny maniak. Nigdy nie jest

trzeźwy. Wiesz, Harry, że nie mam nic przeciwko jednemu kieliszeczkowi, ale na wszystko jest odpowiednia pora. Ona jest lekka jak piórko. Ale upuścił ją i pacnęła jak gumowa piłeczka.

- Bardzo się poturbowała? - W głosie Warda słychać było niepokój.

- No cóż - kobieta wzruszyła ramionami, a jej ciało zdawało się falować - nie ma poważnego zagrożenia. Ale, o czym ja mówię? To całe jej życie. Jej los zależy od stóp, a minie kilka tygodni, zanim będzie mogła wrócić na deski. Masuje je przez cały czas i twierdzi, że w przyszłym tygodniu wystąpi w Sunderland. Ale nie sądzę, prawda, Ken? - Zwróciła się do małego mężczyzny, a ten zgodnie potwierdził: - Nie, Floro, oczywiście, że nie. Coś musiała sobie naderwać. Tak, coś sobie naderwała.

- Czy... sądzicie państwo... chodzi mi o to, czy sądzicie państwo, że mógłbym się z nią zobaczyć? Mógłbym być jej przedstawiony? Chciałbym... ją poznać.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli po sobie i podjęli decyzję, po czym kobieta odezwała się w imieniu obojga: - Nie ma żadnych przeszkód, żeby pan się z nią spotkał. Sophia wydaje się mieć o panu dobrą opinię, a zwierzęta zazwyczaj wykazują więcej zdrowego rozsądku niż ludzie. Zawsze tak mówiłam i codziennie mam tego potwierdzenie. Tak, nie ma żadnych przeszkód. Czy ma pan jakiś środek lokomocji?

Słowa „środek lokomocji” zabrzmiały znacząco i zostały powiedziane nieco innym tonem. Gdy z przykrością musiał przyznać, że przyjechał na koniu, kobieta wybuchnęła śmiechem. - Chyba nie możemy wszyscy go dosiąść? Ale ponieważ wszyscy mieszkamy w pobliżu, możemy się przejść. Dobranoc, Harry.

Kiwnęła głową portierowi, który pożegnał ich słowami: - Dobranoc, pani Killjoy. Dobranoc, panie Killjoy.

- Dobranoc, Harry - dodał karzeł.

Szli w strugach deszczu, Ward pomiędzy mężczyzną i kobietą. - Ale jak się pan nazywa? - zapytała pani Killjoy, ocierając mokrą twarz.

- Hayward Gibson, ale wszyscy mówią do mnie Ward.

- Ward. Cóż za niezwykle imię dla chrześcijanina... Ward. Panie Gibson, ponieważ wie pan, czym my się zajmujemy, pozwolę sobie zapytać, jakiej wielkości jest pańska farma. Widzi pan, jesteśmy mieszczuchami i wiemy jedynie, że farmy należą do dużych majątków, podczas gdy małe gospodarstwa nie.

Ward uśmiechnął się, słysząc te dyplomatyczne podchody. - Moja farma nie należy do żadnego z wielkich właścicieli ziemskich, co oznacza, że jej nie dzierżawię. Jest moją własnością, chociaż wiele farm w kraju zajmuje znacznie większy obszar - wyjaśnił.

- Myślę, że to uczciwa odpowiedź. - Zwróciła się do niego i powiedziała z szerokim uśmiechem: - Musimy tu przejść przez jezdnię i jesteśmy prawie na miejscu. Ale wracając do farmerów: my, ludzie sceny, zupełnie nie znamy wsi, ponieważ występujemy tylko w miastach.

Znajdowali się na środku jezdni, gdy podniosła rękę jak policjant regulujący ruch i zatrzymała jadące pojazdy. Kierowca taksówki i dwaj chłopcy pchający wózek ostro zahamowali, wprowadzając w zdumienie kierowców słabo widocznych w strugach deszczu kolejnych samochodów. Przy akompaniamencie wyzwisk szoferów i śmiechu chłopców przeprowadziła swoją kompanię przez ulicę. I jak gdyby nigdy nic ciągnęła: - Więc zazwyczaj musimy poznać pracę, dom i zwyczaje ludzi, z którymi chcemy nawiązać bliższą znajomość.

Miał ochotę głośno się śmiać, nawet krzyżeć. Oto siedł sobie w towarzystwie tych dwojga dziwaków i ich czterech psów, i jak na spowiedzi musiał odpowiadać na pytania dotyczące jego charakteru. Przez cały czas był podekscytowany, czekało go spotkanie z nią... nie jak przygodnego wielbiciela wyczekującego na aktorkę przy wyjściu z teatru, ale spotkanie w jej mieszkaniu.

Przez jedną chwilę to uczucie oczekiwania i uniesienia zmroziła myśl o tym, co będzie, jeśli nie zrobi na niej żadnego wrażenia? Albo jeśli ona okaże się zarozumiałą laleczką myślącą tylko o sobie lub, jeszcze gorzej, pospolitą gęsią albo, o mój Boże, jeśli mu się w ogóle nie spodoba?

- No, jesteśmy w domu.

Stał na ulicy, od której do każdego domu prowadziły po trzy schodki, ograniczone z obu stron metalowymi poręczami. Budynek był raczej okazały; być może dzielnica nie była najlepsza w mieście, ale z pewnością nie należała do tanich.

Ciężkie, solidne drzwi wyposażono w mosiężną skrzynkę pocztową i gałkę do otwierania. Gdy się otworzyły, kobieta wpłynęła do środka, a mężczyzna lekko popchnął Warda do wejścia. A teraz przedstawiano go innej kobiecie, która z pewnością była właścicielką domu. - To nasz przyjaciel, Connie - powiedziała pani Killjoy. - Spotkaliśmy się przypadkowo dzisiaj wieczorem. - Odwróciła się do Warda. - Pan Hayward Gibson. Pani Borman, właścicielka domu i najmiłsza osoba pod słońcem - dodała, wyciągając rękę do piersiastej kobiety w średnim wieku. - Naprawdę tak uważam, Connie - dodała, przebierając palcami. - Wiesz, że tak uważam. Pani Borman nie obrzuciła go tak dokładnym spojrzeniem jak przedtem pani Killjoy, ale spojrzała mu prosto w oczy i przyjemnym głosem odrzekła: - Dobry wieczór, panie Gibson. Wszyscy przyjaciele pani Killjoy są mile widziani w moim domu.

Kiwając głową, z uśmiechem na ustach pani Killjoy postawiła swoje małe pupilki na podłodze, podobnie jak jej mąż, i oględnie poinformowała właścicielkę, że z pieskami nie powinno już być żadnego kłopotu. Ken poda im kolację i położy do łóżka... - No, ruszajcie, maleństwa. Ruszajcie ze swoim tatusiem.

W czasie tej sceny Ward stał nieco z boku, trzymając swój kapelusz z dużym rondem tak, aby woda nie skapywała na wyfroterowaną podłogę wyłożoną linoleum. Niemal nie wierzył własnym uszom. Czyżby nagle znalazł się na scenie i brał udział w sztuce teatralnej? - A jak się czuje nasza cierpiąca pacjentka? Dobrze się sprawowała? - pani Killjoy spotęgowała to wrażenie nierealności, odzywając się swoim najbardziej wyszukany tonem.

- Tak - odpowiedziała pani Borman. - Jak zwykle, zachowywała się bez zarzutu. Jest teraz w salonie.

- Och, udało jej się tam dojść! Wspaniale. To nam ułatwia sytuację, ponieważ w innym wypadku pytanie, czy nasz przyjaciel może z nią porozmawiać w cztery oczy byłoby nieco kłopotliwe i musiałabym je zadać niezwykle dyplomatycznie. Doskonale, salon to odpowiednie miejsce. Proszę tędy - wskazała Wardowi kierunek. - Ale - przerwała znowu - może najpierw zdejmie pan płaszcz i powiesi kapelusz?

Rozbierając się, na chwilę zamknął oczy. A potem podążył za panią Killjoy do pokoju, do którego niezbyt pasowało określenie „salon”, jako że zdawał się umeblowany jedynie krzesłami o różnych kształtach i wielkości. Przy kominku siedziała szczupła młoda dziewczyna.

Idąc w jej kierunku, usłyszał anonsującą go panią Killjoy: - Przeprowadziłam dżentelmena, który chciałby cię poznać, kochanie. Był tak rozczarowany, że dzisiaj nie wystąpiłaś. Pytał o twoje zdrowie. Pan Hay...ward Gibson - wydukała jego imię. - Mieszka na prowincji... Jak twoja kostka, kochanie?

- Dziękuję, znacznie lepiej. - Odpowiadając na pytanie, dziewczyna nie patrzyła na panią Killjoy, ale na wysokiego mężczyznę spoglądającego na nią z góry, i rozpoznała go znacznie szybciej niż on ją. Ponieważ on widział osobkę nie więcej niż szesnastoletnią, z bujnymi włosami luźno związanymi na karku, o owalnej twarzy, ogromnych brązowych oczach, o ton ciemniejszych niż włosy, o szerokich, pełnych wargach, malutkim nosku i leciutko opalonej skórze. W żadnym wypadku nie przystawała do obrazu Maltańskiego Anioła.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór. - Skłonił się nieznacznie, dodając: - Ja... z przykrością dowiedziałem się o pani wypadku,

- To nic poważnego. Wkrótce dojdę do siebie. - Ręką wskazała stopę opartą o taboret. - W przyszłym tygodniu będę już tańczyła.

- Nie będziesz. Nigdy nie lubiłam zakładów, ale w tym wypadku mogę się założyć. Minimum trzy tygodnie. Tak powiedział doktor. A przy okazji - pani Killjoy dystyngowanym gestem wskazała Warda - pan Gibson jest farmerem. I Sophia od razu go polubiła, a to dobry znak. Uśmiechnęła się do obojga i podnosząc ręce do swego okazałego biustu, powiedziała: - A teraz muszę iść trochę się ogarnąć i przygotować do kolacji, bo czekaliśmy po występie ponad godzinę. Wyzaczył nas do pierwszej połowy. - Pochyliła się do przodu, wygrażając palcem, jakby miała przed sobą winowajcę. - Dasz temu wiare, Stephanie? Taki afront! No, ale później ci o tym opowiem. - Po tych słowach odwróciła się i mimo dużej masy lekkim krokiem jak żaglowiec wypłynęła z pokoju.

Ward gorączkowo szukał w myślach tematu rozmowy, ale jedyne sensowne słowa dotyczyły pogody. - Ciągle pada - stwierdził, a dziewczyna poprosiła go, aby usiadł.

Rozejrzał się, zastanawiając się nad wyborem krzesła.

- Niech pan nie siada na tym dużym skórzanym - odezwała się wesołym tonem. - Wygląda na bardzo wygodne, ale ma zepsute sprężyny. Myślę, że najbezpieczniejszy byłby tamten fotel - stwierdziła, wskazując mebel stojący nieco z lewej.

Odwzajemnił jej uśmiech i obszedłszy jej wyciągniętą nogę, usiadł na krześle oddalonym najwyżej o metr.

- Było mi bardzo miło widzieć pana na przedstawieniu - powiedziała, odwracając ku niemu twarz. Nie dodała: Tak często.

Wiedząc, że zaczerwienił się z zażenowania, zapytał:

- A więc, zauważyła mnie pani?

- Tak. Tak, zauważyłam.

- Ja... Podobało mi się, jak pani tańczy.

- Dziękuję.

Siedział teraz, patrząc na nią w milczeniu. Miała miły głos, inny niż te, które zazwyczaj słyszał, podobny może odrobinę do głosu żony pułkownika Ramsmore'a albo pani Hopkins, gdy któraś z nich otwierała kiermasz. Jednak nie było w nim wysokich tonów wyczuwalnych w głosach tamtych kobiet, był zdecydowanie inny. Tak, był inny. Ona sama była inna, inna niż na scenie i inna niż ją sobie wyobrażał prywatnie, a przede wszystkim wyglądała tak młodo. Sam się zdziwił, że głośno wyraził swoje myśli: - Na scenie wyglądała pani bardzo

młodo, ale proszę mi wybaczyć, w rzeczywistości wygląda pani jeszcze młodziej.

Odchyliła się na wyściełane oparcie krzesła i odpowiedziała ze śmiechem: - Pozory myślą. Niedługo skończę dziewiętnaście lat.

Roześmiał się z ulgą i lekkim tonem powiedział:

- Doprawdy, nikt by tego nie zgadł.

Po tej uwadze nie zarumieniła się, ani też nie zamilkła zażenowana, ale by uciąć dalsze uwagi dodała: - Pani Killjoy jest wspaniałą kobietą i wspaniałym przyjacielem, ale nie ma szczęścia w zakładach. Tym razem też nie będzie miała racji i w przyszłym tygodniu z pewnością wrócę na scenę. Ale już w Sunderland. Tam mamy kolejną umowę.

Nie zdziwił się słysząc te słowa, ale powtórzył je na wszelki wypadek: - Sunderland? - i stwierdził, że bardzo często tam bywa. - Jak długo tam pani zostanie?

- Myślę, że tylko tydzień.

- Och, tylko tydzień. - Do głowy wpadło mu kolejne głupie pytanie: - Gdzie pani mieszka... to znaczy, na stałe?

Odwróciła od niego wzrok i wpatrując się w swoją stopę, powiedziała z westchnieniem: - Tam, gdzie gramy. Nie mam żadnego stałego domu.

- Nie? - w jego pytaniu wyraźnie słychać było zdziwienie.

- Moi rodzice byli również związani ze sceną - wyjaśniła. - Matka była tancerką, a ojciec śpiewał. Więc zawsze podróżowaliśmy. Rok po tym, jak ojciec przywiózł moją matkę z Malty, osiedlili się w Bristol. Ja urodziłam się w następnym roku. Ale to już nastąpiło w York, dwa dni po świętach Bożego Narodzenia.

Nie skomentował jej świątecznych narodzin, ale zapytał: - Czy pani rodzice... oni...?

- Nie żyją - odparła bez fałszywego smutku. - Moja matka zmarła na ospę, a rok później ojciec utonął. Ale to było już prawie sześć lat temu. Od tego czasu państwo Killjoy zastępują mi rodziców.

- Z pewnością. Z pewnością. - Kiwał głową, bo żadna sensowna odpowiedź nie przychodziła mu do głowy. Wydawało mu się, że język ma związany w supeł; był w stanie jedynie wsłuchiwać się we własne myśli. Jest piękna, ale innym rodzajem piękna niż to na scenie. Wtedy sądził, że jej wygląd najlepiej opisuje słowo „eteryczna”, jakby nie z tego świata. Ale ta dziewczyna była jak najbardziej z krwi i kości. I wydawała się całkiem swobodna. Z pewnością była trochę wyciszona, chociaż w oczach miała wesołe ogniki i często się uśmiechała. Żałował, że nie może zobaczyć jej stojącej, ciekawiło go, jakiego jest wzrostu.

Niewątpliwie jest szczupła. No, musi być być bardzo szczupła, lekka jak piórko, skoro może zawisnąć na lince.

- A teraz, ponieważ pan już zna historię mojego życia, czy mógłby mi pan coś opowiedzieć o sobie? Pani Killjoy mówi, że jest pan farmerem. To brzmi bardzo interesująco. To cudownie pracować przy zwierzętach. Kocham pudle. - Wskazana na róg pokoju, jakby tam spodziewała się je zobaczyć.

Na to pytanie mógł jej dać odpowiedź. - Nie tak cudownie, gdy w zimowy poranek trzeba wstawać o piątej rano, bo jak pani wie, krowy noszą zegarki - powiedział z uśmiechem. - I nie lubią, kiedy się spóźniamy, wtedy mogą kopnąć - zażartował.

Śmiejąc się serdecznie, powtórzyła: - Krowy noszą zegarki. Ile ich pan ma?

- Osiemnaście mlecznych i sześć młodych jałówek, trzy konie, jeden pod wierzch. Klacz, Betsy. I dwa konie rasy Shires... takie wielkie. Z pewnością widziała je pani, jak ciągną wozy z beczkami z piwem. Moje używane są do orki i innych prac w polu.

- Ach, tak. Tak. Są cudowne. Ma pan kaczki?

- O, tak, kaczki, kury, kilka gęsi. I oczywiście świnie. Wszystko to, co zazwyczaj jest na farmie.

- Zawsze mieszkał pan na wsi?

- Zawsze. Tak jak mój ojciec, dziadek i pradziadek. Znowu wpatrywała się w niego uważnie. Uśmiechała się, ale uśmiech powoli gasł na jej twarzy. Nieśmiałym gestem wyciągnęła rękę, jakby chciała go dotknąć. Ale szybko cofnęła dłoń, mówiąc: - Ja... zauważyłam, że ma pan skaleczony policzek.

- Ach, to. - Palcami dotknął przyschniętych bruzd. - Miałem drobny wypadek.

- Jakież... zwierzę?

Mógł odpowiedzieć: „Tak, suka”, ale zamiast tego zmyślił: - Dzika kotka dostała się do stodoły. Musiałem ją zaskoczyć, przestraszyć. Zeskoczyła z... czegoś w rodzaju podestu, jaki jest w wielu stodołach - machnął dłonią nad swoją brwią - i zadrasnęła mnie pazurami.

- O Boże! To musiało być przerażające i bolesne.

- To tylko drobna przykrość i kłopot przy goleniu - powiedział lekceważąco.

- Tak. Tak, rzeczywiście.

Gdzieś w głębi domu rozległ się odgłos otwieranych drzwi i do pokoju weszła pani Killjoy. Na widok podnoszącego się z krzesła Warda kobieta wykrzyknęła głośno z palcem wymierzonym w dziewczynę. - Tak zachowuje się dżentelmen. Zawsze można poznać dobrze wychowanego mężczyznę, jeśli podnosi tyłek... to znaczy... hm... - zerknęła na niego - podnosi się z miejsca, kiedy kobieta wchodzi do pokoju.

- Och, pani Killjoy.

Znowu pogroziła jej palcem. - Znasz mnie, Stephanie. Zawsze mówię, co mi leży na sercu. I nie potrafię przerwać. - Jej ogromnym ciałem wstrząsnął paroksyzm śmiechu. Mąż zawtórował jej zgodnie. - Czy zechciałby pan zostać z nami na kolację? - zwróciła się do Warda.

- Pani Borman mówi, że starczy dla wszystkich.

- Przykro mi - powiedział po chwili namysłu - ale muszę już jechać. Innym razem, jeśli mogę jeszcze wpaść z wizytą - spojrzał w kierunku dziewczyny - będzie mi bardzo miło przyjąć zaproszenie.

- Och, będziemy radzi znowu pana usłyszeć, ponieważ ona - pani Killjoy zwróciła się w stronę zawstydzonej dziewczyny - siedzi tu sama cały dzień i ucieszy się z towarzystwa. - A potem, odwracając się do Warda, powiedziała: - Będzie nam bardzo miło. Ona jest zbyt nieśmiała, żeby to powiedzieć, ale ja proszę w jej imieniu.

- Jeśli można, pozwolę sobie wpaść wieczorem - odezwał się wprost do dziewczyny.

Leciutko skinęła głowę, a on w tym momencie zakreślił się na pięcie i prawie wybiegł z pokoju, zaś pani Killjoy podążyła jego śladem.

Pomagając mu włożyć płaszcz, zauważyła konfidencjonalnym tonem: - Nie rozczarował się pan, prawda?

- Nie, pani Killjoy. Ma pani rację, nie rozczarowałem się - powiedział, odwracając się do tej zadziwiającej kobiety. - Wstąpię przy pierwszej sposobności.

- Jestem pewna, że wstąpisz, synu. Jestem pewna.

- Poklepała go po ramieniu i wręczając mu kapelusz, otworzyła drzwi i pomachała dłonią na pożegnanie.

Nadal padało, a on miał ochotę biec, nie dlatego, że chciał uciec przed deszczem, ale po prostu, żeby ochłonać. Miała rację. Miała rację: nie rozczarował się. Ale dziewczyna nie jest aniołem. Nie, nie jest aniołem. Ma dziewiętnaście lat, jest słodka, cudowna, piękna... bardzo piękna. Boże, spraw, żeby szybko nadeszło jutro.

* * *

W salonie pensjonatu pani Killjoy siedziała na wprost Stephanie McQueen, którą nazywała Fanny. - Fanny - mówiła - spójrz... spójrz na nas... na Kena i na mnie. Już ledwo się trzymamy na nogach. Wykańczamy się, co wieczór padając twarzą na deski. I w każdej chwili mogę upaść nawet bez Charliego i Rose podgryzających mnie od tyłu, bo moje nogi i kręgosłup już nie wytrzymują. Posłuchaj mnie, wiesz, że odłożyliśmy drobną sumkę i szukamy teraz jakiegoś

maleńkiego domku ze skrawkiem ogródka. To marzenie naszego życia. Czterdzieści trzy lata temu przejęłam je od mojego ojca, a teraz jestem prawie u kresu drogi. A jeśli chodzi o Kena, to naprawdę nie wiem, jak on jeszcze w ogóle ciągnie. Posłuchaj! - powiedziała, podnosząc dłoń. - Posłuchaj mnie uważnie. Od śmierci twoich rodziców traktowaliśmy cię jak własną córkę. Obiecałam twojej matce, że będę na ciebie uważać. I musisz przyznać, że zawsze to robiłam, prawda?

Stephanie chwyciła pulchne dłonie pani Killjoy i łamiącym się głosem, ze łzami w oczach, rzekła: - O, tak, pani Killjoy. Pani wie, co o was obojgu sędzę. Bez was nigdy nie dałabym sobie rady. I nie sędzę, żebym kiedykolwiek...

- Oczywiście, że tak, ponieważ jesteś świetną tancerką. Ale jak długo może potrwać taka kariera? To mnie właśnie martwi. Spójrz tylko - rzekła, wskazując na jej opartą o stołek stopę. - To może ci się przytrafić jeszcze nie raz. I trudno przewidzieć gdzie. W tym tkwi problem: kiedy zabraknie naszej pomocy, co z tobą zrobią te wszystkie krążące wokół rekiny? I... i - zaczęła machać ręką - nie uwierzę, że sama sobie poradzisz. Żadna dziewczyna z twoim wyglądem nie poradzi sobie, jeśli pracuje z taką bandą. Widziałas już niejedno, prawda? Ale jeszcze nigdy nie spotkałaś kogoś takiego jak on. Posłuchaj, nie będę owijała w bawełnę. Jest ze wsi. To widać. Nie pochodzi z zamożnej rodziny. To także widać. Ale też widać jak na dłoni, że to nie jakiś sezonowy robotnik, czy prosty wieśniak. Określiłabym go raczej jako młodego, budzącego szacunek człowieka pochodzącego ze wsi. I ma własną farmę...

- Droga pani Killjoy - dziewczyna westchnęła - przed chwilą spotkałam go po raz pierwszy w życiu. Przyznaję, że zauważyłam go już w czasie drugiego przedstawienia, potem trzeciego i czwartego, ale i tak naprawdę spotkałam go kilka minut temu. Nie mogłabym jeszcze myśleć o nim jako o...

- Teraz ty mnie posłuchaj. Nie spodziewam się, że będziesz teraz o nim myślała w jakikolwiek konkretny sposób, ale on tu przyjdzie. A jeżeli był w teatrze cztery razy, to w przyszłym tygodniu tutaj też go zobaczysz cztery razy.

- W przyszłym tygodniu pewnie wrócę już do pracy. Pani Killjoy spojrzała na jej szczupłą kostkę i kiwając głową powiedziała: - Tak, tak, wiem, że robisz użytek ze swoich dłoni, i nie mówię, że nie mogłabyś tańczyć w przyszłym tygodniu, w końcu znam ich moc - Beattie jest tego najlepszym dowodem, a nigdy nie przypuszczałam, że ona wróci na deski - ale proszę cię o przysługę. I to jest prawdziwa przysługa. Jutro daj spokój swoim dłoniom, poczekaj aż go lepiej poznasz, a potem powiedz mi, co o tym sądzisz. Zrobisz to dla mnie, Fanny?

Stephanie zawahała się przez moment, po czym z uśmiechem odrzekła: - Tak, oczywiście. Zrobię dla pani wszystko, ale proszę specjalnie nie liczyć na rezultaty. I niech pani przestanie się o mnie martwić, proszę więcej pomyśleć o sobie i panu Kenie, i o waszym przyszłym wspólnym domku.

- No, może tak to ustalimy: my pomyślimy o domku, kiedy ty będziesz miała zabezpieczoną przyszłość.

- Och, pani Killjoy!

- Och, panno Stephanie McQueen! - wykrzyknęła kobieta ze śmiechem, przytulając do siebie szczupłą postać. - Jeśli miałabyś do wyboru Harry'ego Henleya, tego rozgadanego kuglarza, wielebnego Jamesa Wilsona Cartera, czy jak mu tam, z jego minami, rymami i przemowami... tego wykształconego idiotę, i naszego farmera, to którego byś wybrała?

- W tej chwili żadnego, pani Killjoy. Żadnego z nich.

Rozdział czwarty

A mnie, chciałbym, żebyś jutro przygotowała coś odpowiedniego na popołudniową herbatkę w salonie.

- Ach, tak? - Annie podniosła puszkę i mąką posypała wielką drewnianą stolnicę leżącą na kuchennym stole. - A co takiego byś chciał? - dodała.

- Tak jak powiedziałem, coś odpowiedniego do herbaty podanej w salonie. Pamiętasz, wiele lat temu na niedzielne herbatki robiłaś takie różne drobne ciasteczka.

- Ach, tak? - Annie wyjęła z miski wielki kawał ciasta i rzuciła je na posypaną mąką stolnicę. - A ilu osób się spodziewasz? - zapytała dopiero, gdy zaczęła je wyrabiać.

- Tylko trzech.

- Tylko trzech?

- Właśnie mówię, że tylko trzech. Ale w towarzystwie czterech psów.

Ostatnia uwaga oderwała Annie od stolnicy. Klasnęła w pokryte mąką dłonie, po czym wycierając je w fartuch wykrzyknęła: - Cztery psy! Nie przychodzi się z psami na popołudniową herbatę.

- Oni tak. - Uśmiechał się szeroko wiedząc, że słucha go uważnie. - Nie przejmuj się. To tylko małe pieski... pudle.

- Pudle? - Skrzywiła się. - Podobne do pekińczyków? Są podobne do pekińczyków?

- Nie, większe. Występują w teatrze.

- O...ch. - Otworzyła usta ze zdziwienia. - Teraz rozumiem. Psy występujące w przedstawieniach. Twój goście również związani są ze sceną?

- Tak, zgadłaś, Annie, to aktorzy. Ale już wcześniej powinnaś była na to wpaść.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Wiem, co robię. - W jego głosie nie słychać już było żartobliwych tonów. - I chciałbym, żebyś była dla nich uprzejma, ponieważ jeśli wszystko ułoży się po mojej myśli, wkrótce jedna z tych osób zostanie panią tego domu.

Annie wpatrywała się w niego przez pełne pięć sekund, zanim odwróciła się do stolnicy i spokojnie powiedziała: - To twój dom i ty tutaj jesteś panem, ale opiekuję się tobą od dnia twoich narodzin, więc jedynie mogę mieć nadzieję, że dokonałeś właściwego wyboru. Ale i tak musimy poczekać, prawda?

- Tak, Annie. Dokładnie tak, jak mówisz. Będą tutaj około trzeciej. Mam nadzieję, że ładnie nakryjesz stół.

Skierował się do tylnych drzwi, ale zatrzymał go jej głos: - Wszyscy w sąsiedztwie gadają o twoich zalotach.

- Doprawdy?

- Ale nie musisz mówić do mnie takim tonem, paniczu Wardzie. Mówię ci o tym dla twego własnego dobra.

Jeżeli ktoś każdego wieczoru biega do teatru, to musi mieć w tym jakiś cel.

- Dobrze, Annie. Powiem ci coś, co ich zadziwi. W tym tygodniu ani razu nie byłem w teatrze. I co o tym sądzisz? - zapytał cicho, zamykając za sobą drzwi.

Skierował się do wozowni, gdzie zobaczył chłopaka, czyszczącego naoliwioną piastę dwukółki. - Dobrze się spisałeś - powiedział do niego, obejrzawszy cały powóz. - Zostaw to teraz, idź i umyj się. Wkrótce dostaniesz coś do jedzenia.

- Tak, panie.

Stał patrząc, jak chłopak przy pompie na końcu podwórka myje ręce. Lubił go, dzieciak miał w sobie coś takiego miłego, ujmującego. Ponownie spojrzął na dwukółkę i pomyślał, że mógłby zaprząć konie i wygodnie pojechać do Newcastle, ale Billy już przygotował Betty.

Tryb życia, jaki prowadził w ostatnich dniach, zmęczył go. Dzisiaj wstał o pół do czwartej, podobnie zresztą jak codziennie przez ostatni tydzień, żeby zdążyć ze wszystkim przed wieczorem i uniknąć jakichkolwiek komentarzy Billy'ego, chociaż musiał przyznać sprawiedliwie, że Billy nie protestowałby otwarcie. Co oczywiście nie zmienia faktu, że i tak miał własną opinię, tak samo zresztą jak Annie. O, tak. Ona już sobie postanowiła, że będzie się dziwnie zachowywać. Już to widział. Wszystko jedno, dziwna czy nie, i tak musi robić swoje, a on powinien rozmówić się z Fanny nie dalej niż jutro, zanim znowu dziewczyna wyruszy w trasę.

Pomyślał o niej Fanny, ponieważ to ona sama zaproponowała, aby przestał zwracać się do niej „panno Stephanie”. - Mów mi Fanny - powiedziała. Tak więc zaczął o niej również myśleć Fanny, chociaż jego zdaniem to imię do niej nie pasowało. Było zbyt pospolite i zbyt często spotykane, za bardzo przypominało mu Annie.

Billy stał przy koniu, gładząc go po grzywie. - Nie pogniewa się pan, paniczu Wardzie, jeśli wieczorem na pana nie zaczekam?

Ward spojrzął na niego uważnie. - Oczywiście, że nie - odparł. - Czy coś się stało? Źle się czujesz?

- Ostatnio plecy mi dokuczają.

- To dlaczego, u diabła, nic mi nie powiedziałeś? Chyba nie chcesz znowu leżeć plackiem?

- Och, niech się pan nie martwi. Nie położę się, jeszcze mogę robić.

- Doprawdy, czasami doprowadzasz mnie do furii, człowieku. - Ward dosiadł konia i widząc, że stary kieruje się do stajni, krzyknął w jego stronę: - I nie oceniam mnie źle, Billy Comptonie. Wystarczy, że inni to robią, więc przynajmniej ty nie zaczynaj.

Nie czekając na odpowiedź, z okrzykiem „Wiooo!” ruszył stępą. A później, już we wsi, jeszcze raz ostentacyjnie zwolnił, żeby kilku stałym bywalcom Koronowanej Głowy odpowiedzieć na zdawkowe pozdrowienie.

Kiedy minął kuźnię i właśnie wyjeżdżał na otwartą przestrzeń, zauważył człowieka, który stojąc na wzgórzu po prawej stronie pozdrawiał go uniesioną dłonią. Poznał, że to Fred Newberry zmierza w jego kierunku.

Gdy Fred zbliżał się po trawiastym zboczu, Ward ściągnął wodze i zauważył: - Znowu byłeś nad rzeką. Zobaczysz, że się utopisz któregoś dnia.

- Ach, człowieku! W piekarni jest gorąco jak diabli.

- Fred przejechał dłonią po mokrych włosach, a potem wycisnął ręcznik, w który miał zamotaną głowę. - Całe szczęście, że dzisiaj nie zdjąłem majtek - roześmiał się.

- Dwie panienki kąpały się za zakrętem. Pływały jak ryby. W życiu czegoś takiego nie widziałem, bo żadna z dziewczyn ze wsi nie przychodzi nad rzekę. No, ja przynajmniej tego nie widziałem. A ty?

- Nie, Fred. Ja też nie.

- To były niezłe sztuki. Rany, naprawdę! Jedna z nich pomachała do mnie. Uważasz, pomachała z wody. Przyjechały na rowerach... Na rowerach. Widziałem, jak leżały na trawie, w ubraniu...

- No - Ward zaśmiał się - naczytałeś się w gazetach o tych nowoczesnych dziewczynach, prawda? Chłopie, powinieneś się umówić z którąś z nich.

Miał zamiar znowu zażartować, gdy Fred odezwał się, tym razem bez swego zwykłego szerokiego uśmiechu. - Jestem po twojej stronie, Ward - powiedział. - Bez względu na to, co wszyscy mówią. Jeśli chcesz wziąć sobie dziewczynę z miasta, to tylko twoja sprawa, niczyja więcej. Nawet nasz John mówi, że najwyższa pora dostarczyć trochę świeżej krwi. Oczywiście, Willowi to się nie spodobało, bo on jest po stronie Susan Beaker. Tak samo jak Jimmy Conroy. Krótko mówiąc, zanosi się na niezłą rozróbę. Ale rób, co uważasz za słuszne. Na pewno i wśród aktorek są dobre dziewczyny. Chciałbym mieć twoją odwagę. Dziewczyny mnie przerażają, naprawdę. Zawsze dużo gadam, ale nie posuwam się dalej. - Uśmiech powoli znowu zagościł na jego twarzy. - Mój ojciec twierdzi, że będę miał sześćdziesiątkę i ciągle będę wisiał matce u spódnicy, bo jej się wydaje, że jeszcze nie wyrosłem z pieluch - dodał. Wybuchem śmiechu

pokrył zażenowanie, a Ward mógł tylko do niego dołączyć, z rozczuleniem przejechałszy dłonią po włosach przyjaciela.

- Któregoś dnia ciebie też dopadnie, bez względu na twoje strachy. I będziesz się tylko zastanawiał, która to oślica cię kopnęła.

Kiedy ruszył z miejsca, usłyszał jeszcze: - Naprawdę tak sądzisz, -Ward? A może pokażesz mi jakąś bestię, chętną, żeby mnie kopnąć dwiema nogami.... Z radością przyjmę cios... Będziesz jutro w kościele? - krzyknął.

Odwracając się w siodle, Ward zawołał: - Nie, jutro nie. Jutro mam zamiar dostarczyć wsi nowego tematu do plotek.

- Boże! A co to znowu?

- Poczekaj, to zobaczysz, Fred. Poczekaj, to zobaczysz. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Ward.

Jadąc drogą, mruczał do siebie: - Jestem po twojej stronie, Ward, bez względu na to, co wszyscy gadają. Więc chyba rzeczywiście muszą plotkować, i wszyscy są po jej stronie. W pamięci zamajaczyła mu jej twarz, taka, jaką widział po raz ostatni, i bezwiednie zadrżał. Ale postanowił się nie poddawać. Do diabła z nią, do diabła z nimi wszystkimi! Wioo... Tak jak John powiedział, przydałoby się trochę świeżej krwi.

* * *

W niedzielę o trzeciej po południu ciężko załadowaną dwukółką przejeżdżał przez ostatnią bramę farmy. Ominął wieś. Z początku nie miał takiego zamiaru, ale kiedy zobaczył panią Killjoy sterczącą z jednej strony powozu, z karłem u boku, który dla postronnych obserwatorów wyglądał jak tłusty chłopczyk o twarzy starca, a każde z nich trzymało po dwa ozdobione kokardkami i upudrowane pudle, zrozumiał, że musi pomóc im uniknąć przykrości i sensacji, jaką wywołałoby jadąc przez wieś. Bo gdyby tylko był sam na sam z Fanny... O, tak, sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej.

Na podwórku pomagał im wysiąść z powozu i po kolei odbierał od nich pieski, które stawiał obok na trawie, dziękując Bogu, że ostatnio pogoda dopisała i zwierzaki nie pobrudziły się błotem. Najpierw podał rękę pani Killjoy, potem jej mężowi, a na końcu obie dłonie wyciągnął do pięknej dziewczyny w długiej niebieskiej sukience i ogromnym słomkowym kapeluszu, którego błękitna woalka ocieniała jej twarz.

Billy ze zdumieniem przyglądał się tej karawanie, dopiero teraz rozumiejąc, dlaczego kazano mu zamknąć Flo i Kapitana, które z pewnością pożarłyby te, tak zwane, psy.

Prowadząc swoich gości w kierunku domu, Ward usprawiedliwiał się głośno: - To bardzo nietypowy budynek. Drzwi frontowe zaplanowano ze złej strony,

wiodą do nich te oto schodki. - Wskazał na niski żywopłot, odgradzający przydomowy trawnik, na którym świeżo skoszono trawę. - Mój ojciec zasadził tutaj te krzewy, a ja już dawno powinienem był je wykopać. No, ale jesteśmy na miejscu.

Drzwi frontowe były otwarte. Ward umiejętnie skrył zdziwienie, widząc Annie stojącą na środku holu w śnieżnobiałym fartuszk i malutkim czepeczku przypiętym na czubku głowy, którego nigdy w życiu nie widział. Przez chwilę zaniepokoił się, że Annie zamierza dygnąć i zamienić wszystko w farsę. Ale nie: stała w wyczekującej pozie, tak jak dobra gospodyni, gdy wskazując na potężną panią Killjoy powiedział: - Annie, to pani Killjoy. Pani Killjoy, przedstawiam pani panią Comp-ton, która pracuje dla mnie od wielu lat, właściwie jest członkiem rodziny. Opiekowała się mną i domem po śmierci moich rodziców.

- Miło mi panią poznać, pani Compton - pani Killjoy teatralnym gestem wyciągnęła do niej dłoń. Z pewnym wahaniem Annie podała jej rękę. Potem przedstawiono jej pana Killjoya. „Bóg jeden wie, jak mi się udało zachować powagę - Annie powiedziała Billy'emu późnym wieczorem. - Ona wielka jak szafa, a on malutki jak orzeszek. A kiedy potrzęsnał moją dłońią... czułam się jak w teatrze.”

- A to panna Stephanie McQueen, Annie - powiedział Ward spokojnym tonem.

- Bardzo mi miło, pani Compton.

- I mnie, i mnie, panienko - wydusiła z siebie Annie, trzymając w swojej dłoni malutką szczupłą rączkę. A później powiedziała do Billy'ego: „No, przyznaję, że mnie zatkało. Z wyjątkiem sceny w życiu nie widziałam, ani nie wyobrażałam sobie takiego zjawiska.”

Ponieważ nikt nie miał wierzchnich okryć, ani nie było zwyczaju zdejmowania kapelusza przy herbacie, całe towarzystwo razem z pieskami udało się do salonu. Tam, pod oknem, stał już nakryty okrągły stół. Ręcznie haftowana serweta i elegancki serwis wprawiły Warda w prawdziwe zdumienie.

Pani Killjoy wprowadziła lekkie zamieszanie, kierując swoją czeredkę w stronę kominka, gdzie kazała zwierzakom usiąść na dywaniku pouczając je, aby się przyzwoicie zachowywały. Jeden po drugim pieski ułożyły się przed pustym paleniskiem, z łebkami na przednich łapach i oczami skierowanymi na swoją panią, wręcz matkę, jak sama siebie określała, i którą w swoim psim świecie akceptowały bez zastrzeżeń.

Wśród wesołego śmiechu całe towarzystwo zasiadło do stołu, a kiedy Ward jako gospodarz zaczął podawać talerzyki z różnymi pysznościami, Annie, stojąc przy podręcznym stoliku, nalewała herbatę.

Najbardziej zdziwił Warda stosunek Annie do całej sprawy: zachowywała się tak, jak według jego wyobrażeń powinna zachowywać się gospodyni lub ochmistrzyni dużego domu, a wiedział, że takie podejście zdecydowanie nie leży w jej naturze. Czy była zdecydowana pokazać przyszłej pani tego domostwa swoje właściwe miejsce? O, tak, to było bardzo prawdopodobne, bo przecież nawet w czasach jego rodziców jej wpływy nie ograniczały się do kuchni...

Po herbacie i nakarmieniu psów smakowitymi okruszkami Ward zaproponował spacer po farmie. - Bez urazy, panie Wardzie, ale jeśli już pan pyta, to mnie i mojemu mężowi największą przyjemność sprawiłoby pozostanie tutaj i miła pogawędka z pańską wspaniałą gospodynią. Prawda, Ken, kochanie? - wykrzyknęła pani Killjoy w typowy dla siebie sposób.

- Oczywiście - Ken zgodził się posłusznie.

Ward spuścił wzrok. Jeden zero dla pani Killjoy. Ta kobieta naprawdę miała niezwykle talenty dyplomatyczne: nie tylko potrafiła wkraść się w łaski Annie, ale jeszcze umożliwiła Wardowi samotny spacer z Fanny. - Czy chciałaby pani obejrzeć moją farmę, panno McQueen? - korzystając z okazji, zwrócił się do dziewczyny oficjalnie.

- Tak, panie Gibson, byłabym zachwycona - odparła tym samym tonem. Ceremonialnym gestem podał jej ramię i wśród wesołego śmiechu wyszli z pokoju.

Na początek Ward pokazał jej oborę, zatrzymując się przy pustych teraz boksach, oznaczonych imionami poszczególnych krów: Dolly, Mary, Agnes, Jessie, Beatrice,

Flora i tak dalej. - Nie mogę w to uwierzyć! Krowy mają swoje imiona. To naprawdę urocze - powiedziała, śmiejąc się radośnie. Pokręciła głową, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów, aby opisać tę zadziwiającą sytuację.

Potem przeszli do stajni, spiżarni, kotłowni i stodoły. Pokazał jej swoje zwierzęta, poczynając od maciory i prosiaków, a kończąc na dwóch koniach pasących się na łące, gdzie świeżo skoszona trawa czekała na zgrabienie.

Jej zdziwienie rosło, gdy w trakcie spaceru objaśniał jej rutynę życia na wsi i sezonowość prac w gospodarstwie.

Kiedy zbliżyli się do kamiennego muru, wyjaśnił jej:

- Tutaj zaczyna się posiadłość Ramsmore'ów, a ziemie po prawej stronie należą do kościoła. Widzisz tę dzwonnice wystającą ponad drzewami? Mówią, że to jeden z najstarszych dzwonów w kraju. Nazywa się Old Crack.

- To wszystko jest cudowne, ale mnie wydaje się jakieś nierealne - powiedziała, opierając łokcie o kamienny mur i wpatrując się w rozciągającą się poniżej łąkę.

- Jak to nierealne?

- No, tak. - Wyciągnęła rękę i zwracając się do niego, spojrzała mu prosto w twarz. - I ty też, Wardzie - powiedziała. - Ty też jesteś nierealny.

- Jestem całkiem rzeczywisty, Fanny. Tak, jestem dostatecznie realny. I ty jesteś dla mnie dostatecznie rzeczywista. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem, coś mnie tutaj złapało. - Zaciśniętą dłonią poklepał się po piersi. - Poczułem wtedy, jakbym cię znał od samego początku, a tylko czekałem, abyś zjawiała się w moim życiu. Trudno mi uwierzyć, że to jest dopiero nasza szósta rozmowa, chociaż wpatrywałem się w twoją piękną twarz już dziewięć razy. Ty... ty wiesz, Fanny, co ja do ciebie czuję?

- Tak, Wardzie. Aleja...

- Nie kończ. Nie kończ, tylko posłuchaj mnie. Kocham cię. Wielki Boże! Jak ja ciebie kocham. Sam jestem zdziwiony. Budzę się w nocy i zastanawiam się, co mnie tak trafiło. Nigdy nie myślałem, że można się tak czuć, nigdy w życiu. Pytam tylko, lubisz mnie?

- O, tak. Tak. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy powtarzając: - O, tak, Wardzie. Lubię cię. Bardzo cię lubię, ale... muszę uczciwie przyznać, że moje uczucia nie są tak silne jak twoje. Widzisz, znamy się tak krótko. Niemniej jednak jestem świadoma, że masz kryształowy charakter i przyjęcie tego, co mi oferujesz, byłoby z mojej strony wielką nieuczciwością...

- Nie mów nic więcej, kochanie. Nie mów nic więcej. Po prostu posłuchaj. Ja mogę poczekać. Poczekać tak długo, aż znikną twoje wątpliwości. Oczywiście, jeśli ty tego chcesz. Ale - powoli pokiwał głową. - O czym to ja mówiłem? Poczekać tak długo, jak zechcesz. Ale na kogo mam czekać? W przyszłym tygodniu wyjedziesz.... dokąd? Nie wiem. Podróżujesz z miasta do miasta i z pewnością spotkasz wielu innych mężczyzn, którzy będą ci składali różne obietnice. Pewnie już nieraz byłeś w takiej sytuacji.

- Tak, Wardzie - powiedziała, delikatnie kładąc mu dłoń na ramieniu. - Miałam różne propozycje, ale żadna nie była podobna do twojej, bo jeśli dobrze rozumiem, proponujesz mi małżeństwo?

- Oczywiście! Oczywiście, tylko to miałem na myśli. Jakżebyś śmiał... - Złapał ją za rękę.

- Och - łagodnie się do niego uśmiechnęła - wielu nie miałooby żadnych oporów oferując mi „opiekę”. Od śmierci rodziców miałam wiele takich propozycji. Ale jedyną opiekę, na której mi zależy, zapewniali mi państwo Killjoy. Teraz zamartwiają się o mnie, ponieważ wkrótce chcieliby przejść na emeryturę i gnębi ich myśl o mojej samodzielności. Ale ja kocham taniec. Zrozum, Wardzie, nie pamiętam swoich pierwszych kroków, ale doskonale

przypominam sobie, kiedy zaczęłam tańczyć. Moja matka była tancerką, piękną tancerką. Przekazała mi wszystkie swoje umiejętności. Twierdziła, że nigdy nie mogła utrzymać mnie na kolanach, bo natychmiast się zrywałam i zaczynałam tańczyć. Więc nie mogę sobie wyobrazić, że nagle miałabym przestać to robić. Tak, jeśli już tyle powiedziałam, to muszę dodać, że czasami rzeczywiście męczy mnie rutyna, to ciągłe podróżowanie, małe hoteliki i marne garderoby oraz, przyznaję, pewien typ publiczności, szczególnie w piątkowe i sobotnie wieczory.

- Wszystko to rozumiem - powiedział, biorąc jej twarz w dłonie. - Och, kochanie, rozumiem to. Dla mnie jesteś zbyt krucha, zbyt piękna i miła, żeby prowadzić taki tryb życia. Ale jeśli chcesz tańczyć, no to mogę co tydzień zabierać cię na tańce. Na przykład do Newcastle, do Assembly Rooms...

Zaśmiała się i odsuwając jego dłonie od swojej twarzy, powiedziała: - Nie sądzę, żeby specjalnie interesował mnie taki rodzaj tańca. Ludzie nie są mi do tego potrzebni. Och... trudno mi to wyrazić. Ale posłuchaj - odwróciła się i wskazując na świeżo skoszoną trawę, stwierdziła: - Mogłabym tańczyć nawet na twojej łące. Ale, oczywiście, wtedy musiałabym mieć buty na grubszej podeszwie niż na scenie.

- Ale, to dopiero byłby widok - zaśmiał się razem z nią. - Chciałbym to zobaczyć. Ale... ale, Fanny - znowu wziął ją za rękę - jeśli chcesz tańczyć tylko dla własnej przyjemności, to bez trudu mógłbym wybudować do tego celu jakieś pomieszczenie. - Coś ci pokażę...

- Przerwał i szybko wzięwszy ją za rękę ruszył biegiem wzdłuż muru, obok kępy drzew, przez mały laszek. Zatrzymali się zdyszani, a wtedy, wskazując coś w oddali, powiedział: - Spójrz tam. To tyły stodoły, ale przyjrzyj się uważnie. - Wyciągnął rękę na prawo i pokazał jej fragment kamiennego muru. - To mogłoby być to.

- Nadal trzymając jej dłoń, prowadził ją w kierunku czegoś, co teraz przypominało jej jakąś szklaną przybudówkę. Ściana miała trzy metry wysokości i dwanaście długości. W ponad dwumetrowej konstrukcji gdzieniegdzie jeszcze tkwiły małe szybki.

- To - powiedział - mogłoby być twoim własnym teatrem. Przybudówka służyła jako cieplarnia do uprawy winorośli, a teraz mógłbym kazać ją odbudować. Zbudował ją mój pradziadek. Podobno przylegała do domu, który tu niegdyś stał, ale nie ma na to żadnych dowodów. Przy stale zmieniających się cenach mleka i mięsa musiał nieco obniżyć koszty utrzymania i cieplarnia powoli niszczała. Ale jest solidnie zbudowana. Chodź i sama zobacz.

Wysokimi butami wydeptywał ścieżkę wśród wysokich traw, a kiedy stanęli w pozbawionej drzwi ruinie i spojrzeli w głąb budynku, ich oczom ukazała się podłoga pokryta gnijącymi przez lata liśćmi, wśród których gdzieniegdzie wyrastały nowe rośliny, niekiedy osiagające wysokość sufitu. - Przyznaję, że teraz nie wygląda to pięknie, ale mogę sobie wyobrazić, że powstanie tu uroczy zakątek - powiedział. - Gdzieś w domu powinien być rysunek tej cieplarni zrobiony przez mojego pradziadka, na którym wyraźnie widać wspaniałe winorośle z winogronami ogromnymi jak pionki. - Uśmiechnął się do niej dodając: - Pewnie nie wiesz, co to są pionki?

- Rzeczywiście, nie wiem.

- Tak nazywamy wielkie odłamki marmuru.

W milczeniu patrzyła na niego z łagodnym uśmiechem na twarzy. W duchu zastanawiała się nad słowami pani Killjoy, które tamta powiedziała, zanim pojawił się Ward, aby zabrać ich ze sobą. „Moja droga, nie pozwól, aby ci to przeciekło przez palce. Jesteś taka młoda, zupełnie jeszcze nie znasz życia. Na scenie jesteś praktycznie od urodzenia, ale o życiu nie masz pojęcia... i o mężczyznach, a zapewniam cię, że nie znajdziesz lepszego. On jest... nie chcę powiedzieć, że to prostak, bo nie ma w nim nic prostackiego, ale jest zbyt prostolinijny, żeby skrywać jakieś wady. Jest szczery i ma szczerą twarz. A bywają tacy, którzy wyglądają na dżentelmenów, z ich ust płynie miód, ale mają coś takiego nieprzyjemnego w oczach. Tego się nauczyłam. A w spojrzeniu tego człowieka nie ma żadnej dwulicowości. Co więcej, on nie jest już chłopcem. Jest dorosłym, dwudziestopięcioletnim mężczyzną, wyglądającym poważnie jak na swoje lata. W porządku. W porządku. - Głos pani Killjoy dzwonił jej teraz w uszach, gdy w myślach powtarzała jej słowa. - Mówisz, że go nie kochasz, przynajmniej nie tak, jak pragnęłabyś kochać człowieka, z którym chcesz się połączyć węzłem małżeńskim. Ale to przyjdzie z czasem, to przyjdzie. Zdziwiające, jak miłość może się narodzić dzięki jednemu słowu, jednemu gestowi. Ale przychodzi."

Czy tak się stanie w przypadku tego mężczyzny? W tej chwili nie była w stanie odpowiedzieć na to pytanie, więc tylko odrzekła: - Nie przekonała mnie obietnica sali do tańca, ale twoja uczciwa propozycja małżeństwa pozwala mi mieć nadzieję, że może masz rację i moja sympatia do ciebie przerodzi się w jakieś silniejsze uczucie. Więc z nadzieją, że nigdy nie będziesz żałował swojej decyzji, mogę ci obiecać, że zostanę twoją żoną, kiedy tylko zechcesz.

Westchnęła głęboko, ponieważ poczuła, że chwycił ją w ramiona i uniósł nad ziemię. Spojrzała na niego z góry, a kiedy stawiał ją z powrotem, czuła jak cały drży. - Tak mi przykro. Tak mi przykro. Przestraszyłem cię. Zachowuję się jak

niedźwiedź. Ale Fanny! Fanny! Nigdy nie będziesz żałowała tych słów, do końca naszego życia. - I biorąc jej twarz w dłonie, pochylił się i delikatnie pocałował.

Zauważyła, że starał się pohamować, więc impulsywnie zarzuciła mu ramiona na szyję. Gdy pocałowała go w policzek, Ward, trzymając ją w ramionach, znieruchomiał. Trzymał ją tak delikatnie, jakby była jakimś nierealnym zjawiskiem, i w gruncie rzeczy tak ją traktował.

I to właśnie ona wyprostowała się pierwsza, poprawiła kapelusz i radosnym tonem powiedziała: - Chodźmy im powiedzieć.

- O, tak... masz rację. Chociaż nie sędzę, żebyśmy wprawili ich w zdumienie. No, może zdziwią się, że ty zamierzasz mnie poślubić, ale co do moich zamiarów w ciągu ostatnich dni nikt nie miał wątpliwości. Wiem, co powie Annie.

- Co?

- Powiedz mi coś, co będzie dla mnie niespodzianką. Trzymając się za rękę, pobiegli przez pola, ominęli stodoły i wbiegli na podwórze. Do kuchni weszli, aby trochę ochłonąć. Z holu dochodził wesoły śmiech, gdy wyszeptała: - Wiem, co się dzieje. Dzieci pokazują sztuczki. To znaczy... pieski. Ale dla pani Killjoy to dzieci.

Kiedy otworzył drzwi do holu, ich oczom ukazał się zadziwiający widok. Annie pokładała się ze śmiechu, dłonią zasłaniając usta, a stojącemu obok niej Billy'emy głowa trzęsła się jak szmacianej lalce. Ale nie to było najbardziej zdumiewające - w największe zdziwienie wprawił go widok chłopca. Carl śmiał się po raz pierwszy, odkąd tu przybył, więcej, nie był to zwykły śmiech, ale pełne zachwyty gulgotanie, gdy obserwował ślicznego białego pieska zataczającego się jak pijak. Zwierzak przewrócił się na grzbiet, przebierając łapkami w powietrzu, tak jak zazwyczaj robił to na scenie. Kiedy pan Killjoy pochylił się nad nim, żeby za karę klepnąć go po pupie, przeturlał się dwukrotnie zanim wstał na tylne łapy i machając przednimi wycofał się do sąsiedniego pokoju, gdzie czekała na niego pani Killjoy.

Annie instynktownie zaklaskała, a Carl poszedł w jej ślady, po czym z poważną twarzą zwrócił się do pani Killjoy. - Proszę pani, czy mogę go pogłaskać? - zapytał.

- Możesz, synku. Nie tylko pogłaskać, ale również możesz wziąć na rękę. Ale to nie „on”, to suczka. Taka mała pijaczka. Chodź no tutaj.

Przyciągnęła suczkę do siebie i podała ją chłopcu. A kiedy psiak polizał go w policzek, chłopak wybuchnął śmiechem. Ale był to jakiś dziwny dźwięk, zupełnie nie jak śmiech, i szybko zmienił się w jęk, gdy pani Killjoy klepnęła

chłopca po plecach. Rozpostarł ramiona i zwierzak zeskoczył na ziemię. - Co się stało, chłopcze? Co ci jest? - zapytała pani Killjoy.

- Bolał go plecy, pani Killjoy - wyjaśnił Ward, wchodząc właśnie do pokoju. - Jest u nas od niedawna, a tam, gdzie był poprzednio, źle go traktowano.

- Nie mogę w to uwierzyć! Taką chudzinę.

- To prawda, pani Killjoy. Ale proszę do salonu, to coś pani pokażę - powiedział Ward, delikatnie popychając przed sobą pieski. Reszta towarzystwa podążyła ich śladem.

- Podciągnij koszulę - zwrócił się do Carla. Chłopak posłusznie zrobił, co mu kazano i ich oczom ukazały się bandaże, którymi miał obwiązane plecy. Annie zdjęła dwie agrafki i wtedy zobaczyli ropiejące rany. Państwo Killjoy przez chwilę nie mogli wykrztusić słowa. - Kto to zrobił? - w końcu kobieta zapytała zdecydowanym tonem. - Powinien siedzieć za to w więzieniu. Jeślibym tylko wiedziała...

- Tylko chłopak go zna, pani Killjoy, ale nie chce nikomu powiedzieć. Zresztą nic nie chce mówić, bo boi się, że będzie odesłany. Ale wiem, że pani nie zdradzi naszej tajemnicy.

- Widziałaś kiedyś coś takiego? - Pani Killjoy zwróciła się do Fanny.

Fanny nie odpowiedziała, tylko podeszła do chłopca, położyła mu dłoń na głowie i wyszeptała coś do ucha. - Itaiianol - zapytał z rozjaśnioną twarzą.

- Nie - pokręciła głową. - Pochodzę z Malty... A ty? Jesteś Włochem?

Radość zniknęła z malutkiej twarzyczki, gdy wymamrotał odpowiedź: - Nie wiem. Myślę, że moja mama była Włoszką. Pamiętam kilka słów, które do mnie mówiła. Ale to było dawno. Mój ojciec posługiwał się innym językiem, chyba takim jak wszyscy inni. I ja.

Pochyliła się nad nim i powiedziała powoli: - Dotknę twoich pleców, ale nie poczujesz żadnego bólu.

W tym momencie Annie poruszyła się, jakby chciała zaprotestować, ale pani Killjoy powstrzymała ją, odzywając się łagodnie: - Ona wie, co robi. Zostawmy ją w spokoju. Jest podobna do swojej matki, ma w dłoniach jakąś moc. - Kiwnęła na Warda, a ten przeniósł wzrok z niej na dziewczynę, która obiecała zostać jego żoną. Ponaglał ją, aby ogłosił tutaj tę wspaniałą nowinę, która teraz wobec potrzeb chłopca wydawała się drugorzędna.

Obserwował, jak przesuwa palcami po ropiejących ranach, w niektórych miejscach naciskając silniej, co jednak nie wywoływało żadnego bólu.

Obserwował teraz tę piękną istotę, która przez ostatnie dni prawie doprowadziła go do szaleństwa, jak z zamkniętymi oczami i pochyloną głową przez chwilę porusza wargami, jakby mówiła coś do siebie. Potem szybko

zabrała dłonie z pleców chłopca, wyjęła z kieszeni sukienki chusteczkę i wycierając ręce uśmiechnęła się do chłopca szeroko. - Wkrótce poczujesz się lepiej - zapewniła go. - Czy... coś czułeś?

Dzieciak znowu się uśmiechał. - Na plecach czułem jakieś ciepło, wręcz gorąco, ale przyjemne. To było takie... kojące.

- Mówiłeś kiedyś po włosku? - zapytała go. Pokręcił głową. - Nie pamiętam. Tak jak mówiłem, moja matka czasami używała włoskich słów. Pamiętam wyraz bambino. Pogładziła go po policzku i zapytała - Jak masz na imię?

- Carl, proszę pani.

- Powodzenia, Carl. Powodzenia.

- Tak, proszę pani.

Odwrócił się teraz do Warda, który sztywno, prawie ze złością, wykrzyknął: - Czy wiesz, chłopcze, co zrobiłeś?

- Nie, nie wiem, sir - odparł dzieciak lękliwie.

- Pozbawiłeś mnie możliwości zrobienia wielkiej niespodzianki, to wszystko. - Podeszedł do chłopca i zmierzwił mu włosy, zwracając się do pozostałych: - Mówię poważnie. Przyszedłem, aby ogłosić wspaniałą nowinę.... naszą wspaniałą nowinę... - Wyciągnął dłoń w kierunku Fanny, przyciągnął ją do siebie i obejmując jej szczupłe ramiona potoczył wzrokiem po zebranych. - Ta piękna dama obiecała zostać moją żoną - ogłosił.

Wszyscy wpatrywali się w niego i, z wyjątkiem chłopca, zdawali się porażeni tą wiadomością. A chwilę później wybuchła wielka wrzawa. Fanny straciła oddech w olbrzymich ramionach pani Killjoy, dłoń Warda ucisnęła najpierw pan Killjoy, potem Billy, a w końcu

Annie podeszła do niego. Nie podała mu ręki, ale uśmiechając się powiedziała żartem: - Co za niespodzianka! Co za niespodzianka! - On w odpowiedzi żartobliwie poklepał ją po ramieniu. Sprawiała mu wielką przyjemność, mówiąc spokojnie: - Ona jest zupełnie inna niż się spodziewałam. Mógłbyś trafić znacznie, znacznie gorzej. Uważaj, żebym kiedyś w przyszłości, kiedy wszystko sobie przemyślę, nie powiedziała, że jest dla ciebie za dobra. Ale czas na toast, prawda? - stwierdziła szybko, nie dając mu czasu na odpowiedź.

- Tak, Annie, sądzę, że masz rację.

- Więc zaproś ich do jadalni, a ja się tym zajmę. Ale... - przerwała na chwilę. - Czy zabierzemy tego małego?

Odwrócił się, aby spojrzeć na rozjaśnioną zadowoleniem twarzyczkę, po czym zauważył Billy'ego potrząsającego dłoń swojej przyszłej chlebodawczyni. - Czemu nie? No, czemu nie? - szybko odpowiedział Annie. - Chyba mamy trochę piwa imbirowego? - I wyciągając rękę w kierunku chłopca, dodał: - Chodź z

nami, nicponiu. Po raz pierwszy weźmiesz udział w uroczystości. I pamiętaj, nigdy w życiu nie będziesz świadkiem takiego szczęścia.

Wziął chłopca za rękę, a drugim ramieniem objął Fanny i jak rodzina udali się na spotkanie przyszłości.

Rozdział piąty

Pulchna postać pastora pęczniała oburzeniem. - Nigdy mi przez myśl nie przeszło, że będę musiał ci to powiedzieć, Wardzie Gibson, ale twoja sugestia jest wysoce niestosowna. Przychodzisz tutaj, abym ogłosił zapowiedzi twojego ślubu z osobą, która całe życie spędziła na scenie, a to byłoby podejrzane, nawet gdyby takie przypadki opisywali Szekspir czy Dickens. Tancerka najgorszego sortu...

- Uważaj, pastorze! I powiem ci, że gdyby nie te szaty, które masz na sobie, już leżałbyś rozciągnięty na podłodze zakrystii... Tak, radzę ci, żebyś się wycofał, ponieważ ja poślubię tę damę.

- Tak sądzisz. Tak sądzisz. Ale co z damą, do której zalecałeś się przez te wszystkie lata, a teraz zostawiłeś opuszczoną, wzgardzoną i okrytą niesławą, która kładzie się cieniem nie tylko na nią, ale i na całą jej rodzinę? Ze wstydu przestali przychodzić do kościoła.

- O, tak. A ty pastorze, odczuwasz wielki żal, prawda? Nie będzie już więcej dowodów wdzięczności zapychających twój wielki brzuch. Tęskno ci będzie za prosiaczkami i barankami, nie wspominając codziennej porcji mleka, którą otrzymujesz w prezencie, podczas gdy twój wikary musi za to wszystko płacić. Czyż nie mam racji, pastorze?

Twarz pastora stawała się coraz bardziej purpurowa, a jej wyraz ujawniał, jak straszliwy gniew trawi duchownego. - Jesteś niegodziwym człowiekiem, Wardzie Gibson! - wykrzyknął. - I ściągasz hańbę na naszą wieś. Nasza społeczność to jedna wielka rodzina. A wiedz, że opinia ogółu o tobie jest dokładnie taka sama jak moja.

Ward rozciągnął usta w pogardliwym uśmiechu. - Być może - powiedział - ale czy masz pojęcie, jaka, odkąd pamiętam, jest powszechna opinia o tobie, pastorze? A jeśli nie wiesz, to teraz ci powiem. W stosunku do bogatych zachowujesz się jak pijawka, a biednych ignorujesz. Pomoc dla nich pozostawiłeś wikaremu i różnym innym osobom. Ach, nawet tym, którzy ośmielili się być metodystami, baptystami albo w ogóle nie należą do żadnego kościoła. Pamiętasz pewnie rodzinę Reganów z Bracken Hollow. Oni nie zmieniliby przekonań i nie poszliby do kościoła Świętego Mateusza, więc ty zastanawiałeś się, czy pochować starego Regana na naszym cmentarzu. Gdybyś tylko mógł, najchętniej zostawiłbyś go na wrzosowiskach, bo twoim zdaniem miał skazę. Był katolikiem. To samo było z McNabbami. Ale John McNabb pokazał ci twoje miejsce, prawda? Kopnął cię w tyłek. Przypomnę ci jeszcze jedną dziwną sytuację. Kilka lat temu parę osób głodowałoby bez wsparcia

heretyków z naszej wsi. O, pastorze, wiedziałbyś, co ludzie o tobie myślą, gdyby połowa z nich nie bała się otworzyć ust z obawy, że przekażesz to ich pracodawcom, z którymi siadujesz przy jednym stole napychając swój bebecz. Ale masz tu przed sobą członka społeczności, jeśli już nie wsi, który zamierza powiedzieć ci prawdę. A ja nie jestem zastraszonym, poniżonym wieśniakiem... - Po tych słowach odwrócił się od doprowadzonego do furii duchownego i wymaszerował z zakrystii prosto do kościoła. Tam, stojąc przy ambonie, krzyknął w stronę zakrystii: - Następnym razem moja noga postanie w kościele tylko jeśli będę miał jakiś bardzo, bardzo ważny powód! Tak, bardzo ważny powód.

* * *

- Przekonam go, Wardzie. Naprawdę, powiem mu, że udzielię wam ślubu w kościele Świętego Mateusza. Jest dostatecznie duży, aby pomieścić wszystkich zaproszonych. Osobiście i tak wolę Świętego Mateusza - jest bardziej przytulny i... nie waham się tego powiedzieć, bardziej święty. Był zbudowany dzięki ofiarności i miłości przodków rodziny Ramsmore. Mieli lepszy pomysł niż ten groteskowy kawał blachy, który oddziela ołtarz od wiernych. Och, ta tęcza działa mi na nerwy.

Ward patrzył z sympatią na młodego wikarego, który następnego dnia pojawił się na farmie. - Dziękuję ci Frank - rzekł - ale już zdecydowaliśmy się z Fanny na świecką ceremonię w Newcastle. Uczciwie mówiąc, dla mnie nie ma to najmniejszego znaczenia, jeśli w efekcie będziemy sobie poślubieni.

- Ona jest uroczą dziewczyną, rozumiem więc, co do niej czujesz. Ale przyszedłem, żeby w imieniu Jane zaprosić was na mały poczęstunek. Nic specjalnego, bo jak do tej pory od czasu do czasu dostaję tylko parę kartofli. A i to nie zawsze. Ale rzepy mam pod dostatkiem.

- Kilka dni temu słyszałem, że mleko musiałeś kupować we wsi, w sklepie Hanny Beaton.

- To prawda, ale Jane jest zadowolona, bo w przeciwieństwie do mnie, nie lubi wyciągania ręki po jakieś resztki. Mówi, że nie chce miłosierdzia. Drażni ją, że cała nasza egzystencja na tym się opiera.

- Wasza egzystencja? O czym ty mówisz Frank?

- No cóż, lady Lydia, wiesz o kim mówię, ma kuzyna, który z kolei chodził do szkoły z matką Jane. Pocztą pantoflową dowiedział się, że droga Jane poślubiła zupełnie gołego i schorowanego wikarego, z którym mieszka teraz w straszliwych warunkach, prawie pod mostem, w najgorszej dzielnicy Newcastle. Tak dalej być nie mogło. A ponieważ w pobliżu znajdował się mały kościółek i obok tak zwana plebania, zajmowana przez wiekowego pastora, niezdolnego

nawet do odprawiania mszy, a pozostającego tam tylko dzięki łaskawości pułkownika Ramsmore'a, postanowiono, że stary pastor przeniesie się do wsi, a biedny wikary przejmie jego obowiązki. Jego żona i dziecko będą przynajmniej mieli świeże powietrze, jeśli już nie mogą liczyć na nic więcej. Tak to wszystko było.

- Co to znaczy „schorowany”, Frank? Coś ci dolega? Nie wyglądasz na chorego i nigdy nic nie wspominałeś o kłopotach ze zdrowiem.

Frank Noble poklepał się po lewej stronie klatki piersiowej. - Lekka gruźlica. Naprawdę lekka. Nawet już nie kaszlę i czuję się doskonale. Ale przyznam ci się do czegoś, czego nie powiedziałbym nawet Jane. Wolałbym wrócić na tamtą stronę rzeki, do swoich, bo tam są zupełnie inni ludzie. Nigdy nie lubiłem wsi. Wychowałem się na obrzeżach osady podobnej do tej. - Ruchem głowy potoczył wokół. - Poza oczywistym podziałem klasowym było tam tak wiele wzajemnej niechęci. Wiem, że taki podział musi istnieć. Zawsze tak było i zawsze będzie, ale drażni mnie zaściankowość tych ludzi i nie potrafiłem współczuć ani jednemu, ani drugiemu. Wiesz, że nadal nie potrafię. - Pochylając się do Warda, wyszeptał:

- Nie wiem, po co ubrałem się w te szaty... chodzi mi o tę pracę. Wiele razy pytałem o to Boga, ale nigdy nie otrzymałem jednoznacznej odpowiedzi. A Jane jest z Nim w lepszych stosunkach i zawsze dostaje proste odpowiedzi. Popełniłeś największy błąd swego życia wybierając ten zawód, mówi mi przynajmniej raz na tydzień. I wiesz co, Wardzie? Gdybym któregoś dnia zrezygnował i poszedł szukać pracy w stoczni, fabryce, czy na dole w kopalni, podskoczyłaby z radości.

- Uśmiechnął się, zanim dodał: - No, może nie tak wysoko jak trzy lata temu, zanim urodziły się dzieci. Ale i tak umawiamy się na kolację. Kiedy możesz do nas przyjść?

- Kiedy tylko zechcesz.

- Powiedzmy we czwartek. To taki spokojny dzień, nie sądzisz? Do środy wszyscy piją na umór w tutejszych gospodach, więc czwartek jest jakimś wyjątkowo suchym dniem. W piątek wszyscy szykują się na sobotni targ kończący się pijaństwem w gospodzie. Oczywiście, nie mówię o naszej grupie metodystów. Przyzwoici ludzie ci metodyści. Zawsze tak uważałem.

Zbierał się teraz do odejścia, śmiejąc się i machając ręką na pożegnanie. Ward stał z szerokim uśmiechem na ustach. Frank był dla niego bliskim człowiekiem, i z pewnością wybrał właściwy zawód. Powinien mieć swoją parafię. Na pewno nie bałby się wyrazić z ambony swojej opinii i przygotowałby więcej niż sześć kazań w ciągu roku. Miło było czuć, że ma się jednego przyjaciela... Co też mu przyszło do głowy? Przecież miał kilku przyjaciół. Po pierwsze, Fred, którego zamierzał poprosić, aby został drużbą. Jego ojciec, bracia - John i Will oraz pan

Newberry, który obiecał upiec tort weselny. Miała to być niespodzianka, ale Fred nie potrafił dochować tajemnicy i zdradził już, że ciasto będzie się składało z dwóch warstw przełożonych kremem migdałowym i zostanie ozdobione śnieżnym lukrem z najlepszych białek.

Stał i patrzył, aż młody wikary zniknął mu z oczu na końcu drogi, po czym odwrócił się i pośpieszył do domu.

- Gdzie jesteś? - krzyknął w holu.

- A jak myślisz? - odezwała się Annie z góry. Pobiegł na piętro, przeskakując po dwa stopnie i wołając po drodze: - Co ty tam robisz?

- A jak myślisz? - Znowu usłyszał tę samą odpowiedź. Kierując się za jej głosem, odnalazł ją w pokoju należącym kiedyś do jego rodziców. Annie stała na krześle i zdejmowała z okna zasłony.

- Co ty wyprawiasz? Zejdź z tego krzesła. Zarwie się pod tobą i połamiesz sobie nogi. Zejdź, kobieto!

- Nie bujaj mnie, bo spadnę ci na głowę. I poczekaj chwilę, aż zdejmę ten haczyk z kółka.

Skończywszy zrzuciła ciężką zasłonę w taki sposób, że część materiału spadła mu na głowę.

- To powinno być zrobione dawno temu! - wykrzyknęła, stojąc już na podłodze. - Twoja matka lubiła takie ciężkie tkaniny. Wybrała je przynajmniej... och, dwadzieścia pięć lat temu, przed samym twoim urodzeniem, kiedy odbywała się wyprzedaż w Quayle Manor. Wtedy były rzeczywiście piękne, ale teraz mogą się założyć, że nie wytrzymają prania i podrą się na strzępy.

- Co w związku z tym proponujesz?

- Zależy, co zamierzasz kupić. Moim zdaniem powinieneś wybrać coś jasnego i przyjemnego, coś, co będzie pasowało do dywanu. Tak, tak. Spójrz na podłogę - powiedziała wskazując palcem. - Leżał tutaj, odkąd pamiętam. Jest przepocony, bo twój ojciec nie miał zwyczaju chodzić po domu w rannych pantoflach, tylko na bosaka.

- No, dobrze, załatwiłaś sprawę dywanu i zasłon. A co z meblami? - zapytał, cofając się o krok. - Chcesz wszystko wyrzucić?

- Przede wszystkim nie chcę słuchać twoich zgryźliwych uwag. Wzięłam to na siebie tylko dlatego, żeby pokazać ci, że kompletnie nie masz wyczucia, bo przy odrobinie rozsądku zaprosiłbyś tu pannę Fanny i zapytał, jakie zasłony jej się podobają. Będiesz się z nią widział dzisiaj wieczorem?

- Oczywiście, że będę się z nią widział dzisiaj wieczorem.

- Więc proponuję ci, żebyś również jutro z samego rana wstąpił do niej i przywiózł ją tutaj, bo chyba możesz sobie wyobrazić, jak ona się czuje siedząc cały dzień w domu.

Patrzył na nią uważnie, gdy zbierała zakurzone zasłony i nie odezwał się ani słowem. Dopiero gdy mijała go z naręczem brudnych tkanin, zapytał: - A co byś powiedziała, gdybym jutro przywiózł ją tu na następne trzy tygodnie?

Przystanęła i z podbródkiem opartym na materiale odparła: - Nie byłabym zaszokowana.

- Wiem, że nie. Wiesz przecież, że i tak bym to zrobił. Stary Tracey odmówił nam ślubu kościelnego.

- Nie!

- Ależ tak. Frank zaproponował, żebyśmy pobrali się u Świętego Mateusza. Odmówiłem, powiedziałem, że pojedziemy do urzędu stanu cywilnego.

- Stary dziadyga, nigdy nie miałam o nim dobrego zdania. - Poprawiła sobie naręcze zasłon i trzeźwo zauważyła: - Może to wyjdzie ci na dobre, bo pewnie nie wiesz, że we wsi rozpętałeś wojnę. Część wsi jest po twojej stronie, a reszta stoi za Daisy Mason. O ile dobrze zrozumiałam, to dwaj bracia Daisy rozdmuchują to wszystko. Ich sprawa, co im się podoba i jakie mają zamiary, ale zamiary i działanie to dwie zupełnie różne rzeczy. Ten Pete to straszna gaduła. Ale Sep sam palcem nie kiwnie. Zresztą i tak nie możemy nic na to poradzić, pozostaje nam tylko czekać, czyje będzie na wierzchu. A w ogóle to zrobiłam dla niej krem, zabierz go ze sobą. Trzeba ją trochę dokarmić. Chyba nie zamierzasz poślubić wieszaka na ubrania?

Kiwnął głową, jakby dopiero teraz zareagował na jej poprzednie wynurzenia. - I tak musimy poczekać i zobaczyć. - Zbliżył się do mosiężnego łóżka i stanął, wpatrując się w nie uważnie. Urodził się na tym łóżku, tak samo zresztą jak jego ojciec. Ale wtedy leżał tutaj zupełnie inny materac, podwójny piernat, w który można się było zapaść.

Rozejrzał się wokół. Pokój był ogromny. Mahoniowe meble wyglądały jeszcze solidnie, ale tapety należało wymienić. Annie miała rację, trzeba było wprowadzić tu trochę światła. W zasadzie należałoby rozjaśnić cały dom, i rzeczywiście, ona powinna mieć w tym swój udział. Pojedzie do niej jutro z samego rana i proponuje, aby przyjeżdżała tu codziennie, a wieczorem on ją będzie odwoził. W ten sposób będą mieli dużo czasu, żeby wszystko zaplanować.

Stał, trzymając się oparcia łóżka, z jednej strony przepelniony radością, z drugiej zaś mieszanką goryczy i żalu, że nie może wziąć ślubu w tym samym kościele, co jego rodzice, i że cała wieś nie będzie razem z nim świętować, tak

jak pewnie miało to miejsce w dniu ślubu rodziców. Było mu przykro, że w stodole nie rozlegną się dźwięki skrzypiec Harry'ego Batesa i Ja-ke'a Mulberry'ego, i akordeonu Amosa Lakera, a wesoła zabawa nie połączy tego dnia wszystkich jego przyjaciół.

Otrząsnął się jak pies usiłujący otrzepać nadmiar wody. Dlaczego tak mu zależy na ludziach ze wsi? Przecież nadal ma tam przyjaciół. Teraz naprawdę liczy się tylko to, że wkrótce... ona - tutaj jego myśli pogalopowały naprzód - znajdzie się w tym łóżku. Ostrzegł sam siebie, żeby nie zapomnieć nauk Neli. Musi pamiętać, że to nie będzie tak, jakby było z Daisy Mason. Och, nie, będzie miał do czynienia z młodą, niedoświadczoną dziewczyną, z aniołem. Tak, z aniołem, ale z uśmiechniętym, miłym, cudownym aniołem, zupełnie innym niż wszystkie dziewczyny, z którymi kiedykolwiek się zadawał.

Tak - na chwilę przerwał swoje rozmyślenia - z inną, zupełnie inną. I jeszcze te plecy Carla. Nazajutrz po tym, jak położyła na nich swoje dłonie, na bandażach nie było już śladu ropy i chociaż pręgi po uderzeniach nadal były widoczne, jednak blizny wydawały się znacznie jaśniejsze, jakby pewnego dnia miały zniknąć. Był wstrząśnięty tym odkryciem, ale kiedy wspomniał o tym Annie, zdumiało go, że wcale nie była zdziwiona. „Takie rzeczy zdarzają się - powiedziała - bywają ludzie obdarzeni zdolnościami uzdrawiającymi. O, tak - mówiła - kiedyś za coś takiego palono na stosie. Dzięki Bogu, to już należy do przeszłości. A przynajmniej większość tego wszystkiego" - dodała.

Powoli podszedł do wezglowia łóżka i dotykając jednej z leżących tam poduszek, powiedział na głos: - Nigdy nie zranię cię w żaden sposób. Boże, przebaczn, jeśli by mi się to zdarzyło.

Rozdział szósty

Miał to już za sobą. Należała do niego. A teraz goście weselni wsiadali do powozu. Ponieważ farma Warda dysponowała jedynie pojazdami takimi jak wóz konny, wóz do zwożenia siana i dwukółka, Annie uznała, że należy wynająć powóz. Ostatecznie pan Newberry zaproponował, żeby skorzystać z jego bryki, która nie tylko służyła do przewożenia ludzi, ale również miała wygodny daszek.

W pojeździe siedziało dziewięć osób, z czego cztery związane z teatrem, a Billy w swoim niedzielnym ubraniu i meloniku pokrzykiwał: - No, jazda! - na co Betsy kroczyła dostojnie, bo przyszło jej ciągnąć spory ciężar.

Droga powrotna na farmę trochę się więc dłużyła, ale wszyscy byli w radosnych nastrojach, a to dzięki przekomarzaniom Freda z kuglarzem i panu Carterowi wtrącającemu fragmenty monologów. Nikt więc nie zauważył, że prawie nie było słyhać nowożeńców. W gruncie rzeczy, siedząc ramię przy ramieniu, wcale się nie odzywali aż do chwili, gdy wjechali na podwórze farmy. Wtedy Ward wykrzyknął zdumiony: - Wielki Boże! Spójrzcie! - wskazując na niespodziewanych gości czekających przed domem. Przez następne dziesięć minut przyjmowali gratulacje i życzenia.

Ward był podniesiony na duchu. Spotkał tu ludzi, którzy nie potępiali go i nie odmówili kupowania od niego mleka. A odmowy zaczęły się w momencie, gdy po wsi rozniosła się wieść o jego rychłym małżeństwie. Billy przyniósł do sklepu Hanny Beaton masło, zresztą tak jak robił to przez wiele lat, a ta zaczęła na niego wrzeszczeć: „Możesz się więcej nie trudzić Billy Comptonie, i powiedz mu, że nie będę już sprzedawała jego mleka. To samo dotyczy jajek i wszystkiego.” I nie była jedyna we wsi, która tego dnia odmówiła zakupu jego mleka, ponieważ tak samo postąpiły cztery inne osoby. „A czego się spodziewałeś? - skomentowała to Annie. - Stara matka Hanny Beaton i pani Mason są kuzynkami.”

A teraz widział przed sobą całą rodzinę kowala, nie tylko Charliego Dempseya, ale również jego dwóch młodszych synów, Johna i Henry'ego, oraz Phyllis, jedną z zameżnych córek mieszkającą w Fellburn. Był tam również Fred Conroy, taki spokojny człowiek, wdowiec od dziesięciu lat, który przyszedł ze swoim Jimmym, aktualnie chodzącym w konkury do Susie Beaton. Zdziwił go widok Bena Holmana, szewca, posłańca lub karawaniarza, w zależności od potrzeb. A wreszcie, co nie było dla niego niespodzianką, zobaczył wielebnego Franka Noble'a z żoną Jane i dwojgiem małych dzieci... oraz uśmiechającego się od ucha do ucha Carla, wpatzonego w swoją nową panią.

Ward zatrzymał się, aby się odwrócić i spojrzeć na Fanny. Bez uśmiechu wpatrywała się w niego wielkimi zwilgotniałymi oczami.

By ochronić swą młodą żonę przed napierającymi ludźmi, delikatnie poprowadził ją do szczytu stołu, gdzie z uśmiechem dobrej wróżki czekała na nich rozanielona Annie. Fanny spontanicznie zarzuciła jej ręce na szyję i ucałowała w policzek.

Annie odwzajemniła uścisk, po czym przekrzykując gwar wyjaśniła: - To nie ja sama przygotowałam to wszystko, proszę pani. Miałam pomocników. A tam dalej jest stół zastawiony prezentami. Proszę, niech pani sobie usiądzie, bo oni wszyscy radzi będą zacząć. Od rana nie mieli nic w ustach.

Ten komentarz wywołał gromki śmiech i rozpoczął się poczęstunek, który - przeplatany toastami i życzeniami szczęścia - trwał jeszcze ponad godzinę.

Potem całe towarzystwo ruszyło do salonu, gdzie ku rozczerowaniu Warda okazało się, że jest za mało miejsca na pokazanie magicznych sztuczek. Na szczęście talent pana Cartera nie wymagał dużej powierzchni, mógł więc zabawić gości swoimi monologami, chociaż wywołał zdziwienie przyjaciół, bo z jego ust nie padło ani słowo Szekspira czy Dickensa. Co dziwniejsze, nie powołał się również na „Cornhill Magazine”, czy inny magazyn dla intelektualistów, z których czerpał swoją wiedzę, ale wywoływał wybuchy śmiechu naśladując przeróżne dialekty.

Tak minęło całe popołudnie, aż goście z Newcastle zaczęli się żegnać. Dostali wiele zaproszeń do powtórnych odwiedzin, i to nie tylko na farmę, ale również do rodziny kowala i piekarza, a w końcu trochę makabryczną propozycję Bena Holmana, który powiedział: - Możecie wpaść, kiedy tylko macie ochotę, to za darmo wezmę wam miarę na gustowne trumienki z mosiężnymi uchwyty. - Odjechali wśród ogólnego śmiechu.

Pozostali również zaczęli się zbierać wśród zabawnych komentarzy Roba Newberry, który stwierdził: - Przyjechałem na bal i teraz moja rodzina musi wracać na piechotę, bo byłem na tyle głupi, żeby pożyczyć moją brykę tym zwariowanym aktorom.

Kiedy ostatnia dwukółka, zabierająca młodego pastora i jego żonę machających na pożegnanie, wytoczyła się z podwórza, nikt nie zrobił żadnej uwagi na temat panny młodej stojącej obok męża i jedną ręką obejmującej małego chłopca w spodenkach zapiętych pod kolanami i białej sportowej koszuli. Szeptano tu i tam, że to jakiś krewny oblubienicy, bo czyż nie pojawił się dokładnie w tym samym czasie, co ona? Nikt nie śmiał zapytać Warda o rodzaj łączącego ich pokrewieństwa, ponieważ wiadano, jaki jest drażliwy i najprawdopodobniej kazałby każdemu pilnować własnych spraw. Wprawdzie tak

było, zanim się ożenił... no, a mężczyzna jest wtedy bardziej przystępny, ale jego koligacje z chłopcem i tak się kiedyś wyjaśnią...

Fanny uparła się, aby pomóc Annie posprzątać ze stołów i wszystko uporządkować, i chociaż tamta sprzeciwiała się, Ward nie protestował, wychodząc z założenia, że może to być pierwszy krok do utrzymania harmonii w domu. Sam poszedł w stronę zabudowań gospodarskich, ale z wyjątkiem chłopca nie spotkał nikogo z kim mógłby porozmawiać. - No, co, Carl, jak ci się podobało twoje pierwsze wesele? - zagał.

Chłopiec, patrząc na niego, nie odpowiedział na pytanie, ale stwierdził: - Ona jest taka piękna... Bella, bella.

Słyszac to Ward roześmiał się i z sympatią przejechał dłonią po włosach chłopca. - Masz rację. O, tak, ona jest bella, bella - powiedział.

O dziewiątej wszystko było już uporządkowane. Annie z uśmiechem życzyła im dobrej nocy, a Ward zarygłował drzwi wejściowe. A potem zaniósł swoją żonę na górę do sypialni.

Bez wątpienia zasnął, bo słońce stało już wysoko i przeświecało przez nowe zasłony. Z niecierpliwością odwrócił się na drugi bok, a ona ciągle tam była - zupełnie przytomna i uśmiechnięta. Pierwsza się do niego odezwała. Wyciągnąwszy rękę, odgarnęła mu włosy z czoła i czule powiedziała: - Nadal pana lubię, panie Gibson, ale muszę przyznać, że uczucie, które teraz do pana żywię, jest tak dziwne, że chyba można by je nazwać... miłością.

- Fanny... Och, Fanny! Fanny. - Nie był w stanie wydusić z siebie nic więcej.

Część druga

Rozdział pierwszy

Pierwsze sześć miesięcy małżeństwa było dla obojga cudowne. Ward z radością budził się każdego ranka i kładł do łóżka każdego wieczora. Fanny inne rzeczy sprawiały radość: Ward okazał się tak wspaniały jak jego obietnice, a cieplarnia została przebudowana i gdy tylko miała ochotę, mogła tam pójść i tańczyć. Wtedy często jedyną publicznością był jej mąż, ale niekiedy była świadoma obecności Billy'ego lub, znacznie częściej, wpatrującego się w nią chłopca.

Zakochując się w Wardzie, jednocześnie obdarzyła chłopca wielką czułością. Sama dziwiła się, że traktuje go jak swego krewnego, i być może byli spokrewnieni, bo przecież żadne z nich nie znało dokładnie swoich rodzin. On z pewnością pochodził z tej samej części świata co jej matka, gdyż niekiedy, zupełnie spontanicznie i ku swemu wielkiemu zdziwieniu, przypominał sobie włoskie słowa. Martwiły ją jedynie jego nocne koszmary, bo Ward często mówił, że w nocy od strony stryszku słyszał rozpaczliwe krzyki.

Radość czerpała nie tylko z tańca, gdyż nie minął tydzień, jak Ward zabrał ją do Newcastle. Tam poszła do teatru i spędziła cudowny wieczór w Balhambras, znanym z różnorodności i sprośności repertuaru, i którego publiczność z pewnością nie przyjęłaby gorąco jej występu. Sztuczki państwa Killjoy i ich rodziny też pewnie nie znalazłyby tam tylu zwolenników, co w Empire. Ale najbardziej podobały jej się tańce w Assembly Rooms, chociaż później Ward powiedział, że byli tam po raz pierwszy i ostatni, ponieważ zwracała na siebie zbyt dużą uwagę. Powiedział to żartem, ale nie sprawiło jej przykrości, że naprawdę tak myślał.

Miłość Warda zdawała się wpływać na całą jego posiadłość. Zboża dawno nie obrodziły tak jak tego roku, krowy dawały nad podziw dużo mleka, kwitło całe gospodarstwo. Natomiast zupełnie inaczej sprawy miały się we wsi.

Już w pierwszych dniach swego małżeństwa zorientował się, na czym stoi. Nie cieszył się poparciem w Gospodzie pod Pędzącym Zającem, jako że jej właściciel, Sam Longstaffe, i jego mała żona co niedzielę chodzili do kościoła. Natomiast znacznie cieplej witany był przez Michaela Holdinga i jego rodzinę w Koronowanej Głowie. Nie należał do stałych bywalców gospody, ale wpadał tam niekiedy na kufelek wracając z Fellburn czy Gateshead. Powiedział Annie ze śmiechem, że dopóki ma po swojej stronie karczmarza, piekarza, kowala, szewca

i właściciela zakładu pogrzebowego, to może przetrwać. Niemniej jednak denerwowało go, że większość bywalców kościoła ledwo go zauważyła. Przyczyniła się do tego pewnie jego znajomość z pastorem Wainwrightem z kaplicy metodystów, który razem ze swymi czterema synami nie wahał się odpowiadać na jego pozdrowienia. Dwaj młodszy chłopcy nawet zdejmowali czapki na jego widok.

Był początek marca 1887 roku. Pogoda była jak najbardziej typowa dla tej pory roku. Porywy wiatru przynosiły marznący deszcz uderzający w okna, gdy Fanny powiedziała Wardowi, że spodziewa się dziecka.

Podwórko było jednym wielkim bajorem i Annie znowu pokrzykiwała na niego: - Zdejmij te kalosze! Nie zamierzam znowu na klęczkach szorować kuchni czy holu, paniczu Wardzie. A w ogóle, to jeśli dla pani mogłeś położyć betonową posadzkę w sali tanecznej, to możesz to również zrobić na podwórku. Mówią, że farma Bainabridge'a jest sterylnie czysta, bo całą wyłożył płytkami.

- Annie, jeśli powiesz jeszcze jedno słowo na temat błota, brudnych butów, czy mokrych ubrań, to nie odpowiadam za siebie - powiedział. A po chwili ciszy zapytał spokojnie: - Gdzie jest pani?

- Ostatnio widziałam ją na strychu. Wbiła sobie do głowy, że musi zrobić tam porządki. Ja nie mogę jej powstrzymać, więc może tobie się to uda. Zobacz, czy powie ci to samo co mnie. Musi się czymś zająć. Jeżeli nie może tańczyć, to przynajmniej chce poruszać rękoma. - Mówiąc to, Annie nie przerywała pracy, a Ward w samych skarpetkach przebiegł przez kuchnię i hol i zatrzymując się na podeście schodów, zawołał:

- Gdzie jesteś?

Po chwili usłyszał chichutki głos: - Jestem na górze wśród różnych szpargałów. Obok mnie jest dobre miejsce.

Przeskakując po dwa stopnie wbiegł na strych i zobaczył ją przed otwartym kufrem, klęczącą wśród rozrzuconych wokół kawałków materiałów i starych albumów. - Co ty tu robisz? - zapytał ochrypłym głosem.

- Chyba nie zamierzasz teraz myć tych kufrów?

- Ależ tak, proszę pana, właśnie o tym myślałam.

- Uśmiechnęła się i dodała: - Chodź tu i usiądź.

- Nie zamierzam siadać. A ty wstawaj. - Pomógł jej wstać i trzymając na odległość ramienia powiedział:

- Spójrz na siebie. Masz całą spódnicę zakurzoną i...

- A to oznacza, że nikt tu od wieków nie sprzątał, a - rozejrzała się wokół - można by wykorzystać te pomieszczenia. Tutaj są trzy obszerne pokoje i jeden nieco mniejszy.

- Wiem, ile tu jest pokoi, ale na dole mamy dosyć pracy.

Uwolniła się z jego ramion i usiadła na starym wiklinowym krześle opartym o ścianę. - Przynieś to pudło i usiądź koło mnie - powiedziała, kiwnąwszy na niego.

- Musimy porozmawiać.

Kiedy z głębokim westchnieniem przyniósł to, o co prosiła, chwyciła go za rękę i zaczęła je rozcierać.

- Zmarzłeś - zauważyła.

- Pewnie, że zmarzłem, bo tu jest lodowato, a na dworze zacina deszcz i wieje. Przemokłem do suchej nitki. Billy ma zły humor, a chłopak przeziębził się i musiał zostać w łóżku. A jeśli chodzi o Annie, nie... lepiej nie rozmawiajmy o Annie. A teraz ty.

- Tak, a teraz ja. - Pokiwała głową. - I muszę się przyznać, sir, że... No, myślę, że najlepszym słowem jest „zblądziłam”. Jestem upadłą kobietą.

- O czym ty mówisz? O co ci chodzi? Chodź lepiej na dół.

- Wardzie - jej głos zatrzymał go, ponieważ stał się teraz poważniejszy. - Nie mając żadnego doświadczenia w tych sprawach i nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać, ponieważ nawet pani Killjoy nie poruszała ze mną tak osobistych tematów, musiałam... musiałam być pewna, a teraz już jestem. Będę miała dziecko, Wardzie.

Zamarł w bezruchu, a kiedy w końcu drgnął, to nie po to, aby gwałtownie wziąć ją w ramiona, ale by powoli pochylić się i przytulić głowę do jej brzucha. Nie wyrzekł ani słowa, ponieważ w tym momencie nie był w stanie wyrazić swych uczuć. Byli małżeństwem od sześciu miesięcy i już od dawna miał przeczucie, że jego miłość zaowocuje dzieckiem. Czasami, gdy spała leżąc w jego ramionach, wydawało mu się, że czegoś mu brakuje; sam był jedynym potomkiem swoich rodziców, oni oboje też byli jedynakami. I zadawał sobie pytanie, czy miał być ostatnim z rodu? Czy takie rzeczy się zdarzają? A teraz ta piękna dziewczyna nosiła ich dziecko. Nadal tak o niej myślał, bo czasami trudno mu było uwierzyć, że ta dwudziestoletnia teraz kobieta to jego żona. Była tak drobna, prawie eteryczna. Czasami, gdy obserwował ją z pewnej odległości, miał wrażenie, że zdmuchnąłby ją najłżejszy powiew wiatru. Wszystkie jej ruchy były szybkie i delikatne. Często zaskakiwała go swym sposobem mówienia - wydawało mu się, że ten głos nie pasuje do jej wyglądu - oraz głęboką mądrością.

Burząc sobie czuprynę, pragnął się rozplakać, co pewnie zrobiłaby każda kobieta. Nie zadała mu głupiego pytania: „Czy jesteś zadowolony?”, ale z

typowym dla niej rozsądkiem powiedziała: - Jest ci zimno. Chodźmy na dół. Chcę... chcę również Annie o tym powiedzieć.

Podniósł się z pudła, przyciągnął ją do siebie i podniósł do góry, jak to często robił. Ale u szczytu schodów zaczęła się śmiać i wiercić w jego uścisku, mówiąc: - Lepiej nie próbuj zejść w ten sposób, bo się gdzieś zaklinujemy.

Również się roześmiał i postawił ją na podłodze. Ciągle nie odzywał się ani słowem, aż do drzwi sypialni, gdzie leciutko odepchnął ją od siebie i powiedział: - No to idź na dół i powiedz Annie. - Odwrócił się i wszedł do pokoju, a ona bezszelestnie zeszła do kuchni.

Zamknawszy drzwi, oparł się o nie plecami i mocno przycisnął dłonie do oczu. W tym momencie odczuwał głęboki wstyd, ponieważ nigdy dotąd nie płakał, ani też nie widział swego ojca płaczącego, nawet po śmierci żony. Musiał się pozbierać, bo przecież z pewnością codziennie jakiemuś mężczyźnie przytrafiało się coś takiego. A niewielu zareagowałoby tak jak on, kiedy chciał wybuchnąć płaczem jak kobieta.

Musiał się napić, i to czegoś mocniejszego...

* * *

Dziwnym trafem od tego pięknego dnia zaczęło się pasmo kłopotów Warda. Fanny musiała być w drugim miesiącu ciąży, kiedy mu o tym powiedziała. Nie dalej niż kilka dni później atak silnych bóli w boku złożył Annie i Ward wezwał do niej lekarza. Korzystając z okazji, powiedział doktorowi o błogosławionym stanie swojej żony i poprosił go, aby ją zbadał.

Doktor Wheatley nie tylko ją zbadał, ale też wesoło zasugerował, aby prowadziła dotychczasowy tryb życia, tak jakby nic się nie stało. Później w swój zwykły jowialny sposób poinformował kogoś we wsi, że Ward, którego już zaczął uważać za niedojdę, nareszcie doczeka się potomka. A ta nowina z kolei wywołała wybuch gromkiego śmiechu w Pędzącym Zającu, tylko bracia Masonowie zachowali kamienne twarze...

Pierwszy niepokojący wypadek miał miejsce w końcu marca. Życie na farmie toczyło się teraz nieco innym trybem niż dotychczas, chociaż trudno powiedzieć, że wszyscy to zaakceptowali. Billy oświadczył bez ogródek, że on sam nie umie czytać i pisać, ale dotychczas nie zauważył, żeby krowom robiło to jakąś różnicę. Nie przeszkadzało mu to również w orce ani przy żniwach, więc uważał, że posiada wszystkie umiejętności potrzebne w gospodarstwie, a w końcu przecież chłopak chyba do tego był przeznaczony? Nie sądził, aby umiejętność czytania i pisanie do czegoś mu się przydała. A poza tym nauka zabierała mu godzinę rano i kolejną godzinę wieczorem, co pomnożone przez pięć dni w tygodniu dawało cały dzień wolny od pracy. A w końcu kto, jak nie jego pan, powiedział, że

chłopak jest prawie tak dobry jak płatny robotnik. Ba, nawet lepszy niż któryś z Reganów, czy McNabbów z Hollow, dwóch irlandzkich lumpów, którzy tak kochali pracę, że gotowi byli położyć się przy niej. Ale takie było życzenie pani, no i nie miał wyjścia, musiał się z tym pogodzić, chociaż według niego nauka jest dla tych, którzy nie mają pojęcia jak wykorzystać ręce.

Uczciwie mówiąc, Ward był nieco zdziwiony, właściwie zaszokowany prośbą Fanny, która z początku dała do zrozumienia, że rano chłopiec powinien być posyłany do szkoły. Szybko wybił jej to z głowy, argumentując, że wtedy musieliby podać jego dokładne dane. Fanny ze śmiechem przyjęła tę uwagę, przypominając mu, że jeśli wierzyć plotkom przynoszonym przez Annie, dzieciak jest jej kuzynem. Czyż nie pojawił się na farmie dokładnie w tym samym czasie, co ona?

Nie, nie, Ward nie chciał słyszeć o szkole we wsi, ponieważ to oznaczałoby konieczność powiedzenia chłopakowi, że jest traktowany jak krewny, a tak daleko nie zamierzał się posuwać. Ale w porządku, mogła się nim zająć przez godzinę rano i przez następną godzinę wieczorem, kiedy nie było już nic do roboty. Odwdzięczyła mu się kilkoma entuzjastycznymi pocałunkami. Ich świadkiem była przechodząca właśnie przez hol Annie, która usiłowała wtedy patrzeć dokładnie w przeciwną stronę. A potem usłyszał, że będzie potrzebnych kilka książek. Jedna do arytmetyki, jedna do historii i kolejna do geografii.

W głębi ducha był zachwycony, że Fanny ma tak rozległe wiadomości, ponieważ, jak mu się sama przyznała, nigdy nie chodziła do szkoły. Jej nauka pod okiem rodziców, którzy nie całe życie podróżowali i mieli okazję zdobyć jakieś wykształcenie, odbywała się mniej więcej według tego samego schematu, jaki był teraz planowany dla chłopca.

Fanny urządziła mały pokój na tyłach domu. Do tej pory służył za graciarnię, więc był nie umeblowany. Teraz znalazły w nim miejsce dwa drewniane krzesła, mały stolik, półka na książki, o którą Fanny poprosiła, oraz dwie tabliczki i rysiki. Według niej brakowało tam jeszcze jednej książki, ale na razie nie miała odwagi poprosić o nią Warda, bo wtedy musiałaby mu wyjaśnić, co zamierza robić z podręcznikiem do nauki włoskiego.

Jej własna znajomość włoskiego była zaledwie podstawowa, gdyż matka zwracała się do niej w tym języku tylko wtedy, gdy były same. Ojciec chyba nie lubił tego języka albo, jak podejrzewała później, był po prostu zazdrosny i zaniepokojony, że żona, pomimo częstych zapewnień, po prostu tęskniła za domem.

Teraz, pochylona nad stołem, z uśmiechem upominała swojego ucznia: - Musisz uważać, Carl. Spójrz do książki i na swoją tabliczkę. Wykonaj działanie.

Chłopiec odwzajemnił uśmiech i odpowiedział: - Już wszystko dodałem. Odpowiedź brzmi: dwadzieścia dwie owce.

- Nie - uśmiech zniknął z jej twarzy. - Gdzieś musiałeś zrobić błąd. Prawidłowa odpowiedź to dwadzieścia cztery.

- Och! Czy coś opuściłem? - Zerknął znad tabliczki do podręcznika, po czym odrzekł: - Tak. Tak, widzę... dwadzieścia cztery. Ma pani rację.

Fanny na chwilę ukryła twarz w dłoniach, zanim ponownie pochyliła się nad stołem. - Carl, musisz się przyłożyć do nauki - stwierdziła poważnie. - A może wolałbyś nie mieć tych lekcji? Może wolałbyś pracować w gospodarstwie?

Kręcił głową przecząco, jeszcze zanim wypowiedziała ostatnie słowo. - Och, nie. Nie, proszę pani. Och, nie. Obiecuję, że będę uważał. Będę pilnie czytał książkę. - W tym momencie mógł jeszcze dodać: „Ale nie mogę przestać patrzeć na panią”, bo ta dama, która przed nim siedziała, wydawała mu się prawdziwym aniołem. Nikt nigdy nie był dla niego tak uprzejmy, nikt nigdy tak do niego nie mówił, ani też w swoim krótkim życiu nigdy nie widział nikogo, kto by wyglądał tak jak ona. Często w nocy, kryjąc twarz w snopku słomy w swoim pokoiku na górze, powtarzał sobie, że mógłby za nią umrzeć.

- Obiecuję. I również obiecuję, że powtórzę sobie słówka, które przerabialiśmy wieczorem. Mogę to zrobić nawet teraz. Kot usiadł na słomiance. Pies zaszczekał na kota. Krowy dają mleko.

- Znakomicie - powiedziała, podnosząc dłoń. - Naprawdę znakomicie. Ponieważ zapamiętałeś tak dużo, przeczytam ci krótkie opowiadanie. A potem ty będziesz czytał, dobrze?

- Tak, proszę pani. Tak.

Wzięła do ręki książkę, ale przerwał jej odgłos otwieranych drzwi, w których z poważnym wyrazem twarzy stanął Ward. - Jesteś mi na chwilę potrzebna - odezwał się wprost do niej. - Włóż płaszcz, bo jest zimno. Pójdziemy do obory. A ty, chłopcze, wracaj do pracy.

Kiedy dzieciak opuścił pokój, Fanny podbiegła do Warda. - Co się stało? Coś złego?

Popchnął zamykające się drzwi i powoli podniósł na nią wzrok. - Tak, moim zdaniem i zdaniem każdej przyzwoitej osoby, coś bardzo złego. Ktoś założył na pastwisku dwa wnyki. Krowa... Maisie wpadła w nie nogą. Ryczała, więc całe stado zebrało się wokół niej. Billy nawet z podwórka zauważył poruszenie. Od lat nie widziałem, żeby gdzieś pobiegł. Ja byłem na polu w dolinie.

- Wnyki? Jakie wnyki? Takie jak na człowieka? To jest karalne.

- Nie, nie na człowieka. Wyprodukowane domowym sposobem, podobne do tych na króliki. Wiesz - dłońmi pokazał ich rozmiar - niektóre są tak duże, że

mogą uwięzić łapę królika, ale bywają nawet większe. Wtedy mogą złapać zwierzaka za szyję. Sam takie robiłem, jak byłem mały. Ale te były tak ogromne, że krowa w nie wpadła. Ktoś doskonale wiedział, co robi. Zresztą, sama chodź i zobacz.

Już od jakiegoś czasu, a w zasadzie od chwili, kiedy zajęła się plecami chłopca, pogodził się tym, że Fanny jest jedną z tych osób obdarzonych mocą uzdrawiania. Jego matka snuła opowieści o pewnej starej kobiecie z Hollow, do której po radę zgłaszali się farmerzy z całej okolicy. A mimo to budziła powszechny strach i wszyscy unikali jej jak mogli. Tyle że nie leczyła ludzi; jej moc działała tylko na zwierzęta.

Kiedy w pośpiechu przebiegali przez kuchnię, Annie, właśnie zajęta szorowaniem drewnianego krzesła, nie odwracając się mruknęła pod nosem: - Zaczęło się.

Fanny spojrzała pytająco na kobietę, która teraz była dla niej nie tylko służącą, ale również przyjaciółką, jednak Ward niemal wypchnął ją za drzwi.

Krowa była w swoim boksie. Billy trzymał ranną nogę zwierzęcia, a obok stała wielka miednica z gorącą wodą.

Fanny nie od razu podeszła do okaleczonej nogi. Najpierw dotknęła krowiego pyska i powiedziała: - Wi-taj, Maisie. Dobra dziewczynka. Wszystko będzie dobrze. Słyszysz mnie? Wszystko będzie dobrze.

Stojący obok Ward odwrócił głowę, ponieważ nie był zachwycony tą stroną całej procedury. Nie miał nic przeciwko opatrzeniu, czy nawet dotykaniu rany, ale Fanny miała zwyczaj rozmawiać ze zwierzętami, zanim cokolwiek przy nich zrobiła. To nieco zastanawiające... nie chciał użyć słowa „dziwaczne”. No, ale ma cudowne ręce. Cała jest cudowna, ale... - Spójrz na to - powiedział zdecydowanym tonem.

Jeszcze dwukrotnie pogłaskała krowę po pysku, zanim odwróciła się do Billy'ego. - Gdzie jest stołek? - zapytała, rozglądając się wokół.

Ward podał jej go prawie natychmiast. Usiadła, a Billy prostując się zapytał: - Chce pani obmyć tę ranę?

W odpowiedzi podniosła krowie racicę i przyjrzała się rozcięciu zrobionemu przez drut. Było głębokie, tak jakby zwierzę stoczyło walnę, próbując uwolnić nogę. Obejmując dłońmi racicę i nie podnosząc wzroku, poprosiła Billy'ego: - Czy mógłbyś iść do Annie i wziąć od niej pudełko ze środkami opatrunkowymi?

- Rozcięcie prawie sięga kości - powiedział Ward po wyjściu Billy'ego. - Wpadła w taką panikę, że mogła sobie oderwać racicę.

- Dlaczego ludzie robią zwierzętom takie rzeczy? Ward spojrzał na jej pochyloną głowę i nie przeszły mu przez gardło słowa: „Nie wiem”, ponieważ

bardziej odpowiednia byłaby odpowiedź: „Dlatego, że cię poślubiłem.” Nigdy nie wspomniał jej o Daisy Mason, ale zdawał sobie sprawę, że musiała zauważyć pewne napięcie, jakie panowało między nim a mieszkańcami wioski. Szczególnie wtedy, gdy zaproponowała pójście do kościoła, a on stwierdził: „No, raczej nie do Świętego Stefana. Możemy iść którejś niedzieli do Świętego Mateusza, kiedy Frank będzie odprawiał tam mszę, jak stary Tracey zrezygnuje z tego zaszczytu. Jeśli kiedykolwiek był jakiś nieszczerzy wysłannik Boga, to jest nim z pewnością ten człowiek. Moim zdaniem jest uosobieniem dwóch grzechów głównych - obżarstwa i lenistwa.” - Myślisz, że możesz jej jakoś pomóc? - zmienił teraz temat.

Odwróciwszy się spojrzała na niego, nadal trzymając w dłoniach nogę zwierzęcia. - Nie wiem. Wszystko leży w rękach Boga, nie moich.

Poczuł, jak cała spina się wewnątrz. Dlaczego, gdy przemawiała do zwierząt, jej głos brzmiał zupełnie inaczej? W ogóle była wtedy zupełnie inna. Zachowywała się jak ktoś, kogo nie znał, a nie jego cudowna, ciepła, kochająca Fanny, jego piękna, piękna Fanny. Czasami wolałby, aby nie była obdarzona tym.... cokolwiek to było, nie należało do niego. A on chciał, aby była jego, cała jego. Wymykała mu się, kiedy robiła to, co teraz.

Billy wrócił z pudłem, z którego wyciągnęła kawałek płótna. Zmoczyła je gorącą wodą i zaczęła przemywać ranę. Następnie kawałki materiału nasączyła maścią z pudełeczka i delikatnie umieściła je na rozcięciu. Zabandażowała racię i część nogi i związała na górze wąskim paskiem materiału. Przytrzymała dłońmi zabandażowaną już kończynę i na chwilę pochyliła głowę. Potem zręcznie wstała, minęła Warda i podeszła do zwierzęcia od strony głowy. - Wyzdrowiejesz, Maisie - powiedziała. - Bądź dobrą dziewczynką, a ja przyjdę cię zobaczyć jutro rano.

Odwróciła się, aby spojrzeć na Warda, który wpatrywał się w nią uważnie. Znowu była jego Fanny, gdy zapytała z czułym uśmiechem: - Zamierzasz sprawdzić, czy na innych pastwiskach wszystko jest w porządku?

Pokręcił głową. - Nie sądzę, żeby założyli je w innych miejscach. To pastwisko ciągnie się wzdłuż ścieżki dla koni, która prowadzi do lasu w posiadłości Ramsmore'ów. Zaczyna się we wsi, więc bez trudu można tam przeskoczyć przez ogrodzenie. Ale mój Boże! Przypilnuję, żeby to się nie powtórzyło.

- A co zamierzasz?

- Zastrzelę pierwszego nicponia, który postawi nogę nie tam, gdzie powinien.

Po raz pierwszy słyszała, jak używał takich słów, po raz pierwszy słyszała taki ton, szczególnie gdy odwrócił się do Billy'ego i powiedział: - Naprawdę, Billy. O Boże! Naprawdę.

- A ja panu wcale nie mam tego za złe. Nikt nie mógłby panu mieć tego za złe. Gdybyśmy ich zaskarżyli, mieliby kłopoty. Teraz to jest karalne, te wnyki, w jakiejkolwiek formie. No, chyba że sieje zakłada na króliki na własnym terenie.

Ward wymaszerował z obory, a Billy kiwnąwszy Fanny głową podążył jego śladem. Ale ona została tam jeszcze przez chwilę. Zastrzeleń, powiedział. Tak, i pewnie jest do tego zdolny. Miał rzeczywiście ważny powód, aby wpaść we wściekłość, ale mężczyzna, który właśnie wyszedł z obory, był zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego pokochała. Spojrzała na wpatrującą się w nią ufnie krowę i pomyślała: Tutaj chodzi o coś więcej niż widać gołym okiem, Maisie. Coś się za tym kryje. Dlaczego ktoś chce mu dokuczyć, krzywdząc zwierzęta? I dlaczego, kiedy idę przez wieś, część ludzi mija mnie bez słowa, a inni witają radośnie? Dlaczego?

Wyszła z obory i przez podwórko dotarła do kuchni. Annie skończyła już szorowanie i włożyła czysty fartuch. Otworzyła drzwiczki piecyka, żeby sprawdzić ogień i rzuciła w przestrzeń: - Ten komin trzeba wyczyścić. Piecyk nie pali tak jak powinien. Ten pagaj jest tak blady, jak oporna panna młoda.

- Annie.

- Słucham panią? - Annie wyprostowała się i otrzepała ręce z kurzu.

- Podejdź do mnie i usiądź.

- Nie mam czasu na siadanie. Jest już pół do dwunastej, proszę pani.

- Usiądź, Annie. Chcę z tobą porozmawiać.

Annie niechętnie umieściła swe pulchne ciało na krześle, które przed chwilą szorowała, a Fanny ciągnęła: - A przynajmniej chciałabym, żebyś ty porozmawiała ze mną. Chcę, żebyś mi coś wyjaśniła, coś powiedziała.

- Co ja, proszę pani, mogę powiedzieć takiej wykształconej osobie, która może chłopaka uczyć liter i takich różnych?

- Posłuchaj mnie, Annie. Zadam ci pewne pytanie: dlaczego niektórzy ludzie we wsi ignorują mnie, a inni są całkiem życzliwi? Czy to dlatego, że War... pan mnie poślubił?

Annie odwróciła się nieznacznie i spojrzała na kuchnię, po czym podniosła róg wielkiego białego fartucha i wytarła nim usta. - On nigdy pani o tym nie mówił? - zapytała, odwracając się do Fanny.

- O czym mi nie powiedział?

- O Daisy Mason.

Kiedy Fanny nie odpowiedziała, Annie z niecierpliwością pokiwała głową i wznosząc oczy do nieba rzekła: - Mężczyźni! Mężczyźni! Głupcy. Myślą, że można się schować za własnym cieniem. - Po czym ponownie kierując wzrok na Fanny, wyjaśniła bez osłonek: - Daisy Mason jest dziewczyną... kobietą, która spodziewała się, że zajmie pani miejsce. Teraz zna już pani początek i koniec tej historii. I niech pani nie patrzy tak na mnie, takie rzeczy się zdarzają. Zrobiła pani na nim piorunujące wrażenie. Ale ja chciałabym być jak najdalej od takiego pioruna. - Na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju nikłego uśmiechu.

- Uważasz, że.... kokietował ją przez...?

- Och, nie - Annie zaprzeczyła gwałtownie. - Z jego strony to nie było żadne uwodzenie, bo ten tuman ubzdurał sobie, że ona jest tylko jego kompanem. Właśnie tak, proszę pani. On i Daisy chodzili do szkoły we wsi, przyjaźnił się z jej dwoma braćmi, a jak dorośli, nadal trzymali się razem... Nie, to nie tak, bo można by było myśleć, że był nią zainteresowany. A moim zdaniem, to przez te wszystkie lata on jej nawet nie pocałował. Nie wiem na pewno, ale tak mi się wydaje, bo jak większość mężczyzn był zupełnie ślepy i nie zauważył, że jak dziewczyna skończy szesnaście lat, myśli już trochę inaczej. Wiem, o czym mówię, proszę pani. Raz czy dwa zabrał ją na tańce w stodole, odprowadzał z kościoła do domu, a czasami zostawał na herbacie u jej rodziców. Do niedawna wpadał do nich coś przegryźć - kiedyś ich rodziny były bardzo zaprzyjaźnione - ale jakieś dwa lata temu wyczuł, że coś jest nie tak i przestał chodzić do kościoła. Teraz to jestem pewna, że nie chciał odprowadzać jej do domu. Bo takie są zwyczaje. Zaczął częściej wyjeżdżać do Newcastle czy Gateshead albo innych miasteczek w okolicy. Podejrzewam, że zauważył coś w spojrzeniu Daisy, jakieś sygnały, a on nie zamierzał się z nią żenić, ani z nikim innym. A potem któregoś wieczoru wybrał się do Empire i zobaczył panią - Maltańskiego Anioła, jak panią nazywają. Powiedział mi, że unosiła się pani nad sceną, tańczyła pani jak czarodziejka. I jest pani całkowitym przeciwieństwem Daisy Mason. A całą resztę już pani zna.

- I to właśnie jemu... i mnie zarzucają? - zapytała Fanny po chwili.

- No, można tak powiedzieć. Ale tak by się stało, nawet gdyby się ożenił z kimś innym. Sama musi pani przyznać, że Daisy, jej rodzina, wszyscy spodziewali się czegoś innego. Uważali, że on chodzi do niej w konkury. No, bo sama pani rozumie, ciągle odwiedzał tę samą dziewczynę. Przez te wszystkie lata nie zainteresował się nikim innym. I wie pani co? Gdyby mieszkał w mieście, wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej... Och, zupełnie inaczej - machnęła ręką, pokazując jak bardzo by to zmieniło sytuację. - Nikt nie zwróciłby na nich uwagi, chyba że dziewczyna podała go do sądu za niedotrzymanie obietnicy

małżeństwa. Często tak robią, bezwstydne ladacznice. Ale na wsi jest inaczej. No, przynajmniej tutaj, bo jesteśmy jak jedna wielka rodzina, wszyscy są ze sobą jakoś spokrewnieni. Naprawdę. Przez całe pokolenia żenili się pomiędzy sobą i owoce tych związków - uniosła brwi - owoce w niektórych przypadkach pozostawiają wiele do życzenia. A wieś to nie tylko główna ulica, dziewczyno, ona się rozgałęzia... nawet dość daleko, i niczego nie można utrzymać w tajemnicy, bo wszyscy wszystko o sobie wiedzą. A jeśli ktoś myśli, że mu się udało dochować sekretu, to i tak w jakimś momencie wszystko wychodzi na jaw... To wieś, proszę pani. Wszyscy są do siebie podobni, nie ma z czego wybierać. Po prostu niech pani pomyśli o sobie i pozwoli im się przyzwyczaić... Ale to nie znaczy, że pani mąż też tak robi, bo jak już raz machina poszła w ruch, nigdy nie wiadomo, gdzie się zatrzyma. I jeszcze jedna rzecz. Proszę, niech pani mu nie mówi, że to wszystko powiedziałam. Na pewno przyjdzie taki dzień, kiedy będzie gotów wszystko pani wyjaśnić, ale do tego czasu niech pani udaje ślepa i głucha. Rozumie pani?

- Tak. Tak, Annie. Rozumiem. I dziękuję za wyjaśnienia. Niemniej jednak jestem zasmucona, że stałam się przyczyną podziału we wsi.

- No cóż - Annie podniosła się z krzesła - gdyby nie była to pani, to z pewnością trafiłby się ktoś inny. Tak to się już tutaj dzieje. Jak nie jakiś farmer, który łomocze po nocy do cudzych drzwi, to włóczęga płaczący się po okolicy w czasie żniw. Albo Sep Newton, który trzy lata temu zniknął w czasie świąt z utargiem z gospody. I od tego czasu ani śladu po nim. A jego matka nie przestała chodzić do kościoła. Wszystko się jakoś zabliznia. Więc niech się pani nie martwi i żyje sobie spokojnie jako ósmy cud świata dla swojego męża. - I dodała z szerokim uśmiechem: - Bo tak panią traktuje. Ciągle nie może uwierzyć, że panią zdobył.

- Och, Annie! - Fanny spontanicznie podbiegła do niej i objęła jej pulchne ciało. Przez chwilę trzymała głowę na jej ramieniu i w końcu odezwała się: - Co ja bym bez ciebie zrobiła? Rozstając się z panią Killjoy, myślałam, że będę się czuła samotna, ale kiedy tylko przekroczyłam próg tego domu, ty wzięłaś mnie pod swoje skrzydła. Zawsze będę o tym pamiętać, Annie. I dziękuję ci.

- Och, nie ma o czym mówić, proszę pani. Nie ma o czym mówić. A poza tym, ma pani nie tylko zręczne stopy, ale i zręczny język - powiedziała, delikatnie odsuwając Fanny od siebie i zwracając jej uwagę na komin. - Muszą przyjść, żeby go wyczyścić. I to szybko, bo inaczej na stole postawię zimną owsiankę.

Zanim zapadł zmierzch, wieś już wiedziała, jak Ward zareagował na zastawioną pułapkę. Określenie „wpadł w furję” było dosyć łagodne. Najpierw udał się do kowala i pokazał mu wnyk. - Co o tym sądzisz, Charlie?

Charlie Dempsey wziął od niego metalowy pręt, do którego przymocowano drut zakończony pętlą, obejrzał dokładnie i spoglądając na Warda stwierdził: - Toporna robota, Wardzie, ale bardzo skuteczne. Podobne do wnyków na króliki, ale solidniejsze. Nie wiem, co chcieli tym złapać. Niepodobne do pułapki na ludzi, bo sam widzisz, że człowiek mógłby się łatwo z tego uwolnić. Ale ta pętla jest całkiem duża.

- Dostatecznie duża dla jałówki?

Charlie przyjrzał się Wardowi, zanim odpowiedział:

- No, no. Tak. Mogłaby w to wejść, a głupie zwierzę nie wiedziałoby, jak się uwolnić i w końcu by się to zacisnęło. No, tak. - Pociągnął za główny drucik i powtórzył - A o co ci chodzi?

- O okaleczenie mojego stada, Charlie. Właśnie o to chodzi.

Kowal zrobił taki gest, jakby chciał odpędzić od siebie taką myśl. - Nie! Nie, przyjacielu. Kto mógłby wpaść na taki szatański pomysł? W życiu o czymś takim nie słyszałem. Króliki, lisy, borsuki, ale nigdy krowy... Mocno się zraniła?

- W jednym miejscu prawie do kości.

- Wielki Boże! Niech mnie diabli! Nigdy bym o tym nie pomyślał.

- Ale pewnie widziałeś takie pręty. Wszystkie mają dziewięć cali długości i trzeba trochę siły, żeby je wbić w ziemię.

- Tak, widziałem takie pręty, bo sam je robiłem. Myślę, że ma je każdy farmer w promieniu kilku mil, nawet ty. Ale żeby ich nie zauważyć, trzeba by je całkowicie wbić w ziemię.

- Tak, ale tylko wtedy, gdyby to było na gołej ziemi, a ktoś sprytnie umieścił pręt z pętlą w wysokiej trawie, na samym końcu pola. I jeszcze jedno. W tym miejscu dzieciaki, kiedy wracają ze szkoły, przechodzą przez moje pole. Przeskakują przez mur. Dwaj chłopcy Amosa Lakera często to robią. Nieraz na nich krzychałem, bo te diablęta rozganiają krowy i burzą im mleko. A co by się stało, gdyby się któryś z nich złapał w te wnyki? Drewniak mógłby spaść i dzieciak byłby pokaleczony, zanim zdołałby wyciągnąć nogę z tego piekielnego urządzenia.

Kowal szczypcami wyjął kawał rozpalonego żelaza i młotem spłaszczył jego końce. - Musisz spojrzeć prawdzie w oczy, Wardzie - odezwał się w końcu. - Wiele osób jest przeciwko tobie. Na świecie jest sporo cholernych głupców, którzy palą się do bitki. Bo ja nie myślę, żeby to Masonowie sami coś zrobili. Trudno znaleźć poczciwszych ludzi niż ci dwoje. A z chłopakami od czasu do

czasu wypiję szklaneczkę i jeszcze nigdy nie powiedzieli o tobie złego słowa. Nie, to już raczej ktoś taki jak Conwayowie, czy Ted Read albo jego kumpel Jock Macintosh. O, ten facet załaził mi za skórę. Dlaczego nie wróci do Szkocji, do swoich wspaniałych współziomków, o których tyle gada, że gęba mu się nie zamyka? Z pewnością to ktoś jemu podobny. Oczywiście, nie wolno ci zapomnieć o tych z Hollow. Różni ludzie tam się trafiają, dobrzy i źli, a na jednego, czy dwóch z pewnością warto zwrócić uwagę. Na przykład na Riley'a. Wiem dokładnie, gdzie miałbym ochotę wetknąć rozżarzony pręt temu... przebiegłemu, fałszywemu... padalcowi. Za pół szylinga napluł na wizerunek swego papieża.

Uderzenia młota przerywały tyradę Charliego Dempseya, który teraz zanurzył kawał zgiętego żelaza w wiadrze z zimną wodą. Odczekał, aż ucichnie syk pary, i spokojnie powiedział: - Ale jest i druga strona medalu: wśród nas masz przyjaciół. I mogę ci powiedzieć, że im częściej spotykam twoją malutką żonę, tym bardziej cię rozumiem.

Skórzany fartuch zatrząsał mu się na brzuchu, gdy mówił, pochylając głowę i poczerniałą ręką wycierając spoconą twarz. - Powinieneś być wczoraj wieczorem słyszeć moją panią, kiedy rozmawialiśmy o twojej żonie. I wiesz, co powiedziałem? Powiedziałem, że wszyscy czegoś w życiu żałujemy. A ja żałuję, że miałem klapki na oczach i nie obejrzałem sobie tego smakowitego kaska, zanim zrobił to Ward. I wiesz, co ona zrobiła? Dała mi w ucho, a zapewniam cię, że nie ma delikatnej rączki.

Ward nawet się nie uśmiechnął. W tej chwili nie był w stanie docenić, że przyjaciel stara się poprawić mu humor. Odwrócił się powoli i skierował do drzwi kuźni.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Charlie.

- W dwa miejsca - odparł Ward krótko. - Do Zająca i do Głowy. I nie mam zamiaru niczego pić, ale głośno powiem Samowi Longstaffe'owi z Zająca i Michaelowi Holdenowi z Głowy oraz ich gościom, że nie spocznę, zanim nie znajdę sprawcy. - Potrząsnął pułapką, którą trzymał w ręku. - Niech Bóg ma ich w swojej opiece - powiedział i ruszył w kierunku obu gospód.

Tej nocy, już w łóżku, trzymając Fanny w ramionach powiedział: - Nie chodź sama po polach. Słyszysz? I nie chodź sama do wsi, chyba że Annie wybierze się razem z tobą.

- Ależ, Ward, kochanie, przecież to się nie powtórzy... To, co się stało dzisiaj.

- Nie powinno się powtórzyć, ale wszystko jest możliwe. Zresztą może się coś innego zdarzyć i proszę, nie pytaj mnie dlaczego. Po prostu zrób, o co proszę. Słyszysz mnie?

- Tak, Wardzie, słyszę.
- Kocham cię.
- Ja ciebie też kocham, Wardzie, bardzo cię kocham.

Rozdział drugi

Mijały tygodnie, mijały miesiące. Przez cały czas utrzymywała się ładna pogoda, zbiory były dobre, a ceny na rynku umiarkowane, chociaż dostatecznie wysokie, aby Ward mógł poczynić pewne ulepszenia. Nie tylko wyłożył kamieniami całe podwórze od stodoły aż do bram farmy, ale również pomalował dom. Co więcej, nie wykorzystał Arthura Wilberforce'a, kuzyna kościelnego, ale zatrudnił pana Percy'ego Connora, malarza i dekoratora pracującego w Fellburn. Nie spodobało to się nikomu we wsi - nawet jego przyjaciele uważali, że tym razem posunął się za daleko - ponieważ wszyscy przyjmowali, że wieś stara się być samowystarczalna, i że w takich życiowych sprawach zapomina się o sympatiach i antypatiach. Nawet okoliczni bogacze zaopatrywali się we wsi i tam szukali fachowców do przeróżnych prac. Jak to Hanna Beaton powiedziała jednemu ze swych klientów: - Ta mała tancereczka narobiła tutaj wiele zamieszania.

Jeśli zaś chodzi o samą małą tancerkę, to już dawno nie czuła się drobna i krucha, ponieważ z każdym dniem stawała się coraz cięższa. Zbliżała się pora rozwiązania. Annie powiedziała jej, że dobrze znosi ciężę: ani razu nie miała nudności i przez cały cały czas była pogodna, co nie zawsze zdarza się za pierwszym razem.

Zbliżał się koniec sierpnia. Przez ostatnie miesiące zebrali dwa pokosy siana, a teraz ustawiali w stogi ostatnie zbiory owsa. Ward, Billy i chłopak pracowali od wczesnego ranka, zaś Annie i Fanny przynosiły im trzy razy dziennie jedzenie na pole. A przy ostatnim posiłku nie wdrapywali się już na wóz z sianem ani nie kryli się w cieniu, ale usiedli wokół kraciastego obrusu, który Fanny rozłożyła na ściernisku, i wśród śmiechu i pogaduszek Annie jedli pajdy chleba, kawałki sera i zapiekanki z cielęciną.

Zaraz po skończonym posiłku Ward i Billy wrócili do pracy, ale Carl, ciągle roześmiany, nie przestawał wpatrywać się w Annie, która w końcu krzyknęła na niego: - Nie śmieć się ze mnie, młody człowieku, bo podejść do ciebie i cię przemaaluję.

- A co to znaczy, Annie? - zapytał Carl ze śmiechem.

- No, właściwie, to nie jestem pewna, chłopcze - odparła Annie po chwili zastanowienia. - Moja matka tak mówiła. Myślę, że w ten sposób możesz wyrazić „uważaj, bo natrę ci uszu”. - Nagle krzyknęła, wyciągając rękę - Niech pani uważa! - ponieważ Fanny potknęła się nieco. Zabrała jej koszyk i powiedziała: - Proszę mi to dać! Brzuch jest wystarczającym ciężarem. Czy miała pani już jakieś bóle?

- Niezupełnie, tylko jakieś lekkie skurcze.

- No, to pewnie ma pani jeszcze jakiś tydzień. Ale mogę się mylić.

- Och, poczekam jeszcze tydzień. Chciałabym - skinęła na Annie - ponieważ pragnęłabym, aby państwo Killjoy mogli być ze mną.... Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby zostali na kilka dni, Annie?

- Ach, mój Boże, dziewczyno - Annie westchnęła głęboko. - To nie mój dom. Mówiłam już wcześniej, że powinna pani znać swoje miejsce, tak jak ja. Może pani przyjmować, kogo pani zechce, tę starą królową, czy tego kuglarza i jego przyjaciela. Może pani robić w swoim domu, co się pani podoba...

- Annie, wiem o tym, wiem, ale mam dla ciebie taki szacunek, że nie chciałabym dokładać ci pracy ani wywoływać twojego niezadowolenia.

Dotarły już do podwórza i Annie bez słowa ruszyła naprzód. Pchnęła drzwi, aby jej pani mogła przejść przez sionkę do kuchni, gdzie na stole postawiła koszyk z naczyniami. Pochylając się nad nim, powiedziała: - Wie pani, czasami wydaje mi się, że jest pani za dobra, i dzięki Bogu, że tu jestem, bo w przeciwnym razie wykorzystano by panią bez wahania.

- Och nie, Annie! Nie jestem aż tak naiwna.

- Z pewnością nie. Nie przyszło mi to nawet do głowy. Najzabawniejsze, że ma pani głowę na karku, ale jest pani zbyt delikatna i ktoś może to wykorzystać.

- Annie.

- Słucham panią.

- Właśnie zamierzam powiedzieć to, co mówi mój mąż, kiedy chce wyrazić swoje uznanie... Cicho bądź!

Obeszła stół dookoła i wyszła z kuchni, a Annie przygryzając wargi z trudem hamowała wybuch śmiechu. Kiedy zobaczyła, że za jej panią zamykają się drzwi, zamruczała pod nosem: - Zastanawiam się, jak by wyglądał ten dom, gdyby on się ożenił z tą wielką babą. Dobry Boże w niebiosach! Powinnam na klęczkach dziękować za takie szczęście.

Właśnie zamierzała pozbierać naczynia i zanieść je do zlewu, gdy usłyszała, jak Fanny ją woła, ale w jej głosie było coś dziwnego, czego nigdy wcześniej nie słyszała, coś jakby płacz. W sekundę znalazła się w holu, gdzie zobaczyła Fanny wczepioną we framugę drzwi do salonu.

- Boże święty! - Annie prawie zaniósła zgiętą postać na kanapę. - Zaczęło się?

Leżąc na plecach, z zamkniętymi oczami, Fanny leciutko poruszyła głową i wymruczała: - Bardzo boli.

- Boże! - Annie wyprostowała się, rozejrzała po pokoju, jakby czekała na wskazówki, po czym zapytała:

- W pobliżu nie ma żywej duszy. Czy mam po nich iść, czy pomóc pani wejść na górę?

Fanny z trudem się podniosła. - Ból trochę zelżał, ale gdybyś mogła pomóc mi wejść, a potem... zawołać Warda.

- Tak. Tak, to najlepszy pomysł. Chodźmy.

Kilka minut później, w trakcie rozbierania, bóle znowu zgięły Fanny w pół. - Więc, nie zamierza pani czekać na panią Killjoy? - wykrzyknęła Annie.

Skurcze minęły i Fanny ciężko dysząc wyszeptała:

- Proszę, idź i zawołaj Warda, Annie... zaraz.

- W tej chwili bardziej potrzebujesz Billy'ego niż swego męża, dziewczyno - odparła Annie. - Będzie musiał przywieźć położną i doktora Wheatleya. Jeśli ten stary cap jest dostatecznie trzeźwy, chociaż na to bym nie liczyła. Wtedy może przyjedzie młody lekarz. Wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest. - Pozostawiona w pokoju Fanny rozebrała się do końca i weszła do łóżka. Teraz, leżąc wśród poduszek, zamknęła oczy i jakby zwracając się do jakiejś niewidzialnej siły powiedziała: - Pomóż mi przejść przez to i szczęśliwie urodzić dziecko - po czym leżała spokojnie.

Dwukrotnie skinęła głową, jakby w odpowiedzi na jakąś sugestię, i utonęła w puchowych piernatach.

* * *

- To nieprzyzwoite, nie możesz tam wejść.

- Do diabła z przyzwoitością! Mógłbym coś z tym zrobić. To już za długo trwa.

- Nie rozmawiamy o krowie. Myślisz, że co mógłbyś zrobić? Wsadzić rękę aż po łokieć? Mówię ci, że nadejdzie odpowiednia pora, tak jak mówił doktor Wheatley.

- Doktor Wheatley. A gdzie on teraz jest? Powinien już być z powrotem.

- Paniczu Wardzie - Annie położyła dłoń na ramieniu Warda - wiem, jak się czujesz. Zawsze tak jest przy pierwszym dziecku, mężczyźnie zdaje się, że to on rodzi. Ale wszystko idzie lepiej za drugim, trzecim czy czwartym razem... Przynajmniej tak się mówi.

Wpatrywał się w jej twarz, po czym mruknął: - Och, Annie, jestem przerażony. To się ciągnie od siódmej wieczorem, a teraz jest pół do trzeciej nad ranem. A ona... ona nie jest bardzo silna, prawda?

- Nie, nie jest, chłopcze. Ale popatrz, jaka jest dzielna pomiędzy skurczami. A ty idź teraz na dół i powiedz Billy'emu, żeby zaparzył następną dzbanek herbaty.

- To nie takie proste.

- Wiem. Wiem. Uwijają się tam jak w ukropie. Kate schudła pewnie o kilka funtów w tym upale. Wypychając go delikatnie za drzwi, próbowała się uśmiechnąć.

Po drodze pozbierał się nieco i wszedłszy do kuchni zauważył, że Billy kiwa się na krześle, a w jego oczach widnieje nieme pytanie. Ward w odpowiedzi pokręcił głową. Chłopiec siedzący z drugiej strony kominka z pudełkiem, którego pani Killjoy przywiozła Fanny w prezencie, odezwał się: - Ja... masowałem Delię i przestała tak rozpaczliwie ryczeć.

Obaj mężczyźni spojrzeli na dziecko, a Billy zapytał: - O co ci chodzi z tym masowaniem? Musiało ją przecież złapać w środku nocy, koło drugiej?

Carl zwiesił głowę. - No, wiem. Ale., ale Delia mnie zna. - Zerknął na Warda. - Więc... więc zszedłem na dół i usiadłem przy niej.

Trzy dni wcześniej jedna z krów ocieliła się trochę przed czasem. Nie zniosła tego dobrze, więc trzeba jej było jakoś pomóc. Umieścili ją w specjalnym boksie wydzielonym na końcu obory.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia, a Billy odezwał się: - Nic dziwnego, że następnego dnia byłeś niezbyt przytomny. Zwierzęta wiedzą, co robić i bez twojej pomocy, młody człowieku. - Ale ta nagana nie była wypowiedziana ostrym tonem, a raczej z pewną dozą zrozumienia i sympatii. Ward podszedł do okna, przez które sączyło się światło księżyca.

Na zewnątrz było jasno jak w dzień. Widział słomki tańczące na wietrze... Tańczące. Mocno przygryzł dolną wargę. Oszaleje, jeśli jej się coś stanie. Tak, z pewnością oszaleje. Pragnął tego dziecka, ale nie jej kosztem. Poprzedniego wieczoru, trzymając ją w ramionach, gdy bóle się nasilały, czuł podniecenie na myśl, że wkrótce będzie miał syna. Teraz już nie.

Spojrzał na chłopca. Psiak, wrywając się z jego ramion, aby podejść do drzwi, wydawał z siebie przeciągły skowyt. Ten zwierzak ją kochał. Od dnia, kiedy tu przybył, nie odstępował jej na krok. Ten chłopiec też ją kochał. A to był dobry dzieciak, musiał być dobry, jeśli wstał w środku nocy, aby ulżyć zwierzęciu. Ward mógł mieć tylko nadzieję, że jeśli będzie miał syna, dziecko będzie podobne do tego chłopca. Właściwie nie miało to żadnego znaczenia, syn czy córka. Oby tylko ona wyszła z tego z życiem.

Odwrócił się od okna, przypominając sobie, po co przyszedł do kuchni. - Chcą jeszcze herbaty - powiedział do Billy'ego.

W tej samej chwili z oddali doszedł głos Annie. Na jego dźwięk wszyscy trzej rzucili się do oświetlonego holu, aby na podeście spojrzeć w górę na Annie, która wykrzykiwała: - Urodziło się! Dziewczynka!

Przez ułamek sekundy Ward poczuł lekkie rozczarowanie, ale szybko rzucił się po schodach, gdzie zatrzymały go silne ramiona Annie. - Posłuchaj! Zaczekaj chwilę. Teraz nie możesz tam wejść. Najpierw trzeba trochę sprzątnąć, ona musi się umyć. Ale zaraz przyniosę ci córkę. Jest wielka i chuda. - Roześmiała się serdecznie i szturchnęła go w pierś. - Podobna do ciebie. Ma twoje włosy.

Oparty o ścianę podestu, z głową opuszczoną prawie na piersi, już nie protestował. Przeżyła, a on ma córkę. No, ma córkę...

Dziecko zobaczył prawie pół godziny później, ponieważ najpierw poszedł zobaczyć żonę. Przez chwilę stał ze wzrokiem wbitym w jej prawie śmiertelnie bladą twarz, po czym opadł na kolana i głowę położył na jej ramieniu, a dłonią gładził ją po twarzy. Kate Holden opowiadała później Hannie Beaton w jej sklepie z warzywami: „W życiu nie widziałas czegoś takiego: on na kolanach, jakby była królową Anglii, która właśnie powiła potomka. Chociaż w wieku królowej to byłby cud, nie sądzisz? No, ale to pusta gadanina. Nie zachował się jak mężczyzna, o nie, ale jak jakiś stuknięty młodzik. Dwóch groszy byś za nią nie dała, bo to skóra i kości, a jednak coś mu urodziła. To chyba jakieś czary.”

I w tej chwili Ward rzeczywiście czuł się jakby to były czary: jego anioł, jak o niej skrycie myślał, przeżył i dał mu potomka.

Podniósł głowę, wstał i podszedł do stojącej w nogach łóżka drewnianej kołyski, przystrojonej udrapowaną koronką. I po raz pierwszy spojrzał na swoją córkę.

Miała pomarszczoną twarzyczkę, otwierała i zamykała oczki poruszając jednocześnie ustami, a na czubku głowy miała kępkę czarnych włosów, prawie takich jak jego.

No, no! Więc to jest jego córka. Miał nadzieję, że z wiekiem nie będzie wyglądała tak jak on. Jak matka, owszem. O tak, musi być podobna do matki.

- Zadowolony?

Odwrócił się i spojrzał na położną. Założył sobie, że okaże jej cierpliwość, bo ta kobieta odznaczała się nie tylko pokaźną tuszą, ale również ostrym językiem. Niemniej jednak dobrze wykonywała swoją pracę i chociaż trwało to dość długo, tym razem też się nieźle spisała.

- Tak, muszę przyznać, że jestem zadowolony - odpowiedział.

- A nie rozczarowany, że to nie chłopiec?

Nie wahał się ani chwili - Nie. Och, nie! Najważniejsze, że moja żona dobrze się czuje, tylko to się liczy.

- No, jakoś sobie poradziła i nawet specjalnie nie wrzeszczała, co - odwróciła się teraz i spojrzała na łóżko - jeśli się dobrze zastanowić, jest raczej dziwne, bo ona jest niewiele większa niż dwupensowa moneta. No, ale dała sobie radę. Tak

naprawdę to mnie to nie dziwi, bo w mojej pracy spotykam się z różnymi przypadkami. Widziałam, jak się pan denerwował, więc zastanawiam się, czy spróbujecie jeszcze raz? - dodała z chytrym uśmiechem.

Twarz mu pociemniała, a ona nie czekając na jego szorstką odpowiedź z głośnym śmiechem wyszła z pokoju.

Zbliżył się do łóżka i przysiadłszy na krawędzi pochylił się nad żoną i delikatnie ją pocałował. Potem, wpatrując się w jej twarz, wyszeptał: - To się nie może powtórzyć. Ta straszna męka.

- Och, Wardzie. Czasami bywasz bardzo zabawny - odezwała się z zamkniętymi oczami.

- Wcale nie żartuję - powiedział i delikatnie uszczypnął ją w nos, jednak ona tylko uśmiechnęła się, westchnęła i ponownie zamknęła oczy. - Jesteś zmęczona, skarbie. Spróbuj zasnąć.

Nie otwierając oczu, powiedziała cichutko: - Zastanawiałam się nad wyborem imienia. Nie miałbyś nic przeciwko Florze? Wiesz, że państwo Killjoy byli dla mnie jak rodzice, więc jeśli urodziłabym chłopca, chciałabym, żeby odziedziczył imię po panu Killjoy, Kenneth.

Jemu również przychodziły do głowy różne imiona, na przykład rodziców, John i Jessie. Podobało mu się imię Jessie. - Jak sobie życzysz, kochanie - powiedział po prostu. - Wiem tylko, że protestowałbym gwałtownie przeciwko imieniu Hayward dla chłopca.

Na jej twarzy wykwitł szeroki uśmiech, chociaż nie otworzyła oczu.

Powoli wstał z łóżka, cichutko obszedł je dookoła i ponownie spojrzął na dziecko.

Flora Gibson. Brzmiało to jakoś tak nijako. Flora Gibson. Wolałby Jessie... Kiedyś jej o tym powie.

* * *

Tego dnia na farmie wykonano tylko najpotrzebniejsze prace. Nadal było bardzo sucho: zboże mogło jeszcze kilka dni poczekać na zwózkę. A co więcej, Ward był niezbędny w domu, aby przyjmować licznych gości. Pierwszy zjawił się Fred Newberry, złapał Warda za ręce i potrząsał nimi w górę i w dół, wprawiając młodego ojca w zakłopotanie, ponieważ świadkiem tej sceny byli nie tylko Billy i chłopak, ale również Annie stojąca w kuchennych drzwiach. Wszyscy słyszeli gadanie Freda. - Człowieku, tak się cieszę. Cieszę się. I to dziewczucha... panienka. Mama od razu powiedziała, że nazwiesz ją Jessie, a ojciec ma wspaniały pomysł na tort na chrzciny. Mama przyjdzie później. Przyniesie trochę ciasteczek. Ojciec właśnie je piecze. Ech! Cieszę się, że masz to już za sobą.

W tym momencie Ward nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem, a Billy i chłopak przyłączyli się do niego.

Jedynie Annie wykrzyknęła przez otwarte drzwi kuchni: - Jesteś głupcem, Fredzie Newberry! Zawsze byłeś i zawsze będziesz. To cud, że nie jesteś zdziwiony, że kiedy się rodzi dziecko, ojciec nie leży przywiązany do łóżka!

Teraz Billy parsknął śmiechem, a Fred odpowiedział Annie: - No, ja tylko wiem, że kiedy matka rodziła naszą trójkę, ojciec za każdym razem cierpiał dużo więcej niż ona. I za każdym razem musiał się upić, żeby sobie ulżyć.

- No, dobra, jesteś idiotą. - Ward klepnął Freda po plecach i popchnął go w kierunku kuchennych drzwi. - Chodź, napijemy się czegoś.

Następnym gościem była Maisie Dempster, która rozczuliła się nad maleństwem i jego matką. Potem przyszła Jane Oldham, żona szewca. Nie przyjęła zaproszenia na górę, aby zobaczyć matkę i dziecko, ale wiadomo było, że sama nie mogąc mieć dzieci przeważnie w takich sytuacjach reaguje gwałtownym szlochem. Niemniej jednak prosiła o przekazanie jak najlepszych życzeń i zostawiła kosz owoców, które zebrała w swoim ogrodzie.

Na końcu pojawili się Frank i Jane Noble. Frank od razu zaczął omawiać sprawy związane z chrztem. Już przy wyjeździe, kiedy pomagał swojej żonie wsiąść do powozu, zauważył Carla. Chłopiec niósł z parnika do chlewu kubeł pomyj. - Chciałbyś przyjechać dzisiaj wieczorem na pokaz magicznej latarni, Carl? - zapytał.

Dzieciak zatrzymał się, postawił wiadro i już chciał wyrazić swój zachwyt, kiedy jego wzrok padł na stojącego obok wikarego Warda. - Możesz iść, jeśli wszystko zrobisz - odpowiedział za niego Ward.

Chłopiec złapał kubeł i pobiegł bez słowa. A Frank odwrócił się do Warda. - Masz dobrego chłopaka. A Fanny dokonała cudów. Dzieciak potrafi czytać całe fragmenty Biblii nie gorzej niż ja.

Po tej uwadze Ward z pozornie poważnym wyrazem twarzy odparł: - Nie interesuje mnie, co chłopak może zrobić z Biblią, ale jak szybko nosi wiadro z pomyjami.

- Już ci wierzę! - Frank dał mu kuksańca w bok i wspiął się do dwukółki. Siedząca obok niego Jane krzyknęła do chłopca: - Zaczynamy o siódmej, Carl!

- Tak, proszę pani - potwierdził Carl. Stał wpatrując się w odjeżdżający powóz, aż do chwili, gdy poderwał go głos Warda: - Jak się będziesz tak gapił, na pewno nie zdążysz ze swoją robotą.

Carl jednak stał w miejscu i wpatrując się w Warda wyjąkał: - Proszę pana... czy mógłbym zobaczyć dziecko?

Ward przybrał srogi wyraz twarzy, jakby słyszał jakąś zupełnie nieestosowną prośbę, a potem kręcąc głową mówił tak, jakby się komuś skarżył na Carla. - Wybiera się na pokaz magicznej latarni. I w ogóle nie interesują go wieczorne obowiązki. O, nie. A teraz prosi mnie o dodatkową przerwę, aby zobaczyć dziecko. - Obrzucił chłopca ponurym spojrzeniem, po czym szybko wyciągnął dłoń i ze śmiechem złapał go za drobne ramię. - W porządku! W porządku! Oczywiście, że możesz zobaczyć dziecko.

Wynurzająca się z sypialni Annie była świadkiem tej sceny. - Gdzie niby się wybierasz? - zapytała, przesuwając spojrzenie z jednego na drugiego. - Co? - dokończyła.

- Zabieram tego młodego człowieka, żeby zobaczyć moją córkę. Masz coś przeciwko temu?

- Możliwe. Możliwe - powiedziała Annie. - Zostań tutaj, a ja sprawdzę, czy możecie wejść.

Pchnęła drzwi sypialni, wsunęła tam głowę i zapytała: - Ma pani jeszcze gości. Mogą wejść?

Odpowiedź i tak była niesłyszalna, ale Annie odsunęła się i pozwoliła im przejść. Ward ciągle trzymał chłopca za rękę.

- Och! Witaj, Carl.

- Dobry wieczór pani. Czy lepiej się pani czuje?

- Tak. Tak, Carl. Dziękuję. Przyszedłeś zobaczyć dziecko?

- Tak, proszę pani. Chciałbym.

- Jest tutaj, w kołysce.

Oboje patrzyli, jak chłopiec podchodzi do kołyski i stoi, wpatrując się w niemowlę. Wyciągając rękę zawahał się, ale spojrzał na nich i zapewnił: - Mam czyste ręce - i natychmiast skierował uwagę na dziecko. Wskazującym palcem dotknął malutkiej piąstki, a kiedy chwyciła go rączka niemowlęcia, rozjaśnił się na twarzy i niemal gruchał. - Złapała mnie za palec - wyszeptał, zwracając się do swoich państwa.

Ward zerknął porozumiewawczo na Fanny. Jeden z pierwszych, obok ssania, naturalnych odruchów dziecka zrobił na nim takie wrażenie, jakby to się zdarzyło po raz pierwszy w świecie. I tak było naprawdę, przynajmniej w jego świecie.

Uwolniony palec, podniósł rękę i spojrzał na nią. Ułożenie jego ust zdradzało emocje oscylujące pomiędzy śmiechem i płaczem, z domieszką czegoś nowego, jakiejś nuty dojrzałości.

Odwrócił się od kołyski i podszedł do łóżka. - Ona jest piękna... cudowna, proszę pani. Dziękuję.

Wyszedł z pokoju nie oglądając się na swojego pana i po schodach zszedł do kuchni, gdzie Annie zapytała:

- No, i co sądzisz? - Nie odpowiedział, nawet się nie zatrzymał. - Niech mnie diabli! - wykrzyknęła głośno.

Chłopak udał się w kierunku stajni, ale nie do obory ani nie do stodoły, tylko do swego pokoiku na górcie. Tam usiadł na brzegu swego skotłowanego łóżka, wbił wzrok w pochyłe belki i zastanowił się nad swoimi uczuciami. Czuł się cudownie, kiedy dziecko trzymało go za palec, ale po chwili, kiedy nagle spojrzął na swoją panią, znowu ogarnęło go to znajome przerażenie, chociaż tym razem nie było ono związane ze strachem przed batami, posypywaniem solą i okrutnym śmiechem pijanego pana Zedmonda. Nie, z pewnością nie było to to samo uczucie, ale zupełnie inne, nie związane z przeszłością. Może był to strach przed groźbami pana Browna, dyrektora sierocińca? Nie, też nie, był to jakiś inny, trudny do określenia niepokój. Nie mógł tego zrozumieć, ponieważ dopadł go w tym wypełnionym szczęściem pokoju, w tym szczęśliwym domu. Może pozbędą się go przy jakiejś okazji, odeślą go? Och, nie, tak nie mógł myśleć. Nigdy nie zrobiłby niczego, co zdenerwowałoby panią lub pana, czy Billy'ego, albo Annie. Oni wszyscy są dla niego tacy mili. I wiedział, że pan go lubi. No, bo czy w innym razie pozwoliłby mu zostać? Czasami na niego krzyknął, ale przeważnie dla żartu i on zawsze to rozpoznawał.

Dlaczego tutaj siedzi? Pan by nie żartował, gdyby go zobaczył w pokoiku o tej porze. Co się z nim dzieje? Czy mu się pomieszało w głowie?

Podniósł się z posłania, ale stanął na chwilę i spojrzął na wyciągnięty palec wskazujący. Uśmiechnął się - złapała go, i to naprawdę mocno.

Potem szybko skierował się do drabiny.

Rozdział trzeci

Na pokazie magicznej latarni było tylko dziesięcioro dzieci. Poza Carlem można tam było spotkać dzieciaki z rodzin mieszkających w Hollow. Gdyby pokaz zorganizowano w szkole, to z pewnością zjawiłaby się cała wieś, ale nie ci z Hollow, więc Frank Noble ustawił całą aparaturę w małym kościółku, chcąc sprawić radość miejscowej dzieciarni. Żadnego znaczenia nie miał dla niego fakt, że rodzice rzadko bywali na mszach; zdawał sobie też sprawę, że sporo wśród nich było katolików, którym za przekroczenie progu świątyni protestanckiej groził ogień piekielny. Jednak rodzice zdawali się sądzić, że to nie dotyczy dzieci. Być może uważali, że ich latorośle za ten sam czyn, który dla nich byłby grzechem śmiertelnym, pójdą tylko do czyśćca.

Ogólnie rzecz biorąc, dzieci miały pyszną zabawę. Carl, razem z całą resztą, trząśł się ze śmiechu na widok osła, który kopał męczyznę wymachującego kijem. Następna plansza była jeszcze śmieszniejsza, ponieważ teraz osioł ganiał tego człowieka. Kolejna przedstawiała słodki widok ptaka karmiącego pisklęta. Ale wielebny zwrócił im szczególną uwagę na Jezusa siedzącego wśród dzieci. Jezus miał piękną twarz. Nie miał brody, jasne włosy spływały mu na ramiona i ubrany był w białą szatę.

Jednak Carlowi ten obrazek nic specjalnego nie mówił. W sierocińcu często słyszał o Jezusie i jego dobroci, szczególnie dla dzieci. Mówił o tym kaznodzieja, ale wydawało się, że ani nikt z personelu, ani dyrektor nigdy nie słyszeli o Jezusie. Wiele mogliby natomiast powiedzieć o diable i jego potędze. A już na farmie, dokąd go wysłano, nie mógł mieć żadnych wątpliwości, jak wielka jest potęga diabła.

Pokaz trwał ponad godzinę, gdyż wikary sam komentował każdy obraz, prowokując nieustające wybuchy śmiechu. Po przedstawieniu pani Noble rozdała słodycze, po czym dzieciaki szybko rozpierzchły się do swoich tak zwanych domów, niewiele lepszych od zwyczajnych nor.

Carl ostatni zbierał się do odejścia. Frank i Jane razem z nim stali przy wejściu do kościoła. - Może cię zdmuchnąć, jak będziesz wracał, Carl - odezwał się Frank, wskazując na rozhuśtane wierzchołki drzew. - Zupełne szaleństwo. Księżyc co chwila chowa się za chmurami. Ale znasz dobrze drogę do domu?

- O tak, sir.

- No, to - Frank Noble wskazał na skłębione chmury, zasłaniające księżyc - biegnij, kiedy jest widniej, a idź wolniej, gdy zapada ciemność.

Carl roześmiał się. - Tak zrobię, sir. To dobra rada.

- Ja zawsze daję dobre rady, Carl.

- Tak, to prawda, sir. Dobranoc, sir. I dobranoc pani. Dziękuję za ten wieczór. Było cudownie - dodał z uśmiechem. - Mam nadzieję, że osioł w końcu dogonił tego człowieka i porządnie go kopnął - zauważył żartobliwie, po czym zniknął żegnany śmiechem Franka i Jane.

Był z siebie zadowolony: udało mu się rozbawić pastora i jego żonę.

Księżyc płynął po czystym teraz skrawku nieba. Mimo wiatru noc była piękna. Od dawna było sucho i ciepło. Jutro zbiorą ostatnie snopki owsa. Zrobiliby to dzisiaj, gdyby nie narodziny dziecka.

Ominął las, ponieważ nie wiedział jak długo księżyc będzie jasno świecił, a nie chciał znaleźć się w ciemnościach wśród mroku drzew. Nie lubił ciemności. W piwnicy na farmie było ciemno jak w grobie. Całe dwa dni... Nie, nie wolno mu o tym myśleć... Mógłby pójść ścieżką prowadzącą do wsi, a potem, w połowie drogi, wspiałby się na mur" korzystając z pomocnych gałęzi starego dębu, którego korzenie sięgały daleko za ogrodzenie, a dolne gałęzie zwisały na drugą stronę muru. W ten sposób znalazłby się na polu owsa, gdzie wczoraj ustawiali snopki.

Kiedy już wędrował ścieżką, chmury po raz kolejny przesłoniły księżyc, ale znał drogę i wiedział, że do drzewa jest niedaleko. Wiatr nasilał się, gałęzie żywopłotu wyginały się prawie na środek ścieżki, a w jakimś momencie liście smagnęły go w policzek.

Gdy dotarł do dębu, przez chmury właśnie przedzierało się nikłe światło księżyca. Podniósł ręce, chwycił najniższą gałąź i podciągnął się na wierzchołek muru, gdzie było mu bardzo niewygodnie, ponieważ kamienie zostały ułożone pod kątem. Ale zamiast podciągnąć prawą nogę i zeskoczyć na pole, zamarł w bezruchu, gdyż przed sobą zauważył ciemną sylwetkę jakiegoś człowieka, który toczył bańkę wzdłuż muru otaczającego pole. Nie miał wątpliwości, że była to bańka, bo zauważył jej błysk. Kiedy bańka zatrzymała się, otwarte usta i wstrzymany oddech poprzedziły rozziewający krzyk, który wydobył się z jego gardła na widok płomieni pełzających w kierunku snopków zboża.

Krzyczał przez cały czas, gdy ktoś złapał go za ramiona, podniósł do góry i twarzą grzmotnął o pień drzewa. Dopiero wtedy wszystko umilkło.

Nie wiedział, jak długo leżał na skraju pola, ale odzyskał świadomość czując, że płoną mu włosy i ubranie. Podniósł się szybko i rozpoczął wojenny taniec derwisza. Jedną ręką wyrywał sobie płonące włosy, drugą próbował stłumić płomienie trawiące ubranie.

Ciągle jeszcze nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, co się dzieje na polu. Dopiero gdy z niedowierzaniem zauważył płomienie chciwie liżące ściernisko i wspinające się po kolejnych stogach, zataczając się ruszył biegiem.

Kiedy slaniając się na nogach, z wyschniętym gardłem, dotarł na podwórze, księżyc znowu świecił jasno. Jego krzyk dotarł do sypialni i zwabił Warda na dół, gdzie chłopiec wtulał się w fartuch Annie. - Pole! Jest w ogniu! Płonie! Całe!

- O czym ty mówisz, chłopcze?

Zanim chłopak zdążył odpowiedzieć, Annie krzyknęła: - Spójrz! Ma przysmalone włosy i ubranie. Wielki Boże w niebiosach!

- Wiadra! Wiadra, panie! - Chłopak kierował się do parnika.

Teraz Ward ruszył za Carlem, krzycząc jak szalony:

- Zawołaj Billy'ego! Zawołaj Billy'ego! Jest w swoim domku.

Carl ruszył pędem, ale był tak oglupiały, że załomotał do niewłaściwych drzwi, ale na szczęście wywabił go z domu tym hałasem. - Co się stało, chłopcze? - wykrzyknął Billy, ubrany tylko w spodnie i podkoszulek.

- Pole! Jest w ogniu... Płonie! - wrzasnął Carl. Billy zawahał się tylko przez chwilę, po czym ruszył biegiem, a Carl poszedł w jego ślady.

Stojąc w drzwiach parnika, Annie rzuciła mężowi dwa wiadra i krzyknęła do chłopca: - Biegnij do Hollow i sprowadź stamtąd mężczyzn. Patrz na niebo!

Księżyc otoczony był teraz delikatną poświatą przyniesioną przez wiatr. - Nie biegnij z pustymi rękoma! - wrzasnęła do wynurzającego się zza pleców Billy'ego chłopca i w jego kierunku potoczyło się kolejne wiadro.

- I pośpiesz się - dodała.

Kiedy dotarł na pole, stanął jak wryty widząc rozmiary kłęski. Billy również stał jak oniemiały, szepcząc w osłupieniu: - O mój Boże! Mój Boże! - Poderwał ich krzyk Warda, który powtórzył Carlowi polecenie Annie:

- Biegnij do Hollow! Sprowadź ludzi. - Nie powiedział do wsi, ale do Hollow.

- Idź do strumienia, Billy! Podawaj mi wiadra, a ja będę polewał żywopłot, bo inaczej ogień przedostanie się na pole w dolinie.

Carl przeskoczył malutki strumyczek płynący pomiędzy dwoma zagonami, wspiał się na wzgórze i jak kula stoczył się po drugiej stronie, krzycząc po drodze: - Panie Riley! Panie Read! Panie Mackintosh!

Na odgłos łomotania do pierwszych drzwi pozostałe „, również uchylły się i w ciemnościach słyhać było różne głosy. - Co się dzieje? Pali się czy co?

- Pole mojego pana! Całe w ogniu! Potrzebuje was! - krzyknął w odpowiedzi na to naturalne przy takim alarmie pytanie.

Z otwierających się kolejno drzwi dały się słyszeć głosy:

- Mój Boże!

- Jezu Chryste!

- Dasz temu wiarę?

- Spójrzcie na niebo! - wykrzyknął jakiś głos. - Boże, nieźle się hajcuje. Ruszajmy! No, ruszajmy!

Ośmiu mężczyzn i siedmiu młodych chłopców, z których żaden nie skończył jeszcze dwunastu lat, popędziło wzdłuż chałup Hollow i dalej na wzgórze. Najdziwniejsze, że Carl nawet się nie ruszył, aby towarzyszyć tej rozwrzeszczanej masie, która teraz zniknęła w ciemnościach. Działo się z nim coś niedobrego - nie mógł poruszyć nogami, chociaż czuł się jakoś lekko. Miał wrażenie, że jego ciało nic nie waży. Jakby mógł unieść się w powietrze. Nagle poczuł, że wcale nie lata, ale twardo uderza o ziemię.

- Chłopak zemdłał. No, mnie się to nigdy nie udało! Ale spójrz na jego włosy! Paliły się! I koszulę ma okopconą. Biedny mały - powiedziała postawna kobieta.

- Mam go pochłapać wodą, mam?

- Na ciebie chętnie wylałabym pełną beczkę, jeśli miałabym ją pod ręką. Nie gapcie się na niego, wy tam.

- Odsunęła na bok dzieci i dwie inne kobiety. Zakołysała szerokimi biodrami i dwoje dzieciaków nagle usiadło na błotnistej drodze. Wtedy zatrzymała się, podniosła Carla, wzięła go na ręce i omijając najmłodsze dziecko weszła do chaty. Złożyła swój ciężar na drewnianej ławie wyłożonej matą ze słomy i poleciała córce: - Przysuń bliżej lampę. I podaj mi zmoczony w wiadrze ten mały ręczniczek.

Dziewięcioletnia dziewczynka nie od razu posłuchała polecenia matki. - Tatuśka to zawsze polewasz wodą - zamruczała pod nosem.

- Bóg mi świadkiem, Patsy Riley, dziś w nocy zalejesz się własną krwią, jeśli natychmiast nie zrobisz tego, o co proszę. I pośpiesz się! Bo skórę ci wygarbuję, a wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

Pięcioro małych, ale szczerze zainteresowanych widzów, trzy dziewczynki i dwóch chłopców, pierzchnęło w stronę otwartego paleniska, gdzie buzował ogień. Usiedli w zbitej kupce i pilnie śledzili poczynania matki, która zawiązała ręcznik na głowie gościa. - To chłopak pana Gibsona - usłyszeli siostrę. - Musi mu tam być nieźle, bo zadziera nosa, jak cię widzi. Zupełnie jakby mu coś cuchnęło. Dochodzi do siebie. Mruga. I założę się, że ci nie podziękuje za opiekę.

Dzieciaki skuliły ramiona, gdy matka krzyknęła: - Zamknijże w końcu gębę, Patsy Riley, bo inaczej ja to zrobię za ciebie, ale wtedy nakryjesz się nogami!

W krótkiej chwili ciszy, jaka zapanowała po tej wymianie zdań, pani Riley spojrzała na zakrwawioną twarz chłopca. Na nosie widać było ślady zakrzepłej krwi, a świeża krew sączyła się z rozciętej brwi. Ktoś mu musiał spuścić nieźle manto. Ale dlaczego? Chciałaby to wiedzieć. Ale wszystko w swoim czasie.

- Witamy - powiedziała. - Lepiej się już czujesz? Carl uniósł ciężkie powieki, ale nie mógł rozpoznać pochylającej się nad nim twarzy, chociaż przynajmniej wiedział, że należała do jednej z Irlandek mieszkających w Hollow... A przyszedł tu po pomoc. Spróbował się podnieść mówiąc: - Pożar.

- Leż spokojnie, chłopcze. Jeszcze chwilę. Oni już poszli. Pewnie dali sobie radę. - A do stojącej z boku córki odezwała się: - Idź i przynieś mi flanelkę dzieciaka.

- Flanelkę niemowlaka? Zapaskudzi ją. Nikomu z nas nie pozwalasz jej używać.

- Patsy Riley, Bóg mi wybaczy, jeśli któregoś dnia stuknę cię młotkiem - powiedziała pani Riley ciągle jeszcze spokojnym tonem. Po czym odwróciła się szybko i wrzasnęła: - Daj mi flanelkę!

Podniesiony głos poderwał Carla, który jeszcze razif spróbował wstać, ale pani Riley uspokoiła go znowu łagodnym tonem: - Połóż się, chłopcze. Nie zwracaj na nią uwagi. Przez ten dom zawsze przewalają się burze. Ale może byś powiedział, kto pokaleczył ci twarz?

Wyciągnęła rękę i wzięła od córki kawałek wilgotnej flanelki, którą delikatnie położyła na policzkach Carla. Zamrugał i zaprotestował: - Nie! Nie!

- Cicho. Już dobrze.

- Muszę wracać... pomóc.

Tym razem udało mu się wstać z ławki. Powoli spuścił stopy, jedną ręką trzymając się za głowę, i powiedział: - Bardzo pani dziękuję za uprzejmość.

- Nie ma o czym mówić, chłopcze. Nie ma o czym mówić. Ale nie dasz rady sam wrócić na farmę.

Chcąc pokazać swoją siłę, poderwał się na równe nogi i po raz pierwszy rozejrzał wokół. Szybkim spojrzeniem ogarnął gromadkę dzieci siedzących wokół paleniska, garnek z kapuśniakiem wiszący na łańcuchu nad ogniem, zapchany pudłami i posłaniami pokój. Zdawało mu się, że widzi tam tylko dwa krzesła. Stół zastawiony był naczyniami i garnkami.

Stojąc przy drzwiach, na chwilę chwycił się framugi, co sprowokowało panią Riley do następnej komendy: - Pójdiesz z nim, Patsy, i zobaczysz, jak sobie radzi.

Tym razem ani dziewczynka, ani Carl nie zaprotestowali. Mimo to maszerowali w milczeniu. Po wyjściu z lasu, już na ścieżce, Carl zatrzymał się i wyciągniętą ręką odgarnął gałęzie drzewa. Właśnie wtedy Patsy odezwała się łagodnym jak u matki głosem: - Pomogę ci.

I po raz pierwszy dotknęła go, co oboje zapamiętali na długo.

Kiedy dotarli do tej części muru, na którą niedawno się wspinał, oparł się o kamienie i wyjrzał za ogrodzenie. Chmury dymu, prześwietlone gdzieniegdzie czerwonymi płomieniami, pokrywały pole, na którym z trudnością rozróżniał ciemne sylwetki. Zdawały się trwać w bezruchu ze wzrokiem skierowanym na niego. Wyobraził sobie, że wszystkie ruszają na niego i w tym momencie znowu pogrążył się w ciemności.

Osuwającego się po murze złapała za ramiona Patsy Riley krzycząc: - Obudź się! No, obudź się! - Ale ponieważ ani drgnął, zrobiła to, co on nieco wcześniej. Podciągając się po gałęzi wspięła się na mur, stanęła na szczycie ogrodzenia i zawołała: - Niech ktoś tu przyjdzie! Hej! Tutaj! Hej! Tu! On znowu zemdłał. - W końcu wrzasnęła z całych sił: - No! Jestem Patsy. Chłopak wyciąga nogi!

Z ciemnego szeregu sylwetek wyłoniły się trzy postacie i ruszyły w jej stronę. - To chłopak pana Gibsona - powiedziała, wskazując na drugą stronę muru. - Ktoś go wygrzmocił, a on mi się teraz rozłożył.

To właśnie Ward, którego z trudem można było rozpoznać wśród jego towarzyszy, a jednym z nich był Fred, przeskoczył przez mur i pochylił się nad Carlem.

Podniósł go i ze słowami: - Boże święty! Spójrz na jego twarz - przekazał Fredowi. Tocząc wokół dzikim wzrokiem, krzyknął w stronę zbitych w gromadę mężczyzn:

- Przysięgam wam, że jeśli tylko złapię tego, kto to zrobił, i chodzi mi nie tylko o moje pole, ale również o tego chłopca, to go zabiję, nawet jeśli miałbym za to wisieć!

Mężczyźni zachowali milczenie, ponieważ zdawali sobie sprawę, że jeśli Wardowi w ciągu kilku najbliższych godzin uda się znaleźć sprawcę, to naprawdę dotrzyma obietnicy i naprawdę zawisnie na szubienicy. Ale wiedzieli również, że ten podły człowiek, który podpalił pole, zniszczył całoroczną pracę i pozbawił dochodu, powinien zawisnąć na szubienicy, bo największą zbrodnią w stosunku do farmera jest podłożenie ognia pod jego stodołę lub pola. I żaden ze stojących tam tej nocy mężczyzn nie mógł przypomnieć sobie, żeby coś takiego miało miejsce kiedykolwiek wcześniej, przynajmniej nie w tej okolicy. Oczywiście, wypadki mogły się zdarzyć, pożary różnego rodzaju też, ale nigdy nie było to celowe.

Wszyscy wiedzieli, że zrobiono to celowo, dlatego, że ożenił się z inną kobietą, nie z Daisy Mason. I niektórym przemknęło przez myśl: Niech Bóg ma w swojej opiece tych dwóch chłopaków Masona, jeśli to oni maczali w tym palce.

Ward z powrotem wspiął się na ogrodzenie i zabrał Carla od Freda. Zatrzymał się na chwilę, patrząc na osmalone ogniem twarze mężczyzn, którzy mu pomagali i odezwał się cicho: - Dziękuję wam wszystkim. Bardzo dziękuję. Bez waszej pomocy ogień przedostałby się na inne pola i zabudowania. Jestem wam wdzięczny.

W odpowiedzi usłyszał jedynie pomrukiwania i pochrząkiwania, ale nikt nie powiedział nic sensownego. Ward oddalił się, przytulając do siebie chłopca.

Mężczyźni rozeszli się, jedni ruszyli ścieżką do wsi, a pozostali, ci z Hollow, skierowali się w przeciwną stronę.

Kiedy ojciec Patsy wziął ją za rękę, nie zapytał, dlaczego znalazła się w towarzystwie chłopaka, o którym często mówiła jako o pyszałku z farmy Gibsona. Kochał swoją córkę i doskonale rozumiał, dlaczego wyrażała taką opinię. Po prostu doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że w swojej obecnej sytuacji nie może nawet marzyć o jakichkolwiek kontaktach z kimś takim, jak on.... i nie miał tu znaczenia fakt, że tylko tam pracował.

* * *

W zasadzie można było powiedzieć, że w świetle księżyca, z gdzieśgdzie błyskającymi wśród dymu płomieniami, pole wyglądało niemal pięknie. Zeszłej nocy wszystko miało odcień różu lub szarego srebra, z wyjątkiem ludzi, którzy byli czarni. Gdy jednak Ward w świetle poranka zobaczył rozmiary zniszczenia, zwęglone stogi, które jeszcze wczoraj wyglądały jak złote piramidy, zawrzał w nim gniew.

Gdy po raz pierwszy dostrzegł pełzające płomienie, natychmiast pomyślał o Masonach. Tłukąc ziemię workiem, aby stłumić ogień, polewając wodą z wiader i zwilżając żywopłot, ciągle o nich pamiętał. Dopiero Fred, który przyszedł nieco później przypadkowo rzucił:

- Nie wiem, Wardzie, kto to zrobił, ale wykluczyłbym Masonów.

Na dźwięk tych słów Ward odwrócił się gwałtownie.

- Dlaczego miałbym ich wykluczyć?

- Dlatego, że od szóstej wieczorem byli w Koronowanej Głowie. Sam ich widziałem. A kiedy wpadłem tam nieco później, jeszcze tam byli. Grali w domino. A dziesięć minut później, wychodząc z piekarni, zauważyłem tę dziwną poświatę na niebie. Z początku nie pomyślałem, że to pożar, ale ojciec nie miał wątpliwości. Szybko wyszedł z domu i postawił nas na równe nogi... A jeśli chodzi o Daisy, to mogę cię zapewnić, że tego popołudnia pojechała do kuzynki do Fellburn. Pewnie chcesz zapytać, skąd o tym wiem. No, wpadła do nas do sklepu. Chciała kupić pół tuzina ciasteczek ryżowych, które jej kuzynka bardzo lubi. Ucięła sobie pogawędkę z moją mamą. Więc musisz szukać gdzie indziej,

Wardzie. I w pewnym sensie jestem z tego zadowolony, bo naprawdę ze świecą szukać tak miłych ludzi jak John i Gladys Masonowie, a oni nie pozwoliliby swoim chłopakom na coś takiego. John Mason umarłby ze wstydu, gdyby ludzie pomyśleli inaczej.

Dopiero Rob Newberry, który zjawił się nieco później, stwierdził: - Z pewnością twój chłopak naprowadzi cię potem na jakiś ślad, bo wystarczy na niego spojrzeć, żeby nie mieć wątpliwości, że bezpośrednio zetknął się z tym człowiekiem. Jego twarz jest w takim stanie, że nie byłbym zdziwiony, gdyby okazało się, że to coś poważnego. Sam mówiłeś, że nie można go dobudzić.

No, jeśli nie byli to Masonowie, to kto? Ich rodzina miała we wsi wielu przyjaciół. Ale czy przyjaciele byliby tak zawzięci jak członkowie rodziny? I czy mogliby zrobić coś takiego? Dzieciaki mogą przypadkowo zaproszyć ogień, ale tym razem to było celowe działanie. Ogień został podłożony. Świadczyła o tym leżąca pod murem bańka. Ktoś, kto podjął się tego zadania, musiał uciekać w popłochu.

A do tego wszystkiego dochodził niepokój o Fanny. Kiedy Annie wróciła do domu, znalazła ją skuloną na krześle przy oknie na półpiętrze, skąd mogła obserwować jeśli nie samo pole, to przynajmniej dym i wysokie płomienie. Od tego czasu nie przestawała płakać, obwiniając się za to, co się stało. I w pewnym sensie tak było. No cóż, tak było. I nie mógł nic na to poradzić. Co oczywiście nie znaczyło, że gdyby wpadł na ślad winowajcy, nie udusiłby go gołymi rękoma. Poprzedniej nocy był na tyle nierozsądny, że jej o tym powiedział, a to nie poprawiło jej nastroju.

Zawrócił i szybkim krokiem skierował się do domu. Chłopak powinien zacząć mówić.

Musieli wezwać do Carla lekarza, ponieważ chłopca nie można było dobudzić. Doktor Patten był wyjątkowo małomównym młodym mężczyzną, znanym ze swej umiejętności patrzenia i słuchania. Niektórzy mieszkańcy wsi podawali nawet w wątpliwość jego znajomość medycyny, tak bardzo różnił się od doktora Wheatleya. Po zbadaniu Carla po prostu stwierdził, że chłopiec doznał poważnego wstrząsu i potrzebny mu jest odpoczynek.

Ale Ward nie mógł czekać, aż dzieciak całkowicie dojdzie do siebie, ponieważ chciał oddać sprawę w ręce sprawiedliwości, a do tego, oprócz oczywistego dowodu w postaci spalonego pola, potrzebował wiadomości, kogo Carl zobaczył zanim został zaatakowany.

Carl leżał teraz w rupieciarni przy kuchni, gdyż Annie spokojnym tonem oświadczyła, że nie zamierza wdrapywać się po drabinie, aby doglądać chorego. Tak więc jego siennik został zniesiony na dół. I właśnie tam teraz siedział Ward.

U szczytu posłania stała stara skrzynia, o którą był oparty jakiś wypchany worek i dwie poduszki. Ward musiał przyklęknąć, aby znaleźć się na wysokości twarzy chłopca. Patrząc na niego, zaciskał zęby, bo chłopak faktycznie nie widział na oczy. Twarz miał pokrytą ogromnymi sińcami, a nos bardzo spuchnięty. Nie zapytał go: „Jak się czujesz?”, ale: - Czy bardzo źle się czujesz?

- Boli - wyszeptał Carl.

- Wiem, wiem, że boli. A teraz posłuchaj, Carl. Spróbuj mi opowiedzieć, co się stało.

Spróbować opowiedzieć panu, co się stało? Jak w półśnie ciągle widział płomień liżące stogi i wielką postać, która go chwyciła. Ale pan chciał wiedzieć, co się stało. Powoli powiedział: - To był potężny mężczyzna... bardzo duży. W czapce. - Podniósł rękę, aby pokazać rozmiary czapki. - W wysokiej czapce... Miał wysoką czapkę... myślę - wymamrotał.

- Widziałeś jego twarz?

- Nie, było ciemno. Ciemno... no, prawie.

- Ale sądzisz, że to był wysoki mężczyzna?

- O, tak. Tak... silny. Podniósł mnie za... - poklepał się po ramieniu, zanim dokończył - do góry i uderzył o drzewo.

- Nie bił cię pięściami?

- Nie. Nie... tylko o drzewo... Jestem zmęczony, panie.

- W porządku, Carl. W porządku. - Ward położył dłoń na głowie chłopca, na jego gęstych włosach sterczących kępkami, po czym wyprostował się. Jednak nie od razu wyszedł z pokoju, ale stał wpatrując się w twarz dziecka. Powiedział „duży mężczyzna”, i rzeczywiście trzeba było mieć sporo siły, aby podnieść chłopaka za ramiona i grzotnąć nim o drzewo, bo dzieciak, chociaż chudy, swoje ważył, a poza tym ten ktoś musiał nim rzucić ponad murem. Duży mężczyzna. Duży mężczyzna. Kto we wsi mógł być tym dużym mężczyzną? Kowal lub jego synowie - John i Henry? Nie, oni są raczej krępi. A poza tym są jego przyjaciółmi, tak samo jak rodzina Newberrych. Hanna Beaton nie jest mu przyjazna, ale też nie ma przy sobie żadnego mężczyzny. Kościelny? No, on jest postawnym mężczyzną. Ale jest tłusty i ma wielki brzuch, więc raczej wątpliwe, aby w życiu podniósł coś cięższego niż Biblia.

Myślami przebiegł po innych mieszkańcach wioski. Wszyscy mężczyźni byli średniego wzrostu, poczynając od szewca, a kończąc na pastorze Traceyu. Ale w Hollow można spotkać kilku potężnych i wysokich. Niektórzy z tych Irlandczyków mogli podnieść konia, ale z drugiej strony większość z nich swego czasu wykonywała dla Warda jakieś prace i wydawali się z tego zadowoleni - tak

mu przynajmniej mówili, i to nie raz - jako że czasy były trudne, a on dawał im zarobić, choć mógł się bez nich obejść. Nie, to nie mógł być nikt z Hollow.

Więc kto? Myślam wrócił do Masonów. Według zapewnień Freda bracia spędzili wieczór w gospodzie, a Daisy wyjechała. Pozostawał tylko pan Mason.

No cóż, równie dobrze za podpalenie swego pola mógłby winić samego Boga.

Jednak nie zamierzał odkładać tej sprawy na później, ponieważ najprawdopodobniej ta sama osoba, która podłożyła ogień, również założyła pułapki na bydło. A Bóg jeden wie, co jeszcze mogło się zdarzyć. Więc zamierzał odwołać się do Sprawiedliwości.

Annie, kiedy jej to zakomunikował w kuchni, zgodziła się z nim całkowicie mówiąc: - No, ktoś sam się o to prosi. A poza tym nie chodzi tylko o pole, ale również o twarz tego dzieciaka. Po mojemu, to musiał wpaść w popłoch i chciał go załatwić. I mógł to zrobić. A w ogóle, to musiałam spalić jego ubranie i resztę włosów, która mu została, bo aż się tam roilo.

- Od czego?

- Oczywiście, że od wszy. Leżał przecież w tej norze u Rileyów, nie pamiętasz? A do tych chałup wystarczy wsadzić nos, żeby oblaźło cię wszelkie robactwo, wszy, pchły i inne świństwa. Będziesz musiał kupić mu jakiś nowy przyodziewek, przynajmniej kurtkę i spodnie. Ale jak już przy tym jesteśmy, to mógłbyś dołożyć ze dwie koszule, bo nastał tu w jednej koszulinie na grzbiecie, a teraz i to jest zniszczone.

- Nic innego nie przychodzi ci do głowy?

- Nie, przynajmniej nie w tej chwili, ale jesteś mu to winien.

- Ha! - Wyszedł z kuchni i skierował się do sypialni. Fanny trzymała dziecko przy piersi. Podsunął sobie krzesło do łóżka i przyglądał się karmieniu córki. Odezwał się dopiero, gdy Fanny odłożyła niemowlaka na bok i zapytała: - Co zamierzasz zrobić?

- Mówiłem ci. Pójdę na policję. Niech oni się tym martwią, boja zupełnie nie mam pojęcia, komu z sąsiedztwa to przypisać.

- Pomyślałeś o chłopcu?

- Oczywiście, dlatego to robię.

- Kiedy o nim wspomnisz, pewnie będą chcieli go przesłuchać.

- Z pewnością.

- A jeśli to się dostanie do gazet i ten człowiek, od którego uciekł, dowie się? Lokalne dzienniki można znaleźć jeszcze w Durham, a właśnie gdzieś tam była ta farma.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

- Możesz zmienić mu nazwisko i wyjaśnić, dlaczego to robimy. Dla jego dobra. Bo on mi kiedyś powiedział, że nazwisko to wszystko, co ma.

- Masz jakąś propozycję?

- Może moje panięskie... McQueen. Zresztą i tak Annie twierdzi, że zdaniem niektórych ludzi jesteśmy spokrewnieni, bo zjawiliśmy się w tym samym czasie.

Nie uśmiechała się proponując mu to, ale on poklepał ją po dłoni i powiedział:

- Powiem, że nazywa się Carl McQueen. Brzmi całkiem dobrze, powinno mu się spodobać.

Widząc jej zwilgotniałe oczy, dodał szybko: - Ale teraz już dość. Nie wolno ci więcej płakać. Pomyśl o niej - wskazał na dziecko leżące na kolorowej kołderce

- i pamiętaj, że im więcej się denerwujesz, tym dłużej będziesz musiała leżeć w łóżku.

Podniosła przytrzymującą jej rękę dłoń i mocno przytuliła ją do piersi. - Nie martwi mnie mój stan, ale denerwuję się o ciebie. Co oni jeszcze mogą nam zrobić?

- Nic. Nic, kochanie. Będą się bali policji. Wiesz, w pewnym sensie oni są dumni ze swojej wsi i nie lubią tu intruzów. A policja to dla nich intruzi. Pewnie wszyscy mamy coś do ukrycia.

- Tak, tak, rzeczywiście nie lubią intruzów, i to wszelkiego rodzaju - powiedziała po krótkiej przerwie.

Nie znalazł właściwego komentarza do tego stwierdzenia, więc pochylił się, żeby ją pocałować i pogrążony w myślach szybko wyszedł z pokoju. Tak, miała rację. Nie lubią żadnych intruzów. Ktoś był zdecydowany przypilnować, aby zapłacił za tę obcą osobę, którą tu sprowadził.

* * *

Dwa dni później w „Newcastle Journal” zamieszczono reportaż zatytułowany Zamach na farmera. Dziennikarz wykazał się niezwykłą wyobraźnią w opisach płonącego pola oraz podpalacza zdecydowanego na zabójstwo młodego pomocnika farmera Gibsona, Carla McQueena, który w wyniku uderzenia o drzewo doznał poważnego wstrząsu i obrażeń twarzy. Nie było to pierwsze zajście tego typu, ponieważ wcześniej próbowano okaleczyć stado Gibsona. Musi być jakiś ukryty powód tych działań, kontynuował dziennikarz, ale trudno wpaść na jakikolwiek ślad, ponieważ mieszkańcy wsi zachowują całkowite milczenie.

Mieszkańcy wsi nie zachowywali całkowitego milczenia w gospodach, sklepie warzywniczym, u szewca, czy w piekarni. Nawet Fred stwierdził, że powiadomienie policji było błędem, bo w końcu i tak by doszli, kto to zrobił. A jeśli chodzi o okoliczną arystokrację, to pułkownik Ramsmore sugerował, że

pożar wznicił sam chłopak w ukryciu pociągający skręta. Kiedy wspomniano mu o ranach na twarzy, lekceważąco skomentował: - Och, pewnie wspinał się na drzewa, obsunął się i spadł na kamienny mur. Kamienie na murze są naprawdę ostre. Może rzeczywiście tym podpalaczem był sam chłopak Gibsona.

Kiedy taką wersję zaczął rozpowszechniać człowiek, który pod każdym względem był prawdziwym panem na włościach, no, to wieśniacy zaczęli uważać, że pewnie tkwi w tym ziarenko prawdy. A czy przypadkiem panieńskie nazwisko żony Warda nie brzmiało McQueen? Zabawne, prawda?

W każdym razie według oficjalnej wersji powinni czekać i zobaczyć, co zdołała policja. Przyjaciele Warda mieli nadzieję, że policji uda się złapać złoczyńcę, zanim Ward to zrobi, bo w przeciwnym razie wieść z pewnością będzie opisywana w gazetach, i to nie tylko lokalnych, jako że wszyscy doskonale pamiętali obietnicę Warda złożoną tej nocy, gdy wybuchł pożar.

Ale jak się okazało, śledztwo zaprowadziło donikąd. A głowę Warda wkrótce zaprzątnęły nowe problemy.

Rozdział czwarty

Fanny powoli wracała do sił, więc chrzest odbył się dwa miesiące później i dziewczynka otrzymała imiona Jessie Flora Gibson: Jessie po matce Warda, a Flora po pani Killjoy. Frank Noble odprawił ceremonię w małej kaplicy w Hollow, przed którą na podarunki czekał tłum miejscowych dzieciaków. Jakie były te prezenty z okazji chrzcin, zależało od stopnia zamożności rodziny - mogły to być słodycze, srebrny pieniążek lub po prostu miedziak. Tym razem Patsy Riley z determinacją ustawiła się na początku kolejki i otrzymała torebkę od samego Warda. Jako pierwsza powiedziała: - Życzę zdrowia i szczęścia oraz wszelkiej pomyślności.

Na herbatę z okazji chrzcin zostali zaproszeni, poza aktorami i panią Borman, ci sami goście, którzy byli obecni na weselu. Państwo Killjoy przybyli z całą rodziną, którą tym razem odesłano do stodoły pod opiekę Carla, a po herbacie pieesków nie przyniesiono do domu i tym razem nie przedstawiały swoich sztuk. A to z dwóch powodów: po pierwsze, pani Killjoy nie czuła się najlepiej, a po drugie, pod koniec spotkania miała miejsce przedziwna sprzeczka pomiędzy Charliem Dem-pseyem a wielebnym Frankiem Noble'em. Wszystko zaczęło się od uwagi Jane Noble, która stwierdziła, że była rada widząc Patsy Riley odbierającą prezent z okazji chrzcin.

- Z pewnością jest tu ktoś, kto nie jest z tego zadowolony - wtrącił Charlie. - To mała szumowina, prowodyr tych wszystkich nicponiów, którzy przy każdej okazji starają się coś ściągnąć. Jeśli wpadnie mi w ręce, to skręcę jej kark. Powinna teraz siedzieć razem ze swoim tatusiem.

Tutaj z kolei wtrącił się Frank: - Chwileczkę, Charlie, musisz być sprawiedliwy. Przecież wiesz, że Riley został sprowokowany i w końcu musiał się bronić.

- Mówisz, że został sprowokowany, pastorze? Czy to znaczy, że go bronisz? Należy do jakiejś ich partii, której członkowie przyjeżdżają tutaj, podkładają bomby i mordują szlachtę, a wszystko pod rozkazami tego Parnella. Szumowina najgorsza z najgorszych. Wichrzyciel.

- Chwileczkę! Chwileczkę, Charlie, mylisz fakty. - Powstrzymał się przed dodaniem „znowu”, ale mówił dalej: - Pozwól sobie przypomnieć, że Parnell ma szlacheckie pochodzenie, urodził się wśród możnych i tam wychował, a teraz po prostu walczy za sprawę irlandzkich biedaków. Gdyby był Anglikiem działającym na rzecz biedoty angielskiej, na przykład robotników w fabrykach, górników i różnych innych, traktowano by go jak bohatera. - Frank był na tyle taktowny, że nie wspominał o chłopach.

- Widzę, że jesteś całkowicie po jego stronie i po stronie jego zwolenników, podobnie jak ta hołota z Hollow. Ale to jasne, przecież mieszkasz w ich sąsiedztwie.

- To nie dlatego, że tam mieszkam - stwierdził Frank spokojnie - tylko po prostu dlatego, że studiuję historię i widzę drugą stronę medalu. Zadałeś sobie kiedykolwiek pytanie, dlaczego tak wielu Irlandczyków przyjeżdża do naszego kraju? Dlatego, że u siebie głodują, a do takiego stanu doprowadziły ich opłaty dzierżawne i podatki wyznaczane przez angielskich panów. I chciałbym jeszcze dodać - powiedział Frank, zapalając się trochę - że gdyby chodziło tylko o politykę, szybko znalazłoby się właściwe rozwiązanie. Ale głównym problemem jest religia i fanatyzm. Tak, fanatyzm, wiara w to, że istnieje tylko jeden Bóg, który jest tylko i wyłącznie dla ciebie. Powtarzam, fanatyzm. I nie musisz szukać dalej niż we wsi, która aż wrze od fanatyzmu.

Widząc wyraz twarzy Fanny, Ward wtrącił się szybko i ze sztucznym śmiechem zauważył: - Zawsze będę pamiętał ten dzień, i kiedy Jessie dorośnie, powiemy jej o tym, prawda? - Ujął dłoń Fanny. - Opowiem jej, jak moi dwaj przyjaciele, pastor i kowal, skoczyli sobie do oczu. Całe szczęście, że nie pokłócili się w kuźni, bo inaczej ty, Frank, miałbyś się z pyszna.

Tym stwierdzeniem wywołał przy stole ogólny śmiech, a Frank, patrząc na Charliego, powiedział: - Przykro mi, Charlie. Straciłem głowę. I jak Ward powiedział, nie pozwoliłbym sobie na to, gdybym się znalazł w kuźni.

Ale Charlie nie zamierzał dać się szybko udobruchać. Kręcąc swą wielką głową, zauważył: - Ciągłe nie rozumiem, pastarze, jak możesz bronić tego Rileya, który przetrącił kompanowi szczękę.

- No, a co byś powiedział - zapytał Frank z szerokim uśmiechem - gdyby ktoś cię nazwał irlandzkim świńskim ryjem i do tego dodał: „Wyrzuciłeś z łóżka świnię, żeby tam wpuścić żonę?” Mogę ci powiedzieć, Charlie, że sam bym się wdał w bójkę, gdybym coś takiego usłyszał.

- Kijami i kamieniami można połamać mi kości, ale słowa mnie nie ranią.

Fred, jego ojciec i pozostali mężczyźni przy stole skwitowali tę dziecinną odpowiedź gromkim śmiechem.

Państwo Killjoy ostatni zbierali się do odjazdu. Podczas gdy pan Killjoy zbierał swoją gromadkę, aby udać się do Newcastle, pani Killjoy, już ubrana do drogi, nagle wzięła Fanny za rękę i niespiesznie poprowadziła ją do bawialni, gdzie szeptem powiedziała: - Muszę ci to powiedzieć, chociaż obiecałam mu, że tego nie zrobię. Z nim jest bardzo źle. Dwa tygodnie temu mieliśmy ostatni występ. Ciężko mi na sercu, Fanny, bardzo ciężko.

- O mój Boże! Mój Boże. - Fanny troskliwie otoczyła przyjaciółkę ramionami i wykrzyknęła gwałtownie: -Dlaczego mi pani wcześniej tego nie powiedziała? Musicie zostać, nie wolno wam odjeżdżać. Zaopiekujemy się nim, tutaj jest tyle miejsca. Tu...

- Spokojnie, kochanie. Spokojnie. My już się z tym pogodziliśmy, pan Killjoy i ja. Jego życzeniem jest, abyśmy pozostali u pani Borman. Przez tyle lat była dla nas taka miła i rozumie nas. I, oczywiście, naszą rodzinę. I tak zamierzaliśmy tam się zatrzymać i poszukać jakiegoś domku. Tyle że on w tym domku nigdy nie zamieszka. Nie... nie płacz, moja droga, bo on się bardzo zdenerwuje. Nie, nie powinnam była ci tego mówić. Dotychczas jeszcze nigdy nie był na mnie zły, czy nawet rozdrażniony. Wszystko, co robiłam, znajdowało uznanie w jego oczach, tak był mi wdzięczny, że to jego wybrałam. A ja byłam więcej niż wdzięczna, że on wybrał mnie. Jesteśmy oboje takimi dziwolągami, wytykanymi przez ludzi z powodu postury lub niskiego wzrostu. Ale chyba nie było szczęśliwszych ludzi niż my dwoje. I za to dziękuję Bogu, a teraz musimy pogodzić się z jego wolą... Och, proszę, kochanie, proszę... nie. Powiedział mi, że kiedy odejdzie, znajdę pocieszenie wśród rodziny i u was, bo chociaż Bidy i Rose mają się dobrze, to jednak muszę się też liczyć z ich śmiercią. Ale od dnia narodzin nasze dni są odliczane, bez względu na to, czy mamy ich zapisanych wiele, czy też zaledwie kilka. O, już nadchodzi. - Delikatnie odsunęła Fanny od siebie, mówiąc dziarsko: - Wytrzymaj twarz. No już, wytrzymaj twarz, kochanie. Jeśli zobaczy cię w takim stanie, od razu się domyśli. Idź na górę i przynieś dziecko, to będziesz mogła ukryć twarz w beciku. Pośpiesz się.

Odwróciła się szybko i podeszła do drzwi, wołając głośno: - Już idę, panie Killjoy! Już idę. Rodzinka też.

Na podwórzu Billy siedział na miejscu woźnicy, a za jego plecami pieski czekały jazgotliwie, skacząc na wysokość drzwi, aby otrzymać od Carla pożegnalne klepienie.

Krótki rozkaz pana Killjoya usadził je na ławce, gdzie drżały z niecierpliwości czekając na panią Killjoy, której Ward pomagał wsiąść.

- Proszę, niech pani szybko do nas wraca! - zawołała Annie do pani Killjoy.

- Oczywiście, oczywiście, moja droga... z przyjemnością - usłyszała w odpowiedzi.

Pan Killjoy zaś spojrzał w kierunku Fanny, która zbliżała się do niego idąc przez podwórze. Pocałował ją w policzek i powiedział: - Do widzenia, moja kochana. Niedługo się zobaczymy.

Nie mogła wydusić z siebie ani słowa, tylko ścisnęła jego dłoń, a potem machając im na pożegnanie pozostała w miejscu, nie dołączając do Warda i

Annie. Jak tylko pojazd zniknął na horyzoncie, pośpiesznie skierowała się do domu. Tam znalazł ją Ward, gdy z twarzą zalaną łzami siedziała na krześle w kuchni i kołysała dziecko.

- Co się stało? Co się stało? - Ward klęczał przed nią na kolanach, a Annie stanęła obok.

Po chwili wahania opowiedziała im to, co wcześniej sama usłyszała od drogiej pani Killjoy.

Kiedy skończyła, żadne z nich nie znalazło natychmiastowej odpowiedzi. Dopiero Annie zauważyła: - Kiedy on odejdzie, pani Killjoy powinna z panią zamieszkać. Zawsze pani mówiła, że jest dla pani jak matka.

Ponieważ Ward nie poparł jej propozycji, Annie spojrzała na niego i rzekła: - Nie musi mieszkać tu, w tym domu. W końcu chyba nie chcemy tej sfory psów, ale przecież jest ten mały domek koło nas. Przez ostatnie lata był pusty, ale nie ma tam wilgoci i tylko trzeba by go wywietrzyć. Ma dobry komin, który nie dymi tak jak nasz. No i co ty na to?

Patrzyła na Warda, który w końcu wydusił z siebie niezobowiązujące: - Jeszcze zobaczymy. - Po czym wziął Fanny pod rękę i dodał: - Chodź, kochanie. Połóż dziecko i odpocznij trochę. To był męczący dzień. - Nie zdziwiłby się, gdyby po wyjściu z kuchni usłyszał Annie wołającą za nim: „Czytam w twoich myślach”, ponieważ pamiętał jej wyraz twarzy, kiedy pytała: „No, i o czym myślisz?”

Lubił panią Killjoy, czuł się jej dłużnikiem, gdyż dzięki niej zdobył Fanny. Ale nie o to chodziło: teraz Fanny należy do niego i tylko do niego. Nie mógł znieść myśli, że musiałby dzielić z kimś jej uczucia. Zdawał sobie sprawę z tego, że go kocha, ale jakże mógł porównywać jej miłość do swoich uczuć? To, co do niej czuł, było więcej niż miłością, było dziką namiętnością, którą musiał kontrolować. Zdarzało się, że niekiedy był zazdrosny nawet o dziecko, a wiedział, że stąd już niedaleko do szaleństwa. Ale o to właśnie chodziło, chciał ją mieć dla siebie, tylko dla siebie, znać każdą jej myśl, pragnął, aby kochała tylko jego, a nawet to by mu nie wystarczyło.

Czasami zastanawiał się nad uczuciem, którym ją darzył. Czy jego pragnienie zawładnięcia nią było normalne? Nie potrafił udzielić sobie odpowiedzi na to pytanie, ponieważ nie znał nikogo, ani niczego, z czym mógłby to porównać. Jednego był pewien: to uczucie nie zgaśnie do końca życia, ani też nie wybuchnie z jeszcze większą siłą, bo jakąż jeszcze formę miałoby przybrać? Już teraz wszystko kręciło się wokół niej. Ale nigdy, przenigdy nie zapragnął, aby jego życie potoczyło się inaczej. Nawet wtedy, gdy okaleczono mu bydło, czy spalono zbiory, przez myśl mu nie przeszło, aby ją za to winić. Ale teraz, gdy

była razem z nim, żądał od niej całkowitego oddania. Niejednokrotnie denerwował się, że tyle czasu spędza z Carlem i żałował, że przygarnął chłopca. Ale gdy poczuł to samo w stosunku do własnego dziecka, powiedział sobie: Uważaj trochę. Jednak ten rozkaz był równie sensowny jak próba okiełznania ogiera za pomocą upręży dla osła - tkwiący w nim ogier nie dawał się okiełznać. Tylko ona była w stanie tego dokonać. W jego ramionach sprawiała wrażenie istoty niezwykle kruchej, chociaż był świadomy, że jest w niej pewna siła wymykająca się spod jego kontroli. Siła ducha, która wielokrotnie napawała go strachem, ponieważ nie mógł jej pojąć. Tak samo zresztą, jak nie przyjmował do wiadomości faktu, że brakuje mu wrażliwości.

Kładąc się wygodnie na kanapie, Fanny zapytała: - Co sądzisz o propozycji Annie?

Nie mógł powiedzieć nic innego ponad: - No cóż, będziemy musieli zostawić tę decyzję pani Killjoy, prawda?

* * *

Ostatecznie okazało się, iż Ward nie musiał się martwić, że pani Killjoy zamieszka razem z nimi. Pan Killjoy zmarł 2 stycznia 1888 roku i trzy dni później został pochowany przy akompaniamencie deszczu ze śniegiem i przenikliwego wiatru.

Zgodnie ze zwyczajem kobiety nie uczestniczyły w pogrzebie, tak więc poza Wardem i Billym na uroczystość przybył tylko skrzypek Harry Bates i James Wilson Carter, aktor szekspirowski, który akurat wtedy występował w mieście. Pani Killjoy i Fanny czekały na ich powrót w salonie pani Borman.

Od chwili, gdy trumnę wyniesiono z domu, Fanny nie potrafiła opanować łez, zresztą tak samo jak pani Borman, ale oczy pani Killjoy pozostały suche. Jak później pani Borman powiedziała Fanny, było to dziwne, doprawdy bardzo dziwne, że pani Killjoy nie uroniła ani jednej łzy odkąd pan Killjoy wyzionął ducha. Ale, jak zaraz dodała, było bardzo prawdopodobne, że płacze w głębi serca.

Nieco później czterej mężczyźni wrócili i rozgrzali się szklaneczkami whisky, a potem wspólnie usiedli do ciepłego posiłku składającego się z duszonej wołowiny z kluskami. W pewnym momencie Ward znalazł się w salonie jedynie w towarzystwie pani Killjoy i Fanny. Na stwierdzenie Fanny, że pani Killjoy musi teraz przenieść się do nich, ta odparła łagodnie, ale stanowczo, że wszystko już zostało ustalone: porzuciła myśl o kupnie domku, ale nie zamierza narzucać się swoim dwojgu przyjaciółom. Natomiast umówiła się z trzecią bliską sobie osobą, panią Borman. Z wyjątkiem czasowo mieszkających w pensjonacie gości, pani Borman nie miała nikogo innego na świecie. Przez te wszystkie lata

zaprzyjaźniły się serdecznie, a teraz pani Borman zaproponowała jej i jej rodzinie miejsce pod swoim dachem. - Czy ktoś inny zrozumie mnie i moje pieski lepiej niż pani Borman? - dodała.

Na to Fanny zapewniła ją: - Och, kochana pani Killjoy, oczywiście, że my. My panią zrozumiemy.

- Tak, wiem o tym, moja droga - pośpieszyła pani Killjoy z zapewnieniem - ale czy porozumieliście się ze swoimi krowami i psami, nie mówiąc już o owcach?

W innych okolicznościach taka uwaga z pewnością wywołałaby głośny śmiech, ale tym razem i Fanny, i Ward zachowali powagę. - Ona ma rację, wiesz, że ona ma rację - powiedział Ward, spoglądając na Fanny. A potem, odwracając się do pani Killjoy, dodał: - Ale to nie powstrzyma pani przed składaniem nam jak najczęstszych wizyt?

- Och, nie, mój drogi. Z pewnością będę odwiedzała was przy każdej okazji.

Kiedy Fanny objęła potężną, kochaną panią Killjoy, Ward odetchnął z ulgą, tym większą, że kilka godzin wcześniej sugerował Fanny, aby z podjęciem jakichkolwiek ustaleń poczekali na decyzję pani Killjoy.

Gigantyczne ramiona miały w końcu uwolnić jego żonę, która od tego momentu należała już wyłącznie do niego. Celowo wyrzucił z pamięci zazdrość, jaką odczuwał w stosunku do własnego dziecka, zupełnie jakby to uczucie nigdy go nie dotyczyło, oraz irytację, jaką budziło w nim jej zainteresowanie Carlem.

Od tej chwili życie stanie się znacznie łatwiejsze, powiedział do siebie.

Rozdział piąty

W marcu 1888 roku Fanny poczęła ich drugie dziecko, ale dopiero w maju powiedziała o tym Wardowi, który zareagował w sposób zupełnie dla niej niezrozumiały.

- Tak mi przykro - rzekł. - Jeszcze nie jesteś dostatecznie silna, dopiero dochodzisz do siebie.

- Nie bądź głupi. A jeśli chodzi o moją kondycję, to nie osądzaj jej na podstawie wagi i wzrostu, bo ja czuję się silna wewnątrz. - Nie mogła powiedzieć „duchowo”, ponieważ zdawała sobie sprawę z tego, że Ward nie rozumie tej części jej osobowości. Podejrzewała, że w gruncie rzeczy po prostu obawia się tego, na co sam nie ma żadnego wpływu. A teraz, uśmiechając się i trzymając jego twarz w dłoniach, powiedziała: - Tym razem to będzie chłopiec. I całe szczęście, bo Billy się starzeje i wkrótce będziesz potrzebował kogoś do pomocy.

- Nie mów nic więcej! - Przytulił ją do siebie. - Nie interesuje mnie płeć dziecka, tylko twoje zdrowie. A co więcej, masz i tak pełne ręce roboty z tym berbeciem w pokoju obok. Będziemy chyba mieli jakąś potężną kobietkę, bo mam wrażenie, że jej codziennie przybywa około pół funta.

- Ja od samego początku mówiłam, że ona jest podobna do ciebie.

- Niech Bóg broni!

- Och, Wardzie! Ona jest taka śliczna, a będzie jeszcze ładniejsza. Sam zobaczysz.

- To możesz sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli chłopiec będzie podobny do ciebie - powiedział - i tak jak ty nie udźwignie wideł, nie mówiąc już o snopku słomy.

- W takim wypadku Jessie zajmie się pracami na farmie, a młody panicz Gibson będzie traktowany jak maleńki bobasek.

Wybuchnęli śmiechem, po czym delikatnie ją całował, gdy przerwał im głos Annie dobiegający zza drzwi. - Ktoś do pani, madam.

Kiedy Ward otworzył drzwi, Annie zauważyła: - Nie do pana, do pani.

- Kto to jest?

- Przedstawiła się jako panna Patsy Riley - Annie spróbowała z powagą zaanonsować gościa - i chciałyby z panią porozmawiać. Przynajmniej tak mówi. Zatrzymałam ją przed bocznymi drzwiami, bo chciałabym dzisiaj wrócić do domu na własnych nogach, a nie zanesiona przez jakieś robactwo.

Fanny właśnie zeszła na półpiętro i spojrzawszy na Warda zapytała: - Patsy Riley? Ta dziewczynka z Hollow? Czego ona może chcieć?

- Zejdę z tobą. Wkrótce się dowiemy.

Ale kiedy zbliżyli się do tylnego wejścia, Fanny gestem zatrzymała Warda i szepnęła: - Pozwól mi z nią porozmawiać. Zostań tutaj. - To samo dotyczyło Annie.

Kiedy Fanny otworzyła drzwi, widok dziewczynki rozbawił ją, ale jednocześnie rozczulił: twarzyczka w kształcie serca, w której jarzyły się czarne oczy, była prawie domyta, splecione na brzuchu dłonie też wyszorowane, tylko obwódki za paznokciami były tak czarne jak rzęsy dziewczynki, a włosy pomalowane pastą na jakiś wyszukany kolor wystawały spod czarego słomkowego kapelusza w ciemnych kosmykach. Miała na sobie płaszcz, który kiedyś służył większemu i lepiej zbudowanemu dziecku z lepszego domu. Sprana spódnica sięgała jej za kolana, a para ciężkich butów, w których ginęły jej stopy, z pewnością raniła palce.

Fanny nachyliła się i łagodnie zapytała: - No, słucham cię, moja droga. Chciałaś się ze mną widzieć?

- Nadam się pani na pomoc?

- Pomoc?

- No. Zajmę się dzieciakiem i takie różne. Umiem zabawiać dzieciaki. Pomagam matce z naszą gromadą. Ale ojciec nie może dostać roboty, matka próbowała robić w polu, ale wszyscy mają swoich ludzi. No, to pomyślałam, że może pani...

- A ty nie chodzisz do szkoły?

- Och... czasami na trochę. Johnny, Mike i Shane chodzą, żeby nauczyciel się nie czepiał, a Rob tłucze kamienie. Nie żeby dużo przynosił. Nosa nie da się wysmarkać za jego pieniądze.

Fanny przymknęła oczy i z pochyloną nieco głową odezwała się łagodnie: - Moje dziecko jest jeszcze bardzo malutkie i sama muszę się nim opiekować.

- Nie mam już wszy. Umyłam włosy. Proszę zobaczyć. - Obiema rękami podniosła do góry kapelusz na tyle, na ile pozwalała elastyczna taśma tkwiąca pod brodą. - Wycesałam je gęstym grzebieniem i umyłam w strumieniu. Wszystkie zdechły.

W głębi ducha Fanny była zdolna jedynie do powtarzania: O mój Boże, o mój Boże. Na co to dziecko musiało się zdobyć. Odetchnęła głęboko i zapytała: - Ile masz lat?

- Dziewięć. Jestem teraz najstarsza. Było troje starszych, ale pomarli na cholere. Jeszcze jedno, pomiędzy mną a Robem, nie dostało cholery, ale było słabowite.

Kiedy z tyłu usłyszała Warda mówiącego: - Fanny - skinęła na niego dłonią, po czym odezwała się do dziewczynki: - Zaczekaj tu chwileczkę. - Nie zamknęła za sobą drzwi, ale minawszy Warda i Annie pobiegła do kuchni. Dopiero tam odwróciła się do nich ze słowami:

- Wiem doskonale, co oboje zamierzacie mi powiedzieć, ale i tak przedstawię wam swoje zdanie: muszę coś zrobić dla tego dziecka. Tylko nie wiem co, więc proszę, odpowiedzcie mi.

- Nie chcę, żeby plątała mi się w kuchni.

- Och, Annie, ona jest zdesperowana i naprawdę potrzebuje pomocy. Ze wszystkich sił stara się zrobić dobre wrażenie. Słyszeliście, co powiedziała.

- Tak, proszę pani, słyszałam, co mówiła, ale ja znam ten motłoch. Pozwoli im pani zjawić się tutaj w biały dzień, to w nocy przyjdą nas okraść. A poza tym, ona nie potrafi utrzymać czystości. Czy pani tego nie widzi? Nie utrzyma czystości.

Fanny przebiegła wzrokiem od surowej twarzy Annie do Warda. - Czy naprawdę nie ma nic, co mogłaby robić poza domem, naprawdę?

- O Fanny, co taka dziewczynka może robić na farmie?

- Szorować, zamiatać. Pomagać karmić zwierzęta... cokolwiek.

- Od tego jest Carl, a zresztą, jak sądzisz, co on by na to powiedział, gdyby taka dziewczyna plątała się po podwórzu?

Nagle odnieśli wrażenie, że Fanny urosła: plecy jej się wyprostowały, uniosła podbródek i patrząc w oczy Annie powiedziała: - Od jakiegoś czasu, Annie, wspominasz o starej mleczarni. A kiedy mieliśmy kłopoty ze sprzedażą mleka, mówiłaś, że jeśli zatrudnilibyśmy kogoś do pomocy, mogłoby nam się to opłacać, szczególnie przy produkcji masła i serów.

- O mój Boże! - Ward odwrócił się od niej, kręcąc przecząco głową. - Mleczarnia jest najczystszy miejscem na farmie, a przynajmniej powinna być, a ty proponujesz, żeby zatrudnić tam tę dziewczynę? To szaleństwo. Nie! Nie!

- Tak, proszę pani, to czyste szaleństwo. Tak jak on mówi, szaleństwo. I jeszcze jedno: do obsługi maselnicy potrzebna jest siła młodego wołu.

- Pozwólcie, że coś wam obojgu powiem - Fanny spojrzała na nich uważnie. - W potrzebie ludzie są silni jak woły. A ona nie wejdzie tam brudna, sama tego dopilnuję: zdejmę z niej te łachy, wyszoruję i znajdę jakieś ubranie.

- Na miłość boską, nie! Nic takiego nie zrobisz, Fanny. Chyba zapomniałaś już o tym, co mi powiedziałaś piętnaście minut temu. Znowu nosisz w sobie dziecko.

- Nie. Nie. - Tym razem Annie kręciła głowę, patrząc na Fanny. - Znowu się pani spodziewa i jednocześnie chce wziąć tego dzieciaka? Och, naprawdę musi pani być szalona.

Fanny odezwała się cichutko, z odrobiną smutku w głosie: - Tak. Tak, pewnie jakaś moja część jest trochę szalona. Ale to takie szaleństwo, które pomaga mi przetrwać. Wardzie, nigdy nie prosiłam cię o nic dla siebie. Ale teraz proszę. Błagam cię, abys mi pozwolił zrobić coś dla tego dziecka.

W odpowiedzi Ward podszedł do kominka, dłonią chwycił półkę, pochylił głowę i po prostu wyszeptał: - Och, Fanny, Fanny. - Już z tonu jego głosu wiedziała, że wygrała.

Zwracając się teraz do kolejnej przeciwniczki, która była znacznie twardszym orzechem do zgryzienia, Fanny powiedziała: - Pomóż mi, Annie. Nie dam sobie rady bez ciebie, bo nie mam pojęcia o mleczarni, maśle ani o wyrabianiu serów. A ty masz. Mogę ci tylko obiecać, że ona nie będzie co wieczór wracała do domu, aby następnego dnia przyjść w brudnych szmatach. Powiem ci, co możesz zrobić. Pamiętasz, jak mówiłaś, że pani Killjoy mogłaby mieszkać w tym domku obok was? Możemy go udostępnić Carlowi - na górze jest dostatecznie dużo miejsca, aby urządzić tam pokój - a ona mogłaby spać na poddaszu.

- Wielki Boże w niebiosach! W życiu nie widziałam, żeby się tak szybko na coś decydować. Nawet w bajkach tak się nie dzieje. Wszystko już sobie pani zaplanowała, prawda? Jak jakiś pędziwiatr.

- Jeśli czegoś bardzo pragniesz, Annie, i wiesz, że tak trzeba i że musisz komuś pomóc, to Bóg ci zawsze pomoże coś wymyślić. - Zerknęła na męża, potem znowu na Annie, po czym obróciła się na pięcie i wybiegła z kuchni.

Dziewczynka czekała na podwórku w tym miejscu, gdzie ją zostawiła. - Chodź ze mną - Fanny poprowadziła ją przez dziedziniec.

Pchnęła zmurszałe drzwi do obory i stojąc z boku pokazała dziewczynce, aby weszła do środka, co tamta zrobiła, rozglądając się z wahaniem i odrobiną lęku.

Pomieszczenie było kwadratowe, z dużą kamienną płytą umieszczoną pod jedną ze ścian. Po przeciwnej stronie stał stół, a na nim przykurzone wiadra, miski i drewniane tace, wyraźnie od dawna nie używane.

A na środku pomieszczenia stała drewniana ogromna maselnica, z kołem tak wielkim jak u dwukółki.

- To jest mleczarnia - powiedziała Fanny - w której wytwarza się masło i sery. A teraz posłuchaj, moja droga. Nie mogę dać ci żadnej pracy w domu, ale chciałabym, abys wysprzątała to pomieszczenie. - Wskazując na różne naczynia, dodała: - A potem moglibyśmy zacząć znowu robić masło i sery. Ale jak sama widzisz, najpierw musi być tutaj bardzo czysto, wszystko musi błyszczeć, a

osoba, która tu będzie pracowała, też musi być bardzo schludna. - Przerwała na chwilę, aby spojrzeć na poważną twarzyczkę o ciemnych oczach. - Bardzo schludna - podkreśliła. - Rozumiesz mnie, moja droga?

- Tak, proszę pani, rozumiem. Już powiedziałam, że mam czyste włosy i będę się myła.

Fanny na chwilę odwróciła głowę, po czym spojrzawszy na nią ponownie powiedziała: - Muszę być w stosunku do ciebie uczciwa. Osoba wykonująca tę pracę musi dbać o absolutną czystość... musi być bardzo, bardzo czysta, i nie wolno jej kontaktować się z ludźmi... no, nie aż tak czystymi. Gdyby mój mąż cię zatrudnił, musiałabym doglądać twojego dobytku, ubrań, i tak dalej, ale przede wszystkim musiałabyś zamieszkać na farmie.

- Miałabym nie wracać na noc do domu? - zapytała dziewczynka różnym głosem.

- Tak, moja droga, w tym rzecz. Musiałabyś tu pozostać i odwiedzać rodzinę tylko w dni wolne od pracy.

- Nie, nie! Nie mogłabym tak robić, proszę pani. W nocy jestem potrzebna matce, dzieciaki są bardzo rozwydrzone. Noce? Nie, nie, nie mogłabym - powtórzyła, coraz energiczniej kręcąc głową. - No i mój ojciec. No... chodzimy na króli...ki. - Słowa zamarły jej w gardle.

- W takiej sytuacji - odrzekła Fanny - bardzo mi przykro, moja droga. Ale idź do domu i porozmawiaj z matką.

Dziewczynka rozejrzała się wokół i przez moment zdawało się, że zmieni zdanie. Ale odwróciła się na pięcie i wyskoczyła na dwór, a Fanny pozostała z pochyloną głową. Kiedy wyszła na podwórze, zobaczyła jedynie malutką sylwetkę mającą gdzieś poza bramą farmy...

* * *

- No i bardzo dobrze - powiedziała Annie. - Musiała pani być zupełnie szalona. Mogę panią zapewnić, że nigdy nie przekroczyłaby progu mojej kuchni, bo jeśli tak by się stało, ja bym stąd odeszła. Widziała pani kiedyś te nory, w których oni mieszkają?

- Tak, Annie, widziałam, i dlatego czuję, że powinnam coś zrobić dla tego dziecka.

Ward odetchnął z taką samą ulgą jak Annie, ale nie pokazał tego tak otwarcie. - Jest jeszcze problem jej szkoły. Już u nich bywali w tej sprawie. A z tego, co słyszałem, całą tę bandę z Hollow nauczyciel sadza po jednej stronie klasy i innym dzieciom nie pozwala się z nimi bawić. Przedwczoraj ich matki przyszły na skargę.

Skubiąc jakąś pojedynczą słomkę wystającą ze stogu, który Ward właśnie ustawił, Fanny wymruczała: - Mogłabym się tym zająć, tak samo jak Carlem.

W tym momencie prawie podskoczyła na dźwięk głosu męża, który warknął: - Nigdy w życiu! Nie, nie możesz się tym zajmować. Zgodziłem się na lekcje chłopaka, chociaż to tylko strata czasu, ale kategorycznie odmawiam zgody na kolejne zajęcia, szczególnie z takim dzieckiem. Jeśli dałbym ci wolną rękę, wkrótce założyłabyś tu szkołę.

Wpatrywali się w siebie w milczeniu, a Ward dwukrotnie zamknął i otworzył usta, zanim uderzając pięścią w belkę stodoły odezwał się: - Przepraszam, kochanie. Przepraszam.

Przez chwilę nie odpowiadała, a potem podeszła do niego i położyła mu głowę na ramieniu mówiąc: - W porządku. Rozumiem. To nie pierwszy raz, gdy przez swoje głupie pomysły wystawiam twoją cierpliwość na próbę.

Odwrócił się do niej, wziął ją w ramiona i powtórzył:

- Przepraszam, najdroższa. Naprawdę. Nigdy nie myślałem, że mógłbym się tak do ciebie odezwać.

- Udowodniono ci winę, ale niestety miałeś rację - powiedziała z uśmiechem. Na szczęście nie dodała już: tak mi się przynajmniej wydaje.

Nachylił się i dotykając czołem jej głowy i wyszeptał:

- Wszystko bym dla ciebie zrobił, absolutnie wszystko.

- Wiem kochanie, wiem o tym - odparła.

Prawdziwość tego stwierdzenia można było sprawdzić już następnego ranka...

Ward, Billy i chłopak byli na nogach już przed piątą, kiedy owce zaczęły się kocić, a zaraz po piątej Annie opuściła swój domek, aby rozpaść ogień i zająć się osieroconymi jagniętami, które przynoszono do kuchni. Właśnie skończyła podawanie długich kawałków smażonego bekonu, sześciu jaj, porcji białego puddingu i kromek opiekanego chleba, które na trzech talerzach postawiła przed swoim panem, mężem i chłopcem, gdy Ward zapytał: - Czy ona już piła herbatę?

- Piła herbatę! - Annie pokiwała głową. - Godzinę temu. I nawet coś przegryzła. Szkoda tylko, że nie tyle co ty. - Położyła dłonie na stole. - Od godziny siedzi w książkach i przygotowuje materiały, które ma chyba zamiar wtłoczyć do głowy temu tu. - Palcem pokazała na Carla, który z pełnymi ustami wyszczerzył do niej zęby w uśmiechu.

Zapanowała cisza aż do chwili, kiedy prawie opróżnili talerze. - Jeszcze jedna taka noc i będę potrzebował pomocy - odezwał się Billy. - Co pan powiedział?

- Och, zastanawiam się. No, tak... może rzeczywiście. Zobaczymy.

W tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi kuchennych. Wszyscy spojrzeli na Almie, a ta powiedziała to, co każdy z nich myślał: - Kto to może być o tej porze?

- Nie dowiesz się, dopóki nie otworzysz drzwi - odezwał się Ward.

Wybiegła z kuchni, żeby po kilku sekundach wrócić. Pochyliła się nad Wardem i prawie do ucha wyszeptała mu: - Masz dwoje gości, zamiast jednego, i chyba oboje wiedzą, po co przyszli.

Przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie, po czym przeniósł wzrok na Billy'ego, jakby chcąc znaleźć potwierdzenie swoich domysłów i powoli poszedł do sieni, gdzie czekali na niego Mike Riley i jego córka Patsy.

- Dzień dobry, panie.

- Dzień dobry - wymamrotał Ward. Po czym już głośniejszym głosem zapytał: - Czy mogę ci w czymś pomóc?

- O to się rozchodzi, panie, że dobra pani dała tej tutaj - stuknął biodrem swoją córkę - wczoraj życiową szansę, a to głupie ladaco wykreciło się, bo myślała, że jest potrzebna swojej matce. A jej matka umyśliła sobie to samo, co ja. Da sobie bez niej radę, a ta praca oznacza dla dziewczyny nowe życie. - Ściszonego głosem, jakby zapomniał o córce, dodał: - Przynajmniej jedno z nich może mieć jakąś szansę, to dla nas tak, jakby Bóg przypomniał sobie o nas po tych wszystkich zimnych nocach o pustym żołądku. Powiedziałem mojej kobiecie, że to jakby Bóg uchylił drzwi piekieł i pozwolił jednemu z nich wyjść. Jestem, panie, prostym człowiekiem, jak większość z nas tam mieszkających, ale nie wszystkim odpowiada tamto życie. Dla nas nie ma już nadziei, ale młodym coś może się zmienić... - Zgarbił się rozkładając ręce, a Ward przez chwilę patrzył na niego oczami Fanny, ale tylko przez chwilę. Miał na głowie farmę, pomagało mu dwoje sług wierniejszych niż przyjaciele, a teraz ma wziąć dziewczynę, która już na pierwszy rzut oka nie pasuje do tego miejsca. I czy nie wywołał we wsi wystarczająco dużo zamieszania?

- Dzień dobry, panie Riley. Dzień dobry, Patsy. Mike Riley spojrział na małą kobietę, stojącą obok swego męża, i uśmiechnął się szeroko. - Dzień dobry pani - odezwał się. - Bardzo dobry dzień. Właśnie ją przyprowadziłem. - Znowu trącił ją biodrem. - Już wie, że miała pani rację i powinna tu zamieszkać. I to od pani zależy, jak często pozwoli jej pani iść do domu. Jeśli to będzie godzina na miesiąc, albo raz na pół roku, ja to zrozumieję. I muszę to pani powiedzieć, dziękuję z całego serca. A któregoś dnia ona też panią pobłogosławi. - Wyciągnął rękę i delikatnie położył ją na ramieniu córki, która nie odpowiedziała, a tylko w milczeniu, chociaż bez niechęci, wpatrywała się w Fanny. Potem, nasuwając czapkę na jedno oko, ojciec zwrócił się do

autentycznie przerażonego Warda: - Jeśli jest coś, co mógłbym dla pana zrobić, jestem do usług. Nie mam teraz żadnego zajęcia, więc jeśli potrzebuje pan kogoś do pomocy, to proszę dać mi znać. O każdej porze dnia i nocy. - Zanim spojrzał na córkę, cofnął się trzy kroki, po czym odezwał się łagodnym głosem: - No, dziewczyno, dobrze się sprawuj. Pamiętaj o naszej rozmowie. - Widać było, że zaczynają mu się trząść usta, więc odwrócił się i odszedł, zostawiając wpatrzoną w jego oddalającą się sylwetkę, dziewczynę oraz Warda i Fanny spoglądających na siebie.

* * *

Tydzień później w domu panowało napięcie wyczuwalne dla każdego z wyjątkiem Carla.

Chłopak był zachwycony nowiną, że będzie miał dla siebie cały domek, przynajmniej do chwili, gdy wyjaśniono mu przyczyny takiej decyzji.

- Ale proszę pani, oni są brudni. Wszyscy są zawszeni. Mogliby utrzymywać czystość, ale nie, mają wszy.

- To nie ich wina, tylko warunków. To przez te straszliwe nory, w których żyją i brak pieniędzy.

- Przecież tam jest strumień, mogliby się myć.

- Carl, zrób to dla mnie - poprosiła, biorąc go za rękę. - Bądź dla niej miły. Ona potrzebuje tej pracy, jej rodzina jest w strasznej sytuacji, oni chodzą głodni.

- Pan daje im rzepę i posłał dwa worki kartofli.

- Trudno przeżyć jedząc tylko rzepę i kartofle. A to, co posłał twój pan, nie starczy na długo.

- Tam wszyscy tworzą jedną bandę i kradną.

- Carl, nigdy nie byłeś w takiej sytuacji, która zmusiłaby cię do kradzieży. Nie chcę ci o tym przypominać, ale widzę, że muszę. Jak myślisz, gdzie byś teraz był, gdyby nie dobroć twojego pana? Więc proszę cię, żebyś takie samo serce okazał tej dziewczynie. Sam wiesz, że nigdy nie możemy całkowicie odwdziżyć się za dobre uczynki, ale zawsze możemy próbować.

- Czy ona... będzie przychodziła do kuchni?

- Ach, nie. Będziemy posyłać jej jedzenie. Będzie jadła w kotłowni, gdzie jest ciepło, albo w stodole, albo na stryszku, gdzie będzie chciała. Ale nie, nie będzie przychodziła do kuchni - powiedziała z naciskiem, jakby pod wpływem Annie.

Zdziwił się, kiedy wyjaśniła mu, jakie zajęcie dla niej przewiduje, i okazał to krzywiąc nos. - Ona cuchnie.

- Nie będzie śmierdziała, kiedy ją domyję. I - zaśmiała się - nie jestem od niej wiele wyższa, prawda? Więc moje ubrania będą na nią pasowały.

Pierwszą batalię miała już za sobą. Do wygrania pozostały jej jeszcze dwie. Jedna z nich dotyczyła tygodniówki nowego pracownika. Zdaniem Warda szyling tygodniowo powinien wystarczyć.

Nie mógł zapłacić dwóch?

Nie, nie mógł. I tylko dzięki jego wyjątkowemu opanowaniu uniknęła kolejnych wymówek.

I tak oboje wiedzieli, że ta gorąca dyskusja w sprawie tygodniówki była tylko pretekstem, a źródło konfliktu stanowiła tak naprawdę obecność dziewczyny i powód jej pobytu na farmie. To wytwarzanie masła i sera. Czyż nie miał dostatecznie dużo na głowie?

Ale i tak trzecia bitwa była najtrudniejsza - tym razem Annie jasno określiła swoje stanowisko i zrobiła to nie przed Fanny, ale przed Carlem.

- Powiedziałam naszej pani, że nie zbliżę się do tej dziewczyny, żeby ją czegokolwiek nauczyć. Owszem, przekażę jej to, co wiem, ale potem niech już sobie sama radzi. Jeżeli w ogóle jakieś masło ujrzy światło dzienne, to i tak będzie już zjełczałe. A żeby umyć to stworzenie, trzeba by ją obedrzeć ze skóry. Mogę cię zapewnić, że to na nic. I tak w końcu będzie musiała zadbać o swoją czystość gdzieś na osobności. Próbowała utrzymać to w tajemnicy, ale wiadomo, że w zależności od tego, czym napalisz w piecu, ubrania mają inny zapach. A te, które suszy się w kotłowni, są po prostu przesiąknięte dymem, jeśli mnie węc nie myli. Och, nie spotkałam się z czymś takim w ciągu całego mojego życia, ale mówię ci, wszystko zaczęło się od pastora Noble'a. Już dawno wykurzono by tę hołotę z Hollow, gdyby nie wtykał tam swojego nosa i powtarzał swojej gadki „żyj i pozwól żyć innym”. W zupełności się z tym zgadzam, ale tutaj chodzi o coś zupełnie innego. A ty, Carl, moje dziecko, trzymaj się z daleka od tej dziewczyny. Może mieć czyste ubrania, może być umyta, ale nie można od razu zrobić porządku z jej włosami. Pozostają gnidy. Och, nigdy bym nie pomyślała, że pani tego domu któregoś dnia będzie się bratała z tą hołotą. Matka pana była najlepszą istotą, jaką można sobie wyobrazić, a czy zrobiłaby coś takiego? Nie, bezwzględnie, nie. Można im posyłać kartofle, czy inne rzeczy, ale nic ponad to. Nie wiem, czym to się skończy. Naprawdę nie wiem.

Nie skończyło się, ale dla Annie naprawdę zaczęło dwa tygodnie później. W idealnie teraz czystej mleczarni pokazała Fanny, jak długo mleko powinno stać na wielkich tacach, aby na wierzchu zebrała się warstwa śmietany, jak ją zbierać, a następnie jak miarowo obracać maselnica, której nie można poruszać zbyt gwałtownie. - Ale sama niech pani tego nie rusza! - wykrzyknęła gwałtownie. - Bo padnie pani trupem. W końcu mamy tu mieć mleczarkę, więc niech pani pozwoli jej wykonywać tę robotę.

O postępach nowej młeczarki Annie była informowana każdego wieczoru pomiędzy kolacją a ostatnimi zajęciami. A przynajmniej dzięki taktownym pytaniom wyciągała od Carla potrzebne informacje. Z początku raczej chętnie opowiadał o... jej postępach. Tego wieczoru, siedząc na swoim miejscu przy kominku, Annie zapytała: - No i co chłopcze, jakie masz dzisiaj wiadomości? - Ale nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Carl po prostu spuścił głowę, więc musiała się nad nim pochylić. - Ach, pewnie masz mi do powiedzenia coś nieprzyjemnego?

- Nie, nie! - Podniósł głowę. - To naprawdę nic złego, nie.

- Co to znaczy, naprawdę nic złego? Chodzi o nią, prawda?

- Tak, ale...

- Mów, ale bez tych ale. Co nabroiła? Wiedziałaś, że prędzej czy później coś się wplącze, a pani będzie świeciła oczami, że się za nią ujęła. Och, wiedziałam, że tak będzie.

- Nie, nie, to zupełnie nie tak, Annie.

- No, to o co tu chodzi?

- Ona nie je.

- Co? Nie je? Dwa razy dziennie posyłam jej pełne talerze. Nie jestem taka złośliwa, bez względu na to, co o tym myślę. Jeżeli ma kręcić tą maselnica, musi czymś wypełnić żołądek. Posyłam jej dwa porządne...

- Tak, tak, wiem, że posyłasz. No, bo to jest tak. Któregoś dnia w tygodniu zaniósłem jej obiad i wróciłem kilka minut później, a jej talerz był zupełnie pusty.

- Połyka to?

- Nie, nie. Obserwowałem ją następnego dnia. Znowu to samo. Zauważyłem, że ze śmieci wygrzebuje kawałki papieru i zastanawiałem się po co. I dzisiaj rano dowiedziałem się. Wiesz - ponownie spuścił głowę - pani powiedziała, aby nie budzić jej przed szóstą. Zazwyczaj stoję pod drabiną i wołam ją, a ona przeważnie odpowiada „w porządku”, ale dzisiaj wybrałem się do nowych chlewów. Było bardzo wcześnie i jeszcze się nie rozwidniło, ale świecił księżyc. Byłem całkiem pewny, kiedy zobaczyłem ją, jak przechodzi przez mur i jak zając przemyka się polami. I... poszedłem jej śladem, tak blisko jak tylko to było możliwe, aby się nie zorientowała. Pobiegła prosto przez pole w dolinie, a ja, stojąc przy ścianie cieplarni, widziałem dokładnie, jak przechyla się przez ogrodzenie. Chwilę później przebiegła koło mnie. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby mnie dotknąć. Poczekałem aż zniknie i poszedłem tam, gdzie była. Zobaczyłem jakieś zawiniątko.

Przerwał, jakby się nad czymś zastanawiał. Podniósł głowę i mocniejszym głosem mówił dalej: - Rozwinąłem je i znalazłem mięso i trochę marchewki z kartoflami z dzisiejszego obiadu oraz jakieś skwarki i odrobinę wieprzowiny z wczoraj. Przynajmniej tyle udało mi się zauważyć. Szybko zawinąłem to z powrotem.

W milczeniu patrzyli na siebie. Widział, jak oparła się w bujanym fotelu. Nie poruszyła się, tylko zagryzła wargi, po czym zdziwiła go, gdy pochylając się złapała go za ramiona. - Nie wolno ci szeptać pani ani słowa. Słyszysz mnie? Ani słowa,- bo w przeciwnym wypadku ogołoci kuchnię, żeby nakarmić całą wieś. Ale muszę o tym pomyśleć. Ona nie może wykonywać swojej pracy, jeśli nie będzie jadła. A poza tym, czy pomyślałeś, że może się z nimi kontaktować?

- Nie - pokręcił głową - nie sędzę, żeby się z kimś spotykała. Pewnie komuś powiedziała, może bratu, że jeśli będzie miała jakieś resztki, to je gdzieś zostawi. Nie wiem. Ale teraz, kiedy jest czysta, nie sędzę, aby się do nich zbliżała... No, pewnie zdaje sobie z tego sprawę, że jeśli znowu coś złapie, to nawet pani nie wytrzyma.

- Och, nie jestem tego taka pewna. Pod pozorami delikatności nasza pani jest bardzo upartą damą. A teraz przypomnij sobie, o co cię prosiła, bo inaczej pan zmieni swoją decyzję: zajmij się lekcjami.

- W tej chwili to nieważne.

- A powinno być ważne. Nikt ci nie płaci za zbijanie bąków.

- Wcale się nie obijam, Annie. A poza tym, pani powiedziała...

Annie podniosła się ze słowami: - Wiem, co pani mówi, wystarczy na nią spojrzeć. Och, o czym to ja mówiłam? Posłuchaj, muszę o tym pomyśleć. Zajmę się tym później. Ale pamiętaj, nikomu o tym ani słowa, bo inaczej uszy ci poobrywam.

Napięcie w domu zmalowało od dnia, kiedy państwo wybrali się do Newcastle, a Annie po raz pierwszy miała okazję porozmawiać z mleczarką. Jedynym widocznym dla Carla rezultatem tej rozmowy była mniejsza niż dotychczas ilość resztek odsyłanych dla świń, a psom ograniczono nieco porcje smakowitych kości.

W końcu nadszedł dzień, gdy na kuchennym stole pojawiła się pierwsza osełka masła zawiniętego w liście winorośli, a Annie musiała niechętnie przyznać, że wyrób jest niezły.

Tak więc w ich codzienne życie wplótł się kolejny element. Zresztą nie tylko jeden, ponieważ kiedy Billy zawiózł na targ kilka pierwszych funtów, jedną osełkę kupiła gospodyni pułkownika Ramsmore'a. Dwa tygodnie później lady Lydia z Forest Hall napisała krótki liścik z prośbą o cotygodniową dostawę

dwóch funtów masła oraz dodatkową informację w przypadku, gdyby zamierzali pozbywać się jakichś prosiaków.

To łaskawe zamówienie sprowokowało Annie do wygłoszenia swego zdania: - No, no. Zaczynamy odnosić sukcesy. Pewnie dlatego, że wieśniacy pukają do naszych drzwi.

Bez względu na to, co Ward naprawdę o tym wszystkim myślał, powiedział tylko Fanny: - To są poczynania lady Lydii, a nie starszego pana. On jest człowiekiem, który zna swoje miejsce i zachowuje się odpowiednio do swojej pozycji. Ale o ile się orientuję, ona jest towarzyską, rzutką osobą. Przyjrzałem się jej kilka razy i stwierdzam, że wygląda tak samo miło jak się zachowuje. Ale - uszypnął ją w nos - moja kochana żono, twoja mleczarnia i tak zdobędzie w końcu zasłużoną sławę.

- Dzięki Patsy - odparła, co tylko wywołało jego złośliwy komentarz.

- Tak, dzięki Patsy. Ale wiesz co? - dodał. - Przez te wszystkie tygodnie ta dziewczyna nie odezwała się do mnie ani słowem. Tylko jej oczy coś wyrażają.

- No i co one ci mówią? - zapytała Fanny.

- Och, nie wiem. Ale jedno wydaje się pewne. Ta dziewczyna, kiedy dorośnie, na pewno będzie miała fach w ręku.

A Fanny, z rozmarzeniem spoglądając w bok, powiedziała łagodnie: - Tak, z pewnością... z pewnością.

* * *

20 grudnia 1888 roku Fanny urodziła drugie dziecko, dziewczynkę. Kiedy Ward zobaczył ją po raz pierwszy, wykrzyknął: - Wygląda zupełnie jak ty! Zupełnie.

- Z rozjaśnioną twarzą podniósł dziecko i trzymając je powtarzał: - Zupełnie jak ty, skóra zdjęta. Nazwiemy ją Angela. Co o tym myślisz? Angela.

Fanny była zbyt słaba, aby to skomentować, ale z pewnością dostrzegła, że reakcja jej męża była teraz zupełnie inna niż za pierwszym razem.

Jessie była teraz uroczym raczkującym berbeciem, ale nigdy nie zauważyła, żeby Ward patrzył na nią tak jak na młodszą córkę. A teraz była zbyt wycieńczona, aby zastanawiać się, dlaczego ten widok sprawia jej ból.

Księga druga

1896-1914

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, był dobrze zbudowany, a na jego ciele nie było śladu zbędnego tłuszczu. Na tle opalonej od ciągłego przebywania na powietrzu skóry jego jasne włosy wydawały się niemal białe. Zeskakując z wysokiego kozła wozu, nieświadomie zaprezentował swoje gibkie ruchy.

Wóz miał wysoką skrzynię, musiał więc sięgnąć od tyłu, aby zdjąć z niego kosz pełen zakupów, dwie paczki owinięte brązowym papierem i cienką książeczkę, którą teraz wsunął do wewnętrznej kieszeni swojego płaszcza.

- Zaczekaj chwilę! - krzyknął na konia. - Zaraz wracam.

- Przez podwórze pośpieszył do kuchni.

Kiedy zamierzał położyć paczki na stole, gdzieś z głębi pomieszczenia dobiegł go głos Annie: - Tam nic nie kładź! Zaraz zabieram się za pieczenie. Zostaw wszystko na siodle. No, jak ci poszło? - dodała, wchodząc do kuchni.

- Zupełnie nieźle. Masło i ser trzymają się w cenie, warzywa trochę podrożały z powodu suszy. A gdzie jest pan?

- Pewnie na polu w dolinie dogląda dwóch Irlandczyków, żeby skuteczniej niż dotychczas zabrali się za gradzenie.

- Och, to nieźli fachowcy. Ktoś im pokazał, jak to powinno być zrobione. Taka robota to nie żarty.

- Masz rację. I coś ci jeszcze powiem, Carl. Jeśli to się znowu zacznie, to chyba zrobię z tym porządek. Odkąd pies pani Killjoy cierpi na to, on nie przespał ani jednej nocy. A to również wpływa na panią i* w ogóle na wszystkich. A Jessie znowu miała ten swój atak płaczu.

- Tym razem z jakiego powodu?

- A skąd ja mogę wiedzieć? Chociaż nie, wiem. O czym to ja mówiłam? Ale teraz nie będziemy się tym zajmować. Lepiej przebierz się i wracaj do roboty, bo znowu będziesz miał ciężką noc. Billy od rana skarży się na ból krzyża. I wiesz co? Nigdy nie myślałam, że mój stary przyzna, że przydałby się jeszcze ktoś do pomocy. Ale ma rację, w rzeczy samej, bo ty pracujesz za dwóch.

- O mnie nie musisz się martwić, Annie. Wiesz, że mógłbym bez odpoczynku pracować czterdzieści osiem godzin. - Przerwał na chwilę i dodał uśmiechem: - To śmieszne. Po trzech godzinach snu budzę się świeży jak skowronek, a po pięciu głowę mam ciężką, jakbym noc spędził na picciu piwa.

- Dostałeś dla mnie wełnę?

- Tak, przywiozłem wszystko, o co prosiłaś.

- I pewnie cukierki dla dziewczynek? Na twoim miejscu, jeśli oczywiście masz chwilę czasu, poszukałabym panny Jessie, żeby tym razem jej pierwszej dać podarunek.

- Co masz na myśli, mówiąc: „tym razem jej pierwszej”, Annie?

- Dokładnie to, co mówię, chłopcze. Ponieważ ostatnio trudno powiedzieć, żeby w tym domu ktoś zwracał na nią szczególną uwagę. Może tego nie zauważyłaś. Nie jest dla niej niedobry. Nie, nie. Ale nie traktuje jej tak jak jej młodszą siostrę, która od samego początku, od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, zawładnęła nim, ponieważ jest taka podobna do pani. Ma teraz dorosłą kobietę i malutką istotkę, a jego pierworodna została odsunięta na bok. O czym ja mówię? Uważaj, chłopcze, bo masz na mnie zgubny wpływ i zaczynam opowiadać o sprawach, które mnie bezpośrednio nie dotyczą.

- Nie powiedziałem ani słowa.

- Nie o to chodzi, czy coś mówisz. Wystarczy, jak wyglądasz i na co patrzysz. Lepiej będzie, jak znikniesz mi z oczu, dobrze?

Wyszedł, ale nie był w najlepszym nastroju. Annie ma rację. Nigdy nie widział, aby podniósł ją w ramionach, czy je otworzył w oczekiwaniu na biegnące dziecko, tak jak to często robił w przypadku Angeli. Trudno było uwierzyć, że Angela miała już prawie osiem lat, ponieważ nadal wyglądała jak malutki elf, podczas gdy Jessie, która zbliżała się do swoich dziewiątych urodzin, była wysoka jak na swój wiek i dobrze zbudowana. I chociaż raczej ładna, zupełnie nie miała wdzięku swojej siostry. Wyprzągnął konia i zaprowadził go do stajni, mówiąc: - Najedz się. Później cię wyczyszczę.

Pchnął teraz drzwi mleczarni i wyjętą z kieszeni papierową torebkę podał młodej kobiecie, która z drewnianymi mieszadełkami w obydwu rękach odwróciła się w jego kierunku. Z rozjaśnioną twarzą i uśmiechem na ustach wykrzyknęła: - Och! Dziękuję ci, Carl.

- Mam cukierki dla ciebie. Nowy rodzaj, dopiero wyprodukowany. Sprzedają się bardzo szybko. Przez miesiąc nie mogłem na nie trafić.

- Dziękuję - powtórzyła.

- Wszystko w porządku?

- Tak, tak, wszystko w porządku - powtórzyła z pewnym wahaniem.

Wpatrywał się w nią z pewnej odległości, po czym szybko zamknął drzwi i podszedł do niej. - Coś się stało? Odwróciła głowę, a jej ciemne oczy nieco przygasły.

- Miałam przeprawę z panną Jessie. Znalazłam ją jak płakała, więc chciałam ją uspokoić, ale ona rzuciła się na mnie. - Wskazując na brodę dodała: - Podrapała mnie.

Powoli wziął jej twarz w dłonie i miękko powiedział:

- Och, Patsy, tak mi przykro.

Wpatrywała się w twarz, którą i tak dzień i noc miała przed oczami: jego dobre oczy, wąskie, ale ładnie wykrojone usta, piękne włosy. Dla niej cały był piękny. Nigdy, odkąd była tu na służbie, nie powiedział jej złego słowa. Pani była dobra, pan tolerancyjny, Billy też, nawet więcej niż tolerancyjny, a pani Compton przyjęła do wiadomości jej istnienie. Ale Carl był tak miły, pełen zrozumienia, uważający, i tak wiele ją nauczył, więcej niż ktokolwiek inny w całym domu. Te nocne godziny spędzone przy książce i świecach, kiedy uczyła się nie tylko zasad ortografii, ale również skąd pochodzi herbata i co dzieje się z węglem wydobywanym w pobliskich szybach. Nawet zapamiętała nazwisko ostatniego premiera, pana Gladstone'a. Pamiętała również, jak płakała nad historią dzieci z Tower w Londynie. Gdyby nie Carl, nie miałyby o tym wszystkim pojęcia.

Kiedy zapytał: - Czy wiesz... chodzi mi o to, czy wiesz, dlaczego to zrobiła? - potwierdziła kiwnięciem głowy.

- O, tak. Mamrotała pod nosem, że nikt jej nie kocha. A ja wiem, co to znaczy.

- Och, Patsy. - Przesunął palcami po jej policzku, ale nie powiedział: Kocham cię.

Mimo to wyczuwała, że ją kocha, chociaż jednocześnie rozumiała, dlaczego nie mógł o tym mówić: musiał przygotować grunt. Był w zażyłych stosunkach z rodziną: jadał z nimi, siadywał w salonie i prowadził długie rozmowy z panią o książkach i innych sprawach, o których żony farmerów zazwyczaj nie rozmawiają. Ale w końcu pani nie przypominała typowej żony farmera. Była subtelna i wykształcona i, jak twierdził jej tata, niespełna rozumu. Mówił również, że najbardziej przypominała irlandzkiego wędrowca, którego spotkał we wsi: czyż nie udowodniła tego lecząc zwierzę? Ale i tak w zeszłym roku nie udało się jej uratować psa tej grubej damy. Ale wtedy nie miała zbyt dużo czasu, bo kobieta szybko zabrała ulubieńca. Och, co to był za dzień.

Gdzieś w głębi duszy czuła to silne pragnienie, to silne pragnienie, aby przed nikim nie pochylać głowy. Przed nikim, z wyjątkiem Carla. Ale on jest inny. Kierowana tym uczuciem cofnęła się o krok, tak, że jego ręka zawisała w

powietrzu. - Dziękuję ci bardzo za słodczyce - odezwała się głosem, w którym słyhać było dumę. Wiedziała, że nawet w stosunku do niego nie powinna pozwolić sobie na chwilę słabości.

Carl był świadomy jej uczuć. Zdarzało się, że nad ich wzajemnymi stosunkami pojawiały się ciemne chmury, kiedy jej nie rozumiał i nie wiedział, dlaczego tak się działo. Teraz odwrócił się na pięcie i ze słowami: - Lepiej pójde się przebrać. Mam robotę do późnej nocy - wyszedł z mleczarni.

Otworzywszy drzwi swego domku stanął jak wryty, ponieważ w pokoju na krześle siedziała Jessie.

Nie podniosła się z miejsca, gdy zamknął za sobą drzwi, ale powiedziała: - Wiem, że mama nie pozwala mi przychodzić do ciebie, ale nie dbam, jeśli na mnie nakrzyczy. Okropnie się czuję i cały dzień okropnie się zachowuję.

- Posłuchaj, Jessie - odezwał się łagodnie - śpieszę się. Muszę się przebrać do pracy. Jeszcze jest wiele do zrobienia. A teraz, jeśli wrócisz do domu i...

Poderwała się na równe nogi i piskliwym głosem krzyknęła: - Nie zachowuj się tak jak inni i nie mów mi, że mam sobie gdzieś pójść! Wszyscy mi mówią to samo. Nikt mnie nie kocha. Nikt! Nikt!

- Nie bądź niemądra. Oczywiście, że cię kochają. Stała teraz blisko niego, z odrzuconą do tyłu głową i podniesionym wzrokiem. - A ty mnie kochasz? - zapytała.

- Oczywiście, że cię Kocham. Kocham was obie. Już dawno temu powiedziałem, że cię Kocham, bo byłaś pierwszym niemowlęciem, które trzymałem na rękach. Oczywiście, że cię Kocham.

- Ale nie tak, jak kochasz Patsy Riley, prawda? Nie tak samo jak ją.

- Jessie, skończ już z tym. Nie Kocham Patsy Riley, to znaczy...

- Nie Kochasz Patsy Riley? Ona myśli, że ją Kochasz. Podrapałam jej twarz, wiesz o tym? Podrapałam ją. Powiedziałam jej, że jeśli nie przestanie ci się naprzykrzać, to zrobię to jeszcze raz.

- Patsy nie naprzykrza mi się. - W jego głosie słyhać już było gwałtowniejsze tony. - Ale ty to robisz, Jessie, nie Patsy. A teraz posłuchaj... - Przerwał, widząc jej pochyloną głowę i łzy płynące po policzkach i kropelkami kapiące z nosa. Westchnął głęboko, podszedł do niej i obejmując ją powiedział: - Cicho już, cicho. Musisz wybić sobie z głowy te głupie pomysły, że nikt cię nie Kocha. Wszyscy cię Kochamy.

Z drżącymi ramionami, potrząsając głową, wydusiła z siebie: - Och, nie. Nie. Tatuś mnie nie Kocha. W ogóle mnie nie zauważa. Widzi tylko Angelę. Zawsze Angelę. Przytula ją. Podrzuca w powietrzu.

- No, nie, miałyby trudne zadanie, żeby ciebie podrzucić, bo jesteś już dużą dziewczynką.

Wyrwała się z jego ramion i prawie wykrzyknęła:

- Tak, jestem dużą dziewczynką i jestem brzydka, a ona jest słodka i podobna do mamusi. A tata kocha je obie, a mnie... nie! Słyszysz? Nie kocha mnie!

Carl nie odezwał się. Miał wrażenie, że nie patrzy na dziewczynkę ośmio-, prawie dziewięcioletnią; ona nie była już dzieckiem. Świadomość braku miłości rodzicielskiej spowodowała jej przedwczesną dojrzałość.

Wyciągnął do niej dłoń, chcąc powiedzieć jej kolejne kłamstwo, ale odsunęła się i skierowała w stronę drzwi.

- Wiem, co chcesz mi powiedzieć, ale ja ci nie wierzę - stwierdziła. Po tych słowach otworzyła drzwi, aby chwilę później, widząc ojca, głośnym westchnieniem dać wyraz swojemu zdziwieniu.

Głos Warda wydobywający się gdzieś z głębi gardła, zabrzmiał jak warknięcie. - Co ja ci mówiłem o naprzykrzaniu się? Należy ci się porządne lanie, panienko.

- Złapał ją za ramię, obrócił i mocno klepnął w pupę. I ledwo dotknęła stopami podłogi, popchnął ją i na pożegnanie krzyknął: - W tej chwili marsz do domu!

- Przestań się z nią cackać! - krzyknął do Carla ze złością. - Nie jest już małym dzieckiem. Trudno ją upilnować. - Po czym, nie czekając na odpowiedź, kontynuował spokojniejszym tonem: - Jak ci poszło?

- Bardzo dobrze. Ceny utrzymują się, a warzywa nawet podrożały, ale to z powodu kiepskiego urodzaju.

Ward cofnął się do pokoju i ciężko opadł na krzesło, na którym przed chwilą siedziała Jessie. Jakby zmuszając się do powiedzenia tych słów, wycodził przez zęby: - Znowu się zaczyna.

- Jakież kolejne ogrodzenia zostały zniszczone?

- Jeszcze gorzej. Mike Riley właśnie mi o tym powiedział. W zeszłym tygodniu znalazł dwa króliki. Otruto je, były całe opuchnięte.

- Gdzie je znalazł?

- Przy samej granicy majątku Hall, obok pola w dolinie. Ale króliki nie zginęły natychmiast. A poza tym, nikt nie ośmielił się nic zrobić przeciwko pułkownikowi.

- Och, nie byłbym tego taki pewny. W Hollow jest dwóch ludzi, którym się naraził straszając ich strzelbą.

- Tak, ale tamci ze wsi nie podkładaliby trucizny. Nie rozumiesz tego? Niszczyliby swoje źródło mięsa?

również z zachowania. W głębi ducha ciągle dziwiła się stałości uczuć Warda, który przez tyle lat był dla niej cudowny, jakby chciał wynagrodzić jej stratę głębokiej przyjaźni i miłości pani Killjoy. Nigdy nie wymaże z pamięci sceny, która rozegrała się na podwórku. Pani Killjoy straciła już dwoje członków swojej rodziny, jednego pieska z powodu zaawansowanego wieku, a w sprawie śmierci drugiego wiadomo było tylko tyle, że nastąpiła w czasie wizyty tutaj. I opłakiwała je tak jak pana Killjoya, a może nawet więcej, ponieważ traktowała je jak własne dzieci. Tego dnia przyjechała z wizytą w towarzystwie Charliego i Sophie, ale kiedy była już gotowa do odjazdu, odnaleziono tylko Charliego. Wszyscy wzięli udział w poszukiwaniach, ale na ślad Sophie trafiła Patsy Riley. Rozdzierające skomlenie zwróciło jej uwagę na płytki rów, z którego biedne stworzonko próbowało się oswobodzić na swoich trzech łapkach.

Kiedy Patsy przyniosła ją na podwórze, zauważono ślady dwóch strzałów ze śrutówki. Według opinii jednego z ludzi z Hollow, pani Killjoy na ten widok zawyła, jakby ukazała jej się zjawa zwiastująca śmierć.

Fanny ciągle miała w pamięci delikatne malutkie ciało Sophie, której starała się pomóc przetrwać ból. I z pewnością jej się to udało, ponieważ psina przestała wyć, gdy Ward wyjął z nóżki odłamki śrutu. Kiedy psina została już zabandażowana i bezpiecznie leżała w ramionach swojej pani, zachowanie pani Killjoy wprawiło ją w osłupienie. Starsza dama nie tylko nie przestała zawodzić, ale na dodatek donośnym głosem, tak, aby wszyscy mogli ją usłyszeć, wykrzyczała: - Przeklinam dzień, w którym przywiozłam cię do tego domu, ponieważ tutaj czai się zło! I mogę wam powiedzieć, że pan Killjoy był tego samego zdania. Przewidział, że Ward będzie płacił za ciebie do dnia swojej śmierci. To było po tym, kiedy zaginął twój ukochany Pip. I co się z nim stało? Został zastrzelony. Tak, w tym domu czai się zło. - I w pełnej napięcia ciszy wsiadła do powozu. W ten sposób zniknęła z ich życia.

Teraz przed oczami stała jej scena znalezienia Pipa. On również został postrzelony z wiatrówki, ale w głowę. A co gorsze, znalazł go Phil Steel, jeden z parobków pułkownika. W rezultacie Ward pognał z awanturą do Hall i oskarżył pułkownika o zastrzelenie psa swojej żony. Pułkownik, jak zwykle skory do gniewu, stwierdził, że od wielu dni nie był na polowaniu, ale jeśli Ward natychmiast nie opuści jego posiadłości, to z pewnością od razu zrobi użytek ze swojej strzelby.

Kłótnia ta miała niespodziewane zakończenie, ponieważ następnego dnia lady Lydia złożyła Fanny wizytę. Przybyła, aby wyrazić swoje współczucie z powodu śmierci psa i ponownie zapewnić panią Gibson, że ani pułkownik, ani nikt z jego służby nie był ostatnio na polowaniu. Posunęła się nawet do pochwał na temat

dwóch córeczek pani Gibson, podkreślając jak młodsza z nich przypomina swoją matkę. I czyż charakter dzieci nie wprawia nas zawsze w zdumienie? Jej syn wygląda zupełnie jak jego ojciec, chociaż po niej odziedziczył charakter: nie znosi strzelania. I w zaufaniu dodała, że to doprowadza do furii pułkownika, który twierdzi, że polowania to męska sprawa. Syn przeciwny zabijaniu wywoływał tylko wybuchy złości.

Fanny pamiętała, że w tym momencie całkowicie przyznała rację lady Lydii. Dziękując za wizytę, usłyszała, że starsza dama od dawna pragnęła ją poznać, a teraz ma nadzieję na jakąś wspólną herbatkę.

Wydawać by się mogło, że wiadomość o odwiedzinach lady Lydii u pani Gibson powinna być sygnałem do zaprzestania irytujących złośliwości. W rzeczywistości stało się całkiem odwrotnie. Ataki nasiliły się: otwierano im bramy, rozpędzano stada, wyciągano paliki, do których przywiązane były krowy, a w kamiennych murach wydlubowano dziury, a wszystko to działo się pod osłoną nocy. Nie było sposobu pilnować każdego centymetra ogrodzenia wokół farmy. A kiedy Ward wylewał swoje żale przed Fredem lub jego ojcem, czy kowalem, żądając, aby podali mu jakąś przyczynę takiego stanu rzeczy, w odpowiedzi widział tylko kręcenie głowami. Tak jakby byli już zmęczeni jego pytaniami lub - jak poskarżył się Billy'emu - wiedzieli, kto to robił, ale nie zamierzali mu powiedzieć.

Na takie stwierdzenie Billy odpowiedział spokojnie: - No cóż, bardzo prawdopodobne.

Niekiedy Fanny z trudnością ukrywała przed Wardem swoją troskę, ponieważ była nie tylko słaba fizycznie, ale również siła jej ducha zdawała się słabnąć. Szczególnie po incydencie z ukochaną przyjaciółką, panią Killjoy, której ostatnie słowa na zawsze zapadły jej w pamięć. Sama zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem dla wszystkich zainteresowanych nie byłoby lepiej, gdyby nigdy nie pojawiła się w tym domu, nigdy nie spotkała Warda i nigdy nie zaznała bezgranicznej męskiej miłości, ponieważ od jakiegoś czasu musiała pogodzić się z faktem, że to uczucie naprawdę jest bezgraniczne. W porównaniu z nim jej miłość wydawała się zupełnie nieistotna. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie jest to normalna ani zdrowa sytuacja, kiedy Ward traktuje ją jak osobę bez skazy, niezdolną uczynić, a nawet pomyśleć, niczego złego. To ustawienie jej osoby na piedestale nie pozwalało jej czuć się w pełni istotą ludzką. Niemniej jednak była świadoma faktu, że jej mąż nigdy tego nie zrozumie, jako że dla niego jego żona nie miała nic wspólnego z resztą świata.

- Tatuś mnie nie kocha, wcale, ale to wcale.

Głos Fanny był tym razem surowy, gdy grożąc córce palcem powiedziała: - Nie wolno ci tak mówić, Jessie. To nieprawda.

- Och, mamusiu. - Dziewczynka wstała teraz z łóżka i stojąc twarzą do matki pochyliła się nad nią i zapytała: - Dlaczego kłamiesz tak jak Carl? On cały czas kłamie. Mówi, że mnie kocha, a woli Patsy. I chociaż mówi, że jej nie kocha, wiem, że to nieprawda.

- Uspokój się, Jessie. W tej chwili się uspokój. I skończ tę głupią rozmowę na temat miłości. Trzeba z tym skończyć. Pozwól, że coś ci powiem. - Wyciągnęła rękę i złapała córkę za ramię. - Jeżeli Carl kocha Patsy, a Patsy odwzajemnia to uczucie, to jest całkiem naturalne, ponieważ oni są dorośli. To się zdarza, kiedy ludzie są dorośli. Ale ty jesteś jeszcze małą dziewczynką i nie powinnaś w tej sprawie zabierać głosu.

- Powiedział, że jej nie kocha.

- Co ty mówisz?

- Mówię o Carlu. Powiedział, że jej nie kocha. Pytałam się go.

- Nie miałaś prawa go o to pytać. Coś mi się wydaje, że dzisiaj jesteś niegrzeczną dziewczynką, Jessie, i to mnie martwi. Jak ludzie mogą cię kochać, jeśli jesteś taka niegrzeczna?

- Jestem niegrzeczna, bo nikt mnie nie kocha i nigdy mnie nie kochał.

Fanny zamknęła oczy. Niepokoiło ją, że to dziecko tak myślało, tak mówiło o miłości. Tak jakby sama sięgała po to uczucie, starając się je wydrzeć z cudzego serca. Ona sama zawsze okazywała córce swoją miłość. Ale okazało się, że nie takiej miłości Jessie potrzebuje - chciała uczucia ojca, czy Carla, jakiegoś mężczyzny. Najchętniej odepchnęłaby od siebie takie przekonanie dotyczące własnej córki, ale gdzieś w głębi serca wiedziała, że narodziło się ono już dawno temu.

Rozdział drugi

Tydzień później, gdy na skraju pola, przy stogu, Jessie widłami podawała ojcu kupki siana, nie było już śladu rozzłoszczonej, spragnionej miłości dziewczynki. Zdawało się, że nawet nie zauważa Patsy, która pracowała w pobliżu Carla, naciągając linki brezentu rozpostartego nad stogiem. Zmiana dokonała się we czwartek wieczorem, kiedy ojciec zapytał ją: - Może jutro nie poszłabyś do szkoły i pomogła mi przy ostatnich sianokosach? - Nie powiedział: „Pomóż nam”, ale: „Pomóż mi”.

Przez chwilę nie była w stanie wydobyć z siebie słowa, ale po chwili wykrztusiła: - Tak, tatusiu. To wspaniały pomysł.

Tak więc następnego ranka ani Billy, ani Carl nie musieli odwozić sióstr do szkoły, a potem wychodzić im na spotkanie, bo takie środki ostrożności podjęto, gdy dziewczynki rozpoczęły naukę w szkole we wsi. Cały wczorajszy dzień Jessie grabiła i znosiła siano. Angela również tam była, ale oczywiście nie mogła wykonać nawet w połowie tak dużo pracy jak jej starsza siostra. A potem spotkali się przy miłym wieczornym posiłku.

Tego ranka wyszłaby z domu bez śniadania, gdyby nie Fanny, która uparła się, aby przed ciężką pracą zjadła coś porządnego. Fanny nie przestawała myśleć, jak proste było rozwiązanie w kwestii stanu ducha jej córki: wystarczyło poprosić Warda, aby okazał dziewczynce trochę zainteresowania, co uczynił, prosząc ją o pomoc przy sianokosach. Wiedziała, że on sam nie od razu dojrzy sedno sprawy, ale przynajmniej spełnił jej życzenie, nawet jeśli nie było ono całkowicie zgodne z jego przekonaniem. Chociaż poprzedniego wieczoru przyznał, że jego wysiłki przyniosły jakieś rezultaty, ponieważ od dawna nie widział swego dziecka tak radosnego i rozmownego, przynajmniej w jego towarzystwie.

Kiedy zakończyli pracę, na podwórku pojawiła się Annie: - Jesteście wszyscy zakurzeni od stóp do głów i pewnie miną wieki, zanim doprowadzicie się do porządku. Może byście zjedli na świeżym powietrzu?

Dwie dziewczynki z radością przyklasnęły temu pomysłowi. - Tak, Annie! Tak. Możemy zjeść na łące.

- Och, to za daleko, żeby zanieść wszystkie zapasy - powiedziała Annie.

Dopiero Ward odkrzyknął: - Chyba nie spodziewasz się, że będziemy siedzieć na podwórzu albo na wybiegu dla koni?

- To już od was zależy - odparła wesoło. - Musicie przy pompie umyć ręce, a ja przygotuję wam koszyki, ale sama ich nie zaniosę, bo już nóg nie czuję.

- Ach, biedna kobieta, to z powodu wieku - komentarz Billy'ego wywołał nowy wybuch śmiechu.

Radosne okrzyki rozległy się ponownie, gdy dziewczynki wyjątkowo myły się przy pompie, a przynajmniej ochlapwały ręce i twarz.

W kuchni Patsy i Carl dostali kosze, dzieci niosły bańki zimnego mleka i piwa, a Ward ze skrzyni stojącej w holu wziął koce i z salonu wielką poduszkę, oczywiście, aby Fanny było wygodnie.

Kiedy przechodził przez kuchnię, Annie zatrzymała go: - Zapomniałeś o obrusie - i wręczyła mu ogromny kraciasty obrus.

- Naprawdę nie chcesz do nas dołączyć? - zapytał.

- Chciałabym, ale moje nogi są innego zdania - stwierdziła.

- Sama sobie szkodzisz, powinnaś częściej trzymać je w górze - upomniał ją. - I nie mów mi, że nie masz czasu. Już dobrze. Już dobrze. - Doskonale wiedział, co zamierza mu powiedzieć. Wszedł przed dom, a jego śladem ruszyła cała karawana. Minęli stodołę, przeszli obok pola, które zamieniono na ogród warzywny, a potem wzdłuż cieplarni, nie używanej przez Fanny od dwóch lat i teraz pełniącej rolę szklarni, a następnie przez zagony od roku leżące odłogiem, a teraz pokryte bujną zieloną trawą. Upał nieco ją przyżółcił, z wyjątkiem miejsc, gdzie padał cień lasu wyznaczającego granice Hall, posiadłości pułkownika Ramsmore'a.

- Tatusiu, czy mamy się rozłożyć w cieniu? - z oddali dobiegł go głos Jessie.

- Oczywiście, chyba że chcecie się ugotować! - odkrzyknął. - Ale poczekaj, mam tutaj obrus.

Patsy uklękła na ziemi, rozłożyła obrus i wyjęła wiktuały z koszyków, a Fanny napełniła kubki mlekiem i piwem, żartobliwie pytając dziewczynę: - Dla ciebie piwo czy mleko, Patsy?

- Piwo, proszę pani. Myślę, że na dzisiaj mam już dość mleka - powiedziała ze śmiechem Patsy.

- Pewnie szykuje nam się skwaśniałe mleko i zjełczałe masło, bo ona przerzuciła się na piwo - wtrącił Billy, popychając Patsy tak, że dziewczyna przeturlała się na bok. Jessie ze śmiechem pomogła jej się podnieść, co z kolei niebotycznie zdziwiło Carla, który zastanawiał się, co tak zmieniło to dziecko. Zachowywała się zupełnie inaczej niż w zeszłym tygodniu, wyglądała tak radośnie, zdawać by się mogło, że zdarzył się jakiś cud.

Potem zabrali się za bekon, placek, jajka gotowane na twardo, chleb grubo smarowany masłem własnej roboty, a w końcu wszyscy zaspokoiли pragnienie i każdy ułożył się gdzieś w chłodnym cieniu drzew. Ward rozciągnął się przy Fanny, która z rękoma splecionymi na kolanach siedziała na poduszce i ciągle

wyglądała tak młodo jak jej córki, również leżące na trawie. Billy oparł się plecami o słupek ogrodzenia, a Carl wyciągnął się na murawie, opierając brodę na dłoniach, i patrzył w kierunku Patsy siedzącej prosto z podwiniętymi stopami. W zębach trzymała trawkę, ssąc jej biały koniec. W oczach Carla wyglądała jak z obrazu wiszącego w galerii w Newcastle. Obraz przedstawiał młodą Hiszpankę w powiewnej sukience. Patsy nie miała powiewnej czerwonej sukienki, ale była piękna.

Ta sielankowa scena była jednym z momentów w życiu, który wszyscy mieli zapamiętać, nie przerywana przez ludzkie głosy, a jedynie uświetniona dźwiękami natury, szelestem liści dochodzącym z lasu, bzyczeniem pszczoł i much, zwiastującym dobrą pogodę. Nagle świst podobny do odgłosu roju pszczoł przeciął powietrze. Uderzona w czoło Fanny z krzykiem przewróciła się na Warda.

- Co to było? Co to było? - Trzymał ją w ramionach, a pozostali poderwali się ze swoich miejsc.

Przez chwilę nie mogła wydusić z siebie ani słowa, po czym z westchnieniem wyszeptała: - Coś... coś mnie uderzyło. - Palcami dotykała czoła, a Ward pomógł jej się podnieść.

Dopiero Patsy stwierdziła: - To kamień. Spójrzcie! - Wskazała na rąbek spódnicy Fanny, przy którym leżał spory kamień.

Trzymając kamień w rękę, Ward obejrzał go dokładnie. Z jednej strony był zakończony ostro, z drugiej zupełnie płaski.

- To kamień używany do procy - wyszeptał Billy.

- Co? Boże! - Ward wcisnął kamień do kieszeni bryczesów, po czym spojrzał w kierunku płotu ograniczającego las. Carl, idąc śladem jego wzroku, wykrzyknął: - Muszą być w lesie!

- Patsy, zabierz panią do domu. Pomóżcie jej, dziewczynki! - rozkazał Ward i pobiegł wzdłuż płotu, a Carl ruszył w przeciwnym kierunku. Obaj uważnie szukali miejsca, w którym mogliby pokonać wzmocnione drutami ogrodzenie majątku Hall. Splecione pomiędzy wieloma słupkami druty stanowiły na ogół niemożliwą do pokonania płataninę.

Ward musiał dobiec aż na skraj pola, aby znaleźć miejsce, gdzie mógł przedostać się przez płot. Kluczył pomiędzy drzewami, nasłuchując odgłosów stóp.

Las gwałtownie otwierał się na wąskie pole, które przecinała ścieżka prowadząca od wsi do Hollow, a gdzieś dalej granicząca z Morgan's Wood. Stojąc bez ruchu, w pewnym momencie zauważył dwie nadbiegające postaci. Jedna z nich wymachiwała bańką, druga trzymała coś w dłoni, coś, czego z tej

odległości nie potrafił rozpoznać. Ale mógł się założyć, że właśnie oni, wnukowie Michaela Holdena, byli winowajcami. Już wcześniej miał kłopoty z tymi młodymi łobuziakami, którzy przełazili przez jego płoty i ganiali środkiem pola. Nareszcie ich przyłapał. W tej samej chwili uświadomił sobie, że przecież nie mogli pokonać takiej odległości w tak krótkim czasie. Musieliby przejść przez prywatne tereny Hall. No, ostatecznie mogliby to zrobić i wyjść na ścieżkę, gdy ta właśnie zakręcała w kierunku Hollow. Musi po prostu poczekać, aż ich dopadnie.

Odwrócił się, gdy usłyszał głos wołającego go Carla: - Widział pan kogoś?

- Dwóch chłopaków od Holdena! - krzyknął, odwracając się w stronę płotu.

- A, tych dwóch. Oni z pewnością mogli strzelać z procy - powiedział Carl, pomagając Wardowi przejść przez ogrodzenie.

W tym momencie pojawił się Billy, który wtrącił:

- Powiedział pan, chłopaki Holdena? Gdzie ich pan widział?

- Biegnących ścieżką wzdłuż Morgan's Wood.

- Tak daleko? Musieliby przefrunąć, żeby pokonać taką odległość w tak krótkim czasie, nie sądzi pan?

- Może ci dwaj hultaje mają skrzydła. Ale na Boga! Przydadzą im się, jeśli ich dopadnę. Ten kamień mógł jej wybić oko.

Ta myśl ukłuła go jak ostroga, aż zaczął biec, a Carl starał się dotrzymać mu kroku...

Fanny z wilgotnym okładem na czole siedziała w kuchni, a Patsy z dziewczynkami otoczyły ją wianuszkami. Natychmiast odezwała się do wchodzącego Warda: - Nic, nic. Już wszystko w porządku. Nie rób zamieszania. Tylko - uśmiechnęła się - rano pewnie będę miała podbite oko.

- Mogłaś je stracić.

- Ale nie straciłam - powiedziała po chwili. - I nie traktuję tego poważnie. To był jakiś psikus.

- Do diabła z takimi psikusami! I nie siedź tutaj. Uważam, że powinnaś iść na górę i położyć się.

- Och, Wardzie.

- Nie chcę słyszeć „Och, Wardzie”. Chodź. - Odsunął dziewczynki i pomógł jej wstać.

Kiedy prowadził ją do drzwi, Annie odezwała się:

- Miłe zakończenie pikniku, jeśli chcecie znać moje zdanie. - Po czym zwróciła się do Patsy: - Czy ta banda z twojej wsi strzela z proc?

- Nie, ta banda nie używa katapult. - Ostatnie słowo podkreśliła, jakby to samo urządzenie było sprawcą nieszczęścia.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób, panienko. Po tych słowach Patsy ze spuszczoną głową wyszła z kuchni, ciągle słysząc głos Annie: - Do czegoś w końcu dochodzimy. No, i o to chodzi.

W końcu Annie sama również opuściła kuchnię i poszła na górę, gdzie zapukała do sypialni. - Czy mogłabyś powstrzymać tego niemądrego człowieka przed robieniem takiego zamieszania, Annie? - przywitała ją Fanny.

- Jeśli pani się to nie udało, to jak ja mam tego dokonać?

- Czy pošlemy po doktora, tatusiu?

Ward odwrócił się, aby odpowiedzieć córce, ale Fanny go ubiegła: - Nie, kochanie. Nie potrzebuję doktora. A teraz ty i Angela idźcie na dół, bo może trzeba jakoś pomóc Patsy i Carlowi. Możecie pozaganiać kurczaki. Jest tak gorąco, że pewnie nie będą chciały wracać do kurnika, a kto wie, w pobliżu może się pojawić pan Lis.

Dziewczynki niechętnie wyszły z pokoju. Kiedy Annie poszła ich śladem, Ward przysunął swoje krzesło do łóżka i powiedział: - Jutro z samego rana pójde do gospody, tyle że nie na piwo, ale żeby powiedzieć Mike'owi Holdenowi, aby zajął się tymi swoimi diablętami.

- Może to nie oni, nie wiemy tego na pewno. Wszyscy chłopcy strzelają z procy.

- Ale nie zaostrzonymi kamieniami.

- Jutro jest niedziela. Poczekaj do poniedziałku... Proszę.

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, i brak odpowiedzi powiedziały jej, że wyraził na to zgodę.

* * *

A w poniedziałek o siódmej rano, dużo wcześniej niż zamierzał wybrać się do gospody, przez okno podestu krzyczał na podwórko: - Carl! Billy! Carl!

Wyszli z różnych zabudowań, spojrzeli na niego w świetle wczesnego poranka, a Billy zawołał: - Co się panu stało?

- To... moja... chodzi o panią. Nie mogę jej dobudzić. Kiedy wychodziłem o pół do szóstej, myślałem, że jeszcze śpi. Carl, jedź jak najszybciej do doktora Wheatleya. Natychmiast!

Carl bez wahania pobiegł do stajni, a Patsy, która pojawiła się w drzwiach mleczarni, pognąła za nim i pomogła mu osiodłać konia. Przejęci grozą sytuacji nie zamienili nawet słowa.

Dom doktora Wheatleya leżał po drugiej stronie wsi, więc najkrótsza droga prowadziła pomiędzy zabudowaniami. Carl pogalopował do bramy cmentarnej i właśnie zwalniał, gdy z bocznej drogi wyjechała mała dwukółka, którą natychmiast rozpoznał. - Och, doktor Patten! - wykrzyknął. - Doskonale, że pana

widzę. Właśnie jechałem po doktora Wheatleya. Pani zachorowała, a pan nie może jej dobudzić.

Philip Patten wychylił się ze swego miejsca: - Nie może jej dobudzić? O co chodzi, Carl?

- Ktoś trafił ją z procy ostrym kamieniem. W sobotę wszyscy mieliśmy piknik na łące i od tego czasu pani leży w łóżku. A teraz nie może się obudzić.

Uderzona kamieniem wystrzelonym z procy i nie może się obudzić? Gibsonowie to pacjenci starego lekarza, a ten był niezwykle drażliwy, jeśli ktoś wchodził na jego terytorium, tak jak sam to określał, chyba że sam prosił o konsultację, ale któż wtedy ośmieliłby się wyrazić przeciwną opinię. Z opisu Carla wynikało, że to mógł być przypadek śpiączki, więc zanimby dotarł jego starszy kolega, który na dodatek miał ciężką ostatnią noc, mogłoby być już za późno na jakąkolwiek pomoc. Po czterech godzinach spędzonych w Grange, gdzie pomagał przyjść na świat wnukowi Draytona, ale nie doczekał się podziękowań, ponieważ biedne maleństwo urodziło się z mongolizmem, marzył tylko o tym, żeby położyć się do łóżka.

- Ruszaj. Pojadę za tobą.

Spojrząwszy na Fanny, Philip Patten przygryzł dolną wargę i zapytał Warda: - Czy ona w ogóle wykonała jakiś ruch?

- Nie.

Delikatnie odsunął kołdrę i zaczął ją badać, a Ward stojąc z drugiej strony łóżka starał się wyczytać z wyrazu twarzy lekarza, co jest przyczyną takiego stanu jego ukochanej Fanny. Doktor zbliżył się do swojej torby,

otworzył ją, po czym ponownie zamknął i odwracając się do Warda powiedział: - Powiedz Carlowi, żeby pojechał po doktora Wheatleya i poprosił go, aby przywiózł ze sobą pijawki. Jak najszybciej.

- Co to może być? Co jej dolega?

- Na razie dokładnie nie wiem, Wardzie - skłamał Philip Patten. - Chciałbym usłyszeć opinię kogoś innego. Idź już i szybko go wyślij.

Ward nie od razu odpowiedział na to polecenie, ponieważ przez chwilę z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w Fanny.

Kilka minut później Annie weszła do pokoju i ze zdziwieniem usłyszała, że młody doktor mówi coś do jej pani. Pomyślała, że jego zachowanie jest głupie, bo gdyby biedactwo mogło go usłyszeć, to chyba dałaby jakiś znak, prawda? Tommy Taylor też kiedyś leżał bez przytomności, ale przynajmniej mógł poruszać chociaż jednym palcem.

* * *

Nie dalej niż pół godziny później doktor Wheatley wkroczył do pokoju, co oznaczało, że serio potraktował wezwanie. Być może niezupełnie z powodu pacjentki, ale ponieważ ten młody doktorek nie tylko ośmielił się zajmować jego pacjentami, ale również posłał po niego, chociaż w sposób zawołowany, z prośbą o przywiezienie pijawek, co sugerowałyby, że już postawił diagnozę. Więc trudno było się dziwić, że zignorował tego młodego mądralę i zbliżył się prosto do bezwładnej postaci leżącej w łóżku.

- No, no! I co my tu mamy, pani Gibson? - Podniósł bezwładną rękę, potrząsnął nią, po czym pozwolił jej opaść. - Jak to się stało? - zapytał, zwracając się do Warda.

- W sobotę została uderzona w czoło kamieniem wystrzelonym z procy.

- W sobotę! Dzisiaj jest poniedziałek. Dlaczego wcześniej nie dał mi pan znać?

- Do dzisiejszego ranka wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Staruszek zacisnął usta, spojrział na Fanny i podejmując decyzję, ostro powiedział do Warda: - Proszę iść na dół i polecić, aby przyniesiono miskę z bardzo gorącą wodą i ręczniki. - Po czym zdjął płaszcz, jakby przyjechał z wizytą towarzyską.

Dopiero gdy Ward wyszedł z pokoju, spieszenie przystąpił do działania. - Śpiączka? Co pan o tym sądzi?

- bezceremonialnie zapytał swego partnera.

- Tak, spowodowana zatorem w mózgu. Takie jest moje zdanie - odparł Philip Patten.

- Takie jest pańskie zdanie?

Spojrzeli na siebie, po czym doktor Wheatley dodał:

- Powinna iść do szpitala.

- Wątpię, żeby to przeżyła.

- Teraz pan wątpi? Możliwe, że raz w życiu ma pan rację, więc pozostaje nam tylko skorzystać z pańskiej drugiej sugestii i zobaczyć, czy pijawki przyniosą jakąś poprawę. I wie pan co, Patten? Jej stan to jedno, ale jeśli ona umrze, z nim będziemy mieli poważniejsze problemy.

- Tak, jestem tego świadomy.

Staruszek znowu uważnie przyjrzał się swemu młodszemu koledze i stwierdził, że właśnie ta cholerna pewność siebie budzi jego żywiołową niechęć.

* * *

Puścili jej krew. Zawinęli najpierw w gorące ręczniki, później w zimne, ale i to nie przyniosło żadnej poprawy. Tak minął dzień, aż nadeszła siódma trzdzieści we wtorek rano. Annie drzemała siedząc na krześle z jednej strony

łóżka, a Ward przysunął się bliżej drugiej strony. Pochylony nad Fanny, opierając się na łokciu, trzymał jej bezwładną rękę. Kiedy głowa opadła mu gwałtownie, ocknął się i szybko zamrugął powiekami. Szeroko otwartymi oczami spojrzał na twarz spoczywającą na poduszce. Wyglądała jakoś inaczej. Była zupełnie bezbarwna i przypominała twarzyczkę woskowej lalki. Podrywając się na równe nogi, wymamrotał: - Annie, Annie, podejdź tutaj.

- Och, mój Boże! Nie! - wyszeptała Annie, zbliżywszy się do łóżka, a on z krzykiem powtórzył jej ostatnie słowa: - Nie! Nie! Fanny! Fanny!

W otwartych gwałtownie drzwiach pojawiła się przerażona twarzyczka Jessie, której Annie poleciła: - Powiedz Carlowi, aby pojechał po doktora Patten. On mieszka najbliżej. - Po czym została odepchnięta przez Warda, który odrzucił pościel, wziął Fanny w ramiona i tulił ją, jakby trzymał dziecko, jęcząc przez cały czas:

- Nie! Nie! Nie możesz odejść. Obudź się! Obudź się. Ciągle jeszcze nosił jej bezwładne ciało, gdy Philip

Patten wpadł do pokoju z okrzykiem: - Och, dobry Boże! - po czym wyciągnął dłonie i powiedział: - Spokojnie, połóż ją... Spokojnie.

Jak w malignie Ward pozwolił się poprowadzić do łóżka i cały czas wpatrując się w ukochaną, zsunął jej ciało na prześcieradła. - Wszystko przez tę procę - płaczącym głosem powiedziała Annie.

- Proca! - Ward uczeplił się tego słowa, po czym powtórzył: - Proca! O to chodzi! To ją zabiło! Oni ją zabili!

- Oskarżycielskim gestem wyciągnął rękę w kierunku lekarza i wykrzyknął: - Ty jesteś świadkiem, ty! Ona nie żyje! Zabili ją, i klnę się przed Bogiem, że mi za to zapłacą.

Zdziwiony gwałtownym zachowaniem Warda, Philip Patten wybiegł za nim na podest i krzyknął: - Poczekaj! Zastanów się przez chwilę! Zaczekaj! - Po czym szybko wrócił do pokoju, aby zapytać Annie: - O kim on mówił? O kogo mu chodziło?

Annie pokręciła przecząco głową, ale Patsy wyjaśniła mu: - Podejrzewa chłopaków Holdena.

- Holdena? Dobry Boże! - Wybiegł z pokoju na podwórko i krzyknął do Carla i Billy'ego, stojących przy bramie: - Pobiegnijcie za nim! Wybiera się do Holdenów, a kiedy jest w takim stanie, wszystko może się zdarzyć. Ja muszę tu jeszcze zostać - dodał i z powrotem pognął do domu, do sypialni...

Ward pojawił się we wsi od strony kościoła, ponieważ biegnąc wzdłuż cmentarnego muru dotarł do ulicy. Widząc go, William Smythe, kościelny, zostawił wielki klucz w drzwiach zakrystii i pobiegł zwirową alejką, aby lepiej

przyjrzeć się Wardowi biegnącemu główną ulicą w zarękawkach. I nie był jedyną osobą, która oniemiała na ten widok: Fred, który właśnie ładował samochód swoimi porannymi wypiekami, dosłownie nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ale zamiast biec za Wardem, wpadł do domu i tam podzielił się tą niezwykłą nowiną.

Jimmy Conway rozładowywał mięso ze swojego wozu. On również przerwał na chwilę zdziwiony, po czym krzyknął do Hanny Beaton dźwigającej do sklepu worki z kartoflami: - Widziałas to samo, co ja? Czy może mi się wydawało? Dokąd on się wybiera?

Ward szybko dotarł do miejsca swego przeznaczenia. Ale tym razem nie wszedł frontowymi drzwiami Koronowanej Głowy, ale od tyłu.

Przez moment stał w drzwiach kuchni, ciężko dysząc, a potem przełknął ślinę i huknął w drzwi. Walił w nie, aż ktoś krzyknął: - W porządku! W porządku! Pali się?

Drzwi otworzyły się, a on przez pełne dziesięć sekund wpatrywał się w Holdena. - Jesteś zadowolony? - ryknął w końcu. - Pozwoliłeś temu swojemu pomiotowi działać w imieniu całej wsi, tak? Tak czy inaczej chciałeś zrobić jej krzywdę?

- W imię Ojca i Syna! O czym ty mówisz, Wardzie? Jesteś pijany czy oszalałeś? Co się z tobą dzieje?

- Tylko nie mów mi, że o niczym nie wiesz. Z pewnością przybiegli do ciebie, kiedy wystrzelili swój pocisk. Ale to już ich ostatnia proca. Na Boga! Zapłacą mi za to, a ty razem z nimi.

Kiedy Ward wyciągnął ręce, aby złapać go za gardło, Holden odskoczył od niego z okrzykiem: - Jesteś szalony! Po prostu jesteś szalony.

- O co chodzi? Co się dzieje? - Winnie Holden stanęła obok swego męża.

- Chodzi o to, proszę pani, że spłodziła pani dwóch morderców. Te diabły zabiły moją żonę! - wrzasnął do niej.

- O mój Boże!

Widział, jak potężna kobieta zakrywa sobie dłonią usta, żeby chwilę potem zaprosić go do środka: - Proszę, wejdz, Wardzie.

Nie trzeba go było dwa razy zapraszać, a widząc w głębi dwóch chłopców, prawie ich odepchnął. Dzieciaki, siedzące wcześniej przy stole, nagle znalazły się pod najdalszą ścianą przytulone do siebie. Teraz on sam został popchnięty przez Holdenów pod ścianę. - Oni nigdy nie skrzywdzili twojej żony! - krzyknął starszy mężczyzna. - Uwierz mi, Wardzie! Ale wiem, kto to zrobił.

- Zamknij się, Mike! Zamknij się! - wrzasnęła jego krzepka żona.

- Nie zamierzam, kobieto. Nie zamierzam. On oskarża naszych chłopaków, jeśli do tej pory to do ciebie nie dotarło.

Rozmawiali teraz między sobą jakby byli sami w pokoju, a nie w towarzystwie człowieka zachowującego się jak wariat.

- Skończ już z tym, człowieku! - krzyknął znowu Holden do Warda. - Skończ już z tym! Uspokój się! Posłuchaj mnie, to ci powiem, kto to zrobił. Ta sama osoba podłożyła ogień pod twoje stogi, okaleczyła ci bydło i rzuciła kamieniem w twoją żonę.

Nagle Ward zamarł. Pochylając się nad Holdenem, wyszeptał: - Daisy? Nie.

- Aha, Daisy Mason. A czego ty się spodziewałeś, chłopie? Czego ty się spodziewałeś? Nigdy na to nie wpadłeś?

Ward odepchnął ich powoli i wyprostował się, ale patrząc na przytulonych do siebie dwóch chłopców ciągle miał wątpliwości. - Usiądźcie, dzieciaki i skończcie śniadanie - polecił im ojciec.

Kiedy Ward patrzył, jak powoli, prawie ukradkiem, zbliżają się do stołu, w głębi ducha miał ochotę powiedzieć: Przepraszam. Przepraszam. A potem wymamrotał pod nosem: - To nie mogła być ona, przynajmniej nie ona podpaliła stogi. W tym czasie pojechała do Fellburn.

- Jest przebiegła - odezwała się spokojnie Winnie Holden. - Wszystko sobie zaplanowała, zresztą podobnie jak inne rzeczy. Już od kilku lat wiadomo, że wpadła w obłąd, ale nikt nie chciał o tym mówić, bo John i Gladys są takimi porządnymi ludźmi, a i tak mieli za swoje przez większość czasu próbując trzymać ją pod kluczem. Ale i tak pewnie wszyscy poza tobą doskonale wiedzieli, kto jest odpowiedzialny za twoje niepowodzenia i często zastanawialiśmy się, dlaczego ty sam na to nie wpadłeś. A w sobotę moi chłopcy byli w lesie Hall. Nie powinni tam chodzić, ale tam rosą ładne jagody i po prostu poszli na jagody. Widzieli ją. Powiedzieli, że pomiędzy krzewami zauważyli, jak mierzy z procy. Spostrzegła ich i nie czekali, aż do nich podejście. Tak się przerazili, że najszybciej jak się dało wzięli nogi za pas. Zatrzymali się dopiero na progu naszej kuchni.

Przez chwilę panowała cisza, aż przerwał ją nabrzmiały strachem głos George'a Holdena. - Ale to chyba nieprawda, że twoja żona, Wardzie, nie żyje?

Ward nie odezwał się, oderwał się od ściany i skierował spojrzenie w stronę płonącego ognia. Na palenisku stał garnek z bulgoczącą owsianką, ale on myślami był zupełnie gdzie indziej: koło muru cmentarnego, gdzie znowu czuł jej paznokcie orzące mu policzki. Dlaczego nigdy jej nie podejrzewał? Brał pod uwagę jedną po drugiej kolejne rodziny w wiosce: bliźniaków Longstaffe'a, Mike'a i Adama. Nigdy nie odwiedzali Gospody pod Pędzącym Zającem, a to już

w jego mniemaniu było dostatecznie podejrzane. A może to był jednak jeden z chłopaków Kate Holden? Jego podejrzenia sięgnęły nawet McNabbów z Hollow. Potem pomyślał o Wainwrightach. Byli metodystami i mieli czterech synów, wszyscy już się pożenili i osiedlili w pobliżu. Nie, takie myśli prowadziły donikąd. Nie mógł oskarżać kogoś tylko dlatego, że ten był pastorem metodystów. W końcu zawsze prowadzili miłe pogawędki, a nawet sprzedawał mu mleko. Nie. Był ślepy i głupi nie biorąc pod uwagę Daisy, szczególnie po ich burzliwym rozstaniu. Dokładnie pamiętał słowa, które wtedy wypowiedziała. „Popamiętasz mnie, Wardzie Gibson. Przysięgam przed Bogiem, że popamiętasz. Ty i twoja rodzina. Słyszysz, co do ciebie mówię?”

I dotrzymała obietnicy. Zabiła Fanny, jego ukochaną Fanny. Och, Fanny, Fanny! Czuł w głowie jakieś dziwne zamieszanie. Przez moment wydawało mu się, że wybuchnie płaczem jak kobieta, albo zraniony jej stratą zawyje jak zwierzę. I wtedy uświadomił sobie, że to dopiero początek...

Odwrócił wzrok od ognia, kierując się w stronę Geo-rge'a Holdena, który przykuł jego uwagę słowami: - Ty i twoja rodzina nigdy nie będziecie bezpieczni, Wardzie, dopóki ona będzie w pobliżu. Powinno się ją gdzieś zamknąć, gdzieś, gdzie nikogo nie będzie mogła już skrzywdzić.

Ty i twoja rodzina. Znowu usłyszał jej słowa. Miał dwie dziewczynki, dwie córki... Ty i twoja rodzina nigdy nie będziecie bezpieczni, dopóki ona będzie w pobliżu.

Zakręcił się na pięcie, jakby zamierzał wyjść, ale przy samych drzwiach odwrócił się i powiedział po prostu: - Przepraszam.

- W porządku, Wardzie. W porządku. Rozumiemy cię. - Odprowadzili go do drzwi, po czym na widok Philipa Pattena, Carla, Freda i jego ojca, oraz gromady wieśniaków stojących na podwórzu, zdziwili się nie mniej niż on sam.

- Chodź do domu, Wardzie - powiedział doktor, ruszając w jego kierunku.

Ward spojrział na doktora i otaczający go niewielki tłumek i starając się nie pokazać w głosie narastającego gniewu, rzekł: - Idę do domu, doktorze, ale proszę zostawić mnie na chwilę w spokoju... Chodź, Carl.

- Minął grupkę wieśniaków, starając się nie widzieć wyciągniętej ręki Freda.

Tym razem Ward nie biegł już przez wieś, ale podobnie jak Carl szedł równym, zdecydowanym krokiem. Minąwszy kościół, kiedy był już daleko poza zasięgiem wzroku mieszkańców wsi, Ward zatrzymał się i spoglądając na Carla powiedział: - Wracaj do domu i zajmij się wszystkim. - I nie czekając na kłopotliwe pytania w stylu: „Czy nie mógłbym wrócić do domu razem z panem?”, przeskoczył rów biegnący wzdłuż drogi i pobiegł przez ściernisko...

Życie na farmie Beacon toczyło się zgodnie z codzienną rutyną: zakończono już poranne dojenie, sprzątnięto obory, a Seth Mason właśnie zakończył zakładać uprząż dwóm koniom i jednego z nich wyprowadzał ze stajni, gdy zauważył Warda. Rozejrzawszy się wokół, jakby kogoś szukał, zostawił konia i pognął w kierunku Warda zbliżającego się do kuchennego wejścia. - Chwila! Zaczekaj chwilę! Nie wchodź tam. A w ogóle, czego chcesz?

- Ż pewnością wiesz, czego chcę - odparł Ward ponuro.

Seth rzucił się do przodu krzycząc: - Pete! Pete! Chodź tutaj!

Ward popchnął opierającego się Setha na ścianę domu. W tym momencie nadbiegł Pete Mason, który zablokował wejście do kuchni krzycząc: - Wynoś się stąd do diabła, i to szybko!

Cios Warda tylko musnął policzek Pete'a Masona, który usiłował odparować, ale w tym momencie Otworzyły się drzwi i impet uderzenia został zahamowany przez dłonie jego ojca chwytające go za ramiona. - Stójcie! - wrzasnął, starając się przekrzyczeć odgłosy bijatyki. - Na miłość boską! Co was napadło?

Dwaj przeciwnicy spojrzeli na siebie, a pan Mason mówił dalej: - Co cię tutaj sprowadza, Wardzie? Wiesz, że nie jesteś tutaj mile widziany.

- Tak! W imię Boga! Słuchajcie tego człowieka: nie jestem mile widziany. Pyta się pan, co mnie tutaj sprowadza? No, to powiem panu, panie Mason, co mnie tutaj sprowadza. Po prostu zamierzam wsadzić pańską córkę do paki za zamordowanie mojej żony. To wszystko. To wszystko. - Zdawało się, że te ostatnie słowa z chrzęstem wydobyły mu się z gardła. Trzej mężczyźni spojrzeli na niego w milczeniu, po czym Pete i Seth skierowali wzrok na ojca, który najpierw podniósł jedną rękę, po czym drugą, jakby szukając pomocy, oparł o framugę.

- Nie! Nie! - w jego głosie słyhać było strach i niedowierzenie. - O czym ty mówisz? Co ty mówisz?

- Dokładnie to, co pan słyszy. Moja żona umarła dzisiaj rano na skutek uderzenia kamieniem wystrzelonym z procy.

- Ludzie nie umierają od uderzenia z procy - piskliwym głosem zauważył Seth Mason.

- Nie?

Słyszac warknięcie Warda, Seth cofnął się o krok mruczac: - No... no, chodzi mi o to...

- Ona... ona by tego nie zrobiła. Jakaś psotę, tak, psotę, czasami płata różne figle, ale nie coś takiego, nie coś takiego.

- Panie Mason - głos Warda wydawał się dziwnie spokojny, gdy mówił dalej: - na skutek uderzenia pękło naczynie krwionośne w mózgu mojej żony. A do

mnie dopiero dzisiaj rano dotarło, że w ciągu ostatnich kilku lat pańskiej córce zawdzięczam wszystkie swoje niepowodzenia: pożary, okaleczenia moich zwierząt, zastrzelenie niewinnych psów oraz inne drobne kłopoty, którym musiałem stawić czoło. Chyba wszyscy o tym wiedzieli, ale starali się pana chronić. Ale morderstwo nie może być chronione. Gdybym teraz mógł ją dopaść, z pewnością doszłoby do kolejnego zabójstwa. Mogę pana o tym zapewnić. Ale taka kara byłaby dla niej zbyt łagodna. Przyszedłem jedynie, aby powiedzieć panu, że ona przyzna się do winy przed zachodem słońca.

- Nie. Nie. Och, Wardzie, nie, nie.

Na dźwięk tego głosu wszyscy odwrócili się i ujrzeli drobną figurkę Gladys Mason, którą mąż bezskutecznie usiłował zatrzymać, krzycząc: - Wracaj! Wracaj!

- Zostaw mnie, Johnie - powiedziała. - Muszę porozmawiać z Wardem. - Odepchnęła ręce męża i przekroczywszy próg, spojrzała na Warda błagalnie. - Proszę cię, Wardzie, nie rób tego. Błagam cię... Ja... ja dopilnuję, żeby już nigdy nie sprawiała ci kłopotów.

- Co ona jeszcze może mi zrobić, pani Mason? Zabiła moją żonę. Nie słyszała pani? Zabiła moją żonę. Pani szalona córka zabiła moją żonę. Mówi pani, że nie sprawi mi więcej kłopotów. Proszę pamiętać, że mam dwie córki, a ona nie spocznie, zanim ich nie dopadnie, a być może najpierw mnie zamierza zabić. Czy nie możesz tego pojąć, kobieto? Ona jest szalona i tak po prostu nie zrezygnuje.

- Nie odzywaj się w ten sposób do mojej matki.

Zanim Ward zdążył odpowiedzieć, John Mason wrzasnął: - Cicho bądź! Cicho bądź! Gdybyś przez cały czas miał oczy otwarte i robił, co do ciebie należy... - Ponownie dłonią dotknął głowy, jakby nagle poraziła go jakaś myśl. - Jakie masz dowody, że zrobiła to Daisy? - zapytał ostro. - Trudno we wsi znaleźć chłopaka, który nie miałby procy.

- Zgoda. Ale synowie Holdena, Peter i Alan, widzieli ją.

- A, ci dwaj - znowu piskliwym głosem wtrącił się Seth Mason. - To znani kłamcy i drobne złodziejzki. Nie dalej niż kilka tygodni temu złapaliśmy ich, jak ganieli nasze kurczaki. Pamiętasz, Pete?

- A tak. To prawda. I każdy z nich powie wszystko, żeby ocalić własną skórę.

- Ona była w lesie. Widzieli ją. Goniła ich.

- No pewnie, mogła ich gonić, bo z pewnością mieli procę. Wardzie - skulone ramiona Johna Masona zdawały się prostować - ona robiła różne psikusy, przyznaję, ale coś trzeba powiedzieć na jej obronę, sam wiesz o tym najlepiej. To, co zrobiłeś, doprowadziło ją do obłądzenia. Ale morderstwo? Nie. Nie. Z tym nie

mogę się zgodzić. Zresztą ona prawie nie opuszcza swojego pokoju, czasami tylko wychodzi na krótkie przechadzki. A wtedy jedna lub nawet dwie osoby zawsze mają na nią oko jak tylko... - Przerwał na chwilę, po czym wskazując na Seta dodał: - Idź na górę i powiedz jej, żeby zeszła do nas.

- A co będzie, jeśli nie zechce...? - zapytał Seth mijając ojca.

- To ją sprowadź! - ojciec uciał dyskusję, po czym zwracając się do Warda powiedział: - Proszę, wejdź na chwilę i wszystko sobie jakoś wyjaśnimy. Jednego jestem pewny, ona z pewnością mnie nie oszuka. - Chcąc przepuścić Warda, cofnął się i odsunął żonę na bok.

Wardowi wydawało się, że kuchnia zupełnie nie zmieniła się od czasów, kiedy siadywał tutaj przy długim białym stole jedząc smaczne posiłki urozmaicane wybuchami śmiechu i ploteczkami o poszczególnych członkach ich społeczności. Teraz zauważył rozstawioną na stole zastawę śniadaniową.

W pełnej wyczekiwania pozie stanął na końcu kuchni obok państwa Masonów i ich syna, którzy skierowali wzrok w przeciwległy róg pomieszczenia. Nikt nie odezwał się ani słowem, a niezręczną ciszę przerwał dopiero wysoki kobiecy głos: - Zostaw mnie! Zostaw mnie w spokoju!

Zdawało się, że postawną kobietę wepchnięto przez otwarte drzwi. Przez moment zamierzała odwrócić się, aby zaprotestować, ale zamarła ze zdziwienia. Ward widział, jak jej głowa powoli odwraca się w jego kierunku. Twarz Daisy wyrażała teraz dokładnie to samo, co przy ich spotkaniu wiele lat temu. Jedynie jej ciało jakby dwukrotnie powiększyło swoją objętość: postać, która teraz zbliżała się do stołu, była ogromna.

Ojciec zatrzymał ją słowami: - Siadaj, Daisy. Chcę z tobą porozmawiać.

Zachowywała się, jakby nic do niej nie docierało, jakby go w ogóle nie słyszała. Zamiast tego położyła na

stole obie dłonie i w regularnym rytmie zaczęła stukać w blat.

- Nie rób tego, kochanie - powiedziała matka ostro.

- Usiądź. Rób, co ci ojciec każe. - Ani te słowa, ani warknięcie Pete'a: - Zrób, o co cię proszą i słuchaj ojca, bo inaczej wsadzimy cię do wrzątku - nie wywołały żadnej reakcji.

- Pete! - ojciec upomniał go sztywno.

- No, dalej, zaczynaj - odburknął syn. - Zadaj jej to pytanie, z powodu którego kazałeś ją sprowadzić na dół.

- Spójrz na mnie - powiedział John Mason, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Czy wzięłaś procę i wymierzyłaś w panią Gibson? Powiedz prawdę.

Zerknęła na Warda, po czym ponownie spojrzała na ojca. Na jej twarzy wypłynął nikły uśmiech. - Nigdy byś z niej nie zrezygnował, prawda?

Głowa na chwilę opadła panu Masonowi na piersi, po czym podniósł wzrok i spoglądając na córkę, naciskał:

- Czy wystrzeliłaś z procy? Wzięłaś procę na dwór?

- Próbując uzyskać odpowiedź, starał się potrząsnąć solidnym cielskiem. - Powiedz prawdę! Wiesz, co się może stać, jeśli nie zachowujesz się jak grzeczna dziewczynka. Jeszcze raz pytam, czy zabierałaś procę, kiedy ostatnio wychodziłaś na spacer i czy strzelałaś do pani Gibson powodując jej śmierć?

Wydawało się, że jej potężne ciało ożyło, że powróciło do normalnego życia, gdy zadawała pytanie: - Ona umarła?

- Tak. Tak, Daisy. Pani Gibson umarła od uderzenia kamieniem wystrzelonym z procy.

Państwo Masonowie i ich dwaj synowie patrzyli, jak Daisy odwraca się do Warda i spogląda mu prosto w twarz. Stracili ostatnią nadzieję, gdy jej niewidzące spojrzenie rozjaśniło się na chwilę. - Więc dostałam ją. Wiedziałam, że to się kiedyś stanie. To zapłata. Zapłata. Mówiłam, że mi kiedyś zapłacisz.

- Boże święty!

Kiedy pani Mason opadła na krzesło, jej mąż na chwilę oderwał wzrok od córki, która wrzasnęła do Warda: - To taka zapłata, co? Taka zapłata.

Dopiero teraz Ward mógł wydobyć głos z gardła. - Ty też za to zapłacisz, szalona dziwko, bo zamierzam jeszcze przed zachodem słońca zamknąć cię w szpitalu dla obłąkanych.

- Szpital dla obłąkanych? Szpital? - potrząsnęła głową. - Nie, nie zrobisz tego! - krzyczała do Warda zupełnie normalnie brzmiącym głosem. - Nie zrobisz!

Wydarzenia, które rozegrały się chwilę później, nastąpiły tak szybko, że żaden z trzech obecnych tam mężczyzn nie był w stanie ich przewidzieć - sięgnęła po nóż do chleba leżący na drewnianej tacy obok bochenka i z maestrią sztukmistrza rzuciła nim w kierunku Warda.

Nie pamiętał, czy w ogóle go zauważył, ale instynktownie odchylił się unikając ciosu w twarz lub szyję. Po chwili jednak poczuł, że jest przyszpilony do półki z porcelaną, o którą się teraz opierał. W całym tym zamieszaniu zauważył, że długa drewniana rączka ciąży w dół. A potem, kiedy się pochylił, nóż ześlizgnął się na podłogę, podczas gdy on w osłupieniu patrzył na nasiąkający krwią podwinięty rękaw i strumień krwi spływający po jego ramieniu.

Czuł się zupełnie oszołomiony. Zauważył, że w kuchni pozostał jedynie w towarzystwie pani Mason, a wrzaski i ryki dochodziły gdzieś z oddali.

- To... nie jest głęboka rana, Wardzie... Zostałeś tylko draśnięty - wyjąkała drżącym głosem. Rozerwała mu rękaw i ręcznikiem owinęła rękę. - Trz...trzymaj mocno ten koniec, Wardzie, a... a chłopcy odwiozą...odwiozą cię do lekarza.

Odepchnął ją od siebie. Wychodząc usłyszał na pożegnanie: - Och, Wardzie. Wardzie. Tak mi przykro. Przykro mi... również ze względu na nas.

Przyciskając ramię do boku i drugą ręką trzymając ręcznik, przeszedł przez podwórkę farmy. Nie zdziwił go widok Carla stojącego w cieniu żywopłotu przy wejściu na pierwsze pole.

- Och, panie! Dobry Boże! Co się stało? - usłyszał na powitanie.

- Biegnij do domu - dotarło do zdziwionego Carla.

- Zaprzęgaj konie. Natychmiast.

- Czy... jest pan pewien, że da pan radę? To znaczy...

- Rób, co ci każe.

Widząc oddalającego się w szybkim tempie Carla, Ward pomyślał, że może to dobrze, że doszło do tego ostatniego incydentu, bo dzięki temu może łatwiej będzie ją umieścić tam, gdzie powinna się już dawno znajdować.

Dwukrotnie odpoczywał, opierając się o kamienny mur, ale nie dlatego, że poczuł się słabo, ale żeby jeszcze raz zastanowić się, jak to się stało, że nigdy jej nie podejrzewał. Miał teraz wrażenie, że wszyscy oprócz niego cały czas znali sprawczynię jego niepowodzeń. Jedno mógł zrozumieć - przyjaciele trzymali tę prawdę w ukryciu, bojąc się jego reakcji.

Kiedy dotarł do bramy farmy, jego oczom ukazał się Carl wyprowadzający na podwórze konia i powóz oraz Billy, który poprawiał uprzęż. Była tam również Annie, stojąca w towarzystwie obydwu dziewczynek, i nieco dalej Patsy, ściskająca zębami wskazujący palec.

Widząc swego pana, Annie odsunęła dziewczynki i podbiegła do niego. - Dobry Boże w niebiosach! Podejź tutaj. Niech cię obejrzę. Och, tego dnia z pewnością nie wymyślił Pan Bóg.

Ward odsunął Annie, która próbowała złapać go za zdrowe ramię, ale nie odezwał się ani słowem, nie spojrział również na córki, które zgodnym chórem wykrzyknęły: - Och, tatusiu! Tatusiu!

Z pewnym wysiłkiem wsiadł do dwukółki, a tam Carl z lejcami w dłoniach siedział już na koźle. - Jedźmy już - wymamrotał.

Nie dojechali zbyt daleko; gdy Ward ponownie mruknął: - Skręć do doktora Pattena. - W ciągu pięciu minut dotarli do domostwa lekarza, usytuowanego na końcu wsi, za kościołem i cmentarzem.

Kiedy Carl zeskoczył na dół i pobiegł w kierunku wejścia, gospodyni doktora otworzyła furtkę. - Och, myślałam, że to sam pan doktor! - wykrzyknęła. - Nie

ma go w domu. Ale powinien wrócić lada chwila. Nie zdążył nawet usiąść przy stole, kiedy go znowu wezwano. Jest zajęty cały boży dzień, od świtu do nocy. A w jakiej sprawie pan do nas przyjechał? - Zerknęła na drogę i po chwili dodała: - Och. O tak, już widzę. - Po czym już głośniejszym głosem dodała: - O wilku mowa! Już nadjeżdża i coś mi się zdaje, że znowu nie będzie miał czasu na jedzenie.

Philip Patten zatrzymał swego konia obok dwukółki Warda i widząc jego zakrwawiony rękaw, zapytał spokojnie: - Jak to się stało?

- Nożem. Celowała w moje gardło. Chcę, żeby pojechał pan razem ze mną do doktora Wheatleya. Zamierzam zamknąć ją już dzisiaj, nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię.

Philip Patten nie skomentował tego stwierdzenia, ale zanim zawrócił konia na drogę, przez chwilę uważnie patrzył Wardowi w oczy. W tym czasie Carl wspiał się na kozioł i truchtem ruszyli w stronę wsi.

I znowu wieś była świadkiem, jak Ward z zakrwawionym ramieniem jechał ulicą, a w ślad za nim jechał konno młody doktor.

Oczywiście, doktor Wheatley nie wyjechał bez śniadania. To nie zmieniało się od lat: bez względu na to, czym zajmował się poprzedniej nocy, zawsze chętnie zjadał stek ozdobiony dwoma sadzonymi jajkami i wypijał kubek herbaty z rozkłóconym jajkiem. Mówiono we wsi, że to właśnie dzięki tej prostej diecie zachowuje przytomność umysłu.

Jeden z pokoi jego dostatniego domu służył mu jako gabinet i tam właśnie spotkał się z trzema mężczyznami, z których żaden nie budził w nim cieplejszych uczuć.

- A co to znowu? Postrzelaliście się? - Ward nie odpowiedział, tylko wpatrywał się w nalaną twarz i opasłą postać, którą miał przed sobą. - No, dalej! - wrzasnął doktor. - Dalej! Dalej! Mówcie, o co chodzi!

Więc Ward szybko przeszedł do sedna sprawy. -Chcę, żeby pojechał pan na farmę Masonów i zbadał ich córkę.

- Co? - Doktor spojrzał na Philipa Pattena, po czym skierował wzrok na Warda. - Doprawdy? - zapytał bardzo szybko. - A to z jakiego powodu?

Philip Patten powiedział tylko jedno słowo, które jednak zdawało się mówić samo za siebie. -Doktorze!

W odpowiedzi stary lekarz wrzasnął: - Tak? Doktorze! Co chciał pan powiedzieć?

- Wie pan doskonale, co chciałem powiedzieć i co pan Gibson zamierza wyrazić. Ona powinna być zbadana już dawno temu. Doskonale pan się orientował, jak sprawy stoją.

- Nic mi o tym nie było wiadomo, młody człowieku! Dziewczyna... ta kobieta przeżyła wielki wstrząs. Czy z tego powodu zamyka się ludzi?

- Wstrząs, który zabił moją żonę, sir! - tym razem Ward się odezwał. - Ta maniaczka śmiała się, gdy powiedziałem, że udała jej się ta sztuczka. Chłubiła się tym. A potem tego dokonała. - Wskazał na ramię i rozwinął ręcznik, krzywiąc się z bólu.

Przez chwilę stali, wpatrując się w obnażone ramię, po którym płynęła krew. - Celowała w moje gardło - wymamrotał Ward. - I znowu będzie tego próbowała. I proszę pamiętać, że mam dwie córki. Nie spocznie, dopóki ich nie zabije. Jest zupełnie opętana.

- A kogo można za to winić, panie Gibson? Czy zadał pan sobie to pytanie? Porzucając ją, zmaścił jej pan w głowie.

- Nie porzuciłem jej. Nigdy nie było mowy o małżeństwie.

- Nie, nie było rozmów, ale były czyny.

- Czy zamierza pan zrobić to, o co proszę, czy też będę musiał prosić policję, aby panu towarzyszyła?

Starszy człowiek w milczeniu wpatrywał się w Warda, po czym stłumionym, złowieszczym głosem powiedział:

- To pan sprowadził kłopoty na tę dobrą i szanowaną rodzinę w chwili, gdy poślubił pan tę małą tancerkę.

Philip Patten i Carl zareagowali jednocześnie, rozkładając ramiona, aby cios Warda nie dosięgnął doktora, który z przerażeniem cofnął się do otwartych drzwi, ale mówił tak, żeby do Warda dotarły jego słowa. - Nie wiem, czy doczekam chwili, aby to zobaczyć, ale to, do czego mnie zmuszasz, z pewnością będzie miało wpływ na twoje życie, ponieważ rodzina, którą zniszczyłeś, w końcu zniszczy ciebie.

Część druga

Rozdział pierwszy

Carl obserwował Patsy idącą skrajem pastwiska. Szła w cieniu niewielkiej kępy drzew, gdzie marcowe słońce nie grzało dostatecznie mocno, aby stopić twardy lód nocnych przymrozków. Jej stopy zdawały się stąpać po srebrnej ścieżce. I chociaż w myślach widział taki właśnie obraz, odrzucił go, ponieważ zdawał sobie sprawę, że jej całe życie było dalekie od takich bajkowych scen.

Kiedy oświetliły ją promienie słońca, poczuł, że po raz pierwszy spojrzął na nią jak na młodą kobietę, piękną, młodą kobietę, która trzymała się prosto, z wysoko uniesioną głową, zachowując dumę mimo warunków, w jakich żyła.

Gdy podeszła do miejsca, w którym stał oparty o słupek, wzięła go za rękę i nie czekając na powitanie, powiedziała:

- Czy mógłby mi pan uprzejmie powiedzieć, panie Carlu, dlaczego nigdy nie wyjdzie mi pan na spotkanie?

- Z bardzo prostego powodu, panno Riley - odparł - ponieważ lubię patrzeć, jak pani nadchodzi. Kroczy pani dumnie, zupełnie inaczej niż na terenie farmy.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy z głębi duszy przyznała: - Tak, tak, to zupełnie coś innego niż wtedy, gdy biegnę lub pędzę na czyjś rozkaz.

Pomógł jej przejść przez słupek. - Nie zawsze tak będzie, Patsy - powiedział. - Uwierz mi.

- Nie? - zapytała. Po czym, opierając się o drewniane ogrodzenie, stwierdziła: - Mam już dwadzieścia pięć lat, Carl. Dzisiaj matka przypomniała mi o tym. Niedługo będzie już za późno na dzieci. Ona walnęła prosto z mostu. I ma rację, Carl. Chcę założyć rodzinę, ale najbardziej ze wszystkiego pragnę ciebie.

Objął ją i mocno przyciskając do siebie, powiedział: - Nie więcej niż ja ciebie, Patsy. Och, nie, nie więcej niż ja ciebie. Pragnę cię aż do bólu.

- Więc dlaczego po prostu do niego nie pójdziesz i nie powiesz mu. o tym? To takie proste. Masz domek, musiałabym się tylko przeprowadzić z mojego stryżku. Mój kochany. - Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego policzka. - Wiem, jak jest. To głupie z mojej strony mówić takie rzeczy. Na pozór to się wydaje takie proste. A tak naprawdę, to on traktuje cię jak syna, a mnie... Ja jestem po prostu Patsy Riley z Hollow. Och... wiem o tym.

- Dotknęła jego ust. - Wiem, że jest dla nas dobry, pozwolił tacie zająć miejsce Billy'ego, przyjął do pracy Roba. Och, wiem, że okazał nam wielką dobroć, ale dlatego właśnie wcale nie czuję się lepiej. Weźmy na przykład

tatusia, nieudolnego Irlandczyka, i Roba, który idzie dokładnie jego śladem. Pracują dobrze wtedy, gdy się ich pilnuje, zresztą tak jak wszyscy Irlandczycy, może z wyjątkiem mnie - uszczypnęła go w nos - bo mnie nie trzeba nadzorować. Ale poza tym są lojalni. I oczywiście - nieznacznie się od niego odsunęła, nie całkowicie jednak wymykając się z jego ramion - jest jeszcze panna... jest jeszcze panna Jessie.

- O mój Boże! Patsy, tyle razy już ci mówiłem, że traktuję ją jak siostrę. Mówiłem ci: nosiłem ją na rękach, kiedy była malutka, a poza tym jestem od niej dziesięć lat starszy. Dla mnie jest niemądrą dziewczynką.

- Ach, nie. - Patsy pokręciła głową. - Jessie nie jest niemądrą dziewczyną - powiedziała z błyskiem zrozumienia w oczach. - Kiedy po raz pierwszy tu przyszedłem, szesnaście lat temu, jasno mi powiedziała, do kogo należysz.

Gwałtownie ją odepchnął i stwierdził ze złością: - Do nikogo nie należę, ani do niej, ani do jej ojca. Ale mam wobec nich dług, przynajmniej wobec niego. Przygarnął mnie i zajął się mną, kiedy byłem umierający. Mógł mnie odesłać na farmę. Ale podjął ryzyko i pozwolił mi zostać. Był dla mnie dobry.

Patsy zamknęła oczy i powoli odwróciła się od niego. - To brzmi zupełnie jak bajka, Carl. Słyszałam ją już tak wiele razy, ciągle ją powtarzasz. Chciałabym cię o coś zapytać - powiedziała, odwracając się do niego. - Czy twój dług jest tak wielki, że zamierzasz go spłacić swoim życiem? Nie jesteś tutaj przywiązany, ja też nie. Choćby jutro moglibyśmy gdzieś wyjechać i znaleźć inną pracę.

- Gdzie? Gdzie? Powiedz.

Pochylając głowę na bok, kopnęła kępę sztywnej trawy. Ale znowu trzymał ją w ramionach i z błaganiem w oczach i głósie zapewniał: - Wierz mi, Patsy. Nikt inny się dla mnie nie liczy, tylko ty. Kiedyś takim uczuciem pan darzył swoją żonę, wtedy nie rozumiałem tego. Wydawało mi się, że to jakaś mania. Ona była cudowną istotą, ale jego uczucia były czymś więcej niż uwielbieniem. A teraz do pewnego stopnia rozumiałem, jak on się czuł, Patsy, ponieważ już na twój widok robi mi się gorąco i czuję takie podniecenie, że miałbym ochotę wszystko rzucić i zrobić tak, jak mówisz, wyjechać... uciec gdzieś, razem z tobą, stworzyć nasze własne życie, wolne od obowiązków i wrażeń, że jestem niewdzięczny. Dlatego, Patsy, proszę cię, żebyś jeszcze trochę poczekała. Czuję, że niedługo wszystko się jakoś wyjaśni, tak albo inaczej. Tak, z pewnością. Mam przekonanie, że wkrótce będę zmuszony postawić sprawę otwarcie. A wtedy wyjedziemy, jeśli nie będę mógł się z tobą ożenić. To wszystko.

Wpatrywała się w niego z rozczeniem, po czym spokojnie stwierdziła: - On nigdy nie pozwoli ci wyjechać, Carl. Poza uczuciem, którym cię darzy, zdaje sobie sprawę, że prowadzisz tę farmę. Od śmierci pani on tak naprawdę nie

zajmuje się gospodarstwem. Podejmuje decyzje, to fakt, ale tylko wtedy, gdy mu je przedstawisz.

O nie, nigdy nie pozwoli ci wyjechać.

- No cóż - kiwnął do niej głową - jeśli tak będzie mu zależało na mojej obecności, to pozwoli mi się ożenić z kim zechcę. Ale dosyć już o tym. Chodźmy!

Trzymając rękę na jej ramionach, poprowadził ją wąską ścieżyną, która ćwierć mili dalej łączyła się z dróżką dla koni. Zanim tam dotarli, przyciągnął ją do siebie i pocałował długo i namiętnie. Całym ciałem przytuliła się do niego i przez chwilę kołysali się we wspólnym rytmie, aż odsunęła się od niego. Ale kiedy ruszyli dalej, nie trzymała już głowy tak wysoko, teraz miała ją smętnie spuszczoną...

Tak zobaczył ich Ward, kiedy wjechał na ścieżkę prowadzącą przez pole. Siedząc na koniu już od pewnego czasu obserwował ich z pobliskiego wzgórza. Wiedział, że się lubili, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogłoby dojść do czegoś poważniejszego: z pewnością chłopak, ciągle tak w myślach nazywał Carla, miał dosyć rozumu. W końcu przez lata zaszczerpił mu chyba poczucie różnic klasowych, traktując go jak członka rodziny? No, nie, sam chyba nigdy nie zniżyłby się do poziomu tej bandy z Hollow. Oni wszyscy byli tylko najzwyczajniejszymi robotnikami. Już sam fakt, że ojciec Patsy był oborowym, a brat chłopakiem stajennym, wskazywał, gdzie było ich miejsce.

Jego Fanny zawsze utrzymywała, że chłopiec pochodził z dobrej rodziny. I rzeczywiście, dorastając udowodnił to, ponieważ jego sposób mówienia, manieri i inteligencja wykraczały daleko poza przeciętność. Stał się zagorzałym czytelnikiem książek, to jego ukochana Fanny rozwinęła w nim ten talent, który, jego zdaniem, powinien teraz być pomocny.

W każdym razie nie zamierzał pozwolić, żeby jakaś irlandzka dziewczyna z Hollow pokrzyżowała plany, które snuł już od jakiegoś czasu. Zawsze traktował Carla jak syna, więc miał prawo zdecydować, że jako jego syn teraz powinien zostać...

A co będzie, jeśli on wyjedzie? Jest wolnym człowiekiem.

Nie ośmieliłby się, zbyt wiele mu zawdzięcza, żeby po prostu odejść.

Ale pytanie natrętnie powracało: co będzie, jeśli Carl podejmie taką decyzję? Kto mógłby zająć jego miejsce? Uświadomił sobie w tym momencie, że już dawno przekazał chłopakowi prowadzenie farmy. Osiem lat temu? Czy to już osiem lat minęło, od kiedy stracił swoją ukochaną? Co on robił przez te wszystkie lata? Zamrugał oczami, powracając do przeszłości. Zdawało mu się, że przez cały ten czas reperował zawałone płoty i pilnował dziewczynek. Zawoził je

do szkoły i przywoził z powrotem. Nikomu nie ufał w tej sprawie. Kiedy Jessie wyjeżdżała, Angela zawsze jej towarzyszyła, ponieważ tłumaczył sobie, że nie może być w dwóch miejscach na raz. A teraz mogły opuszczać farmę tylko w soboty, kiedy woził je do miasta. Carl zawsze im towarzyszył, przy okazji nadzorując dostawę towarów do hurtownika. Czasami pozwalał, aby Patsy jechała razem z nimi. Ale nie w ciągu ostatniego roku.

Jego córki nigdy nie były w Newcastle. Nigdy nie widziały przedstawienia, czy jakichś występów, nie wiedziały, że coś takiego w ogóle istnieje. A co więcej, nie pozwolił im tańczyć.

Któregoś dnia zobaczył, jak trzymając się za ręce ćwiczyły kroki, które pokazała im matka. Być może, w porównaniu z ruchami żony, wydały mu się niezręczne. Tak, ale dotyczyło to jedynie Jessie, ponieważ Angela tak bardzo przypominała matkę, że czasami jej widok sprawiał mu ból, gdy starał się przywołać w pamięci swą ukochaną Fanny.

Dał znak koniowi, aby ruszył w dół wzgórza. Zanim dojechał na podwórze farmy, dawno już nie było śladu po Carlu i Patsy, ale od strony frontowych drzwi zbliżał się Frank Noble w towarzystwie Jessie i Angeli. Wikary powitał go uśmiechem, wołając: - Cieszę się, że cię złapałem. Wpadłem, żeby ci powiedzieć, że szukam publiczności na jutrzejszy pokaz: wieczorem będzie naprawdę znakomite przedstawienie. Przyjaciel z Newcastle przywiózł mi dwa tuziny... słuchaj uważnie, dwa tuziny nowych przezroczy. Razem z tymi, które już mam, pokaz może potrwać półtorej godziny, albo nawet dłużej. - Spojrzał na obydwie dziewczyny i powiedział: - Myślę, że wy nie będzie musiały płacić za wstęp, prawda?

- Obiecuję, że zapłacę resztkami ostatniego ciasta Annie - ze śmiechem odparła Jessie. Po czym wychyliła się ponad ramię wikarego, aby spojrzeć na Angelę, która teraz stała z jego drugiej strony, i zapytała: - A ty, czym zapłacisz?

- Żołędziami.

- Czy ty to słyszysz? - Frank Noble zwrócił się do Warda.

- Moim zdaniem tego już za wiele - stwierdził Ward, zsiadając z konia.

- Możemy jechać, tatusiu? - Angela trzymała go teraz pod ramię.

- Nie widzę przeszkód - odezwał się, patrząc na Franka Noble'a - chociaż pokazy tego człowieka są doprawdy szalone i dziwię się, że chcecie marnować czas.

- Tak to już jest na tym świecie - Frank z powagą pokiwał głową, zwracając się do Jessie - niewdzięczność. Niewdzięczność. Tak do niej przywykłem, że już nie robi na mnie żadnego wrażenia. Mogę mieć tylko nadzieję, że dobry Bóg będzie o mnie pamiętał.

- Jadłeś coś?

- Oczywiście. Dostałem dwie porcje upieczonej przez Annie tarty z melasą, kawałek ciasta z porzeczkami, posmarowanego grubą warstwą masła i trzy filiżanki herbaty z prawdziwą śmietanką. Prawdę mówiąc, to był główny powód mojej wizyty.

- Och, o tym to ja już od dawna wiedziałem - przyznał Ward. - A propos, czy Annie dała ci coś dla dzieciaków?

- Proponowała, ale ja podziękowałem.

- Nie masz prawa.

- Właśnie, że mam. Nie pozwolę na psucie moich dzieci. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżają, wracają do domu obładowani, a jeśli wiedzą, że ja u was byłem, spodziewają się, że przywiozę pełne kieszenie smakołyków. Muszę z tym skończyć. Ale mówiąc poważnie, Wardzie, muszą być jakieś granice przyjmowania prezentów i obdarowywania. No, a teraz - zmienił ton - po tym krótkim kazaniu muszę już jechać, ale mam nadzieję zobaczyć te młode damy jutro wieczorem.

- Och, tak, z przyjemnością przyjedziemy.

- Jadę teraz do Forest Hall, może uda mi się namówić lady Lydię, żeby przyszła, albo przynajmniej poprosić młodego panicza, aby ją namówił. Jest moim wielkim sprzymierzeńcem ten pan Gerald... No, to do zobaczenia jutro wieczorem.

- Chyba nie przyszedłeś na piechotę? - zaniepokoił się Ward, rozglądając się po podwórku. - Gdzie zostawiłeś konia?

- Trochę kuleje. A poza tym jest niedziela i musi odpocząć, a mnie spacer dobrze robi.

Ward pokręcił głową, po czym stojąc obok córek i obserwując jak schorowany wikary wychodzi za bramę, zastanawiał się, ile czasu mu jeszcze zostało. Poczul ukłucie zazdrości, że z całej postaci jego wypróbowanego przyjaciela bije taka pogoda ducha...

Dziewczęta przeszły do salonu. Angela z podwiniętymi pod siebie nogami przycupnęła w rogu kanapy. Z błyszczącymi prostymi czarnymi włosami zebranymi w dwa grube warkocze podkreślające jej alabastrową cerę, wyglądała jak duża lalka. Z wyjątkiem przejrzystych szarych oczu, zamiast ciemnych, była idealną kopią matki.

Jessie za pomocą wielkich szczypiec dokładała węgla do kominka. - Zastanawiam się, czy lord wyrósł już z okresu maślanych oczu - odezwała się Angela. - Nie widziałyśmy go już ponad rok.

- Nie bądź głupia - Jessie otrzepała ręce z kurzu, wyciągniętą z kieszeni chusteczką oczyściła sobie palce, po czym sięgnęła po leżący na stoliku tamborek. Usiadłszy z drugiej strony kanapy, stwierdziła: - To niemądre określenie... maślane oczy.

- Nie bardziej niemądre niż twoje „Nie bądź głupia”. Zawsze mi to mówisz, Jessie: „Nie bądź głupia”. - Po czym, opierając głowę na poduszce, ciągnęła: - A może ja jestem głupia, bo myślę o dziwnych rzeczach, wymyślam różne bajki, wyobrażam sobie rzeczy, które nigdy nie mogłyby się zdarzyć i takie bardziej prawdopodobne, przerażające. Myślisz o takich strasznych wydarzeniach, Jessie?

Przez chwilę panowała cisza, a potem Jessie odpowiedziała spokojnie: - Tak, czasami. Przeważnie mam takie sny.

- O czym?

- Och, nie mogę ci powiedzieć. - Jessie wbiła igłę w robótkę i przeciągnęła ją na drugą stronę. - Sny nigdy nie mają związku z rzeczywistością, są odrażające, fantastyczne, zupełnie nieprawdopodobne. - Powoli odłożyła tamborek na kolana i zapatrzyła się w ogień. Ocknęła się dopiero słysząc głos siostry.

- Czy nie sądzisz, Jessie, że prowadzimy tutaj pustelnicze życie? Czasami mam wrażenie, że ściany domu i płoty farmy odgradzają nas jak kraty.

Jessie wpatrywała się w nią z otwartymi ustami. Nie byłaby bardziej zdziwiona, gdyby siostra przeklinała. W końcu dopiero niedawno skończyła piętnaście lat i jej zdaniem była trzpiotką. A teraz miała śmiałość wyrazić słowami to, czym ona sama dręczyła się już od jakiegoś czasu.

- Nie sądzisz, że tatuś jest w stosunku do nas zbyt opiekuńczy? Myślisz, że tatuś obawia się, że ta kobieta ucieknie z domu wariatów i zrobi nam jakąś krzywdę?

Angela odwróciła głowę i zobaczyła zdziwienie malujące się na twarzy siostry. - Nigdzie nigdy nie chodzimy - ciągnęła. - Pamiętasz koleżanki ze szkoły? Nigdy ich tutaj nie zapraszałyśmy. A pamiętasz Bellę Scott? Opowiadała nam o tym, jak w czasie świąt Bożego Narodzenia zawsze wybiera się z rodziną na pantomimę, a raz była w teatrze w Newcastle i widziała znaną aktorkę. Pamiętasz...? My nigdy nigdzie nie chodzimy, zgadzasz się ze mną, Jessie? Tylko na pokazy magicznej latarni naszego drogiego wielebnego Franka Noble'a.

Kiedy zamilkła, obie wpatrywały się w siebie w milczeniu. - Czasami czuję się taka zagubiona, Jessie... taka samotna - wyszeptała z drzeniem w głosie. - I chcę robić rzeczy, których mi nie wolno, na przykład tańczyć. O tak, chcę tańczyć. Pamiętasz, jak mamusia pięknie tańczyła? Czasami wydaje mi się, że jestem nią: tańczę w moich snach. Och, Jessie.

Jessie gwałtownie przesunęła się na kanapie i zamknęła siostrę w ramionach, tak jak matka. - No, cicho, cicho - powiedziała, gładząc Angelę po głowie. - Nie płacz, kochanie. Wiem, o co ci chodzi. Rozumiem cię. Musimy porozmawiać z tatusiem, a przynajmniej ja to zrobię. Zapytam go, czy mógłby zawieźć nas do miasta, a w sklepie kupić trochę rzeczy. Pani Ranshaw nie ma pojęcia o modnych sukienkach. Z daleka widać, że wszystkie nasze ubrania były szyte w domu. Tak, tak, muszę z nim porozmawiać.

Angela podniosła głowę. Po jej policzkach płynęły strumienie łez. - Och, żeby tylko ci się to udało, Jessie - powiedziała. - A jeżeli on się nie zgodzi, to trudno, bo teraz już mnie rozumiesz.

- Tak, tak, moja kochana, rozumiem. - A kiedy ponownie objęła siostrę i przytuliła ją, poczuła jakieś dziwne szczęście, zmacone dopiero szeptem Angeli.

- Czuję się taka winna, Jessie, ponieważ chcę stąd wyjechać. Marzę o... kimś, kto tutaj przyjedzie - ściszyła głos - i zabierze mnie do wspaniałego życia... zupełnie innego.

* * *

Około dziesiątej następnego ranka Ward wkroczył do kuchni i patrząc na córkę wałkującą ciasto na posypanej mąką stolnicy, odezwał się: - Zostaw to i powiedz Carlowi, że chcę zamienić z nim kilka słów w moim gabinecie. Pewnie znajdziesz go na drugim padoku.

Jessie przerwała na chwilę, żeby nad stołem spojrzeć na Annie obierającą właśnie ostatnie zeszłoroczne jabłka. - Zostaw to, robota nie ucieknie - odezwała się Annie, widząc jej wahanie.

Jessie nie wyszła z kuchni, zanim w drewnianym zlewie nie umyła rąk. Wycierając je i spoglądając w okno, usłyszała ostry głos Warda: - Nie musisz się tak stroić idąc na pole, Jessie, a ja nie mam czasu do stracenia.

Kiedy dziewczyna zniknęła, a Ward kierował się do frontowych drzwi, Annie zauważyła: - Ona ma lekką rękę do ciasta, ta nasza panna Jessie.

Odwrócił się i spoglądając na nią zapytał: - Słucham?

- Mówiłam, że ma lekką rękę do ciasta. Będzie dobrą gospodynią.

Stojąc w drugim kącie pomieszczenia, Ward wpatrywał się w nią, po czym wypadł, gwałtownie zamykając za sobą drzwi. A Annie, ciągle obierając jabłka bez przerywania ich spiralnej skórki, mruknęła: - Kiedyś ją doceni. Ale wtedy może być za późno. Nie można trzymać ptaszka w klatce, jeżeli brama stoi otworem.

W tym czasie Jessie dotarła na drugie pastwisko, gdzie Mick Riley i Rob w towarzystwie Carla łatali kamienny mur odgradzający ścieżkę od tej strony ich ziemi.

Mick i jego syn powitali ją z typową dla Irlandczyków przesadną galanterią: - Witamy, panno Jessie. - Resztę konwersacji Rob pozostawił ojcu, który ciągnął: - Wspaniały dzień, panienko. Czy słyszy pani dźwięki Nadchodzi wiosna - Jessie jedynie uśmiechnęła się w odpowiedzi, po czym zwróciła się do Carla, który właśnie zapytał: - Jestem potrzebny, panno Jessie?

Jessie spojrzała na niego. Jego jasne włosy wyglądały jak posrebrzane, twarz, jak zwykle w jej oczach, była piękna, a smukła sylwetka wywoływała zamęt w myślach. Najchętniej powiedziała by po prostu: Tak, Carl. Potrzebuję ciebie. Zawsze cię potrzebuję, ale ty mnie nie chcesz. Ty pragniesz córki tego prostaka, prawda? Chciałabym nienawidzić Patsy tak jak kiedyś, ale ona mi na to nie pozwala. Rozumie mnie lepiej niż ktokolwiek inny i na swój sposób jest dla mnie miła. To właśnie ona przytuliła mnie po śmierci mamusi, nie Annie, i nie tatuś. Jest jedyną osobą, która okazuje mi tyle ciepła. On świata nie widzi poza Angellą. A i tak jego miłość jej nie satysfakcjonuje. Najchętniej już jutro by wyfrnęła i zapomniała o nim, gdyby tylko przybył jej wyśniony książę, podczas gdy ja, ta nigdy nie kochana, nie mogłabym o nim zapomnieć.

- Czy coś się stało, panno Jessie? - zapytał Carl.

- Słucham?... Nie. Przepraszam. - Roześmiała się krótko. - Zamyśliłam się przez chwilę. Jak to Mike zauważył, mamy dzisiaj piękny wiosenny dzień.... Ojciec chciałby spotkać się z tobą w swoim gabinecie.

- Teraz?

- Na to wygląda - wzruszyła ramionami. - Wysłał mnie po ciebie.

Spoglądając na Mike'a, Carl rzucił: - Zaraz wracam - dając mu do zrozumienia: Lepiej się nie objaj, żadnego podpierania muru i palenia fajki...

Szli przez pole ramię przy ramieniu, kiedy Jessie zapytała: - Wybierasz się na pokaz magicznej latarni dzisiaj wieczorem?

Roześmiał się w odpowiedzi. - Nie, nie sądzę. W gruncie rzeczy widziałem to już tyle razy, że sam mógłbym zorganizować takie przedstawienie, nawet bez przezroczy.

- Ale wikary mówił nam, że ma tuzin nowych przezroczy.

- O, widzę, że jest się nad czym zastanowić. On jest zawsze taki wdzięczny, jeśli ktoś się tam zjawia. Wtedy widzi sens swoich wysiłków. To wspaniały człowiek.

- Tak, tak - pokiwała głową - jest wspaniałym człowiekiem. Szkoda tylko, że tak podupadł na zdrowiu. Wydaje mi się, że gdyby tylko wyjechał gdzieś z Hollow, zaraz by mu się polepszyło. To takie wilgotne miejsce.

- Tak, masz rację. Ale ci ludzie to jego trzódka, chociaż połowa z nich - powstrzymał się, by nie powiedzieć: „to Irlandczycy” - nie przekroczyła nigdy

progu kościoła, a on i tak traktuje wszystkich jednakowo. Mieliby jeszcze gorzej, gdyby jego tam zabrakło.

- Przecież tatuś jest dla nich taki dobry. - Starła się, aby jej głos zabrzmiał przekonująco, a on potwierdził szybko.

- Tak. Tak, oczywiście. Nikt nie jest dla nich lepszy. Te kartofle, rzepa i różne resztki, i połowa świni dla Mike'a na Boże Narodzenie. Tak, masz rację. - Ale znowu musiał się powstrzymać, aby nie dodać: Łatwo dawać, kiedy ma się tak dużo. Znacznie trudniej będąc w sytuacji pastora Noble'a, który jest dokładnie taki, jak sugeruje to jego nazwisko i mając tak mało zawsze wielkodusznie dzieli się z innymi. Zamiast tego powiedział: - Mówisz, że ojciec jest w swoim gabinecie?

- Tak. Tak, ojciec jest w gabinecie.

Zostawiła go, kiedy dotarli na podwórze, aby sam mógł wejść do kuchni, gdzie spoglądając na Annie stwierdził: - Zostałem wezwany do gabinetu. Co się dzieje? Wiesz coś o tym?

- A niby dlaczego mnie o to pytasz? Skąd mam wiedzieć, co się kołacze po głowie naszego pana?

Uśmiechnął się i delikatnie szturchnął ją w ramię.

- I tak wiesz więcej niż inni, Annie.

- Masz czyste buty?

Spojrzał w dół i stwierdził: - Tak, tak, czyste, ziemia jest twarda jak kamień.

Chwilę później pukał do gabinetu. Słyszając: - Proszę! - wszedł do środka. Pokój był mały, zastawiony półkami z książkami, a jego jedyne wyposażenie stanowiło biurko i dwa krzesła, jedno zajęte przez Warda, a drugie ustawione pod oknem.

- Postaw je tutaj, chcę z tobą porozmawiać - powiedział Ward.

Siedzieli chwilę, patrząc sobie w oczy, po czym Ward, zmierzwiwszy swoje siwiejące włosy, odezwał się: - Zaprosiłem cię tutaj, ponieważ muszę porozmawiać z tobą prywatnie. To chyba jedyna taka okazja przez te wszystkie lata. Ile ty masz teraz lat?

- Och... Och. Pamięta pan zapewne, że kiedy tu się zjawiłem, nie byłem pewny, czy mam dziewięć, czy dziesięć lat. Wygląda na to, że teraz mam dwadzieścia siedem. - A znając swoją pozycję w tym domu, spokojnie dodał: - Nie sądzę, żeby musiał pan o to pytać.

- Z pewnością nie muszę. Ale chciałem ci uświadomić, że masz dwadzieścia siedem lat, nie jesteś już młodzikim, jesteś młodym, w pełni dojrzałym mężczyzną. Więc pytam cię teraz, czy myślałeś kiedyś o swojej przyszłości?

- O tak. Wiele razy.

- Zastanawiałeś się, że kiedyś mógłbyś mieć ten dom i farmę?

Carl poruszył się nieznacznie, a jego buty zaskrzypiały na wyfroterowanej podłodze. - Nie. Nie, nigdy - odparł z przekonaniem.

- No, no. Zdziwiasz mnie, ponieważ każdy postronny obserwator, bystry obserwator, powiedziałby, że samodzielnie prowadzisz to gospodarstwo już od wielu lat.

- Och, nie... nie.

Carl przecząco kręcił głową, ale Ward kontynuował: - Ależ tak. Nie lubię fałszywej skromności, wiesz doskonale, że od śmierci mojej - musiał pokonać dławienie w gardle - żony, zajmowałeś się tutaj dosłownie wszystkim. Mnie to już przestało interesować. Skoncentrowałem się na tym, aby zapewnić opiekę moim córkom i... i sobie samemu także. Mam we wsi wrogów, zagorzałych wrogów. Doskonale zdaję sobie z tego sprawę i dlatego złożyłem na twoje barki wszystkie sprawy farmy. Udało ci się nie tylko zwiększyć zbiory, ale również większość sprzedać. Ja zbierałem profity, płaciłem rachunki i tygodniówki, i w pewnym sensie nadal jestem gospodarzem, ale nie prowadzę już mojej farmy. Ty to robisz. Więc co byś powiedział, gdybym zrobił cię moim dziedzicem? Ale zaczekaj! - Uniósł dłoń w górę. - Pod pewnym warunkiem. Od pewnego czasu głęboko się nad tym zastanawiałem. Teraz zamierzam zadać ci pytanie wprost: czy lubisz Jessie?

Carl na kilka sekund zamarł w bezruchu. Zamknął. oczy i przygryzł dolną wargę, zanim się odezwał: - Tak, tak, panie. Lubię Jessie. Poza Annie i panem, pierwszy trzymałem ją w ramionach. Ona jest jak...

- Nie... nie mów, że jest dla ciebie jak siostra, ponieważ ona nie jest twoją siostrą, a poza tym ona nigdy tak tego nie odbierała. Bardzo cię lubi.

Carl zaczerpnął powietrza i powiedział: - Tak... tak, wiem, panie, ja też ją lubię...

- Ale chcesz mi powiedzieć, że sympatia to nie miłość, a ty jej nie kochasz.

- Tak, właśnie o to chodzi, panie.

- Pozwól mi zauważyć, że po ślubie sympatia często przeradza się w miłość, w trwałe uczucie. Małżeństwo to coś więcej niż spalająca cię namiętność.

W tym momencie Ward oparł się o poręcz krzesła i zamknął. oczy. Co miał powiedzieć? Małżeństwo to coś więcej niż spalająca namiętność. Czy on sam nie został strawiony przez takie płomienie? Czy nadal nie tlił się w nim żar namiętności? Przecież przez ostatnie lata był zaprzątnięty nie tylko zapewnianiem bezpieczeństwa swoim córkom, ale drażył go ciągły ból po stracie żony, bo jego miłość przybrała postać obsesji, nie było w niej za grosz rozsądku i

logiki. A teraz mówił temu młodemu człowiekowi, którego traktował jak syna, że miłość wyrasta z sympatii.

Jednak zdziwił się, słysząc Carla: - Obawiam się, że nie mogę się z panem zgodzić, sir. A teraz, ponieważ rozmawiamy szczerze, chcę panu powiedzieć, że kocham kogoś innego i zapewne pan wie, o kogo mi chodzi. Często wydawało mi się, sir, że darzę ją podobnym uczuciem, jak pan swoją drogą żonę...

- Nie mów tak! Nie mów jednym tchem o Patsy Riley i mojej żonie, czy moich uczuciach do niej. Kim ona jest? Trudno ją nawet nazwać dziewczyną ze wsi, wywodzi się z Hollow, gdzie nawet świnie są bardziej czyste niż ich właściciele. I nie mów mi, że ona jest inna, bo pochodzenie zawsze wychodzi z człowieka. Spójrz tylko na jej ojca i brata. Chcesz się bratać z takimi ludźmi? Albo ożenisz się z Jessie, albo nie ma tu dla ciebie miejsca.

Carl podniósł się z miejsca i popatrzył z góry na człowieka, którego kochał jak ojca. Z bólem serca odezwał się: - Zrobiłbym dla pana wszystko, sir, ponieważ mam wielki dług wdzięczności, ale gdybym przystał na pana propozycję, unieszczęśliwiłbym dwoje, albo nawet troje ludzi, ponieważ nie kocham panny Jessie tak, jak mężczyzna może kochać kobietę, i ona cierpiałaby z tego powodu. Kobieta, którą darzę uczuciem, również miałaby złamane serce. To prawda, ona pochodzi z Hollow, ale jest inteligentna i dobra. Pan, sir, nie zamienił z nią więcej niż kilka słów, odkąd u nas pracuje. Coś panu powiem: pańska żona ją ceniła, pożyczała jej książki, prowadziła z nią długie rozmowy, kiedy pan tego nie widział, żeby pana nie denerwować. Ona wiedziała, że tej małej irlandzkiej dziewczynce, która zastukała do pańskich drzwi pokazując, że umyła w rzece ręce i włosy, należało się lepsze traktowanie niż zwykłej świniarce czy mleczarce.

Pogrążeni w głębokim smutku patrzyli na siebie.

- Czy życzy pan sobie, abym wyjechał od razu, sir? - zapytał Carl cofając się.

Obydwaj zauważyli, że nie zwracał się już do Warda „panie”. - Możesz przepracować ten miesiąc - powiedział Ward, odwracając wzrok.

Kiedy Carl przechodził przez kuchnię, Annie odwróciła się na swoim krześle i spoglądając na niego zapytała:

- O co chodzi, chłopcze? Coś się stało?

- Tak, Annie. Można powiedzieć, że coś złego. Ja... niedługo z tobą porozmawiam. - Wybiegł na podwórko i stał oszołomiony, aż ujrzał Patsy wychodzącą ze stodoły.

Podbiegł do niej i biorąc ją pod ramię zaprowadził z powrotem do stodoły, gdzie w kącie leżały snopki słomy, a promienie słońca przenikające przez stare wypaczone dębowe deszczułki oświetlały ich, gdy stali wpatrując się w siebie.

Patsy nie zapytała go: „Co się stało?”, ponieważ, patrząc na jego twarz wywnioskowała, że musiało stać się coś bardzo ważnego. A kiedy oparł się o drewnianą belkę i wyszeptał: - Jesteśmy wolni - podskoczyła do niego i kładąc mu ręce na ramiona, gwałtownie zapytała: - Powiedziałeś mi? I zgodził się? Och, Carl, Carl!

Pochylił głowę na wysokość jej twarzy i spokojnie stwierdził: - Nie, nie zgodził się, ale coś mi zaproponował: zaoferował mi dom, jeżeli ożenię się z Jessie.

- Nie. - Jej głos zniżył się do szeptu. Tak po prostu ci to zaoferował?

- Tak, kochanie, tak po prostu. Ale powiedziałem mu, że nie mogę unieszczęśliwić jej i siebie, ponieważ kocham ciebie.

Kiedy przytuliła się do niego i położyła mu głowę na ramieniu, objął ją delikatnie i przyznał: - To było straszne, Patsy, naprawdę straszne. I chociaż tak wiele mu zawdzięczam, uważam, że ta cena jest zbyt wysoka.

- To moja wina.

- Nie, to nie twoja wina, to niczyja wina - wyszeptał ledwo słyszalnym głosem. - No, a teraz mamy miesiąc na znalezienie sobie jakiegoś miejsca. I nareszcie będziemy razem, nie ukrywając się. To jest najważniejsze, bo wiele czasu już upłynęło - uniósł jej twarz - za dużo. Wiesz, to dziwne, bo właśnie dzisiaj rano pomyślałem, że to już za długo się ciągnie. Teraz będziemy w takiej sytuacji jak Jimmy Conway i Susan Beaker. Mówi się we wsi, że chodzili ze sobą, odkąd on skończył dziewiętnaście lat, a ona osiemnaście, ale on musiał mieszkać ze swoim ojcem aż do jego śmierci, a ona pozostała z matką do jej ostatnich dni. Dopiero teraz są razem: ona ma trzydzieści sześć lat, a on trzydzieści osiem. Mają za sobą prawie dwadzieścia lat zalotów. Widziałem pewne podobieństwa do naszej sytuacji, bo my też znamy się prawie szesnaście lat. A w ogóle to właśnie dzisiaj biorą ślub. Dlatego takie porównanie przyszło mi na myśl.

Odwróciła się od niego i wzięwszy go za rękę powiedziała: - To dziwne, że o nich wspomniałeś, bo ja dzisiaj rano też o nich pomyślałam. Pewnie dlatego, że mama wspomniała, że dzisiaj we wsi odbędzie się huczna zabawa, a wszystkie gospody będą miały komplet gości. Tatuś wspominał, że goście napiją się za darmo, bo interes rzeźnika kwitnie, a on należy do najbliższych przyjaciół, więc Jimmy będzie miał pełne ręce roboty. Zresztą tak samo jak Beakerowie. To dziwne, że nie pomyślałam o ich weselu. Zastanawiałam się tylko, czy my też będziemy musieli czekać dwadzieścia lat.

Odwrócili się do siebie.

Pochylił się nad nią i wargami dotknął jej włosów. - Jeśli o mnie chodzi, to wątpię - powiedział. I mocno trzymając ją teraz w objęciach, dodał: - Możemy to zrobić, kiedy tylko zechcesz.

- Och, Carl, tak szybko, jak ty tego pragniesz.

Po delikatnym, czułym pocałunku odsunęli się od siebie i ramię przy ramieniu poszli przez podwórze.

A z drugiej strony stodoły Jessie, oparta o deski, z zaciśniętymi ustami, aby się nie rozplakać, trwała w bezruchu. Nie zamierzała podsłuchiwać. Przechodziła tamtędy idąc w stronę kurnika, aby zebrać jajka, kiedy usłyszała ich głosy i zerknęła przez szparę w deskach. I w ten sposób usłyszała i zobaczyła prawie wszystko.

Och, tatusiu! Tatusiu! - powtarzała w myślach. - Dlaczego to zrobiłeś? To mogłam znieść. Ale nie jego wyjazd. Potrafiłabym zmienić swoje uczucia w... miłość do ukochanego brata. Tak. Tak. Mogłabym, bo nie jestem głupia, nigdy nie byłam, dorosłam dzięki uczuciom, jakie żywię w stosunku do was dwóch, do niego i do ciebie. Ale wkrótce tylko ty mi zostaniesz, a ty nie zauważasz, że w ogóle istnieję.

Rozdział drugi

Mamo, posłuchaj! Obiecałaś. I sama wiesz, jaki to zaszczyt dla starego Noble'a, jeśli się tam pojawiasz. Zawsze powtarzasz, że ten człowiek jest świętym i trzeba mu pomagać.

- Tak, wiem, Geraldzie, ale obiecywałam przed powrotem twojego ojca, który zjawił się godzinę temu i powiedział, że Percy i Catherine wybierają się do nas, więc w takiej sytuacji nie mogę wyjść z domu. Zamierzają przyjechać z Alice i Neli, więc ty również powinieneś zostać - stwierdziła, grożąc mu teraz palcem. - Powinieneś mnie wspierać.

- Mamo, wiesz, że już sam widok Neli napawa mnie przerażeniem. Nie zdziwiłbym się, gdyby któregoś dnia wjechała konno do salonu. Zalatuje od niej stajnię.

Lady Lydia zachichotała jak młoda dziewczyna, po czym, zakrywając usta dłonią, stwierdziła: - Przyznaję, że trochę śmierdzi końmi, ale Alice jest miła i zupełnie inna.

- Niespecjalnie inna, mammo. Chyba jednak nie spędzę tego wieczoru z kapitanem i panią Hopkins oraz ich dwiema możliwymi córkami.

- Twój ojciec będzie niezadowolony.

- Nic na to nie poradzę, mammo. Dopiszę jedynie kolejny występki na mojej czarnej liście.

- Nie zmieniłeś zdania, kochanie?

- Nie, mammo, ciągle o tym myślę. I zawsze tak będzie.

- Nie mam nic przeciwko literaturze, mój drogi. Wiesz, jak sama lubię czytać. Ale moim zdaniem będzie ci niezwykle trudno utrzymać się z pisania wierszy. I jeszcze coś, kochanie. Doprawdy nie mogę zrozumieć, dlaczego jesteś przeciwny wstąpieniu do wojska. Wiesz przecież, że musiałeś odziedziczyć geny obydwu stron. Pamiętasz, że moi przodkowie, wiele pokoleń wstecz, byli związani z wojaczką. Twój ojciec, kochanie, wpada we wściekłość słysząc Percy Hopkinsa perorującego o swoich chłopcach walczących na wojnie burskiej i o tych, którzy wkrótce popłyną do Indii. Nie czujesz żadnych wyrzutów sumienia? To znaczy... może nie wyrzutów sumienia, ale... Och, nie wiem, jak to powiedzieć.

- Myślę, mammo, że wina byłaby tu odpowiednim słowem. Nie, nie czuję się winny, że nie zamierzam strzelać do kogoś, kogo wcześniej w życiu nie widziałem. I postawmy, mammo, sprawę jasno: to są ludzie walczący o swoje życie i o życie swoich rodzin. - Pochylił się nad siedzącą na kanapie matką i szepnął jej do ucha: - Zostałem zamieniony przez wróżkę i czasami mam wrażenie, że maczałaś w tym palce. Przyznaj się, tak między nami, czy w

czasach swojej młodości nie zakochałaś się w kimś podobnym do mnie, w jakimś człowieku pióra? Na przykład profesorze literatury klasycznej? - drażnił się z nią.

- Och, jesteś niemożliwy. - Delikatnie klepnęła go po policzku i ze śmiechem odepchnęła od siebie, mówiąc: - Nie, nie zakochałam się. Ale podsunąłeś mi pewną myśl. Teraz już wiem, w kogo się wdałeś. W rodzinie twego ojca był swego czasu pewien dziwak, który odżywiał się tylko korzonkami i przez ostatnie dwadzieścia lat swego życia mieszkał gdzieś w najstarszym skrzydle Hall i nigdy już nie opuścił tego miejsca. Kompletnie odizolował się od świata. - Roześmiała się w głos i dodała: - Ten to dopiero musiał śmierdieć. W porównaniu z nim Neli pachnie fiołkami. No, ale z pewnością nie tracił czasu, to trzeba mu przyznać. Zdaje się, że tłumaczył coś z klasycznej greki, ale nikt dokładnie nie wie co. Myślę, że następne pokolenie po prostu chciało o nim zapomnieć.

- Gdzie o tym słyszałaś, mammo?

- Nie słyszałam. Przeczytałam, kiedy jakiś czas temu przeglądałam książki w bibliotece. Trafiłam na rodzaj pamiętnika, w którym opisano tę historię, ale kiedy zapytałam twojego ojca o szczegóły, zbył mnie słowami: „A, ten”.

- Mammo, mogę cię zapewnić, że istnieje pewna szansa na to, że pójde śladem tego staruszka i przez następne czterdzieści, pięćdziesiąt, czy sześćdziesiąt lat będę tłumaczył z łaciny lub greki, ale obiecuję, że nigdy nie będę śmierdział. A propos, powiedziałaś, że jadł tylko korzonki. To może oznaczać warzywa. Dziwne, nie sądzisz? Ponieważ ja też specjalnie nie przepadam za mięsem. Muszę poszukać jakichś dodatkowych informacji na jego temat. No, ale wróćmy do sedna sprawy. Nie chcesz iść na pokaz?

- Rozmawialiśmy już o tym, kochanie. Nie mogę tam iść. W przeciwieństwie do ciebie, ja muszę żyć z twoim ojcem, nie mogę tak jak ty wyjechać do Oksfordu, Londynu czy jakiegoś innego uroczego miejsca. A dokąd cię ciągnie na resztę wakacji?

- Roger Newton zaprosił mnie do Shropshire.

- Doskonale. Będę za tobą tęskniła. Jak zwykle. Opadł na kanapę obok niej i otaczając ją ramieniem powiedział: - Nie muszę jechać do Rogera, zresztą wybierałem się tam na bardzo krótko. Urządzają jakiś bal myśliwski, a wiesz, jak ja lubię polowania i strzelanie.

- Więc dlaczego się z nim przyjaźnisz, jeśli on właśnie to uwielbia?

- Po prostu dlatego, że miewamy podobne poglądy. Na szczęście on nie musi iść do wojska, bo ma jakichś krewnych w urzędach... Och, spójrz, która godzina!

- Wskazał na poślaczony zegar stojący na kominku.

- Muszę już iść.

Pochylił się i pocałował matkę w policzek, po czym żartobliwie powiedział: - Przekaż dziewczętom moje najserdeczniejsze pozdrowienia. Bawcie się dobrze.

- Jedziesz konno? - zapytała ze śmiechem.

- Nie, pójdę na piechotę. Przy pełni wieczór jest taki piękny.

Patrzyła, jak wychodzi z pokoju. - Pamiętaj, że twój ojciec będzie miał ci coś do powiedzenia - zatrzymała go przy samych drzwiach.

- Tak. Myślę, że masz rację, moja droga - rzucił przez ramię. Po czym wyszedł, a ona z westchnieniem opadła na poduszki kanapy. Jest takim cudownym chłopcem. Nie, już nie chłopcem, młodym mężczyzną. Ale tak by chciała, tak by chciała, żeby nie denerwował swego ojca.

* * *

Pokaz magicznej latarni już się skończył, a stojący przy drzwiach Frank Noble zegnał dzieci z Hollow. Wręczając każdemu kostkę cukru, zamieniał z nimi kilka słów, a one zapewniały go, że właśnie zobaczyły najcudowniejsze widowisko.

Dzisiejszego wieczoru widownia wyjątkowo nie dopisała. Zazwyczaj zbierało się około dwudziestu osób, a tym razem z okolicznych farm przyszły jedynie cztery, nie licząc dzieciaków z Hollow. W Farmer Green's odbywała się herbatka z okazji ślubu, właśnie teraz goście tańczyli, a jeśli dołączą do nich właściciele gospody, to zabawa z pewnością potrwa do rana. Jutro, jak to ujęła Jane, kilka głów będzie pękać z bólu, nie wspominając o innych przyjemnościach, jeśli ona w ogóle wie, jak wyglądają wesela w stodole.

Skierował się w stronę swoich ostatnich trojga gości. Jego młody przyjaciel Gerald porządkował przezrocza, a Jessie i Angela przecierały załzawione oczy. - Och, tak mi przykro - odezwał się do nich - ten piecyk na koks strasznie dymi. - Zakasłał i dokończył: - Mnie też dusi, ale bez tego nie miałbym żadnej publiczności, prawda?

- Uśmiechnął się do nich i dodał: - Lada moment powinien pojawić się Carl. Ale skończyliśmy wcześniej niż przypuszczałem.

- To przez te biegające psy - powiedziała Angela.

- Czas nam szybciej upłynął.

Roześmiał się z jej dowcipu. - To nie powinno mnie zdziwić. Było całkiem zabawnie, prawda?

- Tak, tak - Angela pokiwała głową. - Naprawdę wydawało się, że te psy biegną. Przezrocza poruszały się tak szybko, a widok jednego z tych zwierzków wczepiających się w spodnie policjanta był naprawdę śmieszny. - Przerwała na chwilę. - Lubię takie zabawne sytuacje.

- Więc muszę się zorientować, czy mógłbym zdobyć więcej zdjęć... Lubisz takie komiczne scenki? - zapytał, spoglądając na Jessie.

- Tak - przyznała. - Ale również podobają mi się te, na których można zobaczyć małe murzyniątka. Wyglądają tak radośnie.

- Tak. Tak, rzeczywiście. - Nie dodał jednak: „niektóre”, ale odwrócił się do dołączającego do nich właśnie Geralda.

- Nie zamierzam cię pytać, czy podobał ci się pokaz, bo niewątpliwie stanie z drugiej strony ekranu jest pokutą - odezwał się Gerald.

- Nie, wcale nie. Śledzenie reakcji publiczności dostarcza mi dużo więcej radości, chociaż z pewnością najwierniejsi widzowie muszą marudzić widząc po raz kolejny te same przezrocza.

- Nie, nie masz racji. A zresztą, nie można mieć wszystkiego. Co wy na to, dziewczęta?

Nie odezwały się, a w niepewnej ciszy dał się słyszeć głos Geralda: - Czekacie, żeby Carl was zabrał? Ale tutaj jest strasznie zadymione, dym szczypie w oczy, więc może odprowadzę was kawałek, aż się z nim spotkacie?

Jessie jak uządlona gwałtownie zrobiła krok do przodu, wzięła Angelę pod ramię i odezwała się: - Nie, dziękuję. To bardzo miło z twojej strony, ale nie, dziękuję. A poza tym, księżyc świeci jasno. Carl powinien nadejść lada chwila. Pójdziemy mu na spotkanie.

Kiedy dziewczęta skierowały się do drzwi, Frank Noble spojrział na młodego człowieka, po którego twarzy wyraźnie było widać, że poczuł się odprawiony. Potem pośpieszył na dwór, gdzie głęboko odetchnął mroźnym powietrzem.

Kiedy indziej, znając nadmierną opiekuńczość ojca dziewcząt, która przekształciła się prawie w manię i jego zdaniem ograniczała ich życie, powiedziałby: Lepiej poczekajcie. Ale tej nocy było prawie tak jasno jak w dzień i chociaż przedstawienie skończyło się wyjątkowo wcześnie, kilka minut przed ósmą, Carl z pewnością nadejdzie lada chwila. - Na pewno spotkacie go gdzieś niedaleko. Zawsze jest punktualny, prawda?

- Tak, tak - zapewniła go Angela. - I świetnie bawiłam się na przedstawieniu. Dziękuję bardzo.

- Nie zapomnijcie podziękować ojcu za tę paczkę. To niezwykle miłe z jego strony! - krzyknął za nimi.

Odpowiedź już do niego nie dotarła, ale obserwował je, aż zniknęły za zakrętem ścieżki prowadzącej z Hollow.

Dziewczęta nie odezwały się do siebie przez całą drogę na szczyt wzgórza, z którego wiodła ścieżka prowadząca później do doliny. - Dlaczego nie pozwoliłaś mu, żeby nas odprowadził? - zainteresowała się Angela. - On jest bardzo miły.

Kiedy odpowiedziało jej milczenie, dodała: - Ale i tak miło jest pospacerować w samotności, prawda, Jessie?

- Tak, rzeczywiście. - Jessie złapała teraz siostrę za rękę. Obydwie odwróciły głowy w stronę śmiechów i krzyków dochodzących ze wsi.

- Pewnie odbywa się jakieś... wesele, ale wygląda na to, że muszą być pijani.

Instynktownie zwolniły. - Pewnie właśnie przechodzą ze stodoły do gospody we wsi - zauważyła Jessie.

Śmiechy ucichły, a one już normalnym krokiem dotarły do rozwidlenia, gdzie nagle zauważyły trzech mężczyzn. Z tej odległości dostrzegły, że mężczyźni śmiali się bezgłośnie. Angela przytuliła się do Jessie i obie zatrzymały się.

Mężczyźni również stanęli w niewielkiej od nich odległości, a jeden z nich wykrzyknął: - Kogo my tu widzimy?

- Patrzcie, patrzcie - zawtórował drugi. - My myśleliśmy, że to Mary Ellen i Cissie. A spotykamy córeczki naszego Anioła, puszczone bez żadnej opieki. Widzicie, chłopaki? Bez opieki.

Żadna z nich nie знаła mężczyzny, który zbliżywszy się, z niskim ukłonem powiedział: - Dobry wieczór, panienki. Zgubiłyście się?

Przez chwilę Jessie wpatrywała się w nieznanego, ale odpowiedź skierowała do kościelnego. - Czekamy na C...C...Carla - wyszeptła.

Tłusty brzuch kościelnego zatrzęsł się ze śmiechu, gdy odwrócił się do kompanów i grubym, pijackim głosem odezwał się: - Słyszałeś, Pete? Ona czeka na Carla.

Ignorując kościelnego, Pete Mason odepchnął go na bok i chwiejnym krokiem zbliżył się do dziewcząt. Przenosząc wzrok z jednej przerażonej twarzy na drugą, wymamrotał coś pod nosem, ale dopiero końcowe zdanie było wyraźniejsze. - Nadeszła pora - powiedział. - Wiedziałem, że kiedyś nadejdzie taki dzień. - Wyciągnął ramię i chwycił Angelę, próbując przyciągnąć ją do siebie. Jessie starała się go odepchnąć, jednocześnie krzykiem wtórując Angeli, ale przewagę zyskała tylko na chwilę. Wrzaski Angeli zostały stłumione. Pete Mason, jedną ręką trzymając ją za szyję, zatkał jej usta, a drugą rozdarł jej na piersiach sukienkę.

Jednocześnie trzeci mężczyzna odciągnął Jessie od Masona i pchnął ją na drzewo. Potężny krzyk rósł jej w piersi, ale nie mogła go z siebie wydobyć, bo czyjaś ręka zasłaniała jej usta. Jednak przerażenie i zimne powietrze, które poczuła w momencie, gdy rozdarł jej bluzkę, dodały jej sił.

Paznokciami przejechała mu po twarzy, po czym zgięła kolano i energicznie wyprostowała nogę. Była wolna, a mężczyzna, zgięty wpół, poleciał do tyłu. Siłą woli zmusiła się do biegu, ale ochłoneła dopiero, gdy pod stopami poczuła

twardą ścieżkę. - Angela! Angela! - wołała rozpaczliwie. Brak odpowiedzi i szelest w zaroślach, będący świadectwem obecności mężczyzn, oraz strach, dodały jej skrzydeł i jak szalona pomknęła z powrotem do Hollow.

Na szczycie wzgórza prawie wpadła w ramiona Geralda Ramsmore'a. Chwytając go za klapy płaszcza, wydyszała: - Ci ludzie! Złapali Angełę.

Przez chwilę nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi, tak zaszokował go jej wygląd. Włosy, które zazwyczaj miała porządnie spięte pod kapeluszem, zwisały teraz w nieładzie, a przez podarty materiał przeświecało gołe ciało.

- Poznałam kościelnego - stwierdziła. - Są pijani. Oni... - Skrzywiła się. - On... próbował. Och, proszę. Chodź! Chodź już! - Ruszając biegiem, pociągnęła go za sobą.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym odciągnęli od niej Angełę, z płaczem pokazała mu trzech mężczyzn chwiejnym krokiem idących przez pole. - Spójrz! Tam są. Gdzie ona jest? Gdzie ona jest? Czyżby zabrali ją ze sobą? To tutaj! To tutaj! To tutaj!

Gerald przeskoczył płytki rów i okrążył małą kępę krzaków. Widok, który ukazał się jego oczom, zapamiętał do końca życia. Ta delikatna, krucha dziewczyna o niezwykłej urodzie, która tak zawsze poruszała jego artystyczną duszę, zawsze przyciągająca jego wzrok, leżała na ziemi z rozpostartymi ramionami, z palcami wbitymi w ziemię, z zadartą spódnicą prawie zakrywającą twarz i obnażonymi nogami. Zacisnął oczy na ten widok, a przez zasłonięte dłonią usta wydał przeciągły jęk. Słyszając Jessie przeskakującą rów, zakreślił się na pięcie i zawołał: - Nie! Nie! Ona tu jest, ale potrzebuje pomocy. Sprowadź Carla. Idź szybko do domu! Idź i sprowadź pomoc.

- Muszę zobaczyć...

- Proszę, ona jest w szoku. Idź po pomoc.

Kiedy odwróciła się od niego i przeskoczywszy rów rzuciła się biegiem krzycząc: - Carl! Carl! - powoli podszedł do leżącej postaci. Obciągnął jej spódnicę i podkładając ramię pod głowę powiedział: - Już dobrze. Już dobrze - chociaż w głębi duszy wiedział, że temu dziecku już nigdy nie będzie dobrze, nigdy. - Twój bliscy zaraz tu będą - ciągnął. - Droga panno Angelo. Och, droga panno Angelo.

Ponieważ jego słowa nie wywołały żadnej reakcji, pomyślał: Dobry Boże! Ona nie żyje. Ośmielił się położyć rękę w miejscu, gdzie jego zdaniem powinno znajdować się serce i po sekundzie lub dwóch odetchnął głęboko. A teraz odgarniał z twarzy jej kruczoczarne, błyszczące włosy.

Przybycie Carla zauważył dopiero w momencie, gdy tamten, pochylając się, zasłonił sobą światło księżyca i wykrzyknął: - O...och! - kończąc słowami, które

mogłyby być poczytane za bluźnierstwo. - Nie! Nie! To nie może być prawda. Nie! Nie!

Gerald podniósł wzrok na Carla i cicho stwierdził:

- Ale tak się stało. Musimy zabrać ją do domu. Teraz Carl również klęczał przy Angeli, poklepując ją po twarzy. - Obudź się, kochanie. Obudź się. To ja, Carl. Już się nie musisz bać. Obudź się. Obudź się.

Nie widząc rezultatów swych wysiłków, wyszeptał:

- Och, dobry Boże! - Po czym spoglądając na Geralda dodał: - On ich za to zabije, popełni morderstwo. Z pewnością ich zabije.

- Sądysz, że możemy ją razem zanieść?

- Ach. Tak. Ale dam sobie radę sam.

- To nie tak blisko, lepiej ci pomogę.

Carl obciągnął jej podarte ubranie i delikatnie ją uniósł. - Pozwól, że ci pomogę - powtórzył Gerald, opierając jej nogi o swoje ramię. Zgodnym krokiem ruszyli w kierunku domu.

W odległości mniej więcej ćwierć mili od domu dostrzegli Warda zmierzającego w ich stronę. Na ich widok zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć na białą jak kreda twarz swego dziecka. Wyciągnął ramiona i przejął od nich ciężar, po czym bez słowa ruszył z powrotem na farmę.

- Jeżeli pożyczylbyś mi konia, mógłbym pojechać po doktora - odezwał się podążający za Carlem Gerald, gdy dotarli na podwórze.

- Tak. Tak, masz rację - Carl odwrócił się. - Chociaż poczekaj! - Pokręcił głową. - Nie! Lekarz musi ją zbadać. Tak, lekarz musi ją zbadać.

W świetle sączącym się przez otwarte drzwi widać było postać Patsy, stojącej z rękoma zaciśniętymi na gardle.

- Idź po Annie! - zawołał Ward.

Po kolacji cierpiąca na bóle nóg Annie zazwyczaj wracała do siebie, zostawiając Patsy zmywanie i przygotowania do śniadania. Dziewczyna właśnie wykonywała te obowiązki, gdy Jessie jak oszalała wbiegła do kuchni wołając ojca.

Patsy biegiem rzuciła się w kierunku domku Annie.

- Śpisz już? - zawołała, bębniąc w drzwi.

- Właśnie się kładę - usłyszała. - O co ci chodzi?

- Pan... - wydyszała Patsy, kiedy drzwi się otworzyły - właśnie przyniósł panienkę Angelę. Wygląda, jakby nie żyła. A panna Jessie została przez kogoś zaatakowana, ma podarte ubranie.

- Wielki Boże! O czym ty mówisz, dziewczyno? - wykrzyknęła Annie, sięgając jednocześnie po wiszący przy drzwiach szal, który zarzuciła sobie na

ramiona. Po czym ruszyła w stronę domu tak szybko, jak tylko jej obolałe nogi pozwalały...

Piętnaście minut później razem z Patsy zdejmowała z posiniaczonego ciała Angeli ostatnią część garderoby. Płakały obie, przerażone również stanem swego pana. Ward odezwał się dopiero w momencie, gdy zorientował się, że zamierzają obmyć ciało jego córki. - Zostawcie to, aż wezwę doktora.

- Już po niego posłano, proszę pana. Panicz Gerald z Hall pojechał - wyszeptała Patsy cicho.

Ward odwrócił się czekając, aż ubiorą ją w koszulę nocną. - Zostawcie ją teraz - powiedział po prostu. Annie skierowała się do kuchni, gdzie czekał Carl, a Patsy poszła do łazienki, spodziewając się spotkać tam Jessie. Nie słysząc odpowiedzi na pukanie, delikatnie pchnęła drzwi i zobaczyła dziewczynę siedzącą na stołku. Miała na sobie koszulę nocną, a jej ubranie leżało rzucone na kupkę na podłodze. Odwróciła przerażoną, pobladłą twarz w kierunku Patsy i trzęsącymi się wargami wyszeptała: - Och, Patsy, Patsy.

Kłękając przy dziewczynie, Patsy objęła ją ramionami i ułożyła jej głowę na swoim ramieniu, zupełnie jak matka. - No już, kochanie. No, już. Już po wszystkim - starała się ją ukoić. A kiedy Jessie wymruczała: - Nie, nie, nigdy nie będzie, nigdy nie będzie - zaprzeczyła słowami: - Ależ tak. Będzie. Z czasem wspomnienia bledną. Wiem o tym. Tak to się dzieje.

Wstrząśnięta szlochem Jessie, Patsy nie powiedziała: „Przestań płakać”, ale łagodnie wyszeptała: - O to chodzi. O to chodzi: wyrzucić to z siebie - mając jednocześnie nadzieję, że pogrążona w śmiertelnym śnie dziewczyna w sąsiadującej z podestem sypialni w pewnym momencie obudzi się i również zacznie płakać. Z pewnością miała większy powód, aby płakać. Boże, pomóż jej. O tak, pomóż jej, Boże. Trzej mężczyźni! Jezusie w niebiosach! Że też coś takiego przytrafiło się takiemu dziecku jak Angela, tak kruchemu, zwiewnemu i nieziemskiemu jak jej matka. Zdaniem Annie, wyglądała jak jej bliźniacza siostra, wróżka. To ten dom. Będzie szczęśliwa, kiedy wyjedzie... kiedy oboje stąd wyjadą. Ale o czym ona teraz mówi? Czy Carl mógłby opuścić teraz swego pana, znając jego nastawienie do tej zbrodni? A czy ona sama mogłaby zostawić tę dziewczynkę, właściwie je obie, jedynie pod opieką ledwo powłóczającej nogami Annie? Och, a ona myślała... pokręciła głową... już dość własnych pragnień. Teraz, jeśli w ogóle znała się na rzeczy, można się było spodziewać czegoś znacznie gorszego.

- No, już - odezwała się - wytrzymaj oczy. Już dobrze. Połóż się spokojnie. Kiedy przyjdzie doktor Patten, z pewnością da ci jakieś lekarstwo.

Jessie podniosła się ze stołka. - Nie chcę żadnego lekarstwa na uspokojenie. Muszę zobaczyć Angełę.

- Nie. Nie, kochanie. Twój ojciec jest z nią i prosił, żebyśmy zostawili go samego. Nie przeszkadzajmy mu do wizyty lekarza. Proszę cię, połóż się teraz. Przyniosę ci coś gorącego do picia, na przykład mleko z gałką muszkatołową, takie jak lubisz. To uspokaja.

Jessie dała się wyprowadzić z łazienki do położonego przy końcu podestu pokoju gościnnego. - Łóżko jest ciągle pościelone - powiedziała Patsy. - Spałyście tu obie nie dalej niż dwa tygodnie temu, kiedy gruntownie sprzątałam waszą sypialnię. Połóż się teraz, a ja zaraz wrócę.

Patsy zrobiła krok do przodu, a Jessie w tym momencie złapała ją za nadgarstek. - Co się stanie? Co się z nią stanie? - zapytała błagalnie.

- Jeszcze nie wiem, kochanie. Jeszcze nie wiem.

- Mężczyźni są straszni, prawda, Patsy? Straszni, straszni.

- Nie wszyscy, malutka. Nie wszyscy. Połóż się teraz. Połóż się. - Patsy uwolniła rękę i szybko wyszła z pokoju. Na podeście zatrzymała się na chwilę, zaciskając dłonie na szyi, co zazwyczaj czyniła w chwilach strachu i napięcia.

Poszła na dół, lada chwila spodziewając się przybycia doktora. Zauważył ją w tym samym momencie i zaczekał aż zejdzie, po czym minął ją bez słowa, a ona skierowała się do kuchni, gdzie młody panicz z Hall rozmawiał z Carlem. - Nigdy nie zapomnę tej nocy - ze zdziwieniem usłyszała łzy w jego łamiącym się głosie. - Wpadnę rano, dowiedzieć się, jak ona się czuje.

- Proszę bardzo - Carl kiwnięciem głowy wyraził zgodę.

Młody człowiek skinął Annie na pożegnanie. - Dobranoc.

- Dobranoc panu - odpowiedziała. - Bez względu na to, co się stanie, dziękujemy za pomoc.

Nie odpowiedział. Bez słowa popatrzył na nią, odwrócił się i wyszedł.

Spoglądając na Annie, Carl podsunął jej krzesło.

- Usiądź tutaj - a Patsy posłusznie opadła na siedzenie.

- Jak się czuje panna Jessie? - zapytał.

- Bardzo zdenerwowana. Przygotuję jej coś gorącego do picia. Myślę, że doktor powinien dać jej coś na uspokojenie.

To stwierdzenie wywołało natychmiastową reakcję Annie. - Lepiej pójde na górę i podpowiem mu to. A poza tym, może potrzebuje mojej pomocy.

- Zostań tutaj - zaproponował Carl. - Patsy może tam iść i poczekać aż do końca badania. Powie mu, czego potrzebujemy. I myślę, że on również będzie miał coś do powiedzenia. Mój Boże! Z pewnością. Ale wracając do środków

uspokajających, to moim zdaniem coś przydałoby się zaaplikować naszemu panu. Boję się o niego...

Ta rozmowa toczyła się pół godziny przed zakończeniem oględzin dokonanych przez Philipa Patten. Przerazenie ogarnęło go, jeszcze zanim rozpoczął badanie. - Myślę, że przydałaby mi się pomoc Annie - wyjąkał cicho.

- Sam zapewnię panu wszelką pomoc - stwierdził Ward.

Teraz było już po wszystkim. - Czy ona będzie żyła? - zapytał Ward pozornie spokojnym tonem.

- Mam nadzieję - odparł Philip - ma mocne serce, ale to będzie zależało od jej woli.

- Jej woli?

- Tak. Tak, powiedziałem, że od jej woli.

- Dlaczego ona nie otwiera oczu? Czy jest nieprzytomna?

- Jest w szoku i ten stan może potrwać... dwa, trzy dni. Trudno przewidzieć. A z drugiej strony, może się zdarzyć, że jutro rano obudzi się, jak tylko przestanie działać środek nasenny, który jej dałem.

Philip Patten obserwował Warda spoglądającego na swoją córkę, ale wstrząsnęły nim dopiero jego słowa.

- Ona ma piętnaście lat. W zeszłym roku stała się kobietą, więc może być jakiś owoc tego zdarzenia - powiedział. Powoli odwrócił się do Philipa i raczej stwierdził niż zapytał: - Nawet przy takich obrażeniach mogą być jakieś rezultaty, prawda?

Philip Patten przełknął ślinę, uciekając wzrokiem od śledzącego go spojrzenia: - Zobaczymy... Tylko przyszłość może dać nam wyraźną odpowiedź na to pytanie.

Słyszając kolejne słowa Warda, musiał odwrócić się w stronę łóżka i stojącego przy nim mężczyzny. - Żaden z nich nie przepuścił okazji?

Philip nie odpowiedział, ale prawie podskoczył słyszając warknięcie: - Mam rację?

- Nie wiemy na pewno, czy było ich trzech - zasugerował zrozpaczonemu ojcu. - To znaczy, byli tam trzej mężczyźni, więc przypuszczam, ale...

- Więc pytam pana, doktorze, czy jeden człowiek mógł spowodować takie obrażenia?

- Tak. To jest możliwe. - Philip Patten pokiwał głową, odzywając się donośnym głosem.

- Ale trzej mogli zrobić jej jeszcze większą krzywdę, prawda?

- Wardzie, Wardzie. - Philip nisko opuścił głowę, a w jego głosie słychać było błaganie. - Tego nie wiemy.

- Nie wie pan? Szkoda, że nie widział pan Jessie, która wpadła tu jak oszalała, w podartym ubraniu. Jej udało się uciec, więc czy ten napastnik był usatysfakcjonowany? Nie, musiał wykorzystać swoją kolejkę.

- Och, na litość boską! Wardzie. Nie wolno ci myśleć w ten sposób, bo sprowadzisz na siebie kolejne nieszczęście. Musisz pozwolić, aby władze się tym zajęły. Sam zawiadomię policję.

- Och, nie! O... o, nie, nie zrobi pan tego, doktorze. - Całym swoim ciałem wyraził tę prośbę: - Proszę o przysługę, niech pan nie zawiadamia policji.

- Ale! Przecież ci ludzie muszą ponieść karę. A tobie nie wolno, Wardzie. Nie, nie wolno ci wziąć tego w swoje ręce. To byłoby morderstwo, i co się potem stanie? Zawiśniesz na szubienicy. Nie owijając w bawełnę, powieszają cię. A co wtedy będzie z dziewczynkami? Kto się nimi zaopiekuje?

- Kto tu mówi o morderstwie? Nie mam zamiaru ich zamordować. Ale sprawię, że zabije ich ich własne sumienie i wieś, tak samo jak zabijali mnie przez wszystkie te lata.

- Co...? Chodzi mi o to, co zamierzasz zrobić? - zapytał bezgranicznie zdziwiony Philip.

- Co zamierzam? - Ward rozejrzał się wokół. Odpowiedź znał już od chwili, kiedy zobaczył zgwałcone ciało swojej córki. I chociaż pomysł wymagał jeszcze dopracowania, jego jeden element był zupełnie klarowny. - Zostawmy to na kilka dni, dobrze doktorze? - powiedział. - Wrócimy do tego, powiedzmy za tydzień.

- Tydzień! Ależ oni pomyślą, że uszło im to na sucho. A co z doktorem Wheatleyem, kiedy dotrą do niego takie wieści?

- Nic się nie stanie, jeśli nie zrobię nic niezgodnego z przekonaniem pańskiego zwierzchnika, doktorze. Co pan o tym sądzi?

A Philip faktycznie pomyślał: Ward ma rację, bo skandal taki jak ten był plamą na honorze wsi, a Wheatley, traktujący wieś jak swój folwark i wynoszący się ponad nią, nigdy nie potraktowałby tego inaczej. „To moi pacjenci - powiedziałaby. - Nie zajmuj się moimi pacjentami.”

- W porządku - stwierdził Philip - rób jak uważasz. Ale nie zapominaj, że ten młody człowiek z Hall był świadkiem tego wydarzenia i wyobrażam sobie, że już zdążył poinformować swoich rodziców. Nie zapominaj, że był głęboko poruszony.

- Musimy zaryzykować. Jako dżentelmen z pewnością wpadnie jutro z samego rana, żeby dowiedzieć się co słyhać. Więc jeśli poproszę go o to samo, co ciebie, na pewno jeszcze przez kilka dni dochowa tajemnicę.

- Och, Wardzie. - Doktor wyciągnął dłoń i położył ją na ramieniu Warda. - Nie rób niczego, co mogłoby sprowadzić na ciebie karę. Błagam cię.

- Jeśli jest na świecie jakaś sprawiedliwość, to nic mi się nie stanie, ale jeżeli jej nie ma? - wyrzucił z siebie Ward gwałtownie, przez zaciśnięte zęby, ale po chwili dodał łagodniej: - Czyja mogę mówić o sprawiedliwości w stosunku do mnie i mojej rodziny, tylko dlatego, że jako młody człowiek byłem dostatecznie głupi, aby okazywać sympatię dziewczynie, której nie zamierzałem poślubić? Sprawiedliwość jest ślepa, doktorze. Myślałem, że w twoim zawodzie musisz być tego świadomy. Młodzi i niewinni umierają, podczas gdy te ludzkie wraki ze wsi, ci nie bojący się Boga gwałciciele, mają się dobrze. Ale jakie jest ich życie, to zupełnie inna sprawa... o tak.

Philip nie mógł znaleźć stosownego wyjaśnienia, żeby odmówić nietypowej prośbie Warda, ale zaniepokoił go ton wypowiedzi i wyraz jego oczu. Bez zbędnych słów sięgnął po swoją torbę, zerknął na stojące w pokoju łóżko i nawet nie kiwnąwszy głową na pożegnanie opuścił pokój.

W kuchni rozejrzał się po twarzach obecnych i powiedział: - On pewnie będzie siedział przy niej całą noc, ale sądzę, że jeszcze ktoś powinien czuwać.

- Niech się pan nie obawia, doktorze - odezwał się Carl. - Ja i Patsy nie położymy się.

- Życzę więc dobrej nocy - stwierdził, a po chwili namysłu dodał: - Mam wrażenie, że przez jakiś czas wy oboje będziecie musieli prowadzić farmę.

Rozdział trzeci

Wieś była zaniepokojona. Krążyły jakieś dziwne opowieści. Niektórzy byli skłonni przyznać, że być może tkwi w nich ziarenko prawdy, a inni zaprzeczali bez przekonania, mówiąc, że są wytworem wyobraźni Roba Rileya z Hollow, który razem ze swoim ojcem pracuje dla Warda Gibsona. Zamieszanie wywołało stwierdzenie, że młodsza córka Warda została przestraszona przez jakichś pijanych weselników Jima Conroya. Niektórzy twierdzili nawet, że mężczyźni posunęli się dość daleko w swoich igraszkach. Ale jak to możliwe?

Dziewczynka nigdzie nie wychodziła bez opieki. Kłopotliwe, ale tak właśnie je wychowywano. Ale coś się w tym wszystkim nie zgadzało i tak właśnie Fred Newberry powiedział swoim rodzicom. Po raz pierwszy zdarzyło się, że nie zaproponowano mu filiżanki herbaty, a kiedy zapytał o Warda, powiedziano mu, że jest zajęty i nie może zejść na dół. Opuścił ich dom przekonany, że wszyscy nabrali wody w usta próbując zachować w tajemnicy wydarzenia, o których szeptano we wsi. To, że Ward nie zamienił z nim ani słowa, było zupełnie niezwykle, chociaż po śmierci żony niekiedy zachowywał się dziwacznie. Wydawało się, że pragnął jedynie budować coraz wyższe ogrodzenie i nie spuszczać córek z oczu.

Dopiero matka oświeciła Freda: - Być może obawia się, że Daisy znowu ucieknie. Wiesz przecież, jaka jest przebiegła. Ale! Zawsze była przebiegła. Zawsze się zastanawiałam, czy przypadkiem na nas nie rzuci klątwy za to, że żyjemy z Wardem w przyjaźni.

Właściciele obydwu gospód zadawali sobie podobne pytania. Czy całe to zamieszanie miało prawdziwe przyczyny? I kim byli ci trzej mężczyźni, którzy śmiertelnie przerazili dziewczynkę? Twierdzono powszechnie, że ich odnalezienie wśród gości weselnych tańczących w stodole i przez całą noc sączących z beczulek byłoby bardzo trudne, ponieważ sądząc po ilości jedzenia i napojów, to wesele należało do najbardziej udanych od wielu lat. Niemniej jednak było w tym coś niejasnego. Ale co? No i wystarczy spojrzeć na to, co się przytrafiło wikaremu Noble'owi, kiedy powiadomiono go o całym wydarzeniu: stracił przytomność i trzeba było położyć go do łóżka. Tak, cała ta sprawa była zdecydowanie nieprzyjemna.

* * *

W środę rano Angela otworzyła oczy i pierwszą osobą, którą zobaczyła, była Jessie. Jęknęła i podniosła dłoń w jej kierunku. - Och, Angela! Angela! - wykrzyknęła Jessie prawie radośnie, łapiąc siostrę za rękę. - Już ci lepiej. Ach, to wspaniale. Jak się czujesz?

Wiedziała, że zadaje głupie pytanie, ale i tak czekała na odpowiedź.

Kiedy siostra otworzyła usta i zamknęła je nie wydając żadnego słowa, dodała: - W porządku, kochanie. Po prostu odpoczywaj. Odpoczywaj. A ja pójdę po tatusia.

- Wybiegła z pokoju, a widząc Patsy przez okno na półpiętrze, krzyknęła: - Patsy! Patsy! Carl!

- Zawołaj tatusia! Angela odzyskała przytomność! - zawołała, kiedy Patsy przybiegła z mleczarni.

- Och, jak się cieszę, panienko! Jak się cieszę! - Patsy przebiegła przez podwórko, okrążyła stertę drewna przygotowaną na opał oraz drewnutnię, w której trzymano zapasy i rąbano drewno, gdzie Ward spędził ostatnie dwa dni splatając sznury i strugając słupy wysokie jak wieszaki na ubrania. Ani ona, ani Carl twierdzący, że są za duże na ogrodzenie, nie mieli pojęcia, do czego zamierzał ich użyć. Na kawałki pociął również całe metry grubej liny. W jakimś sensie to wszystko było przerażające. Nie weszła do środka, ale ramionami oparła się o framugę i krzyknęła: - Odzyskała przytomność, panie! Odzyskała przytomność!

Minął ją i pognał do domu, zanim zdołała się odsunąć.

Kiedy z impetem otworzył drzwi sypialni, ujrzał swe ukochane dziecko wpatrujące się w niego. Podbiegł do niej i oniemiał z przerażenia widząc, że jej usta otwierają się jakby do krzyku, że cała kurczy się w sobie, a jej ramiona zdają się go odpychać.

- To tatuś! - krzyknęła Jessie. - Angela. To tatuś! - powtórzyła cofając się, aby zrobić mu miejsce przy łóżku.

- To ja, mój skarbie... tatuś - powiedział łagodnie, nachylając się nad nią.

Gdy sięgnął po jej dłoń, próbowała się wyrwać. -Spójrz na mnie, kochanie - błagał. - To ja, twój tatuś, który cię kocha. Angela, spójrz na mnie.

Widząc jak leży z zaciśniętymi oczami, zrozpaczony odwrócił się do Jessie, która stwierdziła: - Nie martw się, tatusiu. Doktor powiedział, że ona ciągle jest w szoku. Wkrótce będzie cię poznawać.

Wyprostował się i powoli odwracając się od łóżka, westchnął ciężko: - O mój Boże. - W jej oczach widział przerażenie spowodowane faktem, że spoglądała na mężczyznę. A jeśli to się nigdy nie zmieni? Ta myśl była tak trudna do zniesienia, że ponownie odwrócił się szybko i wzięwszy Jessie za rękę popchnął ją do drzwi i wyszeptał: - Powtarzaj jej to, Jessie, dobrze? Ciągle powtarzaj jej, że jestem jej ojcem, a nie... - przerwał, przechylając głowę na bok.

- Oczywiście, tatusiu - powiedziała, ściskając go za rękę. - Oczywiście. Nie martw się. Wytlumaczę jej. Na pewno. Proszę, nie martw się.

Pokiwał głową ze zrozumieniem i powiedział: - Tak, Jessie. Z pewnością ci się uda. Z pewnością.

- Oczywiście, tatusiu. Proszę, nie martw się.

Fakt, że nie zabrał swej ręki z jej dłoni, że była jedyną osobą, do której się z tym zwrócił, wywołał w jej sercu jakieś nieznane uczucie ciepła. Po raz pierwszy w życiu czuła się potrzebna i to osobie, na której jej najbardziej zależało. Ale dlaczego stało się to w ten sposób? Dłonią zmięła gors swojej sukienki, tak jakby znowu była obnażona, jakby nie jeden, ale dwóch, trzech mężczyzn rozdierało jej ubranie. Zeszłej nocy obudziła się z krzykiem, aż Patsy czuwająca przy Angeli przybiegła ją pocieszyć. Patsy była dla niej jak matka. Kto się nią zaopiekuje, kiedy ona wyjedzie? Już jej nie przeszkadzało, że Carl kocha Patsy, ponieważ teraz gorąco pragnęła matki. Tak samo jak Angela. O tak, Angeli potrzebny jest ktoś, kto by ją pocieszył.

Podbiegła do łóżka i pochylając się nad chorą, powiedziała łagodnie: - To ja, kochanie. To ja. Otwórz oczy. - I Angela posłusznie uchyliła powieki i rozwarła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Ale znowu nie wydała żadnego dźwięku, a Jessie stwierdziła: - Wszystko w porządku, kochanie. Nie próbuj nic mówić. Tatuś cię odwiedził. A tatuś cię kocha. Wiesz przecież, że tatuś cię kocha. Nie jest jednym z tych okropnych mężczyzn.

Spróbuj to zrozumieć, malutka. I nie zamykaj znowu oczu. Spójrz na mnie.

Kiedy Angela ponownie szeroko otworzyła oczy, Jes-sie ciągnęła: - Wiesz, o czym myślałam, skarbie? Że kiedy lepiej się poczujesz, poproszę tatusia, żeby zabrał nas na wakacje nad morze. Chciałabyś, prawda? Nigdy dotąd nie byliśmy na wakacjach.

Gdy głowa na poduszce powoli przekreśliła się na bok, Jessie przysunęła sobie krzesło tak, żeby sama mogła położyć się obok, w takiej samej pozycji, w jakiej kładły się będąc dziećmi, może z wyjątkiem wieczorów poprzedzonych drobnymi sprzeczkami.

A teraz Jessie zdała sobie sprawę, że drobne sprzeczki mają już za sobą i że już nigdy nie będzie zazdrościć siostrze urody i miłości ojca. Dla nich obu życie stało się zupełnie inne, na zawsze.

Rozdział czwarty

Philip Patten przyjeżdżał codziennie. Kiedy do czwartku Angela nie odezwała się ani słowem i gdy Ward zadał konkretne pytanie: - Jak długo taki stan może się utrzymywać? - powiedział otwarcie: - Nawet do końca życia. Tak długo, jak długo będzie się bała mężczyzn. Medycyna zna takie przypadki. Ona obawia się nas obu, a ja nie wiem, jak można przełamać ten strach. Musisz postępować z nią bardzo, bardzo delikatnie. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Ale muszę ostrzec cię na przyszłość, chyba że zdarzy się coś zupełnie nieprzewidzianego, co zmieni jej obecny stan. Moim zdaniem, ona ma niewielkie szanse na normalne życie.

Ale - głęboko westchnął - tego nie da się przewidzieć, bo nie jesteśmy panami przeznaczenia. Bóg, jeśli w Niego wierzysz, ma tutaj też coś do powiedzenia.

- Uspokój się, człowieku! O czym ty mówisz? - tym razem Ward stracił panowanie.

Philip nie udzielił mu ostrej odpowiedzi, ale łagodnie kontynuował: - Nie mogę wypowiadać się całkiem zdecydowanie, ponieważ tak mało wiem. Moja wiedza jest ograniczona, więc opieram się tylko na podręcznikach medycznych i zdrowym rozsądku. Ale niekiedy trzeba zdać się na Opatrzność. Nic więcej nie da się robić. No, ale muszę już jechać, chociaż - zawahał się - przed odjazdem chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć. Udzielić ci rady. Pamiętaj, że masz dwie córki, a Jessie jest również w szoku. Jej stan jest teraz zadowalający, ale tylko dzięki lekarstwom, które dostaje.

Nie dodając nic więcej, skierował się ku schodom, zostawiając Warda ze wzrokiem wbitym w jego plecy i z zaciśniętymi zębami. Po chwili Ward odwrócił się przez ramię i ponownie spojrzął na drzwi sypialni. Resztę zostaw Opatrzności, powiedział. No, ale niektóre sprawy za długo zostawały w Jej rękach, od tej chwili zamierzał przejąć rolę Boga i zobaczyć, co z tego wyniknie.

Z tą myślą zbiegł po schodach. Nie przeszedł przez kuchnię, gdzie z pewnością znowu spotkałby się z doktorem, którego pewnie Annie poczęstowała gorącą herbatą. Zamiast tego otworzył szklane drzwi wiodące do małego ogrodu kwiatowego. Ścieżką na tyłach domu skierował się do spichlerza, gdzie chwilę wcześniej widział Mike'a Rileya dzierżącego w dłoniach dwa solidne wiadra. Z własnego doświadczenia wiedział, że Mike z pewnością wykorzystał ten czas na wypełnienie czerpaków, a teraz odpoczywa gdzieś pomiędzy workami.

Tym razem akurat nie miał racji, ponieważ Mike właśnie wyłonił się przygarbiony pod ciężarem napełnionych wiader. Widząc Warda, zapytał: - Czy pan mnie szukał?

- Tak, Mike. Szukałem cię. - Po czym, wskazując na wiadra, dodał: - Odstaw je na bok, muszę zamknąć drzwi.

Mike wykonał polecenie i w nikłym świetle sączącym się przez wąskie okienko obserwował, jak jego pan zamknął drzwi, przeszedł wzdłuż stojaków wypełniających ciasne pomieszczenie, po czym usiadł na skrzynce stojącej przy oknie. Zdziwiło go tak niezwykle zachowanie Warda, ale dopiero pytanie: - Mike, czy mogę ci zaufać? - wprawiło go w prawdziwe osłupienie.

Mike zmrużył oczy, a jego wielka, szeroka twarz wykrzywiła się na chwilę. - Jeśli chciał mnie pan zapytać, co sędzę na temat tego pytania, to powiem, że było niepotrzebne, ponieważ pan sam powinien wiedzieć, czy można mi ufać, czy nie. Nigdy, przenigdy nie zabrałem stąd nawet ziarnka zboża, chociaż sam mam parę kur. Nigdy, przenigdy nie prosiłem Pattie o kawałeczek masła czy sera...

- Nie chodzi mi o tego rodzaju zaufanie - Ward pokręcił głową zniecierpliwiony. - Mike, chciałbym wiedzieć, czy pomógłbyś mi w kłopotach?

- Kłopoty! Ale pewnie, pewnie, jeśli masz, panie, kłopoty, jestem do usług. Tak, jestem z tobą. - Wielki Irlandczyk w średnim wieku kiwał teraz głową zapamiętale. - Kłopoty? Nie znajdziesz nikogo lepszego ode mnie, jeśli masz kłopoty.

- Tym lepiej dla mnie. A co sądzisz o Robie?

- No, Rob to moja krew, taka sama krzepa i o połowę mniej lat. Możesz, panie, liczyć na niego.

- Ile rodzin irlandzkich mieszka w Hollow?

- Siedem. Ale nie wszyscy tam mieszkają. Jest nas szesnaście rodzin, licząc protestantów.

- Czy wśród twoich... to znaczy katolików, są tacy, na których mógłbym polegać tak jak na tobie... że nie zawiodą mnie w trudnej chwili lub tam, gdzie trzeba podjąć jakieś ryzyko?

- Jest Tim Regan i Johnnie Mullins, para, której wierność mogę poświadczyć swoim życiem. Jest jeszcze jeden, ale to Szkot i ma inne przekonania, ale to wspaniały kompan. Hamish McNabb. Wielki mówca, trochę agitator, ale nie widzę w tym nic złego.

- Który z nich trudnił się złodziejstwem i włamaniami?

- Och... - Mike pokręcił głową, obawiając się rzucić podejrzenie na kolegę. - Johnnie, panie, ale to było tak dawno... pięć lat temu, może nawet więcej, a od tego czasu nigdy już nie miał do czynienia z policją.

- Myślisz, że potrafiłby wytrychem otworzyć zamek? Twarz Mike'a stężała, otworzył szeroko oczy i zapytał:

- Chcesz, panie, aby ktoś wytrychem otworzył zamek?

- To tylko jedno z zadań.

- No, to doskonale. Doskonale - twarz Mike'a rozjaśniła się w uśmiechu. - W takim razie Johnnie to chłopak dla pana. Mógłby panu kompletnie opróżnić kieszenie i też by pan nie zauważył. Sam robi zamki, dla zabawy. Wykorzystuje każdy skrawek blachy i stare puszki. Dorabia też klucze. Można mu dać kawałek drutu i Bank Angielski stanie otworem. Ale - spoważniał teraz - on ma na utrzymaniu rodzinę. I ciężko pracuje, kiedy tylko ma pracę. Zatrudniał go pan, kiedy potrzebni byli dodatkowi robotnicy do pracy w polu. Nie należy do tych, których trzeba poganiać do roboty.

Ward pominął milczeniem ten komentarz, po czym zadał kolejne pytanie: - Masz broń?

Wyraz twarzy Mike'a zmienił się po raz kolejny, ale tym razem nie odpowiedział.

- W porządku - stwierdził Ward. - W porządku. Wiem, że nie masz pozwolenia, ale przecież strzelasz, prawda?

- Od czasu do czasu do jakiegoś królika. Ostatnio raczej rzadko. Kiedyś, kiedy gorzej nam się wiodło, robiłem to częściej.

- Ale nadal potrafisz strzelać? - Tym razem słowa zabrzmiały nieco ostrzej.

- O, tak... tak, panie, nadal potrafię strzelać.

- Celnie?

- Tak, panie, celnie.

- A co z Robem?

- Och, Rob. On mógłby odstrzelić pompon ze szkockiej furazerki i jego właściciel nawet by tego nie zauważył. Rob jest... - Machnął ręką, zdając sobie sprawę, że powiedział trochę za dużo, po czym dodał skromnie:

- Uczyłem go od dzieciaka. Wtedy strzelał tylko do królików, gawronów i wron, a dozorca pułkownika przy takiej okazji stracił oko. Widzi pan, wszystko się zmienia...

Ward podniósł rękę, próbując przerwać te wynurzenia. Dłonią dotknął czoła i mocno ścisnął skronie.

- Chodzi o to, Mike, że w tej sprawie trzeba dochować tajemnicy. Czy możesz liczyć na swoich przyjaciół, że przez czterdzieści osiem godzin będą trzymali gęby na kłódkę?

- Pewnie, panie. Gwarantuję za nich. Wszystko zależy od tego, ilu ludzi pan potrzebuje, ale bez względu na ich liczbę z pewnością będą pana słuchali.

- Poza tobą i Robem potrzebuję jeszcze dwóch, może trzech mężczyzn. Ile wszystkich razem strzelb macie w Hollow?

W tym momencie Mike wyglądał nieco niepewnie.

- No, Rob ma jedną, ale to stara dubeltówka. Śrut rozpryskuje się na wszystkie strony. Ale kiedy dam mu swoją, to zawsze trafia prosto do celu. Więc jak na razie to tylko dwie, ale od czasu do czasu pożyczam coś Timowi, bo on jakby należy do rodziny. Jeśli chodzi o Johnniego Mullinsa, to on radzi sobie bez broni. Powiada, że nie potrzebuje takich zabawek. Bo to zamki... - Mike znowu się zawahał, spoglądając Wardowi w twarz,

- Posłuchaj mnie - odezwał się Ward. - Jutro wieczorem, około ósmej, przyprowadź do mnie wybranych przez siebie mężczyzn, a ja im wszystko wyjaśnię. Przynajmniej częściowo. Ale zapamiętaj sobie, Mike: jeśli któryś z nich piśnie choćby słówko, że tutaj byli, albo chociażby da komuś do zrozumienia, że coś planuję, do niczego nie dojdzie, a co więcej, ani ty, ani Rob nie macie tu już powrotu. Zrozumiałeś?

- Tak, zrobię, jak pan każe. Tak, z pewnością. I niech mi pan pozwoli powiedzieć, jak mężczyzna mężczyźnie, że nie musiał mi pan mówić, że muszę trzymać gębę na kłódkę. - Nie dodał: „Ani mojemu synowi”, ponieważ we wtorek osobiście powiedział mu, co by się stało, gdyby puścił parę z gęby, bez względu na to, na czym polegało ich zadanie.

- Jeszcze coś: ani słówkiem nie wspominaj o tym Carlowi - odezwał się Ward, podnosząc się ze skrzynki.

- To on nic nie wie? - zdziwił się Mike. - Carl?

- Nie wie, nie ma o tym pojęcia.

Mike pomyślał, że w takim momencie lepiej nie znać szczegółów. Śladem swojego pana skierował się w stronę drzwi, podniósł wiadra i wrócił do pracy, cały czas zastanawiając się nad całą tą sprawą. Jedno było pewne, bez względu na to, o co tu chodziło, potrzebowali strzelb. A on czuł jakiś niewytłumaczalny lęk przed użyciem broni.

* * *

Wczesnym wieczorem w piątek Ward zaczepił Patsy, która teraz pomagała w domu. - Poszukaj Carla i powiedz mu, żeby przyszedł do mnie do gabinetu.

Chciał doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to właśnie dzięki niej dom dobrze funkcjonuje, nie był w stanie zmusić się w stosunku do niej do uprzejmości, ponieważ ciągle pamiętał, że to ona pokrzyżowała mu plany związane z przyszłością farmy i jej mieszkańców.

Kiedy Carl po raz drugi w ciągu kilku dni zjawił się w jego gabinecie, nawet nie zaproponował mu, żeby usiadł. - Nie zmieniłeś zdania? - od razu przeszedł do sedna sprawy.

Spoglądając ze współczuciem na stojącego przed nim mężczyznę, Carl nie zawahał się ani przez moment. - W pewnym sensie, sir - znowu użył formy „sir”,

zamiast „panie” - pozostaję przy swoich planach. Zamierzam poślubić Patsy. Po tym, jak mnie pan zwolnił, rozmawiałem już z pastorem Noble'em. W niedzielę ogłosi nasze pierwsze zapowiedzi. Ale poza tym, sir, muszę przyznać, że od tego - przerwał na chwilę - tragicznego wydarzenia oboje wiemy, że nie odejdziemy, dopóki będzie nas pan potrzebował. Patsy całkowicie mnie popiera w tej kwestii i...

Ward przerwał mu gwałtownie. - Późnym wieczorem odwiedzi mnie kilku mężczyzn z Hollow. Pomogą mi zrealizować pewien plan, ale ty nie będziesz miał z tym nic wspólnego.

- Czy wolno zapytać mi dlaczego? - odezwał się Carl sztywno.

- Tak, wolno ci. A odpowiedź brzmi następująco: albo spokojnie wrócę do domu, albo krótko będę się cieszył wolnością... Bez względu na rozwój sytuacji wkrótce pewnie znajdę się w więzieniu. A w takim wypadku będę - zwilżył wargi - będę cię potrzebował, abys, jak zresztą od dawna to robiłeś, aż do mojego powrotu prowadził farmę i opiekował się moimi córkami. - Spojrzał na biurko i zastanowił się, o co mogliby go oskarżyć? Odpowiedź brzmiała: z dwóch powodów. Ale przecież były jakieś okoliczności łagodzące, nieprawdaż?

W tym momencie Carl pochylający się nad biurkiem, żeby oprzeć dłonie, przerwał jego rozmyślenia. - Sir, na miłość boską! Niech pan nie podejmuje jakichś gwałtownych działań. Takich, które zaprowadzą pana do więzienia. One pana potrzebują. Obie dziewczynki pana potrzebują. A co się stało, to się nie odstanie. Zemsta nic tu nie pomoże.

- Czy będąc na moim miejscu pozwoliłbyś tym ludziom cieszyć się wolnością?

Carl odchylił się nieco do tyłu i opuszczając głowę pomyślał: Nie. Och, nie, z pewnością pragnąłby zemsty.

Powoli wyprostował się i spokojnie stwierdził: - Bez względu na to, co się z panem stanie, może pan na mnie liczyć tak długo, jak to będzie konieczne, nawet jeśli pańska nieobecność potrwa jakiś czas. Oboje - nie powiedział „ja” - opiekujemy się pańskim domem i ziemią.

Ward nie powiedział „Dziękuję”, opuścił głowę i z nateżeniem wpatrywał się w biurko, a tym czasie Carl powoli wyszedł z pokoju...

* * *

Mężczyźni zebrali się w stodole. Poza Mike'em Rileyem i Robem na spotkanie przyszli Tim Regan, Johnnie Mullins i Szkot, Hamish McNabb. Ostatni z nich wyróżniał się z całej grupy wzrostem blisko metr dziewięćdziesiąt, chudym ciałem i pociągłą, poważną twarzą, podczas gdy zarówno Tim Regan, jak Mike i Rob charakteryzowali się krępa budową. Jedynie Johnnie Mullins nie

przypominał ani typowego Szkota, ani Irlandczyka. Był niski i chudy, ale żyłasty.

Na widok Warda wchodzącego do stodoły wszyscy podnieśli się z miejsc, a on przyjrzał się im uważnie. Wszyscy z wyjątkiem Roba osiągnęli już wiek średni, ale z doświadczenia wiedział, że przynajmniej czterech z nich odznaczało się znaczną siłą. Jedyne najniższy i chudy był mu zupełnie nieznany.

Ward obrzucił go uważnym spojrzeniem i zapytał:

- Jak się nazywasz?

- Johnnie Mullins, panie.

Przez chwilę przyglądał się niskiemu mężczyźnie, po czym zadał mu kolejne pytanie, zerkając na Mike'a.

- Czy mógłbyś włamać się do zakrystii?

Johnnie Mullins zmrużył oczy i powiódł wzrokiem po zebranych, jakby chciał powiedzieć: Co za cholernie głupie pytanie. Spojrzał na Warda śmiało i potwierdził:

- Z pewnością, kiedy tylko pan sobie życzy.

- Na pewno?

- Och, oczywiście. - Szczupła twarz była teraz zupełnie poważna. - Ale żeby to panu udowodnić, moglibyśmy się tam wybrać choćby w tej chwili. Mogę to zrobić przechodząc koło kościoła, a Mike potwierdzi jutro rano.

- Wy dwaj posługiwaliście się już bronią? - zapytał Ward, patrząc w kierunku Tima Regana i Szkota.

Tim Regan miał trochę niepewną minę, ale Hamish McNabb potwierdził: - Jeśli miałbym przyjemność trzymać w ręku jakąś strzelbę, to z pewnością wiedziałbym jak się nią posłużyć. Nie może pan mieć lepszego kandydata. Całą młodość spędziłem w wojsku, włócząc się po świecie. Nie zawaham się pomóc komuś w potrzebie.

Zamierzał dalej snuć swoją opowieść, ale Ward przerwał mu krótkim: - Tak, tak. - Nigdy dotąd nie spotkał tego człowieka, ale zdziwiło go, że ktoś mówiący z taką swadą i płynnością mieszka dotąd w Hollow. Ale w tym momencie coś sobie przypomniał: nie zetknął się z nim osobiście, ale widywał go. Tak, to przecież on prowadził strajk górników, a teraz z pewnością umieszczono go na czarnej liście. Był w wojsku, do kopalni trafił znacznie później, i to by wyjaśniało, dlaczego nie odznaczał się tak charakterystyczną dla górników umiejętnością godzenia się z wieczną harówką. - Będiesz miał broń - powiedział zdecydowanie. - Ale najpierw chciałbym się czegoś jeszcze dowiedzieć. Jakiś trzeci mężczyzna był zamieszany w napad - zwilżył wargi i dodał - na moją córkę. Nie wiem, jak się nazywa. Kościelny był jednym z nich.

Pete Mason drugim - to imię przeszło mu przez gardło z trudnością. - Ale chciałbym, żeby któryś z was dowiedział się, kto im towarzyszył, kiedy wrócili do stodoły tej... krytycznej nocy.

- Och, od razu mogę panu podać jego nazwisko, sir - Szkot znowu odezwał się szybko. - Jeśli przyszedł z Willem Smythe'em i farmerem Masonem, to nie mógł być nikt inny jak kuzyn Smythe'a. Nazywa się Wilberforce. Mieszka w Walker's Bank, pięć minut drogi od gospody. Kręcił się w ich towarzystwie. Byłem tam tej nocy. Można się było napić za darmo. - Odwrócił się do swoich towarzyszy i przesunął po nich wzrokiem. - Wszyscy byli pod dobrą datą - powiedział z uśmiechem. - Jestem tego absolutnie pewny. Nie zalani w trupa, bo nieźle trzymali się na nogach, ale na dobrej drodze, aby po tańcach w stodole zapamiętać, gdzie mieszkają. Tak, to był Wilberforce. Wszystko się wyjaśniło, sir.

W przedłużającej się ciszy pięciu mężczyzn spoglądało na Warda, który wpatrywał się w zaśmieconą słomą podłogę, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej złożony na czworo kawałek papieru. Rozejrzawszy się wokół, jakby w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby go położyć, skierował się w stronę szerokiej belki wspierającej dach. - Przynieś latarnię - rzucił Mike'owi, rozwijając kartkę. - Podejdźcie tutaj - dodał, zadowolony ze swojej pozycji. - Przytrzymaj papier na dole i na górze - polecił Robowi, po czym zaczął wyjaśniać. - To jest plan tarczy kościelnej. Dam wam instrukcje, które pozwolą zrealizować mój plan, przynajmniej częściowo. A teraz do rzeczy. Ale zanim przejdę do szczegółów, muszę was poprosić, abyście zebrali się tutaj o szóstej rano w niedzielę, zachowując absolutną ciszę - powtórzył - absolutną ciszę. - Przerwał na chwilę, po czym podjął: - Który z was ma syna potrafiącego coś szybko załatwić?

- Mój najmłodszy syn ma dziesięć lat. To dobry chłopak i ma parę w nogach - odezwał się Tim Regan.

- Będzie musiał pobiec w dwa miejsca. Ale nie mów mu nic na zapas. Po prostu przyjdź z nim rano. A teraz wasze pozycje. - Po kolei wskazał każdemu mężczyźnie jego miejsce. - A to wasze zadania.

W czasie tej prezentacji wszystkim bez wyjątku oczy rozszerzyły się ze zdumienia. A kiedy Timowi Reganowi wyrwało się: - Święta Matko Boska! - Ward zareagował ostro: - Chyba strach cię nie obleciał?

- Nie... Nie, nie, nie, sir. Nigdy w życiu nie trząsałem się ze strachu.

- No, to teraz to się może zdarzyć, bo jeśli ktoś was rozpozna, będziecie mieć kłopoty. Ja jestem na to przygotowany, ale wy powinniście się jakoś zamaskować.

- Tak, panie. - Mike roześmiał się. - Możemy się zamaskować, ale jak tylko otworzymy usta, to i tak wszyscy nas rozpoznają. Jeśli nie każdego z osobna, to przynajmniej będą wiedzieli, gdzie mieszkamy. Rozumiem, że chodzi panu o kłopoty z policją? Będziemy poszukiwani?

- Dokładnie - stwierdził Ward otwarcie.

- Jeśli chodzi o mnie, to nie zamierzam się maskować. Nie wiem, co myślą inni. - Rozejrzał się po swoich towarzyszach, a Szkot stwierdził: - Nigdy dotąd nie zakrywałem twarzy i teraz też nie mam zamiaru. Bez względu na to, czy mam zwinąć pensa, czy funta. Tak uważam.

- A... ja też. - Tim Regan kiwał teraz głową z przekonaniem.

- Dziękuję wam. W takiej sytuacji dam wam pisemną gwarancję, że jeśli zostaniecie aresztowani, wasze rodziny będą pod moją opieką, bez względu na to, jak długo posiedzicie w więzieniu.

- Nie można tego lepiej wyrazić. Jest pan prawdziwym Anglikiem i to bardzo szlachetne z pana strony.

Ward szybko zerknął na Szkota. Zdawał sobie sprawę z tego, że ma przed sobą człowieka, który z pewnością nie będzie czapkował przed żadnym panem. I nie budziło to jego zachwytu, chociaż wiedział, że takie zachowanie było uwarunkowane dumą, zupełnie taką samą jak jego własna. - Jeśli będę miał do was jeszcze jakieś sprawy, to wszystko przekażę Mike'owi - dodał.

Opuszczając stodołę i pogrążając się w mroku słabo oświetlonego podwórka, odwrócił się w kierunku stojących razem mężczyzn i powiedział: - Wam samym również będzie należała się zapłata, bez względu na rezultaty.

- Dziękujemy. Dziękujemy, sir - odpowiedzieli chórem.

W domu Ward poszedł prosto na górę, do swego pokoju, gdzie usiadł na krześle przy wezglowiu łóżka, położył głowę na poduszce tam, gdzie kiedyś sypiała jego żona, i jak co dzień zaczął do niej mówić.

- Czy jestem szalony, Fanny? - zapytał. - Jestem szalony? Co mnie opętało? - I tak jakby słyszał jej odpowiedź, mówił dalej: - Tak. Tak. W chwili, kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem już, co mam zrobić, ale nie miałem pojęcia, jak tego dokonać. Ale teraz już wiem. - Przez pewien czas przyglądał się swojej ręce leżącej na poduszce, po czym stwierdził: - Wiem, że się z tym nie zgadzasz. Wiem... Wiem, że się nie zgadzasz, najdroższa, tak samo zresztą, jak nie aprobujesz wyjazdu Carla. Ale co się stało, to się nie odstanie, zawsze tak mówiłaś, a on to potwierdził. Ale ja, to ja, Fanny, to ja. Nawet twoja przyjazna dłoń i twe łagodne słowa nie powstrzymają mnie przed dokonaniem zemsty.

Chwilę odczekał, po czym podjął: - A poza tym, Carl tutaj zostanie i ożeni się z tą dziewczyną. Rozumiesz to, prawda? Zawsze mówiłaś, że ona jest mu

przeznaczona, chociaż ja tego, mój skarbie, nie widzę. Ale, co będzie, to będzie, on zaopiekuje się dziewczynkami... Jak myślisz, ukochana, jak to się skończy? Och, nie znikaj. Proszę, nie znikaj. - Pochylił się niżej i przytulił twarz do poduszki. - I nie pytaj, dlaczego nie mogę pozwolić ci odejść. Mówiłem ci już. Wydało mi się, że to jest możliwe, bo Angela była twoim drugim wcieleniem, ale teraz sama widzisz, co się stało: ona odeszła ode mnie. Nie mogę znieść tej agonii, Fanny. Fanny, nie odchodź. Nie odchodź.

Podskoczył na dźwięk pukania do drzwi, poprawił chustkę na szyi, przecesał włosy i powiedział: - Proszę.

- Przyjechał doktor - zawiadomiła go Jessie, wchodząc do pokoju. - Przeprasza, że nie mógł pojawić się wcześniej.

- Za chwilę zejde. - Ręką dał delikatnie znak, że ją odsyła. Stał teraz, wpatrując się w drzwi, po czym odwrócił wzrok w kierunku łóżka i wgłębienia w poduszcze, gdzie przed chwilą położył głowę. Ponownie zadał sobie pytanie, czy przypadkiem nie ogarnęło go szaleństwo, chociaż pozornie zdawał się zachowywać przytomność umysłu. Odpowiedź brzmiała: jeżeli naprawdę tak było, to ten stan trwał już od jakiegoś czasu, ponieważ on sam nie widział już możliwości powrotu do normalnego świata, bo w tym pokoju czuł jej obecność. Wiedział, że ona tu jest. Zawsze na niego czekała, zgodnie z jego pragnieniem. Czasami zastanawiał się jedynie, czy to przebłyski jego zdrowego rozsądku pozwalały jej krzyknąć: „Pozwól mi odejść!”.

Jak to się wszystko skończy? Tam, gdzie przebywa ta szalona dziwka, która rzuciła na niego klątwę? Tak, było takie wyrażenie „rzucić klątwę”. Można na kogoś sprowadzić nieszczęście. On z grobu sprowadził ducha Fanny, a teraz zamierzał sprowadzić hańbę na wieś. To, co chciał zrobić, na całe wieki okryje wieś niesławą. Duma hipokrytów zostanie zdeptana. Jego zdaniem, przynajmniej do tego miał prawo.

Rozdział piąty

Kiedy dwoje pierwszych wiernych, państwo Napier z Lodden, przekroczyło próg kościoła Świętego Stefana, od razu wiedzieli, nie tylko przeczuwali, że coś się kroi. Panna Steel, nowa nauczycielka w wiejskiej szkole, która przejęła obowiązki organisty, Johna Silburna, cierpiącego na przykurcz dłoni, nie wykonywała swych cotygodniowych obowiązków, a oni doskonale wiedzieli, że gra na organach była wyszczególniona w jej kontrakcie, ponieważ kościół patronował szkole. A poza tym, co się stało z tęczą? Lewa strona tęczy była całkowicie zasłonięta czymś, co wyglądało jak słomiana mata, od góry podtrzymywana słupami, a na dole umocowana trzema potężnymi kamieniami.

Ale w jakim celu? Nie słyszeli, żeby coś działo się z tęczą. Gdyby ją przykrył jakiś idiota, wkrótce mówiono by o tym w całej wsi.

To samo pomyślała reszta wiernych, kiedy zajmowali swoje miejsca. Od czasu do czasu dały się słyszeć szepty rozlegające się tu i tam: - Co się mogło stać z tęczą? A poza tym, nikogo nie ma na galerii przy organach.

Bicie dzwonu zdawało się jedynym dźwiękiem typowym dla kościoła.

Jak zwykle okoliczne ziemiaństwo na samym końcu zasiadło w swoich ławkach. Z Border Manor przybyło sześć osób z rodziny Hopkinsów, co oznaczało, że ktoś przyjechał do nich na weekend. Bedfordów reprezentowały ostatnio tylko dwie osoby, ponieważ ich córka już wiele lat temu przeszła do kościoła metody stycznego. Następnie Arkwrightowie. Oni zjawili się we wsi stosunkowo niedawno, jakieś sześć lat temu. Zamieszkali w Whiteberg Farm, a pana Arkwrighta nazywano szacownym farmerem. Ostatni tego ranka przybyli Ramsmore'owie.

Powszechnie zauważono, że pułkownik zdecydowanie posunął się w latach, a jego synowi z ledwością udało się powstrzymać go przed upadkiem, gdy tamten potknął się o ławkę.

Kiedy zamilkły dzwony, w kościele zapanowała dziwna cisza. W tym momencie pastor w towarzystwie ministrantów zazwyczaj wyłaniał się z zakrystii, a chór czekał już na galerii. Ale tego ranka nikt się nie pojawił, nie słyhać było szelestu komży, a na horyzoncie ukazała się jedynie rodzina Youngstonów, która szybko skryła się w ostatniej ławce, uciszając przy tym czwórkę dzieci.

A potem nastąpiła cała seria przedziwnych zdarzeń.

Po pierwsze: drzwi kościoła zamknęły się z łoskotem, a kiedy wszystkie głowy odwróciły się w tamtym kierunku, zauważono jakiegoś dziwnego

człowieka dzierżącego coś pod pachą. Ci, którzy siedzieli najbliżej, z początku sądzili, że to strzelba, ale z pewnością nie mieli racji.

Po drugie: uwagę wiernych zwróciła teraz przestrzeń pomiędzy ołtarzem a tęczą, gdzie pojawiło się dwóch mężczyzn. Jeden z nich z całą pewnością trzymał strzelbę. Właśnie zszedł po schodkach i zbliżył się do zakrytej tęczy. Strzelba wymierzona była tak, by nie pozostawić żadnej wątpliwości, że może zostać użyta.

Zdziwieni wierni do tej pory zachowali milczenie, ale teraz, gdy mężczyzna skierował się na ambonę, dało się słyszeć pierwsze zbiorowe westchnienie, gdyż nawet ci siedzący z tyłu lub wyciągający szyje spoza filarów natychmiast rozpoznali farmera, Warda Gibsona.

Przez całe dzieciństwo i wczesną młodość Ward obserwował, jak pastor Tracey po schodkach wchodził na ambonę. A teraz sam się tam znalazł, wpatrując się w morze twarzy i rozdziawionych ust. Już od tygodnia planował to zrobić, chociaż czasami zastanawiał się, czy starczy mu odwagi oraz jak zareaguje, gdy będzie zmuszony opowiedzieć o ciężkich doświadczeniach swojej córki. Ale w tym momencie poczuł się dziwnie spokojny, chociaż był to pozorny spokój, jako że zdawał sobie sprawę, że musi trafić wprost do serc wiernych, aby na zawsze zapamiętali to, co miał im do powiedzenia.

Przebiegł wzrokiem po zebranych, po czym odezwał się spokojnie: - Być może niektórzy z was nie wiedzą, dlaczego dzisiaj zajmuję miejsce tego hipokryty pastora. Więc wszystko wam wyjaśnię. Stoję tutaj przed wami z powodu trzech mężczyzn, wierzących, bogobożnych obywateli, tak niktzemnych, że nie zasługują, aby żyć.

Jak wszystkim zapewne wiadomo, mam dwie córki, którym od czasu, gdy ta szalona kobieta, Daisy Mason, zabiła moją żonę, usiłowałem zapewnić ochronę, bo chociaż sprawczyni mego nieszczęścia została zamknięta w szpitalu, ciągle czułem groźbę wiszącą nade mną i moimi dziećmi. Według opinii ogółu miałem dokładnie to, na co zasłużyłem, ponieważ ośmieliłem się poślubić kogoś innego niż ta oszalała dziwka, której nigdy nie obiecywałem małżeństwa. Dziewczyna, którą poślubiłem... kobieta, którą poślubiłem, wyrastała ponad wszystkich tutaj zebranych. Była inteligentną, kulturalną osobą. To prawda, była również tancerką, ale taki zawód odziedziczyła po rodzicach. Byli artystami, a o takiej profesji nikt z was, bez względu na status społeczny, nie ma pojęcia.

Przebiegł wzrokiem po pierwszych rzędach i podjął:

- W zeszły poniedziałek wieczorem pozwoliłem moim córkom wziąć udział w pokazie magicznej latarni, zorganizowanym przez pastora Noble'a. Zostały tam odprowadzone, a mój człowiek właśnie szedł, aby je stamtąd zabrać. Ale

zachęczone księżycową nocą nie poczekały na niego, tylko ośmieliły się - wychylił się nad pulpitem - ośmieliły się samotnie przejść obrzeżem wsi. Słyszycie mnie? Ośmieliły się iść samotnie. I na pierwszej w życiu samotnej przechadzce spotkały trzech mężczyzn. - Wyprostował się i nabrał powietrza w płuca.

- Moja córka Angela, replika swojej matki, ale jeszcze drobniejsza - głos mu się lekko załamał - właśnie skończyła piętnaście lat i dopiero niedawno stała się kobietą.

Znowu pochylił się nad pulpitem, tym razem niżej, po czym, przechylając głowę z boku na bok na chwilę zatrzymywał wzrok na niektórych kobietach. - Właśnie stała się kobietą - powtórzył. - I... została oderwana od swojej siostry i zaciągnięta na pole, podczas gdy inny napastnik zaatakował moją drugą córkę i podarł na niej ubranie. Jej samej, na szczęście, udało się uciec. Ale co z moją malutką Angellą? Wielu z was, a w zasadzie wszyscy, kiedyś ją widzieliście. Jest drobniutka, krucha, zupełnie nie przypomina piętnastoletniej wiejskiej dziewczyny. Pochodzi z innej sfery, tak samo jak jej matka. - Przerwał na chwilę, ale w kościele nie rozległ się żaden szmer, nikt nie zakasłał, nikt się nie poruszył. I wtedy jego donośny, wysoki głos zabrzmiał prawie jak krzyk, który zelektryzował zgromadzonych. - Została zgwałcona przez trzech mężczyzn! Nie jednego... nie dwóch, ale trzech. - Pochylił głowę, wpijając paznokcie w pulpity. Kiedy podniósł wzrok, zdziwił się nieco słysząc płacz kobiet. Ale zupełnie go to nie wzruszyło i ciągnął dalej: - Znalazł ją młody mężczyzna, który na jej widok doznał takiego szoku, że z pewnością nie zapomni tego widoku do końca życia. - Zerknął teraz na Geralda siedzącego z pobludłą twarzą i przygryzającego dolną wargę. - Przez dwa dni nie odzyskała przytomności i do dzisiejszego poranka nie odezwała się ani słowem. A doktor Patten nie daje mi żadnej nadziei, że ona kiedykolwiek odzyska zdrowie. Co więcej, widok mężczyzny wprawiają w śmiertelne przerażenie... nawet mój widok - palcem wskazał na siebie - a ja kocham ją chyba jeszcze bardziej niż jej matkę.

Znowu pochylając się do przodu i podnosząc głos, powiedział: - Ale to nie koniec, drodzy państwo. To nie koniec. Miną jeszcze dwa, może nawet trzy miesiące, żebyśmy mogli dokładnie powiedzieć, co się dzieje w jej ciele, poza tym, co widać w tej chwili.

Jakiś człowiek podniósł się z miejsca i krzyknął: - Dość tego! Dość! - po czym spojrzał na swoją żonę, nisko chylącą głowę.

- Nie, jeszcze nie - stwierdził Ward. A kiedy po chwili dodał: - Dopiero zacząłem - po sali przeszedł dreszcz grozy.

Cofnął się o krok, jakby zamierzał zejść z ambony, ale zatrzymał się i powiedział, wskazując na stojącego przy tęczy mężczyznę: - Radziłbym wszystkim i każdemu z osobna nie ruszać się z miejsc. - Po czym odwrócił się i zszedł po stopniach ambony.

Wszystkie oczy śledziły go z uwagą, kiedy przechodził przed ołtarzem i zapukał do drzwi zakrystii. Ukazał się w nich kolejny uzbrojony mężczyzna, a w ślad za nim, maszerując na palcach, podążał pastor Tracey, na którego widok wierni zamarli. Nie było wątpliwości, że pastor ma związane z tyłu ręce i zakneblowane usta. Jego śladem kroczyli ministranci, młodzi chłopcy rzucający w stronę rodziców błagalne spojrzenia. Procesję zamykało siedmiu członków chóru i nauczycielka pełniąca funkcję organisty.

Mężczyźni wyglądali na zakłopotanych, ale kobieta dumnie trzymała głowę. Dzwonnik ukazał się na samym końcu. Ten starszy mężczyzna uśmiechał się, jakby całe zdarzenie uważał za dobry żart. Zmienił zdanie kilka minut później, kiedy ustawiono ich w szeregu po prawej stronie zakrytej tęczy i, jak wszyscy pozostali, zobaczył dwóch mężczyzn wchodzących za tęczę.

Wkrótce stało się jasne, że coś rozluźnili, ponieważ ciężka płachta i podtrzymujące ją słupy zaczęły opadać. Mężczyźni szybko zjawili się ponownie, akurat na czas, aby zebrać materiał i podpórki. Odłożyli je na bok w nieładzie...

To, co ukazało się oczom zebranych, najpierw zostało powitane nabrzmiałą przerażeniem całkowitą ciszą, potem zbiorowym westchnieniem, a następnie tu i ówdzie odezwały się głośne protesty lub jęki. Trzy kobiety zemdlały, padając na krzesła albo na podłogę, ponieważ tam, na tęczy, rozpostarci byli trzej nadzy mężczyźni. Ogarnięci wstydem, nie mogli nawet pochylić głowy, ponieważ zostali dokładnie przymocowani do ozdobnych okuć. Jedynie ich oczy błyskały dzikim przerażeniem.

Teraz z różnych stron kościoła dało się słyszeć krzyki i płacz. Niektórzy wzywali Boga, inni, przeważnie mężczyźni, sugerowali, że to już zdecydowanie dość. - Jeszcze nie! To nie wszystko - zareagował Ward, kiedy dotarł do niego ten ostatni okrzyk. Zrobił kilka kroków do przodu, sięgnął za tęczę i wyjął stamtąd rozwidlony na końcu bicz, na widok którego pułkownik wydał zduszony jęk. Ale kiedy przeszedł do nawy bocznej, kierując się w stronę Warda, głos Mike'a Riley'a wzbiał się ponad tłum: - Niech pan zostanie na miejscu! - Zrobił krok do przodu, mierząc z dubeltówki. - Jeszcze jeden krok, pułkowniku, a rozwalę panu kolana tak, że przez wiele miesięcy trzeba będzie wydłubywać śrut.

Trudno stwierdzić, czy to go powstrzymało, czy też pohamowała go lady Lydia, która opiekuńczym gestem objęła go za ramiona i pociągnęła z powrotem

do ławki. Jednakże nic nie powstrzymało go przed rzuceniem Wardowi: - Zapłacisz za to, człowieku! Osobiście tego dopilnuję.

- Bez wątpienia. Bez wątpienia, pułkowniku. Zapłacę za to, zresztą jak zawsze, ale zrobię to z przyjemnością.

Ruszył teraz w kierunku Mike'a, pokazując mu, aby tamten się cofnął, po czym podszedł do kościelnego i patrząc w jego wykrzywioną strachem twarz, dwukrotnie uderzył batem w wypasiony brzuch. Ciosy wstrząsnęły tłustym, obleśnym cielskiem tak, że aż zadrżała tęcza.

Pozornie nie słysząc płaczu kobiet i krzyków dzieci, Ward przesunął się do Pete'a Masona. Tym razem dłużej spoglądał w pałające nienawiścią oczy, zanim ponownie wymierzył karę, tym razem trzy baty.

Nie wahał się podchodząc do trzeciego mężczyzny, który schwytyany w pułapkę poddał się bez walki: podstępnie usiłował zwalić winę na pozostałych, twierdząc, że robił, co mu kazano. Przeszedł w stronę prześwitu w tęczy i spojrzał na zebranych w kościele. Niektórzy płakali, kilka osób krzyczało, a pozostali stali w całkowitym milczeniu. Zbliżył się do mężczyzny i kobiety, którzy właśnie rozwiązywali pastorowi spętane nadgarstki. Z ust wyjęli mu knebel, więc dyszał ciężko, gdy Ward odezwał się do niego: - Teraz wszystko zależy od ciebie. Będiesz wiedział, gdzie mnie szukać, kiedy przybędzie policja, pastarze. A my to sobie teraz zabierzemy, dobrze?

- Zapłacisz... zapłacisz mi za to, Wardzie Gibson! - wrzasnął pastor. - Bóg... zbecześciłeś dom Boży.

W odpowiedzi Ward ruszył w kierunku mężczyzny stojącego przy wejściu do kościoła i jego towarzysza trzymającego broń gotową do strzału. Pozostali dwaj wynurzyli się zza tęczy i zwinęli zakrywającą ją matę. Po czym wszyscy w ślad za Wardem ruszyli do zakrystii.

Kiedy zatrzasnęły się za nimi drzwi, gwar w kościele na chwilę umilkł, ale jakoś nikt nie śpieszył się, aby uwolnić przywiązanych mężczyzn. Wreszcie kilka osób ruszyło do przodu - jedni stanęli tak, aby zasłonić nagie ciała, podczas gdy pozostali od tyłu tęczy rozwiązywali supły lin krępujących więźniów.

Jakiś samotny głos zawołał: - Trzeba wezwać doktora! - ale zagłuszył go inny: - Bardziej przydałaby się policja, bo jak im to wytłumaczymy, jeśli sami tego nie zobaczą na własne oczy. Już po nich jadę. - Nie. Nie!

Pastor, wczepiony w pulpit, powtórzył głośno: - Nie! Nie! Posłuchajcie mnie. Posłuchajcie... wszyscy. On właśnie na to liczy. Nie widzicie tego? Chce, żebyśmy sprowadzili tutaj policję. Chce, aby odbyła się rozprawa sądowa i żebyśmy zostali obsmarowani w gazetach w całym kraju, ponieważ pragnie naszej hańby. Nie widzicie tego? Nie widzicie? - Z rozpostartymi ramionami

kołysał ciałem z jednej strony na drugą, próbując wyrzeć na słuchaczach większe wrażenie.

I rzeczywiście, propozycja upadła, a tylko tu i ówdzie słychać było jęki kobiet i płacz dzieci. - Jeżeli to wydarzenie zostanie opisane w gazetach - dalej ostrzegał pastor - to mieszkańcy wsi nigdy już nie będą mogli z godnością podnieść głowy i czym to się skończy? Stanie się tradycją, że ludzie nawet z daleka będą przyjeżdżali, aby zobaczyć tęczę, zbezczeszczoną przez plugawych ludzi. Boże, przebacz im, bo ja tego nigdy nie zrobię. Mój... wasz kościół, dom Boży, stanie się miejscem taniej rozrywki dla gawiedzi. Już to widzę oczami duszy! Młodzi chuligani z miasta zaczną tu przyjeżdżać, bo jakiś maniak na własną rękę postanowił wymierzyć sprawiedliwość i do świętej ramy przywiązał trzech nagich mężczyzn, po czym ich wychłostał. Nie rozumiecie tego? Nie widzicie nagłówek w gazetach? - Znowu przerwał na chwilę, opuścił ramiona, złączył dłonie i w błagalnym geście wyciągnął je w stronę wiernych. - Wspólnie przeżyjmy tę hańbę. Nawet między sobą nie rozmawiajmy na ten temat. Trzej mężczyźni, którzy dopuścili się tego gwałtu, będą cierpieć do końca życia, wyklęci przez wszystkich porządnych obywateli. - Tutaj podniósł głos i dokończył: - Tak samo zresztą jak człowiek, który w domu Bożym dopuścił się dzisiaj świętokradztwa. Ten mężczyzna już od wielu lat był zakałą wsi, sprowadził nieszczęścia na bogobojną rodzinę, przez niego zamknięto w odosobnieniu członka tej rodziny, był przyczyną przedwczesnej śmierci matki tej rodziny, która umarła ze zgrzyoty. Ward Gibson jest złym człowiekiem i...

Nagle nie tylko pastor został zaskoczony, ale również wierni z pierwszych rzędów najlepszych ławek, ponieważ młody Gerald Ramsmore wyskoczył do nawy, krzycząc: - On nie jest złym człowiekiem, ale człowiekiem, który zbłądził. Dzięki pańskiemu ograniczeniu umysłowemu, sir, mieszkańcy wsi odwrócili się od niego. Tak, boi się pan, że ktoś mógłby wezwać policję, bo wtedy wyszłaby na jaw pańska hipokryzja, zresztą tak samo jak hipokryzja wielu innych, regularnie chodzących do kościoła osób. A dlaczego przychodzą na msze? Niech mi wolno będzie powiedzieć: nie z miłości do Boga, ale ze strachu, gdzie pan umieściłby ich w tej tak zwanej społeczności.

- Uspokój się! Trzymaj język za zębami, sir! Rozkazuję ci. Podejdz do mnie w tej chwili - dało się słyszeć nagłe warknięcie.

Gerald Ramsomore obejrzał się i spojrzął na nabiegłą krwią twarz swojego ojca. - Zamierzam powiedzieć tutaj, co myślę - powiedział. - Pamiętaj, ojcze, że to właśnie ja znalazłem to biedne dziecko, zgwałcone przez trzech okrutnych zbirów. - Szerokim gestem wskazał na wyprowadzanych właśnie do zakrystii mężczyzn, po czym podjął: - Gdyby któraś z obecnych tu osób widziała, w jakim

stanie ją wtedy zostawili, z pewnością nigdy by.... tak jak ja nigdy, do śmierci nie zapomnę tego widoku.

Ponownie skierował wzrok na ojca i wykrzyknął: - Coś ci powiem, sir! Żałuję jedynie, że nie poproszono mnie o pomoc w dzisiejszym spektaklu. Tak, z chłostą włącznie.

Gerald spojrział teraz na matkę, która przyglądała mu się błagalnym wzrokiem, przytrzymując męża i próbując go uspokoić, i na chwilę spuścił głowę. Wiedział, że posunął się za daleko: ojciec był już starym człowiekiem. Ale przynajmniej wobec siebie pozostał uczciwy. Teraz, dumnie podnosząc głowę, na oczach tłumu wymaszerował przez środek głównej nawy, po raz kolejny tego ranka budząc zdziwienie zgromadzonych w kościele.

Ci, którzy właśnie opuszczali swoje ławki - kobiety często podtrzymywane przez swoich towarzyszy - zatrzymali się na dźwięk głosu pastora.

- Mogę wam przedstawić dowód prawdziwości moich słów - powiedział drżącym głosem - zło wywołuje niezgodę nawet w najlepszej rodzinie. A wy już sami wiecie, gdzie to konkretne zło ma swoje źródło.

Rozdział szósty

Jak mogłeś zrobić coś takiego, Geraldzie! I to swojemu ojcu. Sprzeciwić mu się w ten sposób, i to na oczach całej wsi! Och, wiem, że ten człowiek miał ciężkie życie, a teraz taka historia z jego biedną małą córeczką. Ci ludzie powinni być ukarani. O tak, zdecydowanie. T poparłabym go całym sercem, bez względu na opinię twojego ojca, ale miałabym dość rozsądku, żeby swoje sądy zachować dla siebie. Co cię napadło?

Gerald patrzył na kobietę, którą uwielbiał i której decyzji o poślubieniu jego ojca nigdy nie mógł zrozumieć. Co, na Boga, widziała w tym starzejącym się sztywniaku o ciasnych poglądach, który uważał, że armia jest kwintesencją życia. I chociaż ich związek trwał już ponad dwadzieścia lat, jakoś trudno mu było sobie wyobrazić, że dawniej był zupełnie inny.

- Przykro mi, jeśli go zdenerwowałam, ale ktoś musiał to powiedzieć - odezwał się łagodnie. - Pan Gibson jest dobrym człowiekiem - ty sama zawsze tak uważałaś i sama wiesz, że od ślubu ze swoją malutką śliczną żoną był źle traktowany.

- Tak, wiem... wiem. - Klasnęła w dłonie. - Osobiście nawet go lubię, ale nie zapominaj, że całe zamieszanie zaczęło się właśnie w momencie jego ślubu z tą uroczą filigranową kobietką. Przecież on odrzucił dziewczynę, z którą przyjaźnił się przez całe lata i patrząc na to obiektywnie, oszukał nie tylko ją, ale również jej rodziców. Oni wszyscy uważali, że to całkiem poważne, więc z jego strony było to złamanie obietnicy. Od tego zaczęły się niesnaski w rodzinie Masonów. A teraz, Geraldzie, bez względu na to, czy w to wierzysz czy nie, on wprowadził ferment do naszego domu. Twoja kariera jest w tej chwili bardzo niepewna, ponieważ twój ojciec twierdzi, że nie będzie już dłużej finansował twoich studiów w Oksfordzie. Musisz wiedzieć, że sytuacja skomplikowała się, ponieważ nasze aktualne fundusze są bardzo ograniczone. Twoja edukacja już pochłonęła mały domek i kawałek ziemi. Weź również pod uwagę, że w drastyczny sposób musiałam zmniejszyć wydatki na dom i gospodarstwo.

Odwróciła się od niego i głosem nabrzmiałym łzami dodała: - To było z twojej strony niewybaczalne, Geraldzie, niewybaczalne. - Po tych słowach wybiegła z pokoju śniadaniowego i skierowała się do małej bawialni. Zamknawszy za sobą drzwi, zakryła twarz rękoma.

Drżała na całym ciele, chociaż nie z powodu chłodu panującego w pomieszczeniu, ale raczej z nerwów i niepokoju o przyszłe losy syna, którego ojciec zapowiedział, że jeśli chłopak nie wstąpi do wojska, on umywa ręce od

wszelkiej odpowiedzialności. A jednocześnie w głębi serca doskonale wiedziała, że żadna groźba nie była zbyt przekonująca, aby chłopaka zaprowadzić do armii.

Przeszła w głąb pokoju i usiadła na brzegu krzesła, zastanawiając się, co się działo z jej synem, jej ukochanym synem, z jej jedynym dzieckiem. Dlaczego tak się zmienił?

Nigdy nie zapomni wieczoru, który w jakimś sensie był zwiastunem dzisiejszej sceny w kościele. Zostawiła wtedy męża w pokoju bilardowym. Lubiła tę grę, ale jako osoba wychowana w świecie dyplomatów wiedziała, że grzeczność nakazuje, aby niekiedy dać fory przeciwnikowi. Często tak postępowała wiedząc, że jej mąż nie odznacza się już tak pewnym wzrokiem i ręką jak kiedyś. Dawno temu, na początku swego małżeństwa, odkryła, że mąż musi wygrywać na wszystkich frontach, a przegrana nigdy nie jest przez niego zawiniona. Tego wieczoru zostawiła go w doskonałym nastroju, ponieważ udało mu się kilka uderzeń. - Czy panicz Gerald już wrócił? - zapytała Roberta, wchodząc do holu.

- Tak, madam - odparł, patrząc w kierunku szerokich schodów. - Kilka minut temu. Ale - przerwał na chwilę - wydawał się zdenerwowany, madam.

Po takim stwierdzeniu wbiegła szybko na górę i nie słysząc odpowiedzi na pukanie, leciutko pchnęła drzwi. Zobaczyła, że jej synowi, rozciągniętemu na łóżku, drżą ramiona.

- Co się stało, Geraldzie? - podbiegła do niego z pytaniem.

Kiedy położyła mu dłonie na plecach, a on się nie odwrócił, nie mogła uwierzyć, bo nie chciała uwierzyć, że jej syn płacze, naprawdę płacze. Była tak zaskoczona, że przez chwilę dziękowała Bogu, że nie ma tam jego ojca.

Ona wychowała się wśród czterech braci i trzech sióstr. Od czasu do czasu siostry mogły zapłakać, jak na przykład Ann, kiedy otrzymała wiadomość o śmierci swego męża na polu chwały. Ale już brat, który na dwa dni przed ślubem stracił narzeczoną stratowaną przez konia, nie uronił ani jednej łzy, nawet na jej pogrzebie. Mężczyźni nie płakali. Nie, mężczyźni nie płakali. Nie, mężczyźni... nie płakali.

Odwracając go, odezwała się szorstko: - Co ci się z tobą dzieje, Geraldzie? Co się stało? Dlaczego płaczesz jak... - Nie dodała ani „dziewczyna”, ani „baba”, ponieważ chłopak zsunął się z łóżka i stojąc z pochyloną głową szukał w kieszeni chusteczki do nosa.

- Płacę, mamó - powiedział, wycierając oczy - jak zamierzałaś dodać, jak baba, ponieważ dzisiejszego wieczoru byłem świadkiem czegoś, czego nie zapomnę do końca życia: widziałem zgwałcone ciało młodszej córki pana Gibsona, tej malutkiej, podobnej do matki. Mamó, ona została zgwałcona,

zgwalczona przez trzech mężczyzn! Trzech mężczyzn. Trudno sobie wyobrazić, żeby jeden człowiek mógł ją tak skatować. Kiedy ją znalazłem, była nieprzytomna i może nigdy się nie dowiemy, w którym momencie straciła świadomość. Jej starsza siostra również miała ubranie poszarpane na piersiach. Gdy mnie spotkała, zachowywała się jak oszalała; właśnie udało jej się uciec od tych oprawców. Rozstaliśmy się kilka minut wcześniej. Podziękowały za moje towarzystwo, twierdząc, że księżyc jasno świeci, a Carl idzie im na spotkanie.

Pochylił się i chwytając ją za ramię, powiedział zduszonym głosem: - Wiesz, jak nienawidzę strzelania, strzelania do czegokolwiek. Ale tym razem marzyłem, żeby iść za tymi mężczyznami, przynajmniej za tymi dwoma, których rozpoznała panna Jessie i wysłać ich do piekła.

- Och, Geraldzie, Geraldzie! To straszne! - wydusiła z siebie. Nie była jedynie pewna, czy jej przerażenie wzbudziła ta zbrodnia dokonana na dziewczynce, czy fakt, że to zdarzenie wzburzyło jej syna do tego stopnia, że gotów był zrobić to, co mówił, i wypłakiwał sobie oczy.

A teraz doznała kolejnego szoku, kiedy usłyszała: - Przez cały tydzień zastanawiałem się, dlaczego jej ojciec nic nie robi w tej sprawie. Ale zemsta, którą zaplanował, była znacznie bardziej dotkliwa niż to, co mi przychodziło do głowy. Ta zemsta mnie zachwyciła. Słyszysz mnie, mamó? Zachwycił mnie jego plan i, jak powiedziałem, mogę tylko żałować, że nie poprosił mnie o pomoc w wymierzaniu kary.

Już w czasie tej pierwszej bolesnej sceny niejasno zdała sobie sprawę z tego, że w jakimś sensie straciła syna, ponieważ mężczyzna, który się wtedy narodził, odznaczał się znacznie większym hartem ducha niż niejeden żołnierz.

Ale płakał. Nigdy nie będzie w stanie zapomnieć, że płakał, i to tak żałośnie.

Rozdział siódmy

Zarówno na farmie, jak i w Hollow, czekano na przybycie policji. A kiedy do poniedziałku wieczorem nie pojawił się ani posterunkowy, ani reporter z kolumny skandali, Annie powiedziała do Carla: - Nie mogę uwierzyć, że coś takiego zamierzają puścić płazem. Może zapomnieliby o biczowaniu, ale nie darują wystąpienia z bronią.

- A poza tym była niezła szamotanina, zanim udało się ich związać. Mówią, że Pete Mason zostawił ślady swoich butów na Johnnie Mullinsie, który w efekcie ma pękniętą goleń. Ale obydwaj, on i ten Wilberforce, musieli być porządnie przestraszeni, kiedy okazało się, że kościelny również wpadł. Mike mówił, że skakali po zakrystii jak króliki. Ale gdy Mason zrezygnował z dalszej walki, ten drugi stał się łagodny jak baranek. No, dostali, co im się słusznie należało. Żałuję tylko, że mnie przy tym nie było.

- Patsy mówi, że nie ma żadnej poprawy - odezwał się Carl, podnosząc wzrok do góry. - Jeśli już pytasz mnie o zdanie, to wydaje mi się, że nigdy nie będzie lepiej - odparła Annie. - Ona już za daleko odeszła do innego świata, tego wypełnionego strachem. Jednego mogę być pewna, ona nigdy nie przestanie bać się mężczyzn, a on to odchoruje. Zapamiętaj moje słowa. I tylko Bóg wie, ile on jeszcze przecierpi. Ale kto to wie? - Spojrzała na Carla, siedzącego z drugiej strony stołu, i dodała: - Przynajmniej jedna rzecz się wyjaśniła w związku z tą sprawą: on nie może sobie poradzić bez ciebie. W gruncie rzeczy nie może sobie poradzić bez was obojga, ponieważ ktoś musi również pomóc pannie Jessie, bo bez chwili wytchnienia ona również szybko wpędzi się w chorobę. Ale to dziwne - Annie pokiwała głową i powtórzyła - to bardzo dziwne, że taka młoda dziewczyna tak się wszystkim zajmuje, a przecież jej własny ojciec nawet nie zauważył, że ona też ma kłopoty. Angela i Angela, przez cały czas, ale oczywiście ty, ponieważ jesteś dla niej jak matka, możesz to zrozumieć. A teraz, kiedy trudno mu znaleźć pocieszenie, wreszcie zauważył swoją pierworodną. I chociaż w tej chwili specjalnie nie okazuje jej uczuć, to w przyszłości będzie z pewnością musiał szukać jej wsparcia.

Annie odwróciła się do pieca i cichnym głosem dokończyła: - Naprawdę zabawne. A ona zawsze tylko chciała usłyszeć jakieś dobre słowo, słowo wyrażające uczucie, ale tego się nie doczekała.

Następnego dnia niezobowiązującą wizytę na farmie złożył Fred. W ostatnich latach jego chłopięca i młodzieńcza przyjaźń z Wardem trochę się rozluźniła, ponieważ ten skoncentrował się na własnych problemach. A teraz Fred zapukał do kuchennych drzwi i gdy Patsy je otworzyła, powiedział: - Witam wszystkich.

- Dzień dobry - odparła i rzuciła okiem na Annie, która właśnie odkrawała mięso od kości. - To pan Newberry! - krzyknęła.

- Wejdz, Fred. Proszę - powiedziała Annie. - Dawno cię u nas nie było.

- Tak, Annie, rzeczywiście. Ruch w interesie. Jak się miewasz?

- Doskonale, Fred, doskonale. Przynajmniej od pasa w górę. O reszcie lepiej nie wspominać.

Uśmiechnął się do niej, a potem już z poważną twarzą powiedział: - Moja matka... to znaczy my wszyscy, bardzo się zdenerwowaliśmy tym ostatnim wydarzeniem, Annie. I ta biedna malutka Angela... Czy on jest gdzieś w pobliżu?

- Nie - stwierdziła. - W gabinecie, na końcu korytarza, gdzie spędza całe dni. Jest zupełnie rozstrojony. Rozumiesz chyba.

- O, tak. Tak. Czy sądzisz, że mógłbym wpaść do niego i zamienić kilka słów?

- Z pewnością, Fred. Przygotuję ci coś do picia, jak wrócisz.

- Z przyjemnością, Annie. - Ostrożnie przeszedł przez kuchnię, jakby nie był tu nigdy przedtem i uśmiechem pożegnał Patsy.

Kiedy zapukał do grzwi gabinetu, nie usłyszał w odpowiedzi „Proszę”, ale Ward otworzył je bez słowa i spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Pomyślałem sobie, że mógłbym wstąpić - odezwał się Fred. - Mam nadzieję, że nie... nie masz nic przeciwko temu.

Ward wpuścił go do pokoju. - Nie, proszę wejdz, Fred - powiedział, zamykając za nim drzwi. Wskazał mu krzesło, a sam zasiadł za biurkiem. - Pewnie dziwisz się, że tutaj spędzam czas - stwierdził burkliwie.

- Nie, człowieku, nie. Zdziwiłbym się, gdybym cię tutaj nie spotkał. To by znaczyło, że wszystko obróciło się przeciwko niemu.

- Obróciło się przeciwko niemu! Co przez to rozumiesz, obróciło się przeciwko niemu? O co ci chodzi? O czym ty mówisz?

- No... no, o niedzieli. Wiesz, że ja sam od lat nawet nie postawiłem nogi w kościele. Wiesz o tym. Ale wygląda na to, że niektórzy chcieli wezwać policję. A wtedy młody panicz z Hall wyskoczył i powiedział różne ciekawe rzeczy, które mi powtórzono. Jego ojciec, pułkownik, wrzeszczał na niego, a on nie pozostał dłużny. Oświadczył, że może zeznawać w sądzie... no wiesz - Fred spuścił oczy - w jakim stanie znalazł biedną, kochaną Angelę... - Po czym, spoglądając Wardowi prosto w twarz, podjął: - To przypieczerowało całe zdarzenie. W każdym razie, dość ostrożnie potraktowali oświadczenie Traceya, że wieś będzie teraz przyciągała takich zbirów, więc muszą trzymać gęby na kłódkę.

- Nachylił się do Warda i szeptem dodał: - Wiem jedno: prawie każdy w tym kraju zrobiłby to samo.

Ward nie skomentował tego stwierdzenia, ale przez chwilę trwał w milczeniu. W końcu Fred, zmieniając już ton, powiedział: - Charlie i jego chłopcy mają ci za złe, że nie poprosiłeś nas o pomoc. Stwierdził, że nic nie sprawiłoby mu większej radości niż parę kulek umieszczonych w brzuchu tych trzech zbójów, zresztą podobne głosy tu i ówdzie słychać we wsi. Nie uwierzysz, Wardzie, nigdy byś nie uwierzył, że tak wiele osób trzyma twoją stronę. Zawsze tak było. I zawsze sprzeciwiali się panowaniu starego Traceya. I wiesz co jeszcze, Wardzie? - Fred zniżył głos. - Wczoraj ojciec kazał mi pojechać do Hollow z dwoma koszykami wypieków, i to nie jakichś tam czerstwych, ale zupełnie świeżutkich, upieczonych wczoraj rano. Po prostu, żeby okazać nasze poparcie.

Ward oparł się o poręcz krzesła i spojrział na tego miłego, dobrodusznego człowieka, tak nieśmiałego, że z pewnością nie będzie miał okazji przeżyć wzlotów i upadków małżeństwa, ale jednocześnie gotowego czerpać radość z okazywania pomocy bliskim przyjaciółom i pozwalającego pomagać sobie. I w tym momencie poczuł się winny, że w gruncie rzeczy nie doceniał Freda, a nawet lekceważył go za tę jego dobroduszość. Ale teraz powiedział cicho: - Dziękuję ci. Podziękuj również swoim rodzicom. Powiedz im, że... że doceniam to, co zrobili i ich pomoc. Twoją też, Fred - dodał. - Tak, twoją też.

- Och - Fred energicznie kręcił głową - to drobiazg, chłopie. Drobiazg. Po prostu chcemy, żebyś wiedział, że jesteśmy z tobą, zawsze byliśmy. Mama prosiła, żeby ci powiedzieć, że jeśli tylko mogłaby ci w czymś pomóc, to wiesz, gdzie jej szukać. W dzień albo w nocy. Twierdzi, że bez trudu znajdzie z pół tuzina innych, którzy postąpiłoby tak samo. Kobiety są w takiej sytuacji bardzo pomocne, wiesz o tym, Wardzie.

Tego było za wiele. W tym momencie Ward nie mógł znieść już nic więcej. Poczuł ogarniającą go żalność. Szybko poderwał się na równe nogi, prawie przewracając Freda, i zapytał: - Piłeś już coś?

Fred roześmiał się i stwierdził: - Pewnie podejrzewasz, że wychyliłem już kieliszek czegoś mocniejszego, prawda? Annie powiedziała, że coś mi przygotuje.

- Świetnie. I dziękuję ci za wizytę, Fred. Tak jak mówiłem, podziękuj również swoim rodzicom i - przygryzł wargę i dodał: - Charliemu i całej reszcie.

- Oczywiście, Wardzie. Oczywiście. Powtórzę im.

W holu Ward, kładąc Fredowi rękę na ramieniu, delikatnie popchnął go w stronę kuchni. - Niedługo się zobaczymy.

- Tak, Wardzie, tak. Do zobaczenia.

Ward przez chwilę patrzył w ślad za przyjacielem, po czym pośpieszył na górę, do pokoju córki. Wchodząc do pokoju, zatrzymał się i spojrzał na swoją piękną, malutką Angełę, siedzącą na krześle umieszczonym przy łóżku, niewidzącym wzrokiem wpatrzoną w przestrzeń. Jessie była obok niej, trzymając na kolanach książkę, którą przed chwilą czytała na głos. Odwróciła się w stronę ojca i ledwo słyszalnym szeptem powiedziała: - Powoli.

A on zastosował się do jej polecenia. Na palcach zbliżył się do krzesła. Spojrzał na swoją córkę, a ona odwzajemniła jego spojrzenie i tym razem na jego widok nie wtuliła się w poduszki. Jessie uśmiechnęła się do niego i porozumiewawczo kiwnęła głową, ale kiedy dyskretnym ruchem dłoni nakazała mu opuścić pokój, odsunął się od łóżka i cichutko podszedł do drzwi.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Jessie pochyliła się w stronę nieruchomej figurki i powiedziała: - To był tatuś, kochanie. Przyszedł zobaczyć, jak się czujesz. Rozumiesz?

Twarzyczka odwróciła się w jej stronę, usta otworzyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. - Nie boisz się tatusia, kochanie - powiedziała Jessie. - On cię bardzo kocha. Nigdy, przenigdy, nie bój się tatusia. Widzisz przecież, że ja się go nie lękam.

Zdawało się, że głębokie westchnienie poruszyło drobną pierś, a Jessie mówiła dalej: - Podobała ci się ta historia, prawda? Opowiedziałam ci o dziewczynce z zapałkami. Kiedyś zawsze przy niej płakałaś, pamiętasz?

Kiedy Jessie podniosła książkę, żeby znowu zacząć czytać, pomyślała sobie: Boże, żeby tylko znowu udało mi się doprowadzić ją do łez. Ale i tak widać było pewien postęp. O tak, było coraz lepiej, bo na widok ojca Angela nie chowała się już w poduszki. Następnym razem powinien usiąść w nogach jej łóżka. W głowie zaświtała jej zadziwiająca myśl: wydawała mu polecenia, a on jej słuchał. Czowała się tak, jakby ogarnęła ją jakaś dziwna moc, ta sama, która pozwalała jej przetrwać i doglądać siostrę, chociaż niekiedy ją samą ogarniała jakaś słabość. W nocy dręczyły ją koszmarne sny, a kiedy zakładała bieliznę, czuła na sobie dotyk męskich dłoni.

Ale ojciec pomścił ją, pomścił je obie; oczywiście, bardziej Angełę. Tak, szczególnie Angełę. A gdyby to się przydarzyło tylko jej, czy wtedy ojciec posunąłby się do czynu, który w niedzielny poranek wstrząsnął kościołem? Czy przywiązałby nagich mężczyzn do tęczy i potem ich oćwiczył? Próbując w myślach wyobrazić sobie to zdarzenie, przysunęła książkę pod nos i zaczęła czytać, jakby miała nadzieję, że głośne słowa odpędzą złe myśli.

Rozdział ósmy

Sześć tygodni później okazało się, że Angela ma mdłości. Patsy właśnie przy niej czuwała. Udało jej się przekonać dziewczynkę, aby usiadła na stojącym przy oknie krześle. Sypialnia miała dwa okna, jedno wychodzące na podwórko, a drugie na tył domu, z widokiem na ogród.

Patsy i Jessie chciały ją właśnie posadzić przy tym ostatnim, prowadząc ją, jakby była niedołążną staruszką.

Powtarzały te czynności każdego ranka, dzień po dniu. Najpierw myły ją, następnie stawiały przed nią śniadanie, którego przeważnie nie była w stanie skończyć. Potem otulały ją w ciepły szlafrok i sadzały przy oknie. Nigdy nie zostawiały jej samej, chociaż dla dwóch dziewcząt było to trudne zadanie, jako że Annie, z powodu swoich spuchniętych nóg, tylko niekiedy mogła je zastąpić.

Patsy nie miała już czasu na pracę w gospodarstwie, więc Carl przyjął nową mleczarkę. O dziewiątej rano przyjeżdżała wozem dostawczym, a o szóstej wieczorem wracała do siebie. Wkrótce okazało się, że doskonale daje sobie radę z nowymi obowiązkami, więc Ward mógł pozbyć się obaw co do swoich przyszłych dochodów.

Ale tego ranka musiały zmienić swoje zwyczaje, ponieważ po raz pierwszy Angela rozchorowała się.

Widząc to Patsy nie krzyknęła tak, jakby z pewnością zrobiła to Annie „Boże w niebiosach!” - ani w żaden inny sposób nie wzywała pomocy boskiej, chociaż doznała szoku na myśl, co te objawy mogły oznaczać.

Jednakże Jessie zareagowała zupełnie inaczej. - Och, nie! Nie! Angela, proszę, nie! Nie! - wykrzyknęła głośno. Po czym odwróciła się do Patsy, błagając ją, aby zaprzeczyła jej domysłom. - Czy to jest znak? Słyszałam, że... Och, Patsy! Patsy!

- Spokojnie! Spokojnie! Co będzie, to będzie, panienko. Wczoraj wieczorem zjadła więcej niż zazwyczaj, a ryba łatwo może zaszkodzić.

- Och, proszę! Powiedz, że to ryba.

- Nie mogę, panienko, jeszcze nie mogę. Musimy poczekać dzień lub dwa i zobaczyć, czy to się powtórzy.

- Ale tatuś...

- Nic panu nie mów, panienko, zupełnie nic. Słyszysz? Na razie nic nie wiemy. Nic pewnego. - I chociaż w głębi serca była pewna, to mogła mieć teraz tylko nadzieję, że dziecko urodzi się martwe...

Dwa tygodnie później Ward dowiedział się, że jego córka nosi w swoim łonie dziecko, ale minęło wiele dni, zanim był w stanie pogodzić się z tym faktem i

patrzeć na nią siedzącą przy oknie, nie myśląc przy tym o podjęciu jakichś dramatycznych działań. W zasadzie i tak nie miał nic więcej do roboty, ponieważ jak się przypadkiem dowiedział, sprawcy tej zbrodni, z Pete'em Masonem włącznie, opuścili już wioskę. Pragnienie zemsty było dla niego tym straszniejsze, że tym razem koncentrowało się na jego własnym dziecku. Przez dwie kolejne bezsenne noce, przemierzając swój pokój, zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej, gdyby umarła, zamiast urodzić potomka któregoś z tych potworów. Nigdy nie dowiedzą się, kto był za to odpowiedzialny. Jaka przyszłość czeka to dziecko? Jak stawi czoło światu, kiedy wyjdzie na jaw jego pochodzenie, a z pewnością wyjdzie dzięki dręczycielom lub usługowym sąsiadom, którzy postanowią wyjaśnić mu powody jego izolacji, i tak nieuniknionej przez resztę życia.

Więc tak, śmierć byłaby dla niej wybawieniem, tak samo zresztą jak dla tej istoty w jej łonie. Ale jak tego dokonać?

Jego myśli krążyły wokół różnych metod. Istniały rośliny i zioła zabójcze dla bydła i szkodliwe dla ludzi: na przykład szczodrzeniec albo tojad mordownik. Można by było dodać wywaru do poobiedniej herbaty. Już nie reagowała na jego widok panicznym strachem, więc pewnie przyjęłaby coś z jego ręki.

Kiedy Annie przedstawiła mu sytuację, jako że ani Jessie, ani Patsy nie miały odwagi tego zrobić, i ośmieliła się stwierdzić: - To wola Boga - wrzasnął na nią.

- Nie bądź tak cholernie głupia, kobieto!

Nie odpłaciła mu tym samym, jak to miała w zwyczaju, ale spokojnie powtórzyła: - Jeszcze raz ci to mówię, będzie tak, jak musi być, bo taka jest wola Boga, a jego wyroki czasami są dla nas niezrozumiałe. I muszę ci to powiedzieć, bez względu na to, czy się wściekniesz, czy ci się to spodoba. Dzięki temu wypadkowi zauważyłeś, że masz pierworodną. Dopiero teraz, kiedy jej potrzebujesz.

Te słowa doprowadziły go do furii i z wściekłością wybiegł z pokoju trzaskając drzwiami. Ale od tego momentu przynajmniej był uczciwy wobec siebie i miał odwagę zadać sobie pytanie, jak dałby sobie radę bez Jessie, która nie tylko zajęła się siostrą, ale jego również wzięła pod swoją opiekę. Ale co będzie w przyszłości? Czy ona będzie w stanie zająć się dwojgiem dzieci, bo i Angela z pewnością będzie wymagała stałej opieki?

I właśnie w tym momencie przyszła mu do głowy myśl, że nie wolno mu poddawać jej takiej próbie...

W następnym tygodniu zmusił się do wizyty w pokoju córki. Jak zwykle późnym rankiem, siedziała przy oknie na krześle. Kiedy podszedł do niej spokojnym krokiem, wyraz jej twarzy zmienił się nieznacznie. A gdy usiadł

naprzeciwko niej, wyraźnie pochyliła się w jego kierunku, a z jej ust wydobył się jakiś dźwięk.

Jessie, która zajęta była ścieleniem łóżka, podbiegła do nich i wykrzyknęła: - Tatusiu! Słyszałeś? Próbowała wymówić twoje imię.

- Trudno to nawet nazwać dźwiękiem - pokręcił głową z po wątpieniem.

- Ale ona nigdy... nigdy przedtem nie starała się tego powiedzieć. - Pochyliła się nad siostrą i poprosiła:

- Powiedz to jeszcze raz, Angela. Powiedz: „Tatuś”. Przez chwilę Angela wpatrywała się w nią nieobecny wzrokiem. Nagle zamrugała powiekami i po raz kolejny wydała z siebie jakiś dźwięk, tym razem wyraźniejszy:

- Ta...tuś. - Przeciągała sylaby, ale z pewnością można było zrozumieć „tatuś”.

Ward opuścił głowę na piersi i mocno zagryzł wargi, po czym na oślep wyciągnął ręce, podniósł bezwładną kruchą dłoń Angeli leżącą na jej kolanach i zamknął ją w swym uścisku. Potem odsunął ją delikatnie i podniósł się z krzesła, chcąc wyjść z pokoju. Ale Jessie zagroziła mu drogę, zanim dotarł do drzwi.

Spoglądając mu w twarz, z drżeniem w głosie powiedziała: - To dopiero początek. Ona dojdzie do siebie i znowu będzie twoją Angelą. Będzie... z pewnością.

I będzie cię, tatusiu, potrzebowała jeszcze bardziej niż dotąd.

W tym momencie jej ojciec uczynił gest, który sprawił, że w oczach zakręciły jej się łzy. Wyciągnął rękę, pogładził ją po policzku i powiedział: - Jesteś dobrą dziewczyną, Jessie, taką dobrą dziewczyną. - Po czym wyszedł z pokoju, a ona podeszła do drugiego okna, gdzie ustami dotknęła drewnianej ramy, chcąc uciszyć łkanie i uspokoić emocje... Tatuś pogładził ją po policzku, tatuś odezwał się do niej w ten sposób, tatuś spojrzał na nią tak, jak nigdy przedtem, z głębokim uczuciem w oczach. Udało jej się. Cokolwiek stanie się w przyszłości, nawet jeżeli cała jego uwaga będzie skierowana na Angelę, jej nie będzie to już przeszkadzało. W gruncie rzeczy nawet pomodli się o to, ponieważ od tej chwili on jest świadomy jej istnienia: dotknął ją, pogładził ją po policzku i spojrzał jak nigdy przedtem.

* * *

Patsy stała w małej kuchence, która w domku Carla była zarazem bawialnią. Właśnie założyła nowy pokrowiec na jasnobrązową dwuosobową kanapkę zajmującą przestrzeń pomiędzy zlewem i bardziej reprezentacyjną częścią pomieszczenia. Pokrowiec znakomicie harmonizował z tapicerką fotela stojącego po drugiej stronie kominka. Mały drewniany stolik zajmujący środek pokoju przykryty był kordonkowa serwetą, której rogi prawie dotykały podłogi i

która zdaniem Patsy dodawała pokojowi szyku, bo nie każdy mógł się pochwalić takim obrusem. Zawsze ją sobie ceniła, ponieważ - jak twierdziła jej matka - był to zbiorowy prezent ślubny od mieszkańców Hollow, nawet protestantów, którzy na ten cel ofiarowali swoje miedziaki. Na ścianie przeciwległej do kominka wisiała niewielka półka na porcelanę, mieszcząca, poza czterema talerzami obiadowymi i takimi samymi talerzykami deserowymi, pełny komplet do herbaty. Wszystkie te naczynia były prezentem od Annie, która wiele lat temu sama dostała je w prezencie ślubnym, ale zawsze wydawały jej się zbyt wytworne do codziennego użytku, więc trzymała je zamknięte w kredensie. Jedynie w niedzielę wyciągała dwa należące niegdyś do kompletu talerze, ale kiedy stłukły się przypadkowo, wymieniła je na zwyczajny biały fajans kupiony na targowym straganie.

Patsy była ogromnie wzruszona tym podarunkiem. Miała ochotę ucałować ofiarodawczynię, tym bardziej że Annie wzięła ją w ramiona i przytuliła na chwilę. Dopiero potem odepchnęła ją leciutko mówiąc: „No, już dość tej pustej gadaniny.”

Teraz czekała na powrót Carla, który miał przekazać swemu chlebodawcy wiadomość o jutrzejszym wydarzeniu.

Kilka minut później usłyszała kroki na ścieżce. Podbiegła do drzwi, otworzyła je i znalazła się w jego mocnych ramionach. Potem, gdy ciągle objęci usiedli na kanapie, zapytała: - Jak ci poszło? Co on powiedział?

Carl odwrócił głowę i zapatrzył się w ogień. - Tak mi przykro z jego powodu, Patsy - powiedział. - Serce mi pęka na jego widok. Czasami mam ochotę płakać. Naprawdę. Mówię zupełnie poważnie.

- Tak. Tak, wiem. W pewnym sensie ja czuję to samo. Ale co powiedział, kiedy przedstawiłeś mu swój punkt widzenia?

- Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, a ja nie wiedziałem, jakiej odpowiedzi mogę się spodziewać. A potem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, powiedział spokojnym tonem: „Mogę ci tylko życzyć wiele szczęścia. Zresztą zawsze życzyłem ci jak najlepiej. Mam nadzieję, że wiesz o tym.” Tak właśnie powiedział. A kiedy zapewnilem go: „Weźmiemy wolne tylko rano i będziemy z powrotem około dwunastej”, powiedział: „Nie ma pośpiechu. Nie ma pośpiechu. Annie nam pomoże, ja też tu będę.” A potem, wiesz co zrobił? Podszedł do szuflady i wyjął to. - Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął irchowy woreczek, z którego wysypał sobie na dłoń dziesięć złotych suwerenów.

Kiedy wpatrywała się w niego z otwartymi ze zdumienia oczami, dodał: - Ale to nie wszystko: podnosi mi tygodniówkę do pięciu szylingów, a tobie do trzech.

- Niemożliwe!

- No, o czym to ja mówiłem? Razem osiem szylingów tygodniowo. Tak powiedział.

- Czy to oznacza, że możemy tu zostać?

- Tak myślę, kochanie, bo on bardziej potrzebuje twojej pomocy w domu, niż mojej w gospodarstwie.

- Och, nie, nie. Ty już od lat prowadzisz tę farmę. Gdyby nie ty, już dawno wszystko popadłoby w ruinę. I on o tym wie. Ale i tak nie spodziewałam się, że będzie dla nas tak miły.

- Ja też nie. Ale jeżeli w ogóle komuś należy się podwyżka, to z pewnością tobie. Kto by chciał pracować tutaj w domu? Czternaście godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałas wolne.

- Och, to nie ma znaczenia. - Objęła go za szyję i powiedziała: - Jestem tam, gdzie moja miłość. A jutro moje serce będzie dokładnie w tym domu. - Rozejrzała się po niewielkim pokoju. - To mój pałac... nasz pałac. Będzie piękny, nawet jeśli miałabym sprzątać go w nocy.

- Na pewno nie. - Przyciągnął ją do siebie ze śmiechem. - Zrobisz to kiedyś w dzień, ale nie w nocy.

Zawtórowała mu śmiechem, ale już poważniej dodała: - Nigdy w życiu, Carl, nie sądziłam, że coś takiego może się zdarzyć. Od dawna o tym marzyłam, ale zawsze powtarzałam sobie, że za daleko nam do takiego szczęścia, ja z Hollow i ty stąd.

- Och, Patsy, Patsy. Nie wolno ci tak myśleć o sobie.

- Ja tak nie myślę... naprawdę, ale inni tak. Wiesz o tym doskonale. Wiele osób uważa, że już i tak zadzieram nosa. A są również tacy, którzy będą sądzić, że nisko upadłeś żeniąc się z młoczką Gibsona pochodzącą z Hollow. Wiem, co ludzie sobie myślą, od wielu lat miałam uszy otwarte.

- A teraz posłuchaj! - Potrząsnął ją za ramiona. - Nie ma pomiędzy nami żadnej różnicy. Nawet nie znam swojej rodziny. Wychowałem się w sierocińcu, a potem pracowałem na farmie. Ty przynajmniej znasz swoich rodziców i wiesz, że twój ojciec jest przyzwoitym człowiekiem. - Nie wspomniał o matce, ale mówił dalej: - Jutro będziesz moją żoną i tylko to się dla mnie liczy. - Po czym już poważniej dodał: - Jeśli tylko biedny pastor Noble będzie w stanie udzielić nam ślubu. Wiesz, naprawdę martwię się o niego. Nie wygląda na człowieka, który długo jeszcze pociągnie. Nie doszedł do siebie od tamtej nocy, obwinia siebie i pokaz magicznej latarni. Ale - uśmiechnął się teraz - nie bój się, z pewnością zdąży uczynić cię matką moich dzieci. A ja chciałbym mieć przynajmniej sześcioro, głównie chłopców, bo mogą więcej zarabiać niż dziewczynki. Już niedługo, na łące, możemy się o nich postarać...

Trzęsąc się ze śmiechu, biła go pięściami po piersiach; potem znowu padli sobie w ramiona, aż odepchnął ją nagle od siebie. - To tylko jeszcze jedna noc. No już, lepiej wracaj do domu. - W milczeniu pozwoliła się odprowadzić.

Rozdział dziewiąty

Carl i Patsy pobrali się w pierwszym tygodniu czerwca, a kolejne dni były całkowicie wypełnione ciężką pracą. Ale bez względu na zmęczenie część nocy wypełniali miłością, więc przynajmniej oni byli zadowoleni i szczęśliwi. Jednak atmosfera panująca w domu bez wątpienia miała wpływ na ich życie. Zwiększyły się domowe obowiązki Patsy, a odpowiedzialność za farmę, oprócz bieżących prac, prawie całkowicie spadła na Carla, ponieważ jej właściciel zdawał się zapominać, że w ogóle ma jakąś ziemię. Carl bezustannie pytał go o zgodę, podejmując decyzje w sprawie upraw lub ciągle zmieniających się cen produktów, które wysyłał na sobotni targ.

A poza tym chodziło również o nastroje panujące we wsi. Nie miały bezpośredniego związku z Carlem; plotkowano raczej o Irlandczykach z Hollow, którym bez owijania w bawełnę dano do zrozumienia, że nie są mile widziani w żadnej gospodarce, a niektórzy z nich mieli poważne problemy ze znalezieniem pracy na dwóch z czterech okolicznych farm.

Wtedy Carl poczuł, że powinien tę sprawę przedstawić swemu panu. - Czy może pan coś dla nich zrobić? - zapytał.

- Zostaw to mnie - usłyszał w odpowiedzi, po czym następnego dnia: - Trzeba zrobić remont starej stodoły. Zaproponuj to Reganowi, Mullinsowi i McNabbowi. Dopilnuję ich osobiście, ale w zasadzie ty musisz ich nadzorować.

Jedynym gościem, który regularnie składał im wizyty, był Philip Patten. Niekiedy zjawiał się dwa razy w tygodniu, ale nie zdarzyło mu się odwiedzić ich rzadziej niż raz na tydzień. Angela zaakceptowała go, chociaż z pewnymi oporami, ponieważ w siódmym miesiącu ciąży miała imponujący, a nawet groteskowy brzuch, który zdawał się zbyt wielkim ciężarem dla jej szczupłego ciała. Pewnego dnia, kiedy pocierając dłońmi o boki dała do zrozumienia, że coś ją boli, Patsy postanowiła omówić tę sprawę z doktorem.

Angela leżała w łóżku, ale kiedy Jessie odchyliła kołdrę, a lekarz zamierzał położyć dłonie na jej nabrzmałym, zakrytym batystową koszulą brzuchu, nagle zacisnęła pięści i próbując się przykryć, krzyczała dziko i uparcie kręciła głową.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją natychmiast.

- W porządku. Chciałem tylko zobaczyć, co cię boli. Nie przeszkadzaj sobie, moja droga. — Wyprostował się i spoglądając przez okno zauważył: - Na dworze jest tak pięknie. Liście już żółkną. Może posiedziałybyś sobie na zewnątrz? Spróbujesz?

Ponieważ nie zareagowała na tę uwagę, zabrał swoją torbę i już za drzwiami, stojąc na podeście, skinął na Patsy. - Poślij po mnie, jeśli zobaczysz, że nadal pociera sobie brzuch, lub zauważysz, że coś ją boli.

- Sądzi pan, doktorze, że to może zacząć się poród?

- Nie wiem, ale istnieje taka możliwość. Minał już siódmy miesiąc. To... się zdarzyło na początku marca, a mamy październik, więc jest już w siódmym miesiącu. Ale...

- Możemy mieć tylko nadzieję, że donosi to dziecko, doktorze, bo w przeciwnym wypadku poród nie będzie dla niej łatwy.

Spojrzeni na siebie porozumiewawczo jak starzy dobrzy znajomi, co z pewnością było uzasadnione, ponieważ w czasie tych ostatnich wizyt doktor Patten zawsze szczerze rozmawiał z Patsy, bardziej otwarcie niż z Jessie. - Gdzie jest Jessie? - zapytał.

- Wysłałam ją na spacer - stwierdziła szeptem. - Nigdy nie wychodzi z domu. Pan wyszedł rano na obchód farmy. Też dobrze. Dogląda nowej stodoły - tej, która jest budowana na miejscu starego budynku - a potem wypatrzyłam, jak wędrował po polach. Ja... powiedziałam pannie Jessie, w którą stronę się udał. Mogłaby tamtędy przechodzić, prawda, doktorze? Myślę, że miło by im było, gdyby się spotkali.

Philip Patten milczał przez chwilę. Potem położył dłoń na ramieniu Patsy i stwierdził: - Jesteś mądrą i dobrą dziewczyną, Patsy. Nawet jeśli wszystko inne zawiedzie, te dwie cechy charakteru pomogą ci przetrwać.

Zarumieniła się śmiejąc się chichutko, po czym zerknęła na otwarte drzwi sypialni, jakby starając się zapomnieć o komplementach, i powiedziała: - Nie wszyscy tak uważają, doktorze. Nawet moja matka wymyśliła dla mnie przezwisko.

- Jakie? - Pochylił się nad nią z uśmiechem.

- Czarna Jędra.

- Och... nie wierzę!

- Naprawdę. Zawsze, kiedy byłam nieposłuszna, tak mnie nazywała.

- Mam nadzieję, że to już przeszłość.

- No, nie wiem. Nadal talerze czasami fruwają.

Pomachał jej ręką na pożegnanie, odchodząc z przekonaniem, że wie, dlaczego dochodziło do tak burzliwych scen. Jej matka była chyba najbardziej leniwą kobietą, jaką znał, a jej gospodarstwo przypominało przysłowiowy chlew. Ale i tak uśmiech nie schodził z twarzy tej kobiety. Zupełnie inaczej niż w przypadku jej córki, przeważnie zachowującej powagę, chociaż pięknej. O tak,

Patsy była urodziwa i niezwykle schludna. Pewnie dzięki Annie, która wiele lat temu bacznie śledziła jej postępy.

- No i w jakim stanie ją pan znalazł, doktorze? - zapytała Annie w kuchni.

- Nie mogę stwierdzić nic pewnego, Annie - odparł.

- Ale powiedziałem Patsy, że gdyby biedne dziecko nadal odczuwało takie bóle, to proszę mnie zawiadomić. W najbliższym czasie będę w pobliżu, ale w piątek wezmę dwa dni wolne. Od dawna nigdzie nie wyjeżdżałem. Potraktuję to jak wakacje pastucha, który pomagał w żniwach, i pojedę na kilka wykładów z medycyny.

- Ach, tak. A co zrobimy, jeśli poród zacznie się w piątek? Mam wtedy posłać po jego dostojność?

- Mam nadzieję, że nie będzie takiej konieczności. Ale jeśli okaże się, że potrzebujecie pomocy, to nie będzie innego wyjścia.

- Ale przez ostatnie miesiące on trzymał się od nas z daleka, prawda, doktorze?

- Masz rację, Annie.

- Pewnie chciał pokazać we wsi, po czyjej stronie stoi. Mógł odpowiedzieć: Nie tyle we wsi, ile okolicznemu ziemiaństwu, a przynajmniej tym, którzy uczestniczyli w tej wyjątkowej mszy niedzielnej. Ale zamiast niego Annie odezwała się zjadliwie: - On jest zupełnie taki jak pastor, przerażony, że może stracić swoje miejsce przy stole u możnych.

- Może... może masz rację - powiedział ze śmiechem.

- No, ale muszę już ruszać. Coś ładnie pachnie w piekarniku. - Wciągnął zapach dochodzący z piecyka, a Annie stwierdziła:

- Nic nadzwyczajnego... kawałek wieprzowiny. Z sosem cebulowym i pudding z łożu i mąki - dodała.

- Naprawdę codzienny obiad.

Odchrząknął, ale wychodząc z pokoju powtórzył:

- Tak, Annie, codzienny obiad.

We czwartek wpadł z krótką wizytą. Jessie, która siedziała przez cały czas przy siostrze, stwierdziła:

- Tak, niekiedy masuje sobie boki, ale nie przez cały czas.

- Doskonale, doskonale - powiedział, po czym powtórzył jej, o czym wcześniej rozmawiał z Annie. Nie będzie go do niedzieli rano, ale w razie nagłej konieczności muszą wezwać doktora Wheatleya. Ona z kolei miała nadzieję, że nie będzie zmuszona prosić o pomoc doktora Wheatleya, oraz życzyła mu, by miło spędził te dni.

- Nic mi nie wiadomo o przyjemnościach - odparł ze śmiechem. - Ale będę usatysfakcjonowany, jeśli wrócę odrobinę mądrzejszy. To jeden z najlepszych lekarzy w Londynie i mam wiele szczęścia, że w ogóle dostałem zaproszenie - dodał nieco poważniejszym tonem. - A gdzie jest twój ojciec? - natychmiast wrócił do tematu.

- Gdzieś na farmie - stwierdziła.

- O, to w porządku. Cieszę się, że dochodzi do siebie. Nie będę go szukał, ale przekaż mu, że wszystko jest w porządku.

- Dobrze, doktorze.

Wróciwszy do sypialni, szepnęła do Angeli: - Czyż doktor Patten nie jest miły?

Ale ze strony Angeli nie było żadnego odzewu. Wyciągnęła dłonie wzdłuż boków, przekręciła głowę, a na jej twarz pojawił się grymas wskazujący na to, że jej ciało przeszła fala bólu.

* * *

Jessie zerknęła na twarz Angeli, chcąc upewnić się, czy siostra śpi, po czym obeszła łóżko, przykręciła lampę i położyła się obok niej.

Wróciła do tego zwyczaju z dzieciństwa kilka tygodni temu, kiedy stało się jasne, że nie jest w stanie czuwać przy niej całe noce siedząc na krześle, jeśli potem w ciągu dnia ma zachować przytomność umysłu.

Nie od początku udało jej się spać u boku siostry, ponieważ Angela nawet od niej odsuwała się ze strachem i niechęcią. Ale któregoś dnia, gdy Patsy odezwała się do niej stanowczo, okazało się, że Angela doskonale rozumie, co się do niej mówi. „Panienko Angelo, rozumiesz mnie prawda? Rozumiesz, że jeśli chcesz, aby panna Jessie zajmowała się tobą w ciągu dnia, musisz pozwolić jej spać w nocy, i to na łóżku.”

Jessie spokojnie leżała, wpatrując się przez jakiś czas w nieokreślone wybrzuszenie na kołdrze i zastanawiając się, ostatnio dość często, co będzie, kiedy dziecko się urodzi? Czy Angela będzie dla niego matką? Jak potraktuje je ojciec? Czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka? Bez względu na to, co nastąpi, i tak wiedziała, że małe dziecko w domu zmieni ich dotychczasowe życie, a obowiązki domowe, które dzieliła z Patsy, z pewnością się podwoją. Zastanawiała się, czy starczy jej odwagi, aby poprosić ojca o jakąś dodatkową pomoc do domu. Jej ojciec jednak na ogół zamykał się w pokoiku w najdalszym zakątku domu, i pozostawiał ją samej sobie. Annie wracała do swego domu, a Carl i Patsy również zamykali się we własnych czterech ścianach. To akurat jakoś jej nie przeszkadzało. Może przez pierwszy tydzień, kiedy uświadomiła sobie, że Patsy nie śpi już w izdebce nad stajniami, ale w domku Carla, w jego

łóżku. Stopniowo jednak przyjęła to do wiadomości, tak samo zresztą jak to, że są absolutnie niezbędni zarówno w domu, jak i w gospodarstwie. Tak więc wytłumaczyła sobie, że tak musiało być. Ona miała ojca, który jej potrzebował.

O tak, naprawdę jej potrzebował. Ale kiedy pojawi się dziecko, z pewnością nie będzie mogła spać w nocy spokojnie, ponieważ dzieci zazwyczaj wtedy również wymagają opieki, a jeżeli Angela nie dojdzie do siebie, to nie będzie w stanie zaopiekować się dzieckiem.

Ale teraz, pomyślała, czując, że powieki zaczynają jej ciążyć, dość już zamartwiania się na zapas. Musi poczekać do urodzenia dziecka, a potem zabrać je stąd...

Nie wiedziała, o której godzinie w środku nocy obudził ją głośny jęk. Z początku zdawało jej się, że dźwięki dochodzą gdzieś z oddali, ale nagle usłyszała je przy samym uchu. Niezupełnie przytomna usiadła i przecierając zaspane oczy zobaczyła, że Angela siedzi zgięta w pół z dłońmi zaciśniętymi na brzuchu.

- Co ci jest, kochanie? Coś cię boli?

W odpowiedzi Angela tylko kołysała się z boku na bok. Jessie wyskoczyła z łóżka, zapaliła światło i okrążając łóżko zakładała szlafrok. - Wszystko w porządku, kochanie. Wszystko w porządku! - wykrzyknęła. Ale kiedy siostra opadła na poduszki dysząc ciężko, ogarnęło ją przerażenie, że nie zostało im zbyt wiele czasu i pewnie będzie musiała pomóc dziecku przyjść na świat.

Podeszła do umywalki i zwilżywszy wodą flanelowy ręcznik zaczęła wycierać spoconą twarz Angeli.

Ale kiedy została odtrącona gwałtownym ruchem ręki Angeli, która usiadła i zaczęła się kołysać, poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Wybiegła z pokoju i już po chwili łomotała do drzwi sypialni ojca. - Tatusiu! Tatusiu! - krzyknęła, słysząc jakieś odgłosy. - Angela ma bóle! Proszę, chodź! Chodź! - ponagliła i pobiegła z powrotem.

Kiedy kilka minut później Ward spojrzał na wykrzywioną bólem twarz swojej córki, odwrócił się do Jessie i powiedział: - Pobiegnij po Carla. Powiedz mu, żeby sprowadził doktora.

- Tak, tatusiu. Ale doktor Patten wyjechał - odwróciła się już przy samych drzwiach.

Spojrzał w jej kierunku i przez zaciśnięte zęby powiedział: - No, to trzeba sprowadzić kogoś innego. I poproś Patsy.

W holu zatrzymała się na chwilę, po czym podbiegła do szafy i z wieszaka ściągnęła jeden z płaszczy ojca, który zarzuciła sobie na ramiona. W kuchni zapaliła latarnię i po chwili znalazła się na podwórzu, gdzie zimny powiew

zapał jej dech w piersiach. Pięściami zabębniła w drzwi domu Carla, wołając głośno: - Carl! Carl! Chodź szybko. Tatuś chce, żebyś pojechał po doktora. Chodź Carl! Słyszysz mnie?

Upłynęła długa minuta, zanim drzwi się otworzyły i stanął w nich Carl mrużąc zaspane oczy. - Co tu się dzieje? Coś się stało?

- Dziecko... dziecko się rodzi. Tatuś chce, żebyś sprowadził lekarza. Doktor Patten wyjechał, będziesz musiał przywieźć doktora Wheatleya. I... Patsy też jest potrzebna.

Patsy wychyliła się zza ramienia Carla. - Ona będzie rodzić - Jessie zwróciła się do niej. - Bardzo jęczy.

- Dobry Boże! - odezwał się Carl. - To dopiero siódmy miesiąc.

- Ja nie jestem zdziwiona - wymamrotała Patsy, wracając do pokoju. - Zaraz przyjdę, jak tylko się ubiorę - rzuciła przez ramię.

- A ty już wracaj, bo całkiem zamarzniesz - dodał Carl. Kiedy w drzwiach sąsiedniego domku stanęła Annie i zapytała: - O co chodzi, dziecko? Czemu robicie taki rej wach? - Carl wyjaśnił jej.

- To panna Jessie, Annie. Dziecko postanowiło przyjść na świat.

- Zaraz tam będę - stwierdziła Annie, ale Patsy natychmiast wybiła jej to z głowy, krzyząc: - Zostań na miejscu, Annie!

Annie nie zareagowała na tę uwagę, tylko spojrzawszy na Jessie zarządziła: - Ty już wracaj, moja droga, i ubierz się ciepło, bo zamarzniesz. - Zatrzasnęła za sobą drzwi, a Jessie pobiegła z powrotem.

Już w domu Carl naciągał na siebie ubranie, mrużąc pod nosem: - Nie podoba mi się to, że mam jechać po doktora Wheatleya. Że też doktor Patten musiał właśnie dzisiaj wyjechać. - Śpiesząc do drzwi, krzyknął: - Do zobaczenia, skarbie.

Pięć minut później siedział na koniu, a po dalszych dziesięciu stuknął do drzwi doktora Wheatleya. Ale dopiero za trzecim razem ktoś uchylił okno i jakiś kobiecy głos zawołał: - Kto tam?

Cofnął się kilka kroków i zobaczył masywne ramiona gospodyni. - Potrzebujemy lekarza! - krzyknął. - To nagły wypadek. Dziecko się rodzi... na farmie Gibsona.

Głowa zniknęła na moment, ale już chwilę później usłyszał: - Doktor źle się czuje, przeziębienie go złożyło. Nie powinien wstawać z łóżka.

Carl doskonale wiedział, co mu naprawdę dolega, i z pewnością nie było to przeziębienie, więc odkrzyknął:

- Mimo wszystko obudź go, bo muszę zamienić z nim parę słów.

- Przecież ci mówię, że nie może ci pomóc.

- Mimo to obudź go, kobieto.

- A niby z kim ty rozmawiasz? Jak śmiesz nazywać mnie kobietą. A on dopiero się położył, nie powinien...

- Na chwilę zamilkła, po czym dodała: - Nie powinien był wychodzić - ale te słowa zagłuszył trzask zamykanego okna.

Kilka minut później drzwi otworzyły się i gospodyni z ponurą miną wpuściła go do środka, gdzie zobaczył doktora niepewnie schodzącego, po schodach, opierającego się o poręcz.

Chwiejąc się stanął w końcu na dole, ale Carl nie odczuł satysfakcji, że jego podejrzenia sprawdziły się: ten człowiek rzeczywiście od niedawna był w łóżku, ale wcześniej z pewnością pofolgował sobie w gronie przyjaciół. Doprawdy, wstyd było na niego patrzeć.

- Która to... godzina? Czego chcesz?

- Córka pana Gibsona zaczęła rodzić, potrzebuje pomocy.

- No... to dlaczego przyjechałeś po mnie? Gdzie jest ten wasz ulubiony nowo...czesny doktorek i...

Stojąca obok niego gospodyni powiedziała coś, czego Carl nie dosłyszał, ale wydawało się, że doktor zrozumiał. - A, tak... Tak. Udaje wielkiego mądrałę. - Po czym spoglądając na Carla dodał: - Ja... ja się przeziębilem. I... nie mogę podróżować. - Jego głos stawał się coraz bardziej bełkotliwy. - Carl widział, jak pochylił się w kierunku swojej gospodyni i pokiwał głową twierdząco. - Jak... jak ta dobra kobieta twierdzi, mamy we wsi dwie... dwie akuszerki. One powinny... wam pomóc. Chodzi o farmę, prawda? One już asystowały przy porodach.

Kiedy ramię oplatające słupek powoli opadło i potężne cielsko o czerwonej twarzy z plaśnięciem klapnęło na drugi stopień, Carl spojrzął na niego z niesmakiem i ośmielił się stwierdzić: - Nie jest pan godny zawodu lekarza. - Odwrócił się i wyszedł, szybko dosiadł konia i w pośpiechu zawrócił na farmę.

Gdy dotarł do domu, Annie już urzędowała w kuchni. Woda bulgotała w czajniku stojącym na ogniu, a ona pracowicie cięła na kawałki lniane prześcieradła. - To wszystko należało przygotować już dawno temu - powiedziała na powitanie - ale nikt nie chciał o tym gadać. Ale natury nie da się oszukać, nawet tym razem... Czy on przyjedzie?

- Nie, jest pijany jak bela.

- Wielki Boże! I co my zrobimy?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i zapytał: - Nie mogłabyś się nią zająć, Annie? Zerknęła na kawałki materiału i przez chwilę milczała.

- Nigdy sama nie miałam dzieci - odezwała się w końcu - i chociaż byłam przy narodzinach dziewczynek, to jednak zawsze wzywaliśmy doktora i to on wykonywał niezbędne czynności. Mówię ci całkiem uczciwie, chłopcze, nie zdam się na wiele. Ale pomyśl o twojej Patsy, w końcu pomagała krowom się cielić i ładnych parę owiec dzięki niej jest na tym świecie, a poza tym z pewnością wiele nauczyła się w Hollow. Ona sobie poradzi.

Przyglądał się jej ze zdumieniem, zastanawiając się jednocześnie, jak wielu rzeczy można nie wiedzieć o bliskich osobach. Annie, kobieta o matczynym wyglądzie, bała się porodu. A teraz udało się jej wprawić go w osłupienie, kiedy powiedziała: - A w tym przypadku tylko Bóg może wiedzieć, czego mamy się spodziewać. Może się urodzić jakiś potworek a ja bym tego nie zniosła. Po prostu, nie zniósłabym - dodała, spoglądając na Carla błagalnie, jakby prosząc go o zrozumienie, chociaż on nie mógł powiedzieć nic ponad: - Lepiej pójde i powiem im.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem i wróciła do cięcia prześcieradła.

Zdziwił się, widząc na podeście Warda, który opierał się o ścianę patrząc mu prosto w twarz.

- No i?

- Nie przyjedzie. I tak nie nadawałby się do niczego. Jest kompletnie pijany. Ale nie ma powodu do niepokoju. Patsy zajmie się wszystkim.

Ponieważ Ward nie odpowiedział, Carl zapytał: - Czy pan jej o tym powie, sir?

Po chwili pograżony dotąd w myślach Ward ocknął się i odparł krótko: - Tak. Tak, powiem. - Po czym odwrócił się i poszedł w kierunku sypialni. Kiedy tylko otworzył drzwi, usłyszał przeszywający krzyk, podobny do ryku torturowanego zwierzęcia. Zatrzymał się osłupiały i odwrócił głowę.

Gdy po chwili ponownie spojrział w stronę łóżka, zobaczył Patsy, która próbowała naciągnąć prześcieradło na kolana jego córki.

Wszedł do pokoju i skinął na Patsy, która zanim odeszła od łóżka odezwała się do Jessie zdecydowanie: -Nie próbuj przytrzymywać jej rąk, panienko. Mówiłam ci. - Dopiero potem odwróciła się do Warda stojącego na skraju kręgu światła lampy.

- Carlowi nie udało się przywieźć starego Wheatleya, jest pijany - powiedział cicho, pochylając się ku niej.

- Czy... czy myślisz, że dasz sobie radę?

- Muszę, prawda? - odparła, biorąc głęboki oddech.

- Nie mam innego wyjścia. Ja... jeszcze nigdy nie pomagałam przy narodzinach dziecka... zwierząt, tak. Ale - wzruszyła ramionami

charakterystycznym gestem - widziałam, jak się rodziło kilkoro dzieciaków. - Pokiwała głową z nieco większym teraz przekonaniem. - Tak, no, tak, dam sobie radę. Jeżeli wszystko będzie w porządku. Ale jeśli dziecko źle się ułoży... to nie wiem. Po prostu musimy poczekać i zobaczyć.

W czasie całej tej rozmowy ani razu nie zwróciła się do niego ani „panie”, ani „sir” i gdzieś w głębi ducha zakiełkowała mu myśl, że zaczęła go traktować tak jak Annie.

Wychodząc już, odwróciła się i zapytała: - Która jest godzina - tym razem dodając - panie?

- Chyba dochodzi pierwsza - odparł, spoglądając jak podchodzi do łóżka, w którym już nieco spokojniej leżała jego córka i ciężko oddychała. Doskonale wiedział, że sam mógłby jej pomóc przy porodzie, ale w tej chwili nawet nie był w stanie zbliżyć się do łóżka, ponieważ na świat miało przyjść stworzenie napawające go odrazą. A jeśli urodzi się jakiś potworek, no, to już podjął decyzję, co z nim zrobi... Zresztą tak czy inaczej był zdecydowany.

Patsy, słysząc odgłos zamykanych drzwi, odwróciła się do Jessie. - Przyniosę tutaj fotel, żeby panienska mogła sobie usiąść. Przez jakiś czas nic się nie będzie działo, a przed nami długa noc.

- Ale to chyba nie potrwa tyle godzin - wyszeptała Jessie ze zdziwieniem. - Ona się zamęczy. Już jest wyczerpana. To jest naprawdę... straszne.

- Raczej naturalne, panienko.

- Co! - Jessie skrzywiła się. - Cały ten ból? Jej jęki? Nie, nie, nie mów, że to jest naturalne.

- Muszę tak mówić, panienko, to poród. Ty też się tak urodziłaś, ja i wszyscy inni.

- To nie do pomyślenia - wyrzuciła z siebie Jessie wychodząc. - No, obserwując zwierzęta, zdawałam sobie sprawę z tego, że nie jest to łatwe, ale... ale nie aż tak.

- Posłuchaj, panienko. Usiądź na chwilę. Wszystko będzie w porządku. Nie martw się o nią. Im częściej ma bóle, tym szybciej urodzi.

Kiedy o czwartej nad ranem nic nie wskazywało, że Angela wkrótce urodzi dziecko, Ward poprosił Annie, żeby zajrzała na górę. - Czuwają przy niej tylko dwie młode dziewczyny. Idź i zobacz, co się tam dzieje.

Tak więc Annie, przecierając zaspane oczy, poczłapała do sypialni na opuchniętych nogach. Wiedziała, że nie ma sensu przypominać temu zdenerwowanemu mężczyźnie, że jej obecność nie na wiele się zda, ponieważ nie ma doświadczenia w tej materii. Powiedziawszy: - Spokojnie, spokojnie, mój

skarbie - poklepała po policzku półobłąkaną dziewczynę i w wyczekującej pozie skwapliwie usiadła na wskazanym jej przez Patsy fotelu.

* * *

Annie drzemała, kiedy nagle dotarł do niej okrzyk Patsy: - Już, już! Już widać główkę, panienko. Przyj. Jeszcze raz. Dobra dziewczyna. No, dalej. Jeszcze raz. - Poderwała się na równe nogi i w tym momencie zobaczyła malutkie ciało wyslizgujące się z równie drobnej matki, która wydając z siebie głębokie westchnienie padła na poduszki.

- Cała jest taka... śliczna. - Patsy ze łzami wzruszenia w oczach przecięła pępowinę, po czym podała krzyczące maleństwo Jessie, która z twarzą zalaną łzami stała obok, trzymając ręcznik.

- Najpierw przemyj jej oczy - Patsy wskazała na napełnioną wodą miskę - a potem podłóż ręcznik i zostaw przy umywalce. Nic jej się nie stanie. No dalej. Na pewno dasz sobie radę. Ja muszę zająć się panienką.

Annie, która właśnie przecierała Angeli twarz, odwróciła się do Patsy z pytaniem: - Znasz się na łóżyskach?

- Tak, jeśli nie ma żadnych kłopotów - odparła Patsy.

- Bo w innym przypadku nie mam pojęcia, co robić. I tak musimy poczekać i zobaczyć. Biedna dziewczynka.

- Wyciągnęła dłoń i pogładziła Angelę po policzku, starając się dodać jej odwagi. - Dzielna panienka. Udało ci się. Udało. - Odwróciła się do Jessie, która nadal zajmowała się noworodkiem i powiedziała łagodnie:

- Przynies ją tutaj i pokaż jej.

Jessie prawie radośnie zawinęła dziecko w ręcznik i spiesźnie podeszła do łóżka. Annie i Patsy odsunęły się, żeby Angela mogła zobaczyć maleństwo. Ale kiedy to nastąpiło, jej reakcja była tak gwałtowna, a skowyt tak przeszywający, że obie cofnęły się zdumione. Usta Angeli rozwarły się do krzyku, a wymachujące ramiona jakby odpędzały dziecko.

- No, popatrz! Popatrz! Tutaj skarbie! - Annie starała się ujarzmić jej dłonie, ale Patsy była bardziej zdecydowana.

- Przesuń się, Annie! - Złapała ją za ramiona i potrząsając delikatnie, krzyknęła: - Przestań! Już w porządku! W porządku! Nie musisz na nie patrzeć. Tylko przestań!

Wszyscy zauważyli, że w pewnym momencie uchyliły się drzwi, ale nikt nie ruszył się w ich stronę aż do chwili, gdy Jessie, która stała w kącie pokoju trzymając malutkie zawiniątko, nagle pochyliła się nad wyściełanym koszykiem stojącym na taborecie, ułożyła tam dziecko, poprawiła mu pieluszkę i nakryła leżącą w koszu kołderką. Podniosła kosz, skierowała się w stronę ojca, ale

minęła go i bez słowa wyszła na korytarz. - Poczekaj! - wymamrotał, szybko zamykając drzwi.

- Nie mogła znieść tego widoku, tatusiu. To straszne... straszne. A ono jest takie piękne. To malutka dziewczynka, taka... prześliczna. I spójrz, ile ma włosów.

- Zabiorę je na dół - powiedział, nawet nie rzuciwszy okiem na dziecko.

- Ono... musi mieć ciepło, trzeba je trzymać blisko pieca.

Puściła koszyk dopiero wtedy, gdy usłyszała: - Tak. Tak, wiem. Daj mi je.

Obserwowała go niosącego kosz, aż do chwili, gdy zniknął na dole schodów. Dopiero wtedy zawróciła do pokoju. Na widok Patsy oglądającej coś wyjątkowo odrażającego zatrzymała się w drzwiach, dłonią zasłoniła usta, a pomiędzy jej palcami ukazały się łzy.

Patsy, świadoma obecności Jessie, przerwała swoje zajęcie i odwróciwszy się szybko zapytała: - Gdzie jest dziecko?

- Tatuś zabrał ją na dół do kuchni - wyjąkała pochlipując. Jej odpowiedź wywołała natychmiastową reakcję Patsy, która gwałtownie ścisnęła ją za ramię i rozkazała: - Idź na dół sprawdzić, co się dzieje z dzieckiem. No, już, szybko.

- Ale dlaczego? Tatuś...

- Rób, co ci każą, panno Jessie - wtrąciła Annie tonem, który spowodował, że Jessie potykając się wybiegła z pokoju. Ale dopiero na schodach zadała sobie pytanie „dlaczego?” Odpowiedź, która przyszła jej do głowy, wywołała wewnętrzny protest. Nie! Nie! To okropne z ich strony, że w ogóle pomyślały o czymś takim.

W pośpiechu weszła do kuchni, a stojący przy kominku Ward odwrócił się do niej z pytaniem: - Czego chcesz?

Nie odpowiedziała, ale rozejrzała się wokół, po czym skierowała wzrok w stronę paleniska. Nigdzie nie było śladu koszyka z dzieckiem.

- Posłuchaj, wracaj na górę. Zaraz tam przyjdę.

- Tatusiu, gdzie jest dziecko? - Przestała już płakać i jej głos zabrzmiał szorstko.

- Natychmiast zrób, co ci poleciłem.

- Nie! Nie, tatusiu. Nie zrobię tego. Nie tym razem. Co zrobiłeś z dzieckiem?

- Nic nie zrobiłem z dzieckiem.

- No to gdzie ono jest?

- Coś ci powiedziałem. Idź na górę i zostań tam przez jakiś czas. Kiedy wrócisz, będzie na ciebie czekało tutaj, przy kominku.

Rozpaczliwie pokręciła głową i w końcu zaczęła krzyczeć: - Daj mi dziecko i to zaraz! Gdzie...?

Przerwała w chwili, gdy usłyszała kwilenie dochodzące z pomieszczenia znajdującego się w sąsiedztwie kuchni. Ta zimna, wąska spiżarnia miała marmurowe półki i kamienną podłogę, a mleko przechowywało się w niej nawet lepiej niż w mleczarni. Szybko tam pobiegła, otworzyła drzwi i na kamiennej podłodze zobaczyła leżące na pieluszcze całkiem gołe dziecko. Koszyk stał na półce.

Podniosła je i mocno przytuliła do piersi, okrywając szalem, który miała narzucony na ramiona, a potem odwróciła się i stanęła przed ojcem, a ten, widząc wyraz jej twarzy, w milczeniu stał w otwartych drzwiach. Dopiero po chwili zakręcił się na pięcie, podszedł do stołu i waląc w niego pięścią ryczał: - To było najlepsze wyjście!

- Nie! Nie! - Jej ton był równie zdecydowany. - Dziecku nic nie brakuje. To nie żaden potworek.

- A co z jego głową? - wrzasnął. - Ma półobląkaną matkę. Musisz to sobie uświadomić... Ja musiałem się z tym pogodzić. I kto może być jego ojcem? Który z nich trzech? Który z tych okrutnych, obleśnych, tępych wieprzów? No, powiedz, jaki charakter ona może odziedziczyć? Jakie zło mogło zostać spłodzone z takiego nasienia? Powiedz mi, dziewczyno. Powiedz!

Nie potrafiła znaleźć żadnej odpowiedzi, mogła jedynie mocniej przytulić maleństwo.

- No i kto ma się nią zajmować - ciągnął. - Z pewnością nie jej matka. Na pewno nie Annie, która już ledwo chodzi. Pozostaje Patsy, ale ona niewątpliwie niedługo będzie miała własne. Rozumiesz to, dziewczyno? Czy temu stworzeniu zamierzasz poświęcić swoje życie? - zapytał, wyciągając palec w jej kierunku. - Bo trzeba je będzie trzymać z daleka i ode mnie, i od jego matki. Tak, ode mnie, bo nie chcę jej widzieć na oczy. Pomyśl o jej dorastaniu. Ja was obie trzymałem z dala od wsi, ale teraz nikt nie będzie w stanie uchronić ją przed plotkami i zniewagami. Jak myślisz, jakim imieniem obdarzą to dziecko trzech ojców, co? Bękart diabelskiej trójcy.

- Przestań, tatusiu! Przestań! Proszę! - Mówiła już znacznie spokojniej, ale ton jej głosu był tak niezwykły, że jej determinacja uciszyła go. - Nigdy nie wyjdę za mąż - stwierdziła. - Jedyne mężczyzna, na którym mi zależało, i pewnie będzie zależało, to Carl. A ty potraktowałeś mnie jak kartę przetargową, chcąc zatrzymać go na farmie.

- Widząc, jak ze zdziwienia szerzej otwiera oczy, pokiwała głową i mówiła dalej: - Wiem o tym. A kiedy nie zgodził się na twoją propozycję, moje serce umarło. Pozostała mi tylko jedna nadzieja. Teraz, gdy twoja ukochana córka nie chce mieć z tobą nic wspólnego, traktując cię jak jednego z budzących jej

przerażenie mężczyzn, ja jestem ci potrzebna. Tylko dlatego mnie zauważyłeś. Tyle że, podobnie jak towary z drugiej ręki, to też zostało pozbawione uroku nowości: wszystkie twoje myśli, właściwie całe twoje życie jest podporządkowane tragediom, przez które musiałeś przejść. A ostatnio zdałam sobie sprawę z tego, że najbardziej obchodzi cię to, jaki one mają wpływ na ciebie. Nie, jak wpływają na Angelę czy na mnie, lub nawet Patsy, Carla albo Annie. Tragedie, które cię spotkały, dotknęły również nas, ale ty tego nie zauważyłeś.

Wpatrywał się w nią z otwartymi ze zdumienia ustami. Miała tylko osiemnaście lat, ale z wyglądu, zachowania i sposobu myślenia mogła mieć równie dobrze dwadzieścia osiem. O tak, szczególnie ze sposobu myślenia. W tym momencie nie był w stanie znaleźć sensownej odpowiedzi na jej nagłą tyradę, nie przychodziła mu do głowy żadna reprimenda, którą mógłby wygłosić, dając wyraz swemu niezadowoleniu z powodu sposobu, w jaki ośmieliła się do niego odezwać. Ale zdawał sobie sprawę z tego, że uchroniła go przed zamordowaniem dziecka, bo właśnie to zamierzał uczynić. O tak, a jeśli wychłodzenie by nie poskutkowało, to z pewnością dłoń zaciśnięta na ustach maleństwa spełniłaby swoje zadanie.

Patrzył na nią zastanawiając się, co ją tutaj sprowadziło z powrotem. Szósty zmysł? Nagle tknęło go, że pierworodna córka odziedziczyła charakter jego ukochanej Fanny, podczas gdy jej replika, obdarzona jedynie fizycznym podobieństwem, w przyszłości mogłaby się stać płochą dziewczyną. Uroczą, tak, ale jednocześnie kapryśną i płochą.

Kiedy odwrócił się do niej plecami i skierował w stronę kuchennych drzwi prowadzących na podwórze, wyglądał jak człowiek niosący na swych barkach olbrzymi ciężar. Ale nie rozmyślając nad tym dłużej, pobiegła z powrotem do spiżarni, wzięła koszyk i powiesiła go na kracie przed kominkiem. Potem z obydwu stron ogrzała pieluszkę i dopiero wtedy owinęła w nią dziecko.

Kłęcząca, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł Carl.

- Już się urodziło? - stwierdził.

- Tak. Tak, Carl. To dziewczynka - powiedziała, nie podnosząc na niego wzroku.

- Ja... tak właśnie pomyślałem, kiedy zobaczyłem, jak pan wymaszerował gdzieś przez bramę.

Nie zareagowała na to stwierdzenie, a Carl już pochylał się na koszykiem. - Wygląda całkiem zgrabnie - odezwał się cicho - ale jest malutka.

- Tak. Tak, rzeczywiście jest bardzo mała.

- Wszystko jest w porządku?

- Tak, Carl, zupełnie w porządku.

- To dobrze.

- Carl?

- Tak, panno Jessie?

Odwróciła się do niego. - Jak... jak się karmi dziecko... odrzucone przez matkę?

- Odrzucone?

- Tak, krzyczała na jej widok.

- O Boże, Boże. Myślę, panienko, myślę, że... można użyć szmatki.

- Szmatki?

- Tak. Składa się kawałek płótna - zademonstrował jej, jak złożyć materiał i okręcić go wokół palca - na taką grubość, a potem wiąże z jednej strony. I macza się w mleku.

- To wszystko?

- Przez jakiś czas wszystko, potem można zacząć podawać butelkę. Teraz kupuje się butelki z takim jakby kapturkiem, no wiesz.

Nie wiedziała, ale pokiwała głową. - Jak... szybko mógłbyś zdobyć taką butelkę?

- Och, musiałbym pojechać do miasta, do drogerii.

- Czy... mógłbyś pojechać dzisiaj?

- Tak. Wybiorę się, jak tylko się obrządę.

- Dziękuję ci, Carl.

Powoli podniósł się, ale przez cały czas wpatrywał się w noworodka. Na skraju kołderki pojawiła się malutka piąstka, próbująca złapać powietrze. A kiedy Jessie podsunęła jej swój palec, małe paluszki zacisnęły się na nim. Po chwili odwróciła się i podniosła na niego wzrok. - Ona jest słodka, prawda? - powiedziała załamującym się głosem, spoglądając na niego rozjaśnionymi łzami oczyma.

Pokiwał głową i cicho się z nią zgodził: - Tak. Rzeczywiście. - Jednocześnie pomyślał, że jest mu żal wcale nie dziecka, ale właśnie jej, bo wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej, a ona teraz wyglądała jakby czuła się całkiem zagubiona. - Będiesz miała pełne ręce roboty - dodał.

- Nie szkodzi, Carl. Wcale nie szkodzi. Biorę za nią całkowitą odpowiedzialność - stwierdziła. - A... ja będę dla niej najważniejsza. To znaczy... - zerknęła na niego - trzeba mieć dla kogo żyć, a ona jest dla mnie kimś takim.

Pokiwał głową i szybko wycofał się z kuchni. Ale kiedy odwróciła się do drzwi, na chwilę zacisnęła mocno oczy zastanawiając się, dlaczego właśnie teraz wróciło jej dawne uczucie do niego, w momencie, gdy miała przed sobą życie

wypełnione opieką nad tym dzieckim, jego wychowaniem, nauką i ochroną nie tylko przed światem zewnętrznym, ale również przed mieszkańcami tego domu, jego matką i dziadkiem, którzy nie chcieli go znać.

Część trzecia

Rozdział pierwszy

Długi orszak żałobników kroczący tego ponurego listopadowego dnia za trumną pułkownika Ramsmore'a rozproszył się po cmentarzu. Rozeszła się też grupa najbliższych przyjaciół rodziny, którzy wrócili do Hall, żeby napić się czegoś ciepłego i zjeść lekki posiłek. A teraz w bawialni pozostali jedynie najbliżsi, najstarszy pasierb lady Lydii, Beverly, sześćdziesięcioletni mężczyzna, który właśnie przeszedł w armii na emeryturę, i jej własny syn, Gerald, który tydzień temu wrócił do domu rodzinnego po dziewięcioletniej nieobecności.

W tej chwili wyglądało na to, że pułkownik Beverly Ramsmore już dłużej nie może się pohamować. Gwałtownie odstawił opróżniony kieliszek, wstał od stołu i patrząc na swego przyrodniego brata odezwał się tonem, jakim zapewne zazwyczaj zwracał się do podwładnych: - Czy mam rozumieć, że zgodnie z tym, co mówi twoja matka, jeżeli wybuchnie wojna, a na to się zanosi, to nawet nie zamierzasz się zaciągnąć? Nigdy nie mogłem zrozumieć twojego stosunku do armii, ale żeby nie stanąć w obronie własnej ojczyzny, która cię potrzebuje, to dla mnie niepojęte i ohydne, szczególnie że pochodzisz z takiej rodziny... Pp prostu zadziwiasz mnie. Jesteśmy wojskową rodziną, byliśmy nią od pokoleń, aż do chwili, kiedy - skubnął swoje krótkie wąsy i dokończył - ty się pojawiłeś.

- Beverly! - Głos Lydii brzmiał dość stanowczo, jednak słycać było w nim zmęczenie.

- To nie ma sensu, Lydio - odwrócił się do niej.

- Ktoś musiał mu powiedzieć, co wszyscy o tym myślimy.

- Beverly, już ci mówiłam, że możesz to sobie darować.

- Ależ, mam, dlaczego sama nie weźmiesz sobie tej rady do serca i nie przestaniesz strzępić języka? - odezwał się Gerald od niechcienia. - Już dosyć dyskutowaliśmy na ten temat.

Korpulentna postać przecisnęła się do miejsca, gdzie całkowicie odprężony Gerald wyciągnął się w fotelu. Starszy pan wydawał się wyprowadzony z równowagi tą pozycją i zachowaniem przyrodniego brata. - Jesteś zachwycony swoim odmiennym zachowaniem, prawda? - wybuchnął. - Ale ja nazwę rzeczy po imieniu: jesteś tchórzem, prawdziwym tchórzem, i to od czasów, kiedy jeszcze chodziłeś w krótkich spodenkach!

Ze zdziwieniem zauważył, że niedbale rozciągnięty Gerald podnosi się i z wymierzonym w niego palcem krzyczy: - Tak! Jestem dostatecznie tchórzliwy,

żeby nie zabijać moich rodaków! Jestem dostatecznie tchórzliwy, żeby nie udawać Boga i nie głosić potrzeby zabijania wśród ludzi, którzy często mają więcej rozumu niż ty i tobie podobni. A ty traktujesz ich jak szumowiny, jak mięso armatnie. Więc odpowiem na twoje pytanie. Tak, wiem, że wojna wybuchnie lada moment. Ale czy ty wiesz dlaczego? Czy czytasz książki historyczne? Albo raczej, czy kiedyś w życiu przeczytałeś cokolwiek poza regulaminami wojskowymi? - Ręka opadła mu ciężko, ale nie przerwał swojej przemowy. - Chciwość! Chciwość! To właśnie ona jest przyczyną wojen: Francuzi i Niemcy skaczą sobie do gardła, aby zdobyć kontrolę nad pokładami węgla i żelaza, Rosjanie patrzą łakomym okiem na Bałkany, każdy chce coś zagarnąć dla siebie. A nasza wspaniała ojczyzna? Och, my tylko chcemy pożreć ten cały cholerny świat.

- Geraldzie!

- Och, pozwól mu mówić, Lydio, pozwól mu mówić. Słyszałem już takie opinie od różnych agitatorów, krzykaczy i bumelantów. Powinieneś dołączyć do su-frażystek.

- Nawet twój sarkazm nie jest zbyt dosadny, Beverly, i jeśli dobrze pamiętam, to nawet kiedy byłem małym dzieckiem, nie słyszałem, abyś wygłosił jakąś oryginalną opinię. Można mieć tylko nadzieję, że twoi synowie, dla ich własnego dobra, pójdą w ślady swojej matki, która, jak sobie przypominam, była osobą o żywym umyśle. Wiesz co, Beverly? Neil i ja jesteśmy prawie w tym samym wieku, on jest chyba o rok starszy. Ale pamiętam, że kiedy miał jakieś szesnaście lat, przyznał mi się, że wcale nie chce iść do wojska, ale zaplanowano dla niego taką karierę, tak samo zresztą jak dla Rogera, ponieważ ojciec był nieugięty. Czy wiesz, kim on chciał zostać? Farmerem. Ale oczywiście, jak sam zauważył, tatuś był nieugięty.

Cofnął się o krok, rozciągnął wargi w szyderczym uśmiechu i powiedział spokojnie: - Tatuś będzie bardzo dumny, kiedy wybuchnie wojna i ich obydwu kule rozszarpią na strzępy lub bagnet posieka im brzuch. - Odwrócił się i wymaszerował z pokoju.

Słyszając odgłos zatraskiwanych drzwi, lady Lydia mocno zacisnęła kroczy.

- Po kiego licha prosiłaś go, żeby został? - zapytał wściekły żołnierz.

- Ponieważ ktoś musi zająć się majątkiem, a raczej jego resztkami - odparła podobnym tonem, szeroko otwierając oczy. - A ty wyraźnie dałeś mi do zrozumienia, że nie zamierzasz zostawić Hampshire, żeby tutaj zamieszkać. Jak sam zauważyłeś, tu nie ma żadnych perspektyw dla twoich wnuków. No i oczywiście, chodzi również o twoje kluby w Londynie. A korzystając z chwili szczerości, muszę ci przypomnieć, że mieszkając w domu przez ostatnie cztery

lata, o ile dobrze się orientuję, tylko raz pomyślałeś o tym, żeby odwiedzić swego ojca. Można szukać usprawiedliwień dla twoich braci, Arthura i Williama, którzy stacjonują w Indiach. Ale i oni, kiedy tu byli w czasie urlopów, wpadli tylko na chwilę, jakby w tym domu panowała jakaś zaraza. Za czasów ich dzieciństwa, kiedy dom był pełen służby spełniającej wszystkie zachcianki, było zupełnie inaczej. Ale pieniądze skończyły się, i powiem otwarcie: w znacznym stopniu poszły na wasze kariery i niekontrolowane wydatki. Majątek przeciekał przez palce wam i waszym nowym rodzinom. Ale kiedy trzeba było wykształcić mojego syna, musieliśmy sprzedać domek i kawałek ziemi. A i tak jego skromne dochody skończyły się gwałtownie, gdy miał zaledwie dwadzieścia lat i jeszcze nie ukończył studiów, bo miał odwagę... I zdecydowanie protestuję, Beverly, przeciwko nazywaniu go tchórzem. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie publicznie broniącego człowieka, który nie miał racji, a tak właśnie zrobił mój syn, przez co poróżnił się z ojcem i długo musiał z tego powodu cierpieć. Są różne rodzaje odwagi - powiedziała już ciszej - ale mogę cię zapewnić, że mój syn ma wiele tej właściwej. Taka jest moja opinia i bez względu na to, co się stanie w przyszłości, nawet jeśli odmówi walki za swój kraj, co z pewnością zrobi, ja będę go wspierać. Możesz to przekazać swoim braciom. - Po tych słowach podniosła się z kanapy i wyszła z pokoju.

* * *

Spacerowali zarośniętą chwastami ścieżką prowadzącą wśród wysokich traw. Przez jakiś czas szli w milczeniu, pozornie zwracając uwagę jedynie na białe obłoki pary, widocznej w chłodnym powietrzu przy każdym oddechu. - Majątek nie jest w najlepszym stanie, prawda? - odezwał się nagle.

- Tak, już od jakiegoś czasu - odparła. - Ale co może zrobić jeden człowiek? I tak McNamara dokonuje cudów. Doprawdy, czasami wprawia mnie w zdumienie.

Jest bardzo lojalny. Pamiętasz, że zatrudniliśmy go, kiedy miałeś dwanaście lat? On miał wtedy czternaście. Dobrze, że się nigdy nie ożenił, bo wtedy by z pewnością odszedł. Powinniśmy się cieszyć, że ma takie dziwne oko.

- Odwróciła się do niego z uśmiechem, unosząc podbródek nad brzeg wysokiego kołnierzyka.

- Zawsze był dobrym człowiekiem - potwierdził.

- Och, tak się cieszę, że zostajesz, Geraldzie. Jestem ci taka wdzięczna! - wykrzyknęła, biorąc go pod ramię.

- I ja też, mamó. Wierz mi, że ja też.

- Ale ja myślałam, że lubisz Londyn i pracę w wydawnictwie, i...

- Tak, tak, to prawda i z pewnością będę tęsknił, może nie za pracą, ale za atmosferą tego miejsca, tych ciasnych, nędznych pokoików. Za panem Herbertem i panem Darringtonem. Zawsze mam ich przed oczami, siedzących przy zawalonych papierami biurkach, plecami do siebie. Wiesz, tacy dziwacy. - Pokiwał głową.

- Nigdy nie miałem wrażenia, że oni naprawdę czytają i sprawdzają te książki.

- To przecież należało do twoich obowiązków, prawda?

- Tak, ale dopiero... och, po trzech latach. Na początku zajmowałem się jakimiś drobnymi sprawami i muszę się przyznać, że byłem rad, że w ogóle mam jakieś zajęcie. Boże, te niektóre rękopisy. Czasami miałem wrażenie, że pisanem zajmują się chyba wszyscy mieszkańcy tego kraju, chociaż ponad połowa w ogóle nie umie pisać. - Przerwał na chwilę, i szybko podjął:

- Niektóre listy dołączane do rękopisów były żalose: „Proszę uprzejmie o publikację mojego dzieła, ponieważ jestem w tarapatkach finansowych.” A potem musiałem czytać pogmatwany romans albo, jak się niekiedy zdarzało, wspomnienia strasznego dzieciństwa lub nieudanego małżeństwa. Tam właśnie poznałem tę stronę życia, o której my wszyscy nie mamy pojęcia - stwierdził, spoglądając na nią. - I to nie tylko pracując dla tych dwóch cudownych dżentelmenów starej daty, jakimi oni naprawdę są, uważnie wybierających pozycje do publikacji, ale jednocześnie jakby żyjących w nierealnym świecie. Czasami wydawało mi się, że w ogóle nie dostrzegają ani mnie, ani Ronalda... Wiesz, Ronalda Pearsona, o którym ci opowiadałem. Innym razem, kiedy sobie o nas przypomnieli, wrzeszczeli na całe gardło. Biedny Ronald. Pan Darrington potrafił krzyknąć: „Wieśniaku! Do mnie!” I traktował go jak wieśniaka. Któregoś dnia przypadkowo usłyszeli, jak ich nazwał Piekielnik i Cholera. Właśnie wychodzili na lunch, a ja nie mogłem go ostrzec, bo trzymałem im drzwi. Zobaczyłem tylko, jak się odwrócili z rozbawieniem i zdziwieniem. Potem do końca pracy, do szóstej, nie mogłem go przekonać, że powinien spodziewać się zwolnienia.

Przechodzili teraz przez równie zarośnięty ogród, gdy ' odezwała się melancholijnie: - Będziesz tęsknił za tym wszystkim, nawet za tym zabawnym pensjonatem, w którym mieszkałeś.

- Tak, pewnie przez jakiś czas - zgodził się, - Nie za miejscem, ale za ludźmi, bo to właśnie oni są wyjątkowi. Szczególnie Crampowie. Tak - uśmiechnął się szeroko - szczególnie Crampowie.

- Jakim cudem trafiłeś do tego pensjonatu w East Endzie w Londynie? Przecież, jak wyjeżdżałeś, miałeś dość pieniędzy, aby zatrzymać się w hotelu

lub, jak ci proponowałam, iść do kuzyna Beverly'ego. On go nie lubi, więc pewnie by ci pomógł.

- Jak długo, mamó? Wiedziałem, że tych pieniędzy, które mi dałaś i które sam zaoszczędziłem, starczy mi na jakiś miesiąc, więc musiałem poszukać sobie jakiegoś taniego mieszkania. Dzięki Bogu, znalazłem panią Cramp... albo raczej ona znalazła mnie... kiedy studiowałem ogłoszenia o pokojach do wynajęcia wywieszane w witrynach sklepowych. - Skrzywił się. - Erb... pan Herbert Cramp i nasz Doug, pan Douglas Cramp, i jeszcze mała Glad, która wtedy była rzeczywiście mała, a teraz ma siedemnaście lat. Można powiedzieć, że od tego dnia byłem bardzo szczęśliwy.

- Och, Geraldzie, robisz takie porównania, jakbyś tutaj był bardzo nieszczęśliwy.

- Przykro mi, mamó, ale oni byli zupełnie inni niż ci, z którymi się wychowywałem, tacy uczciwi, tacy otwarci i - skrzywił się, patrząc na nią - tacy sprytni, tacy przebiegli. Pan Herbert pracował w Covent Garden. Zatrudnił się tam już jako chłopiec, a syn poszedł w jego ślady. Mieli również stragan. Och, nie uwierzyłabyś, ile się nauczyłem na temat handlu. Ale najprzyjemniej było w domu, w czasie wspólnie spędzanych wieczorów. To była rozsypująca się rudera. Kiedyś należała do jakiegoś przemysłowca, jak wiele innych w tej okolicy. W każdym razie miała cztery nadające się do użytku sypialnie i strych. Ja zajmowałem strych. Tak... tak - podkreślił teraz - z wyboru, ponieważ rozciągał się nad całym mieszkaniem i wszędzie mogłem rozrzucić swoje książki, a nikomu to nie przeszkadzało, najmniej pani B. - miała na imię Bertha. Wiesz, mamó, nigdy nie słyszałem tak przenikliwego głosu ludzkiego, jaki wydobywał się z jej piersi. Nie potrzebowałem budzika. Szczególnie kiedy praktycznie w środku nocy, stojąc na dole schodów, wrzeszczała: „Ty! Doug, zwlekaj się z łóżka, bo inaczej wydlubię cię z niego widelcem!” - Zatrząsał się teraz ze śmiechu. - Nie będę raczył cię szczegółami, mamó, co ona dokładnie zamierzała robić tym widelcem.

- Dziękuję ci bardzo, ale mogę się domyślić. - Teraz ona również wybuchnęła śmiechem.

- Herbert nie musiał być budzony. Podejrzewam, że po prostu wypychała go z łóżka w momencie, gdy sama wstawała. W moim przypadku po prostu stawała przy wąskich schodach i krzyczała: „Podaję za piętnaście minut, panie G.” A ja wygrzebywałem się z łóżka, nakładałam na siebie ubranie, z wyjątkiem marynarki, kołnierzyka i krawatu, i szedłem na dół do pomywalni, żeby się umyć.

- Och, Geradzie, musiałeś myć się w...?

- To była dobra szkoła, mamó. A ja, jako dżentelmen, jak otwarcie mówiła każdemu, kto tylko chciał jej słuchać, a to oznaczało większość sąsiadów, zostałem obdarzony przywilejem korzystania z wielkiej cynowej balii w piątek albo sobotę wieczorem. Miałem wybór.

Zatrzymali się na chwilę, a ona wymamrotała pomiędzy wybuchami śmiechu:
- Przesadzasz.

- Nie, nie przesadzam. Mówię zupełnie poważnie. Oni wszyscy używali cynowej balii, a w rogu pomywalni zainstalowano bojler. Jedynym problemem był limit czasowy na dokonanie ablucji. Trudno się było zrelaksować w bardzo często prawie wrzącej wodzie nalewanej do wanny wiadrem. A poza tym zawsze istniała szansa, że albo Doug, albo jakiś inny chłopak wetknie głowę w drzwi, czasami zdarzało się to nawet jakiejś sąsiadce. Na szczęście wtedy przeważnie byłem głęboko zanurzony w wodzie albo owinięty ręcznikiem, który dziwnie przypominał papier ścierny. Chociaż, w jakimś sensie, oni mieli głęboko zakorzenione poczucie przyzwoitości, szczególnie jeśli chodzi o kobiety... Gład zawsze głośno śpiewała w wannie. Przeważnie w piątek wieczorem, przed pójściem na tańce do... palais de danse. Mówiono mi, że była znakomitą tancerką. Nigdy nie widziałem tego osobiście. Chociaż wielokrotnie mnie zapraszała. „Och, niech się pan ze mną wybierze, panie G” - naśladował ją teraz.
- „Zabawi się pan. Rozrusza nogi... Padną na pana widok, jak tylko pan otworzy usta.”

- Och, Geraldzie. - Lady Lydia czule wpatrywała się w syna. - Mogło tak być - stwierdziła ze zdziwieniem. - Czy mam rozumieć, że nie byłeś z nikim związany? Nie spotykałeś się z nikim...?

Objął ją w tali i przytuleni do siebie szli dalej. - Nie, mamó, nie spotykałem się z nikim z naszej sfery, bo o to ci chodziło, prawda? - powiedział.

- Nie - starała się trochę odsunąć. - Niezupełnie.

- Ależ tak, tak. Widzisz, nauczyłem się czytać w myślach. Nawet napisałem coś na ten temat.

Przerwał na chwilę, jakby powiedział trochę za dużo, a ona zatrzymała go i zapytała: - Naprawdę? Naprawdę piszesz?

- Tak, mamó, naprawdę piszę. A teraz zdradzę ci sekret. Nawet dostawałem pieniądze za moje pisarstwo, za to, co tutaj wymyśliłem. - Wskazał na swoje czoło. - Za moje ostatnie opowiadanie dostałem piętnaście funtów. Dotyczyło wsi.

- Naprawdę? O tym, czego doświadczyłeś, kiedy byłeś...?

- Tak, o moich doświadczeniach z dzieciństwa, kiedy tutaj mieszkałem, i o ludziach, których wtedy znałem.

- Na przykład?

- No, Gibsonowie.

- Chyba nie...?

- Ależ nie. Nie, nie. Nie opisałem tego, co się naprawdę zdarzyło. Opowiedziałem o farmerach i ich życiu.

- I dostałeś za to piętnaście funtów?

- Dostałem za to piętnaście funtów.

- To bardzo miło ze strony panów Herberta i Darringtona.

- Och, mamó. Pan Harry i pan David nawet by na to nie spojrzeli. Banał, powiedziałby jeden. Zbyt uproszczone, dodałby drugi.

- A gdyby wiedzieli, kto jest autorem?

- Nie wiedzieliby, ponieważ posługiwałem się twoim panięńskim nazwiskiem, Fordish. Mój dziadek, a twój ojciec, nazywał się James Fordish, prawda?

- No, no. - Twarz rozjaśniła się jej z radości. - Wiesz, jesteś przedziwnym młodym człowiekiem. Zawsze byłeś nieobliczalny. Ale być może czeka cię wspaniała kariera.

- Tak. Tak, to mogłaby być wspaniała kariera, gdybym kiedykolwiek napisał coś więcej niż artykuły i opowiadania. A tak, mogę traktować takie pisanie jako dodatkowe zajęcie.

- To co naprawdę chcesz robić, kochanie?

- Prawdę mówiąc, mamó, nie jestem całkiem pewien, z wyjątkiem tego, że - skierował twarz w jej stronę i wyszeptał - byłbym zachwycony mogąc siedzieć tam, w bibliotece - wskazał w kierunku domu - i czytać, czytać, czytać bez końca, gdyby tylko ktoś zechciał mnie czasami nakarmić. I gdybym raz na tydzień mógł się wykąpać, ale koniecznie w cynowej balii,

- Och, Geraldzie! - Leciutko go popchnęła. - Bądź poważny. A w ogóle, czy ty... czy pani Cramp wiedziała, że jesteś pisarzem?

- Dobry Boże! Nie! Och, nie.

- W takim razie, jak jej wytłumaczyłeś, że korespondencja przychodziła na nazwisko James Fordish?

- Och, miałem umowę z moim wydawcą. - Dumnie uniósł podbródek, z godnością pokręcił głową i powiedział: - Jak to miło brzmi, prawda? Mój wydawca. Naprawdę widziałem go tylko raz w życiu. Zazwyczaj kontaktowałem się z jego redaktorem. Ale wracając do Crampów, gdyby tylko dowiedzieli się, że coś napisałem i na dodatek zapłacono mi za to, rozgłosiliby taką wieść w całym sąsiedztwie. - Teraz zmienił pozycję, skrzyżował ramiona i pokiwał głową. - „Mój dżentelmen jest pisarzem. Mówiłam wam, że to dziwak.” Naprawdę słyszałem, jak mówiła coś podobnego swojej przyjaciółce, dwa razy

od niej grubszej i kilka razy głupszej. „Win - powiedziała - on nie jest zwyczajnym lokatorem, to dżentelmen, jak ci, co mieszkają w West Endzie.” Nie będę ci już dokładnie opowiadał, co mówiła o moich koneksjach, nie tylko w West Endzie, ale chyba w samym rządzie.

- Och, mój drogi, mój drogi. - Uścisnęła jego dłoń. - Wiesz, jesteś bardzo zabawny. Mógłbyś pisać humoreski.

- Mamo, muszę ci coś powiedzieć. Opowiadanie i pisanie nie mają ze sobą wiele wspólnego. Jeżeli jakiś pisarz potrafiłby pisać tak, jak opowiada, z pewnością wkrótce byłby milionerem. Wiesz, pomysły rodzą się tutaj - znowu sięgnął do czoła - spływają przez ramię do dłoni i w końcu na kartkę papieru. To długa droga. Zanim myśl znajdzie się na papierze, wiele można z niej zgubić.

- Kocham cię z całego serca, Geraldzie - powiedziała już poważnie. - Jesteś moim jedynym synem, jedynym dzieckiem, jedynym potomkiem. Nigdy nie kochałam nikogo tak jak ciebie. Ale też nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jakie myśli burzą się w twojej głowie i po kim je odziedziczyłeś.

- No, moja kochana, w każdej rodzinie jest zawsze jakieś dziwadło. Sama tak mówiłaś.

- Tak, wiem, ale twoje dziwactwo jest inne. Ale, przecież w taki chłodny poranek wyszliśmy po to, żeby zastanowić się, co można zrobić z majątkiem. Czyżbym nie miała racji?

- Tak, mamo, masz rację. Wiele nad tym myślałem. Wiadomo, że zostało nam około sześćdziesięciu akrów, ale część zajmują dwa zagajniki i to, co zawsze nazywaliśmy kamiennym polem, z powodu skał odgradzających naszą posiadłość od farmy Gibsona. A to oznacza, że faktycznie mamy około trzydziestu akrów. To nie wystarczy, aby prowadzić małą farmę. A poza tym budynki nad strumieniem są w tak opłakanym stanie, że trzeba by fortuny, żeby doprowadzić je do porządku. A co myślisz o dochodowym ogrodnictwie?

- O ogrodnictwie? - powtórzyła krzywiąc się. - Masz na myśli warzywa i...?

- Tak, mamo, myślę o warzywach i owocach. I wiesz, jedyną osobą, która w ogóle ma pojęcie o warzywach, jest McNamara. I o owocach, oczywiście. Przez całe lata zajmował się aprowizacją domu, prawda? Jak sama przyznałaś, zawsze mieliśmy dostatek różnych warzyw. A poza tym są winnice i szklarnie. Kiedy w zeszłym roku miałaś mnie odwiedzić w Londynie, zaproponowałaś, że przywieziesz koszyk winogron. Jeśli dobrze pamiętasz, musiałem odmówić, bo inaczej nie uniknąłbym wyjaśnień. Musiałbym powiedzieć pani C, że rodzina jej dżentelmena hoduje winogrona. Mój Boże!

- Ale czy to się opłaca? Przecież musiałbyś kogoś zatrudnić.

- Mamo, na sąsiednich farmach nikt nie zawraca sobie głowy kwiatami, czy pospolitymi warzywami. No, ostatecznie mają pole kartofli czy rzepy, ale poza tym zajmują się mleczarstwem i bydłem. Więc my moglibyśmy zacząć dostarczać wszystkie gatunki warzyw, owoców i kwiatów. Właśnie minęliśmy dwa wielkie ogrody kwiatowe, zasłane uschniętymi roślinami. Warto spróbować.

- Tak, tak, kochanie, wszystko rozumiem, ale to... to ciężka praca.

- Wiem, pomyślałem i o tym. Dam sobie radę przy pomocy McNamary i jeszcze kogoś. O tej porze w przyszłym roku będziemy już na rynku, a teraz trzeba zacząć przygotowywać ziemię.

- Czy ty kiedykolwiek miałeś w ręku łopatę lub motykę, Geraldzie? - zapytała z uśmiechem.

- Nie, mamo, ale zdobywając nowe doświadczenia na Covent Garden dźwigałem razem z Erbem i Dougiem skrzynki z kwiatami i owocami. Po kilku dniach ból w kościach minął, a dwa tygodnie później - to było w czasie wakacji - dostałem godziwą zapłatę za pomoc, a potem dodatkowe dziesięć funtów za artykuł, który o tym napisałem. Więc tak, mamo, myślę, że dam sobie radę z łopatą, a jak nabiorę doświadczenia, to wezmę się za motykę. - Uśmiechnął się i poklepał ją po policzku.

- No i co o tym myślisz?

- Och, jestem z tobą. Będę przy tobie bez względu na to, co zapragniesz robić, Geraldzie. Tak długo, jak tylko ty będziesz chciał być ze mną. Byłam taka... samotna.

- Och, moja kochana, moja kochana. Proszę cię mamo, nie płacz. Och, nie, nie płacz. Zupełnie się rozkleję, jeśli będziesz płakać.

Odwróciła się i przez chwilę spacerowali w milczeniu.

- Twój ojciec nigdy nie doprowadził mnie do płaczu - wyszeptała. - Miłość umiera, jeśli w ogóle istnieje. Jedynym jej dowodem jest... hm, owoc, który rodzi.

- Spojrzała na niego, ale kiedy nie powiedziała już nic więcej, wziął ją pod ramię i mocno przycisnął do siebie.

Weszli do lasu położonego we wschodniej części posiadłości. Przed nimi rozpościerała się długa łąka usiana tu i ówdzie skałami. Zatrzymali się gwałtownie. - Nigdy nie uda ci się wiele tutaj zrobić - powiedziała po chwili.

- Nigdy nie wiadomo. Jeśli uda nam się rozkręcić interes, to może będziemy mogli wynająć kilku robotników, żeby oczyścili teren. Ale spójrz! - wyciągnął rękę.

- W pobliżu płotu Gibsonów jest znacznie mniej kamieni. Na sporej przestrzeni nie widać nawet kamyczka.

- Poprowadził ją przed siebie, omijając sterty kamieni, aż znaleźli się przy kamiennym murze, który Ward wybudował na wysokość półtora metra.

Stali blisko muru, patrząc na zamrożone przeorane pole rozciągające się w dole, gdy w zasięgu ich wzroku pojawiła się biegnąca mała dziewczynka. Z pewnością już wcześniej ich zauważyła, ale nagle zniknęła za rogiem kamiennej ściany. A teraz ukazała się z drugiej strony muru i zadzierając głowę do góry powiedziała:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparł Gerald i odwrócił wzrok w stronę matki, która spoglądała na niego pytająco.

Oboje ponownie spojrzeli na dziecko, które właśnie zauważyło: - Mamy dzisiaj zimny dzień, prawda? - wyraźnie kierując to stwierdzenie do lady Lydii.

- Tak. Tak, rzeczywiście zimno dzisiaj, moja droga.

- Jak się pan nazywa? - tym razem znowu zwróciła się do Geralda.

- Gerald Ramsmore. A ta dama to moja matka.

- Och. - Dziecko cofnęło się o krok, po czym znowu podniosło wzrok na lady Lydię, której twarz zdawała się wieńczyć mur. Przez chwilę przyglądała się jej bacznie, po czym stwierdziła: - Moja mama jest chora.

- Doprawdy, kochanie?

- Tak, nie wychodzi z domu.

- Och, tak mi przykro.

Teraz dziecko odwróciło się do Geralda i zakomunikowało: - Mój dziadek wychodzi, ale też nie czuje się dobrze. - Dziewczynka opuściła głowę i wpatrywała się w bruzdy, gdy z odległego krańca pola dobiegło ich głośne wołanie: - Janie! Janie!

Jednak dziecko nie zawróciło, tylko przybliżyło się do muru i powiedziało: - To moja ciocia Jessie.

- Czy nie powinnaś do niej pójść, kochanie? Dziecko nie odpowiedziało, ale wpatrywało się w nich z podniesioną głową.

- Chodźmy już lepiej - wyszeptała lady Lydia.

- Nie - Gerald nie ruszył się z miejsca. - Zostań, mamó. To może być ciekawe.

- Janie! Janie! Chodź tutaj natychmiast!

Kobieta szła teraz skrótem przez wzniesienia, przytrzymując rękoma długą spódnicę. A kiedy dotarła do dziewczynki, była tak zdyszana, że przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. Biorąc dziecko za rękę, spojrzała na ich twarze.

Gerald nie mógł uwierzyć, że ta stojąca na zamrożonej ziemi kobieta i dziewczyna, która kompletnie przerażona wpadła na niego tamtej nocy, nocy,

która na zawsze wyryła mu się w pamięć i przytłumiła jego naturalne emocje, to ta sama osoba. Czy naprawdę minęło tylko dziesięć lat? Z pewnością nie dla tej dziewczyny... kobiety, która wyglądała jakby zbliżała się do czterdziestki, a nie jakby miała dwadzieścia sześć czy siedem lat, bo tyle teraz musiała mieć. - Dzień dobry, panno Jessie - usłyszał swój głos.

- Być może... być może mnie pani nie pamięta? Jestem Gerald Ramsmore, a to moja matka, lady Lydia.

Widział, jak przesuwa po nich obojgu wzrokiem i zwilża językiem wyschnięte wargi. - Tak, tak, dzień dobry.

- Po czym, spoglądając na dziecko, którego dłoń mocno trzymała, dodała: - Przepraszam... przepraszam, jeśli państwu przeszkodziła.

- Wcale nie. Nikomu nie przeszkadzałam, ciociu Jessie. Chciałam tylko porozmawiać. - Dziecko spojrzało na nich i dokończyło rezolutnie: - Lubię rozmawiać.

- Chodźmy już.

Pociągnęła za sobą dziewczynkę, która na pożegnanie krzyknęła: - Przyjdziecie tu jeszcze?

Żadne z nich nie odpowiedziało, a lady Lydia wyszeptała: - Dobry Boże. Dobry Boże.

Gerald widział, że matka opuściła głowę, ale sam nie mógł oderwać wzroku od kobiety i dziecka biegnącego

w podskokach po zaoranym polu. Dopiero, gdy zniknęły na horyzoncie, odwrócił się i skierował w stronę stojącej w pewnej odległości matki. Spojrzeli po sobie, a lady Lydia odezwała się łagodnie: - To dziecko tej dziewczynki, jak słyszałam, trzymają ją w zamknięciu prawie jak więźnia.

Kiedy zmierzali w stronę lasu, Gerald nie zrobił na ten temat żadnej uwagi, ale mocno zacisnął szczęki: przed oczami znowu stanął mu obraz ślicznej dziewczynki leżącej z zakrwawionymi, szeroko rozsuniętymi nogami. Czuł, jak znowu wzbiera w nim wewnętrzny jęk. To zdarzyło się prawie dziesięć lat temu. Nie powinien już przeżywać tego tak głęboko...

* * *

Dziecko stało obok stołka umieszczonego przy kominku w domku, który kiedyś należał do Annie. Annie nie żyła już od ośmiu lat. Po jej śmierci połączono ten domek i sąsiedni, przebijając drzwi pomiędzy dwiema kuchniami, a odkąd Patsy i Carl wyprowadzili się do głównego budynku, zajęła go Jessie z dzieckiem.

Pochylając się nad dziewczynką, Jessie odezwała się szorstko: - Przecież cię ostrzegałam, prawda? Wpadniesz w tarapaty, jeśli dziadek zauważy, że włóczysz się po okolicy.

- Dlaczego?

- Ja... już ci mówiłam dlaczego. On nie czuje się zbyt dobrze.

- Może chodzić. Ale nigdy się do mnie nie odzywa. I nigdy na mnie nie patrzy.

- Dziecko!

- Nie jestem dzieckiem, ciociu Jessie. Mam już dziewięć lat. Niedługo skończę dziesięć, i już wiele rozumiem. Chciałabym wiedzieć, dlaczego nie mogę zobaczyć się z moją chorą mamusią i dlaczego ona nigdzie nie wychodzi.

Jessie wyprostowała się i z westchnieniem odparła: - Mówiłam ci, że ona nigdy nie opuszcza pokoju, a... dzieci, dziecko, takie jak ty, mogłoby ją zdenerwować.

- W tej nowej książce, którą dostałam do nauki, jest pani siedząca z dziewczynką na kolanach i... i ona jej czyta - cichutko powiedziała dziewczynka, spoglądając na Jessie.

Jessie wyraźnie złagodniała, jak zwykle zresztą w kontaktach ze swoim dzieckiem, bo tak właśnie o niej myślała: moje dziecko. Delikatnie dotknęła dłonią brzoskwiniowego policzka: - Czyżbym nie trzymała cię na kolanach, kiedy ci coś czytam?

- Tak. Tak, ciociu Jessie, ale ty przecież nie jesteś moją mamusią, prawda? Jesteś tylko moją ciocią.

- Tak, mogę być tylko twoją ciocią - Jessie przełknęła ślinę - ale zajmuję się tobą od urodzenia, ponieważ nikt inny nie mógł tego robić.

- Patsy mówiła mi kiedyś, że to ona pomogła mi przyjść na świat.

Naprawdę tak powiedziała? To głupota z jej strony, pomyślała Jessie. Ale głośno powiedziała: - Tak, tak, naprawdę tak było, ale zaraz potem oddała mi ciebie i przez cały czas traktowałam cię jak moją małą córeczkę.

Przez chwilę Janie przyglądała się Jessie, a potem gwałtownie usiadła na stołku i patrząc w ogień stwierdziła: - Teraz boję się ciemności, ciociu Jessie. Mam... mam dziwne sny.

- Nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłaś. Wydawało mi się, że smacznie śpisz - powiedziała Jessie z przejęciem, opadając na kolana obok dziecka.

Mała dziewczynka ponownie skierowała wzrok na Jessie. - No, bo dopiero od kilku tygodni nie mogę pohamować pragnienia, żeby gdzieś pobiec, żeby się uwolnić. Ja... nie mam się z kim bawić. We wszystkich naszych książkach -

zerknęła w stronę stołu - dzieci bawią się w „komórki do wynajęcia”, „stary niedźwiedź mocno śpi”, skaczą na skakankach i tak dalej.

- Przecież ty też skaczesz. I to bardzo dobrze. A z Carlem i Robem grałaś w piłkę na łące.

- Tak. Tak, wiem. - Dziecko pokiwało głową, nie całkiem przekonane. - Ale oni są starsi. I są dużo więksi.

Och, kiedyś Mike powiedział, że bardzo szybko rosnę i w końcu przerosnę samą siebie. Co on miał na myśli?

- Mike opowiada głupstwa. To po prostu oznacza, że będziesz wysoka, kiedy dorośniesz, kiedy będziesz młodą damą.

- Czy ja kiedykolwiek będę młodą damą? Wyobraźnia Jessie przeskoczyła kilka lat i przed jej oczami ukazała się młoda dama, już nie dziecko, ale kobieta z długimi rzęsami, pełnymi wargami i bujnymi brązowymi włosami, które zdawały się żyć własnym życiem, skutecznie opierając się próbom poskromienia.

- Ciociu Jessie, czy ja kiedyś będę damą?

- Oczywiście, że będziesz.

- Poślubię królewicza i będziemy żyć długo i szczęśliwie?

Jessie wstała i odezwała się z ożywieniem: - Nie pytaj o takie głupstwa. Gdzieś ty o tym przeczytała?

- W jednej z bajek braci Grimm.

No, tak, zdaniem Jessie, ich bajki były albo przerażające, albo głupie... Wyjść za męża za księcia i żyć długo i szczęśliwie. Zbierając się do odejścia, zatrzymała się na chwilę i upomniała ją: - Obiecuj mi, że już nigdy nie będziesz biegała bez opieki, tak jak dzisiaj rano.

Ku jej wielkiemu zdziwieniu jej dziecko podniosło się i ośmieliło się powiedzieć: - Nie, ciociu Jessie, nie mogę ci tego obiecać, bo przez cały czas pragnę gdzieś pobiec, pokonać te bramy i ogrodzenia, wszystko, co mnie tutaj ogranicza. I jeżeli czasami nie będziesz mnie ze sobą zabierała, to któregoś dnia po prostu ucieknę, aby zobaczyć targ, na który jeździ Carl, i wieś, do której wybierają się mężczyźni, żeby się upić. I jeszcze coś ci powiem, ciociu Jessie: kiedyś muszę zobaczyć mamę. Muszę, ponieważ ona nigdy nie chciała spotkać się ze mną. Nigdy nie pokocham jej tak jak ciebie, ale muszę ją poznać.

Dobry Boże w niebiosach! Dziewięć lat izolacji teraz okazało się kompletnie bez sensu. Bez względu na to, po kim to dziecko odziedziczyło charakter, z pewnością odznaczało się silną wolą i dojrzałością daleko wykraczającą poza jej wiek. Jedno było pewne, dziewczynka z pewnością nie miała charakteru swojej matki, ani też nie odznaczała się talentem babci, ponieważ nigdy nie próbowała

tańczyć, jak to w dzieciństwie ona i Angela miały w zwyczaju. Pyta, czy kiedyś będzie damą. Z pewnością osiągnie wiek, w którym tak można ją będzie nazwać, ale do tego czasu bez wątpienia w taki czy inny sposób odkryje prawdę o swoim pochodzeniu. Jak na to zareaguje? Bóg jeden wie. Tak, tylko Bóg.

Odwróciła się w stronę dziewczynki i z ożywieniem stwierdziła: - No, dość już tych rozmów. Masz lekcje do odrobienia. Ja muszę na chwilę zajrzeć do domu. Zaraz wrócę.

Kiedy sięgnęła po wełniany szal wiszący na wieszaku przy drzwiach, ze zdziwieniem usłyszała głos Janie: - Proszę, nie zamykaj mnie na klucz.

- Muszę..

- Jeśli to zrobisz, ciociu Jessie, to pewnego dnia wyjdę przez okno.

Jessie zatrzymała się na chwilę, jedną ręką szukając ' klucza do drzwi, a druga do zatrzasku, gdy uświadomiła sobie, że dziecko mówi całkiem poważnie. Nie odzywając się słowem, schowała klucze do kieszeni i otworzyła drzwi. - Dobry Boże - wyszeptała, zamykając je za sobą.

Gdy zbliżała się do domu, przez myśl jej przeszło, że po śmierci Annie tylko kuchnia zachowała swój dawny charakter, wszystko inne w domu uległo zmianie.

Zanim to nastąpiło, trzymała Janie w swojej sypialni, dzieląc czas pomiędzy opiekę nad dzieckiem i siostrą, chociaż w tym ostatnim pomagała jej również Patsy. Ale kiedy później Patsy musiała przejąć obowiązki kuchenne i domowe, a ze względu na ciążę stawała się coraz mniej sprawna, było jasne, że nie może już spędzać tak dużo czasu na górze. Tak więc całkowity ciężar niemych, ale zdecydowanych żądań Angeli spadł na Jessie. Aż do dnia, kiedy uświadomiła sobie, że siostra, jeśli potrafi samodzielnie zjeść posiłek i przejść się po pokoju, z pewnością może również sama zająć się swoją toaletą.

Angela odpowiedziała atakiem wściekłości, w czasie którego poszarpała pościel, a potem chwyciła za oparcie łóżka, wyciągnęła się i całą siłą swego pozornie słabego i kruchego ciała pchnęła Jessie, aż ta upadła na plecy.

Właśnie wtedy ujawniły się jej ukryte frustracje i spo-liczkowała siostrę. I rzeczywiście, wywołało to zamierzony efekt, ponieważ gdy w pokoju zjawił się zwabiony krzykami ojciec, krzyknęła do niego: - Teraz ty się 'nią zajmij! Ja już mam dość. Ona sama jest w stanie zrobić wszystko koło siebie. Prawie mnie powaliła, kiedy zaproponowałam, żeby sama się ubrała i coś zjadła. I widzisz, co się stało.

Po tych słowach wybiegła z pokoju, zostawiając Warda przenoszącego wzrok z krzyczącej postaci na otwarte drzwi. Dopiero, gdy uświadomił sobie, że mówiła całkiem poważnie, pobiegł za nią i łapiąc ją za ramię przed drzwiami

sypialni, odwrócił ją do siebie i rzekł: - Nie możesz tego zrobić! Nie możesz jej zostawić! Ona jest chora.

- Więc musisz mi pomóc ją doglądać, tatusiu. I będę się przy tym upierała. Coś jeszcze ci powiem. Jeżeli dalej będę musiała się tak męczyć, to pewnego dnia po prostu stąd odejdę. A wtedy również to miałbyś na sumieniu. Teraz jest już za późno, żeby zamordować to stworzenie, prawda? - dodała, wskazując na drzwi.

Niespokojnie rozejrzał się wokół. - Daj spokój, dziewczyno! Nie wiesz, co mówisz.

- Oboje wiemy, tatusiu, o czym mówię - zwróciła się do niego. - I naprawdę zamierzam zrobić tak, jak ci powiedziałam. A teraz możesz iść na dół i poprosić Patsy, żeby się nią zajęła tak długo, jak to jest możliwe. Potem możesz zatrudnić kucharkę. No, to już wszystko ustaliliśmy. - Po tych słowach zniknęła w sypialni, zatraskując mu drzwi prawie przed nosem...

Po tej awanturze Ward musiał szybko podjąć jakieś decyzje. Patsy wkrótce miała urodzić własne dziecko, więc co dalej? Odesłać ukochaną córkę?

Nie! Nie! Nigdy! Tego nie mógł zrobić. Uważano by pewnie, że to kara za zamknięcie tamtej kobiety w domu wariatów.

Przez jakiś czas rozpatrywał różne pomysły i w końcu zdawało mu się, że znalazł rozwiązanie. I rzeczywiście, w pewnym sensie je znalazł. Następnego ranka ponownie wezwał Carla do swego biura.

- Z pewnością wiesz, co się wczoraj wydarzyło - powiedział - i zapewne zdajesz sobie sprawę z tego, że taki stan rzeczy nie może trwać.

- Tak, sir, ale doprawdy nie wiem, jak sobie poradzimy, bo przecież Patsy wkrótce będzie rodzić.

- Długo nad tym myślałem, a teraz chciałbym ci coś zaproponować. Jeżeli się na to zgodzisz, zapewnię ci... zrobię zapis w testamencie... w wyniku którego po mojej śmierci zostaniesz właścicielem połowy tego domu i farmy. Gdyby to nastąpiło zanim umrze Angela, musiałbyś do końca zapewnić jej opiekę. A oto moje warunki: ty i Patsy zamieszkacie w tym domu. Ten pokój może być waszą sypialnią, a jadalnia mogłaby służyć wam jako salon. Ja sam jadałbym w moim salonie. I tak mamy tu zbyt wiele mebli, ale nic by się nie zmarnowało, ponieważ moją starszą córkę chciałbym umieścić w domkach. Można je połączyć wewnętrznymi drzwiami. To byłby jej dom.

Nie wspomniał, kto miałby tam razem z nią zamieszkać, ale dla Carla, który nie okazał zdziwienia, było to całkiem jasne. A kiedy Ward zapytał: - I co o tym sądzisz? - po chwili milczenia stwierdził: - Zgadza się, sir. - Znając swoją wartość, nie podziękował za propozycję odziedziczenia połowy domu i farmy.

Zresztą dobrze wiedział, że nic by nie dostał, gdyby wtedy wyjechał razem z Patsy. A naprawdę dodał: - Jeżeli nasza umowa ma dobrze funkcjonować, sir, to musi pan zatrudnić kogoś do gotowania i prac domowych. I kogoś, kto zajmie się panną Angellą w czasie połogu Patsy.

Ward zerwał się na równe nogi, ale szybko podjął decyzję: - Zatrudnię kogoś do kuchni i do domu, ale jeśli chodzi o opiekę nad moją córką, to albo Jessie zgodzi się nią zająć w czasie nieobecności Patsy, albo nie pozwolę jej mieszkać w domku. W ostateczności sam będę robił co potrzeba.

Carl pokiwał głową, ale nie odezwał się ani słowem. Tak, tak, pomyślał. Bez wątpienia wolałby zajmować się córką sam niż dopuścić tu kogoś zupełnie obcego. Zdaniem Patsy, od urodzenia dziecka nie było żadnej poprawy.

- Carl, powiedz mi - Ward odezwał się teraz zupełnie innym tonem, nie jak pan przedstawiający swoje propozycje i żądania, ale jak człowiek szukający pomocy. - Czy to nam się uda? Uda się? I... czy ty będziesz szczęśliwy spełniając moją prośbę?

- Tak, sir - odparł Carl bez wahania. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wszystkim było łatwiej. Jestem pewien, że Patsy całkowicie się ze mną zgodzi. I dziękuję za tę łaskawą propozycję. Ja... ja to doceniam, sir. Czy mam wolną rękę w zatrudnieniu kogoś do kuchni? - Przerwał na chwilę, a potem dokończył: - Oczywiście to będzie ktoś z Hollow. Może żona albo córka McNabba. To czyści ludzie.

Ward zgodził się z westchnieniem. - Tak. Tak. Rób, co chcesz.

Tak to się wszystko zaczęło. Przebudowę zakończono na czas, tak że Patsy zdążyła urodzić swoje dziecko w pokoju, który kiedyś nazywano gabinetem. Niestety, żyło tylko kilka godzin. I znów Patsy nie była pewna, czy zdoła kiedyś donosić dziecko, bo już wcześniej miała trzy poronienia. Do tej pory jej radosna natura zmuszała ją do pogodzenia się z tym smutnym faktem, ale tym razem w jej myśli zakradło się ziarno goryczy, gdyż pomyślała tak samo jak jej ojciec: nic takiego nie miałoby miejsca, gdyby zostali w swoim domku. Na tym domostwie i jego mieszkańcach ciążyła jakaś klątwa...

Słyszając Jessie, Patsy odwróciła się od stołu. - Znalazłaś ją? - zapytała krótko.

- Tak, tam daleko, przy samym murze. I jak myślisz, z kim rozmawiała?

- Nie mam pojęcia. Ale pewnie z kimś ze wsi, kto jej zdaniem przyjechał z innej planety.

- Nie, to nie był nikt ze wsi, ale pan Gerald i... i jego matka, z Hall.

Dopiero teraz Patsy odłożyła swoją robotę. - Naprawdę? No, ojciec mówił mi, że on wrócił na pogrzeb. Tak więc nie poszedł w ślady swojej rodziny. Musi im

się teraz kiepsko wieść, bo w domu mają tylko dwie służące, starą kucharkę i pokojówkę. No, no! Nawet ja pamiętam te tłumy służby. Samo życie.

- Co ja mam z nią zrobić, Patsy? To znaczy, jak jej przeszkodzić w tych wycieczkach?

- Och, gdyby naprawdę chciała gdzieś powędrować, to przecież bramy stoją otworem, prawda? To jedyne miejsce nie zabezpieczone kratami ani murem. Zastanawiam się, dlaczego wcześniej tego nie zrobiła.

- Ostrzegałam ją.

- Mówiłaś jej również, żeby się nie włóczyła. - Patsy otrzepała dłonie i spoglądając na Jessie, zupełnie jak Annie, powiedziała zapraszająco: - Usiądź. W dzbanku jest herbata.

- Ja... nie mam ochoty na herbatę, Patsy - odezwała się Jessie, siadając na krześle. - Ale co ja mam z nią zrobić? Sprzeciwiła mi się zupełnie otwarcie. A kiedy poprosiłam ją, żeby mi obiecała, że to się już nie powtórzy, powiedziała, że tego nie może zrobić i... potem zażądała, żebym nie zamykała drzwi na klucz. Ona ma tylko dziewięć lat, a sposób, w jaki się zachowuje, mógłby świadczyć, że... Och! - Pokręciła głową. - Ona jest taka inteligentna, ponad wiek rozwinięta, bystra i ciekawa świata.

- Będzie coraz gorzej, a nie lepiej, sama o tym wiesz. Wkrótce zada ci najtrudniejsze pytania. O Boże! - Odwróciła się w stronę stołu i chwyciła staczający się wałek do ciasta. Odkładając go na miejsce, dodała: - Obie powinnymie stąd wyjechać. On ma dosyć pieniędzy...

- Nietrudno było zauważyć, że nie użyła określenia „pan”, ani „twój ojciec”, tylko „on”. - Stać go na to, żebyście gdzieś indziej mogły wygodnie żyć. Mogłabyś poprosić go, żeby awansem wypłacił ci pewną kwotę z twoich udziałów w majątku.

Jessie wpatrywała się w swoje dłonie splecione na kolanach, świadoma, że to, o czym mówi Patsy, jest trafnym rozwiązaniem. Ale tak bardzo jak dziecko chciało wyrwać się w świat, ona pragnęła tu pozostać. Tutaj był jej dom: to prawda, że zawsze ją ograniczał, ale to jej nie przeszkadzało. A poza tym, tutaj był Carl. Trudno byłoby jej przeżyć choć jeden dzień, żeby go nie zobaczyć. Fakt, że Patsy nie zapewniła mu pełnej rodziny, jakimś dziwnym trafem oznaczał dla niej, że Carl pozostał wolny. - Tatuś nigdy się na to nie zgodzi - powiedziała, gwałtownie podrywając się z krzesła. - Wątpię, żeby się zgodził dać mi chociaż pensa, nawet gdyby miało mnie to uchronić przed śmiercią głodową. Czasami mam wrażenie, że on żałuje mi każdego kęsa, ponieważ dzielę się nim z dzieckiem.

Patsy nie zaprzeczyła, jedynie stwierdziła: - W takiej sytuacji po prostu musisz jej lepiej pilnować. I nic nie osiągniesz, jeśli ją będziesz zamykała, bo to zdecydowana panienska. - Patsy nie dodała: Zastanawiam się, po którym z nich odziedziczyła taki upór. Pomyślała tylko: Boże, miej ją w swojej opiece.

Rozdział drugi

Wieczorem 28 lipca 1914 roku lady Lydia odłożyła gazetę i ruszyła na poszukiwanie syna. Znalazła go w stajni, gdzie czyścił konia, ich ostatni nabytek.

- Geraldzie! Geraldzie!

- Tak? Słucham, mamó? Coś się stało? - Odwrócił się do niej, a ona wręczyła mu gazetę

- Miałeś rację. Już się zaczęło. Austria wypowiedziała wojnę Serbii, a w Rosji ogłoszono mobilizację.

- No, odczekali pełny miesiąc, dłużej niż sądziłem, od zamachu w Sarajewie, gdzie zamordowano następcę tronu. Teraz pozostaje nam tylko czekać na to, co zrobią Rosja i Niemcy. To nie potrwa długo, kilka dni, nie dłużej.

- O, Boże, Boże! Co ty zrobisz?

- Mamó! Mamó! Nie wpadaj w panikę. Przestań się denerwować.

- Łatwo ci powiedzieć. Och, Geraldzie, gdybyś tylko zechciał na to spojrzeć z innej strony.

- Uspokój się. W tej chwili wracaj do domu, a ja dołączę do ciebie, jak nakarmię Betsy. Z pewnością jest głodna. Miała ciężki dzień.

- Ja... nie rozumiem, jak możesz traktować to tak lekko, Geraldzie, kiedy...

- Idź już, kobieto! Słyszysz mnie? I zabierz ze sobą tego szmatławca. - Wcisnął jej w rękę gazetę.

Kiedy kilka minut później zjawił się w domu, spotkał ją w holu i usłyszał: - Podano już do stołu.

- Pozwól, że się trochę ogarnę i zaraz wrócę. Za pięć minut - powiedział, unosząc dłoń w geście zapewnienia.

- To znaczy za piętnaście ósma, do tego czasu wszystko będzie kompletnie zimne.

- Posłuchaj, poproś o swoją porcję, a moją wstaw do piecyka. Albo sam to zrobię.

Złapała go za ramię, kiedy kierował się w stronę jadalni: - Nie, nie. Proszę! Wiesz, jak się kucharka denerwuje, kiedy płaczesz jej się po kuchni, a jeśli zaczniesz wpychać obiad z powrotem do piekarnika... Boże, Boże! Idź już umyć ręce i pośpiesz się. Mówię poważnie, pośpiesz się!

Ze śmiechem pobiegł na górę, ale na twarzy jego matki malowała się troska, kiedy odwróciła się w stronę jadalni. Wojna oznaczała dla niego kłopoty, ponieważ nie krył się ze swymi poglądami. Wszystko mogło się zdarzyć, prawda? Szczególnie, że odniósł taki sukces gospodarczy. W ciągu niecałego

roku, razem z McNamara, tylko przy pomocy sezonowego robotnika i nowego mieszkańca stajni, konia, który z pewnością nie nadawał się na polowanie ani na wyścigi, ale przynajmniej potrafił ciągnąć wóz. I rzeczywiście tego lata zaciągnął na targ kilka wozów owoców. Tak dużo, że zaczęła się zastanawiać, co się z nimi działo w poprzednich latach. Oczywiście, bywały większe zbiory, i jak jej Gerald drobiazgowo wyliczył, nawet w pałacu Buckingham nie przejeżdżono by połowy tego, co im udało się sprzedać w tym roku. Tak więc pozwolił jej dwukrotnie zgadywać, a potem sam dał odpowiedź. Prawdopodobnie owoce i tak docierały na rynek, ale zupełnie innymi drogami.

Och, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że w takich majątkach jak ich podbierano płody rolne. Wśród służących istniała nawet swoista hierarchia, ile - w zależności od stanowiska - można uszczknąć z pańskiego stołu. Pamiętała, jak jeszcze jej ojciec powtarzał, że bez względu na straty należy przymknąć oczy na cały proceder, ponieważ tylko wtedy służba jest szczęśliwa. Przez cały czas krążyła myślami wokół swojej młodości, nawet tych lat przed wyjazdem z Londynu, gdzie była tak szczęśliwa. Sama sobie zadawała pytanie, podobnie zresztą jak już robiła to wiele razy w czasie minionych lat, czy poślubiłaby Bede'a, gdyby nie czuła się zraniona pozerwanych zaręczynach z Raymondem, który, jak się okazało, miał kochankę? Szczerze w to wątpiła, ponieważ Bede był od niej dwadzieścia lat starszy i miał dorosłe dzieci. Zapewniał jej opiekę, chronił przed okrutnym światem. Ależ była wtedy naiwna. Ale co miała zrobić młoda dziewczyna, której narzeczony nie chciał zrezygnować z kochanki, twierdząc, że ten związek nie ma nic wspólnego z miłością, bo przecież kocha tylko ją, a po ślubie i tak wszystko może się zmienić. Czy mogła pojąć takie rozumowanie? Nie, to absolutnie przekraczało jej możliwości. I nie zrobiła tego. Więc pewnie pozostała naiwna.

- Niemądra kobieto. Dlaczego nie zaczęłaś jeść? Udało mi się zdążyć w siedem minut.

Kiedy zasiadł do stołu, uniósł pokrywkę i wachając potrawę, stwierdził: - Pięknie pachnie. Mógłbym zjeść konia z kopytami... ale oczywiście nie Betsy. Jestem bardzo przywiązany do tej starej szkapę. Napracowała się, prawda? Jest prawdziwym darem niebios. Moja kochana. - Odłożył na bok sztucę i, pochylając się nad stołem, położył rękę na jej dłoni. - Nie patrz tak na mnie. Może nigdy do tego nie dojdzie. Może nie dostanę powołania. A przynajmniej nie od razu. Dziesiątki, setki pośpieszą do swych jednostek, wszyscy ci odważni faceci, którzy z zapalem dadzą się posiekać. Och, przepraszam.

- Wziął do ręki nóż i widelec i już poważniejszym tonem podjął: - W końcu, moja droga, to nic nowego. Od wieków w wielu krajach w takiej sytuacji ogłasza

się nabór do wojska. Tak było w Ameryce w czasie wojny secesyjnej, a we Francji pomyślano już o tym w 1700 roku. Powtarzam ci, to nic nowego.

- Doskonale wiesz, Geraldzie, że ja wcale nie mówię o samym powołaniu do wojska. Chodzi mi... o to, co pomyślą ludzie, i o to, czego, znając pozycję twego ojca i przyrodniego brata, będą oczekiwać od ciebie. I... jeśli nie spełnisz ich oczekiwań, a wiem, że tego nie zrobisz - podkreśliła ostatnie słowa - będziesz przez nich cierpieć. Ludzie są okrutni.

- Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić, mam? - zapytał spokojnie, ponownie odkładając sztucę. - Odrzucić wszystkie moje zasady i zrobić coś, co mnie mierzi, zabijać ludzi, odcinać im głowy, czy bagnetem dźgać ich w brzuch? - Podniósł się, aby ją zatrzymać, ponieważ zamierzała podnieść się z krzesła. - Mam, zmusiłaś mnie, żebym z tobą o tym rozmawiał. A ja nie umiem ubierać prawdy w ładne słówka. Wiem, że jesteś ze mną - wojna jest ci nienawistna, tak samo jak mnie - więc dlaczego chcesz, żebym zapomniał o swych zasadach i...

Odwróciła się do niego i patrząc mu w oczy zapytała:

- Nie wiesz? Nie rozumiesz, że nie chcę, abys cierpieć? Bo przeczuwam, że bardziej dopieką ci twoje opinie i to, że o nich otwarcie mówisz, niż walka z bronią w rękę, gdybyś mimo swych przekonań stanął w obronie sprawy.

Powoli odsunął się od niej i ponownie zajął miejsce przy stole. - Mam, nie wierzę w ani jedno twoje słowo

- powiedział spokojnie. - Ale mogę uwierzyć, że gdybym zrobił tak jak sugerujesz, to straciłbym twój szacunek i być może również miłość. Bez względu na to, co teraz twierdzisz, jestem pewien, że czułabyś głębokie rozczarowanie i smutek, gdyby ktoś, kogo najbardziej kochasz, skłonił się ku czemuś, na co się z całej duszy nie zgadza, tylko dlatego, że boi się opinii publicznej.

Rozległo się pukanie do drzwi i Nancy Bellways weszła do jadalni, niosąc tacę. - O przepraszam, proszę pani. Myślałam, że już państwo skończyli - powiedziała, zatrzymując się w połowie drogi.

- Zostaw nam to tutaj - poprosiła lady Lydia, zwracając się w jej kierunku. - Straciliśmy trochę czasu na rozmowę, ale wkrótce skończymy. Po prostu zostaw to. Sama się tym zajmę.

- Kucharka zostawiła to w miseczce, proszę pani, a* krem jest w salaterce. Na wszelki wypadek, gdyby pan Gerald się spóźnił - dodała.

- Insynuujesz Nancy, że zawsze się spóźniam - zażartował Gerald.

- Prawie zawsze, paniczu Geraldzie, prawie. - Uśmiechnęła się do niego szeroko i dodała: - Pewnie będzie pan zadowolony, kiedy powiem, że tego popołudnia właśnie zrobiliśmy z kucharką setny słoik powideł.

- Naprawdę? Cudownie! Ale róbcie dalej. I powiedz kucharce, że ją ubóstwiam - obie was kocham. Naprawdę. Naprawdę. Zaczekajmy do Bożego Narodzenia, a wtedy zawieziemy je na targ i natychmiast znikną.

Po czterdziestoletniej służbie Nancy Bellways miała prawo do bezceremonialnego traktowania swych państwa, więc teraz skorzystała z tego przywileju. - Och, paniczu Geraldzie, kucharka mówi, że połowę tych zapasów zamknie w piwnicy na klucz, żeby pan się do tego nie mógł dostać, i sami to zjemy przez zimę.

- Doprawdy? Możesz iść do niej i powiedzieć, że wkrótce sobie z nią porozmawiam. A najpewniej dam po "uszach. Powtórz jej to.

Kiedy Nancy ze śmiechem wyszła z pokoju, lady Lydia surowo spojrzała na syna. - Nauczyłeś się postępować ze służbą.

- Naprawdę? To pewnie dzięki temu, że pracowałem dla Piekielnika i Cholery - zażartował. - Wiesz, często o nich myślę, i o tym biednym człowieku, Ronaldzie Pearsonie. Zastanawiam się, jak sobie radzą. Chciałbym któregoś dnia pojechać do miasta i sprawdzić to osobiście. No, i zobaczyć, co słychać u Crampów.

- Lubieś tę rodzinę, prawda?

- Tak. Tak, mam, rzeczywiście.

- Nigdy nie mówiłaś, że utrzymujesz z nimi kontakt. Dowiedziałam się o tym dopiero, gdy dostałaś ten list.

- Jakoś nie było okazji.- Po prostu chciałem, żeby dowiedzieli się, jak mi się wiodzie w moim nowym zawodzie. Pamiętasz chyba, jak cię rozśmieszył ten list, szczególnie zakończenie. „Mam nadzieję, że dostaniesz go w takiej samej chwili, robiąc to samo, co ja teraz - zacytował - bo właśnie się rozbieram i czekam, kiedy mama wyjdzie z wanny. Tatuś myje się pod kranem z lodowatą wodą, ale uszył sobie ciepłą kamizelkę i naciera się kamforą. To jego zabezpieczenie przed zimą.” Uśmiechnął się do matki i dodał - A pamiętasz ten ostatni fragment, w którym są tacy serdeczni? „Wszyscy zapraszamy cię do nas któregoś dnia, panie G.”

Lady Lydia spojrzała na syna zapatrzonego teraz w milczeniu w swój talerz i odezwała się tonem, w którym słychać było smutek zaprawiony krytycyzmem: - Zawsze wydawało mi się, że czujesz się bardziej szczęśliwy w towarzystwie takich ludzi. Mam rację, kochanie?

Zaprzeczył lekko potrząsając głową i stwierdził: - Po prostu lubię ludzi, którzy zachowują się naturalnie. Oni nie mieli nic do ukrycia, nie grali żadnej roli - nie musieli udawać, że należą do jakiejś klasy społecznej. Byli dumni z tego, co mają. I nie sądzę, żeby wszyscy byli prostakami, jak uważa Beverly.

Większość z nich odznaczała się błyskotliwą inteligencją. Powinni tylko mieć szansę, aby zrobić z niej użytek. Ale również miło wspominałam dni spędzone z wydawcami. Panowie Herbert i Darrington byli dżentelmenami, tak samo zresztą jak Ronald Pearson. Jego również można by zaliczyć do klasy średniej, wyższej klasy średniej. Ale jako najmłodsze dziecko licznej rodziny sam musiał zarabiać na swoje utrzymanie. Lubiłem ich towarzystwo. Ja nie znoszę oszustów, mamo.

- Ci, których byłbyś czasami skłonny nazwać oszustami, niekiedy są po prostu dyplomatami.

- Och, nie, nie. Ale, moja kochana, zabierzmy się do puddingu i na razie zapomnijmy o przyszłości, dobrze? Co o tym sądzisz? A propos, zamierzam jeszcze raz przyjrzeć się domkowi drwala. Może dałoby się doprowadzić go do stanu używalności i zaoferować komuś w zamian za kilka godzin pracy.

- To by wymagało sporych nakładów.

- Tylko koszty materiałów. Mógłbym się tym zająć wspólnie z McNamarą.

- Ostatnim razem, kiedy tam byłam, dom był praktycznie porośnięty krzakami.

- Och, wykarczowanie terenu to najłatwiejsze zadanie. Ale o ile pamiętam, Trotter miał tam również kawałek ogrodu i coś tam uprawiał.

- Przecież nie możesz pamiętać Trottera, kochanie. Wyjechał, jak byłeś jeszcze bardzo mały.

- Nie taki znowu mały. Musiałem mieć z pięć lat. Pamiętam jego dom, ale jeśli udałoby się nam uporządkować jeszcze kawałek terenu, tym lepiej.

- Gdybyś miał dostatecznie dużo czasu, to mogę sobie wyobrazić, że powoli wszystko zamieniłbyś w kwitnące ogrody - uśmiechnęła się do niego z pobłażaniem.

- I dobrze bym zrobił! Tylko pomyśl, jakie by to nam przynosiło dochody. Mogłabyś jeździć do miasta i kupować sobie kreacje na każdy sezon.

- Gdyby były jakieś pieniądze, to raczej wydałabym je na dom - stwierdziła trzeźwo.

- Tak, tak, to byłoby bardziej rozsądne - przyznał jej rację. - Ale zobaczymy, co nas czeka w ciągu najbliższego roku lub dwóch - zauważył.

Skończył swój pudding i wstając od stołu zapytał: - Wybaczysz mi teraz, moja droga? - Podeszedł do niej i pocałował ją w policzek.

A ona pozostała na miejscu, pogrążając się w ponurych myślach o groźbie mieszkania w tym mauzoleum, jeśli jemu coś by się stało...

Stał na skraju czegoś, co kiedyś było wielką przecinką, którą teraz porastały połacie wilgotnej trawy przetykanej gdzieniegdzie wysokimi chwastami. Na

jednej z takich połąci niewyraźnie migotały okienka małego domku. Nagle zauważył coś dziwnego: drzwi, które do niedawna swobodnie bujały się na zawiasach, były teraz porządnie zamknięte i przytrzasnęły kępę chwastów. Prawie niepodobieństwem było, tłumaczył sobie, żeby jakiś włóczęga znalazł tam schronienie, bo domek znajdował się w środku ich gruntów, i nawet teraz, kiedy posiadłość znacznie zmniejszyła swoje rozmiary, do najbliższej drogi publicznej było ponad pół mili.

Był już prawie pod drzwiami domku, kiedy dotarł do niego jakiś dziwny krzyk: czarny, wściekle kraczący kształt mignął mu przed oczami, a chwilę po tym mała piszcząca figurka wypadła prosto na niego i obrzuciła go przerażonym spojrzeniem.

- To było jakieś ptaszysko. Ono... wyskoczyło na mnie z kominka. Nie... nie robiłam nic złego, po prostu patrzyłam sobie.

- Tak, oczywiście - potwierdził uspokajająco. - Jestem pewien, że nie robiłaś nic złego, tylko patrzyłaś.

- Pochylił się nad nią. - Jesteś wnuczką pana Gibsona, prawda? Spotkaliśmy się jakiś czas temu.

Zamrugnęła gwałtownie oczami i przyznała:- Tak, tak. Był tam pan ze swoją matką.

- Masz rację, stałem przy murze razem z moją matką. Ale powiedz mi, dlaczego aż tutaj zawędrowałaś? Jak ci się udało tu trafić? - Wyciągnął rękę w kierunku domku.

- Byłam zdenerwowana. To znaczy... O Boże - klepnęła się w czoło - ten ptak mnie przestraszył.

- Tam jest zwalone drzewo - powiedział, rozglądając się wokół. - Jeśli wyrwiemy trochę chwastów, to możemy tam usiąść. Proszę - zachęcił ją, rozgarniając krzaki. A kiedy już oboje usiedli na pniaku, zagaił ponownie:

- Powiedz mi, jak ci się udało dotrzeć tak daleko? Jak zdołałaś opuścić farmę?

- Zupełnie przypadkiem - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Dzięki królikom. Wie pan, nie wolno mi wychodzić poza bramy. Ale powiedziałam cioci Jessie, że nie mogę jej obiecać, że nie pójdę na przechadzkę.

- Tak jej powiedziałaś?

- O tak. Naprawdę. Nieładnie kłamać. Wiedziałałam, że nie powinnam mówić jej, że dotrzymam słowa, jeśli tak mnie ciągnie, żeby gdzieś się wybrać. Pamięta pan, to było przy tym murze, kiedy widziałam pana i pańską matkę. Trochę dalej jest górka porośnięta krzakami. Właśnie tam zauważyłam rodzinę królików, takie malutkie króliczki. Bawiły się, ale uciekły, kiedy podeszłam bliżej. Ludzie zabijają króliki, bo one są szkodnikami.

Nie lubię słyszeć strzałów. Ale wcisnęłam się pomiędzy krzaki, żeby zobaczyć, czy mogłabym zajrzeć do ich norek. Wie pan, one nie mają gniazd, tylko norki.

- Uhm - pokiwał głową.

- W każdym razie one schowały się do tych dziur w ziemi. A potem potknęłam się o wystający korzeń, zauważyłam, że wrósł w mur i przesunął na bok kamień. To był całkiem spory kamień, korzenie muszą być bardzo silne, prawda?

- Tak, rzeczywiście. A co potem zrobiłaś?

- No - jej twarzyczkę na chwilę rozjaśnił błysk radości - odsunęłam kamień, a wtedy kolejny wysunął się ze ściany. Przestraszyłam się, że cała ściana się zawali. Na szczęście, nic takiego się nie stało, ale wie pan, co zrobiłam na wszelki wypadek?

Pokręcił przecząco głową.

Wyciągnęła ręce w jego kierunku i zapytała: - Widzi pan moje paznokcie?

- Tak - kiwnął twierdząco.

- Są bardzo brudne, prawda? No, bo zrobiłam to samo, co psy, kiedy zakopują kość, albo króliki czy lisy. Za pomocą kawałka drewna wygrzebałam stamtąd trochę ziemi. Ale nie mogłam kopać zbyt głęboko, bo chociaż trzymałam się z daleka od głównego korzenia, to i tak ciągle trafiałam na jakieś boczne. Ale i tak udało mi się głęboko wkopać, bo w końcu sama mogłam się przecisnąć przez tę dziurę. Musiałam się zupełnie rozpląszyć. To było przeżycie. Dopiero potem pomyślałam, że przecież ten mur mógł się na mnie zawalić, ale na szczęście nic się nie stało. Mike mi mówił, że przeważnie kamienie układa się bardzo ściśle. On jest pastuchem, ale pomaga naprawiać płoty. To ten wielki korzeń je wypchnął.

- Czy twoja ciotka nie będzie cię szukać i niepokoić się o ciebie? - zapytał.

- Myślę, że tak, ale ona wie, że ja wrócę. Właśnie wczoraj jej obiecałam, że jeśli gdzieś sobie pójde, to na pewno wrócę.

- Ale przypuszczam, że nie wspominałaś o wycieczkach poza teren farmy.

- Nie. Rzeczywiście nie wspominałam - powiedziała, patrząc na niego z namysłem.

- Mogę sobie wyobrazić, jak ona się denerwuje, może nawet jest zła.

- Z pewnością. Z pewnością.

Z trudem powstrzymał śmiech, ponieważ zabrzmiało to wyjątkowo staroświecko. Ile ona teraz ma lat? Tak, pamiętał, wtedy powiedziała mu, że ma prawie dziesięć. Dobry Boże! I nie wolno jej chodzić do szkoły. Nie wolno jej spotykać się z innymi dziećmi. To zbrodnia przeciwko młodości.

Przyjrzał się jej uważniej i zauważył splecione dłonie, które oparte na kolanach podciągnęły nieco długą spódniczkę, odsłaniając czarne buty i białe skarpetki. Właśnie miał jej zaproponować, że zabierze ją z powrotem do króliczej nory, gdy niespodziewanie zapytała: - Co to jest diabelska trójca?

- Co?

- No...diabelska... trójca.

- Dlaczego pytasz? - odparł po chwili.

- Bo chcę wiedzieć.

No, tak, oczywiście, dlatego właśnie pytała. Ale gdzie ona to usłyszała? - Domyślałam się, że chcesz wiedzieć - zauważył - ale powiedz mi, gdzie to usłyszałaś? Uciekła wzrokiem i dopiero po namyśle odparła:

- Tam jest wieś. - Wyciągnęła dłoń do przodu, ale zaraz przesunęła ją na prawo. - To chyba gdzieś w tym kierunku. Chciałam to zobaczyć. Tam jest szkoła. Wie pan, ja się nie spotykam z wieloma dziećmi. A właściwie, nie widuję żadnych dzieci, z wyjątkiem tych w książkach. Kiedy któregoś dnia przecisnęłam się przez dziurę, nie poszłam tam, gdzie zwykle, tylko wzdłuż muru dotarłam do lasu. Na końcu był rów, ale ogrodzenie po drugiej stronie zniszczyło się w niektórych miejscach, więc z łatwością dostałam się na ścieżkę. Szłam tą ścieżką aż nagle usłyszałam dzieci... głosy dzieci. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam jakieś budynki. Dzieci wybiegały z ostatniego. Parami albo trójkami, ale nie w moją stronę, tylko w przeciwnym kierunku. Myślę, że wracały do domu. Były tam trzy dziewczynki: jedna w moim wieku, dwie trochę starsze. - Przerwała na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiając, po czym mówiła dalej: - Kiedy podeszłam do nich, patrzyły na mnie bardzo uważnie. Nagle jedna z nich zapytała: „Jak się nazywasz?” „Janie Gibson - odparłam. - A ty?” Ale ona tylko się roześmiała i potem zaczęła chichotać i spoglądać na starszą dziewczynkę, a jedna z nich obejrzała się na dwie kobiety wychodzące z budynku. A kiedy dziewczynki dotarły do bramy, wszystkie razem stanęły i wpatrywały się we mnie. Jedna z tych kobiet była młoda, druga chyba starsza. Dziewczynka odwróciła się do niej i coś jej szepnęła na ucho. Moje imię. Ja mam bardzo dobry słuch. „To Janie Gibson” - powiedziała, a wtedy starsza kobieta spojrzała na mnie i zarządziła: „Idźcie już dziewczynki! Szybko wracajcie do domu.” A kiedy jej nie posłuchały, podniosła głos, dopiero wtedy uciekły. Potem zwróciła się do mnie: „Idź do domu, kochanie”. Właśnie tak bardzo łagodnie: „Idź do domu, kochanie.” Odwróciłam się i ruszyłam przed siebie, gdy usłyszałam szept tej młodszej kobiety: „Więc to jest właśnie dzieło diabelskiej trójcy.” Ta starsza odpowiedziała szorstko, ale to już do mnie nie dotarło. Więc, dlatego pytam pana, sir, co to jest diabelska trójca?

- To... jej nie chodziło o ciebie - wydukał. - To takie powiedzenie.

- Więc dlaczego ona powiedziała, że jestem dziełem diabelskiej trójcy?

- Ludzie opowiadają najdziwniejsze rzeczy. W tej wsi jest wiele zupełnie ciemnych osób.

- Ale myślę, że ona była nauczycielką. Z pewnością ta starsza również, bo odesłała dziewczynki do domu. Czy mówi mi pan prawdę twierdząc, że nie wie, co to znaczy?

Wziął głęboki oddech i dopiero wtedy kłamstwo przeszło mu przez gardło. - O ile pamiętam, to nic specjalnego nie znaczy. Ale ludzie czasami doszukują się jakiegoś podtekstu nawet w najprostszycy słowach. Chciałbym cię prosić, żebyś o tym zapomniała - dodał, biorąc ją za rękę - bo chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że jeśli twoja ciotka dowie się, że wyszłaś poza teren farmy, a szczególnie że rozmawiałaś z ludźmi ze wsi, a we wsi jest wiele nieżyczliwych osób, będzie się bardzo gniewać.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, wprawiając go w zakłopotanie. Tym bardziej że po chwili stwierdziła: - Jest pan bardzo miłym człowiekiem. - A potem dodała: - Ile pan ma lat?

- Bardzo dużo - odparł z uśmiechem. - Dwadzieścia dziewięć. Wkrótce skończę trzydzieści.

Kiwnęła głową twierdząco. - Tak - zgodziła się - to rzeczywiście bardzo dużo. Ciocia Jessie też jest stara. Myślę, że ma chyba ze dwadzieścia siedem lat.

- Tak - śmiał się teraz w głos - starość jest naprawdę straszna. Ale któregoś dnia ty też będziesz miała dwadzieścia siedem lub prawie trzydzieści lat.

- No, tak. - Wstając z pnia, powiedziała z rozjaśnioną twarzą: - Ale wtedy będę mogła robić to, na co mam ochotę, na przykład podróżować po całym świecie. Mam globus. Bardzo wielki, ale któregoś dnia okrążę go. - Palcem zatoczyła krąg i dokończyła: - Pojadę naokoło świata.

- Tak, kochanie, jestem pewien, że pojedziesz - potwierdził, ponownie biorąc ją za rękę. - Tak, z pewnością zwiedzisz cały świat. Ale myślę, że teraz będzie lepiej, jeśli wyruszysz w stronę nory twoich królików. Mam rację?

Wzruszyła ramionami i śmiejąc się cicho powiedziała konspiracyjnym tonem: - Tak, pewnie ma pan rację. Ale... czy mogłabym jeszcze kiedyś tutaj przyjść?

Zawahał się, a potem podniósł się na całą swoją wysokość, dzięki której zdał się jej olbrzymem, i tonem, jego zdaniem, brzmiącym stanowczo powiedział: - W tej sprawie muszę powiedzieć „nie”, panienko. Nic nie wiem o żadnych norach królików ani o małych dziewczynkach pokonujących mury farmy. Gdyby się tutaj jakaś pojawiła, to z pewnością bym jej nie poznał.

Lekko klepnęła go dłonią i roześmiała się w głos. Jej śmiech zabrzmiał tak dźwięcznie jak śmiech dziecka, a nie dorosłej osoby, której głowę na siłę przytwierdzono do jej ramion. - Lubię pana - powiedziała. Bardzo pana lubię i znowu tutaj przyjdę, kiedy mnie pan nie będzie widział. - Pociągnęła go za rękę, a na ten sygnał on przeprowadził ją przez chaszczę, aż do samego muru, gdzie pokazała mu norę schowaną w rosnących na górze krzakach. Kiedy obserwował, jak się przeciska przez wąskie przejście, zastanawiał się, jak wytłumaczy plamy z ziemi na ubraniu i brudne ręce.

Rozdział trzeci

Poza drzwiami frontowymi i kuchennymi istniało jeszcze jedno wejście do domu - z podwórza do zapasowych schodów prowadzących na poddasze, zaś w połowie schodów były drzwi, przez które przechodziło się na główny podest. Kiedyś pomieszczeń na poddaszu używano w zimie jako graciarni, ale już wiele lat temu zostały zamknięte. Na Janie te drzwi działały jak magnes, kilka razy próbowała je otworzyć. Ale tego ranka miała klucz, a właściwie pęk siedmiu kluczy, przeważnie zardzewiałych.

Najpierw zauważyła bardzo stare chomąto wiszące w komórce z końską uprzężą, a rozglądając się uważniej dostrzegła klucze zawieszane na wbitym w ścianę gwoździu, dokładnie w środku chomąta. Kilka dni wcześniej przechodziła koło domu, gdy nagle jej uwagę przykuła niewyraźnie zarysowana postać widoczna w jednym z okien na górze. Pojawiła się tylko na chwilę i zniknęła. Natychmiast domyśliła się, że to nie mógł być nikt inny, tylko jej chora matka. Ale jeśli jest chora, to dlaczego nie leży w łóżku?

Jedno spojrzenie wystarczyło, by uznała, że osoba, którą widziała, była niewielkiego wzrostu. Chociaż może siedziała na krześle.

To jedno spojrzenie sprawiło, że z niezwykłą determinacją zapragnęła zobaczyć matkę. Dlaczego nie? Jej umysł nie sięgał dalej niż „dlaczego nie?”

Już wkrótce pęk starych kluczy umożliwił jej próbę realizacji tego pragnienia. Po pierwsze uświadomiła sobie, że nawet jeśli któryś z tych kluczy będzie pasował do zamka, to i tak z powodu rdzy nie uda jej się go przekręcić. Więc przy najbliższej sposobności zanurzyła cały pęk w bańce z naftą, a potem odwiesiła je na miejsce, aby obeschły. Wytłumaczyła sobie, że nafta musi wsiąknąć.

Minęło trochę czasu zanim mogła wprowadzić swój plan w życie, jako że powstał on w jej głowie tego samego dnia, kiedy spotkała tego miłego mężczyznę. A w efekcie została wtedy ukarana zamknięciem na klucz.

Gdy wróciła do domu powalana ziemią i z brudnymi rękoma, odmawiając wyjaśnień na temat przyczyn takiego stanu rzeczy, ciocia Jessie powiedziała, że nie ma wyjścia: musi ją zamknąć. I rzeczywiście pozostała zamknięta aż do dnia, kiedy na podwórzu zawrzało, ponieważ gdzieś na świecie wybuchła wojna. Nawet ciocia Jessie była podniecona. Wtedy właśnie ją wypuszczono i pozostawiono swemu losowi. Natychmiast uznała, że nie trafi jej się lepsza okazja, aby wypróbować klucze.

A teraz zabrała się do dzieła.

Dopiero przy czwartej próbie poczuła, że klucz poruszył bęben zamka. Przekręciła go jeszcze trochę i drzwi ustąpiły. Przez chwilę drżała z podniecenia i nie była w stanie ich popchnąć. Kiedy to uczyniła, jej oczom ukazała się klatka schodowa, z pajęczynami zwisającymi ze spadzistego sufitu. Wchodząc po jednym schodku, dotarła do kolejnych drzwi. Te już otworzyły się bez trudu. Teraz znajdowała się w małym przedpokoju, z którego kolejne schodki prowadziły gdzieś w prawo. Naprzeciwko rozciągał się spory podest, na który ostrożnie weszła, żeby po chwili, na dźwięk otwieranych drzwi, odskoczyć ze strachem. Odczekała chwilę, rozglądając się niespokojnie, ale po chwili znowu zamarła, widząc Patsy z kubłem na pomyje, wyłaniającą się z pokoju.

Wstrzymała oddech, myśląc jednocześnie, że jeżeli Patsy zamierza tędy przejść, to z pewnością ją zauważy. A nie miała już czasu, aby zbiec po schodach. Z westchnieniem ulgi zobaczyła jednak, że Patsy zniknęła jej z oczu.

Po kilku minutach, które jej zdaniem powinny wystarczyć Patsy na dotarcie do kuchni, zrobiła kilka kroków w kierunku podestu i po obu jego stronach zauważyła drzwi. Ale teraz wiedziała już, do których powinna się skierować.

Zawahała się przez moment, ale po chwili zapukała. Nie słysząc odpowiedzi, sama je otworzyła i stając na palcach, jakby zamierzała ominąć coś bardzo delikatnego, weszła do pokoju swojej matki. Jedynym sprzętem, który natychmiast zauważyła, było wielkie łóżko - nie dostrzegła żadnych innych mebli, tylko to łóżko - i stojącą .w najdalszym kącie pokoju bardzo niską... zawahała się, czy może powiedzieć panią albo kobietę, bo faktycznie żadne z tych określeń do niej nie pasowało. Najlepsze określenie to „młoda dziewczyna”. Była gruba, tuszę widać było nawet pod luźnym ubraniem. Ale dopiero jej głowa wprawiła Janie w osłupienie, ponieważ pooraną zmarszczkami twarz okalały całkiem siwe włosy.

Zupełnie nieświadomie zamknęła za sobą drzwi i stojąc do nich tyłem obserwowała, jak malutka osóбка przeszła na drugą stronę łóżka i kurczowo złapała się oparcia. Dopiero ten widok uświadomił Janie, że z pewnością zaszła jakaś pomyłka. Ta malutka osoba nie mogła być jej matką, ponieważ tylko nieznacznie przewyższała wzrostem ją samą. I w jej postaci nie było nic macierzyńskiego.

Chciała już wyjść z pokoju i z tą myślą przesunęła się, jednocześnie otwierając usta, aby powiedzieć: „przepraszam”, ale zamiast tego, w chwili, gdy z impetem została rzucona na drzwi, z jej gardła wyrwał się przenikliwy krzyk. Wrzaski odbijały się echem w całym pokoju.

Uderzenia głową o drzwi spowodowały, że przez chwilę poczuła się jak zamroczone, ale na szczęście nie przestała krzyczeć, widząc jak malutka kobieta,

z oczywistym zamiarem, sięga po lampę stojącą przy łóżku. Odskoczyła na bok, ale nie udało jej się zrobić tego dostatecznie szybko, żeby uniknąć odłamków szkła, przed którymi dłonią zasłaniała sobie twarz.

Z krzykiem rzuciła się na oślep do drzwi, o które uderzały inne przedmioty ciskane z wnętrza pokoju. Kiedy zdezorientowana i przerażona znalazła się na podeście, jej oczom ukazał się dziadek, wyłaniający się zza balustrady. Biegł, ale na jej widok zamarł w bezruchu, otwierając usta ze zdziwienia. Zakręciła się na pięcie i pognąła w stronę wyjścia. Spadła z ostatnich trzech schodków i siłą rozpędu wypadła na dwór. Szybko się pozbierała i rzuciła do ucieczki.

* * *

Philip Patten stał przy łóżku, spoglądając na wykrzywioną twarz, która podobnie jak reszta ciała, powoli się rozluźniała. - To powinno ją uspokoić na kilka godzin - powiedział, zwracając się do stojącego obok Warda. - Przyjadę trochę później i zrobię jej kolejny zastrzyk. - Pochylił się i zamknął swoją czarną torbę. Kierując się w stronę drzwi, odwrócił się i patrząc na Warda przypomniał: - Pamiętasz chyba, że ostrzegałem cię już jakiś czas temu. Ona może reagować zupełnie nieobliczalnie i jej stan się nie poprawi. Tak, wiem, że tym razem została sprowokowana, ale również bywały sytuacje, w których nikt jej nie zdenerwował...

Powiedzmy sobie szczerze, nic takiego nie sprowokowałyby osoby przy zdrowych zmysłach. Och, wiem, War-dzie. - Wyciągnął rękę w niemym proteście. - Nie lubisz tego słowa, ale musisz się pogodzić z faktami. Ona jest obłąkana. Była od samego początku. I musi być nieustannie pilnowana, mówiłem ci to już dawno. Należałoby zatrudnić kogoś do opieki nad nią. Ostrzegam cię, siły Patsy są na wyczerpaniu. A jeśli chodzi o Jessie, to już i tak zniosła o wiele więcej niż zwykły śmiertelnik. Ma pełne ręce roboty, a ostatnie zdarzenie jest tego najlepszym dowodem. No, tym razem się rozgadałem, powtórzę więc tylko, że trzeba ją uspokoić i... podkreślę to, pilnować. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby to się zdarzyło wieczorem, kiedy lampa byłaby zapalona. Cały dom poszedłby z dymem. Z tego, co widziałem, a przecież wtedy było już posprzątane - rozejrzał się po pokoju - musiała wpaść w prawdziwą furję. Wydaje mi się, że nawet twoja lub Patsy obecność nie powstrzymałaby jej przed okazaniem wściekłości. Musieliśmy ją związać. Patsy mówiła już o jej atakach niejednokrotnie, szczególnie kiedy sama musi się nią zajmować.

- To nie zdarza się zbyt często, ja zawsze jestem w pobliżu.

- Nie zawsze, bo to niemożliwe. W każdym razie, znasz moje zdanie i myślę, że w tej sytuacji nie ma co dalej o tym rozprawiać. Ale chcę ci uświadomić, że jeśli nic się nie zmieni i ona nie będzie miała faktycznie żadnych ograniczeń, to

któregoś dnia nastąpi kolejny atak, może nawet kolejnej nocy, i mówię o tym otwarcie, nie będziesz długo na to czekał. - Głos mu złagodniał, gdy dodał: - Wiem, Wardzie, jakie to dla ciebie trudne. Ale w głębi serca od dawna zdawałeś sobie sprawę z tego, co się z nią dzieje. No, na mnie już czas, ale niedługo się zobaczymy.

Zszedł do kuchni, a tam, zanim zdążył się odezwać do Patsy, ona sama go zagadnęła: - Nie mogę już tego dłużej znieść, doktorze. Za żadne pieniądze. Mówiłam już Carlowi i jemu, i im wszystkim - wskazała palcem na sufit - że trzeba mieć kogoś do pomocy, dzień i noc, i to kogoś doświadczonego. Trudno w to uwierzyć, doktorze, ale w czasie ataku ona ma więcej siły niż ja i Carl razem. - W jej coraz cichszym głosie wyraźnie słychać było napięcie. - Co należałoby zrobić, doktorze? Tak dalej być nie może, prawda?

- Nie, Patsy, masz rację i właśnie mu o tym powiedziałem. Musi wybrać jedno albo drugie rozwiązanie. Pierwsza propozycja, o której oczywiście nawet nie chce słyszeć, to odesłanie jej do zakładu. Więc pozostaje druga, czyli wynajęcie kogoś do pomocy. Ale nie zapominaj, że to oznaczałoby również dla ciebie więcej pracy w gospodarstwie.

- Och, nie mam nic przeciwko temu. Nic, zupełnie nic. To ciągle bieganie z góry na dół, a ona jest coraz bardziej zaborcza. To zabawne, nie mówi, a potrafi wyrazić żądanie. I to jeszcze jak. Te jej krzyki. O mój Boże, te jej krzyki.

- A co się dzieje z dzieckiem? - wtrącił doktor. - Gdzie ona jest?

- Niech mnie pan nie pyta, doktorze. Panna Jessie i Carl, i w ogóle wszyscy jej teraz szukają, bo Rob przysięga, że była poraniona, gdy widział ją biegnącą przez pole w dolinie. Czym się to wszystko skończy? Może mi pan powiedzieć, czym to się skończy, doktorze?

- Tyle samo wiem, co ty, Patsy. Dopiero czas nam pokaże. - Podniósł dłoń widząc, że sięga po dzbanek z herbatą. - Dzisiaj dziękuję. Mam przed sobą bardzo pracowity dzień. Muszę już jechać, ale wieczorem znowu wpadnę. - I rzeczywiście ruszył do wyjścia...

Po południu, siedząc przy łóżku swego ukochanego dziecka, jak ciągle o niej myślał, Ward podjął decyzję. Doktor dał mu dwie możliwości. Tej pierwszej w ogóle nie brał pod uwagę, nie chcąc, by wieś szermowała dwoma argumentami. Pierwszy: zakład dla obłąkanych, w którym skończyła Daisy Mason, to sprawiedliwe rozwiązanie dla jego córki. Drugi: nie można wyśmiewać się z Boga, teraz przez córkę Bóg go karze za profanację, na jaką się poważył. Nie, o tym nigdy nawet nie pomyślał. Z kolei to drugie rozwiązanie, opiekunka czuwająca przy jego dziecku dzień i noc, jawiła mu się w postaci potężnej, silnej kobiety. Nigdy! Nigdy!

Podniósł dłoń i odgarnął córce włosy z czoła. Twarz jej się wypogodziła, znowu wyglądała jak jego malutka dziewczynka, taka podobna do swojej matki, przynajmniej z rysów, bo niewielka ilość ruchu stała się przyczyną jej nadmiernej tuszy.

Podniósł się i patrząc na nią wyszeptał: - Kiedy dołączysz do swojej matki, będziesz bardzo szczęśliwa, a potem obie na mnie poczekacie. - Pochylił się i pocałował ją czule, a potem wyszedł z pokoju.

* * *

Jessie zbliżała się do bram farmy, kiedy zauważyła Carla nadjeżdżającego z przeciwnej strony. Ale gdy ściągnął wodze i zatrzymał konia, tylko spojrzała na jego twarz i już wiedziała, że nie ma żadnych wieści. - Nie ma po niej śladu - zakomunikował, nie czekając na jej pytanie.

- Widziałeś się z kowalem? - zapytała dopiero wtedy.

- Tak. Tak, ale nikogo nie zauważył. Byłem również u Newberrych i Holdenów, i u pana Wainwrighta. Tego duchownego metodystów, który mieszka na końcu wsi, wiesz, jego żona nieomaga i spędza dużo czasu siedząc w ogrodzie. Mówi, że nikt tamtędy nie przechodził. Bardzo się tym przejęli. W końcu poszedłem do szkoły, ponieważ zawsze uważałem, że ona pragnie towarzystwa rówieśników. - Pokiwał głową. - Dowiedziałem się czegoś ciekawego, chociaż to nie dotyczy dzisiejszego wydarzenia. Jakiś czas temu ona dotarła do bramy szkoły.

- Nie! Do bramy szkoły?

- A tak. Przynajmniej tak twierdzi panna Pratt, która... wtedy kazała jej wracać do domu, bo w pobliżu kręciły się jakieś inne dzieci i uważała, że lepiej będzie, jeśli nie zaczną pogawędki, chociaż i tak Janie zdążyła im się przedstawić.

- Nie pozostaje nam już nic innego, tylko zawiadomić policję - stwierdziła teraz.

- Zaczekajmy jeszcze. - Pochylił się nad nią. - W obecnym stanie rzeczy, twój... no, myślę, że twój ojciec zdenerwowałby się jeszcze bardziej. Wiesz, co się dzieje, kiedy policja wkracza do akcji. Jej śladem zawsze podążają dziennikarze.

- No, ale gdzie ona może być?

- Może schowała się całkiem niedaleko.

- Szukałam jej w lesie. - Przerwała na chwilę, po czym dokończyła: - Nie sądzisz chyba, że znalazła się na terenie majątku Hall? Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, że mogła przejść przez mur, a już z pewnością nie przez płot. Doskonale wiedziała, że jej nie wolno wychodzić za bramę.

- Po tym, co się zdarzyło dzisiejszego poranka - zauważył Carl szorstko - pewnie mogłaby pokonać każdy mur.

Przez chwilę milczała, rozglądając się wokół, jakby szukała jakiegoś punktu zaczepienia. - Pamiętasz, jak któregoś dnia wróciła pobrudzona ziemią i z brudnymi rękoma, a potem nie chciała się przyznać, gdzie była? - zapytała. - Mogła się wtedy przecisnąć przez jakąś dziurę, prawda?

- Tak. Tak, pamiętam. Ale wiesz - pokręcił głową z powątpiewaniem - sprawdziliśmy potem wszystkie mury. Musiałaby zamienić się w borsuka, żeby przecisnąć się pomiędzy kamieniami.

- No, tak, ale gdzieś jednak się wcisnęła. Carl - wyciągnęła do niego dłoń - mógłbyś pojechać do Hall i poprosić, aby sprawdzili swój teren?

- Tak, oczywiście - skinął głową. - Słyszałem, że młody panicz jest bardzo rozsądny, a lady Lydia zawsze była miła. Pojadę tam, chociaż nadzieja jest raczej nikła, bo jeśli nadal biegła tam, gdzie ją widział Ron, to z pewnością nie dotarła do Hall. Wtedy musiałaby przedostać się przez bramę. Ale - zawrócił konia - to już spekulacje.

Odjechał galopem, zostawiając ją z ramionami przyciśniętymi do piersi, jakby chciała ścisnąć niepokój wypełniający jej ciało. Nie zniosłaby, gdyby dziecku coś się stało, po prostu by nie zniosła. Dziewczynka źle zrobiła łamiąc jej zakazy, ale czegoż można się było spodziewać? Wiedziała, że ma matkę, tylko co sobie teraz o niej pomyśli? Że jest obłąkaną kobietą, bo trzeba sobie to jasno uświadomić, zresztą ojciec też musi się z tym pogodzić, że jego ukochana Angela jest szalona i to perfidnie szalona. Bo jeśli zostały w niej jeszcze jakieś pokłady czułości i łagodności, to ujawniała je tylko w jego obecności, a w stosunku do siostry i Patsy była wyłącznie wymagająca i agresywna. I to tak bardzo, z latami coraz bardziej, że naprawdę trudno było się pohamować przed nienawiścią.

Ale jeżeli jej dziecku coś się stało! Bo Janie jest jej dzieckiem: ona ją wychowała, dbała o nią i kochała. To co, że jednocześnie ją uwięziła, zrobiła to przecież dla jej dobra. Z jakim rezultatem? Tak, jeśli okaże się, że Janie spotkało jakieś nieszczęście, ona przeklnie swoją siostrę, i ojca też. O tak, ojca też, bo nikt go nie obchodzi z wyjątkiem repliki jego żony.

Zawracając zdziwiła się, gdy uświadomiła sobie, że pomyślała o swojej matce po prostu jako o żonie ojca...

Carl zsiadł z konia, który uniósł łeb, jakby odpowiadał na rzenie dochodzące ze stajni po drugiej stronie podwórza, po czym odwrócił się, aby przywitać nadchodzącą lady Lydię.

- Witaj, Carl - powiedziała ciepło. - Dobry Boże! Tak dawno się nie widzieliśmy, ale... to niesłychane jak ty się trzymasz, zupełnie nie widać upływu lat.

- Dziękuję, lady Lydio. - Skinął jej głową i uśmiechnął się. - Chciałbym w to wierzyć. Jest pani jak zwykle bardzo uprzejma.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? - zapytała.

- Mamy na farmie mały problem, bo dziecko - wie pani, mała dziewczynka, Janie, gdzieś zniknęła od samego rana. Panna Jessie ma nadzieję, że pozwoli mi pani rozejrzeć się na państwa gruntach, żeby sprawdzić... no - wzruszył ramionami - chociaż, moim zdaniem, istnieje bardzo mała szansa, że udało jej się tutaj przedostać. Ale, jak powiedziałem, panna Jessie podejrzewa, że mogła się gdzieś schować. To nasza ostatnia deska ratunku, potem możemy już tylko poprosić o pomoc... policję. A ja... mogę zrozumieć, że pan Gibson nie byłby tym zachwycony.

- Och, nie, doskonale to rozumiem. I oczywiście możesz rozejrzeć się, gdzie tylko chcesz. Mojego syna akurat nie ma. Pojechał do miasta coś załatwić, a McNamara, nasz ogrodnik, wybrał się razem z nim. Jak to się mówi, chcieli złapać dwie sroki za ogon. - Uśmiechnęła się i dodała: - Wiesz chyba, że prowadzimy teraz interes, małe gospodarstwo.

- Tak, tak, słyszałem, jak również to, że dobrze państwu idzie - potwierdził.

- Tak - spojrzała na niego uważnie. - Nad podziw dobrze. Mój syn doskonale sobie radzi z motyką i łopatą, co jest rzeczywiście zadziwiające, ponieważ zawsze mi się wydawało, że nie przejawia... żadnych talentów w tej dziedzinie, a raczej powinien zajmować się książkami.

- Tak, pamiętam, że zawsze interesował się literaturą - powiedział Carl z uśmiechem. - Pamiętam, że od czasu do czasu dyskutowaliśmy po jego powrocie z uniwersytetu. Polecił mi kilka książek godnych przeczytania. Tak, tak, rzeczywiście to go pasjonowało.

- Może zostawiłbyś tu konia - wskazała mu miejsce ręką - kiedy pójdziesz się rozejrzeć? Mamy teraz wiele pustych boksów.

- Dziękuję, bardzo dziękuję. Skorzystam z tej propozycji. - Jego twarz rozjaśnił teraz szerszy uśmiech.

- Z pewnością nie będzie samotny. Słyszę, że ma zapewnione towarzystwo - dodał.

Odwrócił się i poprowadził konia do boksu wskazanego przez lady Lydię. Zamykając barierkę, pomachał jej na pożegnanie. - Dziękuję pani za uprzejmość.

Pokręciła głową i odparła: - To naprawdę drobiazg. Musisz nam powiedzieć, jeśli moglibyśmy ci jakoś pomóc.

Kiedy wrócił dobrą godzinę później i nikogo nie spotkał na podwórzu, zapukał do drzwi kuchennych. - Czy mogłabyś przekazać swojej pani podziękowanie ode mnie? - powiedział krótko służącej, która ukazała się w drzwiach. Nie dodał: „Nie znalazłem jej”, wiedząc doskonale, że służba zazwyczaj ma zbyt długie języki. Odwrócił się szybko i zabrawszy konia ze stajni odjechał. A Nancy Bellways zadawała sobie pytanie: Za co on jej dziękuje?

Piętnaście minut później Gerald zjawił się w domu. Skierował się prosto do salonu, ponieważ Nancy poinformowała go, że tam właśnie znajdzie matkę. Teatralnym gestem otworzył drzwi i rozkładając ramiona wykrzyknął: - Sukces! Sukces! Przed nami otwiera się nowa droga: owoce, kwiaty i warzywa. Mówią, że wezmą każdą ilość. - Nagle ramiona mu opadły i szybko podszedł do niej z pytaniem: - Co się stało?

- Nie u nas - odparła. - I tak się cieszę z powodu nowych zamówień. Ale był Carl z farmy Gibsona. Zginęło im dziecko, córka tej dziewczynki. Coś musiało się tam stać dzisiejszego ranka, bo szukają już cały dzień, a Carl przyjechał, żeby sprawdzić nasze grunty. Oczywiście, że mu pozwoliłam, ale nie widziałam się z nim po zakończeniu poszukiwań. Poprosił tylko Nancy o przekazanie wiadomości, ale nie jest jasne, czy znalazł dziecko. Zdziwiłabym się, gdyby mu się to udało. Jest bardzo prawdopodobne, że gdyby dziewczynka zamierzała uciekać, to przyszłaby do nas, prawda? Myślę, że szukałaby jakiegoś domostwa. Sama już nie wiem.

- Kiedy to było?

- Och - zastanowiła się przez chwilę - Nancy przekazała mi wiadomość jakieś dwadzieścia minut temu. I tak pewnie zawiadomią policję. Ale chodź już, usiądź i opowiedz mi wszystko. Nancy właśnie podała herbatę.

- Wypiję filiżankę, mamu, a potem pojedę rozejrzeć się w lesie i okolicy.

- Ależ Carl już to zrobił, kochanie.

- Tak, wiem, ale - uśmiechnął się do niej - nie zna tych terenów tak dobrze jak ja. Nie zapominaj, że sam chowałem się do lasu, kiedy ojciec wpadał w pasję, że nie chcę się bawić ołowianymi żołnierzami.

- Nie bądź niemądry, Geraldzie. Twój ojciec nigdy nie kazał ci bawić się żołnierzami.

- Czyżby? W czasie wakacji miał podobne pomysły: na przykład szalone jazdy na koniu przez pola, z lancą w dłoni, jakbym brał udział w turnieju - głowę daję, że tak to sobie właśnie wyobrażał - i jego wrzaski, gdy celowo nie trafiałem w gawrony. Czy to nie był rodzaj musztry? Na szczęście znałem kilka

doskonałych kryjówek, więc teraz na pewno zaraz wrócę i potem opowiem ci o naszych sukcesach handlowych.

Wyszedł z pokoju, słysząc jak mówi coś niezadowolonym tonem. Pośpiesznie przeszedł przez podwórko i przedarł się przez ciągle zarośnięty ogród. Zwolnił dopiero, gdy zbliżył się do zrujnowanego domku drwala. Zatrzymał się przy drzwiach i cicho zawołał: - Jesteś tam? To tylko ja. - Nie słysząc żadnej odpowiedzi ciągnął: - Jestem tym człowiekiem, który wie o twojej norce królika.

Nadal nikt się nie odezwał, więc pchnął drzwi i wszedł najpierw do pierwszego, a potem do drugiego pomieszczenia. I wtedy właśnie na materacu, który z pewnością był gniazdem polnych myszy, zobaczył ją. Wpatrywał się w nią ze zdumieniem i współczuciem, ponieważ podbródek, szyję i obie ręce miała pokryte zaschlą krwią. - Ja... ja musiałam zasnąć - powiedziała mrugając oczami.

- Och, moja droga! - Usiadł na materacu obok niej. - Co się stało?

Cofnęła dłoń, kiedy próbował wziąć ją za rękę. - Tam... ciągle są odłamki szkła.

- Co?

- Ona., ona rzuciła we mnie lampą.

- Kto?

- Ta... ta - przełknęła ślinę i mówiła dalej - ta kobieta, o której się mówi, że jest moją matką.

Oczy rozszerzyły mu się, a usta wykrzywił grymas zdziwienia. - Ale jak to się stało? - zapytał łagodnie.

- Ja... ja chciałam ją zobaczyć. Naoliwiłam zardzewiałe klucze i dostałam się tam tylnym wejściem. Kiedy weszłam do pokoju... - zacisnęła oczy rozpaczliwie i zrobiła coś dziwnego: wysunęła język i przygryzła go zębami, jakby chciała się powstrzymać przed mówieniem.

- Chodź, kochanie, muszę odprowadzić cię do domu - odezwał się, ale ona odsunęła się od niego i krzyknęła:

- Nie! Nie! Teraz ciocia Jessie już na zawsze mnie zamknie.

- Ależ nie. Nie, z pewnością nie. Obiecuję ci to.

- Jak... jak pan może mi to obiecać? Przecież pan tam nie mieszka.

- Rzeczywiście. - Jego głos nabrał teraz stanowczych tonów. - Ale dopilnuję... dopilnuję, żeby już nikt cię nigdy nie zamykał.

- Naprawdę?

- Tak. To ci mogę obiecać.

- Jestem taka zmęczona. Słyszałam, jak Carl mnie wołał.

- Nie wchodził tutaj?

- Wtedy mnie tutaj nie było. Leżałam wtedy w zaroślach, ale mnie nie zauważył. Potem poczułam się bardzo zmęczona i przypomniałam sobie to łóżko. - Odwróciła głowę i spoglądając na posłanie dodała: - Wszystkie myszki stąd uciekły. Były małe. Zresztą ja się nie boję myszy.

Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, ale cofnęła głowę widząc, że chce wytrzeć jej twarz. - Chyba mam rozciętą szyję.

Przyjrzał jej się uważnie i rzeczywiście zobaczył długie skaleczenie pokryte zaschniętą krwią. Nie potrafił powiedzieć, jak głęboka była ta rana, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że musi odprowadzić dziewczynkę do domu, żeby obejrzał ją lekarz, szczególnie że w dłoni tkwiły odłamki szkła. Dobry Boże! Trudno mu było pojąć, że jej matka, ta niegdyś piękna, krucha dziewczyna, teraz zionęła nienawiścią i pragnieniem zemsty w stosunku do swego dziecka. Ale przecież to dziecko zrujnowało jej życie. Co za historia! Co za koszmarna, koszmarna historia!

- Jesteś bardzo rozsądną, małą dziewczynką - odezwał się teraz łagodniej - i wiesz, że nie możesz tu zostać na noc. Wkrótce zapadnie zmrok i zwierzęta - zatoczył wokół ręką - z wyciem podejda pod sam dom i porządnie cię wystraszą.

- Nie boję się zwierząt.

Tak, nie bała się zwierząt, bała się ludzi i miała ku temu dobry powód. - A teraz posłuchaj mnie - poprosił.

- Nic ci się nie stanie, jeśli wrócisz do domu. Osobiście dopilnuję, żeby nie spotkała cię żadna kara za... - Jak miał nazwać pragnienie dziecka zobaczenia matki? Jedyńm słowem, który przyszło mu na myśl była eskapada, i tak właśnie powiedział: - ...za twoją eskapadę.

Powoli pokręciła głową i zadała mu pytanie, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi: - Dlaczego na farmie tak się dzieje? - A kiedy nie odpowiadał, ciągnęła: - Inne dzieci mogą biegać gdzie chcą. Sama widziałam wiele dzieci. Czy pana ktoś zamykał, kiedy był pan małym chłopcem?

- Tak - teraz mógł się do niej uśmiechnąć - i wtedy przez cały dzień dostawałem tylko wodę.

- Czy to była jakaś kara?

- No... kopnąłem jednego z parobków, a potem wylałem na niego wiadro... - znowu przerwał na chwilę - niezbyt czystej wody.

- Dlaczego pan to zrobił?

- Ponieważ - poszukał w myślach kolejnego słowa - źle traktował zwierzęta. - Nie potrafił jej powiedzieć, że parobek utopił cały miot niechcianych szczeniąt.

Kiedy poruszyła ręką i skrzywiła się z bólu, wstał i stwierdził zdecydowanie: - Teraz musisz iść ze mną. Już ci to mówiłem, ale powtarzam jeszcze raz, nikt cię nie zamknie.

- Jak pan może uchronić mnie przed zamknięciem? Przecież pan tam nie mieszka.

- Są na to sposoby, kochanie. Są na to sposoby. No, chodź już.

Wstając zachwiała się lekko. Ale kiedy chciał wziąć ją za rękę, powiedziała: - Och, proszę, niech pan nie dotyka tej ręki. Bardzo mnie boli.

- Nie miałem zamiaru dotykać twojej biednej dłoni, ale lepiej podaj mi tę drugą.

Wyciągnęła do niego dłoń, ale kiedy znaleźli się już na dworze, zatrzymał się i spoglądając na nią stwierdził: - W tej sytuacji nie możesz przeciskać się pod murem, ponieważ nie wolno ci zabrudzić ręki. Gdyby tak się stało... trudno przewidzieć rezultaty. Tak więc musimy wracać drogą.

Nie zaprotestowała, więc teraz prowadził ją przez pola w stronę rowu, który przeskoczyła tego dnia, gdy dotarła do szkoły. Pomagając jej pokonać przeszkodę, zauważył zniszczony płot i postanowił zająć się później tą częścią ogrodzenia. Nie odeszli zbyt daleko, gdy wyraźnie zwolniła i poprosiła: - Czy moglibyśmy usiąść na chwilę? Jestem bardzo zmęczona.

Spojrzał na nią, po czym przeniósł wzrok na drogę i stwierdził niechętnie: - Tutaj nie ma gdzie usiąść, kochanie, chyba że na skraju. - Ale gdy nagle oparła głowę o jego ramię, zamarł ze zdumienia i w końcu pochylając się nad nią powiedział: - Wezmę cię na ręce i zaniosę. Spróbuję nie urazić twojej ręki. Po prostu trzymaj ją z daleka.

Dziewczynka nie zaprotestowała. Ale kiedy znalazła się w jego ramionach i wtuliła mu głowę w ramię, uświadomił sobie, że przez całą drogę prawie się do niego nie odzywała i być może przyczyną było nie tylko zmęczenie, ale też odniesione rany i szok. A później, kiedy już dochodził do bramy farmy, pomyślał, że to nie tylko dziwne, ale w jakimś sensie niesamowite, że już kiedyś prznosił tędy matkę dziecka, a teraz trzyma w ramionach jej potomka.

Powitał go głośny okrzyk Hamisha McNabba: - Panie Carlu! Ludzie! - który rzucił się wcale nie w stronę Geralda, ale do kuchni, gdzie w drzwiach ukazał się nie tylko Carl, ale również Jessie i Patsy.

- Gdzie ją pan znalazł? - Jessie przybiegła mu na spotkanie.

- Boże! Spójrz na nią - powiedział Carl, a jego uwaga zmieszała się z innymi głosami.

- Gdzie ona śpi? - Gerald zwrócił się wprost do Jessie. - I myślę... myślę, że jak najszybciej doktor powinien ją zbadać.

Jessie, która szła przodem, ręką pokazując mu kierunek, teraz odwróciła się i zawołała: - Carl! Sprowadź.... sprowadź doktora Pattena! - Kiedy dotarli do domku, pchnęła drzwi i dalej prowadziła Geralda.

- Tędy. Tędy, proszę.

W sypialni delikatnie i z niekłamaną ulgą położył dziecko na łóżku. - Och, ona krwawi! - wykrzyknęła Jessie ze łzami w oczach. - Ja... przyniosę miskę.

- Poczekalbym na doktora - zatrzymał ją Gerald.

- W dłoni tkwią odłamki szkła. I trzeba obejrzeć jej szyję.

- Gdzie... gdzie ją pan znalazł?

- W moim lesie.

- Ale przecież Carl nie tak dawno jej tam szukał...

- Tak, wiem. Ale Carl kojarzy jej się z tym domem, a właśnie tutaj bała się wrócić. - Zauważył, że zeszywniała, ale mówił dalej: - I niech mi wolno będzie zauważyć, panno Jessie, że jej wolność nie może być ograniczana przez trzymanie jej w zamknięciu.

- Panie Ramsmore, to... nasza prywatna sprawa. Ja za nią odpowiadam.

- Jestem tego świadomy, panno Jessie. Ale powtarzam, ona nie może być pozbawiona swobody niezbędnej dla dziecka.

- Sir, wtrąca się pan w sprawy, które nie powinny być przedmiotem pańskiego zainteresowania.

- Być może tak było w przeszłości, ale informuję panią, że to się zmieni.

- Mój ojciec jest głową tego domu i tutaj może robić to, co uważa za stosowne.

- O ile wiem, pani ojciec ignoruje to dziecko, a idąc za ciosem przypomnę, że przeklął dzień, w którym przyszło na świat. Tak więc pani ojciec nie miałby nic przeciwko temu, żeby dziewczynka wyruszyła w świat i została porwana przez Cyganów albo stratowana przez jakiegoś konia.

- Sir! Wykorzystuje pan sytuację. - Zawahała się nad kolejnym słowem, ale w końcu dodała: - Nie ma pan prawa.

- Myślę, że mam, panno Jessie. Proszę pamiętać, że znalazłem jej matkę i przyniosłem ją do domu. Tę samą matkę, która odrzuciła to dziecko i, jak mogę podejrzewać, teraz usiłowała je zabić. Niech pani na nią spojrzy.

- Odwrócił się i pokazał jej spokojne, pogrążone we śnie dziecko, a potem powiedział: - Bez względu na to, czy się to pani podoba, czy nie, okoliczności zmusiły mnie, abym zainteresowałem się tym dzieckim. Dzisiaj spotkaliśmy się nie pierwszy raz. I jeżeli w najbliższej przyszłości nie zobaczymy się, będzie to dla mnie oznaczało, że znowu ją pani więzi. Może to brzmi zbyt ostro, ale ta dziewczynka jest bardzo żywiołowa i zamykanie jej w tej - rozejrzył się po

niewielkim pokoju - dziupli trudno określić inaczej jak uwięzienie. - Skinąwszy jej głową na pożegnanie, odwrócił się i wymaszerował z domku, zostawiając ją bez tchu, zjedną ręką obejmującą gardło, a drugą przyciśniętą do piersi.

Jakiś ruch od strony łóżka ponownie skierował jej uwagę na dziecko, które na chwilę uniosło ciężkie powieki i wyszeptało powoli: - Przepraszam, ciociu Jessie.

Mając na uwadze jej obecny stan, Jessie odparła:

- W porządku, kochanie, w porządku. Leż spokojnie, zaraz przyjdzie doktor.

- A gdzie jest ten miły mężczyzna? - zapytała Janie przytomniej.

- On... poszedł do domu - wydusiła z siebie Jessie.

- Ale wróci?

- Hm... być może. Spróbuj teraz zasnąć.

- Ciociu Jessie?

- Tak, kochanie?

- Teraz już wiem, dlaczego nie pozwalalaś mi się z nią zobaczyć. Ona jest niezbyt miła, prawda?

Jessie nie pytała, kto jest niezbyt miły, ale przygryzając wargę, powtórzyła: - Leż spokojnie, kochanie. - A potem, pochylając się nad twarzyczką Janie, zapytała: - Co powiedziałaś?

Odpowiedź dziecka przeraziła ją. - Zachowywała się jak byk.

Kiedy zeszłego roku musieli zastrzelić byka, który niespodziewanie wpadł we wściekłość, dziecko było świadkiem wysiłków kilku mężczyzn, którzy widłami próbowali zapędzić rozszalałe zwierzę w kąt stodoły. Wtedy dziewczynka sama sobie wyjaśniła, że zapewne stworzenie zapadło na jakąś chorobę mózgu i było niebezpieczne dla otoczenia. Dlatego trzeba je było zabić. A teraz swoją matkę porównywała do tego byka. Nie powiedziała, że jest szalona, tylko, że ma coś nie w porządku, pewnie taki właśnie zwrot usłyszała od parobków, gdy rozmawiali o byku. Odwróciła się od łóżka, błagając w myślach: Doktorze, niech się pan pośpieszy, żebym jak najszybciej mogła ją umyć i położyć.

Doktor Patten przybył dobrą godzinę później i właśnie stał przy łóżku patrząc na Janie, która leżała tak, jak ją przyniósł Gerald, całkowicie ubrana. - To chyba powinno rozstrzygnąć całą sprawę, prawda? - zauważył, zwracając się do Jessie. - Będę potrzebował miski z gorącą wodą. - Po czym, zwracając się ponownie w stronę łóżka, zapytał łagodnie: - Jak się czujesz, Janie?

- Bardzo zmęczona, doktorze, i boli mnie ręka.

- Szybko ją wyleczymy, kochanie. Teraz ma prawo trochę cię boleć. - Podniósł jej dłoń i przesuwając palcem pomiędzy śladami krwi, patrzył na nią

uważnie za każdym razem, gdy się krzywiła z bólu. - No, tak, Janie, w dłoni tkwią cztery odłamki szkła, które muszę wyjąć. Zgadzasz się ze mną?

- Tak, doktorze.

- Postaram się zrobić to jak najdelikatniej, ale najpierw muszę wszystko dobrze przemyć. O, jest już twoja ciocia z ciepłą wodą. Teraz chciałbym, żebyś tutaj położyła rękę, a ja obejrzę twoją szyję. Doskonale. Możesz nią poruszać do przodu i do tyłu? No, mądra dziewczynka.

- Na szczęście to tylko długie draśnięcie - stwierdził, kończąc badanie - i żadne odłamki szkła tam nie utkwily. Kawalek waty - rzucił krótko, odwracając się i wskazując na swoją torbę. A kiedy Jessie spełniła jego prośbę, pokazał wate Janie i powiedział: - Bardzo delikatnie przemyję ci dłoń.

W czasie tego zabiegu dziewczynka nawet nie drgnęła. Ale gdy wyciągnął pierwszy odłamek, krzyknęła: - Boli! Och, jak boli.

Zanim udało mu się usunąć czwarty kawałek, dyszała już ciężko, a jej twarz pokryły krople potu.

Skończywszy opatrywanie rany na szyi, położył jej dłoń na czole sprawdzając temperaturę, a potem zmierzył puls. - Im szybciej przebierzesz się w piżamę i położysz do łóżka, tym lepiej - stwierdził, klepiąc ją po policzku.

Dopiero kilka minut później, gdy w sąsiednim pokoju miał okazję porozmawiać z Jessie na osobności, w jego głosie słychać było niepokój. - Ona ma gorączkę. Minęło już trochę czasu od tego zdarzenia, które miało miejsce rano. Rozumiem, że pan Ramsmore znalazł ją w lesie. Ta gorączka może być efektem przechłodzenia lub szoku. Dam jej jakiś łagodny środek na uspokojenie, ale zajrzę do niej jutro z samego rana.

Westchnął głęboko, jakby był zmęczony nieszczęściami tego domu, które zaprzętały jego uwagę. A kiedy wyszedł bez pożegnania, miała dokładnie to samo uczucie, co w przypadku Geralda Ramsmore'a. - Ci mężczyźni! Aroganckie istoty! - mruknęła pod nosem. Dokładnie tę samą etykietkę mogła przylepić swojemu ojcu... ale nie Carlowi. Nie, nie Carlowi. Carl był jedynym znanym jej mężczyzną, który zawsze odzywał się uprzejmym tonem.

* * *

Cztery dni później Janie zapadła na zapalenie płuc, tak więc Jessie i Patsy poświęcały jej cały swój czas. A Carl wpadał do nich w każdej wolnej chwili. Nad chorą rozciągnięto namiot, pod którym nieustannie unosiła się para z naczyn z gorącą wodą zmieszaną z balsamem Friar's, który ułatwiał jej oddychanie.

W opiece nad córką Ward był zdany prawie wyłącznie na siebie. Na szczęście jej potrzeby były teraz bardzo ograniczone, ponieważ środek zapisany przez doktora utrzymywał ją we względnym spokoju. W zasadzie prawie cały czas

drzemała, budziła się dopiero wtedy, gdy ojciec unosił jej głowę i mówił: - Wypij to, kochanie - proponując mleko lub herbatę.

Z początku protestowała, ale oplatał ją silnym ramieniem, przytrzymał rękę i praktycznie zmuszał do wypicia płynu. Teraz, czwartego dnia, nawet już nie próbowała oponować, ponieważ jej ciałem wstrząsały torsje. I właśnie w takim momencie niespodziewanie zjawił się Philip Patten.

- Od jak dawna to trwa? To znaczy, jak często wymiotuje?

- Wymiotowała kilka razy - odparł Ward. - Zmusiłem ją do zjedzenia obiadu. Czegoś na zimno, jak zwykle, bo pewnie nie dziwi cię, że nikt teraz nie gotuje. Myślę, że jej to zaszkodziło.

Kiedy Ward odsunął miskę od łóżka, Philip Patten spoglądając na jej zawartość pomyślał, że w żadnym wypadku nie przypomina ona zimnej baraniny, a ciemnozielony odcień mógł sugerować żółć.

Trzymając ją za nadgarstek, zbadał puls, po czym odwrócił się na moment i spojrzał na Warda, jakby chciał mu coś powiedzieć. Ale zamiast tego z powrotem ułożył jej rękę na kołdrze i stwierdził: - Zamierzam przerwać podawanie środków uspokajających. Myślę, że już dość. Teraz powinna trochę dojść do siebie. Ale czy mogę cię zapytać, co postanowiłeś?

- Tak. Tak. - Ward mył ręce w umywalce, stojąc tyłem do doktora. - Tak. Tak - powtórzył. - Zdecydowałem się. Zatrudnimy kogoś.

- Doskonale. Doskonale. Bardzo się cieszę. A to oznacza - Philip Patten uśmiechnął się półgębkiem - że nie ma potrzeby, żebym wieczorem otwierał moją torbę. A propos, w Newcastle jest doskonała agencja zatrudniająca pielęgniarki. Zaraz przy Northumberland Street. Zapomniałem dokładnej nazwy ulicy.

- Ale ja wiem. Cranwell Place. Wczoraj znalazłem ten adres. Ogłaszają się w gazecie. Pojadę tam dzisiaj i wszystko ustalę.

Doktor odwrócił się i spojrzał w kierunku łóżka. - Myślę, że nadal będzie spokojna. Tak, z pewnością. o której dałeś jej lekarstwo wczoraj wieczorem?

- Dość późno, koło jedenastej, zanim sam się położyłem.

- Myślę, że to powinno wystarczyć. - Nie dodał: „Teraz muszę iść zbadać twoją wnuczkę”. Wiedział, że tego człowieka uszczęśliwiłaby myśl, że dziecko może umrzeć. Tak więc po prostu rzucił na pożegnanie: - Zobaczymy się jutro.

Pół godziny później Ward znowu uniósł swą córkę i odchylając jej głowę włą do gardła prawie całą szklankę mleka, którą następnie odstawił na podręczny stolik. Potem wytarł jej usta i przygładził włosy. A w końcu pochylił się i dwukrotnie ją pocałował, szepcząc: - Żegnaj, kochanie. - I wyszedł z pokoju. W

kuchni spotkał Patsy, która właśnie do garnka z mięsem wrzucała pokrojone warzywa.

- Będzie pan miał na obiad ciepły posiłek - stwierdziła, odstawiając naczynie na kuchnię.

- Nie będę jadł obiadu. Pewnie ucieszysz się słysząc, że wybieram się do miasta, żeby wynająć... jakąś pielęgniarkę do pomocy przez całą dobę.

Na chwilę zamarła w bezruchu, a potem patrząc na niego powiedziała: - Tak. Tak, proszę pana. Jestem bardzo rada.

Odwrócił się, ale zanim wymaszerował do holu, rzucił na pożegnanie; - Trochę mi to zajmie. Ale ona niczego teraz nie potrzebuje. Ciągłe jest oszołomiona środkami uspokajającymi.

- To świetnie - Patsy pokiwała głową za jego plecami. Pomyślała, że jej obowiązki nareszcie znowu ograniczą się tylko do gotowania. Ale nic nie ma za darmo, bo dwie pielęgniarki, na dzień i na noc, będą oznaczały dwie osoby do nakarmienia. No, ale nie będzie tu tkwiła bez końca. Posiłki, zgoda, ale nic ponad to. Podjąwszy taką decyzję, kuchennymi drzwiami wyszła na podwórkę, gdzie zauważyła swego pana wsiadającego do dwukółki. Carl stał obok niego, prawdopodobnie słuchając ostatnich poleceń. Patrzyła, jak jej mąż czeka, aż bryczka zniknie za bramą farmy. Dopiero wtedy równocześnie spojrzeli na siebie i Patsy zakomunikowała: - Pojechał wynająć kogoś do pomocy, na noc i na dzień.

- Tak - pokiwał głową, po czym zapytał: - A jak dzieciak?

- Myślę, że do wieczora trudno coś powiedzieć, ale jakoś się trzyma. Wiesz, obawiam się, że panna Jessie zwariuje jak jej siostra - palcem pokazała do góry - jeśli temu dziecku coś się stanie. Ona traktuje dziewczynkę jak rodzoną córkę.

- Wcale mnie to nie dziwi. W końcu jest z nią od pierwszej chwili.

- Coś się stało? Masz jakieś kłopoty? - zapytała, patrząc na niego uważnie.

- Nie, wszystko w porządku.

- Wyglądasz, jakby coś cię dręczyło. Uśmiechnął się do niej. - Naprawdę? Po prostu muszę coś przemyśleć.

- Tak - stwierdziła nieco cierpko - pewnie znowu na temat tego kwitnącego miejsca. Nigdy o nas.

- Och, Patsy, to nie w porządku. Sama wiesz, że to nie w porządku.

- Czasami mam już tego dość, Carl - powiedziała, zaciskając dłonie. - W ogóle nie mamy własnego życia. A ja muszę być na każde skinienie tej tam z góry.

- Ale to się już skończy, bo przecież on pojechał po pielęgniarkę.

- Niezupełnie, bo będę miała więcej pracy. Więcej gotowania, prawda? A pani McNabb pomaga mi tylko w brudnej robocie.

- Przecież wiesz, kochanie, że się na to zgodziliśmy, i w końcu będziemy współwłaścicielami tej farmy...

- Ale kiedy? Kiedy? - zapytała, odwracając się do niego gwałtownie. - Kiedy on umrze, nasz pan? Może żyć jeszcze dwadzieścia lat. Ona też. A wyobraź sobie, że on umrze pierwszy, a my zostaniemy z nią. Wiem, co bym wtedy zrobiła, a słyszałam, że po cichu doktor mówił to samo. Może nie użył zbyt wielu słów, ale ja już wiem, co miał na myśli.

- Tak. Tak, Patsy, masz rację. Ale to z pewnością ostatnia rzecz, jaką zrobiłby nasz pan. Wiesz, że nigdy by jej nie oddał. Myślę, że nie zawahałby się przed niczym, żeby nie posłać jej do domu wariatów.

- Jeżeli jeszcze raz będzie miała taki atak, jak ten ostatni, to tam właśnie skończy, ponieważ w przeciwnym razie może zabić dziecko. Jej biedna rączka jest spuchnięta jak bania, a chociaż doktor mówił, że rana na szyi to tylko płytkie rozcięcie, to i tak będzie miała bliznę. Wczoraj znowu krwawiła. Moim zdaniem, powinien być jej to zeszyć.

- Myślę, że doktor wie, co robi - i jakby chciał przerwać dyskusję dodał: - Muszę już wracać do pracy.

Kiedy odchodził, Patsy zawołała za nim: - Carl, pan mówił, że nie będzie na obiedzie - zje coś w mieście, a ona powinna spać. Ale pewnie nie mogę zostawić jej samej przez cały dzień, prawda? Ale nie zamierzam tam chodzić sama. Od jakiegoś czasu zjawiam się tam tylko w jego obecności. Pójdiesz ze mną?

- Tak. Tak, oczywiście. Chociaż ona z pewnością rozedrze się na mój widok.

- Myślę, że nie. Od kilku dni jest oszołomiona lekarstwami. Ale muszę cię ostrzec, że się bardzo zmieniła. Postarzała się ogromnie od czasu, kiedy ją ostatnio widziałeś. - Trudno mi sobie wyobrazić, że wygląda jak staruszka.

- Sam zobaczysz. Ma wygląd starej jędzy.

- No, to zawołaj mnie, kiedy będę ci potrzebny - powiedział i zawrócił przez podwórko, a ona udała się do domku...

Dochodziła trzecia, a on zajmował się rozważaniem karmy dla zwierząt, gdy dała mu znać, że właśnie wybiera się na górę.

- Już idę. - Odłożył swoją robotę i podszedł do niej, po drodze otrzepując dłonie i strząsając kurz z ubrania.

- Nie sędzę, żeby zauważyła, że nie jestem specjalnie wyelegantowany - zauważył z uśmiechem.

- W ogóle mi się nie wydaje, żeby ona zauważyła twoją obecność. Ale tego nigdy nie wiadomo. Ja sama byłam tam dość dawno. Naprawdę nie mogę pojąć,

jak nasz pan może oglądać ją dzień i noc. Czasami nawet śpi na sofie w jej pokoju. Ale, co tu dużo mówić, jest na jej punkcie tak samo zbzikowany jak był na punkcie jej matki.

Kiedy znaleźli się w kuchni, objął ją w talii ramieniem i przyciągając do siebie, zapytał: - A ty ciągle jeszcze masz bzika na moim punkcie?

- Tak, Carl - odparła z powagą, patrząc na niego czule. - Nadal wariuję na twoim punkcie, i zawsze tak będzie. Ale jednocześnie czuję się winna, że nie mogę dać ci prawdziwej rodziny,

- Posłuchaj... Posłuchaj, już ci mówiłem, że dla mnie to nie ma znaczenia. Pragnę ciebie, a nie rodziny. Mówiłem ci to już, kochanie.

- W porządku, możesz mi to powtarzać przez resztę życia, a ja będę się starała uwierzyć, chociaż wiem, że to prawie niemożliwe. Każdy mężczyzna chciałby mieć rodzinę. Ale... posłuchaj, nie zaczynajmy od nowa. Już dość łez przelałam z tego powodu. Chodźmy już.

Pocałował ją i razem udali się na górę.

Patsy pierwsza weszła do pokoju, a on niepewnie wsunął się za nią. Podeszła do łóżka i spojrzała na nieruchome ciało, po czym odwróciła się do niego i wyszeptała zachrypniętym z przerażenia głosem: - Carl! Carl! Chodź tutaj. Spójrz na nią.

Szybko i spokojnie zbliżył się do łóżka i zerknął na twarz, która teraz znowu wyglądała młodo. Oczy były szeroko otwarte, a usta uchylone. Znowu miał przed oczami młodą dziewczynę, wybierającą się na pokaz magicznej latarni.

- O mój Boże! Mój Boże!

- Uspokój się - powiedział. - Przesuń się. Podeszedł bliżej do łóżka i na kilka chwil położył dłoń na jej białej koszuli, ale w tej samej chwili Patsy zawołała: - Ona nie żyje! Ona nie żyje! Spójrz na jej oczy. Ona jest martwa. - Odsunęła się od łóżka i płaczącym głosem wyrzucała sobie: - Powinnam była wcześniej tu zajrzeć. Powinnam. Tak, powinnam.

- Nie, nie powinnaś - odezwał się łagodnie, chociaż zdecydowanie. - Posłuchaj, zejdź teraz na dół i poproś kogoś o pomoc. Najlepiej Roba, bo on potrafi jeździć konno. Powiedz mu, żeby jak najszybciej pojechał po doktora Pattena. Ja tutaj zostanę. Idź już. - Musiał ją leciutko popchnąć, bo powoli cofała się w kierunku wyjścia.

Rozejrzał się wokół, coś mruknął pod nosem, a głośno powiedział: - To było najlepsze wyjście. A on wiedział, co robi.

Z tą myślą przeszedł na drugą stronę łóżka, gdzie na stoliku stała szklanka, do połowy wypełniona białym płynem. Sięgnął po nią, powąchał, po czym podniósł na wysokość wzroku. Na dnie naczynia pozostał jakiś osad. Jego podejrzenia

sprawdziły się. Ale ciągle trudno mu było w to uwierzyć, chociaż widział swego pana z puszką w dłoni. Do kantorka naprowadziło go przytłumione światło latarni. Nie mógł zasnąć i leżał z otwartymi oczami, wsłuchany w wycie psów. Podniósł się gwałtownie i podszedł do okna sypialni, która niegdyś była gabinetem, gdy zorientował się, że psy umilkły. Wyrzął na podwórze i nagle w kantorku zauważył światełko. To go zdziwiło. Co innego, gdyby coś się działo w pomieszczeniu obok, gdzie trzymano uprząż dla koni. To mógłby zrozumieć, bo ktoś mógł kraść uprząż. Ale co można było robić w takiej graciarni, gdzie trzymano puste worki, pudła i jakieś narzędzia?

Szybko naciągnął na siebie płaszcz i zbliżył się do okna. Ku swemu ogromnemu zdziwieniu zobaczył Warda trzymającego w dłoni jakąś puszkę. Widząc jak odkłada ją z powrotem na półkę, gdzie trzymano truciznę na szczury, pomknął do domu. Ale wcześniej rano następnego dnia sprawdził puszkę. W trzech z nich wyraźnie było widać ślady jakiegoś proszku: jedna z nich zawierała truciznę na szczury, druga arszenik, a trzecia resztki zastygłego płynu, który rozwadniano do oprysków.

Mocno przycisnęła dłoń do brody. Ale kiedy usłyszał odgłosy kroków na podeście, odwrócił się w stronę drzwi i znowu zobaczył w nich Patsy. - Doktor już idzie - wyrzuciła z siebie, dysząc ciężko. - Nie trzeba było go wzywać, bo akurat przyszedł zobaczyć dziecko. Już... już jest. - Po jej twarzy nadal płynęły łzy. - Powinna być wcześniej tu przyjąć - powtórzyła. Wiem, wiem, że powinna.

- Uspokój się! Uspokój się! - Odwrócił się i spojrzał w stronę stojącej na stoliku szklanki, ale już było za późno, żeby ją sprzątnąć, bo właśnie wchodził doktor.

Philip Patten utkwiał wzrok w kobiecie, którą śmierć zmieniła w dziewczynę, i powoli zrobił to samo, co przed chwilą Carl. Położył dłoń na jej piersiach. Potem poszukał pulsu na nadgarstku. A potem równie powoli zamknął jej powieki, naciągnął na twarz prześcieradło i odwrócił się w stronę dwojga wpatrzonych w niego ludzi. - Kiedy to się stało? No znaczy, kiedy ją znaleźliście? - zapytał.

- Ja, doktorze. Jakieś... jakieś kilka minut temu. Właśnie po pana biegłam, kiedy... kiedy się okazało, że pan już jest. Wiem, że powinna być wcześniej do niej zajrzeć. Ale kiedy on wyjeżdżał, to znaczy, kiedy pan wyjeżdżał, to mówił, że będzie spokojna, bo pan dał jej jakieś lekarstwo, a on jedzie do miasta wynajmując jakąś pielęgniarkę.

- Ona nic dzisiaj nie piła? - zapytał, kiwając głową.

- Nie, nie. Powinnam była coś jej przynieść, ale trochę się bałam sama tu przychodzić, bo ostatnio była raczej agresywna. Ostatecznie powiedział mi, że będzie spała. A potem zawołałam Carla i przyszedliśmy tu razem.

- W porządku, Patsy. W porządku. Bądź tak dobra i przygotuj nam herbatę.

- Tak, tak. Oczywiście, doktorze. - Przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego i wybiegła.

Philip Patten rozejrzał się po pokoju. Zatrzymał wzrok na stoliku, na którym znajdowała się szklanka z resztką białego płynu, ale powstrzymał się i nie podszedł bliżej. Ten pokój ma zapach tragedii i smutku, pomyślał. Czy on ma się przyczynić do powiększenia tej tragedii? Wiedział doskonale, że środek uspokajający, który zapisał, w żadnym wypadku nie mógł spowodować jej śmierci. Gdyby potrzebował jeszcze jakichś dowodów, to wystarczyłoby sprawdzić jej źrenice i przypomnieć fakt, że jej własny ojciec zdecydował w sprawie jej przyszłości. Wykorzystał jej oszołomienie lekarskimi i sprytnie przekonał wszystkich, że wybrał mniejsze zło: postanowił oddać ją do szpitala lub zapewnić jej całodobową opiekę wykwalifikowanej pielęgniarki. Och, Ward dogłębnie to przemyślał. Ale co on sam ma z tym wszystkim zrobić? Oskarżyć go? Biały osad w szklance był wystarczającym dowodem. Mógłby zabrać szklankę, a potem musiałby tylko zbadać jej zawartość i to wystarczyłoby jako dowód dla sądu. Ale co wtedy? Ten człowiek mógł zawisnąć na szubienicy lub, jeśli sędziowie okazaliby litość, spędzić resztę życia w więzieniu. Ile on ma teraz lat? Skończył pięćdziesiąt?

Minął Carla i stąwszy przy oknie zastanawiał się, jakie jest jego miejsce w tej całej historii. Co jest jego obowiązkiem? Och, doskonale znał swoje obowiązki. Ale czy mógł je teraz spełnić? A jeśli nic nie robi, to kto będzie o tym wiedział? Kto będzie się przejmował śmiercią jakiejś wariatki, kiedy cały kraj pogrążony jest w wojnie? Nawet ludzie we wsi przejmowali się tym. Śmierć córki Warda Gibsona mogła wywołać tylko niewielkie poruszenie.

Energicznie odwrócił się od okna i spoglądając w stronę łóżka, powiedział: - Wydaje mi się, że czegoś nie dopilnowałem. Muszę ją dokładniej zbadać. Pewne objawy wskazują, że mogła umrzeć z powodu zatoru w mózgu. O ile pamiętam, na to samo zmarła jej matka. Mógłbyś zejść na dół i przynieść mi filiżankę herbaty?

- Tak, oczywiście, doktorze.

Gdy tylko Carl wyszedł z pokoju, Philip Patten potrząsnął szklanką, zanurzył palec w jej zawartości i polizał go. Odstawiając naczynie na stół, na chwilę mocno zacisnął szczęki. Ponownie sięgnął po szklankę, wylał płyn do stojącego pod umywalką porcelanowego kubka, napełnił szklankę wodą z dzbanka,

znowu nią potrząsnął i wylał zawartość. Potem z kieszeni wyciągnął chusteczkę do nosa i do sucha wytarł naczynie, szczególną uwagę zwracając na dno. Zanim nadszedł Carl z herbatą, zdążył tylko ściągnąć prześcieradło z nieruchomej twarzy.

Stawiając tacę na stoliku, Carl natychmiast zauważył czystą szklanę i przez chwilę zatrzymał na niej wzrok. Przeniósł wzrok na doktora, który właśnie odwracał się od łóżka i przez chwilę patrzyli na siebie w niemym porozumieniu...

Tego wieczoru Philip Patten nie wrócił do domu przed szóstą wieczorem. Ward siedział w pokoju, który kiedyś był jadalnią. Na widok Philipa podniósł się z miejsca i pochylając głowę powiedział ze wzrokiem wbitym w podłogę: - Doszedłem już do siebie.

Nie słysząc żadnej reakcji, podniósł głowę i spojrzał na Philipa. - Tak spokojnie leżała, kiedy wyjeżdżałem.

Doktorem targaly sprzeczne uczucia. Widząc zachowanie tego człowieka, pożałował swego uczynku. Najwyraźniej Ward traktował go jak kompletnego idiotę. Czy przy całej swojej przebiegłości nie przewidział sekcji zwłok? Philip zdecydowanie nie chciał być traktowany jako lekarz, który nie zna się na swoim fachu. Ale jednocześnie wiedział, że musi postępować wyjątkowo ostrożnie, bo gdyby Ward uznał, że przebaczył mu otrucie, to później mógłby trzymać go w szachu. Nie żeby podejrzewał Warda o takie postępowanie. Ale któż może przewidzieć, do czego jest zdolny inny człowiek, szczególnie pod naporem okoliczności? Chwilę później ledwo się pohamował, aby nie powiedzieć prawdy, bo Ward z całą naiwnością zapytał: - Jak sądzisz, dlaczego do tego doszło... tak szybko?

Philip musiał się odwrócić. Dopiero chwilę później był w stanie wydusić z siebie: - No cóż... myślę, że cierpiała na niewydolność serca, albo doszło do zatoru w mózgu.

- O Boże.

Philip odwrócił się i zobaczył, jak Ward podchodzi do kominka, wyciąga rękę i wsparty o półkę patrzy w ogień.

- To dziwne. Jej matka odeszła w ten sam sposób - zauważył. - Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie. Tak, tak. - Odwrócił się od kominka i spoglądając na Philipa dodał: - Odeszła w spokoju. Ale jutro z samego rana muszę zawiadomić agencję w Newcastle, żeby nie przysyłali pielęgniarce. Miała się zjawić w końcu tygodnia. Ale ta druga, na dzień, powinna zacząć z samego rana.

Tego już Philipowi było za wiele. - Muszę pójść zbadać twoją wnuczkę - powiedział, kierując się do drzwi. - Jest w bardzo złym stanie. Może nawet nie przetrzymać tej nocy. - W połowie drogi odwrócił się na pięcie i zawołał: - Tylko mi nie mów, że masz nadzieję, że dołączy do rodziny! Tylko mi tego nie mów!

I wtedy znowu usłyszał prawdziwego Warda, z którego opadła aktorska maska. - To ty nie mów, że dołączy do rodziny, bo to nigdy nie nastąpi. Ona nie należy do tego domu. Nie ma w sobie nic z mojej córki.

Przez kilka sekund patrzyli sobie prosto w oczy, a potem Philip odwrócił się i wyszedł z pokoju, zatraskując za sobą dębowe drzwi z taką siłą, że aż zadrżała framuga.

Janie przetrzymała zapalenie płuc. Ale choroba do tego stopnia nadwerżyła jej i tak wątłe siły, że dopiero siedem tygodni później, pod koniec września, po raz pierwszy samodzielnie przeszła się po podwórku. Tam przywitała się z McNabbem, który na jej widok wykrzyknął: - Jesteś balsamem na moje oczy! Mówię prawdę, panno Janie. Spójrz tylko, jak wyrosłaś. Niedługo będziesz taka wysoka jak ja. Skąd ty się wzięłaś taka duża? Jak cię widziałem ostatnio, byłaś małą dziewczynką.

- To musiało być dawno temu, panie McNabb - uśmiechnęła się do niego.

- Pewnie, kilka tygodni temu, ale tobie te tygodnie w łóżku ciągnęły się w nieskończoność - powiedział.

- Ale i tak miło cię znowu widzieć.

- Dziękuję, panie McNabb. Tak miło jest tutaj na dworze. Jestem... zmęczona siedzeniem.

- Och! - Pochylił się nad nią i scenicznym szeptem dodał: - Gdybym tylko mógł sobie trochę posiedzieć. Gdybym mógł. Ale jestem na nogach od samego rana do wieczora. Myślisz, że może pan Carl pozwoliłby mi odpocząć, gdybym go o to poprosił?

- Pan jest bardzo zabawny, panie McNabb - roześmiała się głośno.

Odwróciła się i zobaczyła idącego w ich kierunku Carla.

- Ona mówi, że jestem zabawny, panie Carlu! - krzyknął McNabb. - Naprawdę tak mówi, jestem zabawny.

- A jeśli w tej chwili nie zabierzesz się do roboty

- upomniał go Carl - to za chwilę -będziesz zabawnie wyglądał.

- Sama słyszysz, panienko. Już wiesz, co miałem na myśli mówiąc o siedzeniu? - Potężny Szkot odwrócił się ze śmiechem, a Carl, biorąc Janie za rękę, zapytał:

- Wybierasz się na spacer?

- Gdzie niedaleko.

- Wspaniale wyglądasz.

- Pan McNabb powiedział, że bardzo wyrosłam. Naprawdę tak powiedział. Czy jestem teraz dużo wyższa?

- Tak. Tak, bez wątpienia. Sam bym ci to powiedział. Dopiero teraz to zauważyłem. No, no - odsunął się o krok i stwierdził poważnie - urosłaś jakieś dziesięć centymetrów. Tak, z pewnością nie mniej niż dziesięć centymetrów.

- Czy to dużo?

- W twoim wieku, tak. Ale dokąd się wybieraaś? - dodał szybko. - Na twoim miejscu nie ryzykowałbym spaceru na pola, rosa jeszcze nie opadła.

- Nie, nie zamierzałam iść na pola. Chciałam się wybrać na drogę, tam jest przynajmniej płasko i bezpiecznie. Ciocia Jessie mówi, że wolno mi wyjść za bramę.

- Naprawdę? - W jego głosie słyhać było zdziwienie. Kiwnęła głową twierdząco i ciągnęła: - Tak. Ale powiedziała też, że nie mogę sprawiać kłopotów. A to znaczy, że jeśli spotkam gdzieś dziadka, mam się do niego nie odzywać. Mógłbyś mi powiedzieć, Carl, dlaczego? Pytałam już ciocię Jessie, ale ona mówi, że.... że on nadal cierpi po stracie - zawahała się przez chwilę i przelknęła ślinę: nie była w stanie powiedzieć „mojej matki”, ale taktownie dodała: - swojej córki. Powiedziałam jej, właściwie przypomniałam, że przecież nie odzywał się do mnie również wtedy, gdy ona jeszcze żyła. Nie mogę tego zrozumieć, Carl.

Carl sam zadawał sobie w duchu pytanie, jaką mógłby znaleźć odpowiedź. Bez wątpienia jednak osłabienie chorobą w najmniejszym stopniu nie zmniejszyło jej dociekliwości. Któregoś dnia z pewnością dotrze do sedna sprawy. Ale to nie powinno nastąpić teraz. Była zbyt dojrzała jak na swój wiek. Ale czego można się było spodziewać? Nie miała przecież normalnego dzieciństwa.

Przez cały czas przebywała w towarzystwie dorosłych i słyhała ich gadania. A że miała bystre oczy i słyhała tego, co bynajmniej nie było przeznaczone dla jej uszu, czuła się teraz kompletnie zagubiona.

- Mogę cię o coś zapytać, Carl?

- O co tylko chcesz, Janie.

- Czy w czasie mojej choroby zjawiał się ten miły mężczyzna?

- Miły mężczyzna? - Zmarszczył twarz, zastanawiając się przez chwilę. - Och, chodzi ci o pana Geralda z Hall?

- Tak, z Hall.

- Tak, tak. Przychodził nawet kilka razy i przynosił ci piękne kiście winogron. Jessie nie mówiła ci, od kogo dostałaś winogrona?

- Nie. Wspomniała tylko, że ktoś ją odwiedził i podarował owoce. Ona nie lubi, kiedy mówię... o nim. Kiedy po raz pierwszy zaczęłam o nim opowiadać, stwierdziła, że nie chce tego słuchać, bo okazał się wyjątkowo nieuprzejmy. A moim zdaniem jest bardzo miły.

- Nie dziwię się, że tak uważasz. Zresztą rzeczywiście jest miłym człowiekiem. To właśnie on przyniósł cię do domu tego dnia.

- Och, wiem, ale nie pamiętam, jak mnie niósł.

- Możesz mi wierzyć. - Pochylając się nad nią, dodał: - Tak ci się kręciło w głowie, że nie mogłaś ustać na nogach.

Popchnęła go ze śmiechem i wykrzyknęła: - Och, Carl jak to miło znowu wyjść na dwór! I spacerować o własnych siłach.

Spoglądając na nią pomyślał, że rzeczywiście powinna za wszystko podziękować temu miłemu człowiekowi. Przypomniał sobie drugą wizytę Geralda i ich rozmowę w stodole. Obydwaj rozmawiali bardzo szczerze. I całym sercem wierzył, że ten młody mężczyzna dotrzyma słowa i spełni swoją groźbę, jeśli dziewczynka znowu zostanie uwięziona. O tak, on się tym rzeczywiście przejmował, a rezultaty były już widoczne. Jego zdaniem, istniała tylko jedna poważna przeszkoda na drodze tej nowej wolności: no, bo co się stanie, jeśli mała przypadkowo spotka się z Wardem i wprost zapyta, dlaczego z nią nie rozmawia i dlaczego udaje, że jej nie zna... Ale dość już zamartwiania się na zapas. Dzisiaj jest piękny dzień i dziewczynka jest szczęśliwa. Zresztą nietrudno było zauważyć, że od dnia pogrzebu panny Angeli atmosfera na farmie była zdecydowanie radośniejsza. No, może wyjątkiem był Ward, który stał się posepniejszy niż zwykle.

Carl wyobrażał sobie, że teraz, gdy Ward nie musiał już poświęcać całego czasu córce, wróci jego dawne zainteresowanie sprawami farmy. Ale pomylił się. Ward rzadziej wychodził z domu, a całe godziny spędzał w swoim salonie lub sypialni. Czy to możliwe, że również jego umysł toczył jakiś robak?

Niemniej jednak pracy w gospodarstwie było zdecydowanie mniej i dzięki temu Patsy była w znacznie lepszym nastroju. Z początku zamartwiała się wojną, ponieważ Carl, mając trzydzieści sześć lat, był ciągle w wieku poborowym. Ale prowadził farmę, a żywność była teraz bardzo potrzebna, więc na razie traktowano to jako zawód uprzywilejowany. Nie martwił się o siebie, ale istniało realne niebezpieczeństwo, że Rob może zostać powołany do wojska. Pierwszy powiew patriotyzmu rozwiał się niezauważalnie, dopiero kolejne doniesienia o bestialstwie Niemców, bagnetami zabijających dzieci, powtórnie obudziły

poczucie obowiązku wobec ojczyzny. We wsi pojawili się również trzej bohaterowie, niestety, wszyscy martwi. Mike przekazał mu, że wśród mieszkańców wsi rodzi się wyraźna wrogość w stosunku do Geralda, który otwarcie stwierdził, że w żadnym wypadku nie chwyci za broń. Nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości. A tego właśnie, pomyślał Carl, nie powinien był robić, bo jedynym wyjściem z sytuacji było niezabieranie głosu w tej sprawie. Dostatecznie długo mieszkał w tej okolicy, zanim na dłużej wyjechał, żeby nie wiedzieć, jak wieśniacy reagują na indywidualny protest. Oczywiście, że był tego świadomy. Czyż nie dlatego wyjechał, że wtedy, w kościele, ośmielił się poprzeć prawdę? Jak by na to nie patrzeć, był głupcem, bo jasno przedstawił swoje stanowisko, a ludzie, którzy ze względów sumienia uchylają się przed wojskiem, i tak przejdą swoje piekło.

- Którędy chciałybyś się przejść? - zapytał Janie, gdy wyszli już za bramę.

- Tędy - powiedziała, wskazując na drogę.

- Gdybyś wybrała się na długi spacer, mogłabyś tędy dotrzeć do wsi - objaśnił jej spokojnie, pochylając się nad nią. - Ale chyba nie wybierasz się tak daleko?

Spojrzała na niego i obiecała: - Nie, nie, Carl. Nie pójdę do wsi. Tam ludzie nie są zbyt mili. Nie, po prostu przejdę się kawałek, a potem wrócę. Obiecałam cioci Jessie.

Widząc jak odchodzi, Carl pomyślał: oto dorosły duch w młodym ciele. I zadał sobie pytanie, czy ten dorosły duch zdoła stawić czoło przyszłości, szczególnie że dla niej ta przyszłość może być wyjątkowo trudna.

Księga trzecia

1916-1921

Część pierwsza

Rozdział pierwszy

W lutym 1916 roku Ministerstwo Wojny przesłało pocztą formularz numer W.3236, stwierdzający, że adresat jest zobowiązany do wstąpienia do jednego z oddziałów sił zbrojnych. W przypadku, gdyby powyższe formalności nie zostały dopełnione, zostanie uznany za dezertera. Wymagane jest osobiste stawienie się przed oblicze lokalnej komisji poborowej lub przesłanie dokumentów uprawniających do zaniechania tego obowiązku. Wyjaśniono jednocześnie, że zwolnienie ze służby wojskowej musi być poparte zaświadczeniem wystawionym przez miejscowy trybunał, przed którym należy się stawić.

W listopadzie 1915 roku Gerald już stawał przed trybunałem, utworzonym - jak się przekonał - przez miejscowych ludzi interesu, począwszy od dyrektora banku, a skończywszy na rzeźniku. Zasiadały w nim również kobiety, które po jego uczciwym stwierdzeniu, że uchyła się od służby wojskowej z powodów religijnych, zadawały wyjątkowo zgryźliwe pytania. Udało mu się jednak wykazać, że jest dostawcą żywności dla społeczeństwa. I chyba tylko dzięki temu, i współczuciu, jakie wywołał u dwóch członków trybunału, dostał trzymiesięczne odroczenie.

Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że w jakimś sensie było to tylko kwestią szczęścia, ponieważ jego niechęć do wojska w rzeczywistości nie brała się z czysto religijnych pobudek, a wielu poborowych po prostu usiłowało chronić swoją skórę zasłaniając się szczytnymi ideami. Tak więc podejrzliwość władz, zakładających, że człowiek uchylający się od służby z powodów religijnych może mieć jakieś inne powody, była całkowicie zrozumiała.

I właśnie to usiłował wytłumaczyć swojej matce. - Ja ich nie winię - odparła. - Ale błagam cię, Geraldzie, zrób, o co cię proszę. Zrób to dla mnie, bo inaczej skończysz w więzieniu.

- Jestem tego świadomy, mamó.

- Och, nie mów tak. - Zacisnęła oczy i odwróciła się od niego. - Właśnie opowiadałeś mi, przez co przechodzą w więzieniu podobni do ciebie. Trudno mi było w to uwierzyć, ale odkąd w gazecie zamieszczono raport jednego z

żołnierzy... No cóż, powinieneś się nad tym zastanowić, bo z pewnością tkwi w tym przynajmniej ziarenko prawdy.

- To szczerą prawdą, mamó. Niektórzy strażnicy i żołnierze traktują tych ludzi gorzej, niż zrobiliby to Niemcy. Niemców nazywają barbarzyńcami, a nie biorą pod uwagę czynów naszych dzielnych Anglików. Tak, to prawda, że ci, którzy nie chcą służyć w wojsku, są zakuwani w kajdany, niekiedy bici do nieprzytomności i poniżani tak, że doprawdy trudno to sobie wyobrazić, i to tylko dlatego, że nie chcą przyczynić się do tego barbarzyństwa. Moim zdaniem, mamó, ci ludzie są bohaterami.

- Więc ty też chcesz być bohaterem?

- Nie, nie chcę. Ja jestem ulepiony z innej gliny.

- No, to dlaczego nie zrobisz tego, o co cię proszę? Jakiś czas temu sam mi mówiłeś, że nie miałbyś nic przeciwko prowadzeniu ambulansu, nawet pod ostrzałem. Przecież mógłbyś wstąpić do ochotniczej jednostki transportu sanitarnego, bo wspominałeś, że Czerwony

Krzyż przyjmuje ludzi odmawiających służby z powodów religijnych.

Gerald westchnął głęboko i opadł na krzesło. - To.... zbyt łatwe.

- Łatwe? Jeśli mam wierzyć Arthurowi, to właśnie oni dostają najwięcej zadań i wysyłani są do Francji, i w ogóle wszędzie.

- Co Arthur Tollet może o tym wiedzieć? Przez całe życie służył w armii.

- Tak, to prawda, ale on ma bardzo szerokie horyzonty. I... i chociaż to może być poczytane za zdradę, to muszę ci powiedzieć, że ma inne poglądy niż twój ojciec. - Podeszła do niego, opadła na kolana i biorąc go rękę powiedziała: - Zrób to dla mnie, proszę cię. Jestem już wykończona zamartwianiem się o ciebie.

Pochylił się nad nią i ujął jej twarz w dłonie. - A ja jestem wykończony denerwowaniem się o ciebie. Co zrobisz, jeśli teraz wyjadę? McNamara w żadnym wypadku nie będzie w stanie sam wszystkiego dopilnować.

- Ja... ja mu pomogę. Jestem o wiele silniejsza niż na to wyglądam. Tak długo, jak długo nie muszę się martwić, że jesteś w więzieniu i...

Westchnął głęboko. - No, już. W porządku. Pozwól, że jeszcze raz spojrzę na ten formularz. - Poderwała się z podłogi, podbiegła do stojącego obok kanapy stolika i wróciła z kartką papieru.

Usiadł i zaczął czytać na głos: - Ja, niżej podpisany, i tak dalej, i tak dalej, wstępując do ochotniczej jednostki transportu sanitarnego, zgadzam się przestrzegać wszystkich zasad, uprawniających mnie do korzystania z opieki Konwencji Genewskiej, oraz podporządkować się regulaminowi i rozkazom wydawanym mi przez oficerów lub komitet, pod warunkiem, że nie będę

namawiany do wstąpienia do wojska, a moje przekonania religijne będą respektowane.

- To służba ambulanseryjna - odezwał się, patrząc na matkę - a wymagają, żeby przestrzegać form przyjętych w wojsku i noszenia munduru, w który samemu trzeba się wyposażyć. Trochę to dziwne. Oni zapewniają jedzenie i mieszkanie oraz zwracają koszty podróży. Jak to miło z ich strony. - Znowu na nią zerknął i dokończył czytanie tekstu. - Powyższe obowiązki niżej podpisany powinien pełnić do zakończenia wojny, ale przysługuje mu prawo zwolnienia ze służby po upływie sześciu miesięcy. - Pokiwał głową ze zrozumieniem i spoglądając na matkę powiedział: - Co w moim przypadku równałoby się z powołaniem do jakiejś innej jednostki sił zbrojnych... Och, mamo.

Patrzyła na niego z takim bólem w oczach, że musiał ją jakoś pocieszyć. - Już dobrze. No, już dobrze. Daję ci słowo, zgłoszę się tam. Ale wiesz co? Jesteś gorsza niż jakikolwiek trybunał. Tam mógłbym stanąć do walki twarzą w twarz, ale nie mogę znieść twojego żalosego spojrzenia. - Pomógł jej wstać i obejmując ją ramieniem przyznał: - Nie jestem wart, żebyś się przeze mnie zamartwiała, moja droga. Naprawdę nie. W głębi ducha mam wrażenie, że nie warto dać za mnie złamanego szeląga. Jedynie moje tak zwane zasady wydają się całkowicie prawdziwe. A mnie po prostu chodzi o to, że mierzi mnie myśl o wbijaniu komuś bagnetu w brzuch. Już dobrze! Już dobrze! Wiem, że ta rozmowa staje się zbyt koszarowa dla ciebie, a ja przecież jeszcze nie wstąpiłem ani do wojska, ani do korpusu, czy czegokolwiek innego.

- Jednostki, kochanie, pokojowej jednostki - powiedziała z uśmiechem.

- Pokojowej? Boże! - Pokręcił głową, a potem zapytał: - Ile czasu dajesz mi na złożenie podpisu w tym wykropkowanym miejscu?

- Nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny, kochanie.

- Chyba żartujesz!

- Absolutnie nie. Z tego, co dowiedziałam się od Arthura, wynika, że następnym razem będziesz musiał stanąć przed inną komisją, już nie lokalną, a wtedy z pewnością już nie dostaniesz odroczenia na następne trzy miesiące. I, o Boże! Już sama myśl o tym wprawia mnie...

- Uspokój się, uspokój, moja droga. Mam przecież dwadzieścia cztery godziny. Jak mogę je wykorzystać?

- Odwrócił się od niej i podszedł do jednego z wysokich okien wychodzących na taras, a po chwili zdecydował:

- Upiję się, po prostu urznię się w trupa, zaleję się w pestkę.

- Nie mamy już tyle wina w piwnicy, kochanie.

- A kto tu mówi o piwnicy? Pójdę do wsi i tam zaszaleję, żeby mnie zapamiętali. Pewnie skończę w areszcie i będziesz musiała zapłacić za mnie kaucję.

- Dobrze, kochanie - uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie - ale nie przed obiadem. Nancy ma dzisiaj wolne, więc nie zmuszaj kucharki, żeby biegła w tę i z powrotem z jadalni do kuchni. Poczekaj z tym, aż skończymy posiłek.

Pogłaskała go po policzku i z uśmiechem wyszła z pokoju. Ponownie wyjrzał przez okno, błędząc wzrokiem po tarasie, podjeździe i tej części ogrodu kwiatowego, którą udało im się uporządkować. Teraz był opustoszały, ale wiedział, że w ziemi tkwi niezliczona ilość nasion, bulw i młodych sadzonek, które rozkwitną z nadejściem wiosny, dając dobre plony. Potem przeniósł wzrok nieco dalej, za wysoki żywopłot przesłaniający ich główne miejsce pracy, teraz wypełnione rzędami jasnozielonych główek zimowej kapusty i brukselki. A potem na składowisko, w którym trzymali skrzynki z marchewką i pasternakiem, przygotowane na sobotni targ. W żołądku poczuł dziwny ciężar, który po chwili podszedł do piersi i dalej do gardła. Odwrócił się czując, że ten ciężar w każdej chwili może uwolnić z oczu łzy.

Dopiero w tej chwili uświadomił sobie, jak bardzo będzie tęsknił za pracą na roli, za domem i matką. I tak, za malutkim gościem, który niekiedy go odwiedzał, i to nie tylko w chacie drwała, ale również w tym domu. Niepokoiło go, że czuje się za nią odpowiedzialny. A już na pewno za jej przyszłość.

* * *

Cielę zostało sierotą. Krowa, która zdechła zaraz po wycieleniu, zostawiła po sobie słabowite cielę, które jeśli miało przeżyć, powinno być karmione co cztery godziny. I Janie wzięła na siebie część związanych z tym obowiązków.

Cielaczek został umieszczony w malutkim boksie na samym końcu długiej obory. Carl wytłumaczył jej, że zwierzątko, słysząc głosy innych krów, tam będzie się czuło pewniej. Teraz leżało na posłaniu ze słomy, a dwie lampy zawieszane na ścianie obory zapewniały mu stałe ciepło.

Janie siedziała teraz w boksie, opierając się plecami o ściankę działową, i łagodnie przemawiała do leżącego obojętnie cielątka: - Chodź tutaj, zobaczysz, będzie ci to smakować.

Widząc, że cielę poruszyło głową, wycisnęła ze smoczka kilka kropli, a skropiony mlekiem palec wsunęła mu do pyska. Zaczęło nieśmiało ssać, a wtedy, lekko odchylając mu łeb, zręcznym ruchem włożyła smoczek.

- No już. Wypij to wszystko, a zobaczysz, że wyrośniesz na dużą dziewczynkę, albo - uśmiechnęła się - na dużą krowę.

Kiedy butelka była już do połowy opróżniona, usłyszała Mike'a, rozmawiającego z kimś nieznanym.

- Proszę zobaczyć - powiedział - jak długa jest ta obora. Mamy tu wiele roboty, a tylko połowę potrzebnych nam ludzi. Tak więc nie możemy sobie pozwolić na utratę jakichś rąk do pracy.

Teraz odezwał się głos, którego nie potrafiła zidentyfikować. - Wygląda na to, że jesteś tutaj całkiem bezpieczny.

- Tak samo jak wszyscy pozostali, panie.

- O ile dobrze zrozumiałem, twój syn również tutaj pracuje.

- Tak, ma pan dobre informacje, ale on już przekroczył czterdziestkę. Tak więc, fatygował się pan na próżno. Tutaj nie ma kogo werbować.

- Niezupełnie, niezupełnie. Wczoraj zaciągnęło się czterech ze wsi.

- Ha! Założę się, że byli nieźle pijani.

Janie usłyszała, jak głos nieznanego teraz przeszedł w śmiech. - No, może nie całkiem, ale to z pewnością pomogło. Ale w ogóle, to ciekawa ta twoja wieś.

- To nigdy nie była moja wieś, panie.

- Nie? Nie wydaje mi się, żebyś się tym przejmował.

- Ma pan rację, całkowitą rację.

- No, gdyby wierzyć wszystkiemu, co opowiadają w gospodzie, to nie ma mowy o miłości z wzajemnością. Ale! Plotą duby smalone. Chociaż przypuszczam, że coś w tym musi być, bo wszyscy powtarzali, że nieszczęścia zaczęły się wtedy, gdy twój pan porzucił dziewczynę ze wsi i ożenił się z jakąś tancerczką z Newcastle. Mieli rację?

- Częściowo, panie. Ona nie była tancerczką, była damą.

- Och! Ale porzucił kogoś?

- Niewiele o tym wiem. Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem: jego żona była damą.

- No, a czy to prawda, że to porzucona podpaliła mu dom?

- Nie podpaliła domu, tylko pole.

- Och, tylko pole. Mówiłem już przecież, że we wsi opowiadają niestworzone historie. Nawet to, że potem kamieniem z procy zabiła jego żonę, to znaczy... tę tańczącą damę. Roześmiałem im się w nos, ale przysięgali, że to prawda.

Przez chwilę w oborze panowała cisza, dopiero po chwili nieznanomy głos odezwał się znowu. - Mówią, że on wpakował ją do szpitala wariatów, gdzie jest do tej pory.

Ponieważ Mike i tym razem nie odpowiedział, nieznanomy zniżył głos do szeptu. - Jeżeli to, co potem usłyszałem, nie jest prawdą, to nazwę ich bandą wszawych kłamców. Twierdzili, że trzech kompanów ze wsi zgwałciło jego

córkę, piętnastoletnią dziewczynkę, która później urodziła dziecko. Teraz ta mała dziewczynka ma chyba.... No, ale twoje milczenie chyba potwierdza, że w tym gadaniu jest trochę prawdy. Mój Boże! Mogę tylko dodać, że własnymi rękoma pomógłbym ojcu tej dziewczynki drzeć z nich pasy. Ale poradził sobie i ukrzyżował ich na tęczy w kościele. Powinien był ich zastrzelić. Ale coś ci powiem. Nie podobała mi się ta wieś. Wiesz przecież, jestem sierżantem i zajmuję się rekrutacją, więc biorę, co mi wpadnie w ręce, ale tutaj od samego początku coś mi śmierdziało. Oni wszyscy są jacyś dziwni. Lepiej czuję się mieście. I naprawdę nawet w połowie nie wierzyłem w to, co mi opowiadali. Ale z twojego milczenia wnioskuję, że i tak prawie o niczym nie miałem pojęcia. To dziecko nigdy się nie dowie, skąd pochodzi, prawda? I oni mieli chęć opowiadać o okrucieństwie tych cholernych Niemców i o tym, co Niemcy robią z kobietami w Belgii! No, ale widzę, że niewiele więcej od ciebie się dowiem. Zresztą i tak wieczorem wyjeżdżam i wcale nie będę płakać z tego powodu. Ale dziękuję, kolego, za oprowadzenie mnie po farmie. I trzymam cię za słowo, że całe gospodarstwo prowadzone jest przez starych dziwaków.

Któryś z nich wybuchnął śmiechem, a potem słychać było odgłos zamykanych drzwi obory. Pusta butelka wypadła Janie z dłoni i potoczyła się na słomę. A ona siedziała w bezruchu, wpatrując się w przeciwległą ścianę...

Nawet po pewnym czasie jej samej trudno było ocenić, jak długo tak trwała, ale z pewnością oprzytomniała dopiero wtedy, gdy dotarł do niej głos Jessie. - Kochanie, czy ty zasnąłaś?

Odwróciła się w jej kierunku i zobaczyła Jessie stojącą przy wejściu do boksu. Nie odpowiedziała, próbowała tylko rozprostować zdrętwiałe nogi. A gdy poczuła, jak dłonie Jessie unoszą ją do góry, zamruczała: - Tak, tak. Chyba masz rację.

Jessie pochyliła się i sięgnęła po pustą butelkę. - Wszystko wypite. I cielaczek lepiej wygląda. No, chodź już.

Gdy szły przez oborę, Jessie nachyliła się do niej i powtórzyła: - Chyba naprawdę zasnąłaś. Wyglądasz, jakbyś była mało przytomna. Dobrze się czujesz? Nie jesteś zmęczona?

- Nie - zaprzeczyła Janie, powoli kręcąc głową - to chyba z... gorąca.

- Tak. Tak, pewnie dlatego się zdrzemnęłaś. Napijesz się teraz herbaty. Upiekłam trochę twoich ulubionych ciasteczek.

Janie wlała w siebie filiżankę herbaty i zmusiła się do zjedzenia ciastka. - Czy dzisiaj rano muszę mieć lekcję historii? Mogłabym... pouczyć się trochę później.

Jessie przyjrzała jej się uważnie. - No, właściwie już odrobiłaś angielski i geografii - dumiała. - Tak, sądzę, że historię mogłabyś mieć nieco później. Ale co byś chciała robić zamiast tego?

- Chciałabym... chciałabym iść na spacer.

Jessie długo się nie odzywała. W ostatniej chwili pohamowała się przed postawieniem zakazu: „Mam nadzieję, że nie wybierasz się do Hall. Nie powinnaś im się narzucać”, ponieważ знаła już wyraz twarzy Janie, jaki wywoływały takie słowa. Wydawało się, że w takich sytuacjach dziewczynka natychmiast myśli o ucieczce. A ona nie chciała, aby jej dziecko, bo tak nadał o niej myślała, jeszcze raz od niej uciekło, gdyż fakt, że poprzednim razem jej nie ukarała, bardzo je do siebie zbliżył. Niemniej jednak martwiły ją kontakty dziewczynki z tym mężczyzną, który nie dość, że miał skandaliczne pomysły, to na dodatek mówiono, że ze względów religijnych odmawia służby wojskowej. Och, z całego serca życzyła mu, żeby mimo wszystko go powołano, bo dopiero jego nieobecność w naturalny sposób przerwałaby ten związek.

- Ale nie odchodź nigdzie daleko, dobrze? Wiesz, że ciągle jeszcze jesteś osłabiona.

- Nie zmęczone się, ciociu Jessie. Będę szła powoli.

- Dobrze, ale musisz się lepiej ubrać. Chodź i włoż ciepleszy płaszcz i wełnianą czapkę.

Teraz pomagała Janie otworzyć drzwi wejściowe i w końcu okręciła jej szyję wełnianym szalikiem i podała rękawiczki. - Wróc niedługo, kochanie - powiedziała, pochylając się, aby ją pocałować w policzek. - Wkrótce będzie obiad.

Janie odpowiedziała jedynie uśmiechem, po czym odwróciła się i wyszła z domu, przeszła przez podwórze i skierowała się na drogę, którą dotarła aż do przełazu. Przeszła skrajem pola, podciągnęła się na niski kamienny murek, przerzuciła nogi na drugą stronę i przez łąkę doszła do lasu. Po drugiej stronie zarośli ominęła kolejne pole i w końcu dotarła do gospodarstwa, skąd dalej szła wzdłuż szeregu szklarni. Zatrzymała się, widząc Geralda pogrążonego w poważnej rozmowie z McNamarą. Ale to właśnie McNamara wskazał ją ręką i za chwilę miała go przy sobie... swojego miłego mężczyznę. - Skąd się tu wzięłaś? - zapytał. - Co za zbieg okoliczności, bo właśnie się do ciebie wybierałem.

- Naprawdę?

- Tak, tak. Chciałem... chciałem ci coś powiedzieć. Ale chodź ze mną do domu.

Nie ruszyła się z miejsca, tylko cichutko poprosiła:

- Czy... nie moglibyśmy najpierw iść do chatki? Przez chwilę patrzył na nią uważnie. - Tak, tak.

Oczywiście, jeśli tylko sobie tego życzysz. - Tak więc zarośniętą ścieżką pomaszrowali ramię przy ramieniu w stronę domku. Otoczenie chatki było już wyczyszczone z wilgotnej trawy i chwastów, a drzwi tkwiły na porządnym zawiasach. Pchnął je i oboje znaleźli się w środku. Zamknął drzwi i trzęsąc się z zimna zauważył: - Nie możemy tu zostać zbyt długo, bo zamarzniesz. Ale na razie usiądź na chwilę.

Przeszli do drugiego pomieszczenia, z którego zniknęło już łóżko. Okno zostało naprawione, a patrząc na liczne drewniane skrzynie można się było domyślać, że pomieszczenie służyło jako magazyn.

Usiadła na jednej ze skrzyń, a on podsunął sobie następną, aby zasiąść naprzeciwko. - Coś się stało - zapytał, pochylając się ku niej.

- Ja... ja nie wiem. To znaczy, tak, coś się stało. Ale to musiało się wydarzyć wiele lat temu. Wiele strasznych rzeczy wydarzyło się jakiś czas temu. I dlatego ja - przerwała na chwilę i kiwając głową dokończyła: - jestem.

- Mówisz samymi zagadkami - powiedział spokojnie.

- Co się stało?

Widział, jak pochyliła głowę, a dłonie wsunęła pomiędzy kolana - nieomylny znak jej wielkiego zafrasowania. Dopiero potem zaczęła swą opowieść. - Byłam właśnie w oborze - powiedziała - bo mamy chore cielątko i ja je karmiłam. Nikt mnie nie widział, bo byłam za przepierzeniem. Nagle wszedł Mike. Poznałam go po głosie, ale nie domyślałam się, z kim rozmawiał. Teraz już wiem, że to jeden z tych ludzi, którzy zajmują się rekrutacją do wojska. W każdym razie, tamten człowiek był w gospodzie we wsi i słyszał różne rzeczy, w które nie uwierzył lub wierzył tylko częściowo. Więc wypytywał Mike'a, co jest prawdą, a co nie.

Podniosła głowę i patrząc mu w oczy stwierdziła:

- Teraz już wiem wszystko. Dlaczego... dlaczego jestem samotna, dlaczego zawsze byłam samotna i dlaczego, gdy kiedyś zapytałam ciocię Jessie, gdzie jest mój ojciec, jeśli mama choruje, ona wrzasnęła na mnie: „On umarł! On umarł! Słyszysz? On umarł!” A teraz wiem, że chciałabym, żeby on nie żył, bo i tak nie wiem, kim jest, prawda?

Słowa, które kołatały mu się po głowie, można było określić jedynie jako bluźnierstwa. Patrzył jej w oczy, chociaż jego największym pragnieniem było odwrócić się i odejść, lub krzyknąć tak jak Jessie, tyle że nie powiedziałaby: „On nie żyje! On nie żyje!”, ale: „To nie ma żadnego znaczenia, kim jest twój ojciec! Tylko ty się liczysz, a ty jesteś wspaniałą małą dziewczynką, która szybko rośnie i wkrótce stanie się cudowną dorosłą dziewczyną.” O mój Boże! Co ma jej

powiedzieć? To nie jego rola. Ta sztywniaczka powinna była jakoś ją do tego przygotować.

No, dobrze, ale w jaki sposób miała zdradzić tę tajemnicę temu myślącemu dziecku? Ależ nie, ona nie jest już dzieckiem, ona nigdy nie była dzieckiem. Nigdy nie pozwolili jej być dzieckiem. Była inteligentna i potrafiła tę inteligencję wykorzystywać. Rozwijała się w szkole dla dorosłych, pozbawiona miłości albo obdarzona miłością skażoną strachem. Wyciągnął dłonie i wziął ją za ręce.

- To nie ma żadnego znaczenia, kto jest twoim ojcem - powiedział łamiącym się głosem; nie był w stanie dodać: „który z nich trzech jest twoim ojcem” - ponieważ ty sama jesteś wyjątkowym stworzeniem, nie tylko dla twojej ciotki, ale... ale dla mnie również. Tak, dla mnie też. - Pokiwał głową. - Pamiętaj o tym. - Czując, że jest to doskonały moment, aby odwrócić jej uwagę od terażniejszości, dodał: - Od jutra możemy się długo, bardzo długo nie widzieć... Wyjeżdżam za kilka godzin.

- Nie! Nie! - Poderwała się na równe nogi i kolanami dotykając jego kolan, ciągle trzymając go za ręce, przytuliła się do niego i wykrzyknęła: - Nie! Nie! Och, proszę, niech pan nie wyjeżdża. Tylko pan mi pozostał.

- Ja... muszę, kochanie. Nie wstępuję do wojska, ponieważ chyba już ci mówiłem, że jestem przeciwny zabijaniu, ale... ale są takie zadania, których inni nie chcą wykonywać.

Zamknęła oczy i z rozpaczą kręciła głową. - Nikt już nie pozostał. Nikt.

- Spójrz na mnie. Napiszę do ciebie, a ty mi odpiszesz, a poza tym musisz nadal do nas przychodzić i opiekować się moją matką. Ona bardzo cię lubi, więc od czasu do czasu mogłabyś dotrzymać jej towarzystwa.

- Ona nie jest panem. Nie mogę z nią tak rozmawiać jak z panem. Tylko z panem mogę tak rozmawiać. A teraz, kiedy znam tę okropną tajemnicę, to już chyba z nikim nie będę mogła rozmawiać.

- Posłuchaj, coś ci powiem. To wszystko jest przeszłość, teraz musisz już walczyć tylko ze sobą. Chodzi mi o to...

Przerwała mu, niecierpliwie kręcąc głową. - Wiem, o co panu chodzi. Uważa pan, że nigdy się tego balastu nie pozbędę... a ja o tym już wiem.

- Myślałem o czymś zupełnie innym. Kiedy dorośniesz, zdrowy rozsądek podpowie ci, że po prostu musisz się z tym pogodzić. Nie można zmienić siebie. Jesteś dokładnie tym, kim jesteś - przerwał na chwilę - czyli bardzo urodziwą osobką.

Przytulił ją mocniej, ale gdy poczuł, że cała drży, odsunął ją delikatnie i odezwał się: - No, już, już. Nie chcę widzieć żadnych łez. Nie chciałbym zapamiętać cię z mokrą twarzą.

- Widząc jak bezradnie mruga, pochylił się nad nią i złożył na jej czole delikatny pocałunek. Ale gdy objęła go za szyję, mocno zacisnął usta i wyprostował się. - Chodź już. Musimy iść zobaczyć się z moją matką.

Przerwała mu gwałtownie: - Nie, nie. Proszę, nie teraz. A poza tym obiecałam, że zaraz wrócę. Ale będę ją odwiedzać. Tak, z pewnością niedługo do niej przyjdę, bo ona będzie wiedziała, co pan robi. Czy... pan do mnie napisze?

- Oczywiście, że do ciebie napiszę. I spodziewam się długich odpowiedzi.

- Nigdy do nikogo nie pisałam listów, ale jestem dobra z pisania.

- Więc na mnie musisz poćwiczyć pisanie listów. Byli już na zewnątrz chaty, kiedy zaproponował:

- Odprowadzę cię do przełazu.

- Nie, nie - zaprotestowała. - Tutaj się pożegnamy. Tak... będzie lepiej. Tak, z pewnością tak będzie lepiej, bo tutaj spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nie licząc tego razu przy murze.

- A więc do widzenia, kochanie - wyciągnął do niej dłoń.

- Do widzenia - odparła, podając mu rękę, po czym odwróciła się i odeszła. A on obserwował ją aż do chwili, gdy zniknęła w zaroślach.

Powoli udał się w stronę Hall. Opowiadając matce o całym zdarzeniu, poprosił ją: - Mogłabyś trzymać nad nią pieczę, moja droga? Zapraszaj ją do nas. Zachęcaj do rozmowy - uśmiechnął się - ale tylko o mnie.

- Możesz się o nią nie martwić - powiedziała, całując go. - Zaopiekuję się nią. A może obie będziemy mogły się pocieszać po twoim wyjeździe. Och, mój drogi, co ja bez ciebie zrobię?

A on odparł: - Już ci mówiłem, moja droga, że znacznie większym problemem jest to, co ja zrobię bez ciebie - a w myśli dodał „i bez niej.”

Rozdział drugi

W końcu pierwszy list, który wysłał, wcale nie był skierowany ani do matki, ani do Janie, tylko do Jessie. Napisał go wieczorem, w dniu poprzedzającym wyjazd. W zasadzie była to krótka wiadomość o tym, że jej siostrzenica odkryła tajemnicę swego pochodzenia. Zajmując się chorym cielakiem przypadkowo podsłuchiwała rozmowę jednego z pracowników z wojskowym prowadzącym rekrutację do armii. „Jeśli sama o tym nie wspomni, postąpiłaby Pani bardzo nierozsądnie dając jej do zrozumienia, że Pani o tym wie” - zakończył autorytatywnie. „Bez wątpienia taka okazja nadarzy się kiedyś w przyszłości, gdy dziewczynka będzie bardziej dojrzała, aby zrozumieć tę sytuację.”

Doskonale zdawał sobie sprawę, że z pewnością ten list rozwścieczy Jessie, ale stracił już do niej cierpliwość, a poza tym miał jej za złe długoletnie izolowanie dziecka.

Kolejny list zaadresował do matki i wysłał go z Birmingham. Pisał, że stacjonuje w obozie położonym w pobliżu wsi i odbywa ćwiczenia. List utrzymany był raczej w radosnym nastroju. Podobnej treści, ale nieco krótszy list wysłał do Janie. I ten kończył się wesołą informacją, że jego sympatyczni dowódcy wyślą go do Londynu na przepustkę, ale zapewne nie będzie miał pieniędzy na jakiegokolwiek przyjemności.

Następną wiadomość jego matka dostała ze szpitala w Richmond, ale tym razem nie udało mu się ukryć swych uczuć, ponieważ był wyraźnie poruszony bezsensownymi cierpieniami leżących tam ludzi.

Od samego początku Gerald był świadomy, że przejdzie twardą szkołę, mimo że należał jedynie do ochotniczej jednostki transportu sanitarnego. I wcale nie chodziło mu o sposób, w jaki był traktowany, czy obowiązki, jakie na niego nakładano, ale o te niezliczone ilości pokiereszowanych ciał wypełniających szpitalne oddziały. Czuł się chory i śmiertelnie przerażony widokiem przedłużającej się agonii okaleczonych, pozbawionych kończyn ciał, oraz wewnętrznie rozdarty z powodu bezimiennej odwagi, która tym ludziom kazała walczyć o życie. Ale równie wielu poddawało się i tym był wdzięczny, że zakończyli swą mękę. Poza wszystkim, najtrudniej mu było ukryć gniew z powodu bezsensownego poświęcania istnień ludzkich i frustrację, że on sam nic nie może na to poradzić. Na razie jednak czyścił latryny, a na dłoniach porobiły mu się rany od chloru. W ogóle miał dość mężczyzn en masse.

Zostali zakwaterowani poza terenem szpitala, w nieogrzewanych chatkach, gdzie zaprzyjaźnił się z dwoma mężczyznami ze swojego oddziału, którzy myśleli podobnie jak on. Jednakże szybko odkrył, że nawet w tym towarzystwie

nie wszystko można mówić, ponieważ któregoś dnia ostrzeżono go, że jeśli nie przestanie ujawniać swoich poglądów, to zanim się zdąży obejrzeć, już wyląduje gdzieś za oceanem.

- Czy może nie chcesz służyć w wojsku z powodów religijnych? - Gerald pytał drwiąco. A w odpowiedzi słyszał jedynie: - Idź do diabła!

Któregoś dnia, kiedy jechał na salę operacyjną, aby stamtąd zabrać do krematorium pokrwawione prześcieradła i ludzkie szczątki, zauważył kobietę, która już wcześniej kogoś tutaj odwiedzała. Widząc, że zbliża się do wyjścia, skierował się w tamtą stronę, aby otworzyć jej drzwi. Nagle poczuł, że chwyciła go za rękę i odezwała się przejmującym głosem: - Pańska uprzejmość nie może ukryć tchórzostwa. Tam właśnie jest mój syn, dał się rozerwać na strzępy, aby chronić takich jak pan. Gdybym tylko mogła, zrobiłabym z wami porządek. A to jest moja ocena. - I napluła mu w twarz.

Poruszył się dopiero, gdy zamknęły się za nią drzwi. Czuł się tak, jakby odpłynęła z niego cała krew. Nazywano ich tchórzami i naprawdę czuł się jak tchórz. Miał wrażenie, że coś w nim umarło. Kiedy ruszył przed siebie, nogi się pod nim uginały i chwiały się, jakby był pijany.

Ten incydent dotknął go w najwyższym stopniu. Nie tylko uświadomił mu, kim jest i dlaczego tak postępuje, ale również ukazał mu, jak postępek jednej osoby, coś, na co trzeba tylko kilku sekund, może mieć wpływ na życie innych ludzi, a w jego przypadku na kolejne trzy lata życia.

Rozdział trzeci

W końcu 1917 roku Janie dostała od Geralda list, w którym donosił jej, że obecnie znajduje się we Francji, z czego jest bardzo zadowolony, ponieważ dopiero tutaj widzi przydatność swojej pracy. I prosił ją, żeby w swoim liście opisała mu, co się dzieje w gospodarstwie, ponieważ matka nie podaje mu zbyt wielu szczegółów. Czy naprawdę dobrze się czuje i nie choruje? Zakończył już w pogodniejszym tonie: „Zanim zajmę się czymś pożytecznym, wpadnę najpierw do Paryża i dzisiaj wieczorem zjem obiad na Champs-Elysees, a potem może wybiorę się do opery. Albo postaram się rozerwać w jakiś inny sposób. Wszystko zależy od mojego nastroju. Bądź dobrą dziewczynką, a z pewnością któregoś dnia zabiorę cię do Francji, oczywiście najpierw pokażę ci te wszystkie piękne miejsca w Londynie.” Podpisał się jak zwykle: „Miły człowiek, Gerald”.

Jessie obserwowała ją czytającą list, usilnie próbując zapomnieć o nadziei, że może któregoś dnia te listy przestaną przychodzić, bo przecież na wojnie zdarzają się różne straszne rzeczy. Jak mawiał McNabb, wystarczyło spojrzeć do gazety. Sam miał na to dowód: jego wnuk właśnie został odesłany ze szpitala skrócony o jedną nogę i część ramienia. W czasie rekonwalescencji próbowano nauczyć go chodzenia, ale ponieważ amputacji dokonano po obydwu stronach, okazało się, że nie jest w stanie utrzymać równowagi. A teraz resztę życia miał spędzić w fotelu na kółkach, a renta mogła go uchronić jedynie przed śmiercią głodową.

Ale Jessie starała się nie dopuścić do siebie myśli, że ciągle istnieje jakaś nadzieja. Wiedziała, że jeśli ten człowiek przeżyje, nic i nikt nie zmieni stosunku dziewczynki do niego. Tylko on sam mógł się do tego przyczynić, jako że Janie zaczęła go traktować jak ojca, którym w gruncie rzeczy mógł być, ponieważ kiedy się urodziła, on miał dwadzieścia lat.

Widząc jak Janie podnosi głowę, jakby chciała jej coś powiedzieć, wtrąciła szybko: - Nie, kochanie, nie możesz opuścić dzisiejszej lekcji. To się zdarza zbyt często.

- Och, nie, ciociu Jessie. Przecież rzadko proszę cię o przełożenie porannych zajęć. I zawsze je nadrabiam po południu. Wiesz, że tak jest. I wiem, co się dzieje z lady Lydią. To dlatego, że ich dom wypełniony jest żołnierzami, a ona nie napisała o tym panu Geraldowi. Oni hałasują, a niektórzy są niegrzeczni. Usunęła większość mebli i różnych drobiazgów, ale nie wszystko można ruszyć z miejsca, na przykład szafy w bibliotece. A jeden z tych żołnierzy ostatnio wyrwał wielkie ilustracje z książek. A kiedy zwróciła mu uwagę, był dla niej

bardzo nieuprzejmy. Sierżant potem przeproszał i wyrzucił tego człowieka... Niektórzy ludzie są kompletnymi ignorantami.

- Ty też do nich dołączysz, jeśli nie przestaniesz zaniedbywać lekcji.

- Nie zaniedbuję lekcji, ciociu Jessie. Przesadzasz. Sama wiesz, że przesadzasz. A poza tym, kiedy nie odrabiam lekcji, dużo czytam.

- Tak, ale nie to, co powinnaś. Poezja nie na wiele ci się zda w tym świecie.

Kiedy Janie spojrzała na wychudzoną twarz swojej ciotki zaciskającej cienkie wargi, pomyślała, że wie, dlaczego jej miły człowiek nie darzy jej sympatią. Ale jak mogła to wyrazić słowami? Jedne pozbawione były głębszego znaczenia, a inne zbyt dosadne. Tak, rozumiała, że na barkach ciotki spoczywa wielki ciężar, a ona sama stanowi jego sporą część.

Nagle poderwała się na równe nogi, z niezwykłą dla siebie czułością objęła ciotkę i pocałowała ją w policzek.

Jessie zdumiała się niezmiernie tym niespodziewanym gestem, ponieważ do tej pory to ona obdarzała dziecko pocałunkiem w czoło lub całusem w policzek na dobranoc. Tym razem miała ochotę nie tylko rozplakać się, ale również mocno przytulić dziewczynkę, tak jak robiła to przed laty. Uścisk zelżał tak samo szybko jak się zaczął, bo Janie ze śmiechem powiedziała: - Lepiej zabierzmy się do roboty, bo kto nie sieje i nie orze, ten nie ma co zbierać. I wkrótce umrzemy z głodu.

Jessie właśnie miała odejść, ale słysząc takie stwierdzenie odwróciła się i zapytała: - Gdzieś ty to, na Boga, słyszała?

Janie zamyśliła się, po czym powiedziała: - Nigdzie tego nie słyszałam. Tak mi się tylko wyrwało.

Jessie westchnęła. Jakieś przysłowia i rymowanki. Kolejny rezultat kontaktów z tym człowiekiem. - Wolałabym, żebyś w przyszłości bardziej zastanawiała się nad tym... co mówisz - zauważyła cierpko. Chodź już.

Janie westchnęła. Z ciotką Jessie trudno było pożar-tować, podczas gdy lady Lydia, chociaż zamartwiająca się panem Geraldem, we wszystkim dopatrywała się czegoś zabawnego. Och, tak by chciała, żeby już było popołudnie. Ostatnio w ogóle pragnęła wielu rzeczy: żeby wojna już się skończyła, żeby jej miły człowiek wrócił do domu, żeby ona sama nie była taka wysoka i żeby była już starsza. O tak, o wiele starsza, żeby miała siedemnaście lub osiemnaście lat, żeby... Nie, już wcale nie pragnęła, aby dziadek do niej przemówił. Nienawidził jej i ona darzyła go dokładnie takim samym uczuciem. O tak, nienawidziła go.

* * *

Już w pewnej odległości od głównej bramy zauważyła, że poprzednie oddziały żołnierzy musiały odejść, a na ich miejsce przybyły nowe, ponieważ

zaraz za drzewami, po prawej stronie podjazdu aż do stróżówki, widać było rozstawione namioty. Ale dopiero, gdy zamierzała wejść po schodach prowadzących przez taras do głównego wejścia, spostrzegła pierwszego żołnierza, który ją zatrzymał okrzykiem: - A ty dokąd się wybierasz? Taka malutka dziewczuszka przyszła do właściciela tej posiadłości, żeby poprosić go o pracę. Tak?

Janie odwróciła się na schodku i stanęła twarzą w twarz z dwoma roześmianymi żołnierzami, którzy spojrzeli po sobie, a jeden z nich stwierdził: - Zapomniała języka w gębie.

- Szkoda, że to się panu nie przydarzyło, bo i tak nie potrafi pan powiedzieć niczego sensownego - odparowała.

Uśmiech zniknął z twarzy żołnierza, podczas gdy jego towarzysz roześmiał się. Teraz już zupełnie innym tonem ten pierwszy powiedział: - No, no! panienko! Nie musisz być taka zuchwała. - A kiedy odwróciła się od niego, żeby odejść, dodał: - A gdzie ty się w ogóle wybierasz?

- To moja sprawa.

- O nie, madam. Pozwól sobie powiedzieć, że jesteś w błędzie. Ten dom został przejęty przez wojsko.

- I wielka szkoda.

- Zrozum - szybko wszedł na schodek wyżej - to moja sprawa, kto tu wchodzi i kto stąd wychodzi. - Wskazał na pojedynczy pasek przecinający jego rękaw. - A teraz radzę ci, żebyś się stąd zabrała. Na bramie jest tablica, że to teren prywatny. Nikt cię tam nie wylegitymował?

- Nie, ale pan z pewnością będzie miał kłopoty, jeśli mnie nie przepuści.

- Co tu się dzieje? - Na dźwięk głosu mężczyzna odwrócił się i zobaczył lady Lydię zbliżającą się do szczytu schodów. Właśnie miał powiedzieć: „To ta dziewczynka”, gdy usłyszał: - Czy coś się stało, Janie?

Schodziła właśnie ze schodów, gdy żołnierz zauważył ją i odezwał się tonem, który trudno było nazwać inaczej niż przymilnym: - Pytałem się tylko, wielmożna pani, co ona tutaj robi. Jak pani wie, dopiero przyjechałem i jeszcze nie znam zwyczajów tego domu.

Lady Lydia wpatrywała się w niego przez chwilę, jakby starała się go ocenić, po czym biorąc Janie za rękę stwierdziła: - Im szybciej będzie pan rozpoznawał członków mojej rodziny, kapralu, tym lepiej.

- Tak jest, proszę wielmożnej pani. - Usunął się na bok i obserwował dwie postaci wchodzące po schodach, przecinające później taras i znikające w głównych drzwiach prowadzących do holu. - Cholerni parwenu-sze! - wymamrotał. - Na szczęście ta wojna zrobi porządek z tą bandą.

- A może z tobą. - Jego towarzysz odwrócił się ze śmiechem, a mężczyzna ze złością zapytał: - Po czyjej jesteś stronie?

Trzymając Janie za rękę, lady Lydia przeszła przez pusty hol, minęła pozbawione dywanów schody, aż znalazła się w szerokim przedpokoju, gdzie na drzwiach wisiały nowe karteczki. W końcu dotarła do najdalszych drzwi, na których widniała tabliczka „Pomieszczenia prywatne. Wstęp wzbroniony”. Kolejny przedpokój prowadził do sporego pokoju, niegdyś pomieszczenia dla służby, teraz przerobionego na salon. Sąsiadujący z nim dawny salonik ochmistrzyni był obecnie sypialnią lady Lydii. Przechowalnia naczyń stołowych, pokój kredensowy, kantorek ochmistrzyni oraz inne niewielkie pomieszczenia w tym skrzydle domu, z wyjątkiem małej sypialni Nancy Bellways, wypełnione były srebrem, porcelaną oraz pamiątkami rodzinnymi, również zabytkowymi meblami.

- Usiądź i ogrzej się - zaproponowała lady Lydia, kiedy dotarli już do salonu.
- Spójrz na te wielkie kawały węgla - wskazała dłonią. - Prawie udało nam się zgromadzić połowę zapasu opału.

- Naprawdę? Ale skąd?

- W ostatnim oddziale, który tu stacjonował, był taki jeden żołnierz, oni w ogóle byli bardzo mili... no i wczoraj ciężarówką wybrał się z kolegami na szaber, oczywiście w imieniu armii. - Przygryzła wargi i wzruszyła ramionami jak młoda dziewczyna. - Przed samym wyjazdem, dzisiaj rano, właściwie o świcie, wręczyli mi wielki klucz. I powiedzieli: „Zostawiliśmy dla pani prezent, madam. W składzie na węgiel. Dodatek do tego klucza. W każdym razie, może to się do czegoś przyda.” Nie wiedziałam, co mam powiedzieć. Kiedy wspomnieli o składzie na opał, myślałam, że chodzi im o drewno, ponieważ jak wiesz, wycięli sporo drzew. Och, Gerald byłby z tego powodu naprawdę wściekły. W każdym razie, po ich wyjeździe... sama wiesz, machali do mnie z tych ciężarówek, jakby jechali na wakacje. I, och, moja droga - jej ton zmienił się teraz zupełnie - przecież oni wszyscy jechali do Francji. A niektórzy wcale nie chcieli się tam wybierać. Ale, jak już ci mówiłam - pokręciła głową - kiedy otworzyłam składzik na opał, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Nigdy nie widziałas naszego składu na węgiel, prawda? Jest ogromny jak pokój i... cały wypełniony wielką hałdą brył węgla, które tutaj nazywają okrągłakami. I jeszcze coś - ale to musieliśmy oczywiście schować tutaj, bo nie zaryzykowałabym zostawienia tych zapasów w kuchni - zresztą sama zobacz! - Otworzyła drzwiczki przepastnej holenderskiej szafy, gdzie na półkach tłoczyły się paczki herbaty, cukru, masła, połcie bekonu i jajka. Kolejne półki wypełniały puszki, dżem i konserwy z wołowiny. - Tak się cieszę! Martwi mnie tylko, że nie mamy

jak przechować masła. Ale to nie taki problem, bo twoja ciocia jest doprawdy niezwykle uprzejma i zawsze przysyła mi masło i sery. Ale czyż to nie wspaniale, że ci mężczyźni zrobili nam taki prezent? I wiesz co? Kiedy późną nocą przywieźli wczoraj te zapasy, powiedzieli mi: „To, proszę pani, przesyła kwatermistrz z podziękowaniami.” Nancy ich wpuściła, a kiedy zobaczyła te wszystkie dobra i usłyszała, co mieli do powiedzenia, stwierdziła: „To cały Jimmy McGregor.” Słyszając to jeden z żołnierzy wybuchnął śmiechem i lekko ją popchnął, a ona nie pozostała mu dłużna. Zapewniam cię, moja droga, że nigdy nie widziałam w tym domu takich manier. Nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie roześmiać. - Przerwała na chwilę i zamykając drzwiczki zauważyła: - Czasami dobrze jest się pośmiać, prawda, Janie?

- Oczywiście, że tak, lady Lydio. Aleja rzadko widuję ludzi, którzy się śmieją. U nas na farmie tylko mężczyźni wybuchają śmiechem, i to przeważnie Irlandczycy. McNabb - on jest Szkotem - rzadko się śmieje, chociaż sam często opowiada zabawne historie. Można się nimi ubawić, ale on sam nigdy się przy tym nie śmieje. Albo Mike - wie pani, ojciec Patsy - potrafi najlepiej pocieszać. Chociaż czasami trudno się w tym połapać. Pamiętam, jak któregoś dnia powiedział do Patsy: „Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają”, ale zaraz potem dodał: „I tym, których przyłapie na tym, że sobie pomagają; wtedy czekają cię trzy miesiące ciężkiej pracy”. To było całkiem zabawne, prawda? Irlandczycy są czasami tacy poplątani. Ale pozostali rozmawiają prawie wyłącznie o wojnie, nie ma pani takiego wrażenia?

- Myślę, kochanie, że masz rację. Ale podejdź tutaj i usiądź. - Poprowadziła ją do kominka, a kiedy już wygodnie zasiadły przy ogniu, zauważyła: - Wczoraj spotkało mnie tyle miłych rzeczy. Najpierw węgiel, potem to jedzenie, ale najważniejsze były słowa, które usłyszałam od jednego z żołnierzy. To prosty chłopak, ale przez te kilka tygodni, które tutaj spędził, zauważyłam, że mi się przyglądał, gdy przechodziłam w stronę szklarni. To właśnie on, kiedy przybyły pierwsze oddziały, powiedział mi, że jest mu przykro, że winnice zostały ogołoczone zanim owoce zdążyły dojrzeć. Wtedy byłam tak wściekła, że nie zwróciłam na niego uwagi. Ale wczoraj on sam przyszedł do mnie i poprosił o chwilę rozmowy. I zaczął w ten sposób: „Jutro rano wyjeżdżamy, proszę pani, i dlatego chciałbym pani coś powiedzieć.” A dalej mówił, że, jak sam to określił, był kiedyś wkurzony na tych obiboków, którzy nie wstępują do wojska z powodu przekonań religijnych. Przynajmniej tak było, gdy rozpoczynała się wojna. Dla niego tacy ludzie byli bandą tchórzy. Ale kiedy zaciągnął się do wojska, został powołany, czy jak sam to określił, poszedł w kamasze, i zobaczył, jak traktuje się takich ludzi i jakie prace im się zleca, musiał zmienić zdanie.

Przejrzał na oczy. A ponieważ ostatnio słyszał, że mój syn z powodów religijnych nie zgadza się na służbę wojskową, poczuł, że powinien coś mi powiedzieć. - Przerwała na chwilę, chusteczką wytarła usta i dopiero wtedy podjęła: - Chciał mi powiedzieć, że powinnam być dumna z mojego syna.

Janie złapała ją za rękę i łamiącym się głosem powiedziała: - Ja również zawsze byłam z niego dumna, naprawdę. I... chciałabym, żeby był moim ojcem.

Pochylając się nad nią, lady Lydia wyszeptała: - Och, moja droga. - Przytuliła szlochającą dziewczynkę do siebie i pocieszała ją: - Uspokój się, no już, uspokój się. I coś ci mogę, kochanie, powiedzieć. On traktuje cię tak, jakbyś była jego córką. Uważa, że jest za ciebie odpowiedzialny. Gdyby miał własną córkę, z pewnością pragnąłby takiej jak ty. No, już, uspokój się. Wytrzymaj oczy, bo właśnie nadchodzi Nancy z herbatą. Słysząc ją na odległość. O Boże, teraz, kiedy kucharka odeszła, ma tyle pracy. Ale to zrozumiałe, kucharka była już staruszką. Nie mogła znieść żołnierzy w swojej kuchni. Chociaż Nancy chyba nie ma nic przeciwko temu. - Sięgnęła po chusteczkę i wycierając Janie oczy, wyszeptała konspiracyjnie: - Jest przy nich bardzo frywolna. Uwielbia, jak się z nią drażnią. Biedna Nancy. Ale właściwie dlaczego mówię „biedna Nancy”? Już dawno temu powinna była wyjść za męża, ale jakoś nie miała na to ochoty. Wydaje się całkiem zadowolona z życia. Jej jedynym problemem jest, jak mi dogodzić. Nie sądzisz, że to cudowne? Powinnam być jej dozgonnie wdzięczna, i rzeczywiście jestem. Naprawdę. Codziennie dziękuję Opatrzności za jej obecność. I za ciebie, kochanie. Och, tak, i za ciebie. O, już nadchodzi.

W drzwiach pokoju, otwartych pchnięciem biodra, pojawiła się Nancy z załadowaną tacą. - Och, proszę pani, mamy tu nową bandę. Chwilami wydaje mi się, że powinnam błagać tamtych poprzednich, żeby do nas wrócili. Nowy sierżant węższy jak jakiś policjant. Chciał wiedzieć, ile godzin wolno mi spędzać w kuchni, a ja mu powiedziałam, że chyba ważniejsze dla niego jest to, ile godzin on może przebywać w mojej kuchni. - Delikatnie postawiła tacę na małym stoliku. - Potem przyszedł oficer. Nie najgorszy, ale kompletny gołowąs. Dopiero wyrósł z pieluch. Jak on, na Boga, będzie wydawał rozkazy? No, ale w końcu, to te gwiazdki na nich pracują. Czy sama pani naleje herbatę, madam?

- Nie, Nancy. Janie to robi. Dziękuję ci.

Nancy podeszła do Janie i pochylając się nad nią wyszeptała: - Widziałaś nasz skarbiec? - Skinęła głową w kierunku kredensu, a Janie cichutko potwierdziła: - Tak, i nikomu o tym nie powiem.

- No i masz rację, masz rację, bo nie miałybyś odwrotu. - Po tych słowach wyszła, zostawiając je rozbawione.

- Nie wiem, o co jej chodziło z tym ostatnim - stwierdziła lady Lydia. - Ale spójrz - powiedziała, wskazując na tacę - udało jej się upiec rogaliki i ciasto z owocami. Spróbujmy tych specjałów. Ty nalej herbatę, a ja pokroję ciasto i posmaruję rogaliki masłem.

Pół godziny później Janie opuściła Hall. Padał marznący deszcz, który już w połowie drogi na farmę zmienił się w grad. Bryłki lodu kęsały ją w twarz i ścigały kaptur, tak że musiała nieco zwolnić, choć biegiem dotarła do bramy. Pochyliła się i wśród lodowatych strug zobaczyła Patsy idącą w kierunku mleczarni. Biegając obok budynków dających złudną ochronę przed deszczem, zauważyła, że ktoś wychodzący z pomieszczenia, gdzie trzymano uprzęż dla koni, znalazł się na jej drodze. Nie zdążyła się zatrzymać, wpadła na jakąś postać, odbiła się z impetem i dysząc z wysiłku spojrzała prosto w twarz swojego dziadka. Stała w takim miejscu, że blokowała mu przejście i nagle usłyszała warknięcie:

- Z drogi, ty tam!

- Nienawidzę cię! - krzyknęła. - Słyszysz? Nienawidzę cię! Jesteś okrutny! Wstrętny, straszny! Chciałabym, żebyś umarł. Żebyś umarł!

Nie wiedziała, że to Patsy objęła ją za ramię, ale poznała głos, donośniejszy niż jej własny. - Nie ośmieli się pan jej uderzyć! - Zaraz potem miała wrażenie, jakby obie wyleciały w powietrze. Jego dłoń dosięgnęła jej ramienia, a Patsy straciła równowagę.

Przez następnych kilka chwil Janie zdawało się, że całe podwórze rozbrzmiewa jakimiś krzykami. A potem ktoś podniósł ją z ziemi, a jakiś inny głos wykrzyknął:

- Zawołajcie Carla, bo Patsy leży tu bez życia!

Janie wyczuła obecność Jessie, która zapytała: - Co się stało? Co się stało? - A jakiś kolejny głos wyjaśnił: - Nie wiem nic ponad to, że dosłownie wyrzucił je w powietrze. I nawet to błoto nie pomogło.

- Ojciec?

Słowa wypowiedziane ze szkockim akcentem były lapidarne: - No a kto? Kto inny mógłby to zrobić?

Zanim dotarły do domku, uporządkowała sobie w myślach obraz sytuacji i teraz Jessie zasypywała ją pytaniami. - Proszę, powiedz mi, co się dokładnie stało - poprosiła po raz trzeci, a ona krzyknęła zniecierpliwiona:

- Nic nie widziałam przez ten grad i niechcący na niego wpadłam. Podniósł rękę i uderzył mnie.

- Nie zrobiłby tego, dziecko.

- Zrobił! Zrobił! Wcale nie chciał mnie odsunąć. Potrafię to odróżnić. Nie jestem dzieckiem. Nie, nie jestem dzieckiem, ciociu Jessie. Jeszcze raz ci powtarzam, że nie jestem dzieckiem i wiem, co chciał zrobić. Patsy też wiedziała, chciał mnie uderzyć z całej siły. Więc... powiedziałam mu, co o nim myślę.

- Obraziłaś go?

- Tak, obraziłam go. Powiedziałam mu, że jest okrutny, obrzydliwy i zachowuje się jak bestia. I możesz sobie wzdychać, ciociu Jessie, ale on naprawdę taki jest. Nie mylę się. Zawsze taki dla mnie był. Nigdy mnie nie chciał, i ja jego nie chcę. Wiesz co? - Zerwała się na równe nogi i podniesionym głosem wykrzyknęła: - Wolałabym mieszkać z jednym z tych mężczyzn, którzy mnie zrobili niż z...

Kiedy na policzku poczuła silne uderzenie, obie zamarły. Janie zaczęła płakać, ale Jessie nie ruszyła w jej kierunku. Zamiast tego odwróciła się do drzwi i sięgając po rzucony tam płaszcz, wyszła z pokoju.

Na podwórku nikogo już nie było, dopiero po chwili zauważyła wychodzące kuchennymi drzwiami Roba.

- Gdzie jest Patsy? - zawołała.

- Położono ją do łóżka, a pan Carl posłał mnie po doktora.

- Nie odzyskała jeszcze przytomności?

- Odzyskała, czuje się lepiej, ale coś jej się stało z kręgosłupem.

Pobiegła prosto do pokoju Patsy, gdzie pochylając się nad chorą zapytała: - Gdzie cię boli, Patsy?

- Nie... ja nie jestem pewna, panienko. W tej chwili cała jestem obolała. -1 próbując się uśmiechnąć, dodała:

- Boli mnie gdzieś w dole pleców, szczególnie jak poruszam nogami.

- Ale możesz nimi poruszać?

- Tak. Tak, dzięki Bogu, mogę poruszać nogami. Jessie podniosła wzrok na stojącego przy łóżku Carla.

- Twój ojciec powoli uśmierci nas wszystkich, panienko - powiedział głosem, w którym brzmiały tony, jakich nigdy przedtem u niego nie słyszała.

Znowu spojrzała na Patsy i zapytała: - Jak... jak to się stało?

- O ile pamiętam, panienko, to właśnie wychodziłam z mleczarni, kiedy usłyszałam, jak na niego krzyczy. Pewnie wychodził z wozowni, a ona niespodziewanie na niego wpadła. Właśnie podnosił na nią rękę, kiedy do niej dobiegłam. Przynajmniej wydawało mi się, że zdążę ją odepchnąć, ale w efekcie obie wyleciałyśmy w powietrze. Naprawdę chciał ją zwalić z nóg. O tak, z pewnością. Ale napatoczyłyśmy mu się obie. Gdyby ten cios spadł tylko na nią i

gdyby to jej głowa upadła na ziemię, zamiast mojego siedzenia, to nie byłoby co zbierać. Bo to nie było lekkie pacnięcie, o nie. Uderzył z ogromną siłą! Jakby chciał ją poćwiartować.

- Och, Patsy, Patsy, czym to się skończy?

- Może panienka mi to powie. Bo trzeba sobie uświadomić, że Janie nie jest już dzieckiem. Ma trzynaście lat i to nie byle jakie trzynaście lat. To miejsce ją postarza. Nigdy nie miała prawdziwego dzieciństwa. Nie powinnaś jej winić, bo ona nie myśli jak dziecko. I pozwól, że ci powiem, że ona się go nie boi. Szkoda, że nie słyszałaś, panienko, jak na niego wrzeszczała: „Chciałabym, żebyś umarł!”

- Tak powiedziała...? Nie, nie.

- O tak, tak i jeszcze coś, o ile dobrze zrozumiałam, zanim wyleciałam w powietrze. No, ale musimy porozmawiać poważnie, panienko. Bo ja z pewnością przez jakiś czas nie wstanę z łóżka. Tak jak mówiłam, mogę poruszać nogami, ale sprawia mi to piekielny ból. I znowu w domu będzie potrzebna jakaś pomoc.

Niepotrzebnie wszystkich zwolniono po śmierci panny Angeli. Tak więc na jakiś czas, jeśli panienka nie chce mieć całego domu na głowie, trzeba zatrudnić żonę McNabba. Dobrze sobie radziła w kuchni i jest czysta.

- Tak, tak, Patsy. Tak zrobię.

Skinęła głową Carlowi i wyszła z pokoju, a on usiadł na łóżku i pochylając się nad żoną, powiedział: - Już wielokrotnie, kochanie, zresztą tak samo jak w tej chwili, pragnąłem, abyśmy wyjechali stąd, tak jak planowaliśmy na początku. Nawet w sytuacji, jaką wtedy mieliśmy. Mogłem mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła ze swoimi przekupstwami w postaci prawa własności do połowy farmy. Jakie ty tutaj masz życie? Pracujesz od rana do nocy. A teraz, po tym upadku, nie wiemy, co cię czeka. Z kręgosłupem nie ma żartów. W tej chwili mogę iść do niego, żeby mu powiedzieć, co o tym wszystkim myślę. Już dawno przestało mi się wydawać, że jestem mu winien własne życie. I tak dostał już jego lepszą część.

- Jestem zadowolona ze swego życia, jeśli tylko ty jesteś ze mną - powiedziała, gładząc go po policzku.

- Tak mało mogłam ci ofiarować. No, już - poklepała go delikatnie - tylko nie zaczynaj. Wiem, wiem doskonale, co chcesz powiedzieć: dopóki ja żyję, niczego ci nie zabraknie. No, na razie zamierzam w to uwierzyć. Dopóki jesteś przy mnie, jestem bardziej niż zadowolona. A wiesz, o czym teraz marzę?

- Nie, kochanie, nie.

- O słodkiej, mocnej herbacie. Takiej aż gęstej, żeby łyżeczka w niej stanęła, z kropelką czegoś mocniejszego.

- Uśmiechnięty pochylił się, żeby ją pocałować. - Wiesz co? - odezwała się. - Jesteś za dobry.

Cmoknął lekceważąco i wyszedł z pokoju.

A w tej samej chwili uśmiech zniknął z jej twarzy i z całej siły przygryzła dolną wargę. Z jej kręgosłupem naprawdę było coś nie w porządku, a opasujący ból napływał falami. Modliła się, aby nie było to nic poważnego i żeby za kilka dni mogła wstać...

Doktor stwierdził, że mogła złamać sobie jedną z kości dolnego odcinka kręgosłupa, w związku z tym przynajmniej przez dwa tygodnie musi pozostać w łóżku, a potem powinna wracać do zdrowia.

Jakiś czas później Philip Patten, zresztą nie po raz pierwszy w swojej karierze, musiał przyznać, że postawił mylną diagnozę. Patsy stanęła na nogach dopiero po kilku miesiącach i tylko przy pomocy kul, a i wtedy okupiała to wielkim wysiłkiem i bólem.

Rozdział czwarty

Pociągi, pociągi, pociągi. Nosze, nosze, nosze. Martwe ciała, ciała, ciała. Krew, krew, krew. Koła wystukiwały właśnie te słowa. Koła wszystkich pociągów powtarzały te słowa. Nigdy nie przyspieszały, czasami zwalniały tempo, nawet zatrzymywały się, ale nigdy nie przyspieszały.

Czuł ogromne zmęczenie. Jego ciało błagało o wytchnienie, a dusza również nie pragnęła niczego więcej.

Ilość pociągami sanitarnymi podróżował w ciągu ostatnich miesięcy? A kiedy on tu w ogóle przyjechał? W maju? Tak, w maju, kiedy walki toczyły się w pobliżu Arras. Boże! Boże! To był dopiero wstęp. Stosy ciał tych, którzy przedostali się przez Somnę w Abbeville. Wielu z tych, którzy tam zostali, pragnęło, aby to wszystko skończyło się jak najszybciej.

Ile razy wymiotował? Gdyby nie Jim Anderson i David Mayhew, pewnie ryzykując życie dołączyłby do grupy buntowników lub dezertersów. Jim przyznał się, że odczuwał mdłości przez pierwsze trzy miesiące. - Ale przyzwyczaisz się - pocieszył go. David wypowiedział się bardziej lakonicznie, bez zbędnych sentymentów. - Po to tu jesteśmy - stwierdził. Ale to właśnie on przypomniał mu gdzieś na boku. - Wysłali nas tutaj, bo tu jesteśmy potrzebni. Ciągłe zadaję Bogu pytanie, dlaczego w ogóle coś takiego się dzieje? Dlaczego On na to pozwala? I odpowiedź jest zawsze taka sama, to wolna wola człowieka. Powiedziałem Mu, że to kiepska odpowiedź. A On na to, że jego syn został ukrzyżowany, chociaż czynił dobro, tak więc wszyscy jedziemy na jednym wozie. - I wtedy David dodał już swoim zwyczajnym tonem: - Nie ma co wykrzykiwać, jak Jego syn „Dlaczego się mnie zaparliście?”, ponieważ otrzymamy tę samą odpowiedź „Sami się o to prosiliście, więc trzeba było przewidzieć skutki”.

Tak, to właśnie David był i ciągle jest jego prawdziwą podporą. Gdyby zdarzyła im się jakaś spokojna chwila, a Bóg jeden wie, czy to w ogóle możliwe, zapytałby go, czy on też czuje te dziwne zawroty głowy zakłócające mu sen i powodujące, że wszystko powtarza po trzy razy.

- Mógłbyś porozmawiać z George'em, tym na końcu wagonu? - dotarł do niego głos Davida. - Jeżeli znowu zaczniesz wygłaszać te swoje tyrady, to wszystkich pobudzi. A dopóki tu stoimy, niektórzy mogliby się trochę zrzemnąć.

Niektórzy, powtórzył Gerald w myślach, spoglądając na dwa rzędy noszy stojących po obu stronach wagonu. Wygodnie można było ustawić około dwudziestu pięciu noszy, a teraz wcisnęli tutaj ponad czterdzieści. A ile

zostawili? Nie wiedział. Ale był świadomy, że zanim przyjedzie następny pociąg sanitarny, niektórzy odjadą już w swoją ostatnią podróż.

Uważnie przecisnął się wąskim, pogrążonym w półmroku przejściem. W powietrzu unosiły się obłoki wydychanej pary, nieco ogrzewające przenikliwie zimne pomieszczenie. Nagle poczuł gwałtowne szarpnięcie pociągu, a jakiś głos po prawej stronie stwierdził: - Kilka centymetrów dalej i mógłbym już pożegnać się z życiem, Blighty.

Spojrzał na mężczyznę, którego nosze położono na stojaku na wysokości jego ramienia i wygłosił banał na stałe włączony do jego słownictwa: - Najważniejsze, że ocalałeś. - Próbował przesunąć się tam, skąd byłoby lepiej słyszeć jego głos wznoszący się ponad jęki i mamrotanie, ale zanim dotarł do końca wagonu, pociągiem znowu zatrzęsło i musiał wyciągnąć obie dłonie i oprzeć się o zaciemnione okno, aby utrzymać równowagę i nie wpaść na szeregi noszy. Człowiek, nad którym teraz się pochylał, miał tylko jedną rękę i szczelnie zabandażowaną twarz. - Dlaczego oni nie zacierają prosto do celu i nie kończą z tym wszystkim jak najszybciej? - wyszeptał przez zwoje bandaży.

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie, a już tym bardziej nie przychodziło mu do głowy nic dowcipnego, więc przesunął się w kierunku żołnierza, który wygłaszał kolejną przemowę. Mężczyzna uniósł głowę znad poduszki i opierając się o przepierzenie oddzielające tę część wagonu, przywitał Geralda: - Jak długo zamierzają tak nami trząść? Siedzimy jak te cholerne kurczaki w kurniku, nic więcej. Chyba nikt jeszcze się niczego nie nauczył na tej pieprzonej wojnie. Byle dalej. Byle dalej. Tylko to potrafią.

- Nazywasz się Arty, prawda? - spokojnie odezwał się Gerald, kucając przy noszach.

- Jasne, to ja, Arty Makepeace. Cholerny dowcip, co? Makepeace.*

* **makepeace** - rozjemca, przyp. tłum.

Gerald zniżył głos do szeptu. - Tutaj niedaleko jest jeden, albo dwóch takich, którzy kiepsko się czują. Pewnie chcieliby się przespać.

- Chyba po raz ostatni - mężczyzna powiedział to jeszcze ciszej.

- Możliwe. Całkiem możliwe.

- No, dobra, mogę do nich dołączyć.

- Och, z pewnością wyzdrowiejesz.

- Tak myślisz?

- Jasne, niedługo dotrzemy do bazy, a potem szybko załadują cię na statek.

- To zabawne, właśnie mija trzeci cholerny rok, odkąd tu jestem - powiedział mężczyzna spokojnie. - No, no, zaciągnąłem się w końcu czternastego roku. A już zaczynałem mieć nadzieję, że mnie nic się nie może stać, bo moja żona

kończyła wszystkie listy słowami: „Modlę się do Boga, aby ciebie chronił”. I wiesz, prawie w to uwierzyłem, aż do tej chwili. - Wskazał na prześcieradło, załamujące się gdzieś w okolicy lewego kolana. - Wiele dotąd przeszedłem i nic, nawet mnie nie zadrasnęło. Kule przelatowały mi przez czapkę, albo ocierały się o spodnie na siedzeniu, a mnie nic się nie stało. Nawet w tym cholernym roku, kiedy atakowaliśmy w Arras. Byłem tam i już myślałem, że najgorsze mam za sobą. Tak, tak myślałem. Szczególnie po tym, jak nas wypchnęli przez Somnę w Abbeville. Wtedy znowu zagraliśmy im na nosie. Wiesz co? Ta banda, którą teraz nam przysyłają, to pieprzone harcerzyki. Niektórzy z tych facetów nie są w stanie odróżnić swojej dupy od ramienia. Ale są wyszkoleni. Rany boskie! I oni nazywają to wyszkoleniem!

Coraz bardziej podnosił głos, więc Gerlad zmuszony był przerwać mu ten potok słów. - Z jakiego jesteś regimentu? - wyszeptał.

- Tyneside Scottish - usłyszał słowa, dzięki Bogu, wypowiedziane szeptem. - Wszyscy jesteśmy z dziesiątego i jedenstego batalionu. Ech! Ten nasz dowódca. To był facet z jajami. Naprawdę w porządku, osobiście przewoził nas małymi łodziami. Ale co nas czekało? Ataki lotnicze, czołgi i ta ich cholerna piechota.

- Szs! Szs!

- Nie uciszaj mnie, kolego. Zupełnie, jakbym słyszał swego starego. Zawsze powtarzał: „Szs! Szs, ty zakuty łbie!” Ale wiesz co, to zabawne. Coś ci powiem. Bardziej bałem się tego piekielnego bagna niż pocisków, bałem się, że w tym ugrzęznę, zostanę przez nie pochłonięty. Jeżeli przegramy tę wojnę, a to pewne jak w banku, to tylko przez to błoto. To śmieszne, bo ja wychowałem się w takim błocie. Rozumiesz, mój stary zawsze miał działkę i tylko dlatego mógł napełnić nam brzuchy. Ale pracując tam, często kaleczył sobie stopy albo ranił dłonie. I co wtedy robił? Zaklejał to błotem. Poważnie. Jeśli ziemia nie była dostatecznie wilgotna, to trochę ją moczył i oklejał ranę. Tak robił, kiedy pracował w ziemi. Bo w domu ratował się solą. Więc - wskazał kikut swojej lewej nogi - kiedy leżałem w tym bajorze z wodą, przypomniałem sobie błoto mojego ojca. Jak tylko trochę do siebie doszedłem i zobaczyłem, co mi się przydarzyło, natychmiast zrobiłem to samo. Oblepiłem tę cholerną ranę błotem i założyłem się, że tylko dzięki temu żyję i dotarłem do tej piekielnej stacji. Jak długo leżeliśmy na tym pieprzonym peronie....? Jak długo?

Gerald nie odpowiedział. Ale wiedział, że wielu pozostawiono tam na dwadzieścia cztery godziny, a dla niektórych było to o cztery godziny za długo. A pozostałych, tych, których zabrano tym transportem, może spotkać taki sam los, jeżeli nie skończą się bombardowania.

Mężczyzna z powrotem opadł na poduszkę, ale kiedy Gerald chciał odejść, chwycił go za rękę. - Szanuję ciebie i twoich kompanów, młody człowieku - powiedział cicho, ale poważnym tonem. - Tak jak tamten facet twierdzi - wskazał głową nosze leżące po drugiej stronie korytarzyka - to wy jesteście bohaterami tego beznadziejnego krwawego przedstawienia. Tak właśnie powiedział, kiedy dostał twój kolega, krótko przed naszym atakiem. To wszystko działo się tak szybko, ani się człowiek obejrzał. I wiesz, on naprawdę był bohaterem. Mógł być zabrany ostatnim transportem, ale odstąpił swoje miejsce chłopakowi, który był w gorszym stanie. - Nagle przerwał. - Spociłem się jak mysz pod miotłą. A przed chwilą trząsałem się z zimna.

Gerald położył mu dłoń na czole. Poczuł, że mężczyzna jest spocony. A więc dlatego był taki rozmowny, bredził w gorączce. Podciągnął mu koc pod brodę i powiedział cicho: - Leż spokojnie. Za chwilę wrócę.

- A teraz uwaga! Posłuchajcie! - wykrzyknął. - Zaraz ruszamy, a mamy już niedaleko. - Nie dodał, że zostało im jeszcze pięć godzin podróży, i to pod warunkiem, że znowu nie będą zmuszeni do postoju.

Był w połowie drogi, gdy musiał się zatrzymać, aby pomóc Davidowi Mayhew poskromić krzepkiego sierżanta. Biednemu człowiekowi zdawało się, że ciągle jest w okopach. - Dalej! Dalej! Ruszaj się! - wykrzykiwał rozkazy. - Podnieś to! Zapomnij o tym cholernym księżycu. Jeżeli oni cię widzą, ty też możesz ich zobaczyć. Dalej! Dalej! Ruszaj się, do diabła!

Kiedy udało im się przytrzymać mężczyznę, David wydyszał zmęczony: - No i właśnie w takich przypadkach przydałby nam się Arthur z tą swoją cholerną strzykawką.

Rzeczywiście, pomyślał Gerald. Arthur bohater. Arthur Sprite wstąpił w ich szeregi tuż przed zakończeniem studiów medycznych i od razu służył im nieocenioną pomocą. Ale co najdziwniejsze, nie był lubiany. Być może dlatego, że od samego początku pokazywał swoją wyższość. Bez wątpienia był bardzo odważny, ale nigdy nie potrafili znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego stał się jednym z nich. Z powodu przekonań religijnych? Politycznych? Moralnych? Jakich jeszcze. Co najdziwniejsze, nie musiał obawiać się powołania do wojska.

A teraz już nie żył, zabity w czasie niewątpliwie bohaterskiej akcji. Według Davida wcale nie musiał wybiegać na drogę, aby pomóc dwóm rannym mężczyznom, pomagającym sobie nawzajem. Byli już na tyle blisko, że bez trudu dotarliby do stacji i ambulansów Czerwonego Krzyża. Ale nie, on nie wytrzymał, jego trzeba było podziwiać. Wybiegł na drogę prosto pod bombę, która nie tylko zabiła ich trzech, ale również rozniosła w strzępy ostatni ambulans. Codziennie zadawał sobie pytanie, co popychało ludzi do takich

czynów. Co jego przywiodło w to piekło? Zasady? A jeśli zasady tylko odzwierciedlały ego? Potrzeba urozmaicenia? Nie. Nie. Nie. Nie zaczynaj znowu, upomniął sam siebie.

* * *

O pół do trzeciej nad ranem pociąg powoli wjechał do bazy. Nie musieli oświetlać terenu latarniami, ponieważ świecił księżyc, a noc przechodziła już w świt. W ogólnym zamieszaniu rozpoczęto transport rannych do szpitala polowego.

Razem z Davidem przenieśli właśnie ostatniego żołnierza z ich sekcji do namiotu, w którym pacjenci czekali na wizytę lekarza. - Znowu się spóźniście - zauważyła przechodząca właśnie pielęgniarka. - Cześć, Susie - zawołali zgodnym chórem.

- Niezłą grupę przywieźliście tym razem.

- Co najmniej drugie tyle musieliśmy zostawić - powiedział David. - Prawie cały czas wlekleśmy się w takim tempie, że po drodze mogliśmy zabrać kilku maruderów, konkretnie sześciu, trzech w kiepskim stanie. Odłączyli się od swoich oddziałów. Ale komu to się nie przytrafiło! No, muszę coś zjeść.

- O ile będziesz miał szczęście. Och, zapomniałam, że macie własną kuchnię. - Przyciszyła głos. - I dwóch dyżurnych.

David nic nie odpowiedział, tylko westchnął i odwrócił się na pięcie. A pielęgniarka, spoglądając na Geralda, powiedziała miękko: - Wyglądasz na zmęczonego.

- Ja? Żartujesz chyba. Mógłbym jeszcze pociągnąć jakieś... całe dziesięć minut.

- Jak długo byłeś w podróży?

- Od początku roku.

- Nie kpij. - Szturchnęła go i dodała: - Ale chyba czasami tak się czujesz. Pewnie jechaliście przynajmniej dwadzieścia cztery godziny.

- Czterdzieści osiem - powiedział z westchnieniem. - A wiesz, co teraz zamierzam zrobić?

- Tak. Oczywiście, spać.

- Dokładnie tak, Susie. Trafiłaś w dziesiątkę.

- Mogę się z tobą założyć.

- O co?

- Nie prześpisz dwudziestu czterech godzin. Z ledwością zaśniesz na dwanaście.

- Może masz rację... - Wiedział, że miała rację. Ochota na sen mija. Można leżeć w łóżku i z otwartymi oczami przeżywać minione wydarzenia... rozkazy,

obowiązki, gonitwę tu i tam. I nagle znowu był w Dunkierce, w pociągu sanitarnym. Znowu czuł dziwny ucisk w żołądku, pomieszany ze złością wywołaną widokiem tych poszarpanych ludzi.

Po raz pierwszy spotkał Susie właśnie w Dunkierce, w czasie bombardowania. Niemcy strzelali do nich z Dixmunde z armat dalekiego zasięgu. Jeszcze teraz wyraźnie słyszał jej głos: „Człowieku, jeśli za chwilę nie chcesz znaleźć się na tych noszach, to połóż się na brzuchu.”

To było krótkie spotkanie w błocie, potem zobaczył ją dopiero jakieś trzy miesiące później, w Rouen.

A potem natknęli się na siebie na tej medycznej placówce, gdzieś na końcu świata. Dwa miesiące temu. Od tego czasu, tak jak teraz, zawsze ucinali sobie krótką pogawędkę.

- Część waszej drużyny miała więcej szczęścia, ale kuchnia już odjechała. To największy problem. - Uśmiechnęła się figlarnie i dodała: - Możesz spać na stojąco, ale tylko z pełnym żołądkiem. A tak w ogóle, to podziękuj swojej matce za ser, rzeczywiście był wspaniały. Jesteś szczęściarzem. Mam nadzieję, że czeka na ciebie kolejna paczka.

Zmusił się do nikłego uśmiechu i odwrócił się. Ale pomyślał, że musi ukrócić te paczki. Przecież im tam z pewnością wiedzie się jeszcze gorzej. Janie przesyła mu masło i ser z farmy... Ale jeśli przestanie dostawać paczki, trudno mu będzie obejść się bez owoców. Dobry Boże! To śmieszne myśleć o owocach po doświadczeniach ostatniej nocy. Żeby tylko mógł się teraz gdzieś położyć. Spać. Spać...

Ale nie dane mu było dotrzeć prosto do łóżka, ponieważ po drodze zatrzymał go Jim i przekazał mu polecenie odmeldowania się u oficera dyżurnego, niejakiego Williama Hasletta.

William Haslett dał mu wolne na najbliższe dwadzieścia cztery godziny. A potem dodał: - Po następnym konwoju będziesz miał siedmiodniowy urlop. Założę się, że z radością pojedziesz do domu.

- Nie wybieram się tak daleko - odparł Gerald, wprowadzając przełożonego w niebotyczne zdumienie.

- Nie... wybierasz się? Dlaczego nie?

- Z bardzo prostego powodu. Gdybym tam pojechał, to nie zmusiłbym się do powrotu tutaj.

Gerald wygłosił to stwierdzenie z nikłym uśmiechem, jakby opowiadał dowcip. Ale wiedział doskonale, że to nie był dowcip, bo naprawdę żadna siła nie zmusiłaby go do powrotu do tego piekła na ziemi. I zdawał sobie sprawę z tego, że nie starczyłoby mu odwagi, aby ponieść karę za taką niesubordynację i

spędzić jakiś czas w więzieniu. Był pewien, że stawienie się przed sądem przekraczałoby jego możliwości, a jak rozumiał, wysoka komisja nadal czekała w Anglii na ludzi odmawiających służby wojskowej.

Trudno mu było uwierzyć, że minął dopiero rok od jego wyjazdu z Hall, wszystkie poprzednie lata zdawały się jedynie mglistym snem. Czasami z największym trudem przypominał sobie twarz matki. A jeśli chodzi o Janie, to jej listy były rzeczywiście dziarskie, ale z pewnością nie oddawały jej prawdziwej osobowości.

William Haslett przyglądał mu się uważnie, dwukrotnie otwierał usta, jakby szukał odpowiednich słów, i w końcu powiedział: - To rzeczywiście straszne, co przydarzyło się Sprite'owi. To dla nas wielka strata.

- Tak. Tak, rzeczywiście - odezwał się Gerald, kiwając głową.

- W takiej sytuacji - ciągnął Haslett - ty zostaniesz wyposażony w apteczkę pierwszej pomocy, a doktor

Blane udzieli ci kilku rad, jak się zachować w... przyszłości. Chodzi mi o zastrzyki przeciwbólowe i uspokajające.

- A ponieważ nie usłyszał żadnego komentarza, a tylko zauważył niewidzące spojrzenie Geralda, dodał szybko:

- W porządku, porozmawiamy o tym później. W tej chwili marzysz pewnie tylko o łóżku.

- Tak, rzeczywiście - odparł Gerald. - Ma pan rację - i odwrócił się, aby wyjść. A jego przełożony pomyślał tylko: Ale sztywniak. Dziwny facet. Zdziwię się, jeśli długo tu jeszcze wytrzyma.

David czekał na niego przed budynkiem. - Siedem dni - powtórzył. - Pomyśl o tym, chłopie. Siedem dni. Gerald nie zareagował na tę uwagę, a tylko powiedział: - Często z nim rozmawiasz - wskazał głową do tyłu - zaproponuj mu, żeby następnym razem pojechał z nami. I jeszcze następnym... I następnym...

David przyjrzał mu się uważnie. - Gdybyś powiedział to Jimowi, to on z tym swoim dobrym sercem stwierdziłby: „Facet odwala tutaj kawał dobrej roboty”. Naprawdę tu jest sporo prac organizacyjnych, które trzeba wykonać. Jesteśmy całkiem dużą jednostką. Ale jeśli już mnie się pytasz, to powiem ci, że on coś ma ze zdrowiem. A tak w ogóle - dodał już innym tonem - to zapomnijmy o naszym wspaniałym organizatorze i pomyślmy o Blightym.

- Nigdzie się nie wybieram, Davidzie.

David spojrział na niego z niedowierzaniem. - Na miłość boską, dlaczego? - wykrzyknął.

- Muszę ci chyba powiedzieć to samo, co jemu - palcem wskazał w stronę dowództwa - że jeśli stąd odjadę, to już nigdy się tutaj nie pojawię.

- Przyjechałbyś, kolego, przyjechałbyś.

- Nie, nie wróciłbym. Nie wróciłbym. Nie! Nie! Wiem, że nie mógłbym, i z tego powodu nie wolno mi stąd wyjechać, bo znalazłbym się w jeszcze gorszej sytuacji. Więc sam siebie pytam, dlaczego wobec tego krytykuję poczciwego Williama? Przecież, jeśli prawda wyszłaby na jaw, czułbym się jeszcze gorzej niż on.

- Nie wierzę! Wróciłbyś, bo wiesz, że jesteś tutaj potrzebny. Dlatego tu jesteś. A prawdę mówiąc, zawsze uważałem, że w małym palcu masz więcej współczucia dla tych nieszczęśników niż ja we wszystkich dziesięciu. Spokojnie. Spokojnie, chłopie, musisz to jeszcze raz przemyśleć. Myślę... że nie musisz jechać do domu. Moglibyśmy wspaniale zabawić się w Londynie. Możesz się u mnie zatrzymać. Moja matka jest tak towarzyska jak mały kociak. Wesoła pięćdziesiątka. Ostatnio jak się z nią widziałem, wspólnie z lady Jakałstam i kimś dostojnym urządziła tańczące przyjęcie „dla naszych wspaniałych chłopców”. Z pewnością przedstawiłaby cię komuś takiemu, że szybko zapomnielibyś o bożym świecie....

- Tracisz tylko czas - powiedział Gerald, popychając go niezbyt delikatnie. - Lepiej idź do łóżka. A poza tym, chciałbym ci uświadomić, że jeśli postoję tu jeszcze przez chwilę, to będziesz musiał mnie zanieść... Do zobaczenia za dwadzieścia cztery godziny, chłopie. - I poszedł spać. Ale dokładnie tak, jak przewidziała Susie, nie spał przez całą dobę.

Położył się o siódmej rano, a już o szóstej po południu otworzył oczy. Umył się, zjadł coś, a potem wrócił na kwaterę i napisał listy do matki i do Janie.

Tym razem nie pisał wiele, jedynie krótkie wiadomości o tym, że jest bardzo zajęty i nie lubi księżycowych nocy. Nawet zażartował z tego. W końcu zapytał matkę, jak sobie radzi ze stacjonującymi w domu żołnierzami.

W liście do Janie podziękował jej, że jest tak wspaniałą towarzyszką dla jego matki. I zakończył słowami: „Nie przysyłaj mi tyle masła i sera, i tak dalej. Nie mamy tutaj kłopotów z aprowizacją.” Co, oczywiście, w zasadniczy sposób mijalo się z rzeczywistością.

Włożył listy do kopert, założył płaszcz, czapkę i szalik i wybrał się na spacer. Powietrze było przenikliwie zimne, a na niebie świecił zamglony księżyc.

Szedł uliczką, która niegdyś prowadziła przez wieś, ale teraz, z wyjątkiem dwóch domów, wszystkie zabudowania były pozbawione dachów, a wokół nie było widać śladów, by ktoś mieszkał. Już za wsią droga przecinała pola, które kiedyś uprawiano, a teraz ziały jedynie czarnymi dziurami lejów po bombach.

Nieco dalej znajdowała się farma, poza kilkoma brakującymi dachówkami, nietknięta przez wojnę, a obok niej stała pozornie nienaruszona stodoła, z której dochodził ryk bydła.

Gerald z niedowierzaniem zastanowił się, zresztą nie pierwszy raz, jakim cudem udało się tym krowom uniknąć nie tylko bomb, ale przede wszystkim noża rzeźnickiego. Nie słysząc było gdakania kur, ale trudno się temu dziwić, ponieważ to właśnie kury najłatwiej trafiały do garnka. Pamiętał doskonale, jak kiedyś stał na warcie, aby ochronić ich skromne zapasy przed nową grupą żołnierzy. Pojęcia nie miał, jak mógłby się im przeciwstawić, ponieważ oczywiście nie zabrał ze sobą karabinu. W ogóle ostatnio jedzenie dla wszystkich miało zasadnicze znaczenie. Nikt nie przejmował się jego monotonią, dopóki miał wypełniony żołądek.

Przeszedł kawałek dalej, gdy wśród chmur znowu pojawił się księżyc. Wiedział, że powinien już zawrócić w stronę obozu, bo w taką noc wiele może się zdarzyć, ale chyba pod wpływem księżyca przypomniał sobie słowa piosenki:

Na niebie zapłonął księżyc
I oświetla drogę do ciebie, moja ukochana...
I oświetla... drogę...do ciebie...moja ukochana.

Wtedy właśnie Dyktator, jak nazywał swój głos wewnętrzny, który ostatnio często się z nim kłócił, powiedział: - Dość tego!

Ponownie przechodząc koło farmy, zauważył postać wychodzącą z domu i w tym samym momencie rozpoznał Susie, która w ręku niosła jakąś bańkę.

Słyszając jego kroki i poznając go z daleka, szybko pożegnała się z żoną farmera i pobiegła w jego kierunku. - Znowu poszłaś na szaber? - przywitał ją.

- Ona jest bardzo miła. Zgadnij, co mam w kieszeni? Tylko nie podchodź za blisko.

- Kurczaka? - zagadnął, wiedząc doskonale, że to niemożliwe.

- Ciepło.

- Nie wierzę.

- Nie kurczaka, ale dwa jajka.

- Sądziłem, że nie mają już żadnych kur.

- To mądra kobieta. Na tyłach domu schowała ich z tuzin.

Roześmiał się. - A ty to odkryłaś, więc musiała cię przekupić.

- Nie, wcale nie odkryłam. Raczej na odwrót. Najpierw podarowała mi jajka, a kiedy patrzyłam na nie ze zdziwieniem, wzięła mnie za rękę zaprowadziła na tyły i pokazała sześć kurek, bardzo z siebie zadowolonych, chociaż ich mężowie

zostali już dawno temu zjedzeni. Z radości śpiewały sobie.... Słyszałeś kiedyś śpiewające kury? To się zdarza, naprawdę.

Nie skomentował tego i przez jakiś czas szli w milczeniu. - Szkoda, że nie założyłam się z tobą o pieniądze - zauważyła po chwili. - Nie spałeś nawet pełnych dwunastu godzin, prawda?

- Nie, ale prawie. I tak czuję się całkiem dobrze, chociaż nie mogę zagwarantować, że całkiem normalnie.

- Naprawdę wykończyła cię ta ostatnia podróż, prawda? W czasie ostatnich trzech lub czterech konwojów pewnie ani razu porządnie się nie wyspałeś.

- A ty jak to znosisz, Susie? - odezwał się po chwili milczenia.

- Och, tak samo jak inni. Po prostu trzeba wykonać tę pracę. A poza tym, mimo tej całej ohydy, nędzy, krwi i ran, wolę być tutaj niż w domu, ponieważ wszystkich tych, z którymi mam do czynienia, traktuję jak bohaterów. - Przerwała na chwilę, a potem dodała - Z pewnością zmieniałabym zdanie, gdybym ich znała jak byli w dobrej formie i kretyńsko mełli językami. Ale kiedy są tacy bezradni i cierpiący, i kiedy po cichu wzywają matki... Każdy zwraca się do niej jakoś inaczej: mamó, mamusiu, mamuś. Niektórzy w malignie wykrzykują imię żony. A potem, kiedy poczują się trochę lepiej, pytają: „Siostró, mówiłem coś, jak byłem nieprzytomny?” Wstydzą się swojej słabości. Czasami mam ochotę objąć któregoś za szyję, a nawet - popchnęła go leciutko - położyć się obok niego na łóżku.

Wybuchnęła śmiechem, a on dołączył do niej, po chwili dodając z galanterią: - Chyba sam muszę się wpędzić w kłopoty.

Na tę uwagę zareagowała dopiero, gdy dotarli kawałek dalej. - Zamierzałam coś na to odpowiedzieć, ale nic ci nie powiem. Ale może miałbyś ochotę na filiżankę prawdziwej kawy, gotowane jajko i tost? - zapytała po chwili.

- Musiałbym być kompletnym idiotą, żeby odrzucić takie zaproszenie - stwierdził.

- No, to ruszaj, bo kto wie, co się może stać, jeśli on - wskazała na księżyc - rzuci na nas swój czar. Dochodząc już do obozu, szerokim łukiem minęli szpital, przecięli jakieś błotniste tereny, i doszli do szeregu niskich zabudowań, w których swego czasu pewnie trzymano zwierzęta. Tutaj, stojąc przed ostatnimi drzwiami, wyciągnęła z kieszeni klucz i dostosowując się do nastroju wieczoru, zaprosiła go. - Proszę do środka, sir.

W porównaniu do jasnej nocy w środku panował mrok. Usłyszał jak zapala zapalniczkę, a kiedy zapłonęła wisząca lampa, rozejrzał się wokół ze zdziwieniem. - No, no, masz przytulną kryjówkę - powiedział.

- Mam przywileje. Oprócz siostry przełożonej, która, dzięki Bogu, wyjechała na swoje czterdzieste ósme urodziny, jestem tutaj najdłużej. Więc nie musisz obawiać się nikogo, kto załomocze do drzwi z okrzykiem: „Siostro! Chyba siostra zna regulamin!”

- Masz nawet kominek.

- Tak, to musiał być chyba jakiś parnik. Pewnie przygotowywano tutaj karmę dla świń, bo... popatrz!

- Wskazała na wielki kocioł, stojący w rogu pokoju. Rozejrzał się po całym pomieszczeniu. Pod ścianą stało pojedyncze łóżko, obok niego rozlatujący się fotel i coś, co wyglądało jak składany stolik do kart.

Po drugiej stronie pokoju umieszczono niewielką mahoniową szafę, która wyjątkowo nie pasowała do tego miejsca, i cztery skrzynki tworzące rodzaj otwartego kredensu, bardziej zbliżone stylem do reszty sprzętów. W jednej z nich zauważył jakiś zdekompletowany serwis i czajnik, a w drugiej coś, co jego zdaniem było jedzeniem zawiniętym w kawałek papieru, słoik dżemu i puszkę wołowiny.

- Zupełnie jak w domu.

- Rozgość się - powiedziała. - Ale nie siadaj na tym krześle, bo się zapadniesz.

- Może mógłbym ci w czymś pomóc?

- Nie. Rób, jak ci każą i siadaj.

Usiadł więc delikatnie i od razu zapadł się głęboko, ale i tak było mu wygodnie. Oparł się swobodnie, wyprostował nogi i westchnął. - Jak zamierzasz ugotować wodę i jajko na tym palenisku? - zapytał. - Nie wygląda na to, żeby sprawnie działało.

- Nie marudź.

Podeszła do stojącej w najdalszym kącie pokoju szafki i wyjęła z niej prymus. - Jesteś dobrze zabezpieczona - zauważył, gdy już zapaliła maszynkę i postawiła na niej czajnik.

- To jeszcze nie wszystko.

Przyjrzał jej się uważniej. Bez płaszcza i kapelusza, tylko w swoim niebieskim uniformie i fartuchu, który już dawno przestał być biały, wydała mu się urodziwa. Zastanowił się tylko, dlaczego, żeby ją opisać użył takiego tracącego myszką słowa. Może ze względu na jej figurę. Każda część jej ciała była okrągła: pośladki, piersi, twarz, ale przecież nie była gruba. Była taka macierzyńska.

Siostra Susie szyje szynelę dla żołnierzy, a żołnierze zamiast strzelać z armaty, woleliby posyłać jej kwiaty.

Och, co mu się płacze po głowie? Przecież wcale nie zna słów tej piosenki. Dlaczego są takie prymitywne? I natychmiast znalazł odpowiedź na to pytanie. Ponieważ sam już nie pisze. A głos wewnętrzny odkrzyknął mu: Co, u diabła, mam pisać o tym domu wariatów! Pracę z anatomii roztrzaskanych mózgów oraz rzeki krwi i wyprutych flaków? Na miłość boską! Zamknij się. Spórz na Susie, która właśnie smaży jajka.

- Myślałem, że je ugotujesz - powiedział.

- Zmieniłam zdanie. Sadzone możemy położyć sobie na podpieczony chleb z masłem. A w ogóle to myślałam, że zasnąłeś.

- Nie spałem.

- Nie? Możliwe, więc pewnie jak zwykle nad czymś dumales. O czym ty tak rozmyślasz? Często się nad tym zastanawiałam. Czy to prawda, że twoja matka jest damą? David mi o tym mówił.

Kiedy zaczął się śmiać, skarciła go. - No, co w tym śmiesznego? Jest, czy nie?

- No, myślę, że tak. Ale o co ci chodzi z tą damą?

- Chcę wiedzieć, czy ma tytuł.

- Wiele kobiet jest damami nawet bez tego tytułu i moja matka bez wątpienia do nich należy.

- A czy jest miła?

- Cudowna. Piękna w każdym calu.

- Czy byłeś kiedyś żonaty, Geraldzie?

- Gospodarstwo było moją żoną - powiedział z pewnym wahaniem.

- Miałeś gospodarstwo?

- Tak. Tak, miałem gospodarstwo. Zaskwierczał chleb wrzucony na rozgrzane masło.

Szybko przewróciła kromki na drugą stronę. - Byłeś zaręczony? - zapytała.

- Nie, nie byłem zaręczony ani nic w tym rodzaju.

- Więc nigdy nie miałeś dziewczyny.

- Och, nie. W domu czeka na mnie dziewczyna.

- Ach, tak.

Rozbawiło go to, więc dodał: - Ona również jest cudowna, taka inna.

- Świetnie! Doskonale! Piękna matka i piękna dziewczyna.

- Tak. Tak, naprawdę mam szczęście i jestem pewien, że moja dziewczyna z każdym dniem staje się piękniejsza.

Zauważył, jak rzuciła w jego stronę ostre spojrzenie, a z jej twarzy zniknął uśmiech. - Ona zawsze była bardzo mądra i jej listy nadal to potwierdzają - ciągnął lekkim tonem, zaprawionym drwiną. - Najgorsze, że ona tak często do

mnie pisze, a ja nie nadążam z odpisywaniem. Ale zupełnie nie wiem, jaka będzie, kiedy dorośnie.

- Słucham? Kto ma dorosnąć? Kto?

- Moja dziewczyna.

Zdjęła jajka z talerzyka, na którym smażyły się na palniku i przełożyła je na chleb, wyciągnęła jakieś naczynia ze stojącej obok skrzyni i powiedziała: - Podejdź tutaj i weź sobie. Albo nie! Zostań tu, gdzie jesteś. Przysunę stolik, a sama usiądę na łóżku. A o co ci chodziło, kiedy powiedziałeś „jak dorośnie”? - ciągnęła swoje przesłuchanie, gdy zaczęli posiłek.

- Dokładnie to, co powiedziałem. Ona musi mieć teraz... och... dwanaście... nie, trzynaście lat, prawie czternaście.

- Ach ty! Jesteś zabawnym facetem. Wiesz chyba o tym, Geraldzie?

- Tak, już ktoś mi o tym mówił. A tak w ogóle, to jest pyszne.

Jakiś czas później zakończyli kolację filiżanką kawy z mlekiem. Zatluszczone talerze zostały umieszczone w metalowej misce do połowy napełnionej wodą i postawionej przed kominkiem. - Ogień chyba szybko zgaśnie? - zapytał powątpiewająco.

- Nie, rano będzie się jeszcze żarzyło, wystarczy wtedy tylko trochę podmuchać.

- Jesteś osobą doskonale zorganizowaną, prawda? - zauważył znowu.

- Tylko w niektórych sprawach.

Zawahał się, kiedy chwilę później chciał znowu usiąść.

- Moja kolejna próba skończy się tym, że wyląduję na podłodze. Lepiej ty tutaj usiądź.

- Nie, wolę zostać na brzegu łóżka.

W ten sposób znaleźli się tam oboje. A kiedy położyła mu głowę na ramieniu, objął ją delikatnie. - Jesteś bardzo miła, Susie, wiesz o tym? - powiedział po chwili.

- Jak to się stało, że to zauważyłeś? - Nie odwróciła się do niego, kiedy mówiła te słowa, ale ułożyła się wygodniej.

- Wcale nie musiałem tego odkrywać. Zawsze byłem o tym przekonany.

- Jakoś trudno ci było dać mi to zrozumienia.

- Naprawdę? - W jego głosie słychać było zdziwienie.

- Zawsze mi się tak dobrze z tobą rozmawiało. Zawsze starałaś się jakoś pomóc.

- Jakoś? Czujesz się zagubiony, prawda, Gerry? Zawsze chciałam nazywać cię Gerry, ale wtedy musiałabym zakwalifikować cię do tej samej grupy co ich. - Pod brodą poczuł, jak poruszyła głowę. - To nie dla ciebie - ciągnęła. -

Wykańczasz się. Widzę to po każdym twoim powrocie. Za bardzo bierzesz sobie wszystko do serca. Przypominasz mi faceta, który przed tobą jeździł pociągiem sanitarnym. Zawsze cytował poezję. Normalnie z tobą rozmawiał i nagle wyskakiwał z jakimś cytatem. Ale kiedy zaczął włóczyć się po oddziale... to - wzruszyła ramionami - musieli odesłać go do domu.

- Myślisz, że pójde w jego ślady?

- Och, nie - odparła z przekonaniem. - Tylko czasami tak dziwnie wyglądasz i mam wrażenie, że wszystko w sobie dusisz. David tak uważa.

Troszeczkę odsunął jej głowę i zapytał: - Czyżbym był tematem waszych rozmów? Dlaczego?

~ Och, czasami sobie pogadamy. On cię bardzo lubi. W ogóle uważa, że jesteś wspaniały, masz zasady i tak dalej. Mówię poważnie. Moim zdaniem, wszyscy twoi koledzy z oddziału, ze wszystkich oddziałów są wspaniali. Ale nie wolno ci pozwolić, żeby cię zdominowali.

Wyciągnęła dłoń i pogładziła go po policzku, a on zadrżał czując jej dotyk. Zaczęła mu rozwiązywać krawat i rozpięła kilka guzików płaszcza. Nie powstrzymała jej. Kiedy kilka minut później oboje wstali, a ostatnia część garderoby opadła na podłogę, spojrzała na niego uważnie, po czym sięgnęła do tyłu i odrzuciła kołdrę leżącą na łóżku. Leżąc obok niego, szepnęła mu do ucha:

- Ty nie musiałeś być ranny. - A on bez słowa całował jej twarz pogrążoną w ciemnościach.

Później ubrał się szybko i pochylając się nad łóżkiem pocałował ją w czoło. - Dziękuję ci Susie. Dziękuję - powiedział.

- Do usług, sir - zamruczała, jeszcze nie całkiem rozbudzona.

Kiedy wyszedł na dwór, księżyc już nie świecił, ale niebo usiane było gwiazdami. Czuł się odprężony, w jakiś sposób odmieniony. Czy ktoś by uwierzył, że to była jego pierwsza noc spędzona z kobietą? Nie, sam z trudnością sobie to uświadamiał. A teraz zadawał sobie pytanie, dlaczego tak długo na to czekał? Dlaczego? Przecież to najwspanialsze, najcudowniejsze doświadczenie. Teraz mógł już stawić czoło przyszłości, tym dniom spędzonym w pociągu, ponieważ wiedział, że Susie będzie na niego czekała. A co z jego siedmiodniowym urlopem? No, co z tym zrobić...?

Okazało się, że ona nie może mieć siedmiu wolnych dni, ale dostała przepustkę na czterdzieści osiem godzin, które spędzili w małej wiosce, położonej poza linią frontu. Przeżył cudowne chwile, wypełnione miłością i swobodą, które podziały na jego duszę jak balsam.

Rozdział piąty

Działo się coraz gorzej. Wszyscy to widzieli i w wielu kwaterach zadawano sobie pytanie, gdzie są ci cholerni generałowie, którzy wysyłają ich do walki, w wyniku której nieodmiennie muszą się cofać? Drażniące uwagi, ale tak wiele mówiące, ponieważ wygłaszali je ranni stłoczeni teraz w pociągach sanitarnych jak sardynki w puszcze. Dlaczego nie pojawiali się na froncie? Nie, oni siedzieli sobie spokojnie w wygodnych kwaterach i po obiedzie popijali porto, wznosząc toast za rodzinę królewską... Anglię... Sztandar.

A ci oficerowie. Za kogo oni się uważają? Smarkacze z gilem u nosa. Kiedy musieli dowodzić swoimi ludźmi... ludźmi, koń by się uśmieł. Niektórzy ze strachu robili w majtki, ale to wcale im nie przeszkadzało nadal patrzeć na wszystkich z góry.

Ale w pociągach sanitarnych nikt nie patrzył na stopnie, nie było oficerów i prostych żołnierzy, tylko krwawa masa skłębionych ciał. Tylko niekiedy słyhać było jakiś głos broniący konkretnego oficera, czy nawet sierżanta, którego bohaterkie zachowanie umożliwiło rozmówcy dotarcie do tego pociągu.

Nie pisał już teraz tak wielu listów do domu. Chociaż sporadycznie korzystał z opiekuńczych ramion Susie, jeśli tylko miała wolną chwilę, to jednak odnosił wrażenie, że okropności wojny powoli go dobijają. Według Davida świat zamienił się w rzeźnię i stanął do góry nogami. Sydney Allington skomentował tę ostatnią uwagę stwierdzeniem, że Bóg stworzył nam plecy, abyśmy mogli dźwigać trudy życia, na co David natychmiast odparł: „Tak jest, matko Shipton.” Młody człowiek oczywiście nie zrozumiał tej odpowiedzi i tylko utwierdził się w przekonaniu, że Gerald, David i Jim to dziwni faceci, którzy znaleli się tutaj z niewiadomych powodów, jako że nie pełnili przecież regularnej służby wojskowej. Na wszelki wypadek nadal zwracał się do nich absolutnie formalnie.

W marcu 1918 roku miały miejsce trzy doniosłe wydarzenia, z których dwa wykształciły u Geralda umiejętność zapomnienia. Dzięki niej mógł uciec od okropności codziennych zdarzeń, których był nie tylko obserwatorem, ale również uczestnikiem.

Świadkiem pierwszego z nich był w czasie drogi powrotnej do bazy. Zabrali do pociągu czterech rannych żołnierzy, którzy siedzieli teraz oparci o przepierzenie ostatniego wagonu.

Przechodząc przez pociąg zauważył, że dwaj z nich wspierają się wzajemnie. Jeden ranny, podtrzymując towarzysza zdrowym ramieniem, pomagał mu zrobić kilka kroków. A teraz, pochylając się nad najbliższym mężczyzną, zapytał: - Jak leci?

- Nie najgorzej. Ale Lawsonowi, mojemu towarzyszowi, temu tutaj, noga daje się we znaki. - Ton, jakim odezwał się żołnierz sprawił, że Gerald przyjrzał się uważniej jego zabłoconemu mundurowi. - Kiepsko się czujesz? - zapytał, pochylając się nad niejakim Lawsonem.

- Nie jest tak źle, sir. Wszystko w porządku, dzięki panu kapitanowi.

Gerald ponownie zwrócił się do drugiego mężczyzny.

- Krwawa bitwa, sir?

- No, tak to można określić.

Właśnie miał to jakoś skomentować, gdy Allington, ten dziwak z ich drużyny, klepnął go po ramieniu.

- Panie Ramsmore, wzywają pana. Pan Mayhew potrzebuje pańskiej pomocy - odezwał się.

Skinąwszy głową na pożegnanie, Gerald odwrócił się. Potrzebuje mojej pomocy, pomyślał z irytacją. Ten facet naprawdę denerwował go bardziej niż tocząca się wokół wojna. Prawie wyrzucił z siebie: „Cholerne nerwy i cholerna wojna”, ale ugryzł się w język. Zdał sobie sprawę z tego, że coraz mniejszą trudność sprawia mu używanie takich epitetów przy każdej możliwej okazji.

David miał problemy z rzucającym się w gorączce bardzo chorym mężczyzną.

- Podaj strzykawkę - rzucił mu na przywitanie, wskazując głową na koniec wagonu, aby wyjaśnić powód wezwania. - Jim ma pełne ręce roboty.

Gerald zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu pytać o Allingtona, ponieważ wiedział, że David nie znosi faceta. To zadziwiające, jak jedna osoba może zepsuć atmosferę w całej grupie. Tym bardziej, że motywy wstąpienia Allingtona do tego oddziału były mniej skomplikowane niż ich własne, jako że zrobił to z pobudek religijnych.

Ponad godzinę później udało mu się z powrotem dotrzeć do mężczyzn umieszczonych na końcu wagonu. Pociąg nabrał już jakiejś prędkości. Zauważył, że szeregowiec zdrzemnął się, a oficer siedzi z szeroko otwartymi oczami i przywołuje go ręką.

- Ramsmore?

- Tak. Tak się nazywam.

- Co za zbieg okoliczności, bo ja też.

- Naprawdę? No, no, rzeczywiście świat jest bardzo mały.

- Mogę pana o coś zapytać? Czy ma pan na imię Gerald?

- Może pan, mam na imię Gerald.

Gerald wyprostował się nieco, ale po chwili schylił się znowu, aby przyjrzeć się twarzy młodego oficera. - Niech mi pan nie mówi, że pański ojciec nazywa się Beverly? - powiedział.

- Ojciec nie, ale dziadek - odparł młody człowiek chrząkając.

- Dobry Boże!

- Wiele o tobie słyszałem.

- Nie wątpię - powiedział Gerald nieco sztywno.

- Och, nie, mylisz się - szybko wyrzucał z siebie słowa. - Tutaj, na tej trasie. Ci, tam, doskonale ją znają. Jest mi... bardzo miło cię poznać. - I kiedy wyciągnął do niego dłoń, Gerald uściskał ją ciepło.

- Nazywam się Will. Musimy się spotkać, jak to wszystko się skończy. Cały czas jesteś na tej trasie?

- Raczej tak.

- Mój Boże! Pewnie po dziurki w nosie macie tej wojny, ale medali za to nie dostajecie. Jak długo trwa taki konwój?

- Osiem, dziesięć godzin, to zależy.

Młody oficer zerknął na zegarek i zauważył: - Jesteśmy w podróży już pięć i pół godziny. Dobry! Józef! Byłeś ostatnio w domu? - zapytał chwilę później.

- Nie. Nie byłem, odkąd tu przyjechałem w zeszłym roku.

Przez jakiś czas milczeli, a potem młody człowiek zapytał, z namysłem spoglądając na Geralda: - Wiesz, że nigdy nie widziałem mojej przyrodniej babki, a może prababki? Chyba raczej prababki. Słyszałem, że jest bardzo miłą damą.

- Rzeczywiście. I jak wrócisz, musisz naprawić błąd. Byłaby zachwycona twoją wizytą. Chociaż, o ile się orientuję, wojsko zajęło większość domu.

- Mój dziadek często opowiadał o Hall jako o domu swego dzieciństwa. Ale wydawało mi się, że straciliście większość ziemi.

- Niezupełnie, zostało nam kilka akrów. Prowadzę małe gospodarstwo.

- Żartujesz!

- Nie.

- Tym lepiej. Musisz już marzyć o tym, żeby wyrwać się z tego piekła.

Gerald wyprostował się, ale nie odpowiedział. Czy naprawdę tęsknił za powrotem? Ostatnio miał jakieś dziwne przeczucia, że nigdy tam nie wróci, nigdy już nie będzie mieszkał w tamtym domu. Tę obsesyjną myśl mógł tylko zignorować.

Z końca wagonu dobiegły odgłosy jakiegoś zamieszania. Tym razem któryś z mężczyzn wzywał nie ojca, ani matkę, ale małego Jackiego, pewnie syna.

Przeprosił, że musi odejść, a młody mężczyzna rzucił mu na pożegnanie: - Bądźmy w kontakcie.

Pokiwał głową i mruknął: - Tak, tak...

W szpitalu polowym jeszcze-dwukrotnie spotkał swego dalekiego krewniaka. Uścisnęli sobie dłonie obiecując, że się kiedyś spotkają. A Will ponownie wyraził chęć poznania swej prababki.

Kolejne wydarzenie wstrząsnęło nim bardziej niż sama wojna i pociąg sanitarny.

Ostatnie nosze przekazano sanitariuszom szpitalnym, którzy głośno protestowali, pytając, gdzie je mają umieścić. - Powiesimy je chyba na suficie - stwierdził jeden z nich. - Jeśli wkrótce nie odtransportują ich na statek, to możecie sobie darować kolejny konwój, bo ranni i tak będą leżeć na dworze.

David i Jim słyszeli to już wielokrotnie i specjalnie nie przejmowali się takim gadaniem, a Gerald po prostu odwrócił się na pięcie. Zamierzał iść prosto pod prysznic i do łóżka. Ale przechodząc koło kuchni dla pielęgniarek i personelu dziennego, zatrzymał napotkaną pielęgniarkę. - Czy Susie jest gdzieś w pobliżu? - zapytał.

Zerknęła przez ramię w kierunku pokoju, zamknęła za sobą drzwi i patrząc mu prosto w oczy powiedziała sztywno: - Ona wyjechała.

- Jak to wyjechała? - Rozejrzał się wokół, ale nie zauważył żadnych śladów bombardowania.

- Wyjechała wczoraj. Dostała polecenie służbowe -stwierdziła dziewczyna.

- Ale dokąd?

Wzruszyła ramionami i zamierzała odejść, ale zatrzymał ją. - Naprawdę nie wiesz, dokąd została wysłana?

- Niezupełnie. Słyszałam, że wróciła do domu... na jakieś szkolenie, czy coś takiego. - Uśmiechnęła się i zagryzając wargę bawiła się jego zakłopotaniem.

Widzieli się jakieś trzy dni wcześniej, ale zamienili wtedy ze sobą tylko kilka słów. A przecież już wtedy z pewnością wiedziała o swoim wyjeździe. Dlaczego mu o tym nie wspomniała? Dlaczego? Ostatnio zachowywała się... jakby obojętnie. Pośpiesznie ruszył na poszukiwanie Davida.

Spotkał go, kiedy tamten wychodził z ich kwatery, i bez zbędnych ceregieli zapytał: - Wiesz coś o tym? Powiedzieli mi, że Susie wyjechała. A jedna z pielęgniarek twierdzi, że chyba odesłano ją do domu.

- Tak - David uciekł wzrokiem. - Tak, o ile dobrze się orientuję, rzeczywiście pojechała do domu. Pewnie będzie prowadziła jakieś szkolenie. - Uśmiechnął się smutno i dodał: - To wspomniała dziewczyna, ta nasza Susie. Wspomniała pocieszycielka. O tak.

Gerald zmrużył oczy i poruszył głową, nie odrywając wzroku od Davida. W jego głosie usłyszał coś, co mu się nie spodobało, coś, czego wolałby nie słyszeć

i czego nie chciał zrozumieć. - O co ci chodzi z tą wspaniałą pocieszycielką? - nalegał.

- No, bo przecież to prawda. Susie, naprawdę wspaniała dziewczyna. Wiem, że to dla ciebie szok. Mogę ci tylko powiedzieć, że ja też tak zareagowałem. I nie tylko ja. Och, będziemy tęsknić za przytulnym szarym gniazdkiem Susie.

Przed oczami stanął mu teraz jej pokój: piec, stolik, lampa naftowa, patelnia, łóżko. O tak, łóżko i przyjemności z nim związane. Nie było w nim zbyt wiele miejsca...

Zdawało mu się, że głos Davida dochodzi do niego z pewnej odległości. Ciche słowa dudniły mu w głowie. - Nie patrz tak na mnie, chłopie. Musiałeś o tym wiedzieć. Boże! Musiałeś o tym wiedzieć. Ale coś ci powiem: byłeś faworyzowany. Wasz związek trwał znacznie dłużej niż na przykład z ...

David boleśnie odepchnął Geralda, gdy ten wymierzył mu pierwszy cios. Ale po kolejnym natarciu uderzył go pięścią w usta. Gerald nie tylko poczuł smak krwi, ale również jej zapach, który był tak przenikliwy jak zapach wagonu wypełnionego zakrwawionymi ciałami. Po chwili był już przyszpilony mocnymi ramionami Davida i jego solidną piersią do ściany budynku. - Mogę ci tylko powiedzieć, kolego, że jesteś jeszcze większym idiotą niż sądziłem - wycedził David, zbliżając do niego twarz. - Nie widziałeś, że to jedna z tych panienek do łóżka? No i bardzo dobrze. Doskonale wiedziała co robi i bardzo jej się to podobało. Niektóre kobiety są właśnie takie. A my też wiedzieliśmy, w co się pakujemy, jakie ryzyko podejmujemy... i w ogóle. Ty też nie jesteś już dzieckiem. Chyba widzisz, co się dzieje. Dlaczego wydawało ci się, że ona jest inna, jeśli tak łatwo ci z nią poszło? Powinno ci to być do myślenia.

David powoli zwolnił uścisk. - Przepraszam. Musisz chyba opatrzyć tę ranę - wymamrotał. - To zabawne, ale naprawdę sądziłem, że na tej cholernej wojnie będziesz ostatnią osobą, która porwie się do walki. Mogę się tylko usprawiedliwić, że to nie ja zacząłem i że nie rozumiem twojej reakcji, po prostu nie rozumiem. Wydawało mi się, że wiedziałeś, co się dzieje i z kim się "zadajesz. A w ogóle, to siostra oddziałowa już od jakiegoś czasu ją podejrzewała, bo psuła reputację pozostałym dziewczynom. Sam wiesz, niektóre z nich - ruchem głowy wskazał na szpital - noszą pasy cnoty. Oczywiście, wcale ich nie potępiam, tak samo zresztą jak nie potępiam Susie i jej podobnych, bo w końcu co byśmy bez nich zrobili. To drugie wyjście, moim zdaniem, zawsze zostawia jakiś dziwny niesmak. - Pochylił się nieco i spojrzał na bladą, jakby zamarłą w bezruchu twarz człowieka, którego nazywał swoim przyjacielem. - Pomimo naszego wysokiego morale i opinii na temat tej rzeźni, ciągle jeszcze jesteśmy mężczyznami i mamy typowe dla mężczyzn potrzeby. Wśród nas nie

ma jakichś cholernych świętych. Niektórych uważa się za bohaterów, szczególnie tych, którzy wylądowali w angielskich więzieniach. O tak, oni z pewnością są dla ciebie bohaterami. Nie dalej jak wczoraj słyszałem, jak są traktowani. To niewiarygodne, że Anglicy mogą tak torturować Anglików. Wolałbym znaleźć się u Niemców niż u takich potworów. - Przerwał na chwilę, po czym pochylając się nad przyjacielem powiedział: - Daj spokój. Daj spokój, chłopie. Powiedz coś. Zapomnij o tym. Nie przejmuj się.

Ale Gerald nie był w stanie wydusić z jebie ani słowa. Oderwał się od ściany, wierzchem dłoni przejechał po zakrwawionej brodzie i odwróciwszy się odszedł. A David stał bez ruchu patrząc za oddalającym się towarzyszem. Po chwili schylił głowę i mruknął: - Niech to diabli wezmą!

Nie był głupcem. Nie był również prostakiem, ale wykształconym, inteligentnym człowiekiem. Tak siebie ocenił, kiedy się otrząsnął. Widział bezsens wojny oraz chciwość i głupotę tych, którzy ją wywołali, i tych, którzy ją prowadzili. Jak poganiacze bydła, którzy prowadzili swoje stado na rzeź. Chociaż niezupełnie: oni posyłali swoje stado, swoje bataliony, pozostając gdzieś na tyłach albo nawet w Londynie.

Będąc tak wykształcony, dlaczego nie zastanowił się, jakim cudem, wtedy, za pierwszym razem, ona wykazała się takim doświadczeniem w sztuce tak zwanej miłości? Jak sama przyznała, pragnęła go już od dawna, ale nie powiedziała, chociaż mogła to zrobić, że nie przypominał reszty jej klienteli.

Klienteli.

Mój Boże! Nad czym to on się zastanawiał? Nie był głupcem, był kompletnym idiotą, który planował małżeństwo. Posunął się tak daleko, że nawet zadawał sobie pytanie, jak matka przyjmie jego wybrankę. Jednakże, przypominał to sobie doskonale, miał tutaj pewne wątpliwości. Ale właściwie dlaczego? Nigdy nie zagłębiał się w szczegóły, ponieważ doskonale wiedział, jakich słów użyłaby jego matka, aby ją opisać: nieszczerą i trochę pospolitą. Ale czy to by go powstrzymało, czy zmieniłoby uczucia, jakie do niej żywił?

Co do niej czuł? Czy to była miłość, czy tylko pożądanie? Czy w ogóle można to odróżnić, kiedy jest się w takim stanie?

* * *

W ciągu kolejnych dni wielu kolegów z jednostki zauważyło zmianę w zachowaniu Ramsmore'a. Nigdy nie był zbyt rozmowny, chyba że komuś udało się wciągnąć go do dyskusji na temat literatury czy poezji. Ale teraz prawie w ogóle nie otwierał ust. Aż do chyba 17 marca, kiedy to walczących na froncie żołnierzy przez dwie doby atakowano za pomocą gazu. Właśnie to było trzecim i ostatnim wydarzeniem, które tak nim wstrząsnęło, chociaż nie od razu.

Po pierwsze, był naocznym świadkiem ataków gazowych. Poszkodowani byli w strasznym stanie: stanowili dławiącą się, przyduszoną masę. Przez dwa dni i dwie noce Niemcy bombardowali spory odcinek frontu pojemnikami z gazem. Szybko zorientowano się, że stanowi to jedynie wstęp do zmasowanego ataku. Sanitariusze Czerwonego Krzyża, ochotnicy z jednostki transportu sanitarnego, każdy, kto tylko nadawał się do pomocy, włączył się do działania. Mimo takiego zamieszania, bez trudu zauważono, że Ramsmore nie tylko zaczął się odzywać, ale wręcz nadmiernie przeklinał i bluźnił. Dla Davida, który zdecydowanie wolał, kiedy przyjaciel zachowywał kamienny spokój, było to znakiem nieuchronnego załamania.

W tej wyjątkowej sytuacji pociągi do Rouen kursowały codziennie. Jeżeli wyjeżdżali wieczorem, nie udawało im się dojechać na miejsce przed piątą następnego ranka. Ale najgorsze było to, że po drodze mijali wiele stacji leżących na trasie do Amiens i widzieli setki rannych wyciągniętych na noszach i tysiące mogących chodzić, czekających na jakiś środek transportu.

Kiedy rozeszła się wieść, że Piąta Armia została rozgromiona, wśród żołnierzy zapanował nastrój beznadziei, a wszyscy czekali już tylko na całkowitą klęskę,

tłumacząc sobie, że przecież nie może być już gorzej niż w tej chwili.

Jednakże koniec nie nadszedł tak szybko. Podobnie zresztą jak, ku zdziwieniu Davida, ostateczne załamanie Geralda, który jeszcze przez cały kwiecień i maj był niezwykle rozmowny, chociaż w każdej wolnej chwili można go było zobaczyć zapisującego coś skrzątnie w notesie.

2 czerwca Gerald wysłał do Ministerstwa Wojny w Londynie plik odręcznie napisanych materiałów i ta przesyłka zamknęła pewien rozdział jego życia. Tej nocy położył się na swojej pryczy, a jakiś dochodzący z oddali głos powiedział mu, że nie ma już potrzeby wstawać, i nagle pograżył się we wspaniałej, kojącej ciszy.

Tak więc Gerald Ramsmore, człowiek odmawiający służby wojskowej ze względów sumienia, został powołany nie przed komisję wojskową, ale lekarską, której decyzją znalazł się w szpitalu, gdzie do woli wylegiwał się w łóżku, ponieważ wszelkie próby namówienia go do opuszczenia posłania kończyły się atakiem agresji.

Odurzonego środkami uspokajającymi, na noszach przetransportowano go do Anglii, gdzie natychmiast został skierowany do szpitala. Tak więc nie wiedział nic o planach państw sprzymierzonych, gotujących się do powtórnego natarcia, które ostatecznie nastąpiło w sierpniu, ani o zawieszeniu broni podpisanym 11 listopada.

Część druga

Rozdział pierwszy

Gdzie są robotnicy?

- Dałem im wolne. Później przyjdzie Rob, żeby mi pomóc. Z okazji zwycięstwa w Hollow urządzają małe przyjęcie.

- Jest trzecia po południu.

- Wiem o tym doskonale.

- Nakładasz na siebie zbyt wiele obowiązków. Obydwaj stali przy wejściu niegdyś prowadzącym do starej stodoły. Carl zrobił kilka kroków do przodu, jakby chciał zwiększyć istniejący między nimi dystans. - Tak, rzeczywiście, ale nie byłoby takiej konieczności, gdyby wiele lat temu nie zrzucił pan na mnie całej odpowiedzialności za farmę - powiedział, biorąc głęboki oddech.

- Kiedy ostatnio, jeśli wolno mi o to spytać, zrobił pan cokolwiek sam na tym podwórzu? Przechodzi pan tędy tylko gdy pana gdzieś niesie.

Twarz Warda ze złości stała się prawie purpurowa.

- Zapominasz, z kim rozmawiasz - warknął.

- Bynajmniej. Doskonale pamiętam, z kim rozmawiam. Wiem tylko, że dziesięć lat temu nie śmiałybym się tak odezwać. Ale teraz, kiedy nic i nikt nie obchodzi pana w najmniejszym stopniu, uważam za swój obowiązek powiedzieć, co o tym wszystkim myślę. Od dawna już chciałem to zrobić, a dzisiaj nadarzyła się ku temu doskonała okazja. Pracuję dla pana od trzydziestu lat i dzięki mnie ta farma nie tylko nie popadła w ruinę, ale również zaczęła przynosić znaczne dochody. O tak - zatoczył ręką szeroko, jakby zrzucał z ramion jakiś ciężar. - To właśnie ta moja połowa. Ale mam to w nosie. Mógłbym stąd odejść choćby dziś, a pracownicy poszliby za mną.

- Ha! Poszedłbyś na swoje? Nie rozśmieszaj mnie. Czym byś im zapłacił? Moim ludziom... ubranym w zajęczką skórkę?

- Umawialiśmy się, że będę dostawał część dochodów powyżej pewnej sumy - po chwili Carl odezwał się cicho, lodowatym tonem. - Tak, a poza tym mieliśmy z Patsy swoje pensje, więc trochę zaoszczędziliśmy.

- Ha! Zaoszczędziliście. Wiem doskonale, o jakie sumy chodzi. I o czym tu mówić? Nie byłbyś w stanie utrzymać domu i gospodarstwa z jednym parobkiem, nie wspominając o zwierzętach.

Carl zacisnął zęby. Wiedział, że Ward ma rację. Ale w końcu od czegoś trzeba zacząć, a przecież mógłby liczyć na Mike'a i McNabba. Oni poszliby za nim za

marny grosz, a nawet i bez tego. Nagle coś mu przyszło do głowy. Nie pamiętał, gdzie o tym usłyszał, najpewniej Janie rozgłaszała takie wieści, ale przecież można było znaleźć pracę w Hall, szczególnie że młody panicz z pewnością niedługo poczuje się na tyle dobrze, żeby wrócić do pracy. - Z pewnością nie zaczynałbym od zera - usłyszał swoje słowa. - Mam pewną propozycję z Hall. Mają do objęcia kawałek ziemi i budynki gospodarcze, ktoś musi to poprowadzić. Ale ostrzegam pana, że robotnicy odejdą razem ze mną. Więc co pan na to?

Wardowi na chwilę odebrało mowę. Nie miał wątpliwości, że po odejściu Carla farma popadłaby w ruinę. Nie mógł jednak znieść takiego traktowania. - Gadanie - odpowiedział. - Ta kobieta nie ma dość pieniędzy, żeby wynająć kilku służących, a co dopiero wyposażyć farmę.

Takiej wdzięczności się doczekałem. Zapominasz, ile dla ciebie zrobiłem. Mnie zawdzięczasz to, kim teraz jesteś.

- Tego, kim jestem, w najmniejszym stopniu nie zawdzięczam panu, sir, bo od dnia, kiedy tu przybyłem, pracowałem na swoje utrzymanie, a nawet więcej. To pan jest mi coś winien, bo pan doprowadził moją żonę do kalectwa. Tak, tak, proszę o tym pamiętać.

- Nie poczuwam się do tego. Chciałem uderzyć kogoś innego. Nie doprowadziłem twojej żony do kalectwa. Jak w ogóle śmiesz mówić coś takiego.

- Będę to mówił i to nieraz, nawet na łożu śmierci.

- Nachylił się i rzucił Wardowi w twarz. - Doprowadził pan moją żonę do kalectwa. Mógł ją pan zabić, tak samo zresztą jak dziecko, i to w zupełnie inny sposób niż swoją córkę. Och, może pan robić zdziwioną minę, ale ja wiem swoje.

Ward cofnął się kilka kroków i wymamrotał: - Nie! Chyba postradałeś rozum. Oszalałeś. Mógłbym cię podać do sądu za wysuwanie takich zarzutów. Chyba wiesz o tym?

- Nie zmartwiłbym się tym specjalnie. Widziałem, jak brał pan truciznę z puszek. Ale popełnił pan jeden błąd. W szklance po mleku, która została na umywalce, był osad. A ja nie jestem jedyną osobą, która o tym wie.

Mówiąc to, uświadomił sobie, że mógł wpędzić doktora w poważne tarapaty, więc dodał pośpiesznie: - Zawartość szklanki dałem do analizy chemicznej. I na papierze dostałem opis jej zawartości - zakończył, dając się ponieść wyobraźni.

Carl widział teraz, jak Ward wyciąga rękę, aby oprzeć się o framugę drzwi, ale ten gest nie wzbudził jego współczucia. - Miał pan obsesję na punkcie swojej córki - ciągnął. - Zresztą tak samo jak na punkcie żony. Pan nie mógł się pomylić. Pańska miłość do nich przerodziła się w manię. Ale co pan uczynił dla

dziecka, które urodziła pana córka, a którego pan jest dziadkiem bez względu na to, kto jest jego ojcem? Powiem teraz to, co gnębiło mnie od wiełu lat. Dzięki Bogu, dziewczynka nie odziedziczyła ani charakteru pańskiej żony, ani córki, chociaż pana zachowanie mogło ją wypaczyć. Bóg jeden wie, po kim ma takie cechy, ale to właśnie dzięki nim jest silna i zdecydowana i może się panu przeciwstawić, bo nie boi się pana. Jak sama mówi, jedynym uczuciem, jakie w stosunku do pana żywi, jest nienawiść. A to właśnie pan powinien wiedzieć, do czego może doprowadzić nienawiść. Pierwszą lekcję dostał pan od mieszkańców wsi. Ale ta pierwsza fala nienawiści to nic w porównaniu z tym, co spotkało pana po tym, jak zrujnował pan życie trzem rodzinom, w tym jednej dwukrotnie.

Cofnął się szybko, bo odniósł wrażenie, jakby Ward chciał go uderzyć. Jednak gdy zobaczył Warda odrywającego dłoń od framugi i wyciągającego ją przed siebie jak ślepiec, odezwało się w nim coś na kształt współczucia i poczucia winy.

Został na miejscu i obserwował, jak starszy człowiek przechodzi przez podwórze w stronę frontowego wejścia do domu. Od czasu, gdy Patsy poruszała się o kulach, omijał wejście kuchenne.

Teraz i on musiał oprzeć się o ścianę stodoły. Stał tak przez kilka chwil, wspierając głowę o deszczułki budynku i mocno zaciskając oczy, gdy nagle jakiś głos wyrwał go z odrętwienia.

- Och! Panna Jessie! Przestraszyłaś mnie.

- Carl, czy... czy to prawda? Słyszałam... wszystko słyszałam. Właśnie tędy przechodziłam. - Mogłaby dodać: „Słyszałam tak wyraźnie jak wtedy, wiele lat temu, gdy podsłuchiwałam ciebie i Patsy.” Widząc jak pochyla głowę i nie kwapi się z odpowiedzią, wyszeptwała: - Dobry Boże! Co jeszcze? Ten dom naprawdę jest przeklęty. Ale... ale Carl - złapała go za ramiona - chodzi mi o twoje odejście do lady Lydii. Och, proszę! Proszę, nie rób tego. Nigdzie stąd nie odchodź... Nie mogłabym znieść... - Głos jej się załamał i nie powiedziała dokładnie, czego nie mogłaby znieść. - Nie mogę zostać tu sama, tylko z nim - dodała. - Nie! Nie! Nie miałabym wtedy zupełnie nikogo. Straciłam Janie. Wiem, że już ją straciłam. Straciłam ją kilka lat temu, najpierw... z powodu tego mężczyzny z Hall, a teraz przez jego matkę. Gdybyś również ty odszedł...

- Spokojnie, spokojnie. No, już. - Poklepał ją po dłoni, która ciągle spoczywała na jego ramieniu, i z bólem serca spojrzął na jej zalaną łzami twarz. Doskonale wiedział o beznadziejnym uczuciu. - Nie... ja nie odejdę tak... długo, dopóki wszystko się nie wyjaśni - powiedział, aby ją pocieszyć. - A poza tym - próbował się uśmiechnąć - gdzie znalazłbym kogoś, kto pomaga Patsy z takim

poświęceniem. Jesteś doprawdy niezastąpiona i Patsy to docenia. Nigdy nie będę w stanie należycie ci za to podziękować.

- Podziękować mi? - Odwróciła się do niego plecami, zaciskając wargi. - Ty masz mi dziękować, jeśli, jak sam mówisz, mój ojciec jest całkowicie odpowiedzialny za wypadek Patsy? - Odwróciła się powoli i stojąc twarzą do niego zapytała: - Czy to kiedykolwiek był szczęśliwy dom, Carl? Pamiętasz coś takiego?

Przez chwilę zdawał się nad tym zastanawiać, po czym powiedział: - Wiele lat temu, krótko po przybyciu twojej matki, zanim wieś zaczęła się za to odgrywać. Ale po jej śmierci... Chyba cała radość odeszła razem z nią, przynajmniej z jego punktu widzenia. Chociaż jak ty i Angela byliście małe, czasami jeszcze bawił się z wami.

- Ja... ja tego zupełnie nie pamiętam. Angela rzeczywiście baraszkowała z nim, ale ja nie. Z dzieciństwa pamiętam jedynie uczucie osamotnienia. Potrzebę bycia z kimś, pragnienie posiadania kogoś, kto by mnie kochał. - Spojrzała mu prosto w oczy i zakończyła cicho: - Ale wiesz o tym doskonale, prawda?

Odwróciła się i szybkim krokiem pomaszerowała wzdłuż stodoły w kierunku swojego domku, gdzie ku swemu wielkiemu zdziwieniu spotkała Janie. - Jakos szybko wróciłaś! - zauważyła.

Janie pochylała się nad paleniskiem, aby ogrzać sobie dłonie. - Nie było lady Lydii. Wróci dopiero jutro, bo pojechała odwiedzić pana Geralda.

- Sądziłam, że jeździ do niego raz w miesiącu, a przecież była tam w zeszłym tygodniu, prawda?

- Tak, masz rację. - Wyprostowała się i spojrzała na Jessie. - Może chcą, żeby zabrała go do domu. Możliwe, że on czuje się już wystarczająco dobrze. - Ugryzła się w język, żeby nie dodać: A ty ciociu Jessie, nie byłabyś wtedy zachwycona. Dlaczego, wielokrotnie zadawała sobie to pytanie, dlaczego ciocia Jessie nie lubi pana Geralda? Wiedziała, że ciotka była poruszona wiadomością o jego powrocie z Francji. Ale zauważyła również, jak odetchnęła, kiedy okazało się, że Gerald musi pozostać w szpitalu, i to nie w tym, gdzie leczono rany fizyczne, ale w takim, który zajmował się stanem psychicznym pacjentów. Ona sama nie mogła sobie wyobrazić Geralda jako człowieka niezrównoważonego. Dla niej był zawsze mądry i rozsądny.

- Teraz muszę na chwilę wyjść i pomóc Patsy w kuchni - powiedziała Jessie. - Pani McNabb pojechała na popołudniową herbatkę do Hall. Zostawię ci coś do jedzenia.

- Sama mogę się tym zająć, ciociu Jessie. Wiesz, że potrafię.

- Doskonale, doskonale. Zajmij się sobą. - Odwracając się zawahała się nieco i po chwili zapytała: - A co to za pomysły, że lady Lydia zamierza przekształcić dwór w farmę?

Ta wiadomość tak zaskoczyła Janie, że tylko wpatrywała się w ciotkę w milczeniu.

- W porządku! W porządku! Pewnie zobowiązano cię do zachowania tajemnicy. Ale nie mów mi, że nic o tym nie wiesz, bo Carl przyznał się, że mu proponowano pracę. Myślę jednak, że to bardzo nieładnie podkupywać... pracowników - burknęła. - Sama mogę jej to powiedzieć przy najbliższej okazji. - Odwróciła się na pięcie i wyszła do kuchni.

Lady Lydia zakłada farmę i Carl ma być jej zarządcą? Lady Lydia jest bez grosza. Rozmawiały o tym nie dalej niż wczoraj. Ona sama sugerowała, że byłoby wspaniale, gdyby mogli sobie pozwolić na zatrudnienie dwóch lub nawet trzech robotników, którzy przed przyjazdem Geralda doprowadziliby ziemię do porządku. I jak lady Lydia to skomentowała? Że jej dochody wystarczają jedynie na utrzymanie domu, płacenie odsetek i pensji Nancy. Pieniądze, które dostała od wojska jako opłatę za kwatery, posyłała Geraldowi, który przez te wszystkie lata nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia. Wydawało jej się to dziwne, jako że nawet ranni przebywający w Hollow dostawali renty. A przecież pan Gerald w jakimś sensie został ranny. Musi odkryć, o co w tym wszystkim chodzi. Musi porozmawiać z Carlem.

Zaczekała, aż Jessie dotrze do domu i dopiero wtedy otuliła się płaszczem, włożyła czapkę i wyszła.

Znalazła go w oborze. - Mogę z tobą porozmawiać? - wyszeptała, nachylając się nad nim, kiedy podnosił wiadro mleka.

- W każdej chwili, w każdej chwili - odparł ze śmiechem równie cicho. - Chodźmy do mleczarni. O co chodzi? - zapytał już głośniej.

Odpowiedziała dopiero wtedy, gdy skończył przelewać mleko do chłodziarki. - Właśnie usłyszałam od ciotki Jessie coś bardzo dziwnego. Podobno lady Lydia zaproponowała ci prowadzenie farmy.

Widziała teraz, jak powolnym ruchem nasuwa sobie na twarz szeroki kapelusz. - Dobry Boże! - westchnął.

- Czy to prawda?

- Nie, kochanie, to nieprawda. - Pochylił się nad nią i wyszeptał: - Widzisz, twój... dziadek - zawsze wahał się, gdy miał nazwać łączącą ich więź - doprowadził mnie do furii. Więc postraszyłem go, że zamierzam odejść. Ale kiedy wyśmiał mój pomysł samodzielnego gospodarowania, przypomniałem sobie naszą rozmowę o założeniu farmy w Hall i o tym, co można by zrobić

przed przyjazdem pana Gerałda... Ale to było, zanim znalazł się w szpitalu. Tak mi się coś przypomniało. Powiedziałem więc, że zaproponowano mi pracę. I wiesz co?

- Wyciągnął palec w jej kierunku. - Oni naprawdę mają środki i dostatecznie dużo ziemi, aby założyć małą farmę. Przemyślałem to. Kilku robotników, trochę pieniędzy i mogę się tego podjąć.

- Szkoda tylko, że lady Lydia nie ma takiej kwoty, żebyś mógł cokolwiek zacząć. Ale... co by się stało z tą farmą? Wszyscy wiedzą, że tak naprawdę jest twoja.

- Och, nie, nie. Ja tylko ją prowadzę. Tego jestem pewny. Ale to nie moje gospodarstwo. Chociaż, jak wiesz, po jego śmierci w połowie będzie należała do mnie. Bez wahania bym z tego zrezygnował, gdyby... gdybyśmy wszyscy mogli być trochę szczęśliwsi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Tak, Carl, tak. Wiem, o co ci chodzi - pokiwała głową ze zrozumieniem.

- Oczywiście, oczywiście - powiedział łagodnie. - Wiem, dziewczyno. Tak, wiem. Ty też przeżyłaś tutaj ciężkie lata. Wiesz, kiedy tak patrzę na ciebie, to trudno mi uwierzyć, że masz dopiero czternaście lat. Jesteś tak dorosła, jak niewiele osób dwudziestoletnich. To nie jest w porządku. - Wyciągnął rękę i poklepał ją po policzku. - To, że nie miałaś ani dzieciństwa, ani młodości, też nie jest w porządku - dodał.

- Wcale nie przeszkadza mi to, że nie miałam dzieciństwa. A jeśli chodzi ci o młodość, to ja nie czuję się dziewczyną. - Odwróciła głowę i mówiła dalej: - Jakiś czas temu spotkałam na drodze kilka dziewcząt. Rozmawiały między sobą, śmiały się. Pewnie właśnie wyszły ze szkoły. Wyglądały na jakieś czternaście lat, ale mnie wydały się takie głupie. Były... naprawdę nie wiem, do kogo mogłabym je porównać, ale z pewnością ja nie jestem do nich podobna. I... kiedy je mijałam, stanęły i wpatrywały się we mnie, jakbym była jakimś dziwadłem. - Wzruszyła ramionami. - Pewnie miały rację. Tak, z pewnością.

- Nie mów tak, kochanie, nie mów. Teraz tak nie mów. Jesteś normalną śliczną dziewczyną, która za kilka lat będzie błyszczała w towarzystwie.

Uśmiechnęła się do niego. - Wiesz, co zrobiłam, kiedy tak stały jak słupy? Przedfilowałam przed nimi, a potem odwróciłam się szybko i krzyknęłam: „Huu! huu!” A one rozbiegły się jak przestraszone króliki. Wiesz - wyraz jej twarzy i ton zmieniły się teraz - powinnam się była roześmiać, ale nie mogłam. Było mi smutno, tak samo jak wtedy, gdy w zeszłym roku opowiadałam ci o tym starym człowieku, stojącym koło przełazu. A... a kiedy któregoś dnia podszedł do mnie, wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać i powiedział: „Witaj, kochanie.” Pamiętasz?

- Tak, tak. Pamiętam.

- Ciągłe nie wiesz, kto to mógł być?

Poruszył językiem, nie mogąc wydać z siebie żadnego dźwięku. - Nie, nie - zapewnił. - Nigdy nie udało sini się tego odkryć. Ale chyba później już go tam nie spotykałaś?

- Nie, nigdy więcej go nie widziałam.

Nie, z pewnością nie, pomyślał. Biedny pan Mason, człowieka, którego rodzinę dziadek tego dziecka doprowadził do rozpadu. Jego córka nadal przebywała w szpitalu dla obłąkanych, najstarszy syn włóczył się Bóg wie gdzie, a żona umarła z rozpaczy. On sam został z jednym synem na gospodarstwie, które dawniej przynosiło dwukrotnie większy dochód. Staruszek pewnie chciał zobaczyć dziecko, które mogło być jego wnuczką; było bowiem bardzo prawdopodobne, że to właśnie jego syn jako pierwszy zniewolił jej matkę, ponieważ to właśnie on naprawdę nienawidził Warda Gibsona.

- Wiesz coś na temat powrotu pana Geralda do domu? - zapytał teraz.

- Z pewnością nie wróci w tym roku - odparła, kręcąc przecząco głową. - Lady Lydia mówi, że może w przyszłym.

- Co jemu naprawdę dolega?

- Nie wiem. Słyszałam tylko, że nie był ranny, ale do nikogo się nie odzywa. Wiesz, to mi się wydaje dziwne, bo pamiętam, jak lubił prowadzić długie pogawędki, zupełnie tak jak ja. - Uśmiechnęła się do niego. - Zawsze mam ochotę pogadać z kimś, ale nigdzie mi się to nie udaje z wyjątkiem Hall.

- Masz tam wiele okazji, żeby sobie porozmawiać?

- Uśmiechnął się do niej szeroko.

- O, tak. Lady Lydia chyba lubi, jak dużo mówię. Ale

- jej ton i wyraz twarzy zmienił się teraz - wolę, jak to ma sens. Wiesz, o co mi chodzi? Gdy kiedyś powiedziałam o tym lady Lydii, uśmieła się do łez. I powiedziała: „Nigdy nie przestawaj, nigdy nie przestawaj mówić z sensem.” Ja... ja bardzo lubię lady Lydię. Bardziej niż ją - dodała z przekonaniem, odwracając się i odchodząc.

A Carl znowu został na miejscu i myślał: Tak, ta dziewczyna musi kogoś bardzo lubić i odwrotnie, ktoś musi ją obdarzać taką samą sympatią. Bez wątplenia Jessie ją kocha, ale nie może jej lubić, bo jej praktycznie nie zna. Kochając ją, nadal traktuje ją jak owoc diabelskiej trójcy.

Rozdział drugi

Bardzo cię boli, skarbie? - Och, jak leżę, prawie nic nie czuję. Tyle, że bardzo kłuje mnie w piersiach.

- To tylko twoja wina. Tkwisz w kuchni, gdzie są takie przeciągi.

- Nie bądź niemądry. - Klepnęła go po rękę. - Przeciągi w kuchni, rzeczywiście! A może przeciągi w mleczarni. Tam się tego nabawiłam. - Z grymasem bóiu westchnęła. - Idą święta.

- Nie przejmuj się świętami. Pani McNabb zadba o wszystko, a panna Jessie zajmie się resztą.

- To przecież kolejna osoba, która powinna się znaleźć w łóżku. Wygląda na zupełnie wyczerpaną.

- No cóż, nie tyle jest wyczerpana pracą, co zmartwieniami - zauważył Carl.

- Myślisz, że Rob mówił prawdę, że widział Pete'a Masona?

- Nie wiem, ale sędzę, że nie. Zresztą, czy by go poznał po prawie piętnastu latach? Zawsze krążyły jakieś pogłoski na jego temat. Pamiętasz, jak dwukrotnie mówiono, że został zabity w czasie wojny - to był doskonały sposób, żeby się go pozbyć. Kilka miesięcy temu z kolei miał zbiec z wojska. Zresztą z tego, co mówi Mike, Rob miał tego wieczoru nieźle w czubie.

- Aż strach pomyśleć. Mogę zrozumieć, że panna Jessie denerwuje się o Janie.

- Och, trudno mi sobie wyobrazić, żeby mógł jej coś zrobić... No, wiesz. - Uniósł dłonie w pełnym ekspresji geście i dodał: - Nie zwracaj sobie nimi głowy. Ja i tak martwię się tylko o ciebie. Musisz sobie uświadomić, że pozostaniesz w łóżku nie przez kilka dni, ale jak sugeruje doktor Patten, kilka tygodni, albo nawet dłużej. - Pochylając się nad nią, dodał: - A może, kochanie, zrobiłabyś tak, jak on ci radzi i poszła do szpitala? Oni tamx czynią cuda. Dzięki wojnie mieli dość praktyki. Niektórzy pacjenci myśleli, że już nigdy nie staną na nogach, a teraz maszerują o własnych siłach. Możliwe, że dopasowaliby ci jakiś gorset.

- Tak. Tak, kochanie. Słyszałam o tym, ale nie wydaje mi się, żeby to było coś dla mnie. A teraz posłuchaj. Czuję się dobrze. Zrobię... zrobię, co mi każą. - Z trudem łapiąc powietrze, mówiła dalej: - Nie mam innego wyjścia. W końcu nieźle sobie radziłam na moich drewnianych nogach, dopóki to mnie nie dopadło. - Stuknęła się w piersi. - Kiedyś już miałam bronchit, ale nigdy nie czułam się tak źle jak teraz. A teraz wracaj do swoich spraw, szanowny panie, i pozwól mi zająć się tym, na co mam ochotę, to znaczy czytaniem gazety. Cześć!

- Sięgnęła po leżące na kołdrze pismo. - Z tego, jak w niektórych miejscach przygotowują się do świąt, można by wywnioskować, że nigdy tam nie mieli

wojny - stwierdziła. - Mam wrażenie, że zupełnie wyleciało im z głowy, że w połowie domów nie będzie mężczyzny, który mógłby udawać świętego Mikołaja, czy powitać Nowy Rok. O tak, będzie bardzo wesoło, ale tylko dla niektórych.

- Nie można zmienić przeszłości, ale teraz dochodzi do głosu następne pokolenie. Oni też chcą się bawić, szczególnie ci, którzy żywi powrócili z wojny. Ale wracając do nowego pokolenia, w oborze powinienem mieć wkrótce kilka nowych sztuk. Muszę zaraz sprawdzić, czy już je przywieziono. - Wierzchem stulonej dłoni delikatnie stuknął ją w brodę i poszedł do obory.

W kuchni pani McNabb powitała go głośnym:

- Niech pan spojrzy na to! - wskazując na tacę.

- Prawie nie tknięte, skubnął tylko trochę bekonu i grzanki. Panie Carlu, on odmawia jedzenia. A ja się tak staram.

- Oczywiście. Oczywiście, że się pani stara. Proszę się nie przejmować, zje jak zgłodnieje.

- Nie jestem taka pewna, panie Carlu. Nie nabierze ochoty na jedzenie, jeśli będzie siedział całymi dniami w pokoju. Rusza się z miejsca dopiero pod wieczór. Czy pan wie - pochyliła się do niego konfidencjonalnie

- McNabb twierdzi, że znowu widział go, jak po ciemku wychodził z cmentarza.

- On często chodzi na cmentarz.

- Pewnie, tylko że teraz jest zupełnie inaczej. McNabb mówi, że się nie zdziwi, jeśli któregoś dnia znajdą go nieżywego na jakimś grobie.

Słyszając tę uwagę, Carl mógł jedynie pokiwać głową, ale nie powstrzymał się przed myślą: nie byłoby to takie złe rozwiązanie. Może wtedy zabrałby ze sobą tę straszną klątwę, która ciąży nad tym domem, jako że najpewniej wieś nie zapomni i nie przebaczy Wardowi Gibsonowi, dopóki on będzie żył. Nawet on sam, kiedy czasami musiał przyjechać przez wieś, na własnej skórze odczuwał strach, który z pewnością był udziałem Warda.

Na podwórzu spotkał Jessie i Janie, pochłonięte kolejną potyczką na słowa. - Jest tyle rzeczy, którymi powinnaś zająć się tutaj - mówiła Jessie. - Wiesz, że potrzebujemy do pomocy każdej pary rąk.

- Mówiłam ci już, ciociu Jessie, że zaraz wrócę. Chciałabym tylko się spotkać z lady Lydią, zanim wyjedzie. Mam prezent dla pana Geralda.

- Znam to twoje niedługo. Mam... mam już dość tych ciągłych wycieczek w tę i z powrotem... Coś trzeba z tym zrobić.

Janie odsunęła się kilka kroków od Jessie, po czym odwracając się do niej, stwierdziła buntowniczo: - Tak. Tak. Coś trzeba z tym zrobić. Na przykład mogę tam zamieszkać na stałe. Bardzo bym tego chciała. Tak, naprawdę. Chciałabym.

Odwróciła się na pięcie i pognąła przez podwórko, zostawiając Jessie bezradnie spoglądającą na Carla.

- No i co ja mam z nią zrobić?

- Zostaw ją w spokoju. Wyrośnie z tego.

- Och, Carl - Jessie potrząsnęła głową, jakby chciała wytrząsnąć z niej jakąś bezmyślną odpowiedź. - Chyba chodzi ci o to, że będzie jeszcze gorzej - mruknęła i energicznie pomaszrowała w kierunku kuchni, a Carl wciągnął łyk lodowatego powietrza, pokiwał głową i udał się z powrotem do obory...

Janie natomiast wpadła do Hall, które teraz powoli wracało do swego poprzedniego wyglądu, ponieważ mniejsze meble poustawiano na dawnych miejscach. Spojrzała w górę i nagle się zatrzymała. U szczytu schodów ukazała się lady Lydia. - Och, bałam się, że już pani nie zastanę! - wykrzyknęła dziewczynka.

- Taksówka podjedzie dopiero za piętnaście minut. Zdyszałaś się, dziecko.

- Chciałam panią prosić o przekazanie mu tego - powiedziała, wręczając jej zawiniętą w brązowy papier paczkę. - Mężczyźni nie lubią takich ozdóbek, ale to chyba lepsze niż sznurek - stwierdziła, wskazując na wąską szarą wstążeczkę z jedwabiu.

- Och, jestem pewna, że nawet tego nie zauważy. Ale wejdź do salonu, tam jest trochę cieplej. Mogę cię zapytać, co chcesz mu podarować?

- Zrobiłam szalik na drutach. Mam nadzieję, że mu się spodoba, chociaż nie jestem zbyt zręczna. To znaczy, ściegi nie są specjalnie równe. Czasami coś mi się rozłaziło, a czasami nitki są bardzo ściśle, wyglądają zupełnie tak samo, jak ja się wtedy czułam. - Roześmiała się. Jej śmiech z latami stawał się coraz bardziej zaraźliwy, a i teraz lady Lydia nie pozostała nań obojętna. Otoczyła dziewczynkę ramieniem i zastanawiając się, jak te ostatnie ponure lata wyglądałyby bez tego dziecka, pociągnęła ją w stronę kanapy stojącej w pobliżu ognia. Woląла nie zastanawiać się, jak puste byłoby wtedy jej życie.

- Zapyta... zapyta go pani, czy następnym razem mogłabym tam z panią pojechać? - wyszeptała.

Lady Lydia odpowiedziała równie cicho: - Tak. Tak, kochanie. Z pewnością go o to zapytam. - Mówiąc to, już znała odpowiedź: brak odzewu i to niewidzące spojrzenie jego oczu. Mimo to czuła, że chociaż nie pokazuje tego nawet drgnięciem dłoni, to jednak jej obecność sprawia mu przyjemność. Jej serce jak

zawsze przepelniały miłość i żal, które przy jego boku zamieniały się w ciężący jej na piersiach kamień.

- Czy wróci pani jutro, czy może tym razem zostanie pani nieco dłużej?

- Och, sądzę, że jutro będę z powrotem. Pogoda jest bardzo niepewna, a mówiłam ci, że szpital jest w pewnym oddaleniu od miasteczka. Nie chciałabym, żeby mnie tam zasypało.

Nie, och, nie, nie zniósłaby tego. Pomimo całej swej miłości do syna ból, jaki odczuwała widząc go w takim stanie, był dla niej do zniesienia tylko przez kilka godzin.

A poza tym, tam byli również inni, ci pozostali biedacy. Czy w ogóle istniał jakiś Bóg w niebiosach, który pozwolił tym ludziom trwać, jeśli ich ciała i umysły były tak zmasakrowane?

Powiedziano jej, że gdyby Gerald poczuł się chociaż odrobinę lepiej, natychmiast przeniesiono by go gdzieś bliżej, na przykład do Highgate, a wtedy mogłaby widywać się z nim choćby co tydzień. Ale czy on kiedykolwiek będzie w lepszym stanie? Niektórzy z tych nieszczęśników przebywali tam od pierwszego miesiąca wojny...

- Co powiedziałaś, kochanie? - odezwała się, kiedy w końcu dotarł do niej głos dziewczynki.

- Mówiłam, że zastanawiam się nad pewnym pomysłem. Chodzi o farmę, która zaczęłaby przynosić dochody zanim on wróci do domu. Chyba spodobałby mu się ten pomysł?

- O, tak. Tak, jestem o tym przekonana. Ale... ale przecież już o tym rozmawialiśmy i...

Janie poklepała ją po dłoni spoczywającej na jej kolanie i z podnieceniem mówiła dalej: - Teraz chodzi mi o inne rozwiązanie. Nie potrzebowałybyśmy tyle pieniędzy. No, tylko trochę, a pani wspominała, że ma pani jakąś niewielką kwotę zaoszczędzoną z myślą o jego powrocie. W końcu, chyba pieniądze nie muszą ciągle leżeć w banku?

Lady Lydia odrzuciła głowę w tył i wybuchnęła śmiechem. - Wiesz, kochanie, naprawdę mogę sobie wyobrazić, że któregoś dnia będziesz zarządzała jakimś wielkim przedsiębiorstwem lub domem - powiedziała, przytulając ją do siebie. - Naprawdę zarządzała, jako właścicielka.

- Hm, hm! Ja jakoś nie mogę wyobrazić sobie siebie w takiej roli, lady Lydio, to nie dla mnie. Chciaż - odsunęła się lekko i wyprostowała dumnie - z wielką przyjemnością kierowałabym ludźmi pracującymi w ogrodach, tak jak to teraz robi Carl. Carl znakomicie daje sobie radę z pracownikami. Nie stawia żądań:

nie mówi, zrób to czy tamto, ale zawsze powtarza „my”. „Sądzę, że powinniśmy to zrobić. A jakie jest wasze zdanie w tej sprawie?”

- Och, Janie. - Roześmiała się znowu.

- Co panią tak rozbawiło?

Lady Lydia zakasłała, prawie się krztusząc, a w końcu zdołała wyrzucić z siebie: - Posłuchaj mnie, dziecko, jestem absolutnie przekonana, że kiedyś w przyszłości ty również będziesz mówiła „powinniśmy to zrobić”, i to nie tylko ogrodnikom. - Podniosła się z kanapy, pociągając za sobą Janie.

Jednak Janie nie od razu puściła jej rękę. Powoli rozejrzała się po pokoju, jakby się nad czymś zastanawiała. - Nigdy nie chciałabym prowadzić żadnego przedsięwzięcia ani niczego w tym rodzaju. Wie pani, co naprawdę chciałabym robić?

- Nie, kochanie, nie wiem.

- No... tak naprawdę...

- No, powiedz mi, co byś tak naprawdę chciała robić.

- Chciałabym mieszkać tu z panią do końca życia.

- O Boże. Boże. - Lady Lydia pochyliła posiwiałą głowę, a po jej pomarszczonych policzkach płynęły łzy.

- Och! Ja, ja nie chciałam doprowadzić pani do płaczu! - wykrzyknęła Janie, przytulając ją do siebie. - I... i naprawdę nie chciałam być, jakby to pani określiła - szukała odpowiedniego słowa - zadufana w sobie. Po prostu... tutaj czuję się bardziej u siebie niż... - Głos jej się załamał i cichutko wyjąkała: - Przepraszam.

- Moje drogie dziecko, nie masz mnie za co przepraszać. Popłakałam się ze wzruszenia. Powiedziałaś mi coś naprawdę wspaniałego. Ale teraz spójrz na mnie.

- Cofnęła się kilka kroków, wycierając oczy koronkową chusteczką. - Właśnie wybieram się w podróż i o ile się nie mylę, szofer właśnie daje mi znak, że przyjechał. O Boże! Gdzie są moje rękawiczki? O, tutaj. I paczki. Spokojnie, spokojnie. Prosto włożyłam kapelusz?

- Pani ma zawsze dobrze włożony kapelusz - powiedziała Janie już z uśmiechem. - I zawsze wygląda pani wspaniale. Czy przekaże pani panu Geraldowi pozdrowienia ode mnie i zapyta, kiedy wróci do domu?

- Oczywiście, kochanie. Wszystko mu powiem. Cztery godziny później z pewną atencją i pośpiechem poproszono lady Lydię do pokoju siostry przełożonej.

- Z pewnością miała pani bardzo męczącą podróż przy takiej mroźnej pogodzie - zauważyła przełożona, wstając z krzesła i wyciągając do niej dłoń. - Proszę usiąść. - Po czym, zwracając się do stojącej przy drzwiach siostry,

dodała: - Proszę o kawę dla lady Lydii. Dla mnie również. Wiem, że przed chwilą piłam, ale nie mogę się oprzeć. - Uśmiechnęła się szeroko i ponownie zajmując miejsce za biurkiem, zauważyła: - Przygotowujemy się już do Gwiazdki. - Ale widząc wyraz twarzy lady Lydii, zmieniła ton i dodała: - Brzmi to zupełnie niedorzecznie, prawda? Ale dla wielu z nich to ogromna atrakcja.

- Mogłabym się dowiedzieć, czy zaszły jakieś zmiany? To samo pytanie zadawała przy okazji każdej wizyty.

- Z przykrością stwierdzam, że nie, ale musimy czekać - odparła siostra przełożona. - To zadziwiające, jak szybko może nastąpić poprawa w takich przypadkach, jak pani syna. Wie pani, często myślę o pierwszych wersach Psalmu 130:

Z głębokości wołam do ciebie Panie!

Panie! Wysłuchaj głosu mego!

Nakłoń uszu swych na głos błagania mego!

- Czasami mam wrażenie, że Bóg nagle wysłuchuje naszych modlitw i błagań. O, nasza kawa.

Dziesięć minut później siostra przełożona przekazała opiekę nad lady Lydią swojej młodszej koleżance, która z uśmiechem poprowadziła ją korytarzem składającym się prawie z samych drzwi. Lady Lydia nie po raz pierwszy odwiedzała to miejsce i z przerażeniem myślała o wejściu do sali chorych.

Kiedy pielęgniarka otworzyła przed nią drzwi, jakieś dziwne buczenie zaatakowało jej uszy. Czasami miała wrażenie, jakby wchodziła do ptaszarni zamieszkaną przez stada drozdów, kakadu i innych ptaków. Dźwięki nie były zbyt donośne, przypominały jednostajne buczenie. Jak zwykle skierowała wzrok na swego syna, który siedział w najodleglejszym kącie pokoju. Przygnębiający widok tych ludzi był nie do zniesienia. Takich uczuć wcale nie budziły w niej wykrzywione bólem twarze, ani powykręcane lub pozbawione rąk albo nóg ciała, ale ci, którzy uśmiechali się do niej łagodnie, jak dziecko na widok matki. Ten obrazek zawsze wyrażał to samo: Podejź i przytul mnie. Proszę! Podejź i przytul mnie. Weź mnie w ramiona.

Czasami wyciągały się do niej jakieś ręce i wtedy musiała ze wszystkich sił walczyć ze sobą, aby nie odskoczyć w popłochu. Niekiedy ścisnęła i poklepywała jakąś dłoń. Zdarzało się również, że pielęgniarka musiała pomóc jej wyswobodzić się z uścisku.

Potem dotarła do swego syna. Siedział w wygodnym fotelu stojącym obok małego stolika, który, jak zauważyła już za pierwszym razem, był przymocowany do podłogi, zresztą tak samo jak inne meble.

- Witaj, kochanie. - Uścisnęła jego bezwładną dłoń leżącą na kolanach. - Jak się czujesz? - Och, gdyby kiedyś przyszło jej do głowy coś innego. Ale co?

- Przywiozłam ci prezenty. - Wskazała na stół, ale ze strony Geralda nie było żadnej reakcji.

Przez kilka minut siedziała, gładząc go po rękę i wpatrując się w jego nieruchomą, wychudzoną twarz. Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżała, wydawało jej się, że ma coraz głębiej zapadnięte oczy. Po chwili przesunęła wzrokiem po sali. Gdzieś widać było pielęgniarki. Wszystkie wydawały się w doskonałym humorze. Jedna z nich siedziała z pacjentem przy stoliku i pokazywała mu, jak się robi papierowe łańcuchy. Mężczyzna śmiał się, a jego palce gmerały w kawałkach papieru, nieudolnie naśladowując jej ruchy.

I w takim miejscu jej ukochany syn miał spędzić resztę życia. To było nie do zniesienia, nie do zniesienia. Nagle sięgnęła do stołu i biorąc do ręki prezent od Janie, zapytała: - Zgadnij, kto ci to przesyła? Sama zrobiła to na drutach. - Ale ponieważ nie usłyszała żadnej odpowiedzi, sama rozsupłała wstążkę, rozwinęła papier i wyjęła biało-niebieski krzywo dziergany szalik. - Zobacz, jaki śliczny i mięciutki - powiedziała, kładąc mu go na rękę. - Będziesz mógł go nosić spacerując po ogrodzie. Musiała poświęcić na to bardzo dużo czasu, bo jak widzisz niezbyt dobrze radzi sobie z drutami. Ale powiem ci, że ma wiele pomysłów na temat założenia farmy, jeszcze przed twoim powrotem do domu. A w ogóle, to chciałaby cię odwiedzić następnym razem...

Nie potrafiła powstrzymać krzyku, kiedy jego dłoń nieoczekiwanie uniosła się i odrzuciła ją na bok. Ale i tak nie zagłuszyła przeciągłego dźwięku przypominającego ryk rannego zwierzęcia, który wydobył się z jego otwartych ust. - Neeee...ee! Niec.ee!

Natychmiast zjawily się dwie pielęgniarki, które starały się go powstrzymać. Nagle głowa mu opadła i rozkaszał się tak, że miała wrażenie, iż się udusi. Przez cały czas, kiedy chwycił się za gardło, ona stała tam bez słowa. Potem widziała, jak pielęgniarki wyprowadzają go z sali. Idąc za nimi, nadepnęła na szalik i paczkę, która spadła ze stolika. Sięgnęła po nie i przyciskając do piersi razem z torebką, wybiegła z pokoju.

- Wszystko będzie w porządku. Wszystko będzie w porządku - powtarzała pielęgniarka, kiedy dotarła do jego sypialni. - Może zechciałaby pani przejść do poczekalni? - Jakby w odpowiedzi na jakiś niewidzialny sygnał zjawila się kolejna siostra i biorąc ją pod ramię wyprowadziła na korytarz i dalej, do niewielkiego przyjemnego pokoiku. - Proszę tu chwilę odpocząć - powiedziała. - Siostra przełożona jest właśnie na obchodzie lekarskim. Podać pani coś do picia?

Lady Lydia spojrzała na nią w milczeniu. - Filiżankę herbaty? - powtórzyła siostra. - Zaraz pani przyniosę. To zawsze pomaga - dodała, wychodząc z pokoju.

Siedząc tam, straciła poczucie czasu. Myślała, że spędziła tam całe godziny, a w rzeczywistości po dwudziestu minutach do pokoju weszli lekarz i siostra przełożona, oboje szeroko uśmiechnięci. - To dobra nowina - powiedział doktor od progu. - Zdecydowany przełom. Jak to się stało?

- Co... co jak się stało?

- Co mu pani powiedziała, że to wywołało taką reakcję? Czy może zrobiła?

Zastanowiła się przez chwilę, próbując sobie przypomnieć. - Nie, nic specjalnego. Po prostu opowiedziałam mu o prezencie, który przysłała dla niego nasza młoda przyjaciółka. Zrobiła mu szalik na drutach - przerwała na chwilę - a potem powiedziała mu, że dziewczynka chciałaby się z nim zobaczyć. Wtedy on... nastąpiła w nim jakaś zmiana. I krzyknął coś, jakby „Nie! Nie!”

- To naprawdę było „nie, nie”.

- Ale potem miałam wrażenie, że się dusi. Pan... pan, doktorze, mówił, że on nie zatrul się gazem, ale... ale to tak wyglądało, jakby...

- Nie zatrul się gazem, lady Lydio. Rozmawialiśmy już o tym. Przeżył trudne chwile, pełniąc tak długą służbę w pociągu sanitarnym. A potem ta fala poszkodowanych w wyniku ataków gazowych. Widział tyle cierpień... Jestem pewny, że właśnie to go załamało. Gdzieś w głębi serca ciągle przeżywa ich cierpienia. I chociaż przez pewien czas próbował zachować obojętność, to jednak ciągle pamięta o tych okropnościach. Ale - doktor potarł częściowo wyłysiałą głowę - to najlepsza wiadomość, jaką dzisiaj usłyszałem. To taki trudny przypadek, nie poddający się terapii. Lady Lydio, dzisiaj może pani z nadzieją wrócić do domu. Wiemy już, że nie stracił zdolności racjonalnego myślenia. Ale - unióś palec w ostrzegawczym geście - poprawa będzie powolna i proszę od razu nie spodziewać się cudów. I kto wie, za jakiś czas może wróci do domu.

Lady Lydia spojrzała na siostrę przełożoną, która z uśmiechem zdawała się przypominać jej psalm:

Z głębokości wołam do ciebie Panie!

Panie, wysłuchaj głosu mojego!

Nakłoń uszu swych na głos błagania mego!

Wysłuchał jej błagania.

Kiedy ponownie spojrzała na uśmiechniętą siostrę, wyszeptała coś na kształt: „głosu błagania mego” i rozplakała się.

- Bardzo dobrze - odezwał się doktor. - Nic tak nie uspokaja jak płacz, szczególnie po usłyszeniu dobrych wieści. Może pani teraz spokojnie wracać do domu.

Szybko otarła łzy. Jego słowa podziałały na nią jak balsam. Teraz rozmawiał z nią tak, jakby po prostu mogła wyjść stąd razem ze swoim synem, a przecież przed chwilą przypominał, że rekonwalescencja może być bardzo długa. Ale powinna być wdzięczna. I rzeczywiście była. Ale teraz pragnęła już tylko podzielić się z Janie tą wiadomością. Tak, powiedzieć Janie, ale nie o tym, że nie chciał się z nią widzieć i że sama myśl o spotkaniu z nią wyrwała go z niebytu. Och, nie, nie o tym.

Osiódmego rano 2 stycznia 1919 roku robotnik pracujący na farmie, przechodząc na skróty przez cmentarz, prawie się potknął o człowieka leżącego na grobie twarzą do ziemi. W świetle latarki zauważył, że mężczyzna opiera zakrwawioną głowę o ozdobne marmurowe obramowanie grobu.

Rozdział trzeci

Robotnik pośpieszył na plebanię, gdzie wyciągnął z łóżka pastora George'a Dixona, następcę pastora Traceya, człowieka zdecydowanie innego kalibru.

Twarz ofiary była tak zmasakrowana, że ani pastor, ani robotnik nie potrafili jej rozpoznać; w związku z tym pośpiesznie zawiadomiono policję. Pastor nie miał jednak wątpliwości, że mężczyzna jest martwy i że dość długo leżał w chłodzie na dworze, ponieważ wskazywało na to zasinienie skóry i skrzepnięcie krwi.

Policja przybyła wczesnym przedpołudniem. Na początku zjawiał się posterunkowy, ale natychmiast posłał po swego szefa, który z kolei przybył w towarzystwie kolejnego policjanta. Do tego czasu pojawił się również Philip Patten. Od pierwszej chwili nie miał wątpliwości, kim jest ofiara, jeśli w ogóle można użyć tego słowa. Jednak uznał, że będzie to jasne dopiero wtedy, gdy zbada ciało, co zresztą uczynił w kościele jakiś czas potem. Jeszcze później pojawił się lekarz policyjny, ale na jego werdykt należało czekać znacznie dłużej. Najpierw musiał obejrzeć murek otaczający grób. - To był potężny mężczyzna - stwierdził: - Pewnie potknął się i uderzył o to. - Wskazał na marmurowe obramowanie. - Z pewną pewnością mógł w ten sposób doznać takich obrażeń, ale gdyby nie był sam, może by przeżył. Na pewno leżał tutaj przez całą noc, bo jest zupełnie sztywny.

- Mówi pan, że to znany wszystkim farmer?

- Tak, Ward Gibson. Jego farma jest jakąś milę stąd - powiedział Philip Patten.

- Pewnie był pijany jak bela - ktoś wyciągnął kolejny powierzchniowy wniosek.

- Z pewnością przyszedł na grób żony.

- Tak?... Och, tak. Gibson. Bardzo dziwne. Tak? Co pan o tym sądzi? - Ale Philip już nic nie dodał, a mężczyzna z zadowoleniem wrócił do swoich przypuszczeń. - Tak, takie uderzenie na pewno spowodowało uraz czaszki. A na jego ciele nie ma żadnych innych śladów wskazujących, że ktoś mógł go zaatakować. Na terenie wokół grobu nie znaleziono żadnych śladów walki. A ślady stóp ze względu na mróz są nadal widoczne. - Pokiwał głową, patrząc pod nogi. - Gdyby tutaj stoczono jakąś walkę, ziemia byłaby wydeptana. Trzeba teraz powiadomić jego rodzinę.

- Już kogoś do nich posłano.

Kiedy wracali w stronę kościoła, lekarz policyjny zagadnął: - Jest więc pan tutaj już od jakiegoś czasu? Przejął pan praktykę po starym Wheatleyu?

- Tak, rzeczywiście.

- Ten to był chodzącą flaszką. - Mężczyzna roześmiał się. - Spotkaliśmy się kilkakrotnie. Naprawdę mógł sporo wypić.

- Tak - zgodził się Philip Patten - naprawdę mógł sporo wypić.

Przed samym wejściem do kościoła mężczyzna odwrócił się. Przed oczami miał teraz bramę cmentarną i część ulicy. - Różne rzeczy opowiadają we wsi, prawda? - zauważył. - Czasami w opowieściach starych bab tkwi jakieś ziarenko prawdy. - Ale nie słysząc żadnego komentarza, stwierdził zgryźliwie: - Ta sprawa powinna okazać się morderstwem, bo dopiero wtedy doskonale pasowałaby do tej całej historii, prawda?

Philip Patten zareagował dopiero teraz, a w jego głosie wyraźnie słychać było gorycz: - Rzeczywiście, to by doskonale pasowało. Tak, z pewnością.

Carl przybył w towarzystwie trzech mężczyzn pracujących na farmie, aby zabrać ciało do domu. Jessie przyszła razem z nimi. To właśnie ona miała zidentyfikować zwłoki. Po ich odejściu pozostał tylko Philip i pastor.

- Czy mógłby mi pan poświęcić kilka minut, doktorze? - zapytał duchowny.

- Tak. Tak, oczywiście - odparł Philip.

- Chodzi... chodzi mi o coś, czego chyba nikt nie zauważył. Ale zastanawiam się, co pan o tym sądzi, ponieważ ja naprawdę nie wiem, co mam myśleć. Wyjaśnię to panu, jeśli wrócimy ma cmentarz.

Stali teraz przy grobie, a pastor, wskazując na kamienną tablicę, zapytał: - Czy widzi pan tam coś szczególnego?

Philip spojrzał na wykute w kamieniu litery i stwierdził: - Zupełnie zwyczajny napis „Ku pamięci”.

- Tak, tak - pastor wtrącił pośpiesznie. - Zupełnie zwyczajny. Ale może pan przeczytać całość?

Philip pochylił się nad omszałym kamieniem i odcyfrował:

Ku pamięci Agamy Hamilton, która żyła 49 lat i opuściła ten okrutny świat zabierając swoje troski do Boga 2 maja 1872 roku. Niech spoczywa w spokoju.

- No i?

- Dziwne jest tylko to, że w słowach „Ku pamięci” litery są bardzo wyraźne, a reszta jest prawie nieczytelna - powtórzył. Ponownie pochylił się nad grobem i spojrzał na dwa słowa wieńczące płytę. - Wygląda, jakby ktoś specjalnie je wyczyścił - zauważył. - Kawałkiem papieru ściernego albo czymś podobnym. Ale przecież - zwrócił się w kierunku pastora - od czasu do czasu odświeża się wszystkie groby.

- W tej starej części wcale nie tak często. Co najmniej od dwóch lat nie prowadzono tutaj takich prac. A pan sam, doktorze, wie, że on był chyba

najbardziej znenawidzonym człowiekiem w okolicy. Sprowadził nieszczęścia nie tylko na własny dom, ale., ale również na inne. A ta wieś, ku mojemu wielkiemu niezadowoleniu, jest bardzo podatna na wszelkie zabobony, a jeżeli ktoś odkryje, że właśnie te słowa zostały wyczyszczone, to całe zamieszanie zacznie się od nowa.

Spojrzał na stary grób, zamrożone kwiaty i wrywając jeden z nich, strząsnął trochę ziemi z korzenia. Z kieszeni wyciągnął chusteczkę, omotał nią palec i kilkoma ciemnymi grudkami przetarł dwa słowa. Philip Patten, widząc jego poczynania, pomyślał, że gdyby ten człowiek był pastorem w czasach, gdy Ward poprosił o ogłoszenie zapowiedzi, pewnie połowa z tych zdarzeń nigdy nie miałyby miejsca. Och, pozostawała jeszcze Daisy Mason, ale świadomość, że jej działania są ogólnie potępiane, z pewnością pohamowały jej żądę zemsty. A teraz ten miły człowiek wytrzepał chusteczkę, zwinął i włożył do kieszeni. - To może być zbieg okoliczności - powiedział odwracając się - ale kiedy wcześniej czytałem nazwisko Hamilton widniejące na tym nagrobku, pamiętałem, że gdzieś wcześniej obito mi się o uszy. A mam taką dziwną naturę, doktorze, że zawsze usiłuję dojść do sedna sprawy, jeśli wie pan, o co mi chodzi. Sprawdziłem w rejestrze kościelnym i okazało się, że nazwisko panińskie pani Mason brzmiało Hamilton.

- Nie!

- Ale chyba musimy o tym zapomnieć? Prawda, doktorze?

Philip powoli kiwnął głową, podczas gdy przed oczami ukazał mu się obraz dwóch silnych, okrutnych rąk, uderzających głowę Warda o kamienną tablicę. Ktokolwiek to uczynił, nie mógł zrobić tego w pojedynkę, ponieważ nie zauważono żadnych śladów walki. Ktoś musiał go najpierw powalić i dopiero potem przenieść na grób. I najpierw to zaplanował.

Z rodziny Masonów pozostał jedynie Seth Mason, ale on jest słabeuszem, przynajmniej w pojedynkę. A Pete nie żyje... Czy aby na pewno? Od czasu do czasu rozchodziły się wieści, że właśnie wrócił do domu i ukrywał się, przynajmniej tak było do chwili, kiedy z Ministerstwa Wojny przyszedł list zawiadamiający o tym, że „zaginął, a najprawdopodobniej został zabity”. Chyba we Francji. Jeżeli wymknął się sprawiedliwości, to po co, na Boga, miałby tu wracać? Ale nienawiść, podobnie jak miłość, może czynić cuda. A czyż nie są znane przypadki, kiedy ludzie udawali zanik pamięci, aby zniknąć w tłumie rannych?

Wszystko to było bardzo dziwne i raczej przerażające. Ward nie żył, a z jego rodziny pozostała jedynie panna Jessie i dziewczynka. Nie znał uczuć Jessie w

kwestii śmierci ojca, ale mógł sobie wyobrazić, że dziecko, uwolnione od tyranii dziadka, może tylko się cieszyć.

- Niezbyt często widuję pana na mszy - zauważył pastor, kiedy dwaj mężczyźni udali się z powrotem.

Philip odwrócił się do niego z nikłym uśmiechem na twarzy i odparł: - Niezbyt często mam na to czas. Jak pan wie, pastorze, mam bardzo czasochłonne zajęcia. Ale postaram się... w przyszłości.

- Bardzo proszę. Bardzo proszę. Będzie mi bardzo miło.

Pożegnali się przy wejściu do kościoła czując, że rozumieją się nawzajem.

Rozdział czwarty

We wsi mówiono, że dzień pogrzebu Warda Gibsona powinno się uczcić kolejną herbatką z okazji zwycięstwa, ponieważ Bóg, uznając, że powinien umrzeć na cmentarzu, wskazał mu należne miejsce.

Odetchnęły również przyjazne mu rodziny, no, może z wyjątkiem Freda Newberry, który stwierdził, że od samego początku Ward zachowywał się jak głupiec lokując swoje uczucia w Newcastle.

Twierdzono również, że mieszkańcy farmy także odczuli ulgę, gdyż zniknął wiszący na ich życiem złowieszczy całun. W żadnej innej sytuacji ulga ta nie była tak widoczna, jak wtedy, gdy Carl i Jessie usiedli przy łóżku Patsy, aby porozmawiać o przyszłości.

Testament został już odczytany. Jego treść nie zmieniła się od czasów, kiedy Ward faktycznie przekazał Carlowi zarządzanie farmą. To, że teraz był prawnym właścicielem połowy majątku, wydawało mu się bardziej nierzeczywiste niż złożona niegdyś obietnica, o której można było zapomnieć. W gruncie rzeczy wcale nie byłby zdziwiony, gdyby Ward zmienił testament po jego pamiętnym wybuchu przy stodole.

Teraz burzliwie naradzano się nad sytuacją Jessie i jej przyszłym miejscem zamieszkania. - Tutaj jest nam całkiem wygodnie - stwierdziła Jessie. - Pomyśl tylko, Patsy, co dla ciebie oznaczałby powrót do tamtego domu. Przez cały czas musiałabyś mieć kogoś do pomocy. Wiesz, że mam rację. Tutaj masz pod ręką panią McNabb i mnie, a Carl kręci się po podwórku, podczas gdy...

Patsy odwróciła opartą o poduszkę głowę i podniosła dłoń, chcąc powstrzymać Jessie. - Tutaj jest twoje miejsce - stwierdziła. - Tamte domki, nawet połączone, to dziupła. A poza tym jest jeszcze Janie, ona...

- Tak, jest Janie. Ale pozwól, że ci powiem, że nie mogłabym tu wrócić, nawet gdybym chciała, bo ona nie chce o tym słyszeć. Czy wiesz, że od czasu, kiedy się stąd wyprowadziłyśmy, ona przekroczyła próg tego domu tylko raz, i sama wiesz, kiedy to było. Zresztą - wzięła głęboki oddech i pokręciła głową - możesz mi wierzyć lub nie, ale ona postawiła mi ultimatum: jeżeli ty i Carl wróćcie do domku, ona nieodwołalnie przeniesie się do Hall. Nic jej nie powstrzyma, ja z pewnością nie. Trudno mi to przyznać, ale mam wrażenie, jakbym żyła z dorosłą osobą, a ona ma dopiero czternaście lat. Zresztą ona pewnie tylko czeka na pretekst, aby się tam przenieść. Ma obsesję na punkcie tego domu i tych dwojga. Dzięki Bogu, nie ma tam teraz tego szaleńca.

Po raz pierwszy Carl odezwał się ostrym tonem: - Och, nie... Wiesz, że nie o to chodzi. Przecież on cierpi na coś w rodzaju szoku po ataku gazowym. Boże, miej go w swojej opiece.

- Rzeczywiście, szok! - powtórzyła Jessie niechętnie.

- On nigdy naprawdę nie był na wojnie. Uchyłał się od służby wojskowej.

- Nie bądź głupia - wtrącił Carl. - Z tego, co słyszałem, to wielu z nich wykonywało najbardziej parszywe zadania. Byli w samym sercu walk, nosili rannych i tak dalej.

Patsy odwróciła się do nich i z uśmiechem zauważyła:

- Klóćcie się. To doskonały początek. Wiesz, powinnaś się cieszyć, że ona ma jakieś zainteresowania - dodała, zwracając się do Jessie. - Co ona miała tutaj za życie jako dziecko? Naprawdę serce mi pękało, kiedy widziałam, jak zamykała ją w tym waszym domku. A tutaj było jeszcze gorzej, bo nie wychodziła poza sypialnię.

Jessie wpatrywała się w swoje palce, skubiące niewidzialne nitki spódnicy. - Wiem, wiem, ale co miałam robić? - wymruczała. - Pozwolić jej biegać po całym domu, żeby ciągle natykała się na ojca? Ich spotkanie na dworze skończyło się dostatecznie źle. - Nie dodała już: A ty leżysz tu przykuta do łóżka jako dowód wzajemnych uczuć.

Ale Patsy nie podjęła tego wątku, tylko spoglądając na Carla powiedziała: - Pamiętasz, jak zawsze żartowałeś, że należy zostawić wszystko tak jak jest? Tym razem chcesz zrobić to samo.

Carl roześmiał się i spoglądając na Jessie zapytał:

- Status quo? - Widząc, jak unosi brwi i z uśmiechem kiwa głową, zorientował się, że tak samo jak Patsy nie ma pojęcia, co oznacza to wyrażenie. Nie miała zwyczaju czytać nawet codziennych gazet, chociaż ostatnio on sam nie robił wiele więcej. - No! To do roboty - powiedział ochoczo. - Zostawiam was obie, żebyście mogły sobie porozmawiać, ale ja powinienem wracać do pracy. Ktoś musi to robić. - Wykrzywił twarz w żartobliwym grymasie i odwróciwszy się wyszedł z pokoju.

Janie musiała na niego czekać przed domem, bo już za progiem zapytała go prosto z mostu: - Carl, czy mógłbyś na chwilę iść ze mną do wozowni?

Zamykając za sobą drzwi wozowni, natychmiast usprawiedliwiła swoją prośbę: - Nie chcę, żeby ciocia Jessie widziała, że z tobą rozmawiam. Jak zwykle wypytywałaby mnie, o czym mówiliśmy - dodała marszcząc nos, a potem zadziwiła go kolejnym pytaniem. - Ile płacisz robotnikom pracującym na farmie?

- Ile płacę robotnikom? Och, to zależy. Odkąd skończyła się wojna, całkiem nieźle zarabiają. Jesteśmy żywicielami narodu - powiedział, dumnie wypinając pierś.

- W końcu nas doceniono. Ale chcesz wiedzieć, ile im płacę. Mike i McNabb dostają trzydzieści pięć szylingów tygodniowo. Rob trzydzieści trzy. Sezonowi robotnicy zatrudniani w lecie oczywiście mają stawki godzinowe.

- Czy kobiety dostają tyle samo?

- Och, nie. - Energicznie potrząsnął głową. - Kobiety nigdy nie zarabiają tyle co mężczyźni, ponieważ nie wykonują tak ciężkiej pracy.

Zastanowiła się przez chwilę i odparła: - W lecie pracują równie ciężko. Ustawiają snopki, grabią razem z mężczyznami.

- Nie będziemy chyba rozprawiać o polityce? - powiedział, klepiąc ją delikatnie po policzku. - Dlaczego to cię tak interesuje?

- Och - wzruszyła ramionami, ale odpowiedziała na jego pytanie. - Nie myślałam, że dostają aż tyle. A co się dzieje, jeśli tutaj mieszkają, no wiesz, zapewniasz im mieszkanie i jedzenie?

- Och, wtedy płacę trochę mniej, w zależności od ich doświadczenia.

- Tylko dziesięć szylingów?

- No, nie. Nie znalazłbym nikogo za taką sumę, nawet z mieszkaniem i wyżywieniem. Ale dlaczego to cię tak interesuje?

- Chyba mogę ci powiedzieć. Myślałam o... no, chciałam zasugerować lady Lydii zatrudnienie kogoś, może nawet dwóch osób, które mogłyby popracować w polu i trochę przygotować ziemię. W tym roku mam zamiar zebrać wszystkie owoce... Pewnie będę potrzebowała pomocy. Zawekujemy je i potem sprzedamy, tak jak robiono to, kiedy jeszcze pan Gerald był na miejscu. W czasie wojny, gdy w domu stacjonowali żołnierze, a dzieciaki ze wsi ciągle coś podkradały, niewiele dla nas zostawało. Ale teraz będzie zupełnie inaczej. Nie dostaną się na teren posiadłości, bo żołnierze naprawili ogrodzenie. Wcześniej to chyba taranowali je swoimi ciężarówkami. W każdym razie, z tym mamy spokój, trzeba tylko zrobić porządek z ziemią.

Położył jej dłonie na ramionach i spoglądając prosto w twarz, powiedział: - Zamierzasz podjąć się poważnego zadania, tak? A wiesz, że jeszcze powinnaś się uczyć?

- Och, Carl, codziennie mam lekcje. Historię, geografię, arytmetykę, angielski. Ona... ona przerabia ze mną takie dziecinne tematy. Naprawdę byłaby zdziwiona, gdyby wiedziała, co czytam w Hall.

- No, jakie książki czytasz? - zapytał z uśmiechem.

- Och, różne, o bożkach i boginiach. I powieści, cudowne opowieści. Ale chyba żadnej nie skończyłam, bo nie mogę tak długo usiedzieć w jednym miejscu. - Odwróciła się od niego i podeszła do wiszącego na ścianie siodła. Gładząc je odezwała się: - Nigdy nie zamieszkałam w tamtym domu po drugiej stronie podwórza, Carl. Nawet po jego śmierci ciągle mam wrażenie, że on tam jest. Wiesz, co bym najchętniej z tym wszystkim zrobiła? Podpaliła, ułożyła stos pogrzebowy jak w Egipcie, a potem rozsypałabym popiół na jego grobie.

- Och! Och, Janie, nie powinnaś o tym myśleć. Och, moja droga.

- Kiedy ja tak właśnie myślę, Carl. Nienawidziłam go, kiedy jeszcze żył i moje uczucia nie zmieniły się po jego śmierci. Coś jeszcze ci powiem. Bez względu na to, który z tych trzech mężczyzn był moim ojcem, z pewnością nie był tak okrutny jak on, tak zimny. Nienawidził mnie, dlatego, że ci mężczyźni zrobili to mojej matce, a ja byłam owocem ich zbrodni. Ale oni skrzywdzili moją matkę tylko dlatego, że przez niego siostra jednego z nich wylądowała w szpitalu dla wariatów.

- Ciii! Cii! - Znowu złapał ją za ramiona. - Nie powinnaś o tym rozmyślać. Nie powinnaś o tym rozmawiać. A poza tym, ona poszła do szpitala, ponieważ twojemu dziadkowi zrobiła wiele złego. W pewnym sensie zabiła twoją babkę. Można na to spojrzeć z dwóch stron. Ty powinnaś starać się zrozumieć swojego dziadka.

- Ja... doświadczyłam jego uczuć na własnej skórze, Carl. Kiedy byłam małym dzieckiem, myślałam, że to ze mną jest coś nie w porządku i muszę być zamykana w domu. A... ja chciałam być kochana i - zagryzła wargę - miłość cioci Jessie mi nie wystarczała. Trudno mi to wytłumaczyć. Ona zawsze powtarzała, że mnie kocha, a potem za coś mnie karała.

- Miała swoje powody, kochanie. Pragnęła cię ochronić.

- No, tak - szeroko rozłożyła ramiona - teraz i tak to się nie liczy, przynajmniej nie bardzo. Poznałam siebie, już dość dawno temu. Jestem... inna. Wiem, że tak jest. Ale - na jej twarzy pojawiło się przyjemne zdziwienie - któregoś dnia zagadnęła mnie jedna z dziewcząt ze wsi. Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że je kiedyś przestraszyłam? To była ta najwyższa. Szła sobie samotnie drogą i nagle zatrzymała się i zaczęła ze mną rozmawiać.

- Co ci powiedziała?

- „Cześć”. Tak się zdziwiłam, że jej nie odpowiedziałam. A potem dodała: „Ale dzisiaj zimno, prawda?” Zgodziłam się z nią. A potem usłyszałam: „Do widzenia” i sama też powiedziałam: „Do widzenia”.

- Kiedy to było? - zapytał cicho.

- Och, przedwczoraj.

No! No! Czyżby wysunął się cień tkwiący w sercach wieśniaków i dziewczynka w końcu zostanie zaakceptowana? Ale czy ona chce być zaakceptowana? Czy oni zdają sobie sprawę, że mają do czynienia z kimś obdarzonym równie silną osobowością, co jej dziadek, ale pozbawionym jego mściwości?

- Jeżeli... jeżeli lady Lydia zdecyduje się kogoś zatrudnić - dobiegł go jej głos - to czy mógłbyś... kiedyś przy okazji przyjść i powiedzieć, co o nim sądzisz? Chodzi o to, czy ten człowiek może wykonywać ciężką pracę i czy ma dobry charakter?

Odgarnął włosy i przykładając do czoła dwa palce, potwierdził: - Do usług, madam. W każdej chwili, za darmo.

Kiedy śmiejąc popchnęła go leciutko, on złapał ją za ramiona i mocno objął. - Zawsze, kiedy będziesz potrzebowała pomocy, możesz na mnie liczyć i nie będę żądał żadnej zapłaty - powiedział żartobliwie. Przepychając się nawzajem, wybuchali śmiechem. A Mike, który właśnie przechodził przez podwórko, opowiadał później, że od dnia, kiedy zaczął tutaj pracować, nie słyszał tak radosnego śmiechu.

Rozdział piąty

Ze sprzedaży owoców i dżemów zarobiliśmy w tym roku siedemdziesiąt cztery funty, a do Bożego Narodzenia został jeszcze miesiąc.

- Tak, kochanie - lady Lydia pokiwała głową. - Udało nam się tylko dzięki Carlowi, który był tak miły i wypożyczył nam swoją ciężarówkę i kierowcę. Ale nie możemy się spodziewać, że wykorzystamy go w czasie świąt i...

- Wcale go nie wykorzystujemy. On jest zadowolony, kiedy może nam pomóc. To go odrywa od... wspomnienia Patsy. Myślę, że ciągle pogrążony jest w głębokim smutku, chociaż minęło już ponad siedem miesięcy. Sam powiedział, żebyśmy go tylko poprosiły. A mając te pieniądze, może pani wynająć kogoś do pomocy. Od czegoś trzeba zacząć.

- To by oznaczało konieczność kupowania większej ilości jedzenia, kochanie, a mężczyźni naprawdę mogą dużo zjeść. A poza tym musiałabym wypłacać mu tygodniówkę, a czytałam, że niektórzy żądają nawet dwóch funtów tygodniowo.

- Myślę, że ten nie byłby taki wymagający. A poza tym, Carl powiedział mi, że jeśli zaoferujemy mieszkanie i wikt, to możemy płacić nawet połowę tego.

- Ale, kochanie, gdzie mogłybyśmy go położyć? Pokoje nad stajniami od lat nie były używane. Są zawilgocone i...

- Jeśli ktoś służył w wojsku, powinien być przyzwyczajony do trudnych warunków. Zresztą szybko mógłby doprowadzić sobie te pomieszczenia do porządku. W końcu jest młody i silny, nie taki jak ci starcy, którzy przychodzili z prośbą o jałmużnę. Ale z pewnością ma dziurawe buty. Muszą być dziurawe, bo zauważyłam, że jedna podeszwa prawie mu odpadła.

- Chyba nic się przed tobą nie ukryje, kochanie - powiedziała lady Lydia z westchnieniem. - Ale jest jeszcze jeden problem. Nie wydaje mi się, abym była w stanie ich dopilnować, wydawać polecenia, sprawdzać, czy wykonali pracę. A poza tym, teraz, kiedy Gerald jest bliżej domu, co tydzień wyjeżdżam przynajmniej na jeden dzień.

- Ja nie mam oporów przed wydawaniem poleceń.

- Tak, rzeczywiście - lady Lydia chrząknęła znacząco.

- Ale pomimo swego wzrostu - wyciągnęła palec w kierunku klęczącej u jej stóp wysokiej dziewczyny - pomimo swego wzrostu i zachowania, jesteś nadal bardzo młoda i ci mężczyźni tak będą na ciebie patrzyli.

- Szybko zmieniają zdanie.

- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteś okropnym dzieckiem - lady Lydia chrząknęła jeszcze głośniejsze.

- Oczywiście, że tak. Ale, lady Lydio, ja nie czuję się dzieckiem. Chyba w ogóle nie pamiętam takiego uczucia.

Uśmiech zniknął z twarzy starszej kobiety. - To wielka szkoda.

- Nie, wcale nie, bo ja zauważam rzeczy, których nie widzą te tak zwane dziewczyny. To znaczy... no, ja nie jestem głupia.

- Nie - słysząc było kolejne chrząknięcie - daleko ci do głupoty. Ale wracając do sprawy, nie mam ochoty w to się wplątywać. Lepiej jeszcze raz poprośmy o pomoc Carla. Niech tu przyjdzie i sprawdzi tego twojego kandydata, bo ja się na tym nie znam.

- No, ale będzie pani musiała mu płacić.

- Tak, ja będę mu płaciła, ale ty będziesz nadzorowała jego pracę. Wspominałaś coś, że nie masz już porannych lekcji?

- Tak, już od jakiegoś czasu. W zasadzie od śmierci Patsy, bo ciocia Jessie jest zajęta remontem domu.

- Ale ciągle mieszka w tym domku? To znaczy obie tam mieszkacie?

- Mówiłam już pani, prawda? Nigdy nie zamieszkam w tamtym domu. Ona pewnie tak. O, tak - pokiwała głową - pewnie kiedyś tam się przeprowadzi.

- Och, daj już spokój! Zapytaj pana Carla, czy mógłby tu wpaść, żeby ze mną porozmawiać i zobaczyć tego człowieka. A kiedy pokażesz mu, gdzie może spać, pewnie i tak szybko zmieni zdanie.

- Wątpię. Wystarczy na niego spojrzeć. - Pochyliła się leciutko i delikatnie pocałowała lady Lydię w policzek. - Kocham panią - wyszeptała. A potem, niczym typowa młoda dziewczyna, uciekła z pokoju. Lady Lydia, kręcąc głową, po raz chyba setny zadawała sobie pytanie, co by bez niej zrobiła. A z drugiej strony, gdyby nie ona, Gerald już od dwóch miesięcy byłby w domu. Podczas którejś wizyty wspomniała mu, że Janie jedynie śpi u siebie, a praktycznie z nią mieszka, rozweselając cały dom.

Do tej chwili już od kilku tygodni rozmawiał z nią sensownie, chociaż bardzo powoli. Ale wtedy, gdy siedzieli w ogrodzie, dostał jednego ze swoich ataków duszności. Jego stan nie był bardzo poważny i nie wymagał pomocy medycznej, ale wskazywał na zdenerwowanie. Później, kiedy nieco się uspokoił, wyjaśnił jej: - Jeśli... jeśli kiedykolwiek wrócę, to... z pewnością nie do domu. Ja... nie chcę nikogo widywać. - Pochylił się nad nią i dokończył prawie agresywnym tonem: - Czy... ty... to rozumiesz, mamó? Nikogo! Wrócę... wrócę tylko do chaty... do chaty drwala... sam, albo... w ogóle... nie wrócę.

Nie mogła zapomnieć pasji brzmiącej w jego głosie.

Kiedy później rozmawiała z doktorem, okazało się, że w każdej chwili może go zabrać ze szpitala. Zdaniem lekarza, nadal może być zamknięty w sobie i

niechętny towarzystwu, ale przydałoby mu się jakieś zajęcie. Tak, nie ma żadnego powodu, aby tam zostawał, chyba że sam tego pragnie. On nie będzie go namawiał ani do pozostania, ani do wyjazdu. - Można powiedzieć, że jest jednym z tych przypadków, które udało nam się wyleczyć - powiedział z uśmiechem. - Możemy sobie tylko życzyć podobnych sukcesów.

Jednak już sama myśl o odsunięciu Janie ze swego życia była dla lady Lydii nie do zniesienia, tak samo zresztą jak wizja syna egzystującego w zrujnowanej chacie drwała.

Boże! Boże! Czowała się taka stara i zmęczona. W przyszłym roku skończy siedemdziesiąt lat i co takiego osiągnęła w życiu? Małżeństwo z rozsądku, aby mieć dziecko, i to jakie dziecko! Takie, które straciło rozum z powodu moralności.

* * *

Dom był jak wymarły. Mimo to od śmierci ojca robiła wszystko, aby przywrócić go do dawnej świetności, a nawet wprowadzić zmiany na lepsze: wymieniała zasłony i obicia, przestawiała meble, przy okazji pozbywając się niektórych, na przykład łóżka w pokoju ojca, czy posłania, które niegdyś dzieliła z Angełą. Na ich miejsce nie wstawiła nic nowego. Carl nocował w jednej z dwóch wolnych sypialń. Ona sama nadal mieszkała w domku, ale tylko z powodu uporą Janie.

Teraz kuchnia opustoszała, ponieważ, przynajmniej w zimie, pani McNabb wychodziła o piątej, razem z mężczyznami. Chociaż i tak jeden z nich lub obydwaj wracali o pół do siódmej, aby pomóc jej w wieczornych pracach. Ale teraz, o szóstej, nie było nikogo ani w domu, ani w ich domku, ani na całej farmie. Carl pojechał do Hall, aby zobaczyć się z człowiekiem, którego lady Lydia zamierzała zatrudnić, aby - według słów Janie - oczyścić teren.

Jessie przeszła do oświetlonego gazową lampą holu, potem korytarzem do dawnego gabinetu ojca, który później został przerobiony na sypialnię Carla i Patsy, a teraz był przytulnym małym salonikiem. Ogień w kominku przygasał, ale nie od razu dorzuciła drewna. Opierając dłonie o półkę nad kominkiem, wpatrywała się w swoje odbicie w lustrze. Jej twarz była blada i pociągła. Miała trzydzieści trzy lata, ale gdyby sama spotkała kobietę o takim wyglądzie, z pewnością nie dałaby jej mniej niż czterdziestkę. Nigdy nie odznaczała się specjalną urodą. Kiedyś Carl obiecywał jej, że wypięknieje, gdy dorośnie, ale z pewnością mówił tak tylko przez uprzejmość. Wszystkie zalety ciała dostały się Angeli i zostały zmarnowane. Jej życie też zostało zmarnowane.

Kiedy straciła nadzieję, że kiedykolwiek zdobędzie Carla, wszystkie swoje uczucia przelała na to zrodzone z okrucieństwa dziecko, ciągle się łudząc, że

dziewczynka odpłaci jej tym samym. Ale sprawy potoczyły się zupełnie inaczej. Ograniczenia, które nałożyła na dziecko, w efekcie zabiły całą jego miłość. A teraz ją straciła. Och, straciła ją już dawno temu: odebrał ją ten mężczyzna, potem jego matka, a teraz ich dom... A co z Carlem? Wyglądało na to, że powtórzy się historia jej ojca, który głęboko w sercu ukrył żalobę, jakby chciał ochronić swą utraconą miłość. A sam Carl zachowywał się bardzo podobnie i nigdy nie wspominał Patsy. Był dla niej miły i uprzejmy, jak opłacany zarządca.

Z przerażeniem przypominała sobie jego wyjazdy do Newcastle, gdzie mógłby zobaczyć na plakacie jakąś tancerkę, do której zapalałby gorącą miłością, wręcz nieprzytomną, tak samo jak jej ojciec. Tak, to samo mogłoby przytrafić się Carlowi, ponieważ w ciągu ostatnich trzech tygodni trzy razy jeździł do Newcastle i nigdy nie wspominał w jakim celu.

Oszalałaby, gdyby ożenił się ponownie. Tak, z pewnością by oszalała. Pokiwała do swego odbicia w lustrze. Wróciłaby do swego domku, zamknęła się na klucz i zwariowała tak jak Angela.

Zadrzał płomień w wiszącej po prawej stronie lampie, tak samo zresztą jak jej odbicie, ponieważ potrząsnęła głową i otworzyła usta, jakby chciała zaprzeczyć swojej ostatniej myśli. Nie! Nie! O czym ona myślała?

Podniosła wzrok w momencie, gdy po jej policzkach potoczyły się łzy. - O Boże! Jestem taka zagubiona, taka samotna. - wyszeptała. - Proszę cię, bez względu na to, co się stanie, nie pozwól mi zrobić niczego głupiego. - Czując dławienie w gardle, nie mogła już dłużej przyglądać się swojemu odbiciu. Właśnie miała zamiar odwrócić się, kiedy nagle na korytarzu usłyszała czyjeś kroki. W panice opadła na kolana, złapała szczyptę i sięgnęła do mosiężnego kubelka wypełnionego bryłami węgla, który stał w pobliżu kratki. Słyszając odgłos otwieranych drzwi, nawet nie odwróciła głowy.

- O, tutaj jesteś! - wykrzyknął Carl. - Właśnie odprowadziłem Janie do domku. Kiedyś będzie z niej doskonała gospodyni. A propos, ten człowiek jest znakomitym kandydatem i bez wahania zgodził się na funta tygodniowo plus utrzymanie. Powieka mu nawet nie drgnęła, kiedy zobaczył, w jakim stanie są te pokoje nad stajniami. Co najdziwniejsze, był całkiem zadowolony i stwierdził, że wkrótce będą w idealnym porządku. I ciągle mi dziękował, aż musiałem mu powiedzieć, że posadę zawdzięcza tylko i wyłącznie tej młodej damie.

W tym momencie przerwał, obserwując zmagania Jessie, która usiłowała rozdmuchać płomień. Ale nie odezwała się ani nie odwróciła głowy nawet wtedy, gdy pomiędzy bryłkami węgla pojawiły się nikłe płomyki.

- Coś się stało? Dobrze się czujesz? - zapytał, pochylając się nieco.

- Wszystko w porządku - bardziej wyczuł niż usłyszał. Ale kiedy podniosła się z kolan, nie odwracając się do niego, wziął ją za ramię i delikatnie przesunął, aby spojrzeć jej w oczy.

- O co chodzi, Jessie? - zapytał łagodnie, widząc jej zalaną łzami twarz i pochyloną głowę.

Odsunęła się od niego, sięgnęła po batystowy fartuszek przykrywający wełnianą sukienkę i energicznie wytarła oczy, ciągle nie odzywając się ani słowem.

Teraz przytrzymał ją za obydwa ramiona, tak aby musiała spojrzeć mu prosto w twarz. - Przepraszam... - wymamrotała. - Nie mogę się opanować. Ja... czuję się taka zagubiona w tym domu i w ogóle. Nie ma tu żywej duszy. Jestem zupełnie sama. Chyba... chyba urodziłam się, żeby żyć samotnie. Już... już straciłam Janie, a teraz...

- Nie mogła zmusić się do kłamstwa i powiedzieć „Patsy”, ponieważ już od dawna zdawała sobie sprawę z tego, że dni Patsy są policzone i chociaż przez te wszystkie lata szczerze ją pokochała, to jednak wraz z jej śmiercią pojawiała się dla niej nowa nadzieja: znowu mogła mieć Carla, który powinien być się nią zainteresować, chociażby szukając pocieszenia. Ale tak się nie stało, on nie potrzebował jej litości. - Ty... ty prawie nigdy się do mnie nie odzywasz - wyrzuciła z siebie. - Nie zauważasz, że... w ogóle istnieję.

- Och, Jessie, Jessie. - Wyciągnął dłoń i przytulił ją do jej mokrego policzka. - Wiem, że istniejesz, kochanie - powiedział cichym, nabrzmiętym wzruszeniem głosem.

- Doskonale wiem, że istniejesz. Ale... tak niewiele czasu upłynęło... to znaczy... wiesz, że byłem głęboko związany z Patsy i... teraz bardzo mi jej brakuje. Ale wiem, że nie można żyć będąc otoczonym cieniami zmarłych. A ona... też by tego nie chciała, sama tak twierdziła. Przed samą śmiercią powiedziała mi - głos zmienił mu się jeszcze bardziej - „Bądź szczęśliwy i nie żyj samotnie. Nikt... nie powinien być samotny”. - Nie dodał już: „Od samego początku wiedziała o twoich uczuciach do mnie”, ponieważ wtedy natychmiast wtrącił: „Żadna kobieta nie zajmie twojego miejsca”. A ona uśmiechnęła się i przypomniała mu, co mówiła jej matka: w sercu jest miejsce dla wielu osób.

- Minęło już siedem miesięcy - ciągnął. - Ja... pewnie byłoby mi łatwiej, gdybym potrafił o niej porozmawiać, ale jakoś... nie mogę się otworzyć. Wiesz co? Ostatnio dwa razy byłem w Newcastle, upiłem się do nieprzytomności, ale to nic nie pomogło.

Łzy ciągle płynęły po jej policzkach, ale teraz już znacznie wolniej. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł jej twarz. - Zrobimy z tym porządek, co Jessie?

- Tak, Carl - zgodziła się cicho. Dopiero wtedy jego słowa i łagodny ton przerwały tamę.

Łkając głośno, drżała na całym ciele, a on trzymał ją w ramionach, tak samo jak wiele lat temu, kiedy poprosił, aby pozwolono mu przytulić maleństwo. Wtedy w jakimś sensie została mu przeznaczona. Nawet piękna Angela nie mogła zająć jej miejsca, chociaż ona sama uparcie w to wątpiła. Ale potem zjawiała się Patsy. Kochana, droga Patsy. Teraz Patsy odeszła, a on trzymał w ramionach kobietę, która niegdyś była tym dzieckiem i wiedział, że nie wolno mu jej wypuścić, ponieważ należała do niego od dnia swoich urodzin.

Rozdział szósty

Lady Lydia spoglądała na stojącą przed nią wysoką młodą dziewczynę, ubraną w długi ciemny płaszcz z futrzanym kołnierzem. Zielony aksamitny kapelusz dopełniał stroju, okalając twarz, w której błyszczało dwoje brązowych, szeroko rozstawionych oczu, zwieńczonych wygiętymi brwiami. W porównaniu do szerokich ust nosek wydawał się raczej niewielki, a ściągnięte do tyłu i schowane pod kapeluszem włosy przykrywające uszy, miały nieco ciemniejszy odcień niż oczy. Trudno było nazwać tę twarz piękną, czy nawet ładną, ale z pewnością było w niej coś interesującego. Już same oczy przykuwały uwagę, zresztą tak samo jak ona cała: sposób, w jaki stała, trzymała głowę, wysunięty do przodu podbródek - wszystko to razem było świadectwem ciekawej osobowości.

- Och, kochanie, wyglądasz cudownie. No i jak było?

- Świetnie. Wspaniale. Wyglądali na bardzo szczęśliwych. - Pokiwała głową. - Tak, sprawiali wrażenie szczęśliwych. A ciocia Jessie... no - Janie roześmiała się lekko - wyglądała bardzo młodo. Nigdy jej takiej nie widziałam. A Carl... był taki przystojny. Pojechałam z nimi na stację. Odwiózł nas McNabb. Razem z żoną zaopiekują się domem przez ten tydzień.

- W podróż poślubną wybrali się do Devon?

- Tak, to dla obojga pierwszy w życiu wyjazd dalej niż kilka mil od domu. I... kiedy wrócą, dom będzie zupełnie inny... Myślę... że szczęśliwszy. Ale - nagle spoważniała - ja nie zamierzam tam mieszkać. Powiedziałam im już, że doskonale dam sobie sama radę w domku. A poza tym - uśmiech ponownie rozjaśnił jej twarz - przecież i tak jestem tam raczej rzadko, prawda? Ciocia Jessie twierdzi, że przez mój upór McNabbowie i Rob ze swoją rodziną nie mają przyzwoitego domu. Ale mogłabym znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji i przeprowadzić się tutaj, prawda? - Na jej twarzy znowu zagościł szeroki uśmiech.

- Ale co by twoja ciotka na to powiedziała?

- Och, do tej pory, sama pani wie, mówiła, że jestem wszystkim, co posiada. To głupie, prawda? Nikt nie jest niczyją własnością.

- Och, moja droga. - Starsza kobieta poklepała ją po dłoni. - Jesteś za młoda, żeby wygłaszać takie teorie. Ale sądzisz, że teraz, kiedy twoja ciotka wyszła za mąż, zmieni zdanie?

- Tak. Myślę, że tak, ponieważ teraz ma już kogoś innego, kogoś, kogo zawsze pragnęła. Wydaje mi się, że kochała go przez całe życie. Trzymał ją w ramionach zaraz po urodzeniu, więc w jakimś sensie rościła sobie do niego prawo. Zresztą tak samo jak ja. Chodziłam za nim krok w krok. Był dla mnie jak

ojciec, dopóki nie poznałam... pewnego miłego człowieka. Jak on się wczoraj czuł? - dodała poważniejąc.

- Och, naprawdę znakomicie. On... dużo teraz rozmawia, i to zupełnie normalnie.

- Więc dlaczego nie wraca do domu?

- Już... już ci mówiłam, kochanie.... Nie może znieść towarzystwa innych ludzi.

- Ale przecież w szpitalu też jest otoczony ludźmi.

- Tak, tak, masz rację, ale to coś zupełnie innego. Oni mu nie przeszkadzają. Oni... no, myślę, że ani oni nie mają ochoty na rozmowy z nim, ani on z nimi. Sanitariusze chyba się nie liczą. Przyzwyczaił się do nich.

- Czy on zamierza spędzić tam resztę życia? - zapytała Janie, z niecierpliwością rzucając na krzesło kapelusz.

- Nie. Nie, kochanie, nie sędzę. Ale posłuchaj - lady Lydia uśmiechnęła się - doskonale widzę, że za chwilę położysz płaszcz na swój wspaniały kapelusz. Lepiej powieś ubranie w szafie w holu, a potem poproś Nancy, żeby przygotowała dla nas herbatę.

Janie odwróciła się do lady Lydii, trzymając przewieszony przez Tamie płaszcz i ułożony na wierzchu kapelusz. - Czy Arthur i Billy skończyli już swoją robotę? - zapytała.

- Och, nie. Przez cały czas się wylegiwali w łózkach i nie kiwnęli palcem. Nic nie robią, jeśli nie stoisz nad nimi z batem.

Słyszając taką odpowiedź, Janie szybko opuściła pokój, żegnana krótkim śmiechem lady Lydii. Chwilę później była już z powrotem i podjęła rozmowę, jakby nigdy nie wychodziła z pokoju. - Mogę w to uwierzyć, jeśli chodzi o Billa, bo Arthur pracowałby dzień i noc, gdyby mu pozwolić. Chociaż on twierdzi, że Billy też jest do tego zdolny, bo przecież razem byli w wojsku. Ale Billy jest ulepiony z innej gliny i zamierzam mu powiedzieć, żeby się pilnował, bo teraz ciągle ktoś dopytuje się o pracę.

- Och! Moja droga, przecież on jest dobrym pracownikiem.

- Wcale nie i pani o tym wie, lady Lydio. Sam twierdzi, że pracuje tylko za jednego funta. Zapomina o kwaterze i utrzymaniu, a mogłabym znaleźć wielu innych kandydatów na jego miejsce, pracujących tylko za wikt i opierunek. Jemu się wydaje, że ciągle jeszcze jest w wojsku. I coś pani jeszcze powiem, sam Arthur jest nim rozczarowany. A zresztą - jej głos nabrał innego brzmienia - wcale bym się nie zdziwiła, gdyby któregoś dnia zwinął manatki. I mam nadzieję, że tak właśnie zrobi.

Lady Lydia spojrzała na stojącą przed nią szczupłą dziewczynę, zachowującą się jak dorosła kobieta, i pomyślała, że tak nie może być, tak nie może być. Ona sama, będąc w jej wieku, myślała tylko o strojach na kolejny bal i zastanawiała się, czy spotka tam Johna Cooka Mortimera. Albo może Jaima Hardinga, albo....
- Co mówiłaś, kochanie?

- Mówiłam właśnie, lady Lydio, że jeśli w tym roku wszystko pójdzie tak dobrze jak w zeszłym i będziemy mogli sprzedawać nie tylko owoce, ale również warzywa, to przydałby nam się mały wóz.

Lady Lydia mocno zacisnęła oczy. - Ależ, kochanie. Fundusze prawie nam się skończyły.

- Nie będziemy musiały z nich korzystać, lady Lydio. W przyszłym roku, nawet nie sprzedając warzyw, ale wykorzystując sad, winnicę i cieplarnię, zarobimy dość, aby kupić konia i wóz. Carl mógłby wybrać dla nas jakiś używany, ale w dobrym stanie. Teraz na każdym targu można coś takiego kupić. Zawsze trafiają się jakieś okazje. To by się nam szybko zwróciło. Jestem o tym przekonana.

Lady Lydia uważnie przyjrzała się siedzącej obok dziewczynie. Czy ona naprawdę ma szesnaście lat? Za jej czasów szesnastoletnia dziewczyna... O czym to ona myślała? Jej młodość już dawno, dawno temu minęła. A podobne do niej dziewczyny żyły przed wojną. Teraz to już zupełnie inne pokolenie. One są zupełnie inne. Czasami widywała je w pociągu albo w autobusie i wydawały jej się takie krzykliwe. A ta dziewczyna tutaj... ona nigdy nie była młoda, nie miała dzieciństwa. I stanowiła taką zadziwiającą mieszankę. Tak, tak, mieszankę. Czy ona sama kiedykolwiek się nad tym zastanawiała? Och, z pewnością. Może właśnie dlatego była taka inna, nawet w porównaniu z dzisiejszymi młodymi dziewczętami. Wyróżniała się. Przez swoje dziedzictwo, bez względu na to, jakie naprawdę było, dojrzała przedwcześnie.

- Nancy coś guzdrze się z tą herbatą. Nie słuchała pani tego, co mówiłam.

- Ależ tak, kochanie. Tak. Zawsze słucham, co do mnie mówisz. - Podkreśliła ostatnie słowa i dodała: - Jak mogłabym robić coś innego?

Janie ze śmiechem oparła głowę na jej ramieniu i zapytała: - Czy zawsze wydają się taka śmiała?

- Tak. Tak, kochanie, zawsze wydajesz się taka śmiała.

- Ale czy to pani przeszkadza? - zapytała prostując się.

- Moja droga - lady Lydia wzięła ją za rękę - trudno mi sobie w ogóle wyobrazić, że mogłabyś mnie zdenerwować. Zdziwić, o tak. Zachwycić. To też, ale nigdy zdenerwować. Dajesz mi, kochanie - zniżyła teraz głos - ukojenie. Zawsze tak było i mam nadzieję, że tak pozostanie. - Ale kiedy Janie podniosła

się, aby chwycić ją w objęcia, wykrzyknęła z udanym ożywieniem: - O! W końcu mamy herbatę. Czy ty, Nancy, wybrałaś się po nią do Chin?

- Nie, madam. Tak daleko nie byłam, ale musiałam się dostać do Newcastle. A z powrotem nie miałam pieniędzy na tramwaj, więc wracałam na piechotę.

- Powinno ci było wystarczyć na bilet! - wykrzyknęła Janie, odbierając od niej tacę. - Co zrobiłaś z premią?

- No i widzi pani. - Nancy pokiwała głową do lady Lydii, która siedziała na sofie uśmiechając się pobłaźliwie. - Nie pozwoli mi zapomnieć o tej premii. Ale co tam! Ciężko na nią- pracowałam. Palce mi mało nie poodpadały, kiedy musiałam robić przetwory. Naprawdę szkoda mi tych robotników pracujących w obejściu.

- A potem, obrzucając Janie spojrzeniem, dodała: - Widziałam, jak przyszłaś w nowym płaszczu i kapeluszu. Naprawdę pięknie wyglądałaś.

- Dziękuję, Nancy. Dziękuję.

- Raz w życiu wyglądała jak młoda dama - zażartowała Nancy, spoglądając na swoją panią.

- Och, ty! Wolałabyś, żeby mi się to nie udało? - wykrzyknęła Janie.

- Zapomniałabym o czymś - Nancy zatrzymała się już przy drzwiach. - Chodzi o ten piekielny telefon. Dzwonił i dzwonił, ale kiedy podniosłam słuchawkę, nikt się nie odezwał. Dwa razy zawołałam: „Halo! Halo!”

- Kiedy to było? - zainteresowała się lady Lydia, podnosząc się z kanapy.

- Jak pani odpoczywała na górze, madam. Gdyby ktoś powiedział „to ja” albo coś w tym rodzaju, tobym panią zawołała.

Telefon był w domu nowym nabytkiem, a zainstalowała go, ponieważ na początku roku musiała z powodu silnego przeziębienia dwukrotnie zrezygnować z wizyty u Geralda. - Jeżeli następnym razem ty będziesz się kiepsko czuł, to do mnie zadzwoń - poprosiła Geralda. Kiwnął głową i powiedział enigmatycznie: - Może. - Tak więc zainstalowano to urządzenie. Ale nigdy z niego nie skorzystał. Jediną osobą, która do niej zadzwoniła, była synowa jej pasierba, matka młodego oficera, którym Gerald zajmował się w pociągu sanitarnym. Młody człowiek sam kilkakrotnie do niej pisał, wyrażając współczucie z powodu załamania Geralda i przekazując jej niezwykle pochlebne opinie o synu. A potem rok później zmarł z powodu odniesionych ran. O tym właśnie jego matka poinformowała ją w jedynej przeprowadzonej z tego aparatu rozmowie telefonicznej.

- Z pewnością ten ktoś zadzwoni jeszcze raz - odezwała się Janie, wręczając jej filiżankę herbaty. - To mógł być ktoś z targu. Dałam im nasz numer telefonu.

Lady Lydia nie powiedziała: Wolałabym, żebyś tego nie robiła. Słuchała Janie, której usta się nie zamykały.

- Pan Potter ze sklepu z owocami stwierdził, że dzisiaj tak się prowadzi interesy. - Uśmiechnęła się i dodała:

- Jest bardzo zabawny. Powiedział, że wystarczy to podnieść, wskazał na słuchawkę, wykręcić odpowiedni numer, złożyć zamówienie, a oni już sami wszystko załadują i przyślą w odpowiednie miejsce.

Filiżanka zastukała o spodek. W towarzystwie tej dziewczyny nie sposób być smutnym lub nieszczęśliwym. Ale czy ona nadal myślała o niej jak o dziecku, powtarzając sobie jednocześnie, że Janie Gibson nigdy nie była dzieckiem?

Na dźwięk telefonu odstawiła tańczącą filiżankę na stolik. - Zobaczę, kto dzwoni! - wykrzyknęła Janie, ale lady Lydia powstrzymała ją. - Nie! Nie, ja to zrobię.

W holu podniosła słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu. - Tak, słucham? - Przez chwilę nie słyhać było żadnej odpowiedzi, a potem usłyszała: - Mamo.

- Och, to ty, Geraldzie. Geraldzie. Witaj, kochanie.

- Mamo. Czy mogłabyś dostarczyć do chaty pojedynczy materac i... trochę naczyń kuchennych?

- Och, Geraldzie... Ger...

- Mamo, nie wracam do domu. Albo będę mieszkał w chacie, albo zostaję tutaj.

- W porządku, kochanie - powiedziała, biorąc głęboki oddech. - W porządku. Kiedy... kiedy przyjedziesz?

- Ja... nie wiem jeszcze. Może jutro, a może pojutrze. Jak będę wiedział, że spełniłaś moją prośbę.

- Tak. Tak, kochanie. Zrobię, jak prosisz. Tak. Halo, halo, Geraldzie.

Nikt się już nie odezwał. Odłożyła słuchawkę i stała, opierając się ciężko o blat stolika, na którym leżała książka telefoniczna. Mocno zacisnęła powieki. Otrząsnęła się dopiero, gdy dotarł do niej dochodzący gdzieś z tyłu głos: - Dobrze... się pani czuje?

Odwróciła się, cały czas opierając się o stolik. Drżała na całym ciele. Chwyciła wyciągniętą do niej dłoń Janie i nieswoim głosem powiedziała: - On... wraca do domu.

- Och! Och, jak cudownie! Cudownie!

- Ale - odsunęła się nieco od dającego jej oparcie stolika - nie tutaj, nie do tego domu.

- Nie? Ale dlaczego?

- On... on... Och, dziecko, pozwól, że usiądę.

Janie pomogła jej przejść przez hol do jadalni i posadziła na kanapie. - Musisz zrozumieć, Janie, że on nie chce nikogo widywać. Postawił takie warunki. Jeśli nie zostawimy go w spokoju, to - przełknęła ślinę z wysiłkiem - no, to wróci do szpitala. Prosił, żeby dostarczyć mu do chaty materac i trochę naczyń kuchennych. Ale - pokręciła głową z niepokojem - ta chałupa jest w okropnym stanie, zupełnie przegniła. Będziemy musiały coś z tym zrobić.

- Nie chce widzieć nawet mnie? - zapytała Janie po chwili milczenia.

A lady Lydia spokojnie mogła powiedzieć: Szczególnie ciebie, kochanie, bo zamyka się w sobie nawet na dźwięk twego imienia. Nie mogła tego pojąć, bo przecież darzył dziewczynkę taką sympatią. Czyż nie poszedł do jej ciotki i nie zażądał zaprzestania zamykania dziecka? I był jej powiernikiem. Traktował ją zupełnie jak córkę.

- Och, kochanie! - Lady Lydia przyłożyła dłoń do czoła. - Teraz musimy wysłać tam ludzi, żeby uporządkowali teren, wstawili łóżko i rozpalili ogień. Jest jeszcze jeden problem. Rozniosą to po całej wsi i ludzie powiedzą, że on jest... - W tym momencie urwała.

- Nic nie powiedzą - stwierdziła Janie. - Porozmawiam z tymi dwoma o tym, co się stanie, jeśli w ogóle otworzą usta. Zresztą, Arthur z pewnością nic nie pisnie i przypilnuje Billy'ego, żeby się nie wygadał. O to nie musi się pani martwić. - Pochyliła się w stronę lady Lydii. - Przebiorę się teraz w jakieś stare rzeczy i pójde ich dopilnować.

I rzeczywiście tak zrobiła. W ciągu godziny, jaka pozostała do zachodu słońca, robotnicy wykarczowali ścieżkę prowadzącą do chaty. Ona sama roznieciła ogień i zamiotła pajęczyny pokrywające podłogę. Następnego ranka znowu sprowadziła robotników, którzy z domu przynieśli pojedyncze łóżko i kanapę, wygodny fotel oraz krzesło z prostym oparciem i drewniany stół. Ona wybrała wszystkie naczynia i sprzęty potrzebne do gotowania i jedzenia. Na końcu mężczyźni przydźwigali kredens, w którego jednej części można było trzymać zapasy, a w drugiej naczynia kuchenne.

Po południu, kiedy wszystko było już gotowe, podziękowała im obu, jednocześnie przypominając: - Pamiętacie chyba, co wam powiedziałam o rozmowach we wsi na temat pana Geralda?

- Z naszej strony z pewnością nie będzie żadnych plotek, panienko - odparł Arthur Fenwick. - Ale może zostawić przed drzwiami trochę drewna?

- O, tak. To doskonały pomysł, Arthurze. Dziękuję ci.

- Co to za gość, panienko? - odezwał się teraz Billy Conway.

Janie zastanowiła się przez chwilę. - Kiedy widziałam go po raz ostatni, był wysoki i szczupły – stwierdziła - i bardzo przystojny. Ale to nie jest żaden gość, to dżentelmen.

- Nie miałem nic złego na myśli, tak tylko powiedziałem. Ale... to dziwne, że mając taki pałac chce tutaj zamieszkać.

- On... spędzał tutaj dużo czasu przed wyjazdem. Zazwyczaj... tu właśnie pisał.

- Ach. To jeden z tych pisarzy? Teraz rozumiem. To wszystko wyjaśnia.

Ta uwaga przypomniła coś Arthurowi, który ze śmiechem zauważył: - Na pewno nic nie napisze, jeśli zamarznie, Billy. Lepiej zabierzmy się za to, co do nas należy.

A Janie radośnie zawróciła w stronę domu i pomyślała w duchu: Tak, przecież on sporo pisał i może znowu zacznie nad czymś pracować.

W drodze powrotnej spotkała lady Lydię, która właśnie schodziła po schodach prowadzących z tarasu, trzymając na ramieniu palto i wełniany sweter, a w drugim ręku coś, co wyglądało jak spora teczka. - Przyda mu się - powiedziała starsza pani, wskazując na okrycia. - A to neseser z jego papierami.

- Lepiej ja to wezmę, a pani powinna wrócić do domu, bo jest bardzo zimno.

- Możesz wziąć tę teczkę - stwierdziła lady Lydia, wręczając jej neseser. - Jest dosyć ciężka. Ale... ja będę trzymała palto. A poza tym chcę zobaczyć, jak to wszystko wygląda.

- Ależ tam trzeba iść po wertepach. Ścieżkę trochę oczyścili, ale nadal pełno jest kamieni i wybojów.

- No, kochanie, jeśli upadnę, będziesz musiała mnie podnosić.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - powiedziała Janie, biorąc ją pod ramię. - Będę spokojnie patrzyła, jak pani leży, ciesząc się, że spotkała panią zasłużona kara. Mówię szczerze.

- Jestem absolutnie pewna, że tak właśnie postąpisz.

Prowadząc taką żartobliwą pogawędkę, Janie pomagała starszej pani pokonywać ścieżkę. Kiedy dotarły do chaty, która w ocenie Janie, w porównaniu z pierwotnym stanem, wyglądała teraz całkiem przyzwoicie, lady Lydia zamarła z przerażenia. - O Boże! Dobry Boże!

- No cóż... Włożyli w to dużo pracy. Szkoda, że wcześniej pani tego nie widziała.

- Tak. Tak, kochanie. Wiem, że dokonałaś cudów, zresztą tak samo jak ci ludzie. Ale nie mogę się pogodzić z tym, że on zamierza tu mieszkać. - Westchnęła i dodała: - Powinnam się cieszyć, że w ogóle chce wrócić. Ale, kochanie - zwróciła się do Janie, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Nie będziesz... -

przerwała, szukając w pamięci odpowiedniego słowa, które mogłoby zastąpić „naprzykrzać się”. - Chyba nie zamierzasz go tutaj odwiedzać? Z pewnością spodziewa się, że Arthur będzie mu przynosił potrzebne rzeczy, ale...

- Chciała pani powiedziedzieć, że nie wolno mu się naprzykrzać. Jeśli uważa pani, że nie powinnam tutaj przychodzić, to oczywiście dostosuję się do tego. Chociaż ciągle nie rozumiem dlaczego. Kiedyś doskonale się rozumieliśmy. Dlaczego on nie chce mnie widzieć?

- Kochanie, nie tylko ciebie. Z nikim nie chce się spotykać.

- Ma pani na myśli kobiety?

- Nie, nie, nie tylko kobiety. W końcu w szpitalu również widywał pielęgniarki, nie tylko sanitariuszy. Różnych ludzi. On chce być sam. Mnie... toleruje, ale na razie nie zniósłby widoku nikogo więcej. Ale to się może zmienić.

Janie obróciła się na pięcie i podeszła do drzwi. - Mam nadzieję, że tak się stanie - rzuciła szorstko. - Jeśli nie dla jego dobra, to przynajmniej dla pani, bo w przeciwnym razie zamartwi się pani na śmierć.

- Kochanie, nie mów w ten sposób.

- Nic na to nie poradzę, lady Lydio, bo to prawda. Ze zmartwienia prawie pani nie je. Została już z pani tylko skóra i kości.

- No, no! I kto to mówi. Jeśli ja jestem taka chuda, to ciebie można porównać już tylko do szkieletu.

- Z pewnością - zgodziła się Janie, kiwając głową - ale ja przynajmniej mam nadzieję, że w niektórych miejscach trochę przytyję. A pani po prostu zniknie. I co on wtedy zrobi? No, chodźmy już, bo chyba pani zmarzła.

- Tak, tak. On też tu zamarznie.

- Na pewno nie. Kominiek daje bardzo dużo ciepła. A jeśli będzie płonął dzień i noc, to domek szybko się nagrzej. Pozwolę sobie zauważyć, że wiele osób byłoby zupełnie zadowolonych z takiego domu.

- Pewnie masz rację, kochanie. Ci biedni ludzie na drogach. Wojna wszystko zmieniła. I co się stało? Wywróciła cały kraj do góry nogami. Młodzi mężczyźni musieli stanąć przed komisjami wojskowymi, a teraz imają się każdej pracy, zadowoleni, kiedy mogą zostać komiwojażerami. To zupełnie nieprawdopodobne. Świat nigdy nie będzie już taki jak dawniej.

Kiedy wracały do domu, w pewnym momencie lady Lydia wykrzyknęła: - Musimy coś zrobić z tą ścieżką, bo na tych koleinach można sobie skrócić kark.

- Tym zajmiemy się trochę później - odparła Janie, znów ostrzejszym tonem. A potem dodała: - Jeśli Mahomet nie może przyjść do góry, to góra powinna przyjść do Mahometa. I miejmy nadzieję, że tak właśnie będzie.

- Tak, kochanie, tak. - Lady Lydia nie mogła się powstrzymać, aby nie chrząknąć znacząco. - Oczywiście, miejmy nadzieję, że tak właśnie będzie. Ale zanim to nastąpi, kochanie, muszę cię poprosić, abyś mi obiecała, że nie będziesz zbliżała się do chaty. Jak już mówiłam, Arthur zajmie się dostarczaniem mu niezbędnych rzeczy.

Przez kolejne cztery dni Arthur meldował im, że nikogo tam nie zastał i że dołożył do ognia. Dopiero piątego ranka z impetem wpadł do kuchni i poprosił Nancy, aby przekazała swojej pani, że zastał zamknięte drzwi, a z komina unosi się dym.

Idąc na górę, Nancy spotkała Janie. - Wrócił! - wykrzyknęła z ożywieniem. - Wrócił! Arthur widział, że drzwi są zamknięte. Wrócił!

Natomiast Janie, schodząc ze schodów, pomyślała sobie, że jeśli chodzi o nią, równie dobrze mógłby zostać w szpitalu. Przez cały czas dręczyła ją myśl, dlaczego nie chce się z nią widzieć. Mogła zrozumieć, że unika spotkań z obcymi, ale przecież ona nie jest obca. Ona nazywa się Janie, jego Janie, a on jest jej „miłym mężczyzną”. Przynajmniej tak było przed jego wyjazdem. Ale to się zmieniło.

Rozdział siódmy

W maju 1921 roku minęło siedem miesięcy, odkąd Gerald zaczął ukrywać się w chacie. Janie nie spotkała go ani razu, mimo że na stałe zamieszkała w Hall.

Po powrocie Carla i Jessie z podróży poślubnej wszyscy zainteresowani zaakceptowali takie rozwiązanie. To właśnie Carl taktownie zasugerował lady Lydii, że ciotka Jessie martwi się o przyszłość Janie i nalega, aby dziewczynka podjęła naukę na jakimś kursie, na przykład pielęgniarskim, który później zapewni jej utrzymanie, jako że jej siostrzenica nie zamierza pozostać na farmie. Czy w związku z tym lady Lydia mogłaby rozważyć przyjęcie do spółki wykazującej spore zdolności organizatorskie dziewczynki? Stwierdził, że jest świadomy, iż lady Lydia przekazuje jej znaczną część zysków, ale jednocześnie przypominał niepokój ciotki o jej przyszłość, gdyż takie dochody nie gwarantują finansowego zabezpieczenia.

Już sama myśl o tym, że jej protegowana mogłaby wyjechać na jakiś błahy kurs, napełniła lady Lydię przerażeniem, więc szybko odparła: - Tak, tak, oczywiście. - A co do spółki, to przecież ona sama w ogóle się nie zajmuje gospodarstwem. Robotnicy pracują, a Janie, która ma wielkie plany związane z rozwojem przedsięwzięcia, kieruje ich pracą.

W tym momencie Carl wtrącił, że istnieje jeszcze jeden problem, który trzeba przedyskutować. Lady Lydia z pewnością jest zorientowana, że Janie nie zgodziła się zamieszkać w domu na farmie, a ponieważ oboje są zaniepokojeni jej samotnością w domku, czy mogłaby wobec tego przemyśleć możliwość zamieszkania Janie w Hall? Tak, tak, oczywiście. Starsza pani z zachwytem przystała na tę sugestię i w ten sposób wszystko zostało załatwione.

A po całej okolicy rozeszła się wieść, że lady zaadoptowała „tę, wiesz którą” i że to stworzenie prowadzi teraz cały majątek i wydaje polecenia. A ostatnio nawet mają konia i wóz, w dodatku pełen owoców i warzyw... No i patrzcie państwo!

Pozostawał jeszcze syn, mieszkający w lesie w zrujnowanej chacie. Nadal pod sufitem nie wszystko miał w porządku. Właśnie to stanowiło powód kolejnego rozdzwisku pomiędzy właścicielami obydwu gospód. Niektórzy twierdzili, że zbzikował, a inni utrzymywali, że każdy pisarz potrzebuje samotności, a on zajmuje się pisaniem powieści wojennej. To wypełnia mu całe dni... Zastanawiano się tylko, czy on w ogóle wie cokolwiek o wojnie?

Przecież z powodu przekonania odmówił wstąpienia do wojska.

Tak więc wieś plotkowała jak zwykle, a główny bohater spekulacji mieszkał w swojej samotni, spotykając się tylko z matką i mężczyzną o imieniu Arthur. W

tym samym czasie Janie rozwinęła gospodarstwo i w sobotnie poranki, udając się na targ w Fellburn, dumnie przejeżdżała przez wieś, gdzie coraz częściej witano ją przyjaźnie.

Aż do tego szczególnego sobotniego ranka nie pozwoliła sobie na wypytywanie Arthura o jego wyprawy do chaty. Właśnie mijali kolejne zabudowania, gdzie z uśmiechem pozdrowił ją następny nieznajomy, gdy nagle Arthur zauważył: - Nie taki diabeł straszny jak go malują, prawda? Ludzie nie są tacy źli. Widzę, że teraz jest inaczej niż kiedyś.

W tym momencie zdobyła się na odwagę i zapytała:

- Czy pan Gerald bardzo się zmienił od swojego powrotu?

- Tak i nie - stwierdził Arthur po chwili wahania.

- Zawsze jest uprzejmy i od czasu do czasu zamienimy kilka słów.

- Na jaki temat? O czym rozmawiacie?

- Och, o pogodzie i zbiorach.

- Pyta o zbiory?

- No, niezupełnie. To raczej ja o tym wspomina przy okazji pogody.

- Czy on kiedykolwiek zapytał o mnie i... o to, co teraz robię? - wydukała. - To znaczy o nasze gospodarstwo?

- Och, nie, panienko. Absolutnie nie. Nawet nie wspomina o domu, tylko o pogodzie.

Tylko o pogodzie, pomyślała z goryczą. Dlaczego nie ruszy się z miejsca i nie wykarczuje tego gąszczu wokół chaty? Zaczął rąbać sobie drewno na opał, ale nic ponad to. Jeśli ma dosyć siły do takiego zajęcia, to równie dobrze mógłby wziąć się za łopatę. Im więcej o nim myślała, tym większa ogarniała ją wściekłość. A lady Lydia musi chodzić po tych wertepach, bo nie ma nikogo, kto mógłby tam wyciąć wystające korzenie drzew. Nigdy nie planowano w tym miejscu żadnej ścieżki, a jedynym powodem, dla którego teraz tam właśnie ją wytyczono, był fakt, że prowadziła prosto od domu, trawnikiem schodziła na dół i dalej przez krzaki wiodła do lasu. Któregoś dnia wybuchnie, co do tego nie miała już wątpliwości.

A ten dzień zbliżał się wielkimi krokami.

Zima była tego roku wyjątkowo długa. Na początku maja nawiedziły ich niespodziewanie duże opady śniegu. Właśnie wtedy lady Lydia przeziębila się. Po tygodniu stosowania ziołowej terapii, która w najmniejszym stopniu nie złagodziła kaszlu i bólu w piersiach, Janie zdecydowała się wezwać lekarza. Doktor Patten nakazał pacjentce zostać w łóżku przez przynajmniej kolejny tydzień, grożąc, że w przeciwnym razie bronchit może się przerodzić w coś jeszcze poważniejszego. - Dobrze się rozumiemy, proszę pani? - zwrócił się do

chorej, której nie pozostało nic innego, jak tylko pogodzić się z zaleceniami. Ale gdy nalegał, aby na pewno nie zapomniała o jego przykazaniach, odpowiedziała w końcu: - Tego nie mogę panu obiecać. - Nie odezwał się już słowem. Dopiero później, gdy Janie odprowadzała go do drzwi, zauważył szorstko: - Nie odpowiadam za konsekwencje, jeśli wyjdzie na taki ziąb, więc lepiej dopilnuj, żeby pozostała w łóżku. A w ogóle - dodał z uśmiechem - dochodzą do mnie wieści o kolejnych sukcesach pewnej młodej kobiety interesu. Nie tęsknisz za farmą? - zapytał po chwili.

- Och, nie - z przekonaniem wypowiedziała te dwa słowa.

- Rzeczywiście, nie masz specjalnych powodów do tęsknoty - zmitygował się.

- Ten dom z pewnością jest szczęśliwszy.

- A przynajmniej powinien być, prawda, doktorze?

- Tak, moja droga. A... a jak się czuje drugi pacjent?

- Nie wiem. W zasadzie z nikim się nie widuje. Dużo pisze.

- Teraz rozumiem. Ale przynajmniej nie potrzebuje lekarza, a to już coś.

- Tak, to się liczy.

- Pamiętaj o moich zaleceniach i nie pozwól lady wstawać z łóżka.

- Na pewno, doktorze.

Przez tydzień udało jej się spełniać polecenie lekarza, ale potem lady Lydia stwierdziła, że czuje się lepiej i powinna już wstać. - O, nie. Nie wolno pani - powiedziała Janie kategorycznie. - Jeśli się pani ruszy, natychmiast zadzwonię po doktora Pattenę.

Dopiero ta groźba poskutkowała, a starsza pani zadała kolejne pytanie: - Czy... czy Arthur coś mówił?

- Nie, nic. Ale osoba, o którą oani pyta, doskonale wie, że jest pani chora i jeżeli nie uważa za stosowne przejść ścieżką tych kilku kroków, to znaczy, że chce....

- O, mój Boże. Zamknęła oczy i odwróciła się na pięcie. Z ledwością pohamowała się, żeby nie dodać: poczuć na siedzeniu kilka kopniaków. Taką właśnie skuteczną groźbę niejednokrotnie słyszała od Mike'a poganiającego Roba do pracy.

- Kochanie, jak zamierzałaś zakończyć to zdanie? - zapytała lady Lydia z uśmiechem.

- Tak, że z pewnością poczułaby się pani zaszokowana.

- Z pewnością, z pewnością. No, mogę ci ostatecznie obiecać, że zostanę w łóżku jeszcze ze dwa dni. Pogoda poprawiła się, a ja naprawdę jestem w lepszej formie. Dzisiaj prawie wcale nie kasłałam. Jeszcze dwa dni i wstanę.

- To pani się tak wydaje - mruknęła pod nosem Janie, wychodząc z pokoju. Na dole włożyła stary płaszcz i wełnianą czapkę i wymaszerowała z domu, kierując się w stronę zarośniętej ścieżki. Zatrzymała się dopiero wtedy, gdy przed oczami ukazała jej się chata. Czuła, jak wali jej serce. Ale dlaczego? Trudno jej było znaleźć sensowną odpowiedź na to pytanie. Pomyślała, że pewnie ze złości. Za kogo on się w końcu uważa, że tak całymi dniami siedzi w samotności? Nawet jeśli rzeczywiście pisał.

Przed samymi drzwiami zawahała się przez chwilę, a potem zdecydowanie zapukała.

Sądząc z odgłosów, które do niej dotarły, mieszkaniec domku stał po drugiej stronie drzwi. Ale nikt jej nie otwierał, więc znowu trzykrotnie zapukała, ale i tym razem nie było żadnego odzewu. - Muszę ci zostawić wiadomość, nawet jeśli boisz się otworzyć drzwi! - krzyknęła, przysuwając twarz do desek. - Z pewnością wiesz, że twoja matka jest chora i nie wolno jej wstawać, a ona zamierza się z tobą zobaczyć. A tylko Bóg jeden wie, dlaczego wpadła na taki pomysł, ponieważ o ile ja wiem, masz dwie nogi i możesz zrobić z nich użytek. Ale nie! Wolisz się ukrywać. No i dobrze. Lekarz każe jej leżeć, a ona wybiera się do ciebie, żeby zobaczyć, jak się miewasz. A moim zdaniem, nawet nie warto sobie zawracać tobą głowy. Jesteś tchórzliwym...

Drzwi otworzyły się z takim impetem, że musiała gwałtownie odskoczyć. A jej oczom ukazała się wysoka, chuda postać, spoglądająca na nią z rezerwą i w niczym nie przypominająca jej „miłego mężczyzny”. Wpatrywał się w nią z natężeniem pociemniałymi oczami, podczas gdy ona pamiętała ich szary odcień. A teraz płonęły, podobnie zresztą jak cała twarz. Nie знаła tego człowieka. W niczym nie przypominał mężczyzny, którego obraz nosiła w pamięci przez tyle lat, od chwili pierwszego spotkania, od kiedy opowiedziała mu zasłyszaną w oborze historię. „Miły mężczyzna”, którego pamiętała, był uosobieniem łagodności, a ten tutaj wyglądał jak demon. Stała przed nim, przelękając ślinę i skubiąc płaszcz, zbyt przerażona, aby odwrócić się i uciec. A potem miała wrażenie, jakby mężczyzna oddalił się nieco, oparł o framugę i zamknął oczy. Nie ruszyła się z miejsca nawet wtedy, gdy usłyszała wypowiedziane cichym głosem: - Idź stąd. - Nie pomogły jej przeprosiny, ponieważ po chwili powtórzył: - Proszę cię, odejdz stąd.

Właśnie zamierzała się odwrócić, gdy coś ją zatrzymało. Nie wiedziała co, ale bez względu na przyczyny, zrobiła trzy kroki do przodu. - Ja... przepraszam - powiedziała drżącym głosem. - Nie powinnam była mówić tego wszystkiego. Nie zdawałam sobie sprawy. - Nie dodała już: „że ciągle jesteś chory” ani: „nie powinnam była nazywać cię tchórzem.” Może właśnie o to chodziło, ponieważ

jakiś czas temu Carl wyjaśnił jej, na czym polega odmowa służby wojskowej ze względu na przekonania, i z pewnością żadnego z ludzi, którzy zachowali się w ten sposób, nie nazwałby tchórzem.

Kiedy położyła mu dłoń na ramieniu, odskoczył do tyłu jak oparzony. - Przepraszam - powtórzyła. Widziała, jak chwiejnym krokiem zbliżył się do fotela, osunął się nań, oparł głowę i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w przestrzeń.

- Przyszłam, żeby cię poprosić, abys odwiedził swoją matkę - powiedziała łagodnym tonem, stojąc w drzwiach. - Nikogo... nikogo tam nie będzie po piątej. Robotnicy skończą już pracę i... i pójda do swojego pokoju nad stajniami. Mógłbyś wejść kuchennymi drzwiami. W domu zostanie tylko Nancy, ale przecież ją znasz. Ja... zostawię dla ciebie otwarte drzwi... dobrze? - Zauważyła teraz, jak zamknął oczy i jak na skroni po lewej stronie pulsuje mu żyła. - Czy... mogłabym przygotować filiżankę herbaty?

- Nie! - Wydawało jej się, że zaraz zerwie się z fotela, ale tylko skulił ramiona. Zrobiła krok do tyłu i w tym momencie odezwał się już normalnym tonem: - Proszę cię, idź już.

Została jeszcze przez chwilę, a potem wycofała się i zamknęła za sobą drzwi. Na ten dźwięk szeroko otworzył usta i pocierając podbródek wymamrotał: - Nie, nie - po czym powoli je zamknął. Skończyły się już ataki gazowe. Nie, nie. To już miał za sobą. Że też musiała się tu zjawić w momencie, gdy właśnie opisał swoją pierwszą noc z Susie, której twarz jakby we śnie przekształciła się w twarz tego dziecka, przyoblekając się w całą jego niewinność. To było naprawdę cudowne doświadczenie. Nigdy wcześniej nie przeżył nic podobnego. Cieszył się, że doczekał tej nie kończącej się ekstazy. I wtedy właśnie dowiedział się...

Szeroko rozrzucił ramiona, jakby chciał odrzucić dziecko, które właśnie zostało zdeprawowane, a on był sprawcą tego czynu, tak samo zresztą jak wszyscy mężczyźni.

To się zdarzyło już po tym, jak poznał prawdę o Susie, gdy w czasie swojej czterdziestoosmiogodzinnej przepustki zobaczył ich wszystkich, grupę roześmianych, żartujących mężczyzn, przestępujących z nogi na nogę w oczekiwaniu na swoją kolejkę. W tym momencie uświadomił sobie bezsens twierdzenia, że człowiek zachowuje się jak zwierzę, ponieważ zwierzę nigdy nie poszłoby w ślady człowieka. Przy doborze w pary było bardziej wybredne, a poza tym szukało satysfakcji tylko w odpowiedniej do tego porze, wyznaczonej przez naturę. W tym miejscu nie było szans na dokonanie jakiegokolwiek wyboru. Więc po prostu ustawili się w kolejkę. Do czego? Do kolejnej ofiary, czy do innej Susie? Ten widok przypomniiał mu zapach, który wrył mu się w

pamięć nawet mocniej niż fetor przesiąkniętych krwią, zdruzgotanych, porażonych gangreną kończyn, którymi zajmował się w pociągu sanitarnym. Wtedy właśnie zadał sobie pytanie, czy jest mniej męski, ponieważ odczuwa to w ten sposób? Pragnął być kochany i kochać, dotrzeć do sedna miłości, ale okazało się, że czyste uczucie należy już do przeszłości. Zostało zbrukane, było gorsze nawet od wojny, mógł je porównać jedynie z gazem. Tak, z gazem. Tak to się wszystko kończyło. Gazem. Oślepienie oczy, palące gardła i bezwolne ręce. Wyplute płuca.

Ale dlaczego ona nadeszła właśnie w takiej chwili? W chwili, której tak się obawiał i nie wiedział jak opisać, a na dodatek użyła tego słowa. Mógł ją uderzyć. Ale wyglądała na przerażoną. Ale gdzie to dziecko odeszło? Gdzie zniknęła ta dziewczyna? Teraz wyglądała jak młoda kobieta. Ile ona ma lat? Szesnaście, siedemnaście? Tak, mniej więcej tyle. Jest taka wysoka. Ale ani twarz, ani jej głos nie zmieniły się. Dlaczego przyszła? Ach, tak, jego matka jest chora. Przecież chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo wiedział, że gdyby dobrze się czuła, z pewnością już dawno by go odwiedziła? Więc dlaczego sam się do niej nie wybrał? Przecież nie była uosobieniem cywilizacji, ludzi i ich gadania, oraz codziennych gazet, kłamliwych gazet ukrywających błędy starców u władzy. Nie mogły tylko ukryć grobów, prawda? Tych setek, tysięcy mogił, w których zmarli nie patrzyli już w gwiazdy. A może spoglądali na nich z nieba? Kapelan powtarzał im często, że zmarli odpoczywają teraz w niebie. Czy musieli tam stać w szeregu, czy może setkami, tysiącami, milionami leżą rzędami? Dlaczego nie wypadają spomiędzy chmur?

Zerwał się z krzesła, przyłożył dłoń do czoła i powoli, powoli wciągając powietrze powiedział na głos: - Dość już tego! Dość! Wyrzuć to z siebie! Opisz to w końcu!

Przeszedł do drugiego pokoju, gdzie zamierzał usiąść przy stole, na którym z jednej strony leżała sterta papieru, a z drugiej jego neseser z przyborami do pisania, drobno zapisane arkusze, jakieś książki i teczki. Nie usiadł jednak, tylko znowu na głos powiedział: - Zrób to natychmiast! Nie odkładaj na później. Od razu zabierz się do pracy! - Po tych słowach podszedł do drzwi, zdjął z wieszaka swoje palto, włożył na głowę czapkę i wyszedł z chaty.

* * *

W następnym tygodniu Gerald trzykrotnie odwiedził matkę. Za każdym razem Janie była świadoma jego obecności, ponieważ po prostu schodziła na dół i sprawdzała kuchenne wejście, które zazwyczaj zostawiała otwarte aż do wieczora. Ale w żaden sposób nie sygnalizowała swojej obecności w domu.

Za drugim razem spędził z matką prawie godzinę, która chcąc przedłużyć wizytę zaczęła wypytywać go o pracę. Czy, na przykład, zastanawiał się nad możliwością wydania tego w formie książki?

Przyznał, że rzeczywiście miał takie plany.

A czy rzecz dotyczy wojny? - ośmieliła się zapytać.

Tak, ale wojny widzianej oczami człowieka, który jest jej przeciwny. Nada jej tytuł *Moje sumienie, mój krzyż*.

- Och! - Spoglądali na siebie przez chwilę. - Czy to ci w czymś pomogło? - zapytała. - Zamierzasz to wydać?

- Tak, zdecydowanie lepiej się poczułem. Ale nie, nie chcę tego opublikować, ponieważ to by oznaczało - skrepowany wiercił się na krześle - To by oznaczało, a nie mógłbym tego znieść... ludzi.... rozgłosu.

- Mógłbyś wydać to pod pseudonimem. Uśmiechnął się do niej słabo. - I zostawić nasz adres? Wyobraź sobie tylko, co by się wtedy stało. Te problemy, które ośmieliłem się poruszyć.... i wywołać, mogłyby spowodować w Parlamencie lawinę pytań i ponownie rozjuszyć tę bandę przypinającą „tchórzom” białe piórka.

- Och, mój kochany. Nie sądzę, żeby pozostało jeszcze wielu takich osobników.

- O...ch - powiedział, przeciągając dźwięki. - Nawet nie wiesz, mamo. Pracowałem w szpitalu z takim młodym chłopakiem, był jednym z nas. Żołnierze zaakceptowali tylko nas dwóch. Ten młody człowiek załamał się dopiero, kiedy wrócił do domu, gdzie zaatakowała go grupa kobiet mieszkających na tej samej ulicy, których mężowie lub synowie zginęli na wojnie, a on był tu cały i zdrowy. Zbiły okno i pobiły go dotkliwie. Ciężko przeżył to, że matka musiała go ochraniać. To naprawdę niewyobrażalne, ale kobiety mogą być okrutniejsze od mężczyzn... czy nawet zwierząt.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a potem lady Lydia zagała na inny temat i rzeczywiście zrobiła to bardzo umiejętnie. - Przykro mi... Przykro mi, że Janie zakłóciła ci spokój. Mówiłam jej, że wkrótce poczuję się lepiej.

- Nie ma... nie ma o czym mówić. Nie przeszkodziła mi. Chociaż muszę przyznać, że... zadziwiła. Ja... wydawało mi się, że poznałem ją po głosie, ale kiedy otworzyłem drzwi, przede mną stała kompletnie obca osoba. Ona... bardzo... wyrosła.

- Tak, rzeczywiście jest wysoka. Mam nadzieję, że już nie rośnie, bo i tak ma ponad metr siedemdziesiąt wzrostu. Ale wkrótce kończy siedemnaście lat, więc mam nadzieję, że w tym wieku przestaje się już rosnać. Chociaż - uśmiechnęła się - wcale nie pamiętam, kiedy ja osiągnęłam swój obecny wzrost. Pamiętam

tylko, że bardzo się ucieszyłam, bo wtedy wysokie kobiety traktowano jak dziwadła. Ale na Janie nikt już nie będzie patrzył jak na dziwoląga. Ona... jest taką uroczą dziewczyną. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła przez te ostatnie... Wychodzisz już, kochanie?

- Tak. Tak, z pewnością jesteś już zmęczona.

- Och, ja nigdy nie męczę się twoim towarzystwem, to raczej ty jesteś wyczerpany moją paplaniną.

- Miło mi się z tobą rozmawia, mamó. Naprawdę.

- Pochylił się nad nią i powtórzył: - Tak, naprawdę miło mi się z tobą rozmawia. Dobranoc, moja kochana.

- Kiedy lekko pocałował ją w policzek, otoczyła go ramionami i przez chwilę przytrzymała. W pewnej chwili wydawało jej się, że odwzajemni uścisk, ale wyswobodził się i prostując się powiedział: - Dobranoc, moja droga.

- Dobranoc. Ubierz się ciepło. Na dworze... zrobiło się zimno.

Odsunął się od łóżka i kiwnąwszy głową odwrócił się gwałtownie, i wyszedł z pokoju. A ona leżała na łóżku, mocno przyciskając dłonie do piersi w modlitwie:

- Wróć nam go, Boże. Wróć nam go takim, jaki był kiedyś.

* * *

Maliny dojrzały tuż po truskawkach, dając w tym roku wyjątkowo obfite zbiory. Teraz, w końcu sierpnia, udało im się zakończyć przecinanie krzewów. Arthur pojechał właśnie do miasta z kobiałkami owoców wartości pięćdziesięciu funtów, a na kuchennym stole pozostały jeszcze cztery ogromne i dwa małe kosze. - Myślałam, że to już koniec. Czy panienka zamierza to wszystko zawekować? - zapytała Nancy, obserwując wszystko ze swojego miejsca przy stole.

- Chyba zrobimy jeszcze ze trzy koszyki, a - Janie zwróciła się do lady Lydii - jeden kosz chciałabym zanieść na farmę - tutaj skrzywiła się żartobliwie - żeby w zamian dostać trochę śmietany.

- Doskonały pomysł - stwierdziła lady Lydia, rzucając jej rozbawione spojrzenie i kiwając głową.

- Mogliby również dołożyć kawałek masła - wtrąciła Nancy.

- Przedwczoraj przyniosłam funt masła.

- Och, co to jest funt, panienko, kiedy te gagatki, które u nas pracują, tyle zużywają do jednego bochenka.

- Powinnaś więc dorzucić im coś ze swoich zapasów.

- Przecież panienka wie, dlaczego tego nie robię. Nasze masło jest lepsze do ciasta niż to z farmy. Zawsze tak mówiłam i nie zmienię zdania.

- To tylko twoje pobożne życzenie - odcięła się Janie.

- Och, Janie!

- Ja tylko powtarzam jej słowa - odparła Janie, odpowiadając na tę żartobliwą reprimendę. - A w ogóle to zamierzam właśnie wziąć ten duży kosz, żebyśmy do kolacji mogły zjeść maliny ze śmietaną.

- No, to idź już. - Lady Lydia delikatnie pchnęła Janie w ramię. - I przekaz swojej ciotce i Carlowi moje podziękowania za jajka i za całą uprzejmość.

- A co panienka zamierza zrobić z pozostałymi koszami owoców? - zawołała Nancy do zmierzającej w kierunku drzwi Janie.

- Zatrzymam je. Dla pana Geralda. Zajmę się tym, jak wrócę.

- Zaniosę mu je.

- Niech pani nawet o tym nie wspomina - stwierdziła Janie, odwracając się do lady Lydii. - Wczoraj o mało sobie pani nie skręciła kostki. Coś trzeba z tym zrobić - mruknęła pod nosem, sięgając po ciężki kosz i wyszła z kuchni...

Kiedy dotarła na podwórze farmy, była kompletnie zlana potem. - No, no! - wykrzyknął Rob, odbierając od niej kosz z owocami. - Nawet ja bym się zmęczył niosąc taką furę malin. Ale wielkie! Pani właśnie poszła do kuchni. '

Chwilę później Jessie również podziwiała wielkość i urodę owoców. - Z takiej ilości zrobię sporo soku

- stwierdziła. - Ale dlaczego nie dałaś znać Carlowi? Przecież mógłby przynieść ten kosz. To straszny ciężar. Usiądź, a ja przygotuję ci filiżankę herbaty.

- Zaraz muszę wracać.

- Zawsze powtarzasz, że nie masz czasu - westchnęła Jessie.

- Naprawdę mam bardzo dużo czasu.

- Ale sprawia ci to przyjemność? - Jessie odwróciła się od stołu, przy którym przygotowywała herbatę.

- Nic mi nie brakuje do szczęścia - powiedziała Janie. To znaczy... naprawdę.

- Co masz na myśli? Mogłabym ci jakoś pomóc? Mogłaby odpowiedzieć: Tak, oczywiście, jest coś o czym marzę, coś co chciałabym dostać na urodziny, na siedemnaste urodziny, które będę ochodzić już za kilka tygodni. Ale czy mogła napomknąć Jessie o swoich zamiarach, jeśli już w myślach widziała ciotkę biegnącą do Hall jak na skrzydłach, aby podzielić się z lady Lydią tą wiadomością, a wtedy jej plan nie miałby szans powodzenia. I oczywiście wszystko byłoby pod hasłem „robię to wszystko dla twojego dobra”. Tak więc jej odpowiedź była zupełnie inna. - Tak, jest cała masa rzeczy, na których mi zależy. A tak w ogóle, ciociu, chyba jesteś szczęśliwa, prawda?

- Nie rozmawiamy teraz o mnie, tylko o tobie. Bo... zależy mi na tobie, zawsze mi zależało i to się nigdy nie zmieni. Po prostu chciałabym, żebyś była szczęśliwa.

- Och, jestem zupełnie zadowolona z życia - potwierdziła Janie, wstając z miejsca. - Czy ja w ogóle dostanę herbatę, czy nie? - dodała. - Mam jeszcze sporo malin do zawekowania.

Nietrudno było zauważyć, że ani ona nigdy nie wspominała Geralda, ani Jessie, która zwykła była mówić o nim „ten człowiek z chaty”. Piętnaście minut później opuściła farmę, niosąc koszyk, tym razem wypełniony masłem, serem, śmietaną i jajkami. Ale kiedy już w Hall sięgnęła po mniejszy kosz, Nancy zaprotestowała gwałtownie: - Przecież on sam tego nie przeje.

- Ze śmietanką da sobie radę... - stwierdziła Janie.

- Ciągle jeszcze zbieracie owoce? - zapytał Gerald, widząc maliny.

- Dzięki Bogu, to już ostatnie w tym roku. Palce mnie bołą.

- No - uśmiechnął się słabo - to tylko twoja wina, bo powinnaś wynająć kogoś do pomocy.

Stała teraz obok stołu, ale słysząc te słowa obróciła się na pięcie i spojrzała mu w twarz, a on widząc wyraz jej oczu natychmiast dodał: - Nic nie mów. Nic nie mów.

- W porządku! - Odwróciła się od niego ze wzruszeniem ramion, mamrocząc pod nosem: - W porządku. W porządku - powtórzyła. Wtem spojrzała na drugi koniec stołu. Był pusty. Zazwyczaj leżały tam sterty papierów i książek, a teraz było zupełnie pusto. - Ty... już nie piszesz? - zapytała ze zdziwieniem. - Skończyłeś?

- Jak na razie, tak.

- Masz zamiar wysłać swoją książkę wydawcy?

- Nie.

- Dlaczego?

- Po prostu dlatego, że postanowiłem dać spokój przeszłości.

- Więc dlaczego ją opisywałeś?

Jego głos zabrzmiał teraz o ton wyżej, a tempo mowy stało się szybsze. - Bo chciałem to wszystko wyrzucić z pamięci i wolałem o tym napisać, zamiast gadać.

- Nie musisz na mnie pokrzykiwać - zauważyła stanowczo.

- Przestanę na ciebie pokrzykiwać, jeśli ty przestaniesz zachowywać się jak dorosła kobieta - odparł.

Wpatrywali się w siebie, nagle oboje wewnętrznie spięci. - Ja... ja jestem młodą kobietą - odpowiedziała po chwili.

- Wybij to sobie z głowy. Jesteś dziewczynką, małą dziewczynką.

- W październiku skończę siedemnaście lat.

- Ha! Siedemnaście lat. Nie zaczęłaś jeszcze dorosłego życia. Nie masz o tym zielonego pojęcia.

- Czyżby!?! - Teraz już zaczęła na niego krzyczeć. - Pozwól sobie przypomnieć, że uroki życia poznałam już wtedy, gdy po raz pierwszy zauważyłam na drzwiach zamki. Ty zaś uważasz, że ponieważ brałeś udział w wojnie, którą toczono wbrew twoim przekonaniom, to masz prawo twierdzić, że tylko ty znasz prawdziwe życie ze wszystkimi jego ciemnymi stronami. A naprawdę nie trzeba jechać dalej niż do wsi, aby odczuć na własnej skórze ból istnienia i brak radości. Tamta kobieta - kciukiem wskazała na drzwi - wiele lat temu powiedziała, że jestem owocem diabelskiej trójcy. Dobrze to sobie zapamiętałam. Pamiętasz, jak cię zapytałam, co oznacza diabelska trójca? Od tego czasu codziennie zadawałam sobie to samo pytanie. Czy zachowuję się tak, ponieważ ten człowiek jest moim ojcem? A może ten? A może tamten? Powiedziałeś, żebym nie zachowywała się jak kobieta. Stałam się kobietą, zanim byłam małą dziewczynką. Ty i te twoje pacyfistyczne przekonania albo protesty moralne. Ja protestuję przez całe życie, a możesz być pewny, że to całkiem długo, więc nie mam zamiaru czekać do swoich siedemnastych urodzin, żeby zacząć zachowywać się jak dorosła kobieta.

- Ja... przykro mi - powiedział, zbliżając się do niej. Jednak ona szybko cofnęła się i wykrzyknęła: - Wcale nie jest ci przykro! Nie jest ci przykro z mojego powodu, roztkliwiasz się tylko nad sobą. Gdyby zainteresował cię ktoś poza twoją cenną osobą, tobyś z pewnością powstrzymał swoją matkę przed odbywaniem tych nie kończących się wędrówek do ciebie, bez względu na pogodę. Pewnie tego nie zauważyłeś, ale to już mocno starsza pani, na dodatek bardzo delikatna. I gdyby było ci przykro, to na pewno jakoś byś temu zaradził. - Szybkim krokiem skierowała się teraz do drzwi. Trzymając rękę na klamce, krzyknęła mu na pożegnanie, kończąc swoją tyradę: - A zamiast siedzieć na tyłku i lamentować na swoich smutkami, mógłbyś wziąć się za łopatę i przekopać ten śmietnik wokoło. Tak właśnie myślę i długo czekałam, żeby ci to powiedzieć!

Stał przed chatą i patrzył w milczeniu, jak oddala się, maszerując szybkim krokiem. Czuł jak w piersi wzbiera mu krzyk: Janie! Janie! Wróć! Proszę! Potrzebuję cię! Ale tego właśnie nie wolno mu było nigdy zdradzić. Odwrócił się do drzwi i oparł czoło o framugę. Uświadomił sobie właśnie, że istnieją różne rodzaje męki, a on odkrywając głęboko dotąd ukrytą prawdę, został poddany kolejnym cierpieniom. I to cierpieniom, które tym razem nie miały końca. No, bo

kim on w końcu jest? Oszłomionym, ciągle niezrównowazonym mężczyzną w średnim wieku.

Rozdział ósmy

W następnym tygodniu Janie ani go nie odwiedziła, ani też nie podała lady Lydii przyczyn takiego postępowania, wspominając jedynie, że ostatnio ucieli sobie krótką pogawędkę. A w ogóle to przecież chyba widać, że jest zbyt zajęta, aby tracić czas na takie wyprawy i zresztą już najwyższy czas, aby to on rozpoczął spacer w odwrotnym kierunku. - Gerald jeszcze nie całkiem doszedł do siebie, kochanie - utrzymywała lady Lydia, dziwiąc się w duchu, dlaczego ta do tej pory pełna współczucia dziewczyna nagle wypaliła: - Najwyższy czas, żeby poczuł się lepiej. I gdyby wszyscy przestali mu tak usługiwać, toby się szybciej pozbierał.

W połowie drugiego tygodnia z kolejnej ryzykownej wyprawy przez chaszcze lady Lydia wróciła z listem. Janie przez kilka sekund wahała się, czy w ogóle ma go otworzyć, ale w końcu przeczytała nabazgrane na skrawku papieru słowa: „Proszę, przyjdź do mnie. Chcę coś ci pokazać.” - Dlaczego sam tutaj nie przyszedł, żeby mi to powiedzieć? - zapytała, wręczając list lady Lydii.

- Bądź cierpliwa, kochanie. I tak dzięki tobie odważył się już na bardzo wiele. Nie pozwól, aby się znowu wycofał.

- Ja? Ja! Dzięki mnie? - W jej głosie słychać było niekłamane zdumienie.

- Tak. Tak, tylko dzięki tobie - potwierdziła lady Lydia. - Dzięki twojemu ostremu języczkowi i pewności siebie. Każdego przekonasz do swoich pomysłów w ten czy inny sposób, nawet jeśli niekiedy musisz zastosować jakiś wybieg.

- Och, lady Lydio.

- Och, panno Gibson.

Janie musiała przygryźć wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem, a potem zapytała spokojnie: - Naprawdę taka jestem?

- Tak. Tak, kochanie, jesteś. Ale jesteś również szczerą, uczciwą i miłą. Och, nie płacz, skarbie.

- Ja nie płacę - stwierdziła, gwałtownie mrugając oczami. - Zresztą i tak nie miałabym na to czasu.

- Oczywiście, że nie, kochanie. Ale... czy zamierzasz się dzisiaj z nim zobaczyć?

- Może po rozmowie z Arthurem, który wczoraj napomknął mi o doskonałym projekcie. Chodzi o to pole w dolinie. Powiada, że gdybyśmy zbudowali kilka kurników, to można by trzymać tam około stu kur. A poza tym wystarczyłoby oczyścić trochę staw i znalazłoby się miejsce również dla kaczek. A jajka zawsze znajdą na targu nabywców.

- Boże, Boże. Czasami zastanawiam się, na jaki jeszcze pomysł wpadniesz.

- Ja również nad tym myślę i właśnie ostatnio przypomniała mi się jedna z pani przyjaciółek, ta, do której" pani niekiedy dzwoni i która zapraszała panią do Londynu. Teraz mamy w kasie dość pieniędzy, żeby zafundować pani wakacje w dowolnym miejscu, a wspominała pani, że Londyn to takie cudowne miejsce i ma znakomite teatry i...

- Och, kochanie. Jestem już za stara, żeby włączyć się po Londynie i teatrach.

- Absolutnie nie. A poza tym już postanowiłam, że wyjeżdża pani do Londynu. I nie mam czasu na bezsensowne rozmowy. - W tym momencie wyszła, zostawiając lady Lydię oniemiałą ze zdumienia i przekonaną, że w zasadzie to dziecko ma rację: nie jest za stara, aby pojechać do Londynu i wybrać się do teatru na jakąś ciekawą sztukę. Oczywiście, że nie. W gruncie rzeczy ostatnio czuła się nadspodziewanie dobrze. I to dzięki temu, że jej ukochany chłopiec miał się znacznie lepiej... Dowodem tego było jego zachowanie.

O czwartej po południu Janie wybrała się do jego chaty. Zastała go przy starej wannie, obmywającego właśnie ramiona w deszczówce spływającej z dachu. Widząc ją, sięgnął po szorstki ręcznik wiszący na haku wbitym w ścianę domu i wytarł się energicznie. - Witaj - powiedział zbliżając się do niej.

- Dobry wieczór.

- Lepiej się czujesz?

- Nigdy nie czułam się źle.

- Nie. Nie, oczywiście, że nie. Nastawiłem... wodę. Napiłabyś się herbaty?

- Czemu nie - stwierdziła, a on wskazał jej drogę do domu. Ale stojąc, aby ją przepuścić, zauważył nagle:

- Zaczekaj chwilę. Słodka herbata będzie ci lepiej smakowała. Chodź tutaj. - Nie wyciągnął dłoni w jej kierunku, tylko skinął ręką, aby ruszyła jego śladem i poprowadził na tył domku, na małe, otoczone kamiennym murem podwórko. Prowadząca na nie brama chowała się w gęstwinie chwastów, a kamienną ścianę poprzerastały gdzieśgdzie różne ^korzenie, ale ku jej ogromnemu-zdziwie-niu samo podwórze było już posprzątane i przekopane.

Rozglądała się; wokół uważnie, gdy nagle bezgłośnie wskazał na oparty o ścianę szpadel. - Przypomniałaś mi o doskonałym lekarstwie - odezwał się z uśmiechem.

- Och. - Pochylając głowę wymamrotała pod nosem coś, co mogło brzmieć jak: - Przepraszam, nie powinnam była.

- Wręcz przeciwnie. Był już najwyższy czas. Pióro pomaga wyrzucić z siebie pewne rzeczy, ale nic nie zapewni spokojnego snu tak skutecznie jak praca fizyczna... To stara prawda. Dziękuję ci, Janie.

- W tej chwili czuję się naprawdę okropnie - stwierdziła Janie, odsuwając się od niego. - Lady Lydia powiedziała, że jestem... - zawahała się w tym momencie.

- O co chodzi?

- Nieważne.

- Doskonale wiem, co mogła ci powiedzieć. Z pewnością przyznała, że jesteś dla niej wielką pomocą i bez ciebie w ogóle nie dałaby sobie rady. Ale jednocześnie przypomniała ci, że zachowujesz się z ogromną pewnością siebie i niezłomnie zmierzasz do obranego celu.

- Wcale nie! - Teraz już oboje stali przy drzwiach prowadzących do domku. - Nie jestem pewna siebie. Po prostu... wiem, jak zrobić pewne rzeczy, ale zawsze uprzejmie pytam o pozwolenie. Nie jestem apodyktyczna.

- No, to mnie zdziwiłaś. - Pokręcił głową, jednocześnie niecierpliwie wskazując dłonią, aby weszła do środka.

Jak każda zdenerwowana młoda dama z impetem wpadła do saloniku i natychmiast wskazując na kominek, wykrzyknęła: - Ogień już prawie zgasł! Jak zamierzasz w takich warunkach zgotować wodę?

- Och, bez wątpienia zajmie nam to trochę więcej czasu. Czy wobec tego, madam, zechciałaby pani usiąść i przestać zachowywać się jak...

Z wysiłkiem pohamowała się, aby nie wymierzyć mu policzka. - Nie waź się znowu tak do mnie mówić. Pamiętasz chyba, co się stało ostatnim razem.

- Nie wiem, co chciałem powiedzieć.

- Ale ja wiem. Przestań zachowywać się jak dorosła kobieta.

- Nie miałem takiego zamiaru.

- No to co chciałeś powiedzieć?

- Och - lekko wzruszył ramionami - zapomniałem. - Usiadł przy stole naprzeciwko niej i przyglądał się jej uważnie. Kiedy z kolei ona rzuciła mu baczne spojrzenie, po raz pierwszy od jego powrotu dostrzegła pewne podobieństwo do jej „miłego mężczyzny”: przez ostatnie kilka minut uśmiechał się częściej niż w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Wpartywał się w nią przez kilka minut, aż w końcu nie wytrzymała. - Czy z moim wyglądem jest coś nie w porządku? - zapytała. - Od rana nie miałam czasu się przebrać.

- Z twoim wyglądem wszystko jest absolutnie w porządku. Jesteś piękną młodą dziewczyną. Nigdy o tym nie zapominaj. A teraz chciałbym cię o coś zapytać.

- Tak?

- Czy od dzisiaj znowu moglibyśmy być przyjaciółmi, tak samo jak przed moim wyjazdem?

- Z przyjemnością - odparła, przełykając ślinę.

Po raz pierwszy wyciągnął do niej rękę. Podając mu dłoń widziała, jak na chwilę pochylił głowę, a potem odezwał się: - No, to wszystko załatwione.

- Tak.

Gwałtownie wstając z krzesła pozwolił, aby jej dłoń wyslizgnęła się z jego ręki. - Jeśli nie dołożę do ognia, to woda się nie zagotuje do późnej nocy - stwierdził energicznie.

A ona, obserwując go, pomyślała tylko: W ogóle mnie to nie obchodzi. Nic a nic.

Nadszedł dzień jej siedemnastych urodzin. Lady Lydia podarowała jej złoty zegarek na łańcuszku i pierścionek, który sama nosiła jako młoda dziewczyna. Od Nancy dostała pół tuzina chusteczek do nosa z ręcznie haftowanym monogramem, a obaj robotnicy wspólnie wręczyli jej bukiet róż i pudełko czekoladek.

A teraz w towarzystwie ciotki Jessie i Carla siedziała w salonie na farmie. Otwierając jedno z dwóch pudeł z prezentami, które zawierało jasnoniebieską sukienkę z tafty, zawołała z zachwytem: - Jaka piękna! Zbyt piękna, aby ją nosić.

- Możesz ją włożyć na bal - zauważył Carl, uśmiechając się do niej szeroko. Rzuciła mu spojrzenie, które być może nie wyrażało politowania, ale które oboje doskonale zrozumieli: jaki bal?

- Perły będą ci do tego doskonale pasowały - powiedziała Jessie, wręczając jej podwójny sznur pereł.

- Och, tak! Naprawdę bardzo wam obojgu dziękuję! - wykrzyknęła impulsywnie, całując najpierw Jessie, a potem Carla.

- Ale to jeszcze nie wszystko - dodała Jessie. - Zobaczysz, jaki wspaniały tort przygotowała dla ciebie pani McNabb. Sądziła, że poda go do herbaty, kiedy zrobimy sobie małe przyjęcie.

- Och, ciociu Jessie. Tak mi przykro. Ja... nie będę mogła przyjść, w każdym razie nie dzisiaj.

- Słucham? Dlaczego nie? - Tym razem to Carl zadał pytanie. - Z pewnością dadzą sobie radę bez ciebie dzisiaj po południu.

- Tak. Tak, wiem, ale... muszę wam coś powiedzieć.

- Odwróciła się i sięgnęła po sukienkę, którą rzuciła na krzesło, i delikatnie położyła ją na poręczy. - Ja - zaczęła, odwracając się do nich ponownie - ja... ja dzisiaj się zaręcze.

Wpatrywali się w nią z niemym pytaniem w oczach, a potem spojrzeli na siebie nawzajem. - Co?! Zaręczysz się? Z kim? - odezwała się w końcu Jessie. - Z kim zamierzasz się zaręczyć? O czym ty w ogóle mówisz?

- Słyszałaś już, ciociu Jessie. Już dawno mogłam ci o tym powiedzieć, ale obiecałam sobie, że zaczekam do moich siedemnastych urodzin, żebyś nie mogła mi powiedzieć: Nie bądź niemądra, jesteś jeszcze dzieckiem, czy coś w tym rodzaju. Dzisiaj skończyłam siedemnaście lat, ciociu Jessie, a czuję się, jakbym od dawna miała siedemnaście, osiemnaście, czy dziewiętnaście lat. Zresztą sama doskonale wiesz, że już od jakiegoś czasu mam obowiązki osoby znacznie starszej. Zawsze, od samego początku, czułam się znacznie poważniej niż na to wskazywał mój wiek.

- Z kim ty się zamierzasz zaręczyć, kochanie? - odezwał się Carl spokojnym tonem.

- Czy naprawdę nie wiesz? Z panem Geraldem.

- Nie! Nie! - Z ust Jessie wyrwał się dźwięk bliski krzyku. - Nie! Nie pozwolę na to! Jesteś szalona, dziewczyno, tak samo szalona jak on.

- On nie jest szalony. I nigdy nie był. - Głos Janie zabrzmiał cicho, ale zdecydowanie. - W czasie wojny bardzo wiele przeżył i w końcu starał się odizolować od tego wszystkiego. Ale nie jest bardziej szalony niż ty, czy ja. A jeśli już rozmawiamy o mnie, to z pewnością mam większe szanse na to, by popaść w obłąd niż on.

- Mógłby być twoim ojcem. - Jessie z całej siły zacisnęła oczy. Co ona powiedziała?

- Ale jednym z tych trzech, prawda, ciociu Jessie? - Janie natychmiast podjęła temat. - O ile wiem, to właśnie on znalazł moją matkę i przyniósł ją na farmę. I pozwól sobie przypomnieć, że był jedyną osobą, z wyjątkiem ciebie, Carl, która okazała mi sympatię, ponieważ ty, ciociu Jessie, zamieniłaś moje życie w więzienie, a swoje wypełniłaś opieką nade mną. Sama widzisz, ciociu, że tak nie rozumuje dziecko, tylko osoba, która jest całkowicie pewna swoich racji. I bez względu na twoją opinię w tej sprawie, nic mnie nie powstrzyma przed realizacją mojego planu.

- Poprosił cię o rękę, kochanie? - Głos zadającego to pytanie Carla nadal brzmiał bardzo spokojnie.

Janie na chwilę uciekła spojrzeniem. - Nie, i wiem, że nigdy tego nie uczyni. Ale wiem również, że mnie kocha. I dzisiaj zamierzam powiedzieć mu o swojej

miłości i o tym, że się pobierzemy. Nie od razu, ale w przyszłości na pewno się pobierzemy.

- O mój Boże! - Ani Carl, ani Janie nie podbiegli do Jessie, która opadła na krzesło.

- Nigdy go nie lubiłaś, prawda, ciociu Jessie? - zapytała Janie, spoglądając na ciotkę. - Z bardzo prostej przyczyny. Powiedział ci, że mnie źle traktujesz. O to chodziło. No, ale naprawdę muszę już iść. Jeśli chcielibyście się jeszcze ze mną spotkać, to mogę przyjść jutro. A wkrótce - teraz zwróciła się do Carla - jeśli pozwolisz, Carl, oboje przyjedziemy do ciebie, żeby wszystko omówić. Bo o ile wiem, to właśnie ciebie zawsze traktował jako mojego opiekuna.

Carl nie odezwał się ani słowem.

Odwróciła się w stronę ciotki i zauważyła, że ciałem Jessie wstrząsają dreszcze. Powoli sięgnęła po sukienkę i sznur pereł. - Bardzo dziękuję za perły - powiedziała. A po chwili dodała: - Rozumiem, że mogę je zatrzymać? - wywołując na twarzy Carla dziwny grymas.

- Nie... nie powinnaś mówić takich rzeczy. Po tych słowach wyszła z pokoju.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Jessie zerwała się z krzesła i podbiegła do Carla. - Nie... nie wolno ci do tego dopuścić! To nieprzyzwoite. Ten człowiek musi mieć około czterdziestki.

- Moja droga - Carl objął ją ramieniem. - Nie mogę temu zapobiec i nie zrobiłbym tego, nawet gdyby to było w mojej mocy. W gruncie rzeczy muszę przyznać, że się tego spodziewałem. Przyznaję, jest to dla mnie pewien szok, szczególnie, że przedstawiła nam to wszystko w tak niekonwencjonalny sposób, mówiąc, że on nigdy nie poprosiłby jej o rękę. Ale nigdy się nie dowiemy, co on jej odpowie, gdy sama mu się oświadczy.

- Ale zgodzi się na jej propozycję.

- Jeśli ma dość oleju w głowie, to tak, kochanie. Wiem, że ona kocha go od samego początku, a ten człowiek otaczał ją opieką od czasów, kiedy była małą dziewczynką. Takie uczucie z latami musiało przerodzić się w miłość.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła, odwracając się w jego stronę. - Woda na młyn dla całej wsi.

- Do diabła z tą wsią! - Prawie podskoczyła, słysząc ton jego głosu. - Tak, Jessie, do diabła ze wsią - powtórzył. - Nie pozwolę, żeby wieś znowu wkroczyła w moje życie lub w życie mieszkańców tej farmy. Ona jest indywidualnością i z pewnością nie da sobą kierować. Mogę się o to założyć. Więc zapomnijmy o wsi!

Po tych słowach wyszedł z pokoju, a ona wykrzyknęła do siebie: - Co za dziewczyna! Co za dziewczyna! Zmora mojego życia! Czy to się w ogóle kiedyś skończy?

A zmora jej życia stała w tym czasie przy bramie i rozmawiała z Carlem, który właśnie stwierdził: - Rozumiem, kochanie. Tak, rozumiem.

- I... i on nie ma czterdziestu lat, Carl, tylko trzydzieści siedem czy osiem.

Carl uśmiechnął się do niej. - Czy te kilka lat ma jakieś znaczenie? Najważniejsze, że go kochasz. Ale jak on zareaguje na twoje oświadczenia?

- Gwałtownie. - Uśmiechnęła się do niego. - Będzie się ze mną kłócił, wymyślał przeszkody, które nawet cioci Jessie nie przysłyby do głowy... no, ale dam sobie z tym radę. Bez względu na to, co powie, będę mu powtarzała, że uważam się za osobę zaręczoną i że... w przyszłym roku odbędzie się nasz ślub.

- Jesteś niebywała, jedna na milion - powiedział nagle, przyciągając ją do siebie. - Zawsze taka byłaś.

- Dziękuję ci za wszystko, Carl - szepnęła, obejmując go wolną ręką za szyję. - Po nim ciebie kocham najbardziej. O Boże! - krzyknęła, odsuwając się od niego.

- Sukienka mi się pogniecie. Do widzenia, Carl - powiedziała, wygładzając sobie ubranie.

- Do widzenia, skarbie. Przyjdź do nas jutro. Chcę... chcę usłyszeć zakończenie tej historii. Nie, nie, właściwie nie koniec, ale początek.

- Tak, Carl, opowiem ci... początek...

Godzinę później dotarła do chaty. Powietrze stało się duszne, na niebie pojawiły się ciemne chmury i zanosilo się na deszcz. - Witaj. Pewnie zaraz zacznie się burza - powitał ją, stojąc przed domkiem ubrany w koszulę z krótkim rękawem.

- Tak, tak - zgodziła się - zaraz zacznie padać.

- Wszystkiego najlepszego, Janie.

- Dziękuję.

- Czujesz się jakoś inaczej?

- Tak. Zupełnie jakbym miała dwadzieścia siedem lat.

- Dużo ci jeszcze brakuje do tego wieku, kochanie - powiedział z łagodnym uśmiechem. - Ale lepiej wejdź do środka. Zaczyna kropić.

- Czy... pracowałeś?

- Tak, madam. Od samego rana. Mogę powiedzieć, że mam już ćwierć akra ziemi przygotowanej pod uprawy. Więc uważaj, bo mogę stanowić poważną konkurencję dla twoich interesów.

- To nie są moje interesy i nigdy nie były. Zajmowałam się gospodarstwem w twoim imieniu.

- Och, nie zaczynaj znowu. Dzisiaj masz urodziny. Mam dla ciebie mały podarunek. Zaczekaj chwilę. - Wskazał na sofę, żeby usiadła. Po chwili położył jej na kolanach jakieś zawiniątko. - Lepiej zapalę lampę. Wkrótce zapadnie zmrok.

Kiedy zabłysło światło, rozwinęła papier i spojrzała na tytułową stronę książki *Moje sumienie, mój krzyż*. Nieco niżej widniał wykonany piórkiem rysunek trzech krzyży. Podniosła wzrok i zapytała: - Ty... mi to dajesz? Nie zamierzasz opublikować tej książki?

- Nie. Mówiłem ci przecież, że nie miałem takiego zamiaru. I chociaż daję ci ją w prezencie, pragnąłbym, abyś jeszcze przez jakiś czas jej nie czytała. Odłóż ją na półkę, razem z innymi bezużytecznymi prezentami, i poczekaj jeszcze, powiedzmy rok.

- Dlaczego?

- Dlaczego? - Spojrzał w górę na osmolony sufit i powtórzył: - Dlaczego? Dlatego, że nie chciałbym, aby twoje uczucia zostały rozdarte na strzępy przez lament człowieka, który występował przeciwko wojnie.

- Już zostały rozdarte na strzępy przez takiego właśnie człowieka.

- Hm! Hm! - Odchrząknął. - W życiu nie spotkałem osoby, której odpowiedzi wymagają kolejnych pytań. Ja w każdym razie nie zamierzam zadawać ci pytań na temat twoich uczuć.

- Nie wątpię, bo się boisz.

- Janie, nie zaczynaj znowu. Jakiś czas temu zawarliśmy pakt. Nie pamiętasz?

- Pamiętam, ale o ile się nie mylę, to był pakt o przyjaźni. A przyjaciele mogą o wszystkim szczerze porozmawiać, bo w przeciwnym wypadku są tylko zwykłymi znajomymi, zachowującymi pozory uprzejmości i kłamiącymi przy każdej okazji. A w ogóle to dzisiaj są moje urodziny, a ty dałeś mi prezent. A ja... chciałabym coś jeszcze.

- Coś jeszcze?

- Tak, coś jeszcze.

- A co to takiego?

- Chcę się zareczyć.

Twarz mu się ściągnęła. - Zareczyć? Z kim? Zerwała się na równe nogi i wrzasnęła: - Nie bądź taki cholernie głupi! Chcę się zareczyć z tobą!

- Co? Chyba... to jakieś romantyczne bzdury, dziewczyno. Masz siedemnaście lat, a ja prawie czterdzieści. Przestań! Przestań! Przestań!

- Nie przestanę, a ty nie zmusisz mnie do tego. Znowu usiłujesz schować głowę w piasek. I tak się ze mną kiedyś ożenisz, więc równie dobrze możemy to zrobić już niedługo.

- Ja... ja się z tobą nie ożenię. - Schował twarz za wyciągniętymi dłońmi, jakby chciał stworzyć między nimi niewidzialną zasłonę.

- Wiesz doskonale, że nasz wiek nie ma tu nic do rzeczy - stwierdziła, chwytając go za rękę. - Kochasz mnie, zawsze mnie kochałeś. A ja nie mogę już przypomnieć sobie momentu, w którym cię pokochałam i zawsze będę kochać.

- Z głębokości wołam do Ciebie Panie! - zabrzmiało nagle jak kwilenie.

- Co powiedziałaś?

- Nic! Nic! Coś mi się tylko przypomniało, a teraz proszę Boga, aby pomógł mi zachować zdrowy rozsądek, a co więcej, ciebie sprowadził na ziemię.

Cofnęła się o krok, a on opuścił dłonie.

- Nigdy się nie dowiesz - powiedział, spoglądając na nią - jak bardzo... jestem zaszczycony, ale nie pozwolę ci zmarnować sobie młodości.

- Przestanieś w końcu rozmawiać ze mną jak jakiś bohater tych twoich książek? W tej okropnej chałupie musimy w końcu stawić czoło prawdzie. Ja mam siedemnaście lat, a ty trzydzieści siedem i kochasz mnie - stwierdziła. - A co więcej, potrzebujesz. A ja kocham cię i pragnę, chociaż na to będziemy musieli jeszcze trochę poczekać. Wiem, że tak będzie. Ty, Geraldzie, gdzieś w głębi serca wiesz, że mam rację. A teraz, Geraldzie, proszę, przytul mnie, po prostu przytul mnie.

Uniósł ramiona, gdy położyła głowę na jego piersi, tuż pod brodą. Dopiero wtedy zamknął ją w uścisku, każdym drżącym nerwem czując jej ciało. - Janie! Och, Janie! Moja Janie! - powtarzał.

Podniosła wzrok, czując wilgoć na swoim czole i zobaczyła, że po jego policzkach toczą się bezgłośnie łzy.

- Och, nie płacz. Nie płacz, najdroższy - błagała.

- Proszę cię, nie płacz.

Ona również rozplakała się ze wzruszenia. Gerald zbliżył się do kanapy i opadł na nią. Słyszając jego szloch, błagała go: - Geraldzie! Geraldzie! Posłuchaj mnie, już wszystko w porządku. Przepraszam cię. Proszę!

- Pozwól mi się wypłakać, mój skarbie, pozwól mi się wypłakać - wyjąkał. - Ja... ja nigdy dotąd... nie płakałem, nigdy. Przytul mnie mocno, Janie. Bardzo mocno. I nigdy mnie nie opuszczaj. Ale teraz pozwól mi płakać. Och, pozwól mi płakać. Pozwól mi płakać, najdroższa.

